

**PETRU POPESCU**

**PRZODKOWIE ADAMA**

**Australopiteki:** — wczesna dwunożna odmiana hominidów o średniej pojemności mózgu 500 centymetrów sześciennych; zamieszkiwały Afrykę w epoce pliocenu.

**Pliocen:** era geologiczna trwająca od około pięciu milionów do półtora miliona lat temu; w tym okresie w Afryce pojawili się pierwsi przodkowie człowieka.

**Skamieniałość:** szczątki organizmu zachowane w skałach; zwykle zachowują się tylko twarde elementy organizmów zwierzęcych i ludzkich — zęby oraz kości.

*Nie sędzę, by mógł istnieć spektakl bardziej interesujący od widoku pierwszego człowieka w otoczeniu pierwotnej, dzikiej przyrody.*

KAROL DARWIN  
*List do Johna Henslowa*

*Skorupy ziemskiej wraz z osadzonymi w niej szczątkami tycia nie powinno się uważać za dobrze zaopatrzone muzeum, lecz za ubogą kolekcję dobieraną losowo i z dużymi przerwami.*

KAROL DARWIN  
*O pochodzeniu gatunków*

*Gdyby wszyscy ludzie wymarli, wtedy małpy byłyby ludmi. A ludzie aniołami.*

KAROL DARWIN  
*Notatki do Transmutacji gatunków*

# Prolog

azywam się LV.H. Posługuję się tylko inicjałami, gdyż  
obowiązuje mnie przysięga, którą złożyłem jako oficer  
walczący w tej przegranej już przez nas wojnie.

Jednakże ze względu na to, że prawie na pewno jestem jedynym  
cywilizowanym człowiekiem, jaki kiedykolwiek odwiedził ten rejon, uważam  
za swój obowiązek wobec nas wszystkich — na wypadek gdyby nie udało mi  
się wydostać z tego piekła — opisać moje odkrycie, chociażby pobieżnie.  
Pocę się, zapisując te słowa, i czuję, że pęka mi głowa, jakby wybuchały  
w niej tysiące fajerwerków.

Nie jesteśmy sami na naszej planecie.

Nie jesteśmy jedynymi dwunogami o rozwiniętym intelekcie i wrażliwymi  
moralnie — bądź też niewrażliwymi — wyższymi naczelnymi.

Nie jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi. Są i inni, którzy przetrwali tu  
na niższym szczeblu ewolucji. Wiem o tym, ponieważ ich widziałem.

Zdumiewające! Nie z tego świata!

W świetle mego odkrycia historia ludzkości, jakiej uczymy się w szkołach,  
staje się tylko w połowie prawdziwa. Owi inni ludzie żyli tu przez cały  
czas — za dynastii Ming i w epoce Renesansu, w dobie Szekspira i podczas  
wojny secesyjnej w Ameryce, a także później — żyli w zakamarkach lasów  
tropikalnych w Afryce, prawdopodobnie także na innych kontynentach,  
ewoluując wolniej niż reszta planety, we własnym tempie, co może mieć  
niebывałe konsekwencje dla przyszłości.

Przepraszam — ich istnienie będzie miało niebывałe konsekwencje  
dla przyszłości.

Już ich bowiem odnalazłem. Nawet jeśli utrzymam to w sekrecie --  
podporządkowując się obowiązkowi przestrzegania tajemnicy wojskowej  
bądź też z naukowej ostrożności — a istoty te przeżyją, znów zostaną  
odnalezione. Już nie ma odwrotu.

Ledwo zanotowałem pospiesznie te parę zdań, a już wszystko, co we  
mnie racjonalne, buntuje się przeciwko temu: Nie, nie, nie, to nie może być

prawda! Zbyt długo przebywałem samotnie w tej dzicz. Byłem zbyt odizolowany, wyczerpany i atakowany nowymi, niezwykleymi wrażeniami, abym mógł pozostać przy zdrowych zmysłach. Żyłem w stanie delirium. Musiałem obserwować omamy, a nie żywe stworzenia.

Mój umysł stara się jednak równie uparczywie zracjonalizować jakoś całą tę sytuację. Przetrawanie tak starożytnej rasy jest nie tylko prawdopodobne, ale chyba także logiczne. Że odkryto ją tak późno? Cóż, Ziemia nie została jeszcze całkowicie zbadana; w gruncie rzeczy poznano ją tylko częściowo. Większość eksploratorów dociera do punktów docelowych poruszając się utartymi szlakami, podczas gdy wokół rozciągają się rozległe dziewicze tereny, których przebadanie krok po kroku, jard za jardem, zajęłoby lata. Miejsca te mogą skrywać niejedną tajemnicę, czego dowodem choćby to, co dzisiaj widziałem.

Dopiero rozpoczęliśmy badanie naszej planety i zaczynamy przenikać sekrety jej środowiska naturalnego. Wszędzie koegzystują i wzajemnie oddziałują na siebie gatunki znacznie różniące się wiekiem. Nadal występuje wiele dawnych gatunków, dzieląc środowisko życia z nowymi, które się od nich wywodzą. W każdym środowisku biologicznym rasy przodków współ-istnieją z rasami potomków.

Stawia to kwestię protoplastów człowieka w odmiennym świetle.

Na skali czasu geologicznego dwa miliony lat to mgnienie oka. Skoro zegary odmierzające czas środowiskom naturalnym i gatunkom na Ziemi są tak różne, a tempa transformacji tak zdumiewająco odmienne, musimy pogodzić się z faktem, że czas ziemski stanowi rodzaj kontinuum tworzonego zarówno przez przeszłość, jak i teraźniejszość. Jedne stworzenia należą do naszej bezpośredniej teraźniejszości, podczas gdy inne stanowią część teraźniejszości zatrzymanej, która rozpoczęła się dawno temu, lecz wciąż jeszcze trwa.

Czuję, że moje pióro inaczej biegnie po papierze, gdy kreślę te słowa.

O ileż łatwiej mi przychodzi zapisywać moje teorie, czyli słowa, o ileż trudniej i z ociąganiem — gdy przedstawiam fakty, to, co mam bezpośrednio przed oczami na tym zblakłym od słońca stepie. Od rana obserwuję dwoje praludzi, kobietę i mężczyznę. Liczą sobie chyba po dwanaście lat i są

niewiele więksi od naszych dzieci, lecz narządy mają w pełni rozwinięte.

Parzą się ze sobą. Ich zachowanie nasuwa mi podejrzenie, że robią to po raz

pierwszy.

Odkładam notatnik i kieruję, na nich lornetkę. Nastawiam ostrość tego

wojskowego instrumentu — mającego z założenia ułatwiać zabijanie ludzi —

by obserwować z bliska obraz kreowania pierwotnego życia. Tak są

sobą

zaabsorbowani, że mogę zbliżyć się na odległość, z której słyszę wyraźnie ich

głosy.

Nigdy nie sądziłem, że nauka może okazać się tak powierzchowna i bez

połotu, a w rezultacie daleka od prawdy, w porównaniu z mitem i poezją.

Mam ochotę przywoływać Hanumana, boga małp z hinduskich mitów

o stworzeniu świata. Hanumanie, gdybyś był tu ze mną, oczarowałby cię

widok tych dwojga młodych smukłych \*, parzących się w trawie. Tych dwoje właśnie „rozmawia” ze sobą za pomocą nieskomplikowanych dźwięków.

Wysłuchuję się, aż zaczynam dostrzegać różnicę między poszczególnymi, pełnymi udreki pomrukami: jedne brzmią jak okrzyki bólu, inne jak wzajemne

ostrzeżenia wzywające do zachowania ostrożności. Samica, jak się wydaje,

skarży się, co może dowodzie, iż jest dziewicą. Zatkało mnie na tę myśl

—  
dziewictwo, ten wyróżnik ludzkiej kobiecości, obserwowane tutaj, w miejscu

nie zmienionym od czasów pliocenu!

Samiec, mimo drobnego ciała, obdarzony jest wielkimi genitaliami — to

oznaka skoku, jaki dokonał się od małp człekokształtnych do hominidów. On

również zachowuje się niepewnie, jak ktoś niedoświadczony. Ich śmiała

namiętność to jedna z najbardziej ludzkich rzeczy, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Para ssaków parzy się, wzajemnie świadoma swojego

istnienia, z pożądaniem i dla rozładowania hormonalnego napięcia, ale bez

uczucia. A przecież to właśnie wzajemne uczucie emanuje z tej sceny i z dwojga młodych, lśniących od potu ciała.

Obserwuję dalej, wstrzymując oddech. Ona zachęca go i wreszcie łączą

się, by spokojnie, w skupieniu, spłodzić dzieci.

Przybyłem tu jako żołnierz, wysłannik agresji i śmierci. Z drżeniem obserwuję ten spektakl pierwotnej, żarliwej miłości, pochłoniętej płodzeniem

potomstwa. Ledwie przed dwoma milionami lat byliśmy tacy jak oni; w skali

czasu geologicznego to zaledwie mgnienie oka. Żałuję, że nie pozostaliśmy

tacy sami jak oni. Jaką wiedzę, wówczas posiadaną, utraciliśmy później, w biegu naszej historii, doświadczając eksplozji populacyjnych, prowadząc

wojny, dokonując wynalazków i podbojów nowych ziem. A czy to, cośmy

zyskali, warte jest tego, o czym zapomnieliśmy?

Patrzę na tę parę i nie potrafię oddać słowami desperackiej miłości, z jaką

się połączyli. Czy nas, na obecnym szczeblu ewolucji, stać na taką głębię

uczucia i tak desperackie pragnienie zapewnienia przyszłości naszej rasy?

Czy też stanowi to już częśćkę tego, o czym zapomnieliśmy?

Wycofuję się w obawie, by im nie przeszkodzić.

Ledwie straciłem ich z oczu, a znów stanąłem wobec problemu, jakie

znaczenie ma to, co widziałem, wobec niewiarygodnego doznania, że nie

jesteśmy tu sami. Nie tylko w rozległym wszechświecie, lecz tutaj, na Ziemi.

Mam wrażenie, że oszaleję. Już nie ma odwrotu...

Z notatek spisanych wiosną 1953 roku,  
po walkach z partyzantami w zachodniej Kenii

~~\* Smukli i krzepy to dwie występujące w~~ powieści odmiany australopiteków  
—  
przyp. tłum.



**Część**

**pierwsza**

**ŚLADY**

**STÓP**

# 1

## Zachodnia Kenia Koniec maja 1995 roku, po zakończeniu pory deszczowej.

Niewielki samolot, jednosilnikowy „Beech Lightning 38 P”, trzęsąc się niczym podskakujący mustang, starał się utrzymać stały kurs. Leciał prosto ku południowym odnogom górskiej skarpy Mau.

Mau, masyw skalny wznoszący się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp i biegnący niemal dokładnie wzdłuż osi północ-południe przez ponad dwieście mil, zamykał kenijski odcinek Doliny Wielkiego Rowu, tworząc jakby jej naturalną zachodnią ścianę. Mau to formacja skalna o zadziwiającym wyglądzie. Jej zbocza w dolnych partiach były nagie i zerodowane, pokryte tylko twardymi, szczeciniastymi zaroślami sawanny. Natomiast w połowie wysokości stoków pojawiały się skupiska drzew, które zagęszczały się coraz bardziej, tworząc wreszcie rozległy las, porastający całkowicie górskie szczyty. Na południowym skraju grzbietu Mau lasy zniżały się aż do podnóża, pozostawiając gdzieś tam odsłonięte skalne odnogi i występy, przechodząc stopniowo w sawannę Dogilani — równinę porośniętą wysokimi, wyblakłymi od słońca pióropuszcami traw, upstrzoną tu i ówdzie rzadkimi skupiskami drzew i kilkoma zagłębieniami z wodą, które oślepiająco lśniły w blasku słońca.

Przy owych zbiornikach wodnych uwijały się spragnione antylopy, dukery i bawoły. Falowały trawy, poruszane cielskimi lwów i lampartów podchodzących zwierzyne u wodopaju. Niebo przecinały drapieżne ptaki, gotowe porwać zdobycz kotowatym.

Sawanna — rozległa i zroszona krwią rozmaitych gatunków zwierząt toczących z sobą nieustanne walki — wyglądała, jakby należała do dzisiejszej epoki. Nagie, skaliste i pozbawione życia odnogi Mau zawisły z kolei w czasie nieco wcześniejszym. Natomiast część najbardziej tajemnicza — bujnie zalesione grzbiety, wznoszące się wysoko ponad stepem — należała do jeszcze innej doby.

Zbliżało się południe i nagrzewane przez cały ranek powietrze nad równiny Dogilani rozprzestrzeniało się szybko wszcz i wzwyz, atakujac chłodne warstwy spływające z górnych partii Mau. Te z kolei nie pozostawały dłużne, kłujac przeciwnika, niczym długimi sztyletami, podmuchami lodowa-

tego wiatru. Sprawiało to, że zderzające się prądy stawały się tak silne, iż trzęsły trzytonowym samolotem jak zabawką.

Pilot nazwiskiem Hendrijs, Afrykaner z Afryki Południowej, około sześćdziesiątki, który przez całe życie latał nad tymi górami i płaskowyżami,

walczył desperacko z przeciwnymi prądami powietrznymi. Jego twarz, zwykle barwy jaskrawoczerwonej — którą zawdzięczał zarówno dziedzictwu przodków, jak i całemu wypitemu przez siebie alkoholowi — przybrała żółtawy odcień strachu. Za nim znajdowały się dwa umieszczone obok siebie fotele.

Przypięty pasami do jednego z nich kenijski geolog Ngili Ngiamena zaciskał

na poręczach swe zgrabne dłonie Masaja i wciąż przynaglał Hendrijsa, by

leciał na wprost. Niemal pionowa ściana Mau rosła im w oczach i wyglądało

na to, jakby lada chwila miała zderzyć się z samolotem, rozplaszcząc mu

kadłub i spowić ogromną kulą ognia i dymu.

Siedzący obok na fotelu amerykański paleoantropolog Ken Lauder przez

otwarty luk kadłuba wychylił się z samolotu, nie bacząc na wpijający się

boleśnie w żołądek pas bezpieczeństwa. Kierował obiektyw aparatu na przesuwające się w dole niższe partie zbocza. Napreżył ręce, ramiona, barki

i górną część tułowia, usiłując nie dać się porwać strumieniowi powietrza,

który owiewał go niczym potężny, mroźny oddech zbliżającej się góry.

Pęd był tak potężny, że rozwierał mu powieki. Ken wciągnął się do kabiny i krzycząc na pilota kazał zmniejszyć prędkość tak, by mógł porobić

zdjęcia. Gdyby jednak Hendrijs zwolnił, silnik utraciłby moc potrzebną do

przebicia się przez ścierające się prądy. Jak dotąd, za każdym razem gdy samolot napotykał uderzenie takiego prądu, wydawało się, że wpadali na

niewidzialny ceglany mur i przebijali się tylko jakimś cudem, wbrew prawom fizyki.

Ciągnący się poniżej labirynt zerodowanych szczytów i grzbietów powodował nieustanne zmiany kierunku prądów powietrznych; gorące podmuchy podrzucały samolot w górę, zimne natomiast ściągały go w dół. Kadłub jęczał i trzeszczał, bliski rozpadnięcia się, a Ken jeszcze raz krzyknął

na pilota, że zbyt szybko przeleciał nad jałową odnogą i on nie zdążył zrobić

zdjęcia. Czy mógłby zatem powtórzyć manewr, ale wolniej?

— Nie mogę tego zrobić wolniej! — odrzyknął pilot. — Muszę mieć

odpowiednią prędkość, żeby pokonać prądy!

Tymczasem ściana Mau, w dolnej części poszarzała od erozji, w górnej

zaś lśniącą zielenią drzew i zarośli, zdawała się wyskakiwać ku samolotowi.

Hendrijs wrzasnął, że zaraz zawróci, dając Kenowi jeszcze jedną szansę

wycelowania aparatu. Ken zaczerpnął powietrza i sprawdził ręką pasy bezpieczeństwa. Były należycie zamocowane i jak dotąd nie trzasnęły, więc

może i teraz wytrzymają.

Pilot przechylił samolot w skraj. Ziejąca pod nimi dziura zimnego

powietrza pochwyciła koniec prawego skrzydła i natychmiast skierowała je

prosto ku ziemi. Ken omal nie wyleciał przez luk razem z aparatem fotograficznym. Lewa noga, zablokowana pod fotelem Hendrijksa, uchroniła

go przed wypadnięciem z samolotu. Drugim punktem zaczepienia stał się pas bezpieczeństwa. Hendrijs próbował wyrównać lot samolotu, wyczuwając drogę niczym pływak na grzbiecie cofającej się fali, spod której może się już nigdy nie wynurzyć.

— Zrób to teraz, teraz, do cholery! — krzyknął Ken.

Samolot wrócił na właściwy kurs. Pod sobą mieli zerodowane zbocze, w pięciu miejscach poprzecinane korytami wyschłych górskich strumieni, co upodabniało je do gigantycznej łapy sfinksa.

W części środkowej, niby na ogromnym kłykciu, znajdowało się to miejsce; które Ken starał się sfotografować.

Pęd powietrza wyciskał mu łzy — zdał sobie sprawę, że kiedy znajdzie

się nad obiektem, będzie musiał robić zdjęcia na oślep. Właśnie w obiektywie

pojawił się cel. Ken pstrykał, usiłując rozpaczliwie dojrzeć cokolwiek w mgnieniu oka, ale po prostu nie mógł niczego dostrzec przez wizjer.

A jednak był pewien, że dobrze celuje. Jakżeby inaczej? Na tę myśl wezbrało mu w piersi uczucie takiego tryumfu, że aż otworzył usta, by zawyc z radości i...

Dostrzegł tę środkową część w chwili, gdy samolot wlatywał ponad nią

ostro w górę. Południowe wiatry wzbijały pył z okolicznych zerodowanych

zboczy, zasłaniając raz po raz widok. Fala pyłu to wznosiła się, to opadała

odsłaniając zbocze. Po chwili pojawiała się następna. Za każdym razem łapę

spowijał unoszący się gwałtownie wir pyłu.

Najprawdopodobniej jedyne, co udało się Kenowi uchwycić w obiektywie,

to mnóstwo kurzu. Na błonie uwieczni się ogólny zarys formacji skalnej w kształcie łapy oraz pokrywający ją, wirujący pył. Samolot kosztował ich

tysiąc dolarów tygodniowo — i skrzynkę szkockiej dla Hendriksa — a teraz

mieli stracić ostatni, w dodatku najbardziej intrygujący widok z całego tygodnia pobytu.

Znów wciągnął się do środka. — Zawracaj! — krzyknął do Hendriksa. —

Zawracaj!

— Nie zrobiłeś zdjęć?

— Nie! — Walnął pięścią w ściankę kabiny. Cienka blacha aluminiowa

zagrzmiała niczym blaszany bęben. — Wracaj tam jeszcze raz, tylko powoli!

Oszalałeś? — zapytał siedzący obok Ngili. — On nie może już lecieć wolniej. Musi mieć odpowiednią prędkość, żeby walczyć z wiatrem!

— Niech więc leci szybciej, ale niżej!

— Szybciej? — wrzasnął Hendrijs, odwracając się do Kena. Na

jego

skórze nie było śladu zwykłej czerwieni, jakby karnacja uległa nagłej i nieodwracalnej przemianie. — Chcesz, żebym wpadł na tę ścianę?

Ostatnim

razem ledwo mi starczyło miejsca, żeby zawrócić, nie widziałeś?

To da się zrobić! — odkrzyknął Ken. — Leć niżej. Zapamiętaj tylko, gdzie się zmienia wiatr!

— Jak mam zapamiętać? Zmienia się przez cały czas!

— Więc nie zapłacimy ci twojego tysiąca dolców!

Dygotanie i kołysanie samolotu, jęk strumieni powietrza w otwartym luku i bliskość niebezpieczeństwa sprawiły, iż Ken poczuł się tak, jakby już stawili czoło śmierci i wyszli z tego cało. Przed katastrofą uchronił ich jego ogromny wysiłek woli. Puścił aparat, który zawisł mu na brzuchu, chwycił Hendriksa za umięśnione ramiona i potrząsnął, mając przy tym wrażenie, że trzęsie całym samolotem.

— Zrób to! Cholera, jesteś przecież najlepszym pilotem w Kenii! Zrób to, albo nie zapłacimy ci ani centa!

Afrykaner odrzyknął, że ma gdzieś zapłatę, zawraca samolot, byle dalej od tego wietrznego piekła.

— Jeszcze tylko raz! Poleć niżej — błagał go Ken. — Ostatni raz.

Nie będzie miał już bowiem następnej okazji. To ostatnia szansa, żeby sfotografować to, co dostrzegł z samolotu pół godziny wcześniej.

Ken i Ngili wystartowali z Hendrikssem wczesnym rankiem, aby zakończyć powietrzne badania stratygraficzne Dogilani i południowego krańca masywu Mau, którego formacje skalne śmiało można było ocenić na pięć milionów lat. Dlatego też Mau zdawało się unosić ponad równiną Dogilani niczym plioceński pancernik.

Era plioceńska, trwająca od pięciu milionów do półtora miliona lat temu, obfitowała w ważne wydarzenia. To w pliocenie kontynenty zajęły swoje obecne położenie. Powstała wówczas Dolina Rowu, kiedy dwie płyty tektoniczne, przepychające się pod powierzchnią ziemi, wryły pomiędzy sobą linię uskokową biegnącą z północy na południe i niemal tak długą, jak Afryka. Klimat po obu stronach Rowu zaczął wykazywać wyraźne różnice. Część zachodnia pozostała wilgotna, dzięki czemu zachowały się pradawne lasy, wschodnia natomiast wyschła, co z kolei sprzyjało powstawaniu stepów, gdzie mnożyły się zwierzęta kopytne, tworząc olbrzymie stada. Na wschodzie, po skurczeniu się obszarów leśnych, niektóre małpy człekokształtne odważyły się zstąpić na otwarte przestrzenie i stały się rasą ludzką.

Południowe Mau — z pasem bujnej sawanny rozciągającej się aż



do  
jego wysłtych odnóg oraz z pradawnymi lasami zdobiącymi szczyty  
wyglądało jak dziewiczy teren pozostały z czasów, kiedy człowiek  
stawał się  
człowiekiem.

Latając tu i tam, i opisując pospiesznie rozmaite formacje skalne  
(Ken je  
fotografował, a Ngili klasyfikował), przemknęli niecałe sto stóp ponad  
nagą,  
kopulastą odnogą górską, żeby Ngili mógł się dobrze przyjrzeć, jak  
dalece  
posunęła się tu erozja. Była jedenasta piętnaście rano. Tak zanotował  
Ken,  
który nanosił na diagram odległości między różnymi formacjami  
skalnymi,  
wykorzystując w tym celu czas przelotu między nimi.

Na kopulastej odnodze widniały ślady stóp; Ken dostrzegł je, gdyż  
tworzyły rozległy krąg — intrygujący wzór jak na omiatany wiatrami  
dziewiczy teren. Poprosił pilota, by zawrócił i przeleciał powtórnie nad  
tym

miejszem. Hendrijs nie oponował. Zrobili koło i powrócili lecąc niżej; teraz

i Ken, i Ngili wyraźnie dostrzegli ciemny krąg. Jeszcze bardziej zniżyli lot

i krąg rozpadł się na drobne punkciki niczym paciorki naszyjnika. Zeszli niżej, lecąc praktycznie parę stóp ponad ziemią: punkciki stały się owalne

i wydłużone. Były to ślady stóp, pozostawione przez kogoś, kto chodził po okręgu na wierzchołku góry.

Ken i Ngili spoglądali po sobie tak, jak tylko potrafią to czynić dwaj

naukowcy specjalizujący się w prehistorii. Bo jeśli są to prehistoryczne ślady

stóp? Jeśli pozostawili je hominidzi, wczesni ludzie?

Nie była to, w gruncie rzeczy, aż tak naciągana koncepcja. Między porami deszczowymi odnogi Mau w dolnych partiach wysychały na kamień,

bezustannie omiatane wiatrami, odsłaniającymi starsze warstwy gruntu. Jeśli

więc coś się w tych warstwach rzeczywiście zachowało, istniało prawdopodobieństwo, że mogła to być dawna skamieniałość.

W każdym razie ślady wyglądały na bardzo stare. Nisko wysklepione stopy

głęboko odcisnęły się w oświetlonej słońcem ziemi. Ken mógł to stwierdzić

nawet jednym rzutem oka, gdyż wgłębienia wypełniał cień, upodabniając je do

małych mrocznych jeziorok na tle jasnego, pokrytego pyłem otoczenia.

Hendrijs przechylił nieco samolot w skrócie i wyjrzał przez okno kabiny,

żeby samemu zobaczyć. Mruknął lekceważąco: — Nie ma się czym podniecać,

to ślady pozostawione przez pasterzy kóz.

— Dlaczego mieliby zapędzać kozy na tę gołą odnogę? — spytał

Ken. — Nie ma tam na czym wypasać. A gdzie ślady kozich kopyt?

Nie

widzę żadnych ostrych małych wgłębień.

— Wiadomo, że te tereny są zupełnie nie zamieszkałe — dodał

Ngili.

— Może odciski są starsze — argumentował Hendrijs. — Może sto lat

temu rosła tam trawa.

— Skoro mogą być tak stare, czemu nie miałyby być jeszcze starsze? —

odparował Ken.

Ngili potaknął głową. — Ale to nadal nie tłumaczy braku śladów trzód.

Hendrijs wyrzucił w górę ręce, puszczając na moment stery. „Cóż za

afera — pomyślał — z powodu czegoś, na co nie zwróciłbym nawet

uwagi.

Oszalałem chyba, tracąc tu czas z tymi zwariowanymi naukowcami".

Ale

właściwie nie tracił czasu. Tysiąc dolarów to niezły pieniądz za tydzień stratygrafii powietrznej; Hendriks posuwał się w latach, a w branży pełno

teraz było nowych pilotów, czarnych Afrykanów.

W końcu zgodził się zawrócić i odnaleźć odnogę, aby Ken mógł porobić zdjęcia.

Zajęło im to pół godziny zygzakowatego lotu ponad dziesiątkami identycznych odnóg, nie zaznaczyli bowiem miejsca przez zrzucenie ob-

ciążonych chorągiewek, a oświetlenie zmieniło się, bogate zaś w żelazo skały

wulkaniczne Mau zakłócały działanie pokładowego kompasu.

A tymczasem wiatry poczęły mieszać" w tym południowym kotle czarownicy.

wysłał Kena z samolotu. Ręka Ngilego wbiła mu się w bark. Spod paznokci

Afrykanina, trzymającego kurczowo przyjaciela, trysnęła krew. Obiektyw,

upuszczony wcześniej na podłogę, znalazł się przy otwartym luku, przeskoczył

z brzękiem przez krawędź i wyleciał w przestrzeń. Ken śledził jego lot, zdumiony, że sam nie wypadł głową w dół.

Nie czuł strachu, tylko ogromne zaciekawienie ostatnimi — jak sądził —

chwilami swego życia.

Spadający swobodnie obiektyw aparatu dotarł do wielkiej zerodowanej

krawędzi skalnej i roztrzaskał się na kawałki.

Ngili trzymał Kena za pasek spodni, wykonany z twardej skóry, dzięki

czemu wytrzymał ogromne przeciążenie.

Hendrijs wyczuł, że ciężar obu mężczyzn przesunął się na jedną stronę.

Wyprostował samolot tak gwałtownie, że Kena rzuciło do drzwi, a Ngili szarpnięciem wciągnął go do środka. Pechowy fotograf walnął czubkiem

głowy w sufit. Pilot odwrócił się i wyszczerzył w uśmiechu zęby; krew płynęła mu z nosa rozbitego o przyrządy sterownicze. Rzuciło nimi tak dziko,

że Ken zaczął się obawiać, czy maszyna nie straci ogona.

— Za-za-zawrócę — oznajmił Hendrijs, jękając się wskutek drgań maszyny — i spróbu-bu-buję gdzieś tam wy-wy-wylądować... — Zakrwawioną

twarzą wskazał rozciągającą się na południe od zboczy Mau sawannę.

Ken i Ngili spojrzeli w tamtym kierunku. Zobaczyli laski akacjowe i połacie wysokiej trawy przemieszane ze skalnymi odkrywkami i niskimi

ziemnymi pagórkami. Sawanna, ziemia rozległa i żyzna, ukazywała oblicze

spokojne i gościnne. Na południowym zachodzie widzieli odległe i niegroźne

błyski cofającej się burzy. Wszędzie na zielonożółtym tle roślinności odznaczały się ciepłymi brązowszarymi barwami sylwetki pasących się zwierząt.

— Zrób tak — odezwał się niepotrzebnie Ken.

Wydawało się niepojęte, że samolot wciąż ma dość sił, by — schodząc

w dół — stawić czoło tym prądom. Ken i Ngili zebrali się w sobie. Ken pozbył się wszystkich innych myśli, koncentrując całą siłę woli na

rozpacz-  
liwym pragnieniu, by silnik, kadłub, skrzydła, rozpory, piasty i śruby  
wytrzymały. Było to jak ostatnie długie parcie podczas ciężkiej męki  
porodu —  
samolot wynurzył się z „łona” wiatrów i wreszcie swobodnie wyśliznął  
w ciepłe powietrze sawanny.

Nadal nie mogli uwierzyć, że przeżyli, i nadal starali się popychać  
maszynę siłą swej woli, podczas gdy Hendrijsk sprowadzał samolot  
coraz  
niżej, przelatując z warkotem tuż nad ostatnimi zerodowanymi  
zbozczami.  
Minęli ostatnią pochyłość i runęli na sawannę, ścinając, i tak już płaski,  
wierzchołek akacji.

Wreszcie koła dotknęły ziemi.

## 2

Koła samolotu toczyły się po sawannie, przedzierając się przez porastające ją rudawe trawy głuchego owsa. Powierzchnia traw wyglądała gładko, ale pod nią teren pełen był dziur i bruzd, na których maszyna podskakiwała jak zabawka, trzęsąc pasażerami równie zaciekle, jak pośród wiatrów w przestworzach. Koła, natrafiwszy na linię skałek, prze- skoczyły przez nią, przerznęły się niczym maczety przez kępy ciernistych krzewów i wreszcie znieruchomiały.

Ken i Ngili wyskoczyli przez otwarte drzwi, gdy tylko samolot się zatrzymał.

Padli na trawę, oszołomieni tym, że ciągle żyją. Dostrzegli pęknięty ster

maszyny i brak końcówki prawego trymera. Hendrijs wyłączył silnik, wyskoczył i rozłożył się na trawie, mrużąc coś o tysiącu dolarów i dwóch, dwóch skrzynkach whisky.

Ken spojrzał na Ngilego, którego twarz znowu lśniła.

— Masz je? — zapytał Ngili, wskazując aparat Kena. — Masz te cholerne ślady?

Ken skinął głową. — Mam dobre zdjęcie tej odnogi, wyraźne i bez pyłu.

Co do śladów — nie wiem. Przekonamy się dopiero po wywołaniu filmu.

-+- Mam nadzieję, że nasz wyczyn tam w górze nie poszedł na marne —

zachichotał Ngili.

Dalej leżeli w trawie. Wreszcie Hendrijks wstał, wdrapał się do samolotu

i jął szukać fajki. Nigdzie nie mógł jej znaleźć". Prawie wszystkie przedmioty

wewnątrz kadłuba wyrzucone zostały ze swych zwykłych miejsc. Nawet kartki

dziennika lotów wały się cisnięte na tył samolotu. Paczka krakersów obijała

się tak długo, aż pękła rozsypując wokół swą zawartość. Hendrijks zaklął

widząc taki bałagan. Jego butelka whisky ocalała, ale ciekło z niej na podłogę.

Pilot zeskoczył na ziemię i obszedł samolot, dotykając lotek, klap, podpórek

skrzydeł i śmigła. Upewnił się, czy maszyna nie odniosła innych szkód.

Na koniec zawołał do obu młodych ludzi: — Chcę umocować ster.

Nie

zamierzam wracać mając go w takim stanie.

— Ile czasu ci to zajmie? — zapytał Ken, wciąż leżąc w trawie. Wiedział, że Hendrijs, jak wielu pilotów starej daty, jest kompetentnym mechanikiem.

— Przynajmniej parę godzin. Mam drut, śruby, klamry... — Pilot urwał

spoglądając z namysłem na słońce. — Ale jeśli nie skończę przed zachodem,

będziemy musieli wrócić jutro rano.

— Już lepiej zostanmy tu na noc, niż miałbyś naprawiać to pospiesznie. —

Ken i Ngili spędzili wiele nocy w terenie podczas wykopalisk archeologicz-

nych; nie przerażało ich spanie pod gwiazdami sawanny.

— W takim razie pomożcie mi najpierw przefiltrować benzynę. To trochę potrwa.

Samolot wyposażony był w dodatkowe kanistry paliwa; należało je przelać do prawie pustych zbiorników, filtrując przez zamsz w celu usunięcia

zanieczyszczeń, które mogłyby spowodować zakłócenia w zaplonie silnika. Gdyby coś takiego przydarzyło się w chwili, gdy wlatywali ponad ścianę Mau, byłiby już martwi.

Ngili i Ken podnieśli się, żeby pomóc Hendrijsowi przy benzynie.

Podtoczyli kamień pod ogon samolotu, tworząc dla pilota naturalną drabinę,

na której mógłby stanąć majstrując przy sterze. Hendrijs burknął na Kena,

żeby wydostał z samolotu maczetę i narąbał trochę ciernistych gałęzi — skoro

mieli tu spędzić noc, trzeba będzie rozpalić ogień.

Parę minut później Ken rąbał już kolczaste krzewy. Zauważył, że rośliny

te są wyższe, a ich włókna twardsze niż zazwyczaj. Może były sękaty

i nieustępliwe jak w pliocenie, a może po prostu on odczuwał wielkie

zmęczenie. Rozejrzał się- Rosnące gęsto obok siebie niewysokie drzewka

obsypane były okrągłymi, czarnymi jak atrament jagodami, lśniącymi niczym

ludzkie oczy i spoglądającymi uważnie, niemal groźnie.

— Hej, Ngili, są tu rośliny, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

— A ja widzę antylopy gnu, też nigdy dotąd takich nie widziałem. Są niewiarygodnie tłuste i spokojne. Hej, jest też rodząca samica. — Ngili zachichotał, podając lornetkę Kenowi.

Ken spojrzal i odnalazł antylopy — dwadzieścia, trzydzieści sztuk.

Powiększone w soczewicach lornetki, zdawały się paść parę cali od niego.

Zwierzęta te wpadały w podniecenie z byle powodu: wystarczyło ukąszenie

komara w ogon, urażenie kopyta ostrym kamieniem czy choćby pustka

rozpalonej sawanny, przez którą szarżowały nie wiedzieć czemu, jakby

zobaczyły ducha. Zawsze były nadpobudliwe. Tutaj natomiast poruszały

leniwie pyskami od jednej kępy trawy do drugiej, zachowując wyjątkowy spokój.



Cieląca się samica stała na lekko rozstawionych nogach z wyrazem koncentracji na długim pysku. Z jej zadu wynurzyło się coś, co wyglądało jak wielka, czarna i lśniąca bryłka o długim szczeciniastym końcu. Szczecinę ową tworzyły rogi, przednie nogi i drobne kopytka cielaka, a brylkę —jego głowa i pierś, lśniące od nie przerwanych jeszcze błon płodowych. Cielak kopał już

wewnątrz tego lepkiego kokonu, choć połową ciała pozostawał jeszcze w łonie matki.

Ken przesunął lornetkę w płaszczyźnie poziomej i dostrzegł, że inne samice także mają młode. Kilka cielaków chwiała się niepewnie na nogach, jakby narodziły się w ciągu ostatniej godziny.

— To dosyć niesamowite — mruknął.

— Co takiego?

— Cielą się w maju.

Czyli z czteromiesięcznym opóźnieniem. Zwykle gnu rodzą młode w styczniu, przed wiosennymi deszczami, a nie po nich. Ken obserwował to wiele razy. Studiując na Uniwersytecie Kenijskim, zarabiał na życie chwytając się rozmaitych dziwnych zajęć, między innymi pracował jako tropiciel zwierzyny i kierowca na safari.

Ngili wzruszył ramionami. Niewiele mu mówiły terminy cielenia się antylop.

— To nic ważnego — przyznał Ken — tyle że to stado zdaje się podlegać własnemu cyklowi. Może zostało tu po ostatniej letniej migracji.

Obaj zamilkli. Każdego roku tysiące gnu, pobudzone stopniowym zmniejszaniem się ilości traw na stepach Tanzanii, zaczynały pędzić na północ, zatrzymując się tam, gdzie napotykały świeżą karmę, i prac dalej po jej wyczerpaniu. Biegając, zatrzymując się i pasąc, biegając, zatrzymując się i pasąc — okrążyły kenijską sawannę po rozległym łuku, w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, by po paru miesiącach zamknąć wielkie koło, wracając znów do Tanzanii na początku kolejnego cyklu migracyjnego.

Cykle te określały wszystkie inne ich czynności, w tym dobrze uregulowane pory parzenia się i wydawania potomstwa.

— Może tutejsze gnu nigdy nie biegały z tymi, które migrują — zażartował Ngili. — Może żyły tu zawsze.

— Może — powtórzył Ken. Spojrzał na wysokie, bujne trawy. Może pokarm nie wyczerpywał się tu tak, jak na sawannach Tanzanii, i gnu nie

miały powodu, by migrować. Mogły też parzyć się i wydawać na świat młode, kiedy tylko zechcą.

— Mamy też mnóstwo dujkerów — mruknął Ken, obserwując przez lornetkę teren.

— Jest w nich coś dziwnego?

— Nie. Są tylko tłuste i szczęśliwe, i niezwykle spokojne. Podobnie jak gnu.

Dujkery, brązoworude antylopy o krótkich rogach, z szerokimi czarnymi

pasami wzdłuż czoła, ledwie się poruszały. „Nie polują tu chwilowo żadne kotowate” — domyślił się Ken. Po zapadnięciu zmroku senność zastąpiła pełne napięcia galopady w ucieczce przed atakami lwów i lampartów.

W trakcie ostatniej minuty ich rozmowy cielak opuścił łono matki. Upadł

bezwładnie na trawę, ale podniósł lśniąca głowę, połączoną z rodzącą

**długimi  
srebrzystymi sznurami łożyska. Następnie szarpnął głową na boki,  
rozrywając**

łożysko, i spróbował wstać, ale opadł z powrotem. Antylopa odwróciła się,

wychodząc z pozycji porodowej, i poczęła wylizywać małego.

— Jak błogo — zachichotał Ngili. — Och, toż to istny raj.

Ken roześmiał się i odpowiedział, że wszystko wydaje się rajem po tym,

jak niemal rozbili się w latającym pudle Hendrijsa. Otoczył przyjaciela

ramieniem i obaj powędrowali przez kolczaste zarośla i nagrzane trawy sawanny, śmiejąc się i gawędząc.

— Nie skończę dziś wieczorem — oznajmił Hendrijs, belkocząc niewyraźnie, gdyż w kąciu ust przytrzymał dwie długie śruby, mając zajęte ręce

stalową klamrą. Wyjął śruby z ust. — Ngili, połącz się przez radio z lotniskiem

Embakasi, powiedz im, że zmieniamy plan lotu i zapytaj o prognozę pogody. — Jego zawsze opryskliwy ton stawał się jeszcze bardziej opryskliwy,

kiedy pilot zwracał się do Ngilego.

Ngili wspiał się do samolotu i wezwał Nairobi. Prognoza była dobra. Na

południu, w Tanzanii, rozpętała się burza pyłowa, która posuwała się na

północ, ale przewidywano, że zakończy się nie przekroczywszy granicy z Kenią! Ngili poprosił wieżę kontroli lotów o telefoniczne przekazanie jego

rodzinie wiadomości, że spędzi noc w sawannie. Planowali, że wrócą nazajutrz przed południem.

Wyruszyli rano, zabierając ze sobą chłodzoną lodem skrzynkę piknikową z kanapkami, coca-colą, puszkami „Kane” — ulubionym bezalko-

holowym napojem Kenijczyków — oraz paroma piwami dla pilota. Skrzynka

wytrzymała upadek. Hendrijs otworzył już kilka coli.

Ken ułożył narąbane gałęzie w stertę obok samolotu, gdzie mieli rozpaść

ognisko. Hendrijs odłożył narzędzia, a Ngili siadł na trawie ze swymi notatkami stratygraficznymi, zabarwionymi na karmazynowo-płomiennym

światłem zachodu, Ken zaś pomaszerował bez celu niecałe pół mili stepem,

kierując się w stronę niewysokiego pagórka wznoszącego się na jałowym

terenie.

Podszedłszy bliżej, zauważył, że pagórek jest zerodowany.

Obszedł go wkoło i po drugiej stronie natrafił na czaszkę — czaszkę hominida. W pierwszym odruchu pomyślał, że to niemożliwe.

Ale tak właśnie było. Patrzyły na niego brązowe oczodoły skamieniałej czaszki.

Czaszka, prawie zupełnie odsłonięta, tkwiła na szczycie pagórka.  
Górna  
szczeka ledwo zagłębiała się w żwirze. Zachowało się w niej sporo  
zębów,  
wyraźnie widocznych, mocno osadzonych w kości szczękowej.  
Podchodząc do niej, usłyszał, jak szorstka ziemia sawanny zapada  
mu się  
pod stopami. Teren wokół pagórka był starożytny i mocno zerodowany.  
Pod  
ciężarem człowieka cząsteczki gleby rozpadały się, zmieniając w pył.  
Czaszka tkwiła w tej pradawnej glebie aż do ostatniej jesieni lub  
poprzedzającej ją wiosny. Jesień i wiosna to pory deszczowe. Jakiś  
wezbrany

potok albo strumień wody, jaka zebrała się w szczelinach Mau, musiał przepływać tędy w czasie ostatniej pory deszczowej i zmyć wierzchołek pagórka, odkrywając leżącą poniżej warstwę niezwykle kruchej gleby. Wtedy zaczął działać wiatr, który zwiewał warstwę po warstwie, aż odsłonił czaszkę, przywracając ją światu żywych.

Ken dostrzegł obok niewielką brązową kość. Podeszedł bliżej i pochylił się, zdecydowany nie zakłócać jej spokoju inaczej niż ciekawskim spojrzeniem.

Ze szczytu pagórka wystawał krąg szyjny. Większa część szkieletu zapewne wciąż tam spoczywała, pogrzebana pod czaszką.

Doznał nagle gwałtownej pokusy, by zawołać Ngilego, ale powstrzymał się. Jeśli miał przed sobą szkielet starożytnego pasterza, znalezisko okaże się

interesujące, lecz nie sensacyjne. Jeśli jednak było to coś starszego...

Znów doznał napięcia, jakie czuł w samolocie, fotografując odciski stóp.

Z trudem zaczerpnął tchu, łapiąc powietrze krótkimi haustami, kiedy zauważył,

że część czołowa czaszki jest w niezwykle stopniu cofnięta ku tyłowi. Czaszka albo była bardzo stara, albo należała do przedstawiciela jakiejś współczesnej populacji cechującej się niezwykle wąskim kątem twarzowym.

To ostatnie przypuszczenie wydawało się bardzo mało prawdopodobne, gdyż

nie istniały żadne tubylcze plemiona o czołach cofniętych tak daleko ku tyłowi. Ken przykucnął przed czaszką i spojrzał na nią w świetle krwawego

afrykańskiego zachodu. Na jej czubku znajdował się, wyraźnie widoczny

z przodu, rodzaj wzniesienia. Grzebień czaszkowy.

Jedyny przodek człowieka, jaki posiadał taki grzebień, to *Australopithecus robustus*, małpolud uważany niegdyś za słynne brakujące ogniwo ewolucji.

Grzebień ten rozwinął się u tego gatunku prymitywnych ludzi dla podtrzymania

potężnych mięśni policzków i szczęk. Robustus, którego skamieliny odnaleziono w Afryce, miał wydatne, mocne szczęki i potrzebował znacznie

powiększonych kręgów szyjnych dla podtrzymywania ciężkiej głowy, ale nie

z powodu wagi mózgu — który miał objętość jedynie pięciuset centymetrów

sześciennej — lecz ze względu na solidne, masywne kości czaszki.

Ken wiedział, że istnieje szybki sposób sprawdzenia, czy czaszka jest

starożytna, i nawet jeszcze szybszy, aby przekonać się, czy należała do wczesnego człowieka, czy do jakiejś supermałpy. Postanowił samodzielnie przeprowadzić te wstępne testy. Jak na razie nie było potrzeby niepokoić Ngilego. Ostrożnie wyciągnął rękę w obawie, że czaszka może się rozsypać przy dotyku.

Wziął głęboki oddech, starając się zapanować nad emocjami. „No już, Lauder. Uspokój się. Musisz mieć nerwy pod kontrolą. Zajmujemy się tutaj nauką, ewolucją człowieka”.

Chrapliwie wypuścił powietrze. Dotknął czaszki. Nie rozsypała się, ale poruszyła pod jego palcami, łatwa do oderwania, dojrzała do zbioru, niczym owoc bliski spadnięcia z drzewa.

Uniósł ją, czując, jak przesypuje mu się między palcami starożytny piasek, obrócił i przyjrzał się podkowie poczerniałych ze starości zębów.

Wyrastały parabolicznie, jak u ludzi. Goryle i pawiany mają zęby ułożone wzdłuż trzech boków prostokąta. Tu górne kły były płaskie, starte od żucia; osobnik, któremu niegdyś służyły, musiał umrzeć w wieku dwudziestu paru lat, co stanowiło górną granicę życia australopiteków.

Ken zapanował nad podnieceniem i dalej badał skamieniałość. Na końcach zębów trzonowych występowały guzki, wzniesienia na pokrytej emalią powierzchni. Mrużąc oczy w słabnącym świetle, policzył je. Było ich pięć, ułożonych w kształcie nieregularnej litery Y.

Dobrze. Wzór taki występował u wspólnego przodka małp człekokształtnych i ludzi. Na trzonowcach małp zwierzokształtnych nigdy nie występowały więcej niż cztery guzki. Sądząc po tych wzniesieniach, mógł mieć do czynienia z czaszką wielkiej małpy człekokształtnej. Jednak w takim razie górne kły powinny być długie i wygięte ku tyłowi, ukształtowane tak, aby zachodziły na równie długie kły zuchwy.

Tutaj kły były wyraźnie płaskie, jak u ludzi.

Ken przełknął ślinę, przesuwając językiem po wyschniętych wargach.

Czas na empiryczny test terenowy, określający wiek znaleziska.

Zważył czaszkę w dłoni. Jak na swoją wielkość, wydawała się ciężka, co wskazywało, że nastąpiła mineralizacja. Skamieniałości, zanurzone w glebie przed milionami lat, przechodziły przez tak zwany cykl fosylizacyjny, w czasie którego otaczane były ze wszystkich stron przez substancje mineralne i ściskane tak, że substancje te, jakkolwiek powoli, wnikały tysiącem porów i kanalików powietrznych w pierwotną tkankę kostną. Wypełnione minerałami kości same zmieniały się w minerały. Stawały się skałami i kamieniami.

A ponieważ kamień jest cięższy od tkanki kostnej, starożytne kości muszą być cięższe niż te świeżej daty.

Ta, którą Ken trzymał w ręku, wydawała się znacznie cięższa od kości

współczesnej. Świadczyło to o zaawansowanym stopniu mineralizacji. Ale

test jeszcze się nie zakończył. Ken podniósł ostrożnie czaszkę do ust, wybrał

punkt na jej czubku i polizał. Poczł w ustach drobny pył sawanny. Zebrał go

językiem i wargami, wypluł i powtórnie polizał czaszkę. Oczyszczył ją.



Czubkiem

języka dotknął samej kości. Powierzchnię miała gładką i jednolitą. Nie skamieniała kość byłaby porowata, z tysiącem otwartych kanalików powietrz-

nych, działających jak drobne komory ssące. Porowatość ta, choć niewidoczna dla oka, nie uszłaby wrażliwości ludzkiego języka, który przylepiał się do

kości świeżej daty. Inaczej było z tą starą. Im czystsza stawała się pod naukowymi pocałunkami Kena, tym gładsza i bardziej doskonała wydawała

się czubkowi języka jej powierzchnia — jakby dotykał kamienia. Gładkiego,

czystego kamienia.

Bo to był kamień. Skamieniały australopitek.

Oznaczało to, że żył on w erze plioceńskiej — jakieś pięć milionów do

półtora miliona lat temu — kiedy to ostatni ziemski małpolud spłodził istotę

stanowiącą kolejny etap ludzkiej ewolucji.

Z największą ostrożnością Ken odłożył skamieniałą czaszkę na warstwę żwiru. Wyprostował się i zawołał Ngilego. Nie dość głośno — był zmęczony, zadyszany i zbyt podniecony znaleziskiem. Jednakże za drugim razem wykrzyknął imię przyjaciela na całą sawannę.

Ngili odłożył notatnik i pospieszył do Kena.

Hendrijs, zajęty rozpalaniem ogniska, nawet się nie obejrzał. Był szczęśliwy, że nie musi lecieć z pękniętym ogonem samolotu pośród coraz silniejszych nocnych wiatrów i może poczekać na bezwietrzną pogodę wczesnego poranka. Jeden wyczyn dziennie wystarczy. To z tego powodu przerwał naprawianie maszyny, choć mógł bez trudu skończyć do Wieczora.

Zamierzał umrzeć we własnym łóżku w Nairobi, w komforcie, jaki zapewniały

mu zaoszczędzone pieniądze, podszczypując jakiś tyleczek w kolorze kawy z mlekiem, który przypominałby mu o j e g o Afryce z czasów, kiedy biali byli biali, a czarni — czarni. Kto to słyszał, żeby uczeni Amerykanie (Ken pochodził z Oakland w Kalifornii) przyjeżdżali tu bratać się z masajskimi geologami? Kto w ogóle słyszał o masajskich geologach albo Masajach mających konta bankowe i stanowiska w rządzie?

Ta ostatnia myśl odnosiła się do rodziny Ngilego. Ngiamenowie byli bogaci. Posiadali plantacje kawy i sizalu, przejęte od Brytyjczyków, którzy uciekli z Kenii w 1953 roku. Ojciec Ngilego był wpływowym człowiekiem, zarządzał parkami dzikiej zwierzyny i rezerwatami, co automatycznie czyniło

go członkiem gabinetu. Pozycję swoją zawdzięczał wieloletniej przyjaźni z Jomo Kenyattą, pierwszym czarnym prezydentem Kenii.

Hendrijs nic ze tego nie rozumiał. Nie zrozumiał też — kiedy wreszcie

uniósł wzrok — dlaczego Ken liże brązowy okrągły przedmiot, wyglądający

z daleka na wielki orzech kokosowy, choć wokół nie rosły palmy, tylko akacje i baobaby; ani czemu Ngili wziął kokos z rąk Kena i, przyjrzawszy mu

się przez chwilę, także go polizal.

Ken popędził do samolotu. Hendrijs siedział teraz przy ognisku z butelką

whisky na kolanach. Nie dziwiło go już niezwykle zachowanie naukowców, jego umysł bujał w oparach alkoholu i postkolonialnej melancholii, w których

znajdował ucieczkę każdego wieczoru.

Ken zapytał go, czy ma w samolocie jakieś szczotki. Pilot odparł, że w kosmetyczce, którą trzyma pod fotelem, jest pędzel do golenia i brzytwa. Ken może je sobie pożyczyć, jeśli chce. Ken podziękował, wspiął się do kabiny, znalazł kosmetyczkę, zeskoczył na ziemię i pognał z pędzlem i brzytwą na miejsce, gdzie Ngili maczetą usuwał ze skamieniałości cienkie warstewki ziemi, która odchodziła jak piasek czy popiół.

Ken zeskrobywał brzytwą resztki gleby z wydobytych na

powierzchnię  
kości i omiatał je pędzlem do golenia. Ngili odsłonił już kilka kręgów oraz  
kości obojczyka. Zazwyczaj bardzo trudno było uzyskać je w postaci  
nietkniętej — drobne i delikatne, łatwo ulegały zmiążdzeniu podczas  
rozbijania

młotkami geologicznymi warstw brekcji, która najczęściej otaczała skamieniałości. Brekcja, mieszanina żwiru i wapienia, stanowiła naturalny cement.

Po obojczykach ukazały się żebra, połamane i pokruszone, niemniej jednak obecne.

Maczeta trafiła na twardszą dolną warstwę i Ken stwierdził, że na tym

zakończy pracę tego wieczoru. Nie chciał ryzykować uszkodzenia skamieniałości, odkopując ją przy świetle latarki.

Niebo wokół nich stało się już atramentowoniebieskie. Jak się wyraził

masajski poeta, noc wypływała gwiazdy do czary niebios.

— Gdyby Hendrijsk pożyczył nam plandekę, moglibyśmy osłonić pagórek

i ułożyć tuż obok krzyż z kamieni. Wrócilibyśmy tu z zezwoleniem na prowadzenie wykopalisk i z zespołem roboczym... — powiedział Ngili, dygocząc z emocji i narastającego wieczornego chłodu.

Ken aż podskoczył. — I mielibyśmy pozostawić nasze znalezisko odsłonięte? Żeby je zniszczyły zwierzęta lub zabrał... jakiś przechodzący facet?

— Jaki znów facet? Nikt tu nie przychodzi, nawet kłusownicy. — Ngili

uniósł zapyłoną maczetę, której ostrze już się zaczynało tępić. — Ken, nie

damy rady wyrwać tego wszystkiego zaimprovizowanymi narzędziami.

— ■ Czemu nie? Patrz, ileśmy już wydobyli.

— Ale nadal potrzebujemy zgody na prowadzenie wykopalisk!

Przepisy dotyczące wydobywnia z ziemi starożytności, ostatnio zastrzone,

wymagały legalnego zezwolenia, wydawanego przez mieszaną komisję złożoną

z przedstawicieli wydziału paleontologii uniwersytetu i rządowej Rady do

spraw Starożytności. Jego otrzymanie mogło trwać parę miesięcy, zwłaszcza

że opiekun naukowy Kena i Ngilego, paleontolog profesor Randall Philips,

wyjeżdżał w najbliższych dniach z Nairobi na Uniwersytet Kalifornijski w Davis, udając się na roczny urlop naukowy. Nie starczy im czasu na napisanie programu prac, przekazanie go Randallowi i czekanie, aż przedstawi

go komisji. Zamiast tego będą musieli załatwić zezwolenie u Cyrila Andersona,

szefa wydziału i współkustosza uniwersyteckiego muzeum skamieniałości.

A ten mógł im go w ogóle nie wydać, ponieważ materiały terenowe zebrane

zostały tak prymitywną metodą.

— Wiesz, jakim Cyril jest pedantem w kwestiach proceduralnych

—

zakończył swe rozumowanie Ngili. — Gdyby się dowiedział, jak tu pracowaliśmy, starymi, brudnymi narzędziami i praktycznie w ciemności, złożyłby

na nas raport do komisji. i

— J. załatwił zezwolenie dla siebie — dodał Ken z nietypową dla niego

zawziętością. — Mam inny plan. Rozejrzyj się — zachęcił przyjaciela,

wskazując kolistym ruchem ręki nieregularny obszar pokryty pagórkami

podobnymi do tego, który rozkopywali. — Większość z tych garbów może

kryć w sobie kości. Może to być złożo skamieniałości równie bogate jak

Olduvai w Tanzanii czy Afar w Etiopii. Stopień erozji jest bardzo jednorodny,

więc skamieniałości mogą występować tuż pod powierzchnią, a ponadto

miejsce jest odizolowane, idealne dla stabilnej i samowystarczalnej populacji

australopiteków. Jak rozległa jest według ciebie ta równina?

— Zobaczymy.

Ngili wyjął mapę geologiczną, rozłożył ją i przy świetle latarki kalkulował

odległości, odmierzając je na mapie zapyłonym kciukiem i palcem wskazują-

cym. — Na południe mamy ponad sto mil do granicy tanzańskiej. Na zachód

musi być około stu dwudziestu do najbliższych wiosek nad jeziorem...

Ken pochylił się nad mapą, śledząc zapyłone palce Ngilego i tańczący

krąg światła latarki. Leżące daleko na zachodzie jezioro to Jezioro Wiktorii.

Mogli zobaczyć na mapie, dlaczego człowiek nie opanował tych terenów,

dlatego równina nie przyciągała eksploratorów czy osadników. Poza dziką

przyrodą nie występowały na niej żadne bogactwa naturalne. I była zewsząd

zamknięta. Zalesiony masyw Mau odcinał jedną stronę, przeraźliwie wy-

schnięta Dolina Rowu — drugą, a leżąca daleko na południu granica

z Tanzanią — trzecią. Choć granica ta stanowiła jedynie wyimaginowaną

linię na mapie, rejon przygraniczny wyznaczały: odstręczający upał i puste

niziny.

Brzegi jeziora, jedyny zamieszkały rejon w okolicy, zasiedlali rybacy,

którzy woleli trzymać się wody i łowić ryby.

Dolina Rowu, którą Ken i Ngili oglądali z samolotu, prezentowała się jak

paskudna, źle zrosnięta blizna. Żadne drogi nie przecinały tego rejonu, ale

zapewne dałoby się go przebyć ciężarówkami terenowymi.

— Jest tu przynajmniej pięć tysięcy mil kwadratowych nie zbadanego

terenu — stwierdził Ngili — a stoimy w samym jego środku.

— Nieźle warunki do życia, co? — rzucił Ken.

Zamilkli odurzeni atmosferą tego miejsca. Ken rozkoszował się wrażeniem,

że znajduje się w punkcie, gdzie rozpoczęła się historia człowieka. Usiłował

sobie wyobrazić, że poza nimi dwoma nie pozostało nic — żadnych ludzi; że

poza Aberdares, wschodnią ścianą Rowu, nie ma Nairobi, gigantycznego

wielkomiejskiego mrowiska, gdzie tłoczyły się trzy miliony ludzi o zwich-

niętym życiu; nie ma wojny domowej szalejącej po drugiej stronie Jeziora Wiktorii, w Ruandzie; ani kolumn wygłodzonych uchodźców wędrujących błotnistymi drogami do niegościnnych państw ościennych. Pozostało tylko to miejsce, on i jego przyjaciel.

Potem przypomniał sobie o samolocie, pilocie i celu ich przybycia. Znów stał się praktycznym i pełnym energii młodym człowiekiem. — Oto mój plan.

Zabieramy teraz skamieniałość oraz parę próbek gleby i oddajemy Randallowi, żeby zabrał je do laboratorium w Davis. Przekaze je Aaronowi Levinsonowi. —

Aaron Levinson był światowym ekspertem w dziedzinie datowania skamieniałości metodą potas-argon. — Levinson „wypieka” je w swojej maszynie i poświadcza ich starożytny wiek. Randall przedstawia znalezisko społeczności międzynarodowej. Otrzymamy granty i poparcie uczonych, którzy mogą wyrugować Cyrila Andersona.

Ken przypatrywał się pagórkom zerodowanej ziemi z takim żarem

w oczach, że Ngili klepnął go przyjaźnie po ramieniu, mówiąc: —: To świetny plan. Trzeba tylko, żeby to okazało się naprawdę stare. — Wskazał skamieniałość.

— Spójrz na kształt czaszki! — przekonywał gorąco Ken. — To klasyczny *Australopithecus robustus*, przynajmniej sprzed dwóch milionów lat, może nawet trzech!

Ngili zgodził się co do kształtu. To podręcznikowy *Australopithecus robustus*. I w dodatku ma niemal dwudziestokrotnie więcej kości w porównaniu z fragmentem czaszki australopiteka, który Ken kupił ostatnio w nairobijskim sklepie znanym jako „Zhang Chen — Ziola i Skamieniałości”.

Zhang Chen był urodzonym w Kenii Chińczykiem, sprzedającym ziola i „kości smoka” — stare kości małpie i ludzkie, zażywane, po zmieleniu, jako środek przeciw impotencji.

— Mając wszystkie tutejsze „kości smoka” — zachichotał Ngili — moglibyśmy zaludnić całą sawannę.

Ken się uśmiechnął. Już parokrotnie w dziejach poszukiwania przodków człowieka „kości smoka” naprowadziły uczonych na ślad zadziwiających odkryć. W 1899 roku K. A. Haberer, niemiecki naturalista podróżujący przez Chiny, zauważył w wiejskiej aptece całą kolekcję ludzkich zębów, fragmentów czaszek, żeber i kości kolanowych. Stanowiły, jak się zaklinał aptekarz, gwarantowany lek przeciw impotencji, kamieniom żółciowym, dolegliwościom wątroby, a nawet malarii. Haberer wykupił w sklepie praktycznie cały zapas. Zakup ten doprowadził do odnalezienia stanowiska zawierającego jedno z najsłynniejszych ludzkich skamieniałości, szczątki *Sinanthropus pekinensis*, „człowieka pekińskiego”.

Zhang Chen sprzedawał ziola mieszkańcom Nairobi, a zmielone małpie kości lub rogi nosorożca klientom z Hongkongu i Singapuru. Te ostatnie pochodziły oczywiście od zwierząt zastrzelonych nielegalnie w parkach dzikiej zwierzyny. Chińczyk sprzedawał też skamieniałe mięczaki i ryby, z których rzeczywistej wartości nie zdawał sobie sprawy. Wśród jego klienteli było kilku studentów nauk przyrodniczych oraz paru ekscentryków pragnących



skorzystać z okazji.

Jednak Zhang zażądał od Kena za tę czaszkę nader wygórowanej ceny, utrzymując jednocześnie, że nie ma pojęcia, gdzie ją znaleziono. Ken i Ngili

poprosili Randalla Phillipsa, by ją datował, ale ten roześmiał się tylko. Czaszka przechowywana w słoju w sklepie chińskiego handlarza była zbyt

zwietrzała i zanieczyszczona, by dało się zastosować testy datujące. Nie miało

znaczenia, że posiada idealny profil australopiteka.

— Działajmy według twego planu — rzekł Ngili — chociaż wszyscy

będą pytać, dlaczego nie testowaliśmy naszego znaleziska w Nairobi.

Laboratorium uniwersyteckie dostało akurat całkiem nowe urządzenie do

testów metodą potas-argon. Bawi się nim Corinne Gramm, ta milutka blond

palinolog. (Palinologiem nazywa się specjalistę od skamieniałych pyłków

kwiatowych.)

— Tak, ale ta milutka blond palinolog jest teraz żoną Cyrila Andersona.

Ken pomyślał o Corinne Gramm, która wraz z nim i Ngilim uczęszczała na zajęcia Cyrila z ewolucji człowieka. Pamiętał jej ręce pracujące przy pierwszych próbkach, jakie przyniósł do laboratorium jako student. Zręczne, atrakcyjne ręce, poplamione kwasami laboratoryjnymi. Miała pięć stóp i parę cali wzrostu, szare oczy. Nie odznaczała się uderzającą urodą, jednak czystość rysów i prostolinijne zachowanie czyniły z niej atrakcyjną dziewczynę.

Po zakończeniu studiów Corinne wyszła za Andersona, starszego od niej

przynajmniej o trzydzieści lat. Ich małżeństwo stało się przedmiotem ploteczek w środowisku naukowym. Paleontologia to dyscyplina, w której panuje ostra konkurencja. Zbyt mało ciekawych szczątków wydobywa się z ziemi, toteż początkujący paleontolodzy przechodzili prawdziwe piekło, załatwiając fundusze na swoje programy i zdobywając pozycję naukową. Żółtodziób, który wybił się, poświęcając naukę gwiazdę, zyskiwał sobie z miejsca niechęć wszystkich.

Co do Cyrila Andersona, to wsławił się tym, że przejmował cudze programy, odsuwając na bok odkrywców, zwłaszcza jeśli byli młodzi, i wiążąc

znalezisko z jedną ze swoich własnych teorii. Zwykle — zanim jeszcze usunięto pył z nowo odkrytej czaszki — Cyril, bez względu na to, czy to on

ją znalazł, czy nie, opowiadał już w telewizji o znaczeniu odkrycia.

— Masz rację. Niedobrze, że Cyril to Cyril — stwierdził Ngili.

Wrócili do samolotu, który Hendrijs przymocował linami do najbliższych i najgęstszych ciernistych krzewów.

Sam pilot siedział niczym orientalny mędrzec, tyle że jego medytacja była jedynie otepieniem alkoholowym. Podeszli już całkiem blisko, kiedy przechylił

się i przewrócił na bok, a butelka whisky ześliznęła mu się z kolan. Ngili skoczył jak lampart, nie dopuszczając, by alkohol wylał się na ziemię sawanny.

— Dobra robota — zażartował Ken. — Za taki dobry uczynek stary jastrząb powinien dać ci zniżkę.

— Nie martw się o pieniądze — odparł Ngili. — *Urn'tu* się dołoży.

Słowem *um'tu*, znaczącym w języku suahili „człowiek”, Ngili i jego siostra Yinka określali swego ojca. I tak brzmiała zazwyczaj odpowiedź Ngilego w kwestii pieniędzy: „Nie martw się, *um'tu* się dołoży” — w wypadku

gdy jemu lub przyjacielowi zabrakło funduszy, gdyż Ngiamenowie to ludzie bogaci. W dodatku był to ostatni rok, kiedy Ngili bawił się w naukowca. Ojciec rodziny, Jakub Ngiamena, przeznaczył go już do kariery rządowej, być może dyplomatycznej.

Ken nie wyobrażał sobie, by Ngili mógł rzucić geologię. Ale byli w Afryce, gdzie zobowiązania wobec plemienia i rodziny brały górę nad osobistymi upodobaniami. Ngili, wykształcony w Cambridge, mówiący po angielsku lepiej od Anglika, wytworny i elegancki, mógłby niebawem zacząć reprezentować swój kraj na forum międzynarodowym, parując w dni świąt

narodowych w koronie z piór albo w czapce z lamparciej skóry. Być może.

Trudno było przewidzieć przyszłość. Tymczasem obaj czerpali ze swej przyjaźni nie tylko przyjemność, ale i korzyści. Ken miał do dyspozycji znajomości i pomoc, z jakich korzystało w Kenii niewielu cudzoziemców.

A Ngili zyskał w Kenie towarzysza rozmów, który nigdy nie oceniłby go jako

niewiernego własnym korzeniom.

Żaden z nich nie jadł nic od lunchu, a w samolocie nie mieli dodatkowego

jedzenia. Ngili, któremu wyraźnie burczało w brzuchu, odszukał plastikową

torbę po kanapkach, ale nic w niej nie znalazł do jedzenia. Pozostały tylko

rozdeptane na podłodze krakersy. Ngili oparł się przypadkiem o tablicę rozdzielczą, unosząc ją do góry. W schowku, pod spodem, spostrzegł kilka

paczek krakersów, dwie pozostałe coile i dwie puszki hawajskich ananasów

w plasterkach. Hendrijks umieścił je przezornie poza zasięgiem wzroku.

— Cóż za chomik z naszego wielkiego pilota — parsknął.

Niech mu tam, dobrze się dziś spisał.

— Nie spisał się dobrze, kiedy przyszło do dzielenia żywności. —

W oczach Ngilego malowała się wzdarda dziecka społeczności plemiennej,

któremu do głowy by nie przyszło chować żywność przed innymi.

— No to zjedz mu krakersy — powiedział Ken. Czuł lekki ból głowy,

ale nie był jeszcze naprawdę głodny.

— Nie — odparł Ngili. — Moi współplemieńcy całymi dniami obywali

się bez jedzenia. Nie umrę, jak się trochę przegłodzę. — Otworzył butelkę

coli i wypił, głośno gulgocząc. Ken powstrzymał się od komentarza na temat

oddziaływania kofeiny i cukru na pozbawiony pożywienia organizm.

Mieli pojemnik oczyszczonej wody i Ken napił się trochę. Potem wynieśli

z samolotu koce i zalatującą benzyną plandekę, żeby przygotować postanie.

Ken przykrył kocem Hendrijksa, który chrapał obrócony na wznak.

Ogień płonął jeszcze z trzaskiem. Ken miał wrażenie, że głowa

trzaska

mu w tym samym rytmie. Zaczął rozdzielać przyniesione okrycia.  
Ngili

spozrzegł to i zapytał, co u diabła robi.

— Taki przekopany pagórek może zainteresować jakąś ryjówkę —  
wyjaśnił Amerykanin. — Albo sowa może usadowić się na czaszce.

Wcale

by mi się to nie spodobało.

— Zamarzniesz, idioto. Śpij tutaj, bo kiedy ogień wygaśnie,  
będziemy

musieli ogrzewać się własnymi ciałami.

— Jeśli zrobi się za zimno, wrócę.

Już nieraz mówiłem, że jesteś szalony.

— Wiem. Do zobaczenia rano na stanowisku.

# 3

**K**en przykrył ostrożnie plandeką odsłoniętą skamieniałość, po czym, zawinąwszy się w koc, ułożył się obok, przekonany, że nigdy nie zaśnie.

Praca przy skamieniałym szkielecie oderwała jego myśli od śladów stóp, lecz teraz przypomniał sobie te odciski, tworzące na powierzchni odnogi niemal regularny okrąg. Zupełnie jakby jacyś hominidzi chodzili tam przed dwoma milionami lat w koło, z jakiegoś, im tylko znanego, powodu.

Dlaczego w koło?

Jeśli były to australopiteki, problem stawał się jeszcze bardziej frapujący.

Jedyny dotychczasowy przypadek odnalezienia takich śladów to odkrycie

dokonane w Laetoli w Tanzanii. W 1976 roku Mary Leakey wprawiła świat

w zdumienie, odkrywając dwa równoległe łańcuszki odcisków stóp hominidów.

Para wczesnych ludzi — jeden na pewno dorosły, drugi będący zapewne

dzieckiem — przeszła po cienkiej warstwie popiołu wulkanicznego, dzięki

czemu ich ślady zachowały się na zawsze. Szli, ponad trzy miliony lat temu,

mając stopy niemal takie same jak człowiek współczesny — tylko palce dłuższe, a paluch lekko odwiedziony i skierowany na zewnątrz.

Dwoje praludzi z Laetoli posuwało się niemal po linii prostej. Zmierzało

ku jakiemuś celowi, może szukali pożywienia lub miejsca na nocleg, albo też

uchodzili przed niebezpieczeństwem. Bardzo prawdopodobne, że obawiali się

wulkanu, którego popiół, wyrzucony w czasie erupcji, zachował ich

ślady.

Jeśli praludzie, którzy zostawili odciski na odnodze górskiej, należeli do tej samej rasy, sposób i cel ich działań stawał się dla Kena sprawą jeszcze bardziej pasjonującą i tajemniczą.

Dlaczego w koło?

Nie wiedział. Ale na podniecenie z dokonania odkrycia składały się zawsze dwa elementy: samo znalezisko i proces stopniowego rozszyfrowywania jego znaczenia.

Nie mógł wprost uwierzyć, że on, Ken Lauder z Oakland w stanie Kalifornia, który przyjechał po raz pierwszy do Afryki z Korpusem Pokoju,

studiował paleoantropologię na Uniwersytecie Kenijskim, zarabiając na życie jako naganiacz zwierzyny, przewodnik na safari i barman w nairobijskim hotelu „Naivasha”, brał udział w ekspedycjach badawczych jako kierowca ciężarówki i zdobył swój stopień naukowy w czasie nieludsko wyczerpujących wykopalisk, kiedy inni studenci padali z nóg na skutek dyzenterii i udarów serca — słowem, właśnie on sam, którego znał aż za dobrze, dokonał dwóch odkryć w ciągu jednego dnia.

Jedno z nich, skamieniałość, miało istotną wartość naukową.

Drugiego nie chciał nawet rozważać zbyt szczegółowo. Rozpalało jego wyobraźnię. Kolejny łańcuszek śladów hominida, drugie Laetoli? Nie, nie, to niemożliwe. Przypadek „zespołu Duboisa”, jak mawiał Randall Phillips, przestrzegając studentów zbyt pewnych wartości swego odkrycia. Eugene Dubois, odkrywca „człowieka jawańskiego”, jeszcze zanim wylądował na Jawie w 1891 roku, był święcie przekonany, że to on — i nikt inny — natrafił na pierwsze „brakujące ogniwo”. To była wiara, lubił mawiać Randall, a nie metody naukowe.

Jednak wydawało się, że w tej dziedzinie wiara jest niemal tak potrzebna, jak umiejętności fachowe.

Ken był całkiem pewien, że nie powinien przedstawiać swego znaleziska Cyrilowi Andersonowi. A mimo to czuł się zawiedziony. Cyril stanowił niemal instytucję, i to nie tylko dzięki osiągnięciom akademickim; w rzeczywistości osiągnięcia akademickie tylko w niewielkim stopniu składały się na aurę, którą roztaczał wokół siebie. Cyril pracował z Louistem Leakeyem, ojcem nowoczesnej paleoantropologii. We wczesnej młodości pracował jako asystent Raymonda Darta, który jako pierwszy odnalazł szczątki australopiteka i ukuł tę nazwę gatunkową. Dart wysunął też jako pierwszy hipotezę, że kolebką ludzkości jest Afryka. Propozycja ta wywołała burzę naukowych protestów. Po trzykroć nie, przodek naszej rasy nie mógł pochodzić z Afryki! Dart znalazł tylko jakieś boczne odgałęzienie prowadzące do szympansa,



goryla albo pawiana!

Minęło z górą pół wieku i Afrykę uznano za kolebkę ludzkości. Przy tej okazji Cyril stał się symbolem ducha tamtego pionierskiego pokolenia. Blask

Leakeya i Darta, odbity przez ich następcę, stworzył supergwiazdę. Super-gwiazdorstwo przełożyło się na zaszczyty akademickie, lukratywne honoraria za publikacje książkowe i pozycję współkustosza uniwersyteckiego muzeum skamieniałości.

Muzeum było zdumiewającym miejscem. W podziemiach gmachu mieszczącego wydział paleontologii, na końcu korytarza odchodzącego na prawo od tego, który prowadził do laboratorium (Ken znów sobie przypomniał, że kieruje nim teraz Corinne), znajdowała się konstrukcja przypominająca schron o stalowych drzwiach, solidnych niczym w nowojorskim banku. Była to twierdza, gdzie w zaopatrzonych w etykiety aluminiowych pudłach przechowywano najśłynniejsze w świecie kości hominidów. Spoczywały w małych metalowych trumnach, na warstwie płótna i juty, kontrolowane przez kamery

oraz kilka termo- i higrometrów — kilka, ażeby warunki atmosferyczne, panujące wewnątrz, nie uległy przypadkowej zmianie wskutek awarii pojedynczego instrumentu.

Ken powrócił myślą do tego legendarnego przybytku. Zgromadzono tam szczątki wczesnych człowiekowatych, ich sukcesja przypominała ciąg przełomów technologicznych, chociaż w tym wypadku technologii dostarczał układ rozrodczy człowieka, a linię produkcyjną stanowiła surowa prehistoryczna sawanna, której dalszym badaniom chciał się poświęcić Ken. Znajdowały w tym podziemiu kości i czaszki *Homo habilis*, twórcy narzędzi, i wczesnego *Homo sapiens*, człowieka myślącego. I mnóstwo wcześniejszych modeli australopiteków, małpoludów, tych o drobniejszych kościach, nazywanych smukłymi, i tych masywniejszych, znanych jako krzepcy. Byli jeszcze tak bliscy małpom człekokształtnym, że nazywano ich niegdyś „brakującymi ogniwami”.

Obecnie, kiedy znaleziono już tak wiele małpoludów, tak zwane brakujące ogniwa łańcucha były dłuższe niż wszystkie inne, a pomiędzy zwykłą małpą człekokształtną a w pełni rozwiniętym człowiekiem występował intrygujący stopień pośredni, którego tajemnica zafascynowała Kena. Jeśli znaleziona przez niego skamieniałość rzeczywiście pochodziła sprzed dwóch milionów lat, mogła rzucić jakieś światło na tę zagadkę.

Przypomniał sobie, że Corinne miała swobodny dostęp do rzeczy, których reszta świata nie mogła nawet zobaczyć. Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć

dziesiątych procenta ludzkości nigdy nie będzie mieć okazji zobaczenia swoich najdalszych przodków. Ale jej najprawdopodobniej wolno było oglądać klejnoty koronne ludzkiej ewolucji, kiedy tylko chciała. Jak Leakey i Dart udzielili cząstkę swej aury Cyrilowi, tak teraz on udzielał jej swojej żonie.

Nie dało się zaprzeczyć, że Cyril to osobowość. Był urodzonym w Kenii

Anglikiem, potężnie zbudowanym, siwowłosym, o przygarbionych ramionach.

Mówił w sposób afektowany, ale dzięki cudownie bogatej modulacji głosu

afektacja ta wydawała się czarująca, a nie komiczna. Cyril wyśpiewywał swoje wykłady. Nosił kraciaste marynarki, wykrochmalone koszule i klubowe krawaty, a kiedy w cechującym się łagodnym klimatem Nairobi zaczynały padać deszcze, chodził po kampusie pod czarnym wiktoriańskim parasolem.

Jego gabinet w gmachu paleontologii — podobnie jak on sam — był

ogromny, elegancki i pełen pamiątek jego historycznych przyjaźni. Biurko

przypominało stół laboratoryjny, tyle że stojące na nim instrumenty nie nosiły

śladów użytkowania, lecz lśniły czystością. Jeden z nich, sito do płukania

próbek, wyraźnie nie służył celom praktycznym — wykonany był bowiem ze

złota i stanowił dar od korporacji Mitsubishi, jednego ze sponsorów dokumen-

talnego filmu BBC, do którego komentarz przygotowywał Anderson.

— Cyril to doskonała gwiazda dla popularnego *show* „O pochodzeniu

człowieka” — scharakteryzował go kiedyś Kenowi Randall Phillips. —

Właściwy akcent, właściwe skojarzenia i mnóstwo ślizgania się. W jednym

zdaniu prześlizguje się z kambru do czasów dzisiejszych. W następnym prześlizguje się z powrotem do kambru. Reprezentujemy naukę, w, której

występuje niedobór faktów i nadmiar ślizgania się. Cyril ślizga się tak bardzo, że nie dociera do żadnych faktów. Ale ma swój *image* jako „filozof człowieka”. Ludzie to lubią.

— Wydajesz się zazdrosny — odparł Ken. Mógł sobie pozwolić na takie odezwanie, gdyż Randall ofiarował mu przyjaźń, ignorując różnicę wieku i osiągnięć akademickich.  
— Jestem zazdrosny — przyznał tamten. — Ostatnie trzydzieści lat życia poświęciłem nauce, a Cyril wykorzystał je dla osiągnięcia własnego sukcesu. Jak sądzisz, kto tu się lepiej bawił?

Początkowo Ken dał się zafascynować takiemu wizerunkowi Cyrila. Po raz pierwszy zetknął się z nim w 1985 roku w Nowym Jorku, kiedy kilka najcenniejszych skamieniałości świata, z których każdą ubezpieczono na pół miliona dolarów, przywieziono do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej na wystawę nazwaną „Przodkowie. Trzy miliony lat ludzkości”.

Był wtedy zimny wiosenny dzień; rzęsisty deszcz padał na tłum, który oblegał muzeum, rozlewając się na Central Park West i tamując ruch uliczny. Ściśnięty w tym tłumie, stał siedemnastoletni Ken. Dzień wcześniej przyleciał samotnie do Nowego Jorku, kupiwszy bilet turystyczny za zarobione w czasie wakacji pieniądze, aby zobaczyć wystawę „Przodkowie”. Swą karierę paleontologa amatora rozpoczął trzy lata wcześniej na plażach północnej Kalifornii i poszukując odcisków skamieniałego planktonu w skałach wapiennych.

A teraz patrzył, jak Louis Leakey oraz Cyril Anderson wchodzą po schodach muzeum w towarzystwie burmistrza Nowego Jorku. Leakey uśmiechnął się do tłumy, przelotnie, ale ciepło, jak sławny człowiek, który zachował prostotę serca. Idący krok za nim Anderson szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu w stronę reporterów błyskających fleszami aparatów. Jego włosy nie zmieniły jeszcze barwy z siwej na białą. Miał piękne białe ręce, w których niósł czarny parasol i egzemplarz „New York Timesa” z jego zdjęciem na całą pierwszą stronę. Nagłówek brzmiał:

Na oczach trwającego w uniesieniu Kena grupka znakomitości zniknęła wewnątrz gmachu, by dokonać otwarcia wystawy kości przodków wszystkich cisanących się na ulicy ludzi.

Owego wieczoru Ken siedział w tanim, niemal obskurnym hoteliku na

Czterdziestej ulicy, czytając powtórnie relację „Timesa” o Andersonie. Potem oglądał go w telewizji. Leakey i inni uczeni wypowiadali się wstrzemięźliwie, lecz Anderson pełnym głosem zadawał pytania nurtujące większość laików:

Czy dzisiejsi ludzie są zasadniczo tacy sami jak przed trzema milionami lat?

Dokąd zmierza ludzkość? Czy jest już „wyładowana”? Czy też pełna energii

i zdolną do przemiany? Jego odpowiedzi nie były naukowe, lecz wizjonerskie

i poetyckie. Lecz wszyscy się nimi zachwycali, i Ken również.  
Anderson

rozbudził w nim marzenia o braterstwie ludzkim i o Afryce.

Dwa dni później, po dwóch kolejnych pielgrzymkach na wystawę,  
Ken zajął

swe miejsce w klasie turystycznej samolotu, który zawiózł go z  
powrotem do

Oakland. W głowie dojrzywał mu plan, który miał się stać punktem  
zwrotnym

w jego życiu, tak jak wycieczka do Nowego Jorku. Plan wyjazdu do  
Afryki.

Nie bardzo mógł podzielić się nim z rodziną. Mieszkał z matką, nie  
znał

natomiast miejsca pobytu ojca. Rodzice poznali się w San Francisco  
jako

„dzieci-kwiaty” i splodzili go w przerwie między kolejnymi skrętami  
marihuany. Cięża przywołała ich do rzeczywistości. Przeprowadzili się  
do

Oakland. Ojciec podjął pracę na poczcie. Pewnego dnia, kiedy chłopak  
miał

pięć lat, ojciec wyszedł z domu do pracy i nigdy już o nim nie  
usłyszano. Matka

wychowywała Kena, utrzymując się z szycia i sprzedaży sukienek z  
natural-

nych tkanin. Mówiła niewiele. Czasem nie odzywała się całymi dniami.

Tak więc chłopak wyrastał w całkowitej swobodzie. Któż mógł  
zabronić

mu jechać do Afryki? Wstąpienie do Korpusu Pokoju stanowiło równie  
dobry

sposób, jak każdy inny.

Przyjechawszy do Nairobi, stwierdził, że Anderson uwikłany jest w  
aka-

demickie intrygi. Człowiekiem, który stworzył wydział paleontologii,  
był

Randall Phillips. I to on miał zostać kustoszem muzeum skamieniałości.

Anderson zabiegał o względy rządu kenijskiego, argumentując, że  
gdyby

mianowano go współkustoszem, dobrze reprezentowałby na zewnątrz  
interesy

młodego kraju. Randall nie mógłby oponować przeciwko dzieleniu z  
Ander-

sonem funkcji kustosza, gdyby tego ostatniego rekomendowało biuro  
premiera.

Nie lekceważy się polityków tej rangi.

Po stworzeniu stanowiska współkustosza Anderson zaczął stawiać  
Phillip-

sowi na drodze do uzyskania funkcji zarządzającego muzeum. Nadal  
kokietował

rząd, oferując swą sławę i koneksje dla łatwiejszego uzyskiwania  
kredytów

zagranicznych. A tak na marginesie zdawał się pytać, czy Phillips jest

najwspanialszym sztandarem, jakim można powiewać nie tylko nad muzeum,

lecz nad całym słynnym w świecie wydziałem paleontologii?

Całkiem niedawno Randall oznajmił, że zamierza udać się do Stanów na

roczny urlop naukowy, pierwszy, jaki spędzał poza Nairobi. Oznaczało to, że

Cyril z łatwością przejmie kontrolę nad wydziałem. Studenci uwielbiali jego

głos. Nigdy zaś nie lubili głosu Randalla. Randall wydawał się bezbarwny,

niecierpliwy i sarkastyczny. Nie był kapłanem przeszłości, wiodącym neofitów

ku cudownej inicjacji.

Reszta, jak zwykle, była historią.

„Dosyć” — pomyślał Ken. Oto tutaj, pośród dziewiczej przyrody, przeżywa na nowo wydziałowe wojny. „Zbyt długo kręciłeś się wokół Randalla Phillipsa — skarcił się w duchu ■— daj Caruso chwilę wytchnienia”.

Takie przewisko nadał Andersonowi Randall.

Trudno mu to przyszło i wiedział dlaczego. Anderson pozbawił go złudzeń na temat świata nauki. Jako student, Ken starał się dostać na listę podopiecznych profesora, ale było już na niej tylu chętnych, że musiał rozejrzeć się za innym opiekunem naukowym. Wybrał Randalla przez wzgląd na jego walory naukowe, nieświadom tego, jak ryzykowny podejmuje wybór. Zauważył, że od tego czasu trzymano się od niego na dystans — w bibliotece, na zajęciach, w laboratorium — i to w sposób, który mocno zabolął młodego entuzjastę. Anderson nie krył się z tym, kogo zalicza do „swoich” ludzi. Kiedy Ken złożył pracę magisterską, Anderson przejrzał ją i przekazał mu swoje uwagi, ledwie pół strony maszynopisu. Ich spotkanie trwało pięć minut.

Na szczęście Ken zdawał już sobie sprawę, że dla niego w nauce liczą się badania terenowe. Nawiązał odpowiednie znajomości, zaprzyjaźnił się z Ngilim i brał udział, po partyzancku, w niezależnych wykopaliskach. Anderson nie stawał mu na przeszkodzie w uzyskaniu stopnia naukowego — Ken był kimś zbyt mało liczącym się. Profesor nie wiedział, że zanim Corinne wyszła za niego, miała przelotny romans z Kenem, tuż po tym jak spotkali się po raz pierwszy w laboratorium.

Kiedy wszystko się skończyło po dwóch miesiącach tajemnych schadzek w mieszkaniu Kena — Corinne, choć bezpośrednio jako naukowiec, była niezwykle skryta jako kobieta — postanowili zachowywać się tak, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Kiedy poślubiła Andersona, Ken powiedział sobie, że nic go to nie obchodzi, że była dobrym palinologiem, Cyryl zaś miał jak zwykle szczęście.

Ken posiadał już stopień naukowy, zamierzał jednak zostać w Afryce, żeby uczyć się i stać się paleontologiem z prawdziwego zdarzenia. W tym celu musiał zdobyć doświadczenie, toteż znów poświęcił się pracy w terenie. Jeździł na różne egzotyczne wykopaliska, na przykład w Tilemsi na Saharze, gdzie ziemia — niczym na Księżycu — kruszyła się przy lada



dotknięciu,  
odsłaniając liczące trzysta milionów lat jaja krokodyli i żółwi, w które  
obfitowało niegdyś to morze śródlądowe. Pojechał do Oiduvai,  
zerodowanego  
nie tylko wskutek działania czasu, lecz również w wyniku mrówczej  
pracy  
dziesiątków naukowców, którzy tłoczyli się w tym rejonie bardziej  
przez  
wzgląd na jego sławę niż na bogactwo pokładów skamieniałości.  
Pracował  
ciężko, znosząc upał i zimno, odwodnienie i biegunkę, ukąszenia  
insektów  
i odparzenia pachwiny. Był nad Jeziorem Turkana. W Koobi Fora, w  
Krom-  
draai. We wszystkich legendarnych miejscach wykopalisk.

Czasem dostawał się tam, podejmując zajęcia kierowcy ciężarówki  
czy  
dostawcy prowiantu. Wślizgiwał się po zmroku albo przed Świtem,  
niekiedy  
przekupując miejscowych strażników. Zdołał jednak odwiedzić te  
miejsca,  
choć wiedział, że nie natrafi na żadne znaczące skamieniałości, gdyż  
miał  
zbyt mało czasu, a paleontologiczne „rodzynki” zostały już wydłubane.  
Ale  
liczyło się to, że był tam, obok gigantów. Obok gigantów przeszłości  
—  
skamielin; obok gigantów teraźniejszości — ich odkrywców.

Wyzbył się swego romantyzmu i czuł się z tym dobrze. Było to odświeżająco ostre doznanie, jak smak prawdy na języku.

Wciąż jednak Anderson budził w nim niemiłe uczucia, i to nie tylko dlatego, że pomógł mu pozbyć się złudzeń. „Dlaczego — zastanawiał się

Ken — człowiek taki musi być próżny, egotystyczny i małostkowy?" Nie miał po temu powodów, los obdarzył go wszystkim. Anderson mógł zostać bóstwem. Zamiast tego stał się politykiem.

Nie wiedział, kiedy zasnął ani jak długo spał. Obudziła go świadomość, że coś się w pobliżu porusza.

Ponad sawanną księżyc igrał z rzadkimi pierzastymi chmurami. Ken

usiadł i spojrzawszy na pagórek zauważył, że plandeka zsunęła się ze skamieniałości, zwiana bryzą albo strząśnięta wskutek osiadania ziemi. Odsłonięta czaszka zwrócona była w jego stronę. Oczodoły, ciemniejsze niż reszta ciemnej twarzy, patrzyły wprost na niego.

Wzdrygnął się z zimna. W myślach zwrócił się do czaszki: „Ghocz pewien

jestem, że czułaś zimno, chodząc w koło na tamtym bocznym grzbiecie, teraz nie musisz się martwić, że zmarzniesz. To jeden z przywilejów śmierci".

W ciszy, która wydawała się dziwnie wymowna, odsłonięta czaszka spoglądała na niego tak, jakby małpolud, do którego niegdyś należała, mógł

go słyszeć. „Przykro jej, że nie może odezwać się i wyjaśnić, dlaczego wraz

z krewniakami chodziła niegdyś w koło na tamtym jałowym grzbiecie w kształcie łapy. Australopiteki nie rozwinęły, niestety, języka mówionego".

Księżyc wynurzył się zza chmury. Oczodoły skamieniałości stały się

ciemniejsze, jakby wypełniały je prawdziwe oczy, natomiast intensywniejsze

teraz światło igrało na szczycie czaszki, lśniącej po oczyszczeniu. Magia nocy

czemuś sprawiła, że trudno było uwierzyć, iż czaszka ta, acz pozbawiona oczu

i mózgu, nie jest w jakiś sposób świadoma istnienia świata żywych, do którego znów powróciła.

Ken usłyszał nietoperza rozcinającego z furkotem skrzydeł powietrze.

Potem dobiegły go odgłosy drobnych stąpaniec. Odwrócił się i dostrzegł stadko

ryjówek długonosych. Gdyby nie ruchome, przypominające trąby pyszczki,

wyglądałyby zupełnie jak myszy. Przemierzały właśnie niewielką otwartą przestrzeń pomiędzy jedną kępą zarośli a drugą. Największa, zapewne matka, prowadziła gromadkę małych, trzymając ryjek przy ziemi. Ken ściągnął z siebie koc, wstał i — śledząc spojrzeniem ich ruchy — dostrzegł stojącego nieruchomo w krzakach złocistego szakala. Widział na tle liści żółte futro zwierzęcia czekającego, aż ryjówki podejną bliżej.

„Wolnego” — pomyślał Ken i pomacał pod kocem, szukając zabranej z samolotu latarki. Wystarczy, że ją zaświeci i szakal ucieknie. Znalazł latarkę, skierował w stronę zwierzęcia i wcisnął guzik.

Nie zapaliła się.

Pstryknął jeszcze raz. Na próżno. Zużyła się bateria.

„Świetnie, to w stylu Hendriksa" — pomyślał zirytowany tym, że nie może zapobiec małej tragedii. Pilot nigdy nie przejmował się drobnym sprzętem, troszczył się tylko o samolot.

Szakał skoczył wprzód, chwycił matkę ryjówkę, łamiąc jej kręgosłup z krótkim trzaskiem. Rozległ się śmiertelny pisk. Drapieżnik umknął ze zdobyczą w pysku, a małe ryjówki rozbiegły się na wszystkie strony.

Ken wsadził beużyteczną latarkę do kieszeni, narzucił na ramiona koc

i przeszedł się, dygocząc, wokół pagórka. W świetle przysłoniętego chmurami księżycy przyglądał się mrocznym ceniom przemierzającym rozległą sawannę.

Szczekały hieny i dzikie psy, dostrzegł też szereg krągłych stworzeń, przebiegających może ze dwieście jardów od niego. Przypominały ślizgający

się czarny naszyjnik. Domyślił się, że to dzikie świnię. Spotkanie całego stada

mogło być groźne, gdyż potrafiły w parę minut pozostawić z człowieka tylko

kości. Bez obawy, nie zaatakują go — uspokajał sam siebie. Wokół pełno

było dzikich zwierząt, ale żadne nie czuło dziś w nocy aż takiego głodu, by

poniżyć się do zjedzenia człowieka.

Rozum starał się zapanować nad strachem, ale ciało doświadczało go

wyraźnie. Członek skurczył się, a jądra, przyciągnięte skurczoną moszną bliżej

wątpliwej osłony ciała, wydawały się wielkości ziaren fasoli. Myśl, że ma strzec

tych starych kości kosztem, prawdopodobnie, swoich własnych, wydała mu się

naraz głupia. Spojrzał na samolot, najjaśniejszy obiekt na sawannie, który

zdawał się spoczywać, spięty linami, bardzo daleko. Rozważał, czy by nie

przejsć tam, ale nie mógł się zdecydować, niepewny, czy przemawia w nim głos

rozsądku, czy tylko przeczulenie spowodowane ciemnością i niesprawną latarką.

Odniosł wrażenie, że noc to wehikuł czasu, który katapultował go z powrotem w prehistorię. Kości, przy których stał, należały do jego współplemieńca, do kolegi, towarzysza łowów, który parę dni wcześniej jeszcze żył. Albo do kobiety, jego żony. Jakby był tamtym pozbawionym towarzysza czy żony, Ken odczuł całe brzemienie strachu.

Potem strach splótł się z dziwną fantazją. Tylne części nóg stały się cięższe,

a łydki jakby grubsze i krótsze. Jak to jest, kiedy dzieli się sawannę z dzikimi  
świniami i lwami, mając tylko cztery stopy wzrostu zamiast sześciu?  
Nie  
posiadając latarki, tylko wrażliwe na światło oczy australopiteka? I nie  
będąc  
wyposażonym przez naturę w środki obrony przed lwami i innymi  
drapieżnika-  
mi?

Wzdrygnął się. „Położę się — powiedział sobie — jest zimno, trzęsę się z zimna”. Obszedł niewielki wzgórek i stanął jak zelektryzowany, zbyt przerażony, by odczuwać własne przerażenie.

W stronę plandeki, która zsunęła się ze skamieniałości, stąpił lew. Młody samiec o sporej czarnej grzywie przybliżał się drobnymi krokami, nisko pochyłony, prawie przygarbiony. Głowę trzymał przy ziemi, węsząc paskudny zapach plandeki z miną, jaką przybierają lwy skonfundowane widokiem czegoś nieoczekiwanego. Wyglądał niemal pokornie, co oznaczało jedynie tymczasowe zawieszenie jego agresywnych instynktów.

Ken znieruchomiał i zacisnął zęby, żeby nie dzwoniły. Jednocześnie nie mógł się oprzeć wrażeniu czystej wizualnej przyjemności i podziwu dla płynnych kocich ruchów. Lew stapał z siłą i ufnością młodego drapieżnika.

Czyżby po raz pierwszy spotykał człowieka albo wykonane przezeń przedmioty?

Ken patrzył, jak zwierzę podchodzi do brzegu plandeki i zatrzymuje się, bijąc ogonem o boki. Lew opuścił nos bardzo nisko i wyciągnął łapę, badając dziwny obiekt kolistym ruchem pazurów, które zazgrzytały na nieprzemakalnej tkaninie plandeki. Następnie uniósł głowę i spostrzegł Kena.

Człowiek mógł zareagować tylko w jeden sposób — patrząc zwierzęciu prosto w oczy. Tak też uczynił, myśląc przy tym, że oczy naczelnych błyszczą w ciemności dużo słabiej od kocich, a to, iż nie został jeszcze rozszarpany, zawdzięcza zapewne swoim gruczołom potowym: smród człowieka musiał wydawać się lwu paskudny i odrażający.

Zwierzę pochyliło głowę, przybierając na powrót pozę kocięj skromności.

Z oczami utkwionymi w Kenie, zdawało się podawać całe ciało ku tyłowi, jakby siadało na zadzie.

Ken kaszlnął. Lew postawił ukryte wśród ciemnej grzywy zaokrąglone uszy, rozwarł szczęki, ryknął i dał susa prosto w stronę człowieka. Ten uniósł jedyny przedmiot, jaki mógł mu posłużyć za broń — latarkę.

„Nie — pomyślał boleśnie — to nie może się w ten sposób skończyć. To zbyt głupie.”

Zastanawiał się, czy będzie miał szansę przyżycia, jeśli uderzy z całej siły w koci pysk. Lew zmniejszył dzielący ich dystans. Szybko się to zakończy.

Ze zwykłego zdenerwowania Ken wcisnął palcem włącznik latarki. Nie spodziewał się niczego. Ale ostatni wypływ mocy z wyczerpanej baterii

zapalił żarówkę. Silny strumień światła zalał pysk skaczącego lwa.

Oślepię zwierzę wyskoczyło w górę, żeby zatrzymać się w biegu.

Z jego piersi dobył się raczej miauk niż ryk. Po nieudanym skoku, i chwilowo oślepiiony, drapieznik zwałił się z łomotem na ziemię.

To wystarczyło. Ken ruszył nie wiedząc kiedy i stwierdził, że wprawdzie wciąż stoi twarzą do lwa, ale dwadzieścia jardów dalej. Zwierzę podniosło się, odwróciło i odeszło, zdradzając zdenerwowanie jedynie ruchami ogona.

Światło latarki zamigotało i zgasło. Ken odetchnął swobodnie, jakby zdjęto mu z karku i piersi brzemię całej nocy.

Cofnął się do rozkopanego pagórka i pochylił bezwiednie, by naciągnąć plandekę na skamieniałość.

Następnie pospieszył do samolotu — bez paniki, ale i nie zwlekając ni chwili. Po drodze wciąż słyszał szmery nocy, liczne i różnorodne. Nie brak tu było zwierzyny łownej. Nie brakło też myśliwych. Skoro obecnie panowała tu taka aktywność, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądało to przed trzema milionami lat.

# 4

Pierwszą rzeczą, jaką Ken usłyszał po przebudzeniu, były szorstkie, przenikliwe okrzyki ptaka z buszu: „go-uar, go-uar!”

Po tym dźwięku zidentyfikował ptaka, zanim jeszcze otworzył oczy. Był to

szary turako, zwany popularnie ptakiem „odejdz” \*, pospolity na pustyniach

i w zaroślach akacjowych.

Usłyszał mocne, powtarzające się wezwania kilku ptaków, a po nich

suchy, krótki trzask: wystrzał z broni palnej. Podskoczył, przetaił gwałtownie

oczy i spojrzął na samolot, który wydawał się dziwnie przechylony. Zobaczył

Hendrijksa stojącego ze strzelbą myśliwską w rękach. Górna część kadłuba

wyglądała tak, jakby ulatywała do góry, trzepocząc i bijąc skrzydłami. Raki

przysiadły na kadłubie, a wystrzał pobudził je do lotu. Hendrijks obiegnął samolot ze strzelbą w ręku, zatrzymał się na nie zarośniętym terenie i wypalił

jeszcze parokrotnie. Nadbiegający od strony" sawanny Ngili wołał do pilota,

żeby przestał strzelać. Afrykanin wymachiwał maczetą — Ken zauważył, że

jej ostrze pozółkło już od porannego kopania, a koniec był wygięty.

Zastanawiał się, jak wcześniej wstał Ngili. Hendrijks odwrócił się, potknął

i przez nieuwagę wystrzelił kulę, która gwizdnęła tuż koło Ngilego. Ten uskoczył, po czym natarł z maczetą, z twarzą zamarłą od gniewu.

Ken rzucił się w ich stronę. Umysł miał jeszcze przyćmiony, ciało natomiast dygotało z napięcia; dzień zaczynał się źle, naprawdę źle.



Zdażył

w samą porę, zanim dwu rozwścieczonych samców natarło na siebie —  
stanać pomiędzy nimi i głosem wciąż jeszcze łamiącym się z  
niedospania

zapytał, co się, u diabła, dzieje.

— Spójrz na mój samolot! — Tyle tylko zdołał wydobyć z siebie

Hendrijs, bo w tej samej chwili dostrzegł parę znów kołujących  
ptaków.

Spróbował wycelować, ale Ngili szarpnął go za kołnier. Nieznośne  
ptaszyska

usiadły na samolocie i podjęły swoje ohydne: „odejdz! odejdz!”

\* „Odejdz”, po angielsku *go away*, zbliżone w wymowie do  
go-uar, stąd  
nazwa — przyp. tłum.

Ken przyjrzał się maszynie. Lewa goleń podwozia skurczyła się do połowy wysokości. Samolot przechylił się na jej stronę, końcem skrzydła prawie dotykając ziemi.

Zapytał, kiedy to się stało. Hendrijks warknął, że pewno w nocy, gdy

spali; sprężyny wewnątrz goleni, uszkodzone prawdopodobnie przy lądowaniu, załamały się. Wystrzelił do ptaków, sfrustrowany odkryciem uszkodzenia.

Teraz zobaczył maczetę w ręku Ngilego, a jej wygląd jeszcze bardziej go

rozraził. Ngiamena wyjaśnił, że użył jej do kopania. Hendrijks odkrzyknął, że

to jego maczeta i nie powinien był tego robić. Ngili przypomniał mu, że przecież wieczorem pozwolił im używać maczety, pędzła do golenia, a nawet

brzytwy. Na wzmiankę o brzytwie pilot aż podskoczył, znów gotów do walki.

Ken odciągnął przyjaciela, a następnie, chwyciwszy Hendrijksa za ramiona,

wbił wzrok w zaróżowioną twarz pilota. — Możesz wystartować na takim

podwoziu? — Afrykaner spojrział na opuszczone skrzydło i zgrzytnął zębami,

ale skinął głową. — Więc dlaczego nie weźmiesz się w garść i nie skończysz

mocować steru?

Hendrijks nagle odepchnął Kena z nieoczekiwaną u niego siłą.

— Zakładam na ster ostatnią kłamrę — wrzasnął — a potem zabieram

się stąd. Macie godzinę. Jak za godzinę nie będziecie w samolocie, odlatuję

bez was!

Wspiął się do kabiny, pozostawiając Kena i Ngilego stojących naprzeciw

siebie.

Ken wziął przyjaciela za ramię. — Nie martw się. Musi się wylądować.

To tylko kac i zdenerwowanie.

Ngili oddychał głęboko. — Musi się wylądować z nabitą strzelbą?

Wolałbym walkę na pięści. — Odwrócił się i ruszył w stronę sawanny, wołając przez ramję: — Chodź, znalazłem coś jeszcze! — Wydawał się bardzo ożywiony, choć twarz miał spiętą, a w żołądku burczało mu głośniejsz

niż poprzedniego wieczoru.

— Spójrz na tę gałąź — rzekł Ngili, pokazując kępę ciemnistych krzaków,

ściętą maczetą wczoraj wieczorem. Jedna z kolczastych gałęzi miała na końcu

bryłkę wyschłego błota wielkości jabłka.

Było to gniazdo mrówek. Ngili podniósł gałąź i poprowadził Kena parę

kroków dalej, do wyciętej maczeta w ziemi dziury o nieregularnym kształcie.

Obok leżała wydobyta z niej płyta starego wapienia. Położył gałąź tuż obok

próbki minerału.

Na wewnętrznej powierzchni kamienia widniał odcisnięty wyraźnie wzór

ciernistego krzewu. Te same sękate, powykręcane gałęzie, te same równoległe

do nich ciernie i nawet identyczne, nabite na końcu patyka gniazdo mrówek

wielkości jabłka. Zmineralizowane, skamieniałe.

Żywa roślina wyglądała identycznie jak ta, od której pochodziła.

— Co pan na to, profesorze Lauder? — zapytał Ngili tonem pełnym entuzjazmu.

— Fantastyczne. Już zrobiłeś ze mnie profesora?

— Oni powinni to zrobić, chociaż oczywiście tak się nie stanie.

Ngili przechadzał się energicznie tam i z powrotem obok roślinnej skamieliny. Był przystojny, nie ogolony, oczy miał przekrwione — w dziedzic-  
twie po masajskich przodkach i z niewyspania. — Ken, to najlepszy dowód na poparcie twojej teorii. Tutejsze środowisko naturalne nie zmieniło się od przynajmniej trzech milionów lat. — Opadł na kolana, pieszcząc zapyłonymi opuszkami palców kontury pradawnych kwiatów, ostrożnie, by nie uszkodzić ich zachowanych w całej delikatności kształtów. — Gdyby poziomy temperatur albo ilość opadów zmieniły się znacznie od czasów pliocenu, te kwiaty zniknęłyby albo uległy tyłu adaptacjom, że wyglądałyby niczym paproć przy kaktusie. A spójrz, są absolutnie identyczne: tamte dawne i te dzisiejsze.

Ken odchrząknął. — Naprawdę sądzisz, że to taki rozstrzygający dowód?

— To tylko jedna próbka. Bóg jeden wie, ile miejscowych traw i krzewów wygląda tak samo w postaci żywej i jako skamieliny. Ale co tak stabilizowało warunki klimatyczne?

— To! — rzucił Ken, wskazując ku górze. Ngili spojrzął na szczyty

Mau. Spowijały je rzadkie, mleczne opary. — Mau stabilizuje pogodę.

Zatrzymuje wilgoć. Bez wątpienia zdarzają się tu upalne, suche okresy, ale ta

mgła opada w postaci deszczu na szczyty, a chłodne, wilgotne powietrze

splywa ku równinie. Nie jest to może oczywiste, ale ta sawanna należy do

najbardziej wilgotnych w Afryce.

W takim razie... — Ngili wyciągnął swe chude ramiona Masaja w stronę otaczającego ich stepu. — Ken, to jest to, to żywy pliocen. A ty odgadłeś, że to tutaj.

— Dziękuję. — Ken czuł się poruszony, zażenowany i niewiarygodnie szczęśliwy. Kenijczyk opuścił ramiona, a Ken chwycił jego zapyłoną dłoń i potrząsnął nią.

— Dobry z ciebie przyjaciel, Ngili.

Dzięki. Mam nadzieję, że będę też dobrym geologiem.

— Jeśli ojciec ci pozwoli.

— Może zmięknie po takim znalezisku. Ken! — krzyknął Ngili. — Już

tylko na tej podstawie możemy dostać zezwolenie na wykopaliska, może

jakieś fundusze. Nie podlegająca zmianom ciągłość środowiska naturalnego.

— Mamy też skamieniałość — przypomniał Ken.

— Racja, a jeśli miednica i stopy tego osobnika wskazywać będą na

daleko posuniętą dwunożność — co świadczyłoby o tymt że ten pradawny

małpolud poruszał się w pozycji wyprostowanej — to mamy ich, mamy

dawnych ludzi w ich naturalnym środowisku! — Pochylił się gwałtownie, by

zbadać odcisk lwiej łapy. Obejrzał się na leżącą na ziemi pomarszczoną

plandekę, po czym się roześmiał. — Czy to właśnie przygnało cię w nocy

z powrotem do samolotu?

Ken skinął głową i opowiedział o spotkaniu z lwem.

— Idiota — stwierdził Ngili. — Mogłeś umrzeć przed zakończeniem

prac nad swoim wielkim odkryciem. — Przypomniało im to, że mają4 jeszcze

trochę do zrobienia. Chwycili zaimprovizowane narzędzia: Ngili maczetę, a Ken brzytwę.

— Pamiętaj, miednica mówi nam wszystko — zażartował Ken. — A jesteśmy w erze miednicy.

Sposób, w jaki skamieniałe kości udowe łączą się ze stawami miednicy,

świadczy o tym, czy dany osobnik poruszał się regularnie w pozycji wyprostowanej, szerokość miednicy wskazuje zaś na jego pleć. Mówiąc o „erze miednicy” Ken nie do końca żartował, odniósł się bowiem do radykalnej zmiany poglądów naukowych dotyczących przyczyn, które wywoływały dwunożność przodków ludzi.

Naukowcy uważali tradycyjnie, że ludzie dopóty nie chodzili w pozycji

wyprostowanej, dopóki ich mózgi nie spęczniały średnio od pięciuset centymetrów sześciennych u australopiteka do około siedmiuset pięćdziesięciu

u *Homo habilis*, twórcy narzędzi. Sądzono, że pozycja pionowa była bezpośrednią konsekwencją powiększenia mózgu. Jednak w połowie lat siedemdziesiątych odkryto bardziej kompletne szkielety australopiteków, w tym

ślynną przodkinię człowieka, Lucy, której miednica Świadczyła o tym, że jej

właścicielka poruszała się na dwu nogach już przed z górą trzema milionami

lat, i to posiadając mózg o pojemności jedynie czterystu centymetrów sześciennych.

Odkrycia te, by tak rzec, postawiły na głowie teorię ewolucji. Skoro chodzenie w pozycji wyprostowanej możliwe było u osobników o mózgu nie

większym niż u małpy, oznaczało to, że coś innego skłoniło wczesnych ludzi

do skorzystania z zalet dwunożnej lokomocji i nieopadania już więcej na cztery łapy. Nikt jednak nie wiedział, co. Pewnych wskazówek dostarczały

skamieniałe szczątki, takie jak te, które Ken i Ngili wydobyli z ziemi.

Kenowi również zaczęło burczeć w brzuchu, powrócił też ból głowy.

Mimo to przystąpił do pracy, zeskrobując ziemię brzytwą Hendrijska.

Zastanawiał się, czy to znalezisko zapowiadało mu dalsze lata samotnej

pracy, czy też przeciwnie — większe szanse na regularne zarobki, małżeństwo

i posiadanie dzieci. Trudno powiedzieć, jako że w tym przypadku kryształową

kulą, wróżącą przyszłość, była ukryta w ziemi miednica małpoluda.

Zawierała informacje, które mogłyby okazać się niewiarygodnie fas-

cynujące, gdyby tylko udało się je rozszyfrować. Na etapie małpoluda w anatomii wczesnych człowiekowatych zaszły drastyczne zmiany. Nikt

nie  
wiedział dokładnie, jak i dlaczego do nich doszło, ale kiedy hominidzi  
stanęli  
na dwóch nogach, genitalia samic zostały ukryte pomiędzy udami i nie  
wisały już pod pośladkami, nabrzmiałe w okresie rui i rzucające się w  
oczy.  
Samce z kolei miały członki umieszczone z przodu, zupełnie odsłonięte,  
a przy tym większe i bardziej widoczne niż u innych ssaków. Na etapie  
małpoluda kość penisa zniknęła w tajemniczy sposób, a jego wielkość  
wzrosła  
czterokrotnie; erekcja zależała już wyłącznie od obfitego napływu krwi.  
W żyłach małpoluda krążyła ona znacznie szybciej niż u jakichkolwiek  
małp  
człekokształtnych, było jej też więcej; także u samic, u których  
krwawienia

zaczęły występować raz w miesiącu. Seks, wciąż jedna z bardziej tajemniczych funkcji życiowych, przeszedł fundamentalne zmiany w okresie przejściowym między małpą człekokształtną a współczesnym człowiekiem.

Ken pracował brzytwą przy tajemniczym znalezisku, czując, jak cienkie

ostrze zaczyna drzeć mu w dłoni, w miarę jak ziemia stawała się coraz twardsza. Raptem brzytwą zadygotała i pękła.

Ken spojrzął na sterczący z rączki kawałek stali. Zamknął złamaną brzytwę i schował do kieszeni, następnie rozejrzał się za innym narzędziem.

Odpiął pas, zdjął okrągłą mosiężną klamrę i użył jej do kopania.

— To brekcja — stwierdził Ngili, mając na myśli wiekowy cement z wapienia i żwiru. — Teraz cały czas uderzam w brekcję. Gość jest nią pokryty od pasa W dół.

Otarł czoło rękawem. Ken zażartował, że plioceńska mafia zacementowała ich skamieniałość.

— Nie uda nam się wydobyć tego w ciągu jednego ranka. Może to zająć cały dzień i kawałek następnego.

— Musimy iść pogadać z Hendrijksem.

— To on idzie tutaj, żeby pogadać z nami — rzekł Ngili wskazując ręką.

Hendrijks kluczył między krzakami ze strzelbą na ramieniu. Kiedy się

zbliżył, Ken zauważył kilkanaście antylop, dujkerów o czarnych czołach,

wychylających pyszczki z wysokiej trawy, podczas gdy pilot je mijał.

Słyszał jego zbliżające się kroki. Afrykaner miał na głowie kapelusz

safari. Widoczna poniżej runda twarz zdawała się poszarzała i ziarnista niczym zwietrzała skała.

— Wyglądasz tak poważnie. Co się dzieje? — zapytał Ken, żeby przejąć inicjatywę.

— Dopiero co wysłuchałem kolejnego komunikatu o pogodzie — rzekł

Hendrijks. — Ta burza pyłowa z Tanzanii zbliża się do nas. Dotrze tu koło

czwartej po południu.

— Może będziemy już gotowi.

— Chcę się stąd zabrać dużo wcześniej. Nie stać mnie na to, by zwiąło

mnie z kursu, kiedy samolot jest w takim stanie.

— Powiedziałeś, że masz do założenia jeszcze jedną klamrę na ster.

— Zrobiłem to.

— Tak więc samolot jest w świetnym stanie, a ty także — rzekł Ken.

— Może jesteś po prostu głodny — dodał kwaśno Ngili.



Hendrijs spojrział na Ngilego z takim gniewem, że Ken zastanowił się,

co się ze starym dzieje, nigdy go takim nie widział.

— Zawrzyjmy nową umowę — rzekł Ken polubowym tonem. —

Może

będziemy musieli zostać tu jeszcze jutro. Obgadajmy cenę za kolejny dzień.

— Za nic tu nie zostanę — rzekł Hendrijs. — I nie chcę mieć tych kości w samolocie. Zostawcie znaki i lecimy. Ktoś inny przywiezie was tu w przyszłym tygodniu.

Hendrijs rozejrzał się. W porannym słońcu sawanna prezentowała się

wspaniałe, pełna białych i czerwonych kwiatów, falująca od zwierzęcych grzbietów. Pilot jednak lustrował ją spojrzeniem zmrużonych, zmętniałych oczu, jakby miał przed sobą jakieś upiorne cmentarzysko. Odchrząknął i dodał nieco łagodniej, że z trudem zrozumiał zapowiedź burzy pyłowej. Radio pokładowe ledwo działało. Nie chciał narażać się na inne wypadki, a ten postój wydawał się pechowy. Naprawdę pechowy. Ngili powiedział mu, żeby nie był przesądny.

— Ty to mówisz? Ty? — zapytał Hendrijs z wyczuwalnym podtekstem.

Ngili spojrzał na niego, rzucił maczetę na ziemię i stwierdził, że skoro w Kenii prowadzi się publiczne kampanie przeciw znachorom kamba, Hendrijs także mógłby pozwolić sobie na racjonalne postępowanie.

Ziarnista twarz pod kapeluszem zdawała się wieść drugie życie, życie jej

skóry: pryszcze i zmarszczki jakby pulsowały od hamowanego gniewu.

— Nie mamy jedzenia — warknął Hendrijs.

— Masz przecież na ramieniu *bunduki* — rzekł Ngili, używając słowa

oznaczającego w języku suahili strzelbę. — Widziałem w tych zaroślach z pół

setki zajęcy. Można je łapać gołymi rękami. Robiliśmy to jako dzieci.

Ken widział, jak to robiły wiejskie dzieciaki, ale i dorośli. Zajęce umykały

prosto w krzaki, lecz prawie niezmiennie skręcały pod kątem prostym w prawo

lub lewo, po czym przypadały do ziemi, czekając, aż zagrożenie minie. Jeżeli

ścigający rzucił się w tym momencie szczupakiem, to — nawet nie widząc

zwierzęcia — miał pięćdziesiąt procent szansy wylądować prosto na nim.

— Chwytałeś zajęce i zjadałeś je na surowo? — spytał Hendrijs.

— Puszczę to mimo uszu — oznajmił Ngili.

— A ja nie puszczę mimo uszu twojego zadzierania nosa!

— Nie zadieram nosa — rzekł chłodno Ngili. — To ty jesteś od rana

do niczego. Kiedy za dużo pijesz, jesteś do niczego.

Hendrijs stał się niemal fioletowy. Wydał głos przypominający syknięcie.

— Nie waż się mówić, że jestem do niczego — powiedział. — Nie waż

się mówić o mnie czegokolwiek. Słyszysz, chłopcze?

— *Toto* — byłoby bardziej odpowiednie — rzekł Ngili. — Po co takie półśrodki jak „chłopiec”. Nazwij mnie *toto* albo *mpishi*. — Znaczyło to

odpowiednio „służący” i „kucharz” w tym szczątkowym suahili, jakim posługiwali się dawni biali panowie. Głos Ngilego także stał się dziwny, przypominał warknięcie wydobywające się przez zaciśnięte zęby. — Albo *Kafrem*, co? Czy tam, skąd pochodzisz, nie tak o nas mówią? — Panowie, panowie! — krzyknął Ken.

Nie mógł w to uwierzyć. Zobaczył, jak Hendrijsk chytya prawą ręką za pasek strzelby, podchodzi do Ngiego, który ani drgnął, i mówi młodemu geologowi, że wychował się wśród bogactwa i że nie ma o niczym pojęcia. On sam latał nad Afryką dwa razy dłużej, niż Ngili żył, pracował i cierpiał dla tego kraju. Ngili odparł, że tacy jak Hendrijsk nie przecierpieli w Afryce nawet jednego dnia. Pilot wrzasnął, że w czasie wojny partyzanckiej, która poprzedziła uzyskanie niepodległości, biali musieli zamykać się w sypialniach, żeby nie zabili ich w nocy ci sami czarni służący, dla których robili wszystko —

ratowali oskarżonych o kradzież, a czarne dziewczyny przed sprzedaniem na rynku za paczkę mydła! Poniewczasie zdał sobie sprawę, co powiedział. —

Twój ojciec wiedziałby, o czym mówię... — dokończył skonfundowany. Oczy Ngilego zwęziły się tak, że przypominały ostrze maczety.

— Dosyć. — Ken wkroczył pomiędzy nich. Powiedział Hendriksowi, by poszedł do samolotu, napił się wody, wrócił, jak ochłonie, i przeprosił Ngilego. Ale Hendriks był nadęty jak ropucha w czas upału. — Odlatuję — zagroził, po czym odwrócił się i odszedł.

Ken spozrywał na Ngilego. Miał ochotę dotknąć jego ramienia gestem, jakiego nauczył się od Afrykanów, którzy wyrażanie sympatii dotykiem rzadko uważają za coś niewłaściwego nawet między mężczyznami. Ale w tym momencie nie chciał, by Ngili pomyślał, że traktuje go jak dziecko. Zamiast tego mruknął więc coś o palantach z generacji Hendriksa.

— Niech leci — rzekł Ngili z napięciem, ale chłodno. — Byle udało nam się dostać do samolotu, zanim wystartuje, połączyć się z Nairobi i załatwić innego pilota, który nas zabierze. Nie chcę, by *um'tu* się niepokoił.

Jego twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia — wskutek głodu i hamowanego gniewu. Zwykle Ngili wydawał się niemal zbyt ładny. Teraz rysy miał mniej doskonałe, za to surowsze i bardziej wyraziste.

— Ten skurwiel blefuje — mruknął Ken. Podniósł maczetę. — Chodź, weźmy się do roboty.

Zaczęli wycinać maczetą kolisty rów wokół wielkiej bryły brekcji kryjącej dolną część skamieniałości. Musieli drażyć tak głęboko, by sięgnąć poniżej jej, nie uszkodzając przy tym, a następnie wydobyć cały ten wielki kawał skały z nietkniętym znaleziskiem wewnątrz.

Rozpoczynali pracę maczetą, a potem pogłębiali otwór kłamrą. Posuwali się cał po calu, w strasznym trudzie. Jak zauważył Ngili, bez kości miednicy nie będą tak naprawdę wiedzieć, co znaleźli.

Ken ocenił, że praca potrwa przynajmniej do zmierzchu. Kiedy usłyszeli samolot, wydało im się, że śnią.

Zobaczyli, że Hendriks wykręcił już maszynę ku ścianie Mau, aby wykorzystać lekki wiatr wiejący w stronę gór, i rozgrzewał silnik. „Skurwysyn.

Bydlak. Cuchnący gnój” — przeklinał Ken, wydostając się z rowu i wkładając całą energię w jak najszybszy bieg, aby dopędzić oddalający się

samolot.

Ngili również wyskoczył i pognał za przyjacielem. Śmigło wzbudziło już

mały wir pyłu, który uderzył ich w twarz, rozwiewając mokre od potu koszule

i targając brudnymi, wyblakłymi włosami Kena.

Ken podbiegł do samolotu, unikając lewego skrzydła, pochylonego ku

dołowi pod niebezpiecznym kątem. Przebiegł pod prawym i zatrzymał się

w sporej odległości przed śmigłem. Hendrijs toczył maszynę powoli, jakby

badając sytuację, boczne okno kabiny zostawił otwarte. Ken dawał mu znaki,

wielokrotnie unosząc ramiona i krzyżując je nad głową. — Stój! Stój!

Śmigło zwolniło, stało się widoczne. Pilot zmniejszył moc silnika do

połowy. Wychylił głowę i wrzasnął, że weźmie Kena. Ale nie Ngilego.

— Dobra — odchrzyknął Amerykanin. — Ja też nie lecę.

Hendrijs wrzasnął na niego, by włąził, Ngili może poczekać na inny samolot wysłany przez Kena z Nairobi.

— Pierdole — rzucił Ken poprzez hałas silnika.

Ngili zrównał się z nim i chwycił za łokieć, nakłaniając, by leciał z Hendrijksem. Kiedy znajdzie się w Nairobi, wystarczy, że zadzwoni z lotniska do jego ojca. Ken potrząsnął głową i zawołał, że Hendrijs blefuje.

Zszedł z drogi samolotu.

Pilot znów zwiększył obroty silnika. Aluminiowa zabawka podskoczyła ścinając krzaki opuszczonym końcem skrzydła. Popędziła pełną szybkością startową, mając wiatr od ogona. Koniec skrzydła zahaczył o krzewy i małe drzewko.

Potem maszyna zwolniła, zawróciła i potoczyła się z powrotem.

Lewe skrzydło wyglądało na rozdarte, światło pozycyjne zwiślało wraz

z rozbitą żarówką niczym strzaskany reflektor samochodu po wypadku. Ken

zlustrował spojrzeniem teren — nigdzie w zasięgu wzroku nie było miejsca,

z którego samolot mógłby wystartować z lewym skrzydłem wiszącym pod

takim kątem, nie zahaczając przy tym o gałęzie lub nie uderzając o skały.

Samolot zatrzymał się i Hendrijs wysiadł. Niemal dziarskim krokiem

podszedł do Kena i Ngilego, wyjaśniając głośno: — Podwozie rozwalone. Nie

możemy odlecieć, nie oczyściwszy najpierw pasa startowego. — Ken zwrócił

uwagę na to „my”. Hendrijs zatrzymał się tuż przed nimi. — Jak trochę odpoczniecie, razem oczyścimy pas, zgoda? A jeśli to musi być jutro, niech

będzie jutro. Zgoda?

Przez moment Ngili wyglądał tak, jakby zamierzał mu wygarnąć, co o nim myśli. Ken poprosił spojrzeniem, by tego nie czynił. Potem przypomniał

pilotowi, że muszą dokończyć wykopywania skamieniałości.

Hendrijs wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Oczywiście. Chcecie wody?

Jeszcze trochę zostało. — Ruszył pierwszy do samolotu.

— Radio — szepnął bezgłośnie Ngili. Ken przytaknął. Wspięli się po kolei do środka. Ngili wziął cynowy kubek z ręki Hendrijksa, który nalał

mu  
wody, Ken natomiast sięgnął po słuchawki, założył je i włączył radio.  
Zaczął  
powtarzać sygnał identyfikacyjny samolotu. Potem przestał. Nie słyszał  
zwykłych trzasków odległych rozmów, lecz martwą ciszę. Wcisnął  
guziki  
i nasłuchiwał wstrzymując oddech. Ale radio milczało.

Teraz Hendrijs nałożył słuchawki i powcisnął guziki. Po chwili  
odłożył  
zamarły odbiornik na siedzenie pilota.

— Daj mi strzelbę — rzekł Ken.

Pilot odzyskał już zdrowy rozsądek, wiedział, kiedy się sprzeciwiać,  
a kiedy nie. Wręczył Kenowi niezwykle lekką, niegroźnie wyglądającą  
broń.

Amerikanin wziął ją, kazał Hendrijsowi przymocować z powrotem  
samolot,

Ngilemu zaś rozłożyć plandekę nad stanowiskiem wykopaliskowym i  
od-

począć. On sam przyniesie im wszystkim jakiś obiad.

# 5

Ken szedł przez wysoką trawę, rozglądając się za skupiskami drzew akacjowych. Akacje, typowe drzewa sawanny, cierniste, o płaskich wierzchołkach, dostarczały jedynie wątego cienia, gdyż liście miały cienkie jak igły i wyrastające w poziomych pęczkach przypominających kształtem zielone tace wyciągnięte ku słońcu. Mimo to ich cień był lepszy od ostrych bezpośrednich promieni słońca. O tej porze większość antylop powinna tu odpoczywać, przeżuując spożytą rano trawę.

Ranek byłby dużą lepszą porą na polowanie, ale Ken nie miał wyboru.

Wielkie akacje rosły wzdłuż długiej linii odsłoniętych skałek, tworzących niemal nieprzerwaną kamienną palisadę, która dzieliła porosły trawą teren.

Ciągnęła się, jak okiem sięgnąć, dołączając w oddali do ostatnich odnóg Mau.

Ken ruszył w jej stronę, spodziewając się znaleźć dukery, zwierzęta o drobnych kopytach, pozwalających im równie dobrze kłusować po sawannie, co piąć się po skałach. Polowanie na dukery w pobliżu skał to dobra strategia. Gdyby spudłował w wysokiej trawie, rozbiegłyby się we wszystkich kierunkach. Przy palisadzie widziałyby je na tle skał niczym wielkie skaczące cele.

Niepewny krok, jakim się poruszał, uświadomił mu, jak bardzo jest



zmęczony i osłabiony z głodu.

Dotarł do linii drzew i stwierdził, że pnie akacji są okopcone na czarno.

Przetrwały pożar buszu. Dawały niewiele cienia, a jednak dujkery były tam,

rozciągnięte na ziemi niczym rude poduszki z głowami antylop. Czarne pasy na

czołach zwierząt poruszały się łagodnie w górę i w dół w rytm żucia, a spoczywające na ziemi niewielkie, czarne przednie nogi i kopytka robiły

wrażenie zbyt delikatnych i kruchych, by zdołały utrzymać ciężar zwierzęcia Ken

postanowił podejść do nich jak najbliżej. Nie chciał tracić kul ani narażać zwierząt

na długą agonię po kiepskim strzale. Spojrzały na niego niewinnie i jęły się

podnosić, ale bez obawy. Uświadomił sobie, że wszystkie tutejsze stworzenia nie

przywykły, jak się zdaje, do człowieka, albo też nie odczuwały przed nim lęku.

Rozleniwiony południowym upałem, zastanawiał się, czy starczy mu sił,

żeby przenieść zabitego dujkera. Uniósł strzelbę, mierząc dla zabawy w szereg

ciemnych głów i zwlekając ze strzałem, aż większa liczba zwierząt podniesie się i oddali płynnym krokiem ku skałom, w których dostrzegł szereg przejść zarosłych rudym głuchym owsem i skrzypem. Powyżej nich skały pięły się w górę, tworząc nieforemne pierwsze piętro. Teren ten, obfitujący w doskonałe naturalne kryjówki, stanowiłby raj dla kłusowników.

Potknął się, wykręcając na zewnątrz lewą kostkę. Wydał okrzyk bólu,

a dukery, zupełnie już zaalarmowane, pobiegły szybciej ku skałom, podczas gdy on biegł za nimi, kulejąc i krzywiąc się, wciąż jednak pewny celności pierwszego strzału. W pewnej chwili oparł kolbę o ramię, znieruchomiał, wypalił i... chybił.

Ostatnie dukery zniknęły machając z przerażeniem miotełkami ogonów.

Został teraz sam, nie mając w zasięgu żadnego celu.

Zachichotał. Czuł się głupio, ale był odprężony. Opadł na kolana, rozmasował puchnącą kostkę, następnie pokuśtykał między skały, przekonany, że zdoła dogonić stadko.' Spojrzał na odciski kopyt i zobaczył, że wybiegają daleko w przód. Przystanął zastanawiając się, czy iść dalej. Im bardziej się oddali, tym dłużej będzie musiał dźwigać zdobycz do samolotu, kulejąc wskutek urazu kostki.

Zawrócił — głodny, z przytępioną uwagą i wreszcie rozdrażniony

— i znalazł się ponownie pod akacjami. Przyjrzał się śladom, by ocenić szanse na napotkanie innej zwierzyny. Zauważył, że niektóre z nich nałożyły się na wydłużony odcisk jakiejś stopy o głęboko odcisniętej pięcie. Przystanął, zbyt zdumiony i zmęczony, żeby czuć się rzeczywiście wstrząśnięty.

Odcisnięte palce były długawe, dobrze uformowane. Duży paluch odwiedziony na zewnątrz. Postawił obok obutą stopę i stwierdził, że odcisk

jest o połowę krótszy od niej. Rozmiarem przypominał ślad dziecka. Pod każdym innym względem — wczesnych hominidów.

Cofnął się, nie chcąc go zatrzeć, i nastąpił na inny. Uskoczył w bok, żeby uniknąć zdeptania krótkiego łańcuszka śladów, poprzecinanego wszędzie odciskami kopyt antylop.

Poczuł mocniejsze bicie serca, któremu udzieliło się teraz podniecenie

umysłu. Zaczął liczyć: raz, dwa, trzy, cztery... Łącznie siedem

odcisków stóp,  
niektóre prawie zatarte przez zwierzęta.

Przypadł do ziemi i ostrożnie przyłożył dłoń do jednego ze śladów.

Suchy

pył zapadł się pod dotknięciem, a odciski palców straciły ostrość. Były świeże.

Zostawiono je parę godzin albo, co najwyżej, parę dni temu. Nie mogły

być starsze, biorąc pod uwagę nieustanne ruchy stad antylop.

Te ślady były świeże.

Wtedy usłyszał kopyta dudniące jak bębny. Dujkery pędziły w popłochu

z powrotem, pobekując cienko. Nadal klęcząc uniósł wzrok i dostrzegł wielkiego kozła — trzydzieści, czterdzieści cali wzrostu, nie licząc głowy —

który pędził, zdawało się, prosto na niego. Po czole zwierzęcia spływała cienka strużka krwi. Ken uniósł strzelbę, ale nie musiał celować. Cel sam

zmierzał prosto ku niemu. Pociągnął za spust, dostrzegł krótki błysk na końcu

lufy. Na piersi kozła otwarła się nagle niewielka rana. Zwierzę pośliznęło się

i upadło, dowlokło do śladów hominida i znieruchomiało.

łowca miał dobre wyczucie czasu, lecz jego czas był czasem globalnym i nie

został jeszcze rozbity na sztuczne odcinki godzin czy minut.

Łowca polujący kamieniami wyszedł z ukrycia i krętym przejściem podążył chyłkiem za nieznajomym przybyszem. Idąc stapał niezmiernie ostrożnie, czując bicie serca w całym ciele, wysokim na niespełna cztery stopy i wążącym mniej niż jedną piątą ciężaru przybysza.

— Haaaa — sapnął. Jednostajny dźwięk wydobył się z krtani umiesz-

czonej wysoko w gardle, blisko długich ust o niskim podniebieniu. Sapnięcie

zabrzmiało niedwuznacznie. Wyrażało sam strach.

Różnił się on jednak od zwykłego strachu łowcy.

Gdyby myślał operując słowami, nazwałby go może strachem jak ze snu.

Rzeczy, które oglądał ostatniego wieczoru, były tak niezwykle, że dawały

się porównać jedynie z chaotycznymi, przerażającymi i dziwacznymi kom-

binacjami elementów rzeczywistości, jakie nawiedzały jego umysł, kiedy śnił

albo marzył. A może z wstrząsającym obrazem tej okolicy, w chwili gdy

błyskawice rozświetlały niebo i ziemię.

Długie stopy o odwiedzionych na zewnątrz paluchach stawał bezpośrednio

na owalnych śladach pozostawionych przez buty intruza, i czuł, jak fizyczne

doznania, odbierane przez jego stopy i palce, mkną nerwami do mózgu, gdzie

kojarzone są w poznawczej zawierusze. Buty przybysza spłaszczyły ziemię

i żwir, tworząc gładkie powierzchnie, zupełnie obce zmysłom łowcy.

Łowca nigdy dotąd nie doświadczał takich doznań, a były one tak intrygujące, że aż przystanął, pochylił się i przyłożył długą wąską dłoń o długich palcach do odcisku buta, żeby poznać tę doskonałość dotykiem.

Nigdy nie napotkał doskonale gładkiej powierzchni ani linii prostej.

Zerwał się na nogi i pospieszył dalej. W jego polu widzenia, utworzonym

przez nakładające się obrazy widziane przez osadzone blisko siebie z przodu

twarży oczy, powstawał ostry, niemal boleśnie wyrazisty obraz wszystkiego,

co znajdowało się w promieniu dwustu jardów. Jego oczy stanowiły niemal

broń. Rozdzielały rzeczywistość na poszczególne elementy z precyzją nabytą

we wcześniejszym środowisku życia, dalece bardziej mrocznym i mylącym.

Dotarliszy do miejsca, gdzie skalisty pasaż otwierał się na sawannę,

łowca

ośmielił się wyjść na otwartą przestrzeń. Przystanął na samym skraju wysokich falujących traw i wypatrywał ponad nimi. Nie pozostawał w bez-

ruchu, lecz obracał twarz na wszystkie strony. Widziany z oddali, niewiele się różnił od przyyczajonego zwierzęcia sawanny.

Wpatrywał się w przybysza, nie będąc w stanie uwierzyć, że dziwna,

wysoka istota tak bardzo przypomina jego samego. Obcy, podobnie jak łowca,

przemierzał otwarte przestrzenie w specyficzny sposób. Tylko dolne kończyny

dotykały ziemi. Ale niosły całe ciało.

Przy dystansie większym niż dwieście jardów zdolność widzenia łowcy

ulegała nieoczekiwanej zmianie. Obraz, wciąż wyraźny, stawał się płaski,

jakby rzeczy leżące poza tą niewidzialną granicą nie wymagały tak dokładnego

rozpoznania.

Teraz jednak zmuszony był sięgnąć wzrokiem daleko w głąb tej płaskiej strefy, gdyż tam właśnie znajdował się ów zdumiewający przedmiot, związany z tymi dziwnymi przybyszami. Dzień wcześniej widział z bliska dwóch z nich — jeden miał niezwykle jasną skórę, drugi ciemną jak powierzchnia drzewa po pożarze buszu.

Trzeci przybysz pozostawał w pobliżu odległego przedmiotu, dużego i bulwiastego w kształcie, niczym przerośnięty jadalny korzeń. Bulwa lśniła, jakby przywarła do niej warstewka rosy, spowijając ją całkowicie i nie chcąc wyschnąć w palącym słońcu.

Trzy istoty potrafiły w dziwny sposób zniknąć we wnętrzu bulwy i ukazywać się na powrót.

Pióropusze traw poruszyły się przed okrągłymi, głęboko osadzonymi nozdrzami łowcy — stanowiącymi element jego systemu natychmiastowego

informowania — natomiast daleko przed nim inny łowca, z kozłem na ramionach, poruszał się na tle nieba, które nagle pociemniało. Dymiący, brudnoszary słup pyłu wyrósł na horyzoncie i przybliżał się ku nim.

Łowca z kamieniami zastanawiał się, czy burza pyłowa sprawi, że zniknie

bulwa albo trzy istoty, które nią przybyły. Stał dumając nad tym, póki słup pyłu nie znalazł się tuż przy samolocie. Bulwa nie zniknęła.

Łowca odwrócił się i, gdy pył zaczął opadać na ziemię, rozejrzał za jakimś schronieniem wśród skał.

Przypomniawszy sobie o wspomnianej przez Hendriksa burzy pyłowej,

Ken ruszył biegiem w stronę beech lightninga, najszybciej jak mógł, obciążony zdobyczą i dręczony bólem wykręconej kostki.

Parę chwil po tym, jak dotarł do samolotu i zrzucił z ramienia zabitego kozła, pył opadł na trawy i drzewa.

Podczas burzy Ken i Ngili leżeli na ziemi pod plandeką, trzymając się lin

umocowanych do jednego z przednich kół beech lightninga, Hendriks natomiast robił to samo przy drugim kole — cała trójka dociążała swoimi

ciałami samolot. Ciężko dyszeli pod przykryciem, w powietrzu rzadkim i gorącym, ale za to wolnym od pyłu. Wiatr szarpał i klekotał kadłubem, suwając ogon i tylne koło maszyny po ziemi.

Burza atakowała falami piasku. W chwilach względnego spokoju Ken

przemawiał gorączkowo do Ngilego. — Co o tym sądzisz? Co o tym sądzisz? — dopytywał się nieustannie.

— Sądzę, że kozioł mógł w panice wysforować się przed stado i uderzyć

czołem o jakiś skalny występ. Chyba że...

Ngili urwał. Ken usłyszał, jak wiatr miota pyłem i żwirem sawanny na

plandekę; dźwięk najdrobniejszego deszczu nie mógłby dorównać tym odgłosom, temu nieskończone drobnemu stukotaniu.

— ...Chyba że ty sam trafiłeś go pierwszym strzałem — dokończył

myśl  
Ngili.

**Ken** usilnie starał się to sobie przypomnieć, by mieć absolutną pewność, że głód i zmęczenie, jakich doświadczał podchodząc dujkery, nie zmałyły mu pamięci.

Odpowiedział pewnie, dysząc w gorącym, rozrzedzonym powietrzu ich

małego kokonu. — Wystrzeliłem po raz pierwszy, kiedy dujkery odbiegały. Kula nie mogła oblecieć grzbietu kozła i trafić go z przodu w czoło. Po prostu chybiłem.

Ktoś inny stał tam na końcu ścieżki. Ktoś, kto cisnął w niego tym kamieniem.

Wyciągnął z kieszeni czarny kamień. — Kozioł zawrócił i stado przybiegło z powrotem, a ja postrzeliłem go w pierś.

Ngili włączył latarkę, której bateria jeszcze się nie wyczerpała. Obejrzał

kamień ze wszystkich stron — teraz już zupełnie suchy i czysty od gorączkowego obracania w palcach.

— Nie ma tam czarnych skał? Żadnych pokładów bazaltu? — zapytał.

Nie, przysięgam. A przynajmniej nic takiego nie widziałem.

— Nie musisz przysięgać.

— Pewien jestem, że to tym uderzono kozła. — Ken wziął kamień do

ręki. Wydawał mu się równie rzeczywisty jak przedtem i równie tajemniczy. —

Jaką masz więc teorię?

Nie mam żadnej. Nie wątpię w to, co mówisz, ale nie znajduję wyjaśnienia. — Ngili urwał i namyślał się, a piasek stuleci spadał im na ramiona

i głowy. — Czy te ślady wyglądały tak, jakby zostawiły je stopy hominida?

— Bez wątplenia. Mocny kłęb palucha, silna, dobrze rozwinięta pięta.

Paluch jest odwiedziony, pozostałe palce — długie i lekko wygięte ku dołowi.

Zapewne lepiej się nadają do wspinania po drzewach niż twoje czy moje.

— Pewien jesteś, żeś to wszystko widział?

— Boże! Czy jestem pewien? Po dzisiejszym dniu nie jestem niczego

pewien.

— Może żyły tu niegdyś jakieś plemiona.



— Niegdyś? A teraz?

— Powiedz mi jeszcze raz, jak długie były te ślady?

Z wprawą naukowca wyćwiczonego w pracy terenowej Ken wyobraził

sobie obok śladów stóp linijkę. — Jakies sześć cali każdy.

Ngili nie skomentował tego. Nie miał nic do powiedzenia. Stopa tej wielkości mogła należeć do dziecka albo szympansa. Ale szympansy nie mają

tak naprawdę stóp; jak wszystkie małe człekokształtne posiadają cztery ręce:

dwie górne i dwie dolne.

Nie mieli szans na odnalezienie śladów nazajutrz rano, wiatr całymi

godzinami miotał pyłem na równinę i skalną palisadę.

Ale mogli wyjąć kompas i zanotować ich położenie.

Ken pomyślał o innych odciskach stóp, tych na odnodze Mau. One także

znikną pod kilkucalową warstwą pyłu.

## 6

Burza zakończyła się przed północą. Sawanna wyglądała jak zasypana śniegiem. Trzej mężczyźni otrząsnęli z pyłu porąbane gałęzie kolczastych krzewów, żeby rozpalić ponownie ognisko.

Ken

i Ngili oczyścili z kurzu dujkera. Odarli go ze skóry pożyczonym od Hendrijksa nożem. Na piersi zwierzęcia widniała rana od kuli, nie było natomiast śladu po żadnej innej — ani na głowie, ani na przedniej części ciała.

Upiekli antylopę. Hendrijks podzielił się z nimi pozostałą whisky i wciąż zadawał jedno i to samo pytanie: o której Ken i Ngili zaczną nazajutrz rano oczyszczać pas startowy? Jak tylko umieszczą w samolocie skamieniałość i inne próbki — brzmiała odpowiedź młodych naukowców.

Radio wciąż mileżało.

Spali owinięci w płachty brezentu, bekając przez sen po zjedzeniu nierównomiernie upieczonego mięsa i kichając od drobnutkiego pyłu, który

osiadał na równinie i wdzierał się szczelinami pod ich przykrycia.

Kiedy wstali, świtało. Hendrijks nie spał już, siedział przy przechylonym samolocie niczym szarolicy goryl w świątyni popiołów.

Odsłonił do końca blok brekcji, okalający dolne partie zmineralizowanego szkieletu. Zostawili go przy rozkopanym wzgórku i odnotowali pozycję, posługując się aparatem fotograficznym, kompasem i rolką taśmy mierniczej, znalezionej w pokładowej skrzynce z narzędziami. Ken sfotografował

wzgórek  
i otaczające go formacje skalne, ograniczając liczbę zdjęć do minimum.  
Żałował, że nie ma więcej filmu, ale po tym, jak napstrykał się do woli,  
zwisając z luku samolotu, pozostała mu tylko połowa klatek z ostatniej  
rolki.

Radio pokładowe nadal nie działało.

Młodzi badacze przeszli w stronę lasu akacjowego, aby odnotować  
jego  
położenie.

— Nie mają z nami kontaktu już od trzydziestu sześciu godzin —  
bąknął

Ngili. — *Um'tu* musi się strasznie martwić.

— Łączą cię z ojcem silne więzy. Wspominasz go dwa razy częściej  
niż

matkę, Yinkę czy Gwee. — Yinka była młodszą siostrą Ngilego, a Gwee najmłodszym z rodzeństwa bratem.

— To normalne. Jako pierwородny syn jestem bardzo ważny dla urn'tu.

Czy twój ojciec nie traktuje cię podobnie?

Ken roześmiał się. — Nie pamiętasz już, że ojciec zostawił nas, gdy miałem pięć lat, i nigdy więcej o nim nie usłyszeliśmy? Taki byłem dla niego ważny.

Ngili nie mógł tego pojąć. — To jest twój ojciec — powiedział wskazując ruchem brody przysypane pyłem odludzie.

Ken poczuł gwałtowny dreszcz. Rozpoczął się u góry kręgosłupa i schodził chłodną wibracją w dół pleców, sprawiając, że Amerykanin zadygotał z lęku. Na twarzy przyjaciela Ngili odnalazł chyba ślad jakiegoś okropnego wspomnienia, bo dodał szybko: — Chodziło mi o to, że gdybyś nie miał tak bolesnego dzieciństwa, nie byłbyś tym, kim jesteś, i prawdopodobnie nie przyjechałbyś do Afryki.

Ken wciąż jeszcze odczuwał drzenie. Jakby jakieś szpony ścisnęły mu serce.

W buszu zapanowało poruszenie, gryzonie rozbiegły się, usuwając piasek czopujący wejścia do nor, ptaki trzepotały skrzydłami, wciąż jeszcze czyszcząc pióra z pyłu.

Powtórzyli procedurę przy akacjach, których gałęzie wydawały się teraz złociste. Ken odnalazł między skałami ścieżkę, na której tropił poprzedniego

dnia dukery, i poprowadził nią przyjaciela. Obaj stąpali po warstwie drobnego jak mąka pyłu.

Zaskoczyło go, jak słabo pamięta drogę, w ówczesnym stanie ducha

prawie nie zwracał uwagi na formacje skalne. W pewnym miejscu ścieżka rozdzielała się. Ken nie przypominał sobie tego rozwidlenia, ale po chwili wahania skręcił w lewo.

Nie mogli odnaleźć polanki ani stratowanych zielsk. Po kilkuset jardach

biegnąca wśród wapiennych głazów ścieżka otworzyła się na szeroką, nieregularną płasienkę, otoczoną głazami i poszarpanymi progami, za którą

formacje skalne zanikały, przechodząc stopniowo w postać sawanny. Ken był

pewien, że tamtędy nie przechodził, a jednak znów doznał tego samego niepokojącego uczucia, co dzień wcześniej — że obserwują go czyjeś niewidzialne oczy.

Naraz Ngili wydał krótki, wysoki okrzyk: — Ha! — jakby potknął się

i zranił. Ken obrócił się na pięcie i zobaczył go, niemal całkowicie ukrytego

za linią krzewów, pod skalną przewieszką.

W wąskiej skalnej niszy leżało na ziemi kilka sporych otoczków, których nie pokrył wszechobecny pył. Były to kawałki czarnego bazaltu. Na

ziemi widniały odciski niewielkich stóp, o połowę mniejszych od stóp Ngilego.

Ngili właśnie podnosił jeden z kamieni ku świecącym niepewnie promieniom słońca. Był okrągły, niemal doskonale sferoidalny, ale jeden jego

koniec odłupano i zestrugano, tak iż powstała broń myśliwska.

Ken wyjął kamień z ręki Ngilego. Wydobył drugi dla porównania.  
— Ta

istota regularnie poluje — powiedział.

Kamienie różniły się ciężarem i kształtem, wykazywały jednak ogromne podobieństwo, jak para zwierząt jednego gatunku. Wrażenie to wywoływały obłupane końce, widoczne u obu.

Ngili spojrzął na Kena, mrugając szybko oczami. Ken niemal czuł, jak

głowa przyjaciela pęka od kłębiących się myśli. — To nie może być szympan. Szympany nie polują za pomocą kamieni.

Przykucnęli na ziemi. Teraz obaj czuli, że ktoś ich obserwuje. A także podśluchuje.

— Zostały ci jeszcze jakieś klatki w aparacie? — szepnął Ngili.

Ken skinął głową.

Nie zabrali ze sobą sprzętu do robienia odlewów, ale mieli aparat.

Ken

skierował obiektyw na odciski stóp, odnosząc przy tym wrażenie, że przez

wizjer widzi nie zapyłony wiosenny poranek, lecz krajobraz pliocenu.

— Nie zużyj całego filmu — przestrzegł Ngili.

Myśleli, jakby mieli jeden umysł. Ken planował zachować kilka klatek.

Tak na wszelki wypadek.

Puścił zawieszony na piersi aparat i znów podniósł kamień.

Otaczały ich

głazy i pokłady żółtego wapienia, skały osadowej bogatej w węglan wapnia.

Wszystkie małe kamienne pociski wykonano natomiast z kawałków bazaltu, skały wulkanicznej znacznie twardszej i starszej. Przyniesiono je tu z jakiegoś oddalonego miejsca, gdzie występuje złożo bazaltowe.

To sprawiło, że stały się tak zwanymi manuportami, czyli kamieniami

przekształconymi w narzędzie z prostego powodu, że jakiś hominid wyniósł

je z ich naturalnego miejsca występowania, żeby korzystać z nich tutaj. Już

sam ten fakt wydawał się niezwykle znamienity. Obłupanie jednego końca

także miało znaczenie, lecz trudniej było ustalić, czy nastąpiło w wyniku działalności człowieka, czy też w sposób naturalny.

— Czekaj — rzekł Ngili — skoro mamy do czynienia z manuportami,

w grę mogą wchodzić hominidzi.

— A czy są inne możliwości?

— Może jakiś wyrzutek plemienny. Albo wykolejeniec.

— Tutaj? Przecież sam mówiłeś, że to rejon zupełnie nie

zamieszkany?

Kenowi wydało się zdumiewające, że toczą naukową dyskusję być może

w zasięgu słuchu istoty, która poprzedniego dnia czała się w zaroślach i o mały włos nie zabiła dujkera.

— Tak powiedziałem — przyznał Ngili — ale były czasy, kiedy plemiona

skazywały morderców lub gwałcicieli, ludzi niepożądanych, na izolację właśnie w takich miejscach.

— Doprawdy? Kiedy to było?

— Nie tak dawno. Trzydzieści, czterdzieści lat temu.

— Ale spójrz na ślady! — Ken pociągnął Ngilego pod występ skalny. —

Spójrz na ich kształt i wielkość.

— To niemożliwe — rzekł Ngili. — Pozostawiło je najprawdopodobniej zbląkane dziecko plemienne, cechujące się, być może, jakimiś atawizmami anatomicznymi, ale... — mruzczał pod nosem, zmagając się z pojęciami, które nie dawały się do siebie dopasować —...ale tak naprawdę nie mogą to być atawizmy... bo atawizmy praludzkie nie przetrwałyby tak długo.

Ken ścisnął skronie dłońmi, nie potrafił zapanować nad myślami.

Przynaglił przyjaciela, żeby ruszyli już do samolotu, gdzie musieli przecieżyć dokończyć pakowania skamieniałości.

Wrzucił do kieszeni jeszcze trzy kamienie i wyprowadził Ngilego spomiędzy skał. Dzień wcześniej odebrał tamtej istocie zdobycz, dzisiaj odchodził z jej bronią lub narzędziami. Kimkolwiek była owa istota, zaprezentował jej się jako złodziej.

Hendrijsk szedł ze strzelbą na ramieniu w stronę miejsca, gdzie odkopali szkielet. Na tle otaczającego krajobrazu wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Narzekał, że naukowcy nie są jeszcze gotowi. Poinformował, że właśnie przelatywał nad nim na małej wysokości, kierując się na południe, niewielki samolot. Afrykaner machał mu wprawdzie rękami i wystrzelił w powietrze, ale tamten nie zakołysał skrzydłami ani nie dał żadnego sygnału, że zauważył pilota lub stojącego na ziemi beech Hghtninga. Ken spojrział pytająco na Ngilego. Odpowiedzią było wzruszenie ramion — żaden z nich nie słyszał ani wystrzałów, ani szumu silnika. Nic dziwnego, skoro tak bardzo pochłaniało ich badanie terenu.

Ngili powiedział Hendrijskowi, żeby odłożył tę cholerną strzelbę i pomógł im w załadowaniu kawału brekcji. We trzech z trudem przenieśli ciężar do samolotu, sapiąc, klnąc i przystając parę razy.

Wreszcie załadowali go do środka i zabezpieczyli przed przesuwaniem się, przyciskając skrzynią na lód i tekturowym pudłem. Ken odczekał, aż Hendrijsk zwróci się do niego twarzą, i ostro zapytał, czy kiedykolwiek przedtem był w sawannie Dogilani.

Coś drgnęło w twarzy pilota. — Latałem nad tym terenem w pięćdziesiątym trzecim i czwartym — mruknął patrząc Kenowi prosto w twarz, jakby zahipnotyzowany jego wzrokiem i zmuszony do mówienia



prawdy.

— Ładowałeś tutaj?

— Nie — Hendrijs obrzucił Ngilego ostrożnym spojrzeniem. —  
Wozi-

łem z Ugandy do Nairobi brytyjskich żołnierzy, pomagających w  
stłumieniu

kenijskiego powstania narodowego.

— Widziałeś wtedy te ślady stóp, które wczoraj fotografowaliśmy?

Hendrijs przestąpił z nogi na nogę, uderzając masywnym ciałem o  
ściankę

kabiny. Stracona z wierzchniej części kadłuba cienka warstewka pyłu  
zsunęła

się za oknem na ziemię. — Widziałem tam jakiś ślady — przyznał. —  
Leciałem nisko, widziałem jakieś ciemne ślady wyglądające na odciski  
stóp.

— Gdzie? Na tej samej odnodze?

— Skąd mam wiedzieć? Nie sądziłem, że to coś godnego uwagi. —  
Zabrzmiało to szczerze.

— Czy widziałeś... — Ken przełknął z trudem ślinę. — Czy widziałeś

kogoś? Jakichś ludzi, którzy mogliby pozostawić te ślady?

— Nie widziałem żadnych ludzi, tylko ślady.

— Więc co cię tak trwoży w tym miejscu?

— Nic — warknął Hendrijs. — Przynieście resztę waszych kości i strzelbę. Zaraz sprawdzę silnik.

Przyjaciele zeskoczyli na ziemię i pospieszyli do miejsca, skąd wykopali skamieniały szkielet.

Ken był już w stanie logicznie myśleć. Muszą polecieć z powrotem do

Nairobi, przekazać kości i próbki gleby Randallowi oraz wrócić tu jak najszybciej z filmami, może także z kamerą wideo, gipsem do sporządzania

odlewów śladów stóp, narzędziami do kopania i prowiantem. Jako regularna

ekspedycja, zatwierdzona oficjalnie bądź nie. Nie chciał więcej spekulować

na temat tego, kto — czy też co — dokładnie tu mieszka, wiedział jedynie,

że to łowca, który posługiwał się manuportami.

Wędrując do samolotu z czaszką, skamielinami roślin i strzelbą, dostrzegli

przemieszczający się po równinie spory żółtawy wzgórek, który szybko zbliżał się w ich stronę. Był to samochód, brytyjski „Safari Cub”, furgonetka

używana do obwożenia turystów po parkach dzikiej zwierzyny, z odsuwanym

dachem umożliwiającym fotografowanie przyrody. Tyle że ten wóz nie miał

już ani klapy na dachu, ani drzwi. Przysypany był złocistym pyłem, który

w postaci wydłużonego pióropusza ulatywał wdzięcznie ku górze, ilekroć

samochód podskakiwał na fałdzie terenu.

Ngili przypatrywał się z zaskoczeniem. — Może to strażnicy z parku,

wysłani przez megafpa?

— Ktokolwiek by to był — zachichotał Ken — przybywa w samą porę,

by pomóc nam oczyścić pas startowy.

Ponad otwartym dachem safari cuba pojawiła się czyjaś sylwetka. Gazy

spalinowe z gaźnika strzelały głośno i bez przerwy. Nagle Ken zdał sobie

sprawę, że to nie one są przyczyną hałasu, lecz mężczyzna strzelający

z karabinu do samolotu. Hendrijs, którego postać wyraźnie rysowała się na

tle maszyny, rzucił się na ziemię, natomiast kierowca furgonetki wcisnął gaz

do oporu.

— Oni staranują samolot! — wrzasnął Ken, kiedy stało się jasne ponad wszelką wątpliwość, w jakim kierunku zmierza cub.

Młody paleontolog chwycił strzelbę. Samochód pędził z rykiem silnika

ku beech lightningowi. Po drodze napotkawszy pas niskich skałek — przez

które samolot przetoczył się przy lądowaniu — przesłoniętych teraz pyłem,

przeskoczył ponad nimi i wylądował z rzeźeniem obciążonych ponad miarę

amortyzatorów.

Żgasł mu silnik. Ken i Ngili usłyszeli odgłos zapłonu, kierowca próbował

uruchomić go powtórnie.

Silnik ożył z parsknięciem i jęknął, kiedy prowadzący wcisnął znowu gaz

do oporu.

Cub ruszył naprzód niczym szarżujący nosorożec.

Ken znajdował się teraz zaledwie paręset jardów od wozu; Ngili wrzeszczał mu dziko zza pleców, by strzelał w opony. Ken opadł na trawę i znieruchomiał z twarzą przy celowniku. Wziął na cel obracające się przednie koło i pociągnął za spust. Mężczyzna z karabinem obrócił się. Wypalił do Kena i Ngilego, ścinając kulami ciężkie od pyłu gałązki. A potem cub poleciał na bok, jakby powaliła go niewidzialna ręka jakiegoś boga.

Kierowca wygramolił się z wozu i uciekł w stronę sawanny.

Ken i Ngili podbiegli do samochodu. Strzelec wyrzucony został z szoferki.

Leżał z rozrzuconymi nogami i rękami, nie dając znaku życia. Krew z pękniętej skroni sączyła się na ziemię, a pył wchłaniał ją niczym bibuła.

Był to Murzyn w średnim wieku, niski i niedożywiony. Jego czerwone

dłonie o wygiętych palcach, zakończonych zbyt długimi paznokciami, otwierały się ku niebu w niemym błaganu. Oczy miał otwarte, ale już szkliste, nabiegłe krwią, prawie jak po krwotoku wewnętrznym. Nosił nieokreślonego koloru sweter, spodnie polowe w barwach maskujących i na bosych stopach sandały o podszwach z opony samochodowej.

Hendrijs spieszył w ich stronę, coś wykrzykując. Ken zrozumiał tylko słowo „kłusownicy”.

Amerikanin zajrzał do cuba. Furgonetka liczyła zaledwie parę lat, *alé ze* wszystkich stron przeżarła ją korozja wskutek mało delikatnej jazdy i intensywnego nasłonecznienia; lakier łuszczył się, a popalona tapicerka pękała.

Wóz cuchnął czymś nieokreślonym, choć wewnątrz był całkiem pusty, pozbawiony nawet wieszanych na lusterku wstecznym tanich amuletów. Schowek na rękawiczki otworzył się, ukazując zwykłe pudełkowane wnętrza.

Brakowało tablic rejestracyjnych. Odslonięte podwozie — ciemna od

brudu gmatwanina przekładni i przewodów paliwowych — pachniało gorącym olejem i zakopconymi hamulcami.

Ken zaczerpnął głęboko tchu. Przez głowę przelatywały mu myśli, zbyt liczne i zbyt szybko.

Pokonując odrazę, przykucnął, przeciągnął dłońmi po ciele strzelca

i obrócił je, szukając portfela lub czegokolwiek innego. Zwłoki były ciepłe, pachnące potem i brudem, i tak chude, że lekkością przypominały manekin — dziwny napastnik składał się tylko ze skóry i kości. Kiedy Ken przeszukiwał ciało, wszystkie jego myśli skupiły się na jednej kwestii: Co się dzieje? Co tu się dzieje?

Tymczasem uciekający kierowca stał się już tylko punkcikiem oddalającym się na tle żółtej równiny.

— Nic nie ma? Żadnych dokumentów, niczego? — zapytał Hendrijs.

Ken wstał kręcąc głową. Otarł ręce o spodnie. Pilot kopnął trupa.

— Przestań — warknął Ken.

— Przestałem — rzekł Afrykaner. — Teraz lecimy. Nie szukaj więcej,

to nic nie da. Startujemy.

Podniósł swą strzelbę i ruszył do samolotu.

Stojący przy zwłokach Ken i Ngili spojrzeli po sobie, nie znajdując słów na wyjaśnienie tego wszystkiego.

— Myślisz, że to kłusownicy? — spytał wreszcie Ken.

Ngili potrząsnął głową. — Kiedy kłusownicy zobaczą stojący w sawannie

samolot, nie atakują go. Czekają, aż scena opustoszeje, by móc zająć się

własnymi sprawami. Czy ten typ wygląda na kłusownika? — zapytał retorycznie.

Pochylił się, obrócił ciało na bok i przeszukał je jeszcze raz, obmacując lekko, ale

gruntownie. — Pachnie od niego kryminałem, to pewne. Przeoczyłeś coś.

Spod swetra napastnika Ngili wyciągnął mały pistolet „Walther PPK”.

Otworzył magazynek, pokazując sześć ostrych naboí, po czym zamknął go

i włożył broń w rękę przyjaciela. — Weź, może się przydać jako dowód. Poza

tym to dobra broń, a ty jesteś bardziej narażony ode mnie.

— A to dlaczego? — zapytał ochryple Ken, odnosząc wrażenie, że głos

dobywa mu się z gardła jak przez rolkę papieru ściernego.

— Bo założmy, że na tym nie koniec. — Ngili urwał, by spojrzeć na

leżące zwłoki. — Nie chroni cię rodzina, jesteś cudzoziemcem, i to cholernie

rzucającym się w oczy, bo białym. Tak więc, o cokolwiek by tu szło, grozi

ci większe niebezpieczeństwo niż mnie.

Ken wziął walthera i wsunął go do kieszeni. Pistolet brzęknął o któryś

z prehistorycznych kamieni — jedna broń napotkała drugą. Następnie Ken

podniósł karabin, chwycił za lufę i trzasnął nim o głaz. Łożysko odpadło, lufa

wygięła się, spust i bezpiecznik brzęknęły o kamień

— Zbierzmy szybciej skamieliny roślinne — rzekł Ngili. — Kierowca

cuba mógł dotrzeć do jakiejś ich bazy. Jeśli przyśle tu więcej ludzi, wystrzelają nas jak kaczki.

— Czy nie powinniśmy po powrocie do Nairobi zawiadomić policji? —

spytał Ken.

Ngili namyślał się chwilę. — Nie robiłbym tego — odrzekł. — To najlepszy sposób, żeby skomplikować kwestię naszego powrotu. Raczej

opowiedziałbym o wszystkim memu ojcu.

— A co on może zrobić?

— Wysłać tu zaufanych tropicielei, żeby przeszukali teren. Jeśli

uznają,  
że jest bezpiecznie, będziemy mogli wrócić i zająć się tą drugą zagadką.

Ken pomyślał o drugiej zagadce. O owej tajemniczej istocie.  
Pozostawia

ją w groźnym sąsiedztwie tamtych, nie znanych im, uzbrojonych ludzi.

Skierował wzrok ku skalnej palisadzie.

Ngili podążył za spojrzeniem przyjaciela. — Daj spokój — rzekł mięk-

ko. — Tamto stworzenie zna sawannę lepiej od innych i lepiej potrafi się

ukryć. Chodź już, pomóż mi.

Zaczął oczyszczać skamieniałe cierniste gałęzie. Pomagając mu,

Ken

powtarzał nieustannie: — Co się, u diabła, dzieje?

Ngili wzruszył ramionami, wyraźnie zatroskany.

Mimo tego, co się właśnie wydarzyło, obaj nieśli do samolotu skamieniałe

rośliny z największą ostrożnością.

Będąc już w samolocie, Ken przeczesał palcami włosy, poprawił ubranie i... zdał sobie sprawę, że zgubił zapalniczkę. Pomyślał, czyby jeszcze nie wyskoczyć, żeby jej poszukać, ale mógł ją upuścić w wielu miejscach, także biegnąc i strzelając do safari cuba. Poczuł się nieswojo, zostawiając łatwo palny przedmiot, tyle że za miesiąc busz i tak zupełnie wyschnie, a promienie słoneczne wywołają więcej naturalnych pożarów, niż

mógłby spowodować człowiek.

Hendrijs kazał im położyć bryłę brekcji z prawej strony kadłuba i siaść obok niej. Dzięki dodatkowemu obciążeniu obniży się prawe skrzydło, przez co opadnięte lewe uniesie się o parę stóp. Zrobili, jak im kazał, i rzeczywiście skrzydło uniosło się tyle, że przestało trzeć po ziemi. — O to chodzi — stwierdził Hendrijs. Teraz jest gotów zaryzykować.

Cofnął beech lightninga do przewróconego samochodu, zawrócił i na

przyspieszonych obrotach skierował go w stronę niskich skałek. Wpadł na nie

zrećnie, podrywając maszynę do lotu.

Skrzydła natychmiast wróciły do równowagi, a beech lightning poszybował

w górę. Wszystko pod nimi zaczęło stawać się nierealne. Ken rozpostarł ręce

w ochronnym geście nad skamieniałością, przekrzywił szyję i przywarł twarzą

do okna, lustrując busz w poszukiwaniu obozu kłusowników. Zobaczył jedynie rozległą żółtą przestrzeń, poznaczoną sylwetkami zwierząt, lecz poza

tym majestatycznie pustą.

Hendrijs wziął kurs na południe, aby mieć absolutną pewność, że nie

uderzy w nich znowu jakiś gwałtowny wiatr. Po chwili włączył radio i zaklął: — *Got Verdomma*, a niech to! A to ci heca! — W znów sprawnym

radiu pokładowym rozległy się trzaski. Skontaktował się z lotniskiem Embakasi

i oznajmił o ich przybyciu.

Potem radio przejął Ngili, by połączyć się z ojcem.

Ken jednym uchem słuchał rozmowy przyjaciela. Tak naprawdę wsłuchi-

wał się w siebie, przywołując wspomnienie samego siebie, butów miażdżących

osypisko sawanny, uderzeń stóp dudniących o ziemię, gdy podążał w ślad za

innym łowcą. Czy to możliwe? Czyżby zawsze spodziewał się takiego spotkania? A teraz dane mu było je przeżyć?

„Zespół Duboisa!” — zauważył w duchu i posłyszał chichot Randalla

Phillipsa.

Nie, to niemożliwe. Mimo napięcia nerwowego i wyczerpania był zdrowym młodym człowiekiem, badaczem, cierpliwym i zazwyczaj



sceptycznym człowiekiem nauki. Musiał tu wrócić, to wszystko. Wróci tu jako naukowiec.

Rozluźnił się w fotelu i zamknął oczy. Ledwo jednak to uczynił, powróciła ta niestrudzona myśl, krążąca niby sęp nad sawanną: „Co się dzieje? Co tu się dzieje?”

Łowca polujący kamieniami obserwował safari cuba z odległości paruset stóp, czyli z tej odległej perspektywy, w której dla jego oczu przedmioty stawały się płaskie, a ich względna wielkość\* i położenie — nieostre. Z tego powodu strzelanina, przewrócenie furgonetki i szaleńcza ucieczka obcych zrobiła na nim wrażenie zabawnie nierzeczywiste. Lecz mimo to, tak go to wszystko zafascynowało, że zacisnął pięści długich rąk. Jedna z nich zamknęła się na kamieniu myśliwskim, ściskając go precyzyjniej i szczelniej, niż zrobiłaby to jakakolwiek małpa.

Furgonetka znieruchomiała parę chwil po tym, jak się ukazała, zupełnie jakby jakieś wielkie zwierzę sawanny, szarżujący bawół wodny albo nosorożec, zostało śmiertelnie ukąszone przez jadowitego węża. Ale łowca nie widział nigdy, żeby wąż tak natychmiast unieszkodliwił tak wielkie zwierzę.

Szarżująca jeszcze przed chwilą istota pozostała nieruchoma, a przybysze pospieszyli z powrotem do swojej bulwy, której blask przyblakł po burzy pyłowej. Przekonało to łowcę, że to, co widzi, nie jest snem, wiedział bowiem, że burza pyłowa rozpętała się naprawdę. Bulwa poruszyła się z hałasem. Żyłła. Obróciła się i łowca znowu zobaczył skrzydła rozpostarte jak u insekta. Rzeczywiście zachowywała się jak wielki owad, poruszający się i buczący, jakby powracał do życia po zimnej nocy albo deszczu.

Uleciała na skrzydłach, wzbijając się wysoko, wyżej niż jakikolwiek widziany dotąd przez łowcę owad, nawet jeśli unoszony był do góry silnym powiewem wiatru. Spodziewał się, że jakiś ptak, sęp albo marabut spłynie w dół i wydziobie z nieba lśniącego owada-bulwę. Ale żaden ptak nie połasił się jakoś na tę łatwą zdobycz, chociaż owad-bulwa był duży, hałaśliwy i pozostawał na niebie dłuższą chwilę.

Wreszcie odleciał, nie tknięty, znad sawanny. Zniknął za horyzontem. Niebo znów stało się ciche i puste.

Wszystko się skończyło, jakby zbudził się w dobrze znanym świecie. Może to tylko sen?

Ale nie, tak nie było. Wracając do ukrytego wśród skał legowiska, łowca nastąpił na zapalniczkę leżącą parę cali od ścieżki, którą i on, i przybysz

przemierzali tam i z powrotem. Zapalniczka była prawie niewidoczna pod

wielkim dłoniastym liściem, ciężkim od pyłu. Ją też pokrywał pył, kiedy

jednak nadepnęła na nią długopalcą stopa łowcy, naga skóra doświadczyła

znów tego wrażenia jakby z innego świata.

Schylił się po zapalniczkę. Gdy ją podnosił, osadzona na niej warstewka

pyłu osypała się, a jego długie palce zbadały jej powierzchnię. Całkowicie

gładka, pozbawiona włókien i ziarnistości, kończąca się równymi, prostopad-

łymi krawędziami (wszystko inne w sawannie kończyło się szorstkimi, nieregularnymi brzegami albo rozpływało amorficznie). Zmusił mózg do przyjęcia tych nowych informacji. Straszliwie zaciekawiony obrócił zapal-

niczkę w długich palcach, uświadamiając sobie bez słów, że istota, która ukradła jego kamienie myśliwskie, zostawiła w zamian ten dziwny, mały kamień.

Przywołał w pamięci obraz twarzy dziwnego przybysza, którego obser-  
wował dzień wcześniej z odległości zaledwie paru jardów. Twarz ta różniła się od jego własnej. A jednak pewne rysy, zwłaszcza osadzenie oczu i właściwości spojrzenia, zdawały się niepokojąco podobne. Równie niepokojący był sposób, w jaki obcy się poruszał.

Trzymając w dłoni ów przedmiot, mały łowca ujrzał oczami wyobraźni wysokiego przybysza tak blisko, iż wydawało się, że dokonała się między nimi cicha zamiana. Jakby zmaterializowała się dziwna tęsknota, wywołując jednocześnie przecucie dalszych spotkań. Przecucie to zagnieździło się w mózgu brązowoskórego chłopca hominida.

# **Część druga**

**ŻYWY**

**PLIOCEN**

# 1

Zlotu ptaka Nairobi — ze swym centrum o wysokich gmachach oraz niskimi, rozległymi przedmieściami — niczym się nie różniło od jakiegoś amerykańskiego miasta. Port lotniczy imienia Jomo Kenyatty, nazywany przez wielu, jak dawniej, Embakasi, wyglądał jak dziwna kałamarnica z betonu, a terminale wyciągały się niczym macki ze sferycznego

tułowia.

Karłowate zarośla na pustynnych nieużytkach wokół lotniska poprzecinane były drogami. Kiedy Ken przybył do Afryki po raz pierwszy, biegały jeszcze tędy antylopy, a dziesięciomilowa droga do stolicy prowadziła wzdłuż miłych dla oka pól usianych drzewami akacji. Teraz stada zniknęły, a na drogach tłoczyły się pojazdy. Pola kurczyły się, wchłaniane przez dzielnice baraków. Bezprawni lokatorzy wycięli większość akacji, używając drewna na podpałkę.

Hendrijs zniżył lot nad miasteczkiem slumsów — domków z tektury, namiotów zszytych z plastikowych toreb oraz wiejskich szałasów z gałęzi przykrytych szmatami. Wiele z tych siedzib nie miało dachów, jako że pora deszczowa dobiegła końca i łatwiej było zdjąć dach, by wpuścić światło i świeże powietrze, niż wycinać okna w kruchych ścianach. Wewnątrz matki karmiły piersią niemowlęta albo gotowały, natomiast starsze dzieci ze

wzniesionymi głowami machały przelatującemu samolotowi.

Kiedy zbliżyli się do pasa startowego, Hendrijks nakazał obu pasażerom przesunąć się na prawą stronę maszyny, po czym wylądował ze zgrzytem.

Koniec prawego skrzydła zadrapał o asfalt, krzesając snop iskier, a potem

uniósł się zaledwie parę cali nad powierzchnią pasa. Hendrijks hamował tak,

że wszystkie spojenia samolotu skrzypiały z jękiem; maszyna potoczyła się

ku terminalowi dla awionetek.

Na pasie startowym stał samotny Afrykanin, wysoki i tęgi mężczyzna

w jaskrawoczerwonym kikoi, jednoczęściowej masajskiej szacie plemiennej.

Z niepokojem obserwował przechylony samolot. Kiedy maszyna podtoczyła

się bliżej, rozluźnił się i zamachał ogromną różową dłonią.

— *Um'tu* — uśmiechnął się Ngili, zrywając się z miejsca.

Hendrijs wrzasnął nań, by usiadł, podtoczył maszynę jeszcze parę jardów i zatrzymał ją przy siatce oddzielającej terminal od zarośli. Po jej drugiej stronie gęstwinę przecinał długi smołowany pas — nie ukończony jeszcze pas startowy dla odrzutowców.

Hendrijs otarł czoło i burknął w stronę Ngilego: — Widzę, że jest tu twój ojciec. Chcę, żeby mi wypisał dwa czeki. Jeden za tydzień latania, drugi za uszkodzenie samolotu.

— Tysiąc zapłaci ci teraz — odrzekł Ngili — ale jak możesz oszacować szkody bez przeglądu u mechanika?

Więc wyślę mu fakturę do biura. Chcę, by mi zwrócono koszty naprawy do ostatniego szylinga! — Ken dostrzegł gniew na przeżartej alkoholem twarzy Hendrijsa i miał ochotę się uśmiechnąć. Ojciec Ngilego

znał się na samolotach; zwróci koszty naprawy, ale ani centa więcej.

Boczne drzwiczki otworzyły się; Ken i Ngili wyskoczyli z samolotu.

W suchym powietrzu Nairobi unosił się zapach dymu. Słysząc było głośne trzaśnięcia, przypominające trzaskanie z długich batów afrykańskich pasterzy bydła, i podniesione gniewne głosy, na które Ken nie zwracał początkowo uwagi. Na afrykańskich lotniskach często zdarzały się różne niepokoje.

Jakub Ngiamena, poseł do parlamentu i dyrektor parków dzikiej zwierzyny, podbiegł, by uściskać pierworodnego. W fałdzistym kikoi wyglądał jak jeden

z wodzów plemiennych, którzy udzielili schronienia zmęczonemu wędrówką Davidowi Livingstone'owi. Założył tę szatę, by wyrazić szacunek dla swego dziedzictwa, lecz także dlatego, by skryć pod nią swoje czterysta funtów wagi. Ngili wyglądał w jego uścisku niczym cienka żyłasta łydoga.

Przy szklanych drzwiach terminalu — które oczom Kena, przywykłym do sawanny, wydawały się przez chwilę czymś bardzo dziwnym — dostrzegł młodszą siostrę Ngilego, Yinke, pracującą jako reporterka w „Nairobi Daily Herald”. Ona także była wysoka, szczupła, ubrana w kikoi barwy głębokoniebieskiej. Na czole lśniło jej złoto.

Zamachała ręką, ale Yinke nie odmachała, tylko utkwiała w nim spojrzenie.

Jak wszyscy Ngiamenowie, miała fantastyczne, czarne jak dżet oczy.



Jakub Ngiamena wypuścił z ramion syna i objął Kena. — Jak się masz, najlepszy przyjacielu mego syna? — zapytał z emfazą. — Pospieszcie się, chodźmy! — przynaglił jednym tchem, spoglądając z troską gdzieś poza samolot.

Ken podążając wzrokiem za spojrzeniem Ngiameny, popatrzył przez siatkę na nie dokończony pas. Obok znajdowało się obozowisko bezdomnych. Przez parę sekund wyraźnie widział lśniący w upale pas czarnej smoły oraz małe, pomarszczone domki i namioty. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Szwadron buldożerów uderzył na obozowisko, taranując lemieszami baraki i namioty, które waliły się przy pierwszym dotknięciu. Mężczyźni, kobiety i dzieci uciekali z osiedla przez nie dokończony pas w stronę lotniska. W parę sekund drucianą siatkę pokryły brązowe ręce i nogi wspinających się po niej ludzi.

Za ich plecami buldożery atakowały następny rząd baraków i namiotów, przeganiając kolejną falę mieszkańców w stronę lotniska. Biegając, schylając się i znów biegnąc przed buldożerami, wyglądali jak wierni zaskoczeni podczas modlitwy trzęsieniem ziemi. Kobiety pochylały się, by podnieść dzieci, mężczyźni chwyтали materace oraz przybory kuchenne i rzucali się, by złapać kurczaki i nie spętane kozy. Któraś z maszyn dosięgła kilku przywiązanych do słupka kóz, miażdżąc wierzgające i beczące zwierzęta.

Trzaśnięcia bata okazały się strzałami z broni palnej. W powietrzu krążył policyjny helikopter, a grzmiący głos z megafonu ostrzegał mieszkańców obozowiska, po angielsku i w suahili, by trzymali się z dala od lotniska. Policyjne i wojskowe furgonetki pędziły po nie ukończonym pasie, by dołączyć do buldożerów. Hałas silników stał się ogłuszający.

— Co się dzieje? — wrzasnął Ngili do ojca.

— To ruandyjscy uchodźcy! — odkrzyknął tamten. — Przenikają do

naszych slumsów, więc armia ich wyrzuca. Pospieszcie się. Przywieźliście coś ze sobą?

— Kilka bardzo cennych kości! Wciąż są w samolocie!

— Więc wyciągnijcie je szybko albo możecie o nich zapomnieć!

Krzyczeli do siebie jak w czasie burzy. Ken pognął do samolotu, wskoczył do środka, a Ngili tuż za nim. Ngiamena spojrział na siatkę, która

wygięła się pod ciężarem uciekających. Jeszcze parę sekund i nie wytrzyma.

Przyjaciele wygramolili się z samolotu, taszcząc kawał brekcji. Podeszła do nich Yinka, która mimo całego tego zamieszania poruszała się bez pośpiechu. Na jej czole lśnił tradycyjny złoty łańcuszek zawieszony tuż nad brwiami.

— Zostały jeszcze kości w samolocie. Yinka, możesz nam pomóc?

—  
wydyszał Ngili.

Spojrzała nań niczym księżniczka poproszona o wykonanie pracy fizycz-

nej. Miała bardzo masajską twarz — pociągłą, o małym prostym nosie, rzeźbionych nozdrzach i delikatnym dołeczku w górnej wardze. Uniosła długą dłoń o naturalnie różowych paznokciach i odsunęła złoty łańcuszek z nad brwi.

— Ruszaj się, Yinka! — nakazał Ngiamena. Jego głos tchnął w jej eleganckie ruchy więcej pośpiechu.

Wreszcie siatka załamała się pod ciężarem paruset mężczyzn, kobiet

i dzieci. Ken zobaczył, jak jakaś kobieta, siedząca na padającym ogrodzeniu, usiłuje podać dziecko mężczyźnie, który zeskokczył na pas. Mężczyzna potknął się i zniknął, ona zaś upuściła dziecko na stos padających z krzykiem ciał.

Ngili szarpnął kawałem brekcji, pociągając wraz z nim Kena w stronę terminalu. Yinka i Jakub zabrali z samolotu ostatnie zawiniątka z kośćmi, podczas gdy Hendjks wrzeszczał coś o pieniądzach. Hałas był tak wielki, że Jakub raczej odczytywał słowa z ruchu jego warg, niż słyszał, co mówi. Uciekinierzy, którzy runęli wraz z siatką, znowu ruszyli naprzód i zbliżyli się tak bardzo, że pilot, zapomniawszy o pieniądzach, pognął bronić samolotu.

Ngiamena pospieszył za Ngilim, Yinką i Kenem. Szklane drzwi terminalu otworzyły się przed nimi z mechanicznym syknięciem.

Hendrijs wdrapał się na samolot, złapał strzelbę i znieruchomiał z bronią gotową do strzału, póki wojsko i policja nie zepchnęły uchodźców z powrotem

na teren, gdzie buldożery miażdżyły i równały z ziemią ostatnie domy. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Widział już w Afryce dosyć panicznych

ucieczek zarówno zwierząt, jak i ludzi, ale ta odbyła się tak blisko niego. Słyszał, jak Ngiamena mówił, że ci ludzie to Ruandyjczycy, ale dla niego

wyglądali zupełnie tak samo jak bezdomni Kenijczycy — mieli brudne kikoi,

porwane podkoszulki i dzinsy, stopy bose lub w sandałach na podszwach

z opony. „Ci wszyscy to tylko czarni, których Brytyjczycy jak idioci obdarzyli

wolnością w latach sześćdziesiątych. Od tamtej pory nie ma w tym kraju przyzwoitych rządów. Do diabła, co ci Brytyjczycy sobie wtedy myśleli? I to

po najkrwawszych powstaniach, kiedy biały człowiek nie mógł wyjść do wychodka, nie narażając się na kulę partyzanta.”

W budynku terminalu Ngiamena wezwał dwóch bagażowych; obaj byli

bosi, ale na głowach nosili służbowe czapki. Wytrzeszczyli oczy na widok

Kena i Ngilego taszczących bryłę ziemi, po czym pospieszyli z pomocą. Młodzi naukowcy pokazali, jak należy ją ostrożnie przenieść.

— Dzięki, Yinko — powiedział Ken, rozcierając podrapane rękę. Dziew-

czyna wciąż trzymała kilka kości; pozbawione opakowania skamieniałe

prehistoryczne szczątki ocierały się o jej eleganckie kikoi. — Znaleźliśmy

z Ngilim niewiarygodną skamieniałość.

Obdarzyła go chłodnym uśmiechem. — Cieszę się wraz z tobą, osadniku.

Być nazwanym „osadnikiem” w Kenii, to tak jak usłyszeć w Ameryce, że

jest się „białym śmieciem”. Ken zignorował obelżywe określenie, nie pierwszy

raz słyszał je z jej ust. Tego dnia Yinka nosiła niewiele ozdób. Wcześniej

widował na jej czole cały sklep jubilerski. Chodziła wtedy potykając się, gdyż

ledwo co widziała spoza rozkołysanej, podzwaniającej masy ozdób.

Przeszli pospiesznie przez terminal i opuścili go głównym wyjściem. Na

zewnątrz wszystko wyglądało spokojnie. Wielka tablica dumnie

informowała o milionie turystów odwiedzających co roku kraj, choć wszyscy wiedzieli, że rzeczywista liczba jest znacznie niższa. Mali ulicznicy rzucali się ku samochodom z ociekającymi wodą szmatami. Dorośli mężczyźni głośno zachwalali zielone banany i kawę w torebkach. Kobiety wymachiwały ulotkami reklamującymi wyprawy safari, hotele i sklepy z osobliwościami.

Ngiamena poprowadził ich do zaparkowanego samochodu, który wyglądał jak pokryty śniegiem, gdyż czwórka uliczników mydliła go zawzięcie. Wrzasnął na nich, by spłukali wóz, co też uczynili chlapiąc mydlinami z blaszanych kubłów. Był to „Mercedes 600”, nieco poszczerbiony, z odrapanymi drzwiami i bez jednego talerza osłaniającego piastę koła, ale zawsze co mercedes to mercedes, zwłaszcza w Afryce.

Ken zostawił swojego landrovera na posesji Ngiamenów, na ekskluzywnym przedmieściu Karen. Spytał więc ojca Ngilego, czy mogliby po drodze

zatrzymać się przy pracowni fotograficznej, pragnął bowiem jak najszybciej wywołać zdjęcia odcisków stóp. Ngiamena zgodził się, rzucił dzieciakom garść monet i zapłacił bagażowym. Ngili i Ken z największą ostrożnością załadowali kości do luksusowego samochodu.

— *Um'tu*, Yinka, natrafiliśmy na wręcz fascynującą skamieniałość, w niezwykłym środowisku naturalnym — powtarzał raz po raz Ngili, ale nie wyglądało na to, by dzielali jego entuzjazm. — Co się z wami dzieje?

— Sytuacja tutaj stała się bardzo napięta — stwierdził Jakub Ngiame-

na. — Armia odsyła Ruandyjczyków samolotami do domu. Żeby jednak to zrobić, trzeba najpierw ich znaleźć, więc policja organizuje naloty na osiedla slumsów. To bardzo źle, ale Ruandyjczycy naprawdę stanowią wielkie obciążenie dla naszej opieki społecznej... — Na wzmiankę o opiece społecznej siedząca obok Yinka uniosła półkoliste brwi.

Ngili utkwił spojrzenie w ojcu. — Jacy Ruandyjczycy, *um'tu*. I Ci biedacy nie wyglądali na Ruandyjczyków.

— Cóż, policja twierdzi, że nimi są. Nazwano tę operację „Wielkie Porządki”. Yinka, siądź ze mną z przodu. Chłopcy, możecie wziąć tę bryłę na kolana?

— Jest za ciężka, *um'tu*. Podłóżę pod nią koszulę.

Ngili ściągnął koszulę i rozłożył ją na tylnym siedzeniu, obaj przyjaciele usiedli przytrzymując między sobą brekcję, Yinka zaś usadowiła się z przodu, obok ojca.

Akurat w chwili gdy Ngiamena uruchamiał rozrusznik, rozległ się głęboki pomruk silników bardzo nisko lecącego samolotu. Trudny do zniesienia hałas

wypełnił wnętrze wozu. Armia przekupniów na ulicy uniosła głowy, obserwując transportowiec z oznaczeniami armii kenijskiej na skrzydłach, który zdawał się bliski opadnięcia na jezdnię.

Potem skierował się w stronę miasta. Wykorzystując nieuwagę innych kierowców, Ngiamena podjechał samochodem na rampę prowadzącą na sześciopasmową trasę szybkiego ruchu. Ukończono ją zaledwie przed niecałym

rokiem, ale nawierzchnia na połowie jezdni już się nie nadawała do użytku.

Ken wyjrzał przez okno i zobaczył, że samolot leci z najwyższym trudem ku

Ngong Hills, gdzie pomiędzy polami golfowymi i terenami do jazdy konnej

leżały najbardziej ekskluzywne przedmieścia.

— Dlaczego leci tak nisko? — zapytał nerwowo. Wyglądało to tak, jakby maszyna miała uderzyć w niebieskawy grzbiet wzgórz.

— Bo na przestrzeni przeznaczonej dla stu osób słoczono dwustu uchodźców — wyjaśniła Yinka z przedniego siedzenia. — A także, by

przekazać pewne przesłanie. Pomyśl tylko: co tam się znajduje? — zapytała

wskazując Ngong Hills.

— Wasz dom? — zaryzykował Ken.

— Zimno, osadniku.

— Zagraniczne ambasady? — spróbował jeszcze raz.

— Robi się cieplej.

— Rezydencja amerykańskiego ambasadora? — wyszeptał Ken, kiedy

samolot przeleciał tuż nad wzgórzami.

— Gorąco. Aż pali. Te samoloty będą wciąż latały nad rezydencją ambasadora amerykańskiego, aż on i inni dyplomaci przyjmą do wiadomości

przesłanie: „Mamy u siebie Ruandyjczyków, pomóżcie nam”. — Yinka

urwała, spojrzała na ojca. — Są tacy, co twierdzą, że w operacji „Wielkie

Porządki” wcale nie chodzi o Ruandyjczyków, lecz o usunięcie ze stolicy

naszych własnych bezdomnych.

Chryste, cóż za sposób rozwiązywania problemów społecznych — mruknął Ken.

Czyż nie sprytny, osadniku? Oczyszczyć Nairobi i rozpocząć nową kampanię dla zdobycia zagranicznej pomocy. — Yinka posługiwała się jeszcze płynniejszym i nieskazitelnym angielskim niż Ngili. Wsparła długie

ramię na oparciu fotela i spojrzała prosto na Kena. — Założę się, że całą intrygę wymyślił jeden z naszych generałów, bo to zbyt sprytne jak na cywila.

— Skąd ci to przyszło do głowy, Yinko? — zapytał Ngiamena. — Nie

istnieje żaden przewrotny plan wystraszenia cudzoziemskich dyplomatów. —

Posłał pełen napięcia uśmiech w stronę tylnego siedzenia. — To dlatego, Ken,

że jesteśmy Afrykanami, ulegamy najbardziej ekscentrycznym porywom

imaginacji.

— Co o tym sadzisz, Ken? Czy nasi ruandyjscy uchodźcy są wyimagi-

nowani czy realni? — zapytała Yinka. Jej tęczęwki wydawały się głęboko

czarne, lecz kiedy padał na nie promień słońca, przybierały dalece cieplejszy

i miękniejszy odcień połyskliwego brązu.

Ken zaczął się mieć na baczności. Yinka próbowała wciągnąć go w dyskusję polityczną, a on postanowił jej na to nie pozwolić, chociaż w pamięci pozostał mu obraz kobiet i mężczyzn chwytających kurczowo

swoje dzieci i dobytek, z determinacją równą tej, z jaką on i Ngili chronili

swoją skamieniałość. Stłumił głos wewnętrzny, pytający nieustannie, co mógł

zrobić w związku z widzianą na lotnisku sceną. Prawda była upokarzająca —

nie mógł zrobić nic. Był tylko samotnym cudzoziemcem patrzącym na cierpiący kraj. Prezydent Donald Angus Noi zaprowadzał w Kenii



ewidentną dyktaturę; z każdym dniem kurczył się margines wolności. Nie był to już ten sam kraj, który Ken znał niegdyś.

— A tak na marginesie — rzekła Yinka, zwracając się do młodych ludzi — właśnie zlikwidowano moją gazetę. Zostałam bez pracy.

Co? — Ngili wyprostował się gwałtownie na siedzeniu. Jego zgrabny tors lśnił od potu wysychającego w klimatyzowanym wnętrzu samochodu.

— Yinko, żartujesz chyba? — spytał Ken.

Wcale nie. Nie ma już „Nairobi Daily Herald”.

Ken wyczuł w jej głosie gorycz. Yinka studiowała w Anglii dziennikarstwo

i wróciła do domu pełna ideałów na temat roli wolnej prasy w piętnowaniu

społecznego zła. Fakt, że posiadała ciepłą posadkę w najlepszej stołecznej

gazecie, pomagał jej oczywiście zachować ten idealizm, a dzięki wpływom

ojca mogła sobie pozwolić" na pisanie cierpkich artykułów o nieszczęściach kraju, unikając przy tym grzywny za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości.

Teraz jednak „Nairobi Daily Herald" został zlikwidowany jako ostatni z kilku najbardziej liberalnych i posiadających własne oblicze tytułów prasowych w kraju.

Ken zerknął na Jakuba Ngiamenę: prowadził bardzo ostro, mijając jadące

z przeciwnika wozy tak blisko, że ich boczne lusterka zdawały się celować w lusterko mercedesa, co zresztą było normalną praktyką na drogach Nairobi.

Zazwyczaj Jakub nie prowadził w ten sposób, teraz jednak dzielnie stawił

czoło jadącym z przeciwnika, spychał ich na zewnętrzne pasy, sam przy tym

ledwo poruszając kierownicą niemieckiego krążownika szos.

Coś się działo.

Ken natychmiast egoistycznie pomyślał o sobie. Czy sytuacja polityczna

wywrze wpływ na działalność naukowców-cudzoziemców, zwłaszcza na jego

pracę? Czy przypadkiem wpływy Ngiamenów nie zaczynały słabnąć? Starszy

pan odpowiadał dziś na pytania dzieci w szczególny sposób, przedstawiał im

mianowicie rządową wersję wydarzeń.

Ken odnosił znaczne korzyści z faktu, że praktycznie występował w roli

przybranego syna Ngiamenów. Kiedy musiał, na przykład, przedłużyć wizę,

co stanowiło problem dla każdego zagranicznego uczonego, wystarczyło, że

wręczył paszport Ngilemu, który przekazywał go ojcu, a już nazajutrz widniał

w nim nowy stempel wizowy — bez czekania czy łapówek. Istniały też inne

korzyści, natury mniej praktycznej, za to bardziej satysfakcjonujące emoc-

jonalnie, na przykład niespodziewane przyjęcie urodzinowe, jakie Ngiameno-

wie wydali na jego cześć, kiedy skończył dwadzieścia siedem lat, albo

zainteresowanie okazywane jego poglądom na temat Afryki; musiał jednak

wypowiadać je ostrożnie, gdyż Afrykanie w jednakowym stopniu przejawiali

ciekawość wobec opinii obcych, co drażliwość na ich punkcie. Ngiamenowie

zawsze ciepło witali Kena, gdy wracał z wykopalisk — przygotowywali

suta  
kolację i sadzali go przy stole naprzeciw Jakuba, króla plemiennego.  
Oczywiście powstawały także pewne problemy w ich wzajemnych  
stosunkach,  
wywołane choćby wyczuleniem na fakt, że Ken jest Amerykaninem, czy  
też  
ich wysiłkami, aby przeciągnąć go na swoją stronę podczas sporów  
politycz-  
nych. Mimo to nie potrafił on sobie wyobrazić Afryki bez Ngiamenów,  
przez  
co jeszcze trudniej było mu patrzeć, jak się między sobą spierają.

— Yinko, dość tych nonsensów — odezwał się szorstko Jakub. —  
Rząd  
nie zamknął twojej gazety.

Wygięła pogardliwie usta, ukazując jaskraworóżową, jak dojrzały  
owoc,  
wewnętrzną stronę warg. — Wiem, to czysty przypadek.  
Opublikowaliśmy  
specjalny raport o Nairobi. O przestępstwach na ulicach, o upadku  
miasta,  
które nazywaliśmy kiedyś miastem kwiatów, o pojawieniu się szakali  
w slumsach, jako interesującego skutku ubocznego dyktatury. Nazajutrz  
prezydent po prostu wezwał swych doradców ekonomicznych i  
wywindował  
cenę papieru drukarskiego na niezwykle wygórowany poziom.

— Yin-ko! — Z boku szyi Jakuba wystąpiła żyła.  
— Tak, *urn'tul* — zapytała udając grzeczną córeczkę.  
— Nie mamy dyktatury. Owszem, są rządy ciężkiej ręki, panuje zamieszanie, zbyt często popełniamy błędy. Ale jesteśmy wolni. Przelewaliśmy krew za naszą wolność, i to nasza sprawa, jak ją teraz wykorzystujemy!

Głos Jakuba wypełnił samochód. Yinka przymknęła na sekundę oczy, po czym odemknęła je do połowy, jakby sącząc niemą odpowiedź na wybuch ojca. Jakub ciągnął dalej, tyle że parę decybeli ciszej. — Daliśmy wam, naszym dzieciom, wolność, pieniądze, możliwości. Piękne, kosztowne zabawki, którymi my w dzieciństwie nie mogliśmy się bawić. Ale teraz mamy poważne problemy, czas więc, żebyście odłożyli swoje zabawki.

Ngili pochylił się naprzód. — *Um'tu*, przestań — poprosił.

Oczy Yinki błysnęły — ktoś kiedyś powiedział, że Masajowie czerwienią się białkami oczu. Ken czekał na wybuch urażonej dumy, ale odpowiedziała zaskakująco łagodnie. — W porządku, Ngili. Zajmę swoje miejsce w społeczeństwie afykańskim, jak przystało na kobietę. Dzięki, *um'tu*. Możesz zabrać z powrotem moją zabawkę.

— Ależ Yinko, to nie ja... — Jakub pokręcił z rozdrażnieniem głową. Nagle jego dłonie zamarły na kierownicy.

Matatu, nairobijska hybryda taksówki i pick-upa, pędziła z przeciwną prędkością prosto na nich. Kiedy dystans między pojazdami zmniejszył się, Murzyni załadowani na platformie powstali i zaczęli wydawać radosne okrzyki. Ngili uniósł się na tylnym siedzeniu. Yinka wpatrywała się z rozdziawionymi ustami w zbliżający się z każdą chwilą pojazd. Ken zobaczył, że Ngiamena skręca kierownicę, by zjechać na pobocze, ale kierowca matatu pierwszy stracił nerwy i zjechał na bok, a jego pasażerowie powpadali na siebie, nie przestając ani na chwilę wiwatować.

Jakub odetchnął ciężko i wrócił na środkowy pas. — Większość mężczyzn na tej ciężarówce ma żony i dzieci... Widzieliście, jak igrali ze śmiercią? — Krople potu spływały mu ze skroni po delikatnych arabeskach kręconych siwiejących włosów. Otarł je grubym kciukiem. — Afryka, co? —

rzucił

w stronę Kena. — Chyba dam już spokój. No więc, Ngili... cóż tak fascynującego wykopaliscie? — Nadal nie słyhać było w jego głosie entuzjazmu, ale może odczuwał zmęczenie.

— Szkielet australopiteka. Jeśli jego stopy pozostały nietknięte —

Ngili

postukał w brekcję — zyskamy nowe dane na temat dwunożności i dzięki nim

wypłyniemy z Kenem na szersze wody. Powiedziałeś, *um'tu*, że zatrzymasz

się przy sklepie fotograficznym.

— Pamiętam, synu. Już jedziemy. — Jakub zjechał na spękane pasmo

jezdni prowadzącej do zadymionego i ruchliwego centrum.

Parę minut później mercedes posuwał się cał za całem zatłoczoną śródmiejską ulicą, wypełnioną spalinami matatu, wtłoczony pomiędzy po-

wgniatane samochody osobowe i ciężarówki wszelkich możliwych roczników.

Ruch odbywał się tak wolno, że Ken zaproponował, iż wysiądzie, pobiegnie

do sklepu fotograficznego i dogoni ich za następną przecznicą. Ngili też

chciał pójść, ale ojciec go zatrzymał. Mieli do omówienia pewne sprawy rodzinne.

Ken przypuszczał, że chodzi o przygotowania do rychłego małżeństwa

Gwee, młodszego brata Ngilego. Dwa dni przed odlotem na Dogilani Ken

i Ngili dostarczyli landroverem dziesięciogalonowy baniak miodu do domu

narzeczonej. Miód symbolizował zamiar poślubienia dziewczyny przez Gwee.

Zwany po masajsku *esiret e nkoshoke*, „dar żołądka”, miał zostać zjedzony

przez członków klanu narzeczonej w wypadku przyjęcia oświadczeń. Zgoda

oznaczała, że baniak nie pojawi się z powrotem przed frontowymi drzwiami

domu narzeczonej. Przyjaciele czekali tam przez godzinę i nic podobnego nie

nastąpiło. Wrócili więc do rezydencji Ngiamenów i zakomunikowali Gwee,

żeby pojechał osobiście z o wiele większym ładunkiem miodu, który posłuży

do przygotowania *tembo*, miejscowego piwa dla męskich krewniaków narzeczonej.

Ngiamenowie postanowili, że ślub Gwee będzie miał oprawę bardzo

tradycyjną. Dziewczęta z rodziny ćwiczyły masajskie tańce, a wynajętą w hotelu „Naivasha” salę dekorowano tarczami i włóczniami. Obie

rodziny wymieniały opinie, co należy zrobić, żeby wszystko wypadło jak najauten-

tyczniej, obie bowiem należały już do miejskiej elity i od chwili zdobycia

niepodległości ani nie polowały, ani nie wypasały bydła na sawannie.

Ken pomknął pomiędzy kopącymi samochodami w stronę piętrowego

pawilonu handlowego. Wspiął się na piętro, przebiegł pod migoczącym neonem „Theo — Wyposażenie Safari i Zakład Fotograficzny — zdjęcia w godzinę” i wszedł do środka.

— Nie zdołam wywołać twoich zdjęć przed siódmą — wyjaśnił Theo,

tegi, gadatliwy mężczyzna o greckich rysach. — Kończę poważne zlecenie

dla Hindusów wyjeżdżających z kraju. Na pożegnanie zrobili chyba z milion

fotografii swego domu i basenu. — Przyczepił nalepkę do filmów

Kena

i wrzucił je do kosza z napisem „Do zrobienia”.

— W porządku. — Ken spojrział na zegarek. Dochodziła piąta po południu. — Pod warunkiem że dostanę je do wieczora...

Na widok błyszczących oczu Kena — wychudzonego, opalonego i brud-

nego — Theo odczuł podniecenie, jeszcze zanim wrzucił jego film do kuwety

z wywoływaczem. Od lat zajmował się fotografiami Kena, sprzedawał naukowcom ekwipunek do safari i czuł się związany z tym środowiskiem.

— Czy to jest to? To wielkie? — zapytał mając na myśli odkrycie, które

uczyniłoby z Kena gwiazdę w świecie paleontologii.

— Być może. — Na myśl o tym, jak cenne może się okazać znalezisko,

krwew poczęła szybciej krążyć w żyłach Kena, jak po łyku czystego spirytu-

su. — Theo, muszę cię o coś prosić. Będziesz pierwszą osobą, która zobaczy,

co jest na tych zdjęciach. Nie mów o tym nikomu, dobrze?

— Nie martw się. Jestem profesjonalistą. Poza tym... — Twarz  
Thea

o ciemnej karnacji pociemniała jeszcze bardziej. — ...Nie podoba  
mi się to,

co tu się dzieje, więc obaj z bratem także niedługo stąd wyjeżdżamy.

— Żartujesz chyba. Dokąd jedziecie?

— Jak sądzę, na południe, może spróbujemy do Johannesburga.

Pan

Mandela wydaje się kontrolować sytuację. Albo do Teksasu —  
mamy tam

kuzyna.

— To rzeczywiście południe. Uwielbialiby tam „tamte rzeczy”.

„Tamte rzeczy” wypełniały resztę sklepu: pistolety i strzelby  
myśliwskie,

Isnące chłodnym blaskiem metalu, sprzęt do podpatrywania i słuchania

—  
lornetki, noktowizory na podczerwień, superczułe mikrofony zasilane  
baterią

i pozwalające wyłowić najskrytsze odgłosy sawanny. Chcesz mieć  
nocne

kaszlnięcie lamparta? Chrupanie i ciamkanie szczęk hieny? Możesz to  
wszystko mieć, kupując te najnowsze gadżety.

— Potrzebujesz coś z tych cacek? — spytał Theo. — Obniżam ceny  
z dnia na dzień.

Ken znów spojrzął na zegarek, mercedes zapewne wciąż jeszcze  
wlecze

się przy tej samej przecznicy. Przeszedł do działu ze sprzętem do  
safari.

Chciałby tyle zarabiać, żeby móc kupić sobie wiele z tych rzeczy. Theo  
spróbował wepchnąć mu telefon komórkowy „Iridium” z miniaturową  
antenką.

Ważył tylko dwanaście uncji, łącznie z baterią litową. Pozwalał  
połączyć się

z dowolnego miejsca na Ziemi z jakimkolwiek innym miejscem, byle  
tylko

wyposażonym w telefon, dzięki przesyłaniu sygnałów poprzez sieć  
siedem-

dziesięciu siedmiu satelitów umieszczonych na niskich orbitach.  
Dlatego

właśnie nadano mu miano siedemdziesiątego siódmego pierwiastka na  
tablicy

Mendelejewa.

— Nie, dzięki. Nie potrzebuję nic tak wymyślnego.

— Tylko tysiąc dolców, Ken. — Theo wymienił cenę ze zbolałą  
miną. —

Możesz zadzwonić do matki w Oakland prosto z dżungli. Kiedy  
rozmawiałeś

z nią ostatni raz?

— Odwiedziłem ją na Boże Narodzenie.

Dobrze się miewa?

— Pewnie. Świetnie.



Oczywiście wyobraźni Ken ujrzał wysoką, chudą kobietę, odzianą w ubranie z włókna naturalnego, jak przytuliła go sztywno, kiedy przyleciał do Oakland. Górną wargę znaczyły jej drobne pęknięcia naczynek włosowatych — wynik wieloletniego nałogowego palenia. Zapach papierosów był zapachem jego dzieciństwa. Matka nadal paliła, ale stosowała dietę makrobiotyczną i pisała książkę kucharską w stylu New Age. Po paru latach, podczas których ich kontakty ograniczały się do wysyłania pocztówek, Ken polecał, by ją odwiedzić. Chcąc się nim pochwalić, wydała przyjęcie w tym samym drewnianym domku, w którym się wychował. Grała muzyka w stylu New Age oraz Grateful Dead. Niektórzy przyjaciele matki znali ojca Kena, listonosza. Spędził pięć dni w drewnianym domku w Oakland, czekając, że matka

o coś go zapyta, o cokolwiek — o to, jak żyje, kim jest. Zamiast tego poprosiła, by przysłał jej afrykańskie włókna naturalne i przepisy kulinarne.

— Ken, będzie mi ciebie brakowało, chłopie — rzekł spontanicznie Theo. Spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, jak dwaj mężczyźni, którzy dotąd

nie spostrzegli, jak stali się sobie bliscy.

Mały gazeciarz wrzucił za ich plecami do sklepu popołudniowe wydanie

„East African Standard”. Theo podniósł gazetę, spojrzął na stronę tytułową

i zmarszczył brwi. Nagłówek brzmiał:

**„RICHARD LEAKEY PRZYŁĄCZA SIĘ DO KENIJSKIEJ OPOZYCJI W LONDYNIE. ZDRADA SŁYNNEGO UCZONEGO ROZGNIEWAŁA AFRYKANÓW”.**

Poniżej zamieszczono zdjęcie rozwścieczonego tłumu obalającego bramę kenijskiej posiadłości Leakeya.

— To się musiało stać — rzekł Theo, prawdziwie po koleżeńsku zatroskany. — Jakiej reakcji rządu mogą oczekiwać inni naukowcy? Ciebie

to nie dotyczy, Ken, obracasz się we właściwym towarzystwie.

— Nie bądź tego taki pewien — mruknął Ken, przypomniawszy sobie

niezwykłe zachowanie Jakuba w samochodzie. Wypatrzył teraz niewielką,

gęsto zapisaną notkę, której nie zauważył za pierwszym razem. Wciśnięto

ją — na lewo od relacji o Leakeyu — pod tytułem

**„Z BIURA PREZYDENTA REPUBLIKI”.**

Odczytał ją tak szybko, że nic nie zrozumiał. Przeczytał więc ponownie.

„Z głębokim żalem zawiadamiamy — stwierdzało biuro prezydenta — że

z powodu nadużycia przez niektórych zagranicznych uczonych gościnności,

jakiej udzielił im nasz kraj, wszystkie prowadzone obecnie przez cudzoziem-

ców programy badawcze zostają natychmiast zawieszane. Celowość kon-

tynuowania każdego z nich zbada komisja rządowa, o której uprawnieniach

i zakresie działań zadecyduje parlament.”

Ken ■ rozluźnił kołnierzyk roboczej koszuli, zrywając przy tym nitkę

przytrzymującą górny guzik. Guzik potoczył się na podłogę, ale żaden z dwu

mężczyzn nie zwrócił na to uwagi.

— Cholera — rzekł współczująco Theo. — No to może się spotkamy w samolocie.

Ken poczuł, jak potężny ból głowy ściska mu skronie. Opierał mu się

w rozpaczliwej nadziei, że ogłoszenie nie oznacza tego, co napisano. Niejasne

wydawało się, co rząd rozumie pod pojęciem „natychmiast”. W Afryce był to

termin względny. — Muszę iść — rzucił odkładając gazetę.

— Dobrze się czujesz?

— Tak dobrze, jak można się spodziewać. Wpadnę o siódmej.

Ken wybiegł ze sklepu, panując już nad ogarniającym go popłochem, i ze zdziwieniem zauważył, że ulica wygląda normalnie. Szedł wśród różnobarwnego tłumu, obłany zimnym potem i spokojny. Może już nigdy nie będzie miał okazji wrócić na Dogilani.

Richard Leakey kierował niegdyś w Keni sprawami konserwacji pradawnych zabytków, mianowany przez rząd, który usiłował odzyskać wiarygodność i zapewnić sobie pożyczki zagraniczne. Ale prostolinijny Leakey nigdy nie współdziałał z reżimem, a teraz opowiedział się publicznie przeciw niemu.

Ken obawiał się, że wkroczenie uczonego na arenę polityki popchnie reżim ku jeszcze bardziej autorytarnym i paranoicznym rządóm. Usłyszał kolejny, unoszący się nad miastem wojskowy samolot. Zastanawiał się, co może nastąpić po operacji „Wielkie Porządki”. Stan wyjątkowy? Godzina policyjna?

Wydalenie cudzoziemców, w tym naukowców? Takie rzeczy zdarzały się w wielu rejonach Afryki — dlaczego nie miałyby przytrafić się tutaj?

Natężenie ruchu ulicznego i różnorodność jego form dodały mu odwagi.

Afrykanie, nieświadomi kryzysu, chcieli żyć, i to żyć radośnie. Nastolatki

tańczyły w rytm muzyki rap, wygrywanej na cynowych blaszankach.

Dziewczęta w bikini, szczebiocąc na balkonach, wcierały w czarną skórę

„Coppertone”. Biznesmeni w trzyczęściowych garniturach przystawali, by

kupić za parę szylingów zakłęcie od wędrownych znachorów kamba. Kobietom

wykonywano na chodniku *pedicure*. Rzemieślnicy rzeźbili w drewnie i kuli

brąz. *Pipit*, mali ulicznicy, nazwani tak od szybko biegającego ptaka z buszu,

pędzili tu i tam, oferując swoje usługi. Nawet zapachy odznaczały się podniecającą ostrością dymu palonych śmieci, słodkiej zgnilizny więdnących

owoców i potu rozgrzanych ciał.

Musiało istnieć jakieś wyjście z tego dylematu. Może nowy dekret nie

wejdzie nigdy w życie? Wielu naukowców sponsorowały zagraniczne korporacje, zdolne wywierać znaczące naciski polityczne.

Przecznicę dalej Ken dostrzegł, jak Yinka wychyla się z mercedesa, by kupić numer „East African Standard”.

Pospieszył przez tłum, otworzył drzwi i wskoczył do środka. — Widziałeś,

co jest na pierwszej stronie? — zapytał. Ngili wpatrywał się w kawał brekcji. — To straszne, praktycznie rzecz biorąc nie mogę wrócić na Dogilani.

Ngili nie uniósł wzroku. Yinka rozłożyła gazetę na kolanach, ale nie

czytała. Jakub Ngiamena siedział w milczeniu za kierownicą.

— Co się dzieje? — zapytał Ken.

Unosząc gniewnie złoty łańcuch znad brwi, Yinka powiedziała, że ojciec

dopiero co nakazał Ngilemu zaniechać planów dalszych ekspedycji. Ze względu na sytuację polityczną Ngili miał się zameldować w najbliższy poniedziałek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na przyspieszonym szkoleniu i wstąpić do służby dyplomatycznej.

## 2

Słońce ponad sawanną rozpoczęło swą wędrówkę ku zamglonemu horyzontowi. Mały hominid siadł na wysokim *kopje*, stercie głazów przyciągniętych w to miejsce przed milionami lat przez sunący lodowiec albo gwałtowny napór lawy spływającej z wybuchającego wulkanu.

Doświadczonemu oku geologa żółtawobrazowy odcień głazów i nieregularna sieć pokrywających je pęknięć sugerowałyby raczej dryft lodowcowy niż wybuch wulkanu. Gdyby wypluło je ogniste gardło ziemi, miałyby barwę ciemnoszarą albo czarną i trudniej ulegałyby uszkodzeniu wskutek dobowych zmian temperatury. Najwyższy głaz w stercie spoczywał na spiczastych występach dwóch mniejszych i wyglądał jakby miał się w każdej chwili stoczyć. Jego położenie także wskazywało na ogromną moc lodowca, który unosił te głazy niczym kamyki, przesuwał je na oślep i układając na chybił trafił jedno na drugich. Kiedy zaczął topnieć wraz z ocieplaniem się klimatu, skały pozostały tam, gdzie je zgromadził, niczym cuda równowagi, które pewnego dnia wydadzą się ludzkim oczom niebezpiecznie mało stabilne.

Teraz mały hominid siedział na tym skalnym tronie, zupełnie obojętny na to, jak niepewnie się owa konstrukcja przedstawia. Skały zaś trwały równie

nieporuszone obecnością chłopca, co gnieźdzącymi się tam ptakami, ścigają-

cymi się pawianami i strugami deszczu, które złobiły w nich szczeliny.

Chłopiec siedział spokojnie, na pozór bezmyślenie, ale w istocie rozważał

złożoną kwestię. Obserwował przybyszy i ich owada-bulwę przez niemal trzy

dni, póki nie zniknęły niczym fantastyczne istoty ze snu. Chłopiec nie używał

w myślach słowa „sen”, bo nie posługiwał się słowami na określenie czegokolwiek, chociaż wydawał dźwięki. Tym, co przywoływał jego umysł,

była świadomość czegoś swojskiego, znanego na tyle dobrze, by stać się elementem jego świata psychicznego.

(Sen) to coś, co (działo się), kiedy (spął).

Lecz ten ostatni sen działał się zupełnie odmiennie. Chłopiec nie przypo-

miął sobie zasypiania ani dobrze znanego uczucia budzenia się i przeciągania,

wdychania porannego powietrza. Nie wiedział, kiedy wkroczył w sferę tego szczególnego snu ani kiedy ją opuścił.

W przeciwieństwie do wszystkich innych, ten sen spowodował zmiany w jego świecie, wprowadził weń elementy innego świata. Na przykład ów lśniący mały kamień, pozostawiony na ziemi przez jasnoskórego przybysza.

Wstrzymał oddech, kierując wydęte usta o pełnych wargach w stronę miejsca, które obserwował przez trzy dni, lustrując je niespokojnym spojrzeniem wąsko osadzonych oczu. Zadygotał podjąwszy postanowienie. Długie cienkie włosy, proste i brudne, niemal zjeżyły mu się na głowie. Dobrze ukształtowane uszy wibrowały chwytając okoliczne dźwięki. Nos, mały i praktycznie pozbawiony grzbietu, węszył, nozdrza zaokrągliły się, tworząc dwa pulsujące życiem otwory.

Postanowił zbadać szerokie koleiny, które zostawił owad-bulwa tocząc się na dziwnych okrągłych nogach, aby odlecieć.

Chłopiec miał niemal cztery stopy wzrostu, płaski brzuch oraz ramiona i nogi o wyrobionych mięśniach, nieowłosiony tors, lecz porośnięte gęsta, piękną sierścią plecy od karku po chude pośladki o brudnej od siadania na zapyłonych skałach skórze. Krótkie drobne włoski wyrastały nieśmiało wokół pachwiny. Mały wygięty penis, zwisający w kroku, wydawał się delikatny w porównaniu z muskularnym ciałem.

Kolana miał zaokrąglone i dobrze rozwinięte. Całe ciało składało się

wyłącznie z mięśni i ani odrobiny tłuszczu. Pionowe kręgi wzdłuż pleców uwidaczały się niczym sznur paciorków, a pod kawową skórą poruszały się łopatki jak szpatułkowate skrzydła. Po wielkich paluchach stóp, skierowanych na zewnątrz, przebiegały długie, nerwowe drgnienia. Paluchy chwyciły skałę i przez moment wszystkie, w liczbie dziesięciu, zadygotały nieznacznie niczym szpony siedzącego ptaka, zanim zerwie się do lotu. W niecierpliwym oczekiwaniu na śmiałe przedsięwzięcie jego moszna zacisnęła się wokół niewielkich jąder, a porastające ją włoski zjeżyły się, drapiąc go w uda.

Dla dodania sobie odwagi otworzył usta i wydał z siebie nie



westchnienie

strachu, lecz niskie i ochryple, brzmiące jak groźba „rrrr”. Następnie ześliznął się ze skały i ruszył naprzód, ściskając w prawej dłoni kamień o niemal sferycznym kształcie. Skóra na drobnych rękach chłopca była jasnobrązowa i poprzecinana bliznami od tak wielu skaleczeń i zadrapań, że wyglądała jak wytatuowana. Większe zadrapania na piersi, brzuchu, plecach i udach uzupełniały ten wzór.

Krótką, ale głęboką i straszną blizna na brzuchu znaczyła miejsce przebite jeszcze przed porą deszczową przez guźca. Już zagojona, miała jaśniejszą barwę niż skóra wokół. Leżący tuż powyżej pępka, niewielki, okrągły i ciemny, wyglądał jak mały, piękny owad śpiący na ciele zwierzęcia-żywiciela.

Ostatni raz obrzucił sawannę lustrującym spojrzeniem.

Prawie wszędzie — blisko i daleko — rogi dujkerów, topi, gnu, czarnych antylop i impali wystawały sponad traw niczym peryskopy. Dobiegały go odgłosy tępych, suchych uderzeń rogów mocujących się ze sobą kozłów, a nieustanne ryczenie i pobekiwanie brzmiało jak jeden głos o zaskakującej rozpiętości skali.

Na lewo od chłopca, w średnio wysokiej trawie podskakiwała grupa sępów,

gdacząc i trzepocząc skrzydłami. Rozumiał, że czekają na swoją kolej, by posilić się martwym zwierzęciem. Nie widział go, lecz wiedział, że zostało powalone przez lwy. Kiedy te drapieżniki zabijały swoją ofiarę, inne musiały czekać, aż tamte się nasycą. Tak działo się tylko w wypadku lwów. Poza nimi żaden inny drapieżnik nie budził takiego respektu. Lwy właśnie zajęte były jedzeniem, drapieżne zaś ptaki oczekiwaniem na koniec ich uczty i drzemkę. To dawało chłopcu czas na zbadanie tajemnicy, jaka pozostała po niezwykłych istotach.

Ścisnął mocniej kamień, pochylił głowę i począł przemykać szybko przez trawy. Miejsce, gdzie wylądował owad-bulwa, znajdowało się poza obrębem jego terytorium. Leżało na odległość kilku lwich skoków od skalnej palisady i lasu akacjowego — terenów, na których czuł się bezpiecznie, ponieważ wysokie skały i sękate konary służyły mu za punkty obserwacyjne, pozwalające dojrzeć drapieżniki. Chłopiec pamiętał to zarówno swoim ciałem, jak i umysłem. Nogi oraz ramiona, palce rąk i stóp pamiętały, jak łatwo wspinały się na pewne gałęzie drzewa czy spękane kamienie. Zmysły hominida obliczały szanse przeżycia na danym terenie z większą dokładnością, niż czyniłby to umysł młodszego o dwa miliony lat *Homo sapiens*.

Przestrzeń pomiędzy jego rejonem bytowania a miejscem lądowania owada-bulwy była niebezpieczna, gdyż brakowało na niej drzew lub wysokich skał. Jedyne schronienie przed wielkimi drapieżnikami dawały kołyszące się, rozbujane trawy.

Lecz nawet mimo takich (zagrożeń), musiał wkroczyć na ten (rejon), żeby zbadać, co pozostało ze (snu), i wyciągnąć z tego jakieś (wnioski).

Chłopiec zagłębił się już na lwi skok w porośłą trawą równinę; w popołudniowym słońcu czuł, jak rozszerzają się pory jego ciała, wydzielając pot zarówno z gorąca, jak i ze strachu. Przystanął przy wysokim i wąskim mrowisku, wznoszącym się jakieś dwadzieścia stóp ponad ziemię, które wyglądało niczym pozbawione konarów drzewo, dziwne i suche, jakby uderzył w nie piorun. Mrówki szybko odnalazły jego stopę, ale prawie nie czuł ukąszeń. Raczej lubił te owady.

Kiedyś wśliznął się do takiego mrowiska, uciekając przed szarżującym gużcem, ale małe kąśliwe stworzonka przegnały go stamtąd, a guziec błyskawicznie przebił mu brzuch zakrzywionym kłem, po czym uciekł, trzepocząc niewielkim ogonkiem, przypominającym białą chorągiewkę w czarne prążki, niestosownie pięknym u zwierzęcia o tak odrażających guzach, rogach i kłach.

Wijąc się na ziemi i brocząc krwią, chłopiec miał świadomość własnej

śmierci na tyle wyrazistą, na ile w jego mózgu o pojemności pięciuset centymetrów sześciennych mogło powstać wyobrażenie tak straszego pojęcia.

Przeżył jednak dzięki mrówkom. Palcami jednej ręki ścisnął brzegi rany, podczas gdy drobne owady roiły się na jego brzuchu, kęsając nieustannie.

Ledwie to czuł, gdyż udręka, jakiej dostarczała otwarta rana, tłumiała zadawany

przez nie ból. Mrówki zaciskały brzegi rany, a chłopak drugą ręką odgarniał

owady, odrywając ich odwłoki, lecz pozostawiając wczepione w skórę szczęki. Wreszcie spora część rany została zszyta szczękami mrówek.

Doczołgał się do zagłębienia z wodą i przyłożył na resztę rozcięcia okład ze

świeżego błota. Rana zagoiła się. Barbarzyńska operacja chirurgiczna, przeprowadzona przez owady, uratowała małego hominida przed śmiertelną infekcją

Na to, że przeżył, zareagował jak każde inne dziecko, to znaczy rychło zapomniał o śmiertelnym zagrożeniu i zaczął się bawić. Zafascynowały go

mrówki i inne owady, obserwował ich sposób poruszania się, zauważał różnorodność barw i kształtów, ścigał je jak młode lwiątko ścigają gryzonie.

Łapał wiele robaków i wkładał je do ust, ucząc się, które nadają się do jedzenia.

Teraz strząsnął mrówki z nóg, kilka zgniecionych owadów wrzucił do ust

i pośpieszył do śladów pozostawionych przez owadą-bulwę. Ilekroć stawał

stopę na ziemi, jego długie ruchliwe palce lekko ścisnęły grunt. Szczypały

miejsce, po którym stapał, niczym wrażliwe czułki szukające niewidocznych

zagrożeń. Muskuly z tyłu na łydce wybrzuszały się, powodując, że jego ciało

lekko odbijało się od podłoża.

W skokach hominida wyczuwało się jednak pewien niepokój. Podczas gdy

jedna stopa unosiła się, a druga gotowała do lądowania, pamięć całego gatunku

przywoływała w nim wspomnienie czasu wielkiej paniki i trudnego wyboru, kiedy

to jego przodkowie zmuszali się do zachowywania pozycji pionowej. Sami musieli

odkryć, jak należy utrzymywać równowagę, mając kręgosłup nie przystosowany

do znoszenia takich obciążeń. Ich przetrwanie zależało od tego, czy zdołają unieść

twarze tak wysoko, jak tylko pozwoli im na to ciało. Dzięki temu mogli bowiem

omiatać horyzont okrągłymi brązowymi oczami, wypatrując drapieżników. Teraz

wspomnienie to odżyło bez słów w najgłębszym zakamarku umysłu chłopca.

Stał w koleinie pozostawionej przez jedno z kół samolotu i odetchnął

ciężko. Spojrzał na ślady. Był tu teraz, jego'sen się skończył, a przecież niezupełnie — zostało po nim coś konkretnego.

Siadł na ziemi, myśląc bez słów.

(Sny) nie pozostawiały (śladów).

Po snach nie pozostawało nic oprócz samego śniącego.

A tymczasem to był on sam, i był tu teraz.

Lecz były też pozostałe po śnie koleiny.

Wypuścił kamień myśliwski, wyciągnął przed siebie obie dłonie i dotknął

wnętrza koleiny. Było gładkie i krągłe, niewiele dotąd dotykał takich kształtów. Krucha ziemia zapadła się pod dotknięciem i obsunęła, a drobinki

pyłu poruszyły się pod dłońmi, głaszcząc skórę.

Usłyszał cichy szelest i poderwał się, zaciskając natychmiast w prawej pięści czarny kamień.

To tylko wąż, mała czarna mamba cofająca się z sykiem przed ptakiem

sekretarzem, który, nie zrażony jej ostrzegawczym głosem, kroczył naprzód

na szcudłowatych nogach, zmuszając ją do cofnięcia się w koleinę.

Wtedy

skoczył prosto na głowę mamby, miażdżąc ją uderzeniem łapy niczym młotem. Ciało węża wykręciło się spazmatycznie i znieruchomiło.

Sekretarz

dziobną zmiażdżoną głowę i zakrakał.

Ten tryumf jednego stworzenia nad drugim wzbudził w małym hominidzie

poczucie własnej mocy. Napięcie jego mięśni zelżało. Zamknięte zastawki

się rozluźniły. Niczym zwierzę znaczące własne terytorium skierował małego penisa w stronę jednej z kolein i oddał na nią mocz, jakby brał ów sen w swoje władanie.

Był teraz mniej przestraszony i niemal gotów do zabawy. Zwinnym, dziarskim i skocznym krokiem pospieszył w stronę ogromnej, większej od nosorożca, masy spoczywającej bez ruchu wśród kęp trawy, zza której dobiegał ochryply chór kraczących ptaków. Barwę jej nadal przytłumiał osiadły po burzy pył.

Zatrzymał się ledwie parę kroków od przewróconego safari cuba, ściskając mocniej kamień. Wielka bestia mogła bez trudu przekręcić się na nogi i zaatakować, chociaż ptaki krakające tak blisko niej świadczyły o tym, że opadła z sił i prawdopodobnie nie żyła. Uniósł pięść, gotów wyrzucić pocisk, i obszedł przewróconego safari cuba tak miękko, że jego stopy unosiły się i opadały bezszelestnie.

Stanął nieruchomo przy dachu pojazdu, starając się posłyszeć oddech albo bulgotanie dobywające się z trawiących pokarm jelit. Jednocześnie szukał głowy albo ogona, przodu lub tyłu. Ale ta istota nie przypominała innych wielkich stworzeń, jakie znał z sawanny. Pachniała dymem i gorącym, jednakże odrażająco, nie tak jak tłący się po pożarze busz. Na skórze wielkiego zwierzęcia nie bytowały też żadne kleszcze, pluskwy lub inne drobne pasożyty.

Chłopiec powoli obszedł przewrócony pojazd. Brakowało odsuwanej pokrywy dachu, więc zerknął do pustego wnętrza. Pozbył się obawy i dotknął dłonią dachu, w drugiej ściskając przezornie kamień. Dach furgonetki był płaski, matowy, martwy. To mu się nie spodobało.

Przeszedł na drugą stronę pojazdu. Przewody transmisyjne i paliwowe wciąż jeszcze promieniowały ciepłem. Zmarszczył nos. Czuł kiedyś zapach fumaroli siarkowej, niejasno przypominał sobie duszącą, kwaśną woń dobywającą się z trzewi ziemi.

Zauważył, że ta istota nie znika. W przeciwieństwie do owada-bulwy pozostawała tu jako stały element krajobrazu.

Usłyszał odgłosy ptasie — darcia, rozrywania i przełykania. Obchodząc

zwierzę, uchylił się przed dziwnym, sterczącym rogiem (wygiętym przednim zderzakiem furgonetki) i ujrzał ptaki oraz ich zdobycz.

Sęp płowy, ze szponami wbitymi w pierś martwego bandyty, wydziobywał mu oko. Dwie czarne kanie i kilka jastrzębi skakało wokół twarzy nieboszczyka, starając się wyrwać jakiś kawałek, ale ilekroć się zbliżały, znacznie większy od nich sęp uderzał dziobem albo machał ogromnymi szarymi skrzydłami, chroniąc zdobycz. Wreszcie sfrunął z piersi i przysiadł na zakrwawionej twarzy, by dobrać się do miękkiej szyi i gardła. Inne ptaki z krakaniem zaatakowały ręce i stopy zabitego bądź też, zawiedzione, dziobały tu i tam, starając się dostać przez rozdarcia w ubraniu do nagiego ciała.

Istota objadana przez ptaki przypominała inne stworzenia ze snu, tyle że była martwa. I znowu fantazja ze snu stała się rzeczywistym elementem świata chłopca. Żerujące ptaki stanowiły tego dowód.

Obserwował zafascynowany, jak zmieniają wygląd zabitego. Zwłoki nie

miały już oczu, w twarzy ziały ohydne jaskrawoczerwone jamy. Ostry czubek

podbródka dziwnie wystawał, obdziobany i ogołocony z ciała, nos natomiast,

mimo iż w połowie oderwany, wciąż był znacznie większy niż u chłopca.

Czoło, jaskrawoczerwony pas od skroni do skroni, ptasie dzioby odarły już

całkowicie ze skóry. Zabity nadal przypominał innych przybyszy, tych, którzy

przylecieli owadem-bulwą, lecz w jakiś wstrętny, krwawy sposób.

Włosy zjeżyły się chłopcu wokół twarzy. Dobywający się z gardła dźwięk

„rrrrr” przeszedł w przeciągłe, psie wycie. Przez moment wydawało się, że

hominid gotów był skoczyć na zwłoki i w przyływie strasznego gniewu szarpać je wścieklej niż sępy. Już nieraz oglądał śmierć. Ale nie taką.

Wrzask

chłopca sprawił, że ptaki zerwały się z krakaniem do lotu. Trzasnęły skrzydła

w stawach, szarpnięte pospiesznie mięśniami piersi. Chłopiec potknął się,

upadł na plecy, znów się poderwał i uświadomił sobie, że zgubił kamień.

Rozejrzał się po ziemi, ale nie mógł go znaleźć.

Poderwał się, słysząc jakiś brzęk. To kawałek szkła odpadł od strzaskanej

przedniej szyby cuba na stertę odłamków przed maską.

Parokrotnie okrążył furgonetkę i zwłoki, ale kamienia nie znalazł. Wreszcie

spojrzał ponad wysoką trawą w stronę lasu akacjowego, zastanawiając się, czy

wrócić powoli, czy też pobiec. Miał tam inne kamienie myśliwskie, rozmiesz-

czone w kilku małych stosach w zaroślach i pod drzewami. Z łatwością mógł

wspiąć się na gałęzie akacji, a tuż za drzewami wznosiły się skały.

Bieganie było niebezpieczniejsze, gdyż przyciągało uwagę drapieźników,

ale za to szybsze, toteż zdecydował się na bieg. O tej porze większość wielkich

mięsożernych bestii leniwie drzemała z pełnymi żołądkami. Czuł zapach

rozgrzanych w słońcu, nie dojezonych resztek, słyszał głuchoe buczenie much

uczujących na rozwleczonych w trawie wnętrzościach antylop.

Puścił się biegiem w stronę akacji i był już w połowie drogi, gdy dostrzegł przed sobą samotnego lwa. Zwolnił, by ocenić, w którym kierunku

zwierzę się porusza. Drapieźnik uniósł łeb na wysokość większą niż



wynosił  
wzrost chłopca — był to bardzo duży, młody samiec, wysoki na pięć  
stóp,  
o rzadkiej, nie wyrosłej jeszcze grzywie. Mógł skoczyć i w paru  
szybkich  
susach dopaść hominida.

Właśnie go dostrzegł.  
, Napięty jak zaciśnięta pięść umysł chłopca zanotował, że należało  
zabrać  
więcej kamieni. Tuż za sylwetką lwa akacje szeleściły ostrymi liśćmi —  
było  
to już jego terytorium z drzewami, na które wspinał się nie wiedzieć ile  
razy.

Jednakże lew poruszał się po łuku, dokładnie pomiędzy nim a  
drzewami.

Oglądając ślady samolotu i furgonetkę, chłopiec spocił się tak  
bardzo, że  
teraz odczuwał pragnienie i suchym językiem mlaskał o zęby. Lew  
zwęszył  
jego zapach, podobnie jak i chłopiec zaczynał czuć smród krótkiej  
sierści  
zwierzęcia, okrytej błotem z zagłębień wodnych i wytarzanej w  
rozszarpanych  
ciałach ofiar. Mieszał się on z cuchnącą wonią wydzielaną przez jego  
gruczoły samcze, bardziej aktywne niż zazwyczaj; był to młody lew,  
krewki,

niedoświadczony i szukający samicy. Istniał wszakże promyk nadziei

— drapieżnik poruszał się niedbałym krokiem, jakby już się najadł.

Chłopiec mógł albo znieruchomieć, albo iść prosto na lwa, zachowując się jak zwierzę o wiele od niego większe i silniejsze.

Decyzję podjął lew. Przysiadł na zadzie, a następnie skoczył ku chłopcu, rozgarniając wysoką trawę szeroką pierśią, tratując ją tylnymi łapami i smagając pędzłowatym ogonem. Szarżował — ogromny i niebezpieczny, ale nasycony i w wesołym nastroju. Gotów zabić, jednak nie dla jadła, lecz dla zabawy.

Mały hominid stał patrząc, jak lew zbliża się ku niemu długimi żółtymi susami, których nic nie mogło powstrzymać.

W jednej chwili chłopiec stał się kłębkim strachu. Popędził z powrotem przez wysokie trawy, wydając głośny, przenikliwy dźwięk.

Zwaliste łby kilku bawołów wodnych wychyły spoza traw. Jeden znajdował się całkiem blisko, przymykał łagodnie oczy, pozwalając, by szpak

wydziaływał mu z nosa insekty. Chłopiec zauważył jego nozdrza tak duże, że

siedzący na nosie ptak wkładał w nie całą głowę, polykając muchy i inne

drobne, acz dokuczliwe, owady. W umyśle pędzącego w stronę bawołów

hominida zrodziła się, wyrażona bez słów, nadzieja, że lew powstrzyma swe

skoki, zbliżywszy się do bawołów. Znów wydał przeszywający wrzask, nieomal

ludzki krzyk rozpacz, który sprawił, że zwierzęta uniosły gwałtownie głowy,

poruszając pletwiastymi uszami. Niewielkie białe czaple poderwały się do lotu.

Najbliższy bawół, wielki byk, ryknął głucho, spuścił łeb i dudniąc kopytami

zaszarżował wprost na brązowskórego chłopca.

Ten nie bał się jego otwartego pyska: zwierzę żywiło się trawą i liśćmi.

Należało uważać na kopyta, więc uskoczył w bok, schodząc mu z drogi.

Bawół zwolnił, skonfundowany. Chłopiec pobiegł wzdłuż jego masywnego

boku i zainkasował mocne uderzenie w pierś grubym czarnym ogonem. Chwycił go i już miał zagłębić w nim zęby, na wypadek gdyby byk potrzebował dalszej podniety, ale zwierzę ruszyło wspaniałym galopem, zbijając hominida z nóg i ciągnąc go za swym ciemnym zadem.

TeraÅ bawół spostrzegł lwa pędzącego susami wprost na niego i

zniżył

potężne logi. Chcąc zatrzymać się w biegu, lew w pół skoku skręcił w bok

i spadł brzuchem na trawę niczym pływak po nieudanym rzucie do wody.

Drapieżnik podniósł się, a byk przeszarżował obok niego. Chłopiec puścił ogon,

zwałił się na ziemię, zerwał na nogi i pognał w stronę zbawczych akacji.

Łatwo dawało się na nie wspiąć. Większość listowia wyrastała na czubkach

górných gałęzi niczym płaskie parasole. Bez trudu można było sprawdzić, czy

wśród bezlistnych dolnych konarów nie kryje się lampart. Jeśli ten drapieżnik

wspinał się na akację, zwykle trzymał w pysku antylopę. Jej dyndające nogi

i jego cętkowane futro wyraźnie się odróżniały na tle szarej kory drzewa.

W niewielkim lasku rosło kilkanaście akacji rozmieszczonych na kształt

nieregularnego czworokąta. Chłopiec nie znał liczb, ale rozumiał różnicę

między małą a dużą ilością, pomiędzy tym, co bujne i skłębione, w przeci-

wieństwie do tego, co znikome i rzadkie. Drzewa rosły w rozmaitej odległości

od siebie, a znajdujące się pomiędzy nimi zarośla dawały dodatkowe schronienie. Wszystko to stwarzało mu wiele możliwości ucieczki, na wypadek gdyby wtargnął tu jakiś drapieżnik.

Lasek stanowił w istocie jego ulubione miejsce polowań. Tutaj powalał dukery, które nierozważnie powracały, by przeżuwać pokarm tuż pod akacjami, tutaj też po raz pierwszy zabił kamieniem jednego z nich jeszcze przed porą deszczową.

Nieco dalej od jego terenu działania znajdowały się skały — tam odpoczywał i spał. Z najwyższych wzniesień otwierał się widok we wszystkich kierunkach. Chłopiec spojrzał ku górze, wybrał pustą akację i objął jej pień, chwytając korę dłońmi i stopami. Zgiął ręce w łokciach i podciągnął się, odpychając osadzonymi w panewkach stawów biodrowych nogami. Dźwignął się w górę niczym naturalny mechanizm.

Widział z góry, jak lew lew i bawół postanowiły unikać poważnej konfrontacji. Drapieżnik skulił się i czekał wzbijając pędzlem ogona niewielkie chmurki pyłu. Byk spojrzał nań ponuro, a następnie szerokim łukiem powrócił do swego stada.

Kiedy lew rozejrzał się wreszcie za chłopcem, dostrzegł brązową smugę ciała zeskakującego z akacji tak szybko, że kocie oczy wpatrywały się już tylko w puste drzewo. Hominid zeskoczył na ziemię, pognął ku innej akacji i pochylił się przy jej pniu. Chwytał coś, a następnie pomknął w górę po pniu niczym owad nie podlegający sile ciężenia.

Lew puścił się klusem ku drzewu. Chłopiec siedział teraz osiem stóp nad ziemią z nogą przerzuconą przez gałąź.

U stóp drzewa zgromadził kilka czarnych kamieni, mały skład amunicji. Dwa trzymał w rękach.

Lew skoczył. Wzbił się w górę, niemal dosięgając rozwartą paszczą gałęzi. Brązowe ramię chłopca zgięło się niczym żuraw. Cisnął kamieniem z odległości niespełna stopy w górne kły zwierzęcia. Chybił o parę cali — lew, oślepiony uderzeniem poniżej oka, zawył z bólu i runął na ziemię.

W tej samej chwili inny lew wydał chrapliwy, głuchy ryk. Młody samiec, wciąż oszołomiony, podniósł się, zawahał i z pochyłą głową, przygarbiony, smagał ogonem trawę. Chłopiec zobaczył, jak dołącza do innego, wyraźnie starszego lwa, z którym umknął spomiędzy drzew. Spory kawałek dalej zwierzęta legły w wysokiej trawie, by odpocząć. •

Chwilowo chłopiec uniknął niebezpieczeństwa. Uniósł do góry wydatne usta i zaśmiał się szczekliwie i wysoko. Był to śmiech tryumfu, przebijający się przez strach i wywołujący przypływ wiary w samego siebie, nieproporcjonalnej do małych płaskich zębów hominida i zaokrąglonych, niezdatnych do walki paznokci. Teraz, kiedy poradził już sobie z niebezpieczeństwem, wróciła mu chęć do zabawy. Opuścił się po gałęziach na ziemię. Biegiem przemierzył krótki dystans oddzielający drzewa od skalnej palisady.

# 3

Upłynęło pół godziny, a mercedes wciąż włókł się z centrum

Nairobi do trasy szybkiego ruchu, wiodącej do Karen.

W samochodzie panowało milczenie. Decyzja Jakuba nie stanowiła dla nikogo niespodzianki. Zawsze było wiadomo, że prędzej czy później pierworodny syn zostanie poproszony o odegranie roli w życiu publicznym. Teraz

jednak, gdy decyzja zapadła, Ngili nie mógł w to uwierzyć.

„Nie pójdzie na to — pomyślał Ken. — Ngili nie pójdzie na to, mimo iż jest pierworodnym.”

Yinka spojrzała na Amerykanina. Przykro jej było z powodu brata i gniewała się na ojca, ale bardziej ciekawiła ją reakcja Kena niż Ngilego.

Potrafiła całkiem dokładnie przewidywać reakcje białych i bardzo szczyliła się tą umiejętnością. Jednakże w wypadku Kena nie miała takiej pewności, gdyż nie kierował się on typowymi dla białych pobudkami, lecz swoimi własnymi.

Kenia zdobyła niepodległość, uwalniając się od brytyjskiej dominacji,

w 1963 roku po dziesięcioletniej wyniszczającej wojnie partyzanckiej. Yinka

i jej brat urodzili się już w niepodległym państwie. Kiedy ona miała lat sześć, a on osiem, wysłano ich na wieś, do dziadków, gdyż wśród nowej czarnej elity panowała moda na zapoznawanie dzieci z ich afrykańskimi korzeniami. Białego człowieka zobaczyli po raz pierwszy dopiero jako nastolatki. Nim powrócili do Nairobi, by skończyć szkołę średnią i college,

Kenia stała się jednym z najlepiej rozwijających się młodych państw afrykańskich, władzę dzierżyli pewnie Jomo („Płonąca włócznia”) Kenyatta

i kilku jego przyjaciół. Należał do nich Jakub Ngiamena, znany też

wśród  
uczestników ruchu niepodległościowego jako Simba, co w języku  
suahili  
znaczy „lew”.

Simba Ngiamena posłał swe dzieci do najlepszych szkół w Nairobi,  
gdzie

zetknęły się z członkami nielicznej pozostałej w Kenii społeczności  
białych.

Yinka przyjaźniła się z białymi dziewczynkami, w większości  
angielskiego  
pochodzenia, i poznała ich rodziców. Wszyscy oni zajmowali kiedyś  
znaczące

pozycje w Brytyjskim Protektoracie Kenii, ale utracili je w wolnej czarnej republice. Nazywano ich teraz „przywrami”.

Większość z nich została w Kenii z prostych pobudek — żeby zarabiać pieniądze. Inni byli uczonymi, badaczami Afryki, jeszcze inni — starymi białymi myśliwymi, którzy już nigdzie nie znaleźliby sobie miejsca. Dla większości białych pieniądze oznaczały wysoką pozycję społeczną, bezpieczeństwo i pewność siebie. W postkolonialnym Nairobi pewność siebie każdego białego opierała się na interesach, koncie bankowym, kawałku ziemi. Żeby utrzymać swe majątki, biali zawierali łatwe do przewidzenia sojusze z posiadającymi władzę czarnymi. Kiedy te sojusze zrywano, białym musiał wyjechać z kraju. Takie to było proste.

Niemal nie sposób było, obserwując białych grających według tak prostackich reguł, nie uznać ich samych za bezdusznych, wewnętrznie prymitywnych prostaków. Yinka stwierdziła, że są szokująco nieskomplikowani, biorąc zaś pod uwagę ich niepewną pozycję — zaskakująco zarozumiali. Biały, który byłby wewnętrznie bogaty, nie będąc zarazem próżnym, stanowił — jak sądziła — sprzeczność niemożliwą do przyjęcia w kategoriach logiki.

Taką sprzecznością okazał się Ken, jedyny wyjątek, jaki spotkała w tym gatunku.

Zachowywał pewność siebie, chociaż nie posiadał ani konta bankowego, ani widocznego poparcia, ani utytułowanego stanowiska, chyba że — rozmawiała Yinka — całą siłę czerpał z przyjaźni z jej bratem.

Uważała też, że — jak na białego — nie wygląda źle. Studiując w Anglii

dziennikarstwo, miała tam białych kochanków. Łatwiej jej było z nimi współżyć, niż na nich patrzeć. Nadzy, w łóżku, przywodzili jej na myśl pozbawione pigmentacji afrykańskie krety o małych oczkach. Czasem tylko

jakiś opalony biały przypominał jej normalnego, ciemnoskórego mężczyznę.

Ken należał do tych nielicznych, znośnie wyglądających białych, jakich spotkała. Łatwo się opalał i często miał nie ogolony zarost. Po powrocie z wykopalisk, gdzie nie kąpał się całymi dniami, wydzieliał ostry zapach, ale

tak samo pachniał Ngili. Właściwie nie byli brudni, gdyż sawanna nie jest

brudna, występują tam naturalne zapachy i wydzieliny, wyschłe na wietrze

i spalone słońcem.



Zaskoczyło ją to, jak trwały okazał się związek Kena z jej bratem. Jednakże Amerykanin mógł dzięki niemu wiele zyskać. Przewidywała więc, że nie sprzeciwi się on decyzji ojca co do przyszłości Ngilego. Nadal mógłby korzystać z życzliwości Ngiamenów, nawet gdyby przyjaciela zmuszono do rezygnacji z kariery geologa.

Ken wyglądał jak wyrwany ze snu przez brutalną rzeczywistość. Rozbawiło to Yinę. „*Azoori*, świetnie — pomyślała. — Zobaczmy, jak osadnik poradzi sobie z realną Afryką, ocknąwszy się z prehistorycznych mrzonek.”

Młody naukowiec spojrział na potężne plecy Jakuba, odchrząknął i odezwał się przerywanym i niepewnym głosem: — Wybaczy pan, ale...  
trzymanie

Ngilego w Nairobi oznacza zniweczenie wysiłku wielu lat studiów. Zwłaszcza

teraz, kiedy trafiliśmy na coś, co może zapewnić nam rozgłos i autorytet w dziedzinie...

— Przykro mi, panie Lauder, ale nie rozumie pan sytuacji. — Już od lat

Jakub nie zwracał się do niego po nazwisku.

— Obawiam się, proszę pana, że pan nie rozumie Ngilego.

— Ngili jest moim synem, panie Lauder. Inaczej u nas wyglądają związki rodzinne. Fakt, że jesteście przyjaciółmi, nie daje panu prawa do mącenia mu w głowie w kwestii jego priorytetów.

Sądzę, że Ngili jasno stawia sprawę swoich priorytetów. Co ma większą wartość dla jego narodu: jeszcze jeden dyplomata czy światowej

klasy uczony?

— Dosyć, panie Lauder. Okazywaliśmy panu daleko posuniętą gościnność

i dalej będziemy to czynić, o ile zgodzi się pan, że to nie pańska sprawa.

Trudno było wyrazić odprawę w sposób bardziej jednoznaczny.

Yinkę

zdumiało, że osadnik wypowiedział się otwarcie i tak bezkompromisowo.

Ken wydawał się strapiiony, bez wątpienia z powodu groźby utraty wielkich ułatwień w prowadzeniu prac naukowych. Na widok jego mocno

zaciśniętych szczęk dziewczyna pomyślała, iż Amerykanin zaraz otworzy

drzwi wozu, wysiądzie i zniknie na zawsze z życia Ngiamenów. Siedział jednak dalej obok *jej* brata. Zastanawiała się, czy to oznaka słabości, ale wtedy sobie przypomniała, że przecież zaparkował swego landrovera koło ich domu.

— Ma pan rację, to nie moja sprawa — odezwał się cicho. — Tylko Ngili może decydować o swojej przyszłości.

Yinka obserwowała brata. Ngili zacisnął zęby, ale się nie odezwał.

Upłynęło parę minut. Na widok drżących na kierownicy rąk dziewczyna

poznała, że ojciec staje się coraz bardziej napięty. Jakub niemal na oślep przebiegał się na trasę szybkiego ruchu.

Ngili siedział w milczeniu, z twarzą przypominającą rzeźbę plemiennego

bóstwa. Pozostała trójka zadawała sobie w myślach to samo, niemal identycznie

sformułowane pytanie: Co zamierza zrobić pierworodny — posłuchać ojca,

czy też mu się sprzeciwić?

Czekając, aż samochód dotrze do Karen, Ken starał się myśleć praktycznie,

racjonalnie. Bez Ngilegó sprawy się skomplikują. Przyjaciel zapewniał

dostęp  
do odpowiednich ludzi, służył własnymi umiejętnościami naukowymi,  
znajo-  
mością suahili oraz pieniędzmi, kiedy wyczerpywały im się fundusze.  
Trudno  
będzie pracować znowu samotnie. Przycisnął kolanem poszarpaną bryłę  
brekcji. Natychmiast powrócił myślami do porannej zagadki — do  
śladów  
stóp i do strzelca leżącego obok przewróconego safari cuba.

Za paskiem miał zatknięty pistolet zabitego. Zamiast poczucia bez-  
pieczeństwa, broń uświadomiła mu żywo, jak bardzo narażony jest na  
atak.

Ken i Ngili spotkali się po raz pierwszy sześć lat temu, zatrudnieni  
w barze hotelu „Naivasha”, tego samego, w którym wielką salę balową

Ngiamenowie wynajęli teraz na wesele Gwee. Amerykanin zatrudnił się tam, żeby zarobić na generator i urządzenie do oczyszczania wody, niezbędne podczas przyszłych wykopalisk (poprzednio zarobił w barze na swego używanego landrovera). Pewnego wieczoru kierownik hotelu poprosił go, by dał przyspieszony kurs mieszania drinków nowo przyjętemu młodemu Kenijczykowi. Nowy pracownik zachowywał się tak, jak gdyby nigdy w życiu nie umył nawet szklanki, lecz mimo to dostał pracę, gdyż nazywał się Ngili Ngiamena.

Ngili wyniósł się z domu, gdy ojciec zabronił mu studiować geologię.

Potrzebował jakiegoś lokum i nabycia doświadczenia w pracy barmana. Ken

pozwolił mu zamieszkać w swoim tanim mieszkaniu przy Tom Mboia Road

i nauczył mieszać drinki, myć kieliszki, opróżniać popielniczki i ustawiać

krzesła, czyścić toalety barowe i kłaniać się przy otrzymywaniu napiwku.

A co ważniejsze, powiedział mu, że on także poświęca się dla nauki.

To ich związało. Rozmawiali o nauce, polerując antyczny, mocno poszczerbiony szynkwas z kości słoniowej. W latach trzydziestych biali

myśliwi często zaznaczali na nim karbami swoje należności za alkohol, spłacając rachunki rogami antylop lub lwimi skórami. Tak przynajmniej głosiła legenda, powtarzana do znudzenia turystom przybywającym na safari.

Na Kenie i Ngilim podobne historyjki nie robiły wrażenia. Marzyli o znalezieniu następnej Lucy.

Z ich skromnym zajęciem łączyły się jednak pewne przywileje. Grali za

darmo w tenisa na kortach „Naivasha”, ponieważ instruktor był kuzynem

Ngilego. Grywali w debła z angielskimi, holenderskimi, niemieckimi i ame-

rykańskimi dziewczynami (Ngili nazywał je „różowymi *memsahib-cipkami*”),

które traciły głowy dla masajskiego księcia i jego białego przyjaciela mieszkającego w Afryce. Nierzadko po skończeniu gry ładowali dziewczęta

do landrovera i pędzili do mieszkania Kena, gdzie owinięte jutą skamieniałości,

cyrkle średnicowe i inne akcesoria antropologów dostarczały paniom

dodatkowych emocji. Ken opuszczał story, Ngili nalewał do kieliszków likieru „Mount Kenya”, dziewczęta zrzucały stroje do tenisa i w parę

sekund  
później cała czwórka „odlatywała”. Nazajutrz rano obaj młodzieńcy  
przemie-  
rzali sprintem trawniki uniwersyteckie, żeby nie spóźnić się na zajęcia  
Randalla Phillipsa z ewolucji człowieka.

Po czterech miesiącach ojciec Ngilego ustąpił i zgodził się, by syn  
studiował geologię — na razie. W tym prowizorycznym „na razie”  
tkwiła  
obietnica afrykańskiej stałości. W każdym razie Ngili powrócił pod  
opiekuńcze  
skrzydła rodziny, zabierając ze sobą Kena.

Potem obaj pojechali na swoje pierwsze wykopaliska i zwariowali  
na  
punkcie idei, że gdzieś tam, między bezimiennymi wzgórzami, gdzie  
antylopy  
gnu unoszą się ponad falującymi trawami niczym ciemnoskórzy  
pływacy na  
wysokich falach, tam, w niezliczonych wąwozach Doliny Rowu geny  
ludzkie  
mieszane były niby w probówce dłońmi Wielkiego Eksperymentatora

—  
Boga. To jeszcze bardziej ich związało i przemieniło. Pewnej nocy przy

ognisku na wykopaliskach Ngili wyraził to tak: „Żegnaj tenisie, żegnajcie różowe cipki, od dzisiaj już tylko nauka”.

W tej samej chwili, jakby dla podkreślenia jego stów, zaryczały lwy, co zabrzmiało jak proroctwo i uświadomiło wszystkim, że fizjologia i wzorce

zachowań tych zwierząt nie zmieniły się od milionów lat. Lwy były świadkami światu dziejów człowieka- To także stanowiło część nauki.

A teraz Ngili musiał zakończyć swoją naukową przygodę.

— Wreszcie dojeżdżamy — powiedział Jakub Ngiamena.

Wjechali na przedmieście Karen. Droga wyprostowała się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pojawiły się chodniki, a wzdłuż nich

akacje ogrodowe, które cięły powietrze igłowatymi liśćmi. Ogrodzenia z drewna i kutego żelaza broniły dostępu do pięknych rezydencji. Na podjazdach ukazywały się lśniące jaguary, BMW i toyoty. Nie widziało się

policjantów, lecz sama atmosfera dzielnicy dawała poczucie bezpieczeństwa-

wa. Biali mieszkańcy, w szortach i kwiecistych koszulach, podlewali trawę

albo uczyli dzieci pływać w wykładanych kafelkami basenach. Nikt nie robił nostalgicznych fotografii, które świadczyłyby o przygotowaniach do wyjazdu.

Czarny listonosz w tropikalnym hełmie szedł niespiesznie, wrzucając listy

do skrzynek. Oprócz niego nie było na ulicy żadnych Afrykanów. Z czyjejs

posesji wyleciała piłka do koszykówki i Ngiamena przyhamował, kiedy rumiany biały chłopak wybiegł za nią na jezdnię.

Samochód wjechał przez okazałą bramę i potoczył się aleją kwitnących

południowoafrykańskich kasztanów. Ukazała się na wpół ukryta za drzewami

rezydencja z kolumnadą i rzędem kawowych krzewów przy schodach. Poprzedni właściciele, producenci kawy, opuścili Afrykę dawno temu. Ken

wiedział, jakie boje staczała Yinka z ojcem, żeby usunął ten relikw

porządku, lecz Jakub odmówił, jakby chcąc dać dzieciom naukę. „Nasza

władza wyrosła z dawnej władzy” — powiedział im.

Na prawo ukazał się garaż na kilka samochodów. Przed nim stał stary

landrover Kena — zapyłony i przechylony na bok, gdyż podwozie wygięło

się w czasie jazdy przez sawannę.

Ngiamena wysiadł z wozu. Patrick, starzejący się główny lokaj

domu,  
wyszedł im na spotkanie, niosąc na tacy powitalne drinki z owoców papai.

Skórę miał czarną jak heban, a na policzkach plemienne tatuaże. Jego także odziedzyczyli po przedstawicielach dawnego porządku. Często żartował sobie, że Ngiamenowie są dla niego dalece lepsi, pozwalają mu bowiem chodzić w kikoi i boso, zamiast upierać się, by nosił kolonialną marynarkę i czarne buty.

Patrick potoczył oczami, widząc napięcie na twarzach Ngiameny, Yinki,

Ngilego i jego przyjaciela, wychodzących z samochodu. Nie odezwał się słowem, tylko popędził do domu po koszulkę z krótkim rękawem dla Ngilego.

Tymczasem obaj młodzieńcy zaczęli przenosić zawinięte w brezent pakunki

z mercedesa do zapyłonego landrovera.

— Zjemy coś, a potem zawieziemy to do Randalla Phillipa —  
mruknął

Ngili, nie podnosząc oczu, jakby mówił sam do siebie. — I nie zamelduję się w poniedziałek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. — Powiedziane to było cicho, pod nosem, ale wszyscy usłyszeli. Wchodzący po schodach Jakub odwrócił się i obserwował, jak syn przenosi kości z jednego pojazdu do drugiego. — Nie wyrzeknę się nauki — oświadczył Ngili już całkiem głośno, ale nadal nie patrząc na ojca.

Jakub odezwał się ze schodów, dzięki którym wydawał się jeszcze wyższy: — Podjąłem decyzję, Ngili. Od poniedziałku będziesz uczęszczał na kurs w szkole dyplomacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Za parę miesięcy zostaniesz attache" prasowym nowojorskiej misji Kenii przy ONZ. —

Yinka, która stała na podjeździe z napojem z papai w ręku, zachichotała słysząc słowo „prasowy”.

Ngiamena zignorował ją i zszedł ze schodów, zagradzając drogę Ngile-

mu. — Nadeszła jedna z tych chwil, kiedy kraj potrzebuje swych najlepszych synów. Rząd uważa...

Ngili wyminął go i niemal wrzucił pakunek do landrovera, na co Ken aż

zgrzytnął zębami. Idąc z powrotem, spojrzał rozgniewanym wzrokiem prosto

w twarz ojca. — To rząd doprowadził do takiego bałaganu! Opróżnili skarbiec, żeby napęłnić sobie kieszenie. Zadekretowali, że mówienie o AIDS

szkodzi wizerunkowi naszego kraju. Gospodarka upada, administracja jest

w stanie zaniku, kłusownictwo gorsze niż za czasów sułtana Zanzibaru...

— Tak mi przykro — rozległ się czyjś cichy, głęboki głos. — Trafiłem

chyba na rodzinną sprzeczkę...

Wszyscy się odwrócili. W stronę domu podążał Cyril Anderson. Niósł

dużą brązową kopertę. Pozdrowił każdego z Ngiamenów, ojca obdarzając dodatkowo uśmiechem.

Ken zauważył, że Cyril zamiast zwykłego tweedowego garnituru i krawata

ma na sobie lekką marynarkę w kolorze khaki, gabardynowe spodnie i sandały.

To prawie strój na safari. Było to zjawisko zupełnie niecodzienne. Co zamierzał?

— Może pomożesz nam ją załagodzić — rzekł Jakub. Podał rękę Andersonowi, wkładając swą różową murzyńską dłoń w wielką, pokrytą niebieskimi żyłkami rękę Anglika. — Patricku, każ podać kawę na



tarasie.

— Tak, *mkubwa* — odparł Patrick, używając słowa, jakim zwracano się do pana za dawnego porządku.

Anderson również mieszkał w Karen. Nie widząc żadnego samochodu

przy końcu podjazdu, Ken doszedł do wniosku, że uczonego przyszedł pieszo.

Kiedy zdążył się tak zaprzyjaźnić z Jakubem? Nerwy Kena napięły się, kiedy

Afrykanin wyjaśnił otwarcie, dlaczego pokłócił się z synem. Ngili musiał

spełnić swój obowiązek, a fascynujący materiał, na jaki natrafili z Kenem,

może na razie poczekać, skoro czekał już przez tysiące lat.

Anderson ze zmrużonymi oczami patrzył, jak przenoszą jakieś pakunki

z jednego samochodu do drugiego. Następnie uśmiechnął się do Ngilego. —

Obaj stoimy chyba przed tym samym dylematem.

— Jak to? — wrogo zapytał zagadnięty.

— Otrzymałem od rządu propozycję objęcia urzędu ministra stanu do

spraw kultury i zabytków starożytności. To nowo utworzone stanowisko. —

Anderson uniósł brązową kopertę. — Przedstawiono mi tu pokrótce zakres

zadań i obowiązków. Zastanawiam się, co odpowiedzieć.

— To zaszczyt — rzekł Ngiamena — a ty nadajesz się do tej pracy.

„Zapewne jest to bezpośrednia konsekwencja dezercji

Leakeya—pomyślał

Ken. — A zmiana stroju? No cóż, Cyril starał się już do tamtego upodobnić”.

Ken z trudem stłumił uśmiech, który jednak całkiem zamarł mu na wargach,

kiedy Amerykanin zdał sobie sprawę, że...państwowej komisji, mającej dokonać

przeglądu prac zagranicznych uczonych, przewodniczyć będzie bez wątpienia

nowy minister kultury i zabytków starożytności, czyli właśnie Cyril Anderson.

— Zrobię to dla nauki — rzekł Anderson, uśmiechając się do słucha-

czy. — Ten kraj ma niezwykłą rolę do spełnienia w dziedzinie poznania dziejów człowieka. Potrzeba mu politycznej stabilizacji i będę rad,

mogąc się

do tego przyczynić. Ale... z propozycją tą nie wiążą się żadne fundusze, nie

otrzymałem też wyraźnego zapewnienia, że wolno mi będzie dobierać sobie

pracowników.

„Pertraktacje? — zastanawiał się Ken. — To możliwe”.

— Pogadamy o tym — rzekł Jakub. — Nie znam twoich wymagań, ale

z chęcią o nich posłucham i, jeśli będą rozsądne, przekażę odpowiednim osobom.

Jak gładko to wszystko szło!

Ken przypomniał sobie, że musi zadzwonić do Randalla. Poszukał wzroku Ngilego i wskazał oczami mercedesa. Wsuwając się do

wnętrza, obaj

pochylili się i objęli ramionami kawał brekcji. Wyciągnęli go i, powłócząc

nogami, zataszczyli do landrovera.

— Co zamierzasz zrobić? — szepnął Ken do przyjaciela, kiedy już umieścili brekcję na spalonym słońcem tylnym siedzeniu samochodu.

— Sam nie wiem — mruknął tamten. — Czytałeś ten kawałek w gazecie?

— Tak, u Thea.

— Co zamierzasz?

— Nie mam pojęcia. Ale musimy sobie pomagać.

— Nie sędzę, byś tym razem mógł mi pomóc — odparł Ngili. —  
To  
zabawne, według tego oświadczenia rządu, ja mógłbym wrócić na  
Dogilani,  
ale ty nie.

— Może powinniśmy zamienić się dokumentami.

Ngili zaśmiał się sucho i wrócił do Andersona i Ngiameny.

Anderson się uśmiechnął. — Istnieją sposoby połączenia obowiązku  
z przyjemnością — powiedział. — Mógłbym urządzić w Nowym Jorku  
wystawę naszych skamieniałości, aby poprawić wizerunek kraju. Ngili,  
chciałbyś zostać dyrektorem takiej wystawy?

Ngili popatrzył nań obojętnie i wzruszył ramionami. Patrick wyjrzał  
przez  
okno i zawołał, że na tarasie podano kawę.

— Hm, napijesz się z nami kawy, Ken? — zapytał Ngiamena. —  
A może wolałbyś najpierw wziąć prysznic...? — Spojrzał z przesadną  
troską  
na jego zmiętą koszulę.

Bezceremonialność Ngiameny zaskoczyła Kena. •— Jeśli pan  
pozwoli,

chciałbym najpierw skorzystać z telefonu — odparł niezręcznie.

— Proszę bardzo, skorzystaj z aparatu w saloniku. — Ngiamena  
zwrócił

się do Yinki: — Co zamierzasz robić? — zapytał, dając do  
rozumienia, że  
zaproszenie na kawę jej nie dotyczy.

— Nie muszę do nikogo telefonować, więc przymierzę moje  
weselne

kikoi — odpowiedziała spokojnie i odeszła. Mimo pośpęnego  
nastroju Ken

pomyślał o lwicy ruszającej na samotne łowy, z których nic nie  
przyniesie

staremu zgryźliwemu lwu.

Ngiamena położył wielką dłoń na plecach Ngilego i popchnął go w  
stronę

tarasu. Anderson poszedł za nimi, mijając po drodze Kena. Nad Karen  
rozległ

się warkot następnego wojskowego samolotu, lecącego z takim trudem,  
że

Ken mruknął: — Jeśli ci idioci będą tak latać, rozbiją się i zginie dwustu  
ludzi...

— ...Którzy nie będą musieli dłużej się męczyć — dodał Anderson.  
Ken

wytrzeszczył na niego oczy, ale tamten wytrzymał to spojrzenie z  
promiennym

uśmiechem. — Przywieźliście coś ciekawego? Co zawiera ta  
brekcja?

— Małpę — skłamał gniewnie Ken.

— Jeśli będzie coś więcej, dajcie mi znać. — Anderson znów się  
uśmiechnął i oddalił w kierunku tarasu.

— Czym wykopaliście skamieniałość? — z drugiego końca linii  
dobięł

głos Randalla Phillipsa. Uczony roześmiał się gwałtownie, podczas  
gdy Ken

opisywał mu narzędzia, jakich użyli: maczetę, brzytwę, kłamrę od  
paska. —

Zdumiewające, absolutnie zdumiewające! Chciałbym opowiedzieć  
tę historię

facetom z Instytutu Pochodzenia Człowieka w Berkeley...

— Może lepiej nie. Będą mruzczyć i chrząkać, że skamieniałość nie  
została wydobyta zgodnie z zasadami sztuki.

Ken, ukryty w saloniku Ngiamenów, rozmawiał przez stary  
bakelitowy

telefon, relikwiarz czasów kolonialnych, wypucowany do połysku przez Patricka.

Przez najbliższe okno widział taras. Jakub, Anderson i Ngili popijali tam

*kahawa*, mocną kenijską kawę, z filiżanek o brzegach ozdobionych miniatu-

rowymi porcelanowymi ziarenkami kawy, stwarzającymi przy dotyku warg

przyjemne wrażenie ziarnistości.

Anderson coś mówił. Pochylał się w stronę Ngilego, wykonując pięknymi

białymi dłońmi koliste gesty. Wydawał się ufać swojej sile perswazji.

Trzy mile stamtąd, w podupadającej dzielnicy, Randall Phillips sapał

z podniecenia. — Możesz przywieźć to tutaj? — zapytał. — Ale nie od razu,

za parę godzin. Właśnie mieliśmy sprzeczkę z Marcia. Fakt, że opuszczamy

Kenię, wytrącił ją z równowagi — chociaż to ona nalegała, byśmy wyjecha-

li — więc zrobiła scenę, bo zapomniałem kupić dodatkową walizkę.

— Kupię et ją po drodze — zaproponował Ken. — Będiesz jej potrzebował ha próbki kości i gleby.

— Świetnie. Cholera, naprawdę robią Carusa ministrem zabytków starożytności? Może nie powinienem wyjeżdżać, bo a nużby zrezygnował

z funkcji kustosa muzeum skamieniałości... Nie, ten człowiek nigdy z niczego

nie zrezygnował — rozważał nie bez goryczy Randall. — W porządku, będę

mieszkał w Kalifornii, gdzie moje dzieci nauczą się nie szanować rodziców,

a Marcia zrobi sobie lifting. No więc, czy to wszystko?

Nie — odparł Ken i opisał widoczny na bocznym grzbiecie Mau krąg śladów stóp, a potem odciski, jakie zobaczył po burzy pyłowej.

Randall słuchał z uwagą. Zachowywał się tak cicho, aż Ken się zaniepokoił.

— Bomba — powiedział potem, szczerze i nie po naukowemu.

Ken przywołał w wyobraźni obraz starego nauczyciela. Randall Phillips

był niski i muskularny jak żołnierz piechoty morskiej, miał jednak wydatny

brzuszek, „wysokie czoło” i grube okulary. Brzuchaty, łysiejący, krótkowzroczny *marine*. Specjalizował się w dwu dziedzinach: paleoanatomii i ewolucji człowieka. Naprawdę trudno było zrobić na nim wrażenie, a Kenowi

właśnie się to udało dwukrotnie.

— Podaj mi trochę więcej faktów — poprosił Randall.

— Nie znam ich więcej. Mam tylko dowody na to, że istota o stopach

praczłowieka poluje za pomocą pradawnych narzędzi w środowisku, jakie

zamieszkiwał praczłowiek. Posiadam fotografie i kamienie.

Fotografie są

w trakcie wywoływania, kamienie mam w kieszeni.

Wsunął dłoń do kieszeni, natrafił na kamienie i pogładził ich milczące,

martwe powierzchnie.

— Bomba — powtórzył Randall-. — A kto to jest, u diabła?

Ken wziął głęboki oddech. — Nie wiem, kto to jest, ale domyślam się,

kim nie jest. Rozważałem tę zagadkę z każdego punktu widzenia i doszedłem

do trzech rozsądnie brzmiących wyjaśnień: jest to albo zdziczałe dziecko,

albo zagubiony członek jakiegoś plemienia, albo nieznaną gatunek małpy

człekokształtnej. — Znów wziął głęboki oddech i dokończył szybko: —

Słuchaj, Randall, żadne z tych wyjaśnień mnie nie przekonuje. Hipoteza z małpą jest najmniej prawdopodobna, gdyż małpy mają ręce zamiast nóg,

a jeśli nawet polują — co robią regularnie tylko szympany — nie korzystają przy tym z narzędzi. — Przerwał, wstrzymawszy oddech, i czekał nerwowo na odpowiedź Randalla.

— W porządku — rzekł cierpliwie uczoney. Pozostają więc teorie o zbłąkanym członku plemienia i dziedzicznym dziecku.

— Racja. Załóżmy więc, że ta tubylec, co samo w sobie stanowiłoby

wypadek dość rzadki, a w dodatku o niewiarygodnie archaicznej budowie

stóp. Nie sądzisz, że ktoś taki, bez względu na to czy byłby tubylcem, czy

naukowcem, starałby się zasygnalizować swoją obecność, żeby go uratowano?

Chodzi mi o to, że tkwiliśmy tam przecież, w samym środku otwartej

przestrzeni, przez trzy dni! To niemożliwe, by ktokolwiek nie dostrzegł nas

albo samolotu! A co do zdziczałego dziecka... Jak mogłoby tam przeżyć? —

Ken roześmiał się sucho i z napięciem. — Przespałem ledwie parę godzin

przy stanowisku wykopaliskowym, a obudziłem się praktycznie nos w nos

z lwem. Szanse na to, by dziecko przeżyło samotnie w takim miejscu, są jak

jeden do miliona! Nie sądzisz? Co o tym myślisz, Randall?

— Myślę, że masz rację — zgodził się uczony. — Żadna z tych hipotez

nie wydaje się całkowicie przekonująca.

Ken odetchnął głęboko. Doznał dziwnego uczucia ulgi.

— Więc z czym mamy do czynienia? — zapytał Randall.

— Sam nie wiem. Mam tylko silne przeczucie, że cokolwiek by to było,

nie zgubiło się przypadkiem, lecz należy do tamtego środowiska.

— W porządku... — Głos Randalla stał się głębszy, jakby umysł naukowca pogrążał się w kolejnych warstwach zagadki. — Przywiozłeś więc

z Dogilani skamieniałość i jakieś dowody świadczące o występowaniu żywej

istoty. Skamieniałość to skamieniałość — rzecz pewna, uchwytna, dająca się

datować. A czym dokładnie jest ta istota? Kolejny Wielkostopy?

— Randall! — Ken poczuł się urażony.

— Pozwól, że ujmę to inaczej. Dziecko może się zgubić w sawannie,

podobnie jak dorosły. Lecz jeśli ta istota tam się urodziła, mamy do czynienia

nie tylko z jednym osobnikiem, lecz z całą rodziną. Z całą populacją. —

Zamilkł na chwilę. — Czy może chcesz, żebym uwierzył, iż jakaś skamienia-

łość powróciła do życia i jeła sobie spacerować po okolicy? Ken?

Ken otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale się nie odezwał.

Miał wrażenie, jakby jego umysł rozszerzał się we wszystkich kierunkach

i pośród tej — powstałej w jego głowie — rozległej przestrzeni ujrzał siebie

w sawannie, twarzą w twarz ze skuloną brązową istotą, z hominidem, który

polował czarnymi kamieniami, stworzeniem, którego nigdy nie widział, jeśli

nie liczyć śladów stóp. Praczlówek uniósł wzrok, patrząc prosto na niego.

Ken ocknął się, przerażony. Wydał gardłowy dźwięk, odetchnął głęboko,

i obraz zniknął.



„W porządku — pomyślał młody naukowiec — to tylko zmęczenie. Zmęczenie, głód, wyczerpanie. Ciała i umysłu.”

Odzyskał nad sobą kontrolę. — Randall, nie mam już nic więcej do powiedzenia. Za godzinę odbiorę zdjęcia i razem je przejrzymy.

— Doskonale, nie mogę się doczekać. A tak na marginesie, pamiętasz

Raja Haksara? Był szefem wydziału antropologii kulturowej?

Ken skinął głową. — Pewnie. Obyczaje plemienne. Ryty inicjacji i dojrzałości. Został już chyba profesorem emerytowanym. — Zapamiętał

Haksara jako pomarszczonego Hindusa, drobnego, kruchego i przesadnie uprzejmego w stosunku do studentów.

— Tak, przed paru laty przeszedł rja emeryturę. Ale dobrze będzie z nim

pomówić, żeby wykluczyć możliwość, że tamte ślady pozostawił jakiś chłopak podczas „przejścia” inicjacyjnego.

Ken aż podskoczył. — Jakiego „przejścia”? O czym ty mówisz?  
Na

Dogilani nie mieszkają żadne plemiona!

Ken rozważył już tę możliwość i ją wykluczył.

„Przejście” to samotny marsz przed dżunglą, albo sawannę, młodzieńców z plemienia, którzy chcieli dowieść swojej męskości. W tym celu udawali się samotnie do buszu, gdzie musieli przeżyć o własnych siłach, bez jakiegokolwiek pomocy. Czasem, choć rzadko, pozwalano im zabrać włócznię albo łuk i strzały. Przejście mogło trwać parę tygodni, a wiek uczestnika próby różnił się w zależności od plemienia — w niektórych plemionach chłopcy poddawali się temu rytuałowi w wieku dziewięciu lat.

— Wiem. Odgrywam tylko rolę adwokata diabła — odparł Randall.

— Nie widziałem nawet jeszcze twoich zdjęć. Jeśli jednak tamtych śladów nie

pozostawił chłopak w czasie „przejścia”, małpa czy jakiś zbłąkany tubylec

to — cytując Sherlocka Holmesa — to, co pozostaje, jakkolwiek niepraw-

dopodobne, musi być prawdą. A pozostaje praczłowiek. Czy jesteś gotów

twierdzić, że na Dogilani są żywi praludzie?

Dokuczliwy ból głowy ścisnął skronie Kena. Przetrzęsnął mój umysł

w poszukiwaniu brązowej istoty, ale zamiast niej odnalazł tylko wyobrażenie

brązowej istoty, wyobrażenie żywego praczłowieka. Poczul się tym onie-

śmielony oraz zażenowany faktem, że wobec dawnego nauczyciela zachowywał się z taką pewnością siebie i nerwowością.

— Masz numer telefonu Haksara? — bąknął.

— Powinieneś go znaleźć w książce telefonicznej, o ile Haksar jeszcze

nie umarł. W porządku, ważniaku — konkludował żartobliwie. — Przywieź

tę swoją tajemnicę. A tak na marginesie, dopilnuj, żeby Caruso nie wywęszył

twego znaleziska, zanim się dowiesz, co to takiego. Odsunie cię na bok —

ma teraz świetny pretekst — potem wymyśli jakieś wytłumaczenie i rozpo-

wszechni to w mediach.

— Wiem. Spokojnie, Randall. Nie jestem lekkomyślny.

— Nigdy nie mówiłem, że jesteś — zachichotał Randall. — Na razie.

Odłożyli słuchawki.

Ken stał wpatrując się z roztargnieniem w zawieszoną nad telefonem wiktoriańską reklamę.

**HOTEL KUPIECKI „NAIROBI”  
ROZSADNE CENY. NUMEROWI W UNIFORMACH OCZEKUJĄ NA WSZYSTKIE POCIĄGI.  
KOLONIŚCI Z KRAJU PRZYŁĄDKOWEGO ODNAJDĄ WE WŁAŚCICIELU  
STAREGO PRZYJACIELA.**

Dom był pusty i cichy jak rzadko. Itina, matka Ngilego, Gwee oraz Wambui, niania, która wychowała młode pokolenie Ngiamenów — wszyscy oni wyszli załatwiać związane z weselem sprawunki. Ken wyrzął przez okno na taras. Teraz mówił Jakub, opierając mięsiste dłonie o drewniany stół, Ngili

natomiast słuchał. Ken prosił Boga, żeby stary wykazał trochę elastyczności.

W tym momencie jego umysł opanowała uparta myśl: to nie mogło być „przejście”.

„Przejście” to rytuał plemienny, na temat którego wypisano morze atramentu. Stał się też przyczyną śmierci kilku romantycznych antropologów,

którzy podążając śladem chłopców wędrujących po dzikich obszarach nie

zważali na niebezpieczeństwo ze strony węży, na dyzenterię czy odwodnienie organizmu.

Był to test wytrzymałości, pełen makabrycznego heroizmu.

Chłopcy

musieli przeżyć żywiąc się wyłącznie tym, co upolują albo znajdą. W wypadku

oszustwa zostaliby usunięci z plemienia. Parokrotnie zdarzyło się, że przechodzący inicjację przyjęli jedzenie od misjonarzy czy podróżników i zginęli z rąk własnych rodziców, którzy nie mogli tolerować złamania przysięgi plemiennej.

W programie wykładów Kena na pierwszym roku studiów znajdowały

się zajęcia z obyczajów plemiennych. Przypomniał sobie teraz, że Haksar

rozpoczął je od pokazania świeżo upieczonym studentom serii fotografii chłopców stóp po pomyślnym zakończeniu „przejścia”. Stopy te były brudne, zabłocone i oblepione krwią. Studenci wzdrali się na widok

nie zagojonych ran i pęknięć skóry. Zamiast ubolewać nad barbarzyństwem takiej inicjacji, Haksar egzaltował się siłą i wytrzymałością uczestników próby. — .fanie i panowie, afrykańscy chłopcy są najdzielniejsi na świecie

podczas tej próby życia i śmierci. Nie mają jednak świadomości własnego

męstwa, gdy ich stopy, najsilniejsze wśród przedstawicieli gatunku ludzkiego, odczują kroczą po wyboistym terenie, rozgrzanym piasku, ostrych

cierniach, śmiertelnie jadowitych pająkach i gadach. Panie i panowie, stopy

Afrykanów ucieleśniają nie uświadomioną dzielność ludzkości w jej marszu

ku przyszłości...”

Przerwał wówczas i utkwiał spojrzenie w widocznych pod pulpitemi audytorium stopach swoich afrykańskich studentów. Rozległo się przeciągle

szuranie, kiedy słuchacze usiłowali wsunąć nogi w sandały lub pantofle, gdyż

niczego nie podejrzewając zrzucili je w trakcie wykładu. Wielu z nich przed

rozpoczęciem studiów uniwersyteckich nigdy nie nosiło butów. Haksar uśmiechnął się i ciągnął dalej, wyjaśniając, jak chłopcy gołymi rękami zdobywali wśród dzikiej przyrody naturalne pożywienie. Pili wodę wyciśniętą z liści i bulw, godzinami wyczekiwali przy gniazdach dzikich pszczół na okazję, by wygarnąć trochę miodu, walcząc z obrzydzeniem wykopywali padlinę zagrzebaną przez hieny i łamali kości — których nie zdołały złamać potężne szczęki tych zwierząt — by wylizać parę gramów gnijącego szpiku. Zbierali larwy i gąsienice owadów, rozgniatali je i zjadali. Kiedy upał stawał się nie do zniesienia, oddawali mocz i mieszały go z ziemią, a uzyskane w ten sposób błoto rozprowadzali w cieniu drzewa i kładli się w nim, by zapewnić

ciału nieco chłodnej wilgoci. Spożywali wszelkiego rodzaju jaja, nawet krokodyle, jeśli tylko udało im się bezpiecznie podejść do trzydziestu czy czterdziestu kul o miękkich skorupach — z widocznymi wewnątrz zarysami embryonów — pozostawionych na słońcu, w oczekiwaniu na wyląg, przez beztroską krokodylą matkę.

Słowem, poddający się takiej inicjacji stawał się żywą encyklopedią sztuki przetrwania w warunkach naturalnych. Jeśli mu się powiodło, przekazywał swoją wiedzę własnym synom i pozwalał, by raz jeszcze, samotnie, sprawdzili ją wśród dzikiej przyrody.

Po wykładzie nagrodzono Haksara spontanicznymi oklaskami, a przecież — idąc korytarzem na kolejne zajęcia — Ken usłyszał komentarz dwóch

Afrykanów z pierwszego roku, że Haksar jest całkiem zabawny, jak na starego, „cuchnącego curry” Hindusa — obelgę tę przejęli od Brytyjczyków.

Młodzieńcy nosili koszulki polo, odprasowane luźne spodnie w kolorze khaki i mokasyny na bosych stopach. Jeden z nich pochwycił zaskoczone spojrzenie

Kena. — Coś nie w porządku, kolego? — zapytał wesoło.

Ken odpowiedział szybko: — Wszystko świetnie, jak zwykle.

Odszedł zastanawiając się, czy Haksar wie, że studenci nazywają go „cuchnącym curry Hindusem” albo *tandoori*. Musiał wiedzieć, to oczywiste.

Całe życie spędził w Kenii, całe życie zajmował się jej problemami rasowymi i plemiennymi. W okresie kolonialnym biali byli na szczycie, czarni na dole.

Nienawidząc się wzajemnie, jedni i drudzy gardzili Hindusami znajdującymi

gdzieś w środku. Co zaś tyczy się stosunków plemiennych, to sytuacja nie

była lepsza. Po uzyskaniu niepodległości odżyły dawne konflikty między

siedemdziesięcioma plemionami w Kenii i z górą dwustu w Afryce Wschod-

niej, zmieniając ten region w kipiący tygiel zazdrości i nieufności.

Na Dogilani nie mieszkaly jednak plemiona, które posyłałyby chłopców na rytualne „przejścia”.

Albo raczej: nie mieszkaly poznane plemiona.

Hipoteza o istnieniu nieznanego plemienia także nie miała sensu.

Afrykański busz to nie Amazonia. Gdzie mogłoby się ukryć plemię, z

którym  
nie nawiązano by dotąd kontaktu?

Ból głowy stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Ken rozmasował skronie, a następnie uniósł ręce i przyjrzał im się. Wyobraził sobie, że rzuca nimi kamieniami. Wyobraził sobie brązową łapę hominida ciskającą kamienie, ciskającą celowo, przy dobrej koordynacji ręki i oka, jaką nie odznacza się żadna małpa, chociaż małpy w przystępie gniewu rzucają ziemią i patykami.

Celowe rzucanie oznacza regularne polowanie, a więc człowieczeństwo.

Znów zaryczył transportowiec. Zadrżały szyby w oknach. W drugim końcu saloniku załomotały i uchyliły się drzwi. Ken usłyszał radio: bębny zagłuszone szybko hałasem samolotu.

Drzwi otworzyły się na oścież, ukazując sypialnię i stojącą bokiem, twarzą do lustra, młodą kobietę. Była to Yinka, naga, tylko w białych bawełnianych majteczkach. Skrzywiła się na dźwięk samolotu, ale dalej

spoglądała w lustro, trzymając w ręku sznury kolorowych paciorków. Jeden zarzuciła na szyję, drugi złożyła podwójnie i przystroiła nim lewy nadgarstek.

Miała małe piersi, masajskie piersi, które pozostaną dziewczęce, póki nie

napęlnią się mlekiem. Były ładne, ale nie podniecające. Ken z trudem natomiast przełknął ślinę na widok jej ud: długich, szczupłych, lśniących,

jakby promieniały wewnętrznym blaskiem. Yinka miała pięć stóp i sześć cali

wzrostu, lecz jej uda wydawały się długie i poruszały jak na zwolnionym

filmie albo jak kończyny żyrafy, powolne nawet wtedy, kiedy zwierzę pędzi

pełnym galopem.

Dziewczyna stanęła na jednej nodze — unosząc stopę i opierając ją pod

kolanem drugiej nogi — w naturalnej pozycji masajskich pasterzy strzegących

bydła, w której pozostawali nieraz całymi godzinami. Jak przystało na Afrykankę, paciorki mierzyła stojąc na jednej nodze i z odkrytymi piersiami.

Ryk samolotu ucichł. Ken usłyszał bębny, pięć bębnow, każdy nastrojony

na inny ton. Ich mocne, dobrze skoordynowane dźwięki przypomniały mu

popularny zespół Mombasa Lions. Powiedział sobie, że powinien wyjść na

palcach, zanim dziewczyna go zobaczy, ale nie mógł się zmusić do odejścia.

Stał i patrzył na jej niewinną nagość.

Yinka odwróciła się. Spostrzegła go.

Stał nieruchomo, z pałającymi policzkami. Przyglądała mu się z nie-

przeniknionym wyrazem twarzy, tak samo jak na lotnisku. Wreszcie poruszyła

się na swych na pozór nieruchomych nogach, stając twarzą do niego. Uda

miała doskonale zgrabne, lekka mgiełka włosów łonowych ocieniała ciało

w miejscu, gdzie wcinały się w nie majteczki. — Co tu robisz, osadniku? —

zapytała sucho. — Zwyczajem dawnych kolonistów podglądasz nagą czarną

dziewczynę?

Zniknęła z jego pola widzenia, ale nie zamknęła drzwi. Słyszał odgłosy

szybkiego ubierania. Kiedy ukazała się ponownie, miała na sobie białe kikoi

o brzegach ozdobionych sylwetkami łuczników podchodzących



antylopy.

Zbliżyła się do niego i powiedziała spokojnie: — O co chodzi, Ken?

Zbyt

dużo czasu spędziłeś obserwując pawiany parzące się na rozgrzanych skałach?

Zaśmiała się głucho. — Mógłbym się usprawiedliwić, gdybyś tylko skończyła z sarkastycznymi uwagami, włącznie z tym głupim „osadnikiem”.

Spojrzała nań chłodno. — Nie całkiem żartowałam. Czyż nie składałeś

podania o prawo stałego pobytu w tym kraju?

— Że co...? — Spojrzał na jej kiko, ciasno spowijające piersi.

— Składałeś podanie o prawo stałego pobytu w Kenii. Wiem o tym od

kogoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sądziłam, że zrobiłeś to, żeby

ułatwić sobie załatwianie zezwoleń na wykopaliska i...

— Nigdy nie składałem takiego podania.

— Jesteś na liście rządowej...

— Może jestem na liście tych, którzy mają zostać wyrzuceni z kraju, co

nie dziwiłoby mnie w obecnej sytuacji!

— Chciałbyś poznać amerykańskich studentów dziennikarstwa? — zapy-

tała zmieniając nagle temat. Ken zastanawiał się, czy nie wymyśliła tej listy

rządowej, aby usprawiedliwić to, że mu dokucza. — Przyjechali tu w ramach

wymiany kulturalnej, mężczyzna i dwie kobiety. Wszyscy czarni, oczywiście.

— Pewien jestem, że potrafią się zabawić beze mnie.

— Facet, owszem. Ma więcej randek, niż może podołać. Ale dziewczyny

nie, bo nasi chłopcy chcą białych partnerek. Toteż są zrozpaczone. Co na to

powiesz, osad... Przepraszam. Przy uprzedzeniach naszych czarnych chłopców

i rogatych duszach waszych czarnych dziewcząt otwierają się przed tobą

perspektywy...

— Nie, dzięki. Wolę obserwować pawiany, mają interesujące strategie

reprodukcyjne.

Wyszedł z saloniku, wstąpił na frontowe schody, zatrzymał się i odetchnął

ciepłym powietrzem wieczoru.

Zdziwił się, słysząc za sobą kroki. Yinka wyszła na dwór i stanęła obok

niego. Patrzyli na krwawe niebo zachodu.

— Są dwie rzeczy, których nie powinieneś teraz robić — powiedziała. — Po pierwsze, nie wywoż z kraju żadnych skamieniałości.

Oprócz

już obowiązujących przepisów wejdzie w życie dodatkowe prawo przeciw

rabowaniu dziedzictwa narodowego, dotyczące zwłaszcza znalezisk nau-

kowych

dokonanych przez cudzoziemców. A po drugie, nie zrażaj sobie

mego ojca.

— Sam doszedłem do tego drugiego, a obawiałem się pierwszego. W każdym razie, dziękuję. Jak sądzisz, kiedy nowe prawo wejdzie w

życie?

— Prawdopodobnie w tym tygodniu.

Randall wyjeżdżał nazajutrz. Mógł jeszcze zabrać parę fragmentów skamieniałości, zapakowanych w jakiś niewinny pojemnik, na przykład w woreczek na tytoń albo blaszane pudełko po cukierkach.

Yinka utkwiała w nim spojrzenie błyszczących brązowych oczu, których

głębin starał się zwykle unikać. — Chcesz wrócić na sawannę? Przekonaj

Ngilego, żeby poszedł do szkoły dyplomacji, a potem będziesz mógł poprosić

*um'tu* o pomoc. Znajdzie sposób.

Zatkało go, po części dlatego, że spojrzenie jej błyszczących oczu sugerowało, iż jest to, ot taka sobie, zgoła niewinna sugestia. — Jak

mógłbym

zrobić to Ngilemu? Jest moim przyjacielem. To nie wchodzi w grę.

— Wybór należy do ciebie. Cóż jest takiego niezwykłego w przywiezio-

nym przez was szkielecie?

— Jest seksowny — wypalił. — Wiesz, że przed dwoma milionami lat

praludzie wynaleźli orgazm? Samce miały więcej krwi od małą, toteż ich

wzwiedzione członki o wiele bardziej nabrzmiewały i dawały samicy więcej

satysfakcji. — Zmrużyła oczy. Usiłował ją zaszokować, ale nie mógłby

powiedzieć, czy mu się to udało. — Co do samic, to rozwinęła się u nich

macica o butelkowatym kształcie, która kurczyła się, wciągając spermę

pozostawioną uprzednio w pochwie! Takie były początki kobiecego orgazmu.

Później doszło do tego, że samice mogły mieć dzieci z wybranym partnerem.

o większej rozdzielnosci, nie sądzisz? CIA nie podaje do publicznej wiadomości informacji o najnowszych technikach.

— Sądzę, Yinko, że to wymysły dziennikarskie. Tak czy inaczej, muszę tam wrócić.

„Świetnie, wracaj tam samotnie, głupcze” — pomyślała, zmęczona nieubłaganym egoizmem ludzi: jej ojca, brata, białego Amerykanina.

Przyjdiesz na wesele Gwee? —■ zapytała, znów zmieniając temat. Roześmiała

się. — Będziemy tańczyć taniec młodzieży masajskiej. Wyobrażasz sobie

premiera tańczącego w tym stylu? Albo Cyrila Andersona?

Też się roześmiał na myśl o tańczącym Cyrilu, który musiałby przecież

to zrobić, zwłaszcza gdyby wszedł w skład gabinetu.

Taniec ten, będący popisem sprawności fizycznej, wykonywany był przez

młodych wojowników masajskich przed przyszłymi narzeczonymi. Młodzieńcy

skakali w miejscu wysoko w górę. Dziewczyny zaś, z twarzami ukrytymi za

pękami łańcuszków i kólek, chichocząc jak opętane, zerkały spoza ozdób,

próbując dojrzeć odsłaniające się niekiedy pod fruwającymi połami kiko

fragmenty męskiego przyrodzenia.

— Przyjdę — obiecał. — Zatańczymy go razem.

Ścisnęła go nagle za rękę. Palce miała chłodne, ale jemu krew uderzyła

do głowy. Dziewczyna patrzyła obojętnie, przekazując mu sekretny sygnał

zainteresowania, po czym rozluźniła uścisk dłoni spoczywającej w jego ręce.

Wstrzymał oddech i pogładził jej palce, rozkoszując się już niemal zapom-

nianym dotykiem kobiety.

Dziewczyna cofnęła rękę.

Od strony tarasu nadchodzili Ngiamena i Anderson. Uczony kończył

właśnie zdanie: — To najlepszy sposób, żeby olśnić ludzi z Nowego Jorku

i Waszyngtonu. — Ken domyślił się, że chodziło o muzeum skamieniałości

i przygotowywaną wystawę wyjazdową. — A jak to już: zrobimy, pomówię

o tym kraju i zapytam prosto z mostu, kto wniesie wkład i w jakiej wysokości.

— To dobry plan. Mam nadzieję, że okaże się skuteczny — rzekł Ngiamena.

Na pewno — powiedział Anderson z olimpijskim spokojem. Poszli dalej, minawszy Kena i Yinkę.

Targowisko pod gołym niebem przy Muindi Mbingu Road przypominało bazar z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Handlowano tam żywnością i korzennymi, kozami i psami wartowniczymi, papugami i małpkami, bambusowymi krzesłami do ogrodu, mosiężnym rondlami i patelniami, perskimi dywanami wątpliwej wartości i obrączkami ze złota i srebra — bez próby. Jak na ironię stragany ze świeżym mięsem poustawiano tuż obok rzędu bud o wąskich drzwiach, zasłoniętych trzepoczącymi kurtynami od prysznic. Mieszkały tam prostytutki. O ich imionach informowały umieszczone na zewnątrz małe drewniane tabliczki. Dziewczyny były wesole i przyjazne. W skąpych strojach

wychodziły na targowisko, by napić się kawy lub kupić coś do jedzenia, i zwykle wracały z klientem. Jedna nazwała się Madonna. Inną znano jako Annie Bez Guzika, gdyż za dodatkowym wynagrodzeniem pokazywała gawiedzi, że nie ma „guzika”, czyli łechtaczki. Łechtaczkę i część warg sromowych odcięto jej w wieku dojrzewania, pochodziła bowiem z wioski, gdzie nadal praktykowano obrzezywanie dziewcząt, co miało uczynić je wiernymi żonami. Tradycja ta przetrwała w rejonach wiejskich, chociaż została prawnie zakazana. Annie wprawdzie nie stała się prawowierną afrykańską żoną, ale ze swej ułomności uczyniła drobną atrakcję turystyczną.

Ken i Ngili, tryskający energią po prysznicu i szybkim obiedzie — złożonym ze steku oraz *githeri*, potrawy z kukurydzy i fasoli, a także *matoke*, ugandyjskiego ciasta z bananami — chodzili po targowisku szukając walizki dla Randalla. Ken zapytał przyjaciela, o czym mówiono przy kawie na tarasie Ngiamenów. Ngili odpowiedział, że ojciec, usiłując znaleźć kompromisowe rozwiązanie, naciskał na niego, by przyjął proponowaną przez Cyrila funkcję kustosa objazdowej wystawy skamieniałości, co stanowiłoby świetną okazję do spotkania czołowych paleontologów świata i dałoby się łatwo pogodzić z obowiązkami dyplomatycznymi.

— Ale to nie to samo, Ngili, co powrót na sawannę i dokończenie prac

przy znalezisku. To jest nasze znalezisko, a może się okazać niezwykle!

Wiem, że posiadamy jedynie kilka elementów łamigłówki, ale możemy

znaleźć ich więcej — przekonywał Ken wśród zgiełku Muindi Mbingu

Road. — Pomówię z twoim ojcem, jeśli sądzisz, że to pomoże...

— Nie — odparł ponuro Ngili. — Nie powinieneś się w to mieszać.

— Och, na litość boską. Czy czas teraz na afrykańską etykietę? To ważne

dla świata.

— Nie wiesz, czy aż tak ważne. A ja nie chcę urazić ojca.

— Czym miałbyś go urazić? — Widząc napięte rysy przyjaciela, Ken

domyślił się, że nie otrzyma bezpośredniej odpowiedzi. Zastanawiał się, czy

Jakub nie obawia się utraty uprzywilejowanej pozycji u boku prezydenta kraju, odznaczającego się zmiennym, nieprzewidywalnym charakterem.

Wyjaśniałoby to popis patriotyzmu i wierności krajowi, ale...  
kosztem syna.

W tonie Ngilego już wyczuwał zapowiedź zdrady własnych  
ideałów. —

Nie chcesz urazić ojca — warknął sfrustrowany, ale nade wszystko  
niepewny,

czy będzie w stanie kontynuować samotnie wielkie przedsięwzięcie. —

On

się nie przejmuje tym, że urazi ciebie.

— Cóż ty wiesz — odparował Ngili. — Cóż ty, do diabła, tak  
naprawdę

wiesz o afrykańskich ojcach i synach?

Oddalił się ostentacyjnie i przystanął przy stercie artykułów  
podróżnych.

Poprosił wyniośle w suahili o pokazanie jakichś walizek, wybrał jedną  
i targował się nieustępliwie. Ken wydobył zwitek banknotów, żeby  
zapłacić

połowę ceny. Ngili odsunął jego rękę, odliczył całą sumę z własnego  
portfela,

następnie chwycił walizkę.

— Słuchaj — rzekł z napięciem, kierując się poza teren targowiska

moja siostra cię lubi. Zachęcałeś ją do czegoś?

— Co? — Ken zaczął się śmiać. Sam pomyślał, że mógł zachęcać do czegoś Yinke, wydał mu się komiczny; zrobiłaby, co by chciała, bez żadnej

zachęty. Korciło go, żeby powiedzieć „tak”, ale zdał sobie sprawę, że Ngili

nie jest w nastroju do żartów.

— Nigdy się do niej nie przystawiałem, jeśli o to ci chodzi — rzekł sztywno.

— Pewnie dlatego cię lubi.

— Nieprawda, Ngili, nie tak, jak sądzisz — rzekł uspokajająco i przypo-

mniał sobie miękkie, lecz mocne dotknięcie jej palców na swej dłoni,

stwardniałej od wieloletniego używania młotka geologicznego.

Widziałem to. Nawet w samochodzie zwracała się ciągle do ciebie

i rzucała ci te spojrzenia. Nie zachęcaj jej więcej. Zgoda?

— W samochodzie rozładowywała oburzenie z powodu sytuacji politycz-

nej. Yinke jest dużą dziewczynką i potrafi się o siebie zatroszczyć.

— To Afrykanka, a ty jesteś białym Amerykanem — orzekł surowo

Ngili. — Tutaj troszczymy się o nasze siostry. Ty i ja to co innego, jesteśmy

mężczyznami i coś nas łączy — łączy nas przeszłość. Ale ciebie i jej nie łączy

nic. Rozumiesz?

Wyprzedził Kena w drodze do zaparkowanego landrovera i teraz przestępował niecierpliwie z nogi na nogę.

Ken przystanął przy kwadratowym placu zagrodzonym pustymi pudłami

tekturowymi z nadrukiem firm produkujących komputery i telewizory:

„IBM”,

„Apple”, „Sony”. Wymalowano na nich od ręcznie napis: „Boży ogród

pokoju — pomóż, proszę”. Za ogrodzeniem spokojnie umierali,

wychudzeni

i pokryci krostami, członkowie rodziny dotkniętej AIDS. W

kartonowym

murze znajdowały się otwory, przez które przechodnie wrzucali

paroszylingowe

datki. Monety wpadały z brzękiem do umocowanych po drugiej stronie

cynowych puszek.

Ken zatrzymał się nie dla efektu. Wciąż trzymał w ręku nie przyjętą przez

Ngilego połowę pieniędzy za walizkę dla Randalla. Na widok ogrodu pokoju

i śmierci doznał wrażenia, jakby z tych otworów, ciemnych i smutnych



niczym puste oczodoły, dobiegało nieme wezwanie. Zwinął banknoty i wetknął je w otwór. Zza ściany doleciał podniecony okrzyk i jakaś niewidoczna ofiara chwyciła niespotykane hojny datek.

— *Ahsante, ahsante sana* — odezwał się ze środka ochryply męski głos. — Dziękujemy bardzo. — W ogrodzie pokoju rozległ się śmiech młodej kobiety.

Stojący przy landroverze Ngili zawołał na Kena, by się pospieszył. „Idę już, dzieciaku” — pomyślał gniewnie Ken. Wsiadł do samochodu, zdecydowany milczeć przez całą drogę do Randalla, ale kiedy włożył kluczyk do stacyjki, poniosło go.

— Co, u licha, miałeś na myśli, ostrzegając mnie w ten sposób? —

odezwał się wściekły do Ngilego. — Czy sądzisz, że ja, twój przyjaciel,

uchybiłbym twojej siostrze? I jak ty właściwie się o nią troszczysz — traktując jak swoją własność? Odmawiając prawa do lubienia mnie bądź kogokolwiek innego?

— Oszczędź sobie tej śpiewki o prawach — rzekł drwiąco Ngili z nieprzyjemnym grymasem. — To wielki amerykański przebój, ale tutaj nie brzmi dobrze. To na razie wszystko, co miałbym ci do powiedzenia, Ken.

Jesteś naiwny i zarozumiały.

— A ty rozpieszczony i nie znasz własnych możliwości.

Ngili nie odpowiedział. Ken wyjechał z targowiska. Zatrzymawszy się

przy uszkodzonych świetłach, spojrzął na zegarek. Theo powinien był już wywołać zdjęcia. Postanowił wstąpić do zakładu fotograficznego. Popatrzył

na zachód, ponad pełną zamętą ulicą.

Właśnie tam, za horyzontem rozświetlonym jeszcze blaskiem zachodu,

leżała Dogilani. To już przeszłość. Przeszłość była lepsza, czystsza. W

prze-  
szłości znalazło się miejsce dla każdego.

człowieka z dujkerem na ramionach — niesamowite wrażenie wywarła na nim obca, a jednak zaskakująco znajoma, postawa. Wystarczyło, żeby chciał go sobie przypomnieć, a już pamiętał. Usiłował powstrzymać to pragnienie, stłumić skojarzenia, jakie ze sobą niosło, gdyż... nigdy dotąd nie spotkał kogoś, kto poruszałby się tak jak on albo stał w pozycji wyprostowanej jak on, albo robił cokolwiek innego tak jak on. Kogoś takiego jak on nigdy nie było. A może był?

Wyzначył sobie zadanie: przypomni sobie coś, co doskonale zna, coś, co przywoływałoby wierny obraz jego życia, zanim przybyły te stworzenia.

Postanowił skupić uwagę na miejscu, gdzie sypiał.

„Pomyślał” o niewielkim zbiorze przedmiotów należących do niego od

pewnego czasu. Zobaczył swoje skarby oczami wyobraźni: ząb małego guźca, długi, o ostrym końcu — lubił się nim bawić, drapać po skórze i rysować

pozbawione znaczenia wzory na piasku zebranych w szczelinach *kopje*; kilka

kamieni, które trzymał na podorędziu, niby wiernych strażników, gdy spał;

szare pióro sępa, długie, czarno prążkowane, zakończone czarnym pędzelkiem,

najlżejszy przedmiot, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia; białą, suchą

i zupełnie oczyszczoną z tkanek kość — nie pamiętał, jak ją znalazł. Teraz

dołożył do swoich skarbów dziwny, lśniący kamień.

Zaczął pięć się po skałach, czując na czubku głowy promienie słońca

i wciągając haustami suche, ciepłe powietrze. Kroczył powoli, swobodnie

trzymając kamienie do polowania. Zazwyczaj przebywał wyżej niż większość

zwierząt z sawanny, z wyjątkiem ptaków. Z wierzchołka drzewa lub ze szczytu

skalnych ścian mógł dostrzec, gdzie znajdują się drapiezniki, czy się zbliżają

i w jakim są nastroju. Dążenie do tego, by znajdować się wyżej, na przykład

przyjmując pozycję pionową, należało do podstawowych zasad umożliwiają-

cych mu przetrwanie. Pragnienie przetrwania tak odcisnęło się w jego mózgu

i skoordynowało z działaniami, że prawie nigdy nie dawał się

zaskoczyć.

Stanowił łakomy kąsek dla wielkich drapieżników. Skórę miał cienką, a ciało łatwo dostępne. Chudych i pożywnych mięśni i tkanek nie chroniło grube futro. Kości miał lekkie, smukłe i smakowite. Co zaś się tyczy przyrodzonych środków obrony, to nie posiadał pazurów, a zęby nie liczyły się jako broń.

Jego najlepszą bronią stanowił mózg, który na tym szczeblu ewolucji posiadał pojemność pięciuset centymetrów sześciennych i rozwinął już niewiarygodne zdolności tworzenia strategii i planowania.

Im bardziej zbliżał się do wierzchołka skalnej palisady, tym lepiej odbierał zmiany oświetlenia, jakie następowały w czasie zachodu słońca. Z tej wysokości subtelne zmiany barw, temperatury, nawet smaku powietrza stawały się dlań wyczuwalne na długo, zanim poczuły je stworzenia wędrujące na dole. Woń wilgoci sączyła się od grzbietu Mau, gdzie niewidoczna wcześniej mgła przeobrażała się w koronę chmur.

Chmury utrzymywały się aż do chwili, gdy — przy dostatecznie zimnej nocy — spadały na ziemię w postaci deszczu.

Wciąż była pełnia dnia, lecz chłopiec wyczuwał już zapach nadchodzącej nocy.

Step przybierał odmienny wygląd. Cienie wydłużały się, ciemniały wgłębienia w ziemi. Listowie i kwiaty nabierały ostrości barw, jakich nie miały w jednostajnym blasku dnia. Już wkrótce zajdzie słońce i jak co wieczór sawanna pograży się w niespokojną otchłań półmroku. Półmrok był sygnałem budzącym nocne zwierzęta i wzywającym dzień do powrotu do jam, nor i gniazd. Jedne miały przeżyć noc, inne nie.

W pobliżu wierzchołka chłopiec zadarł głowę do góry i uważnie zlustrował niebo. Powietrze przypominało płynne złoto, złote jezioro pochłaniające ognistą kulę słońca. Sęp płowy, którego oglądał wcześniej, kołował powoli w górze, unosząc się na wysokich prądach powierzchniowych, zawracając i znów pozwalając się znosić. Niżej, szerokim łukiem leciały dwie czarne kanie, kręcąc głowami i wpatrując się w ziemię to jednym, to drugim okiem.

Drapieżne ptaki jak zwykle bacznie obserwowały ruchy drapieżników ziemnych. Dostrzegłszy jakiś pościg, nurkowały ze świstem piór, przewidując niekiedy z zadziwiającą dokładnością miejsce śmierci ofiary. Zanim jeszcze lwy albo hieny powaliły antylopę gnu wśród zarośli w ostatecznym krótkim starciu — podczas którego krzaki wrywane były z korzeniami, a tumany pyłu wzbijały się w powietrze — ptaki już czekały na ziemi, gotowe do uczy. Obserwując niebo i zarośla, chłopiec mógł dostrzec znaki, których inne stworzenia nie zauważały.

Niespiesznie dotarł na płaski grzbiet, leżący poniżej szczytowego głazu, i usłyszał jakieś chrząkania i kwiki. Serce załomotało mu w piersi, a wszystkie wnętrności skurczyły niemal tak mocno, jak wtedy, gdy zbliżał się do śladów samolotu.

Jego wzniesienie skalne zostało zajęte przez stado pawianów.

Zadrzał czując w kościach przeżycia całego dnia, niewolnego od niebezpieczeństw. Już kiedyś był poturbowany przez pawiany — na plecach

nosił głęboką bliznę zadaną przez wielkiego samca, który chwycił go na otwartej przestrzeni i omal nie zabił kilka pór deszczowych temu. Od tego czasu chłopiec nauczył się ich unikać. Rzucanie kamieniami nie zdawało się na nic, gdyż pawiany zawsze poruszały się w stadach liczących więcej sztuk niż on miał pocisków.

Ich widok go poraził. Pawiany zwykle polowały na małe zwierzęta, a na

tych skałach mogły znaleźć co najwyżej parę jaszczurek. Tymczasem dominujący w stadzie samiec rozdzierał psim pyskiem kawał mięsa, podczas

gdy inne samce przysiadły obok, wpatrując się w przywódcę z taką uwagą,

że ich pyski poruszały się w rytm jego ruchów.

Wielki pawian próbował zmiażdżyć czaszkę dukera, by dostać się do

mózgu. Nozdrza chłopca owionął miły smród rozkładających się tkanek. To

on zabił tę antylopę jeszcze przed wizytą dziwnych stworzeń, a pawiany,

wyczuwszy' zapach, podażyły jego tropem aż do szczeliny skalnej, gdzie

chłopiec przechowywał swoje zapasy.

Chłopiec nie zareagował natychmiast, inwazja na jego teren była zbyt nieoczekiwana. Stał — całkowicie widoczny i odsłonięty — obserwując, jak pawiany wpychają do pysków kawałki mięsa, posykując na siebie groźnie i oganiając się od chmary much. Stado składało się z dorosłych samców i samic oraz odstawionych od piersi niedorostków i dzieci, niespokojnych, bo starsi zdecydowanie woleli zachować padlinę dla siebie. Obecność samic i niedorostków sprawiała, że plądrująca horda

stała się jeszcze bardziej agresywna. Obnażając aż po dziąsła straszne kły, wielkie samce gotowe były zaatakować każdego intruza oprócz lwa i lamparta. Gdyby spostrzegły chłopca, zabiłyby go, zanim jeszcze samice zdążyłyby osłonić dzieci, chwytając je w ramiona i wkładając sobie na plecy.

Ale na szczęście były chwilowo zajęte — jedno jedzeniem, inne obserwowaniem jedzących.

Dla chłopca jedyny sposób obrony przed stadem stanowiła ucieczka.

Dotknął stopą skały za sobą i stwierdził, że jest płaska i jednolita. Zrobił

parę kroków do tyłu, sprawdzając, czy któraś z małp go nie dostrzegła. Wreszcie odwrócił się, gotów zbiec ze skał.

I znieruchomiał. Drogę odwrotu odcinały mu dwa wielkie samce, które

spiesząc pod górę z niższej półki, szły wprost na niego. Idący na przedzie

gramolił się dziwnie na trzech łapach, w czwartej ściskając jakiś olśniewająco

biały przedmiot. Jego oczy o kształcie lśniących czarnych ziaren rozbłysły na

widok chłopca. Niżej pięły się po skałach następne pawiany z ogonami wygiętymi w szeroki łuk, którego koniec opadał daleko od ciała, przez co

wyglądały, jakby miały się zaraz wypróżnić.

Przerażony chłopiec otworzył usta, a z jego krtani wydobył się bulgotliwy,

wydawany na najniższym tonie dźwięk „rrr”. Wiedział, że umrze. Już za

chwilę będą go pożerać razem z rozkładającym się dujkerem. Za parę godzin

ptaki obdziobią jego kości i rozrzucają je po całej sawannie — jedną upuści

w locie ptak, inną zaciągnie gdzieś gryzoń, jeszcze inne wyschną w miejscu,

gdzie go zjedzono, a potem przyjdą deszcze i wymyją je, mieszając z bezimienną masą resztek organicznych, pozostałych po ostatniej porze suchej.

Rozpaczliwie szukał sposobu, by przeżyć. Pierwszy samiec wyszczerzył



zęby, wciąż dzierżąc w łapie białą kość ramieniową. Pawiany odnalazły i splądrowały jego legowisko.

To go zelektrykowało. Chwycił małpę wpół w chwili, gdy skoczyła, by znaleźć się na tym samym poziomie co on. Zakręcił warczącym zwierzęciem tak mocno, że wypuściło kość, i cisnął nim, rozbijając mu głowę o skałę.

Trysnęła krew, spieniony mózg wypłynął z pękniętej czaszki. Zanim pawian dokonał życia w ostatnich drgawkach, chłopiec uniósł go w górę i niczym pałką walnął w pozostałe. Cios dosłownie skosił krewniaków małpy. Warkliwe „rrr” chłopca przeszło w wysokie wycie. Znów chwycił martwe ciało

i grzmocił nim w dominującego samca, który, kłapiąc szczękami, zanurzał kły w masie kudłów, aż wreszcie udało mu się zranić chłopca w prawe ramię.

Ten nie zaprzestał jednak ciosów ani wycia. Uderzał trzymanym w zaciś-

niętych dłoniach ciałem zwierzęcia, coraz bardziej bezkształtnym i zakrwawionym, a pawiany padały przed nim na skały. Przez cały czas samice

skowytom wzywały samce do wycofania się. Na koniec któryś z pawianów

skoczył chłopcu na plecy, ale ten rzucił się tyłem na skalny głaz, czując, jak

zęby i pazury napastnika zagłębiają mu się w grzbiecie, a potem — jak zmiażdżone ciało małpy zwisa bezwładnie. Zrzucił je z siebie i, obróciwszy

się, wbił krótkie zęby we wstrząsaną śmiertelnymi drgawkami szyję.

Widząc ich błysk przy szyi umierającego towarzysza, inne pawiany

odskoczyły, wrzeszcząc i prychając.

Stał, ciągle żywy, na jasnych skałach, pośród zabitych małp.

Nigdy dotąd nie zabił zwierzęcia tak wielkiego, jak pawian, i nigdy nie

zabił więcej niż jedno zwierzę naraz. W rzeczywistości zawsze zawracał i wymykał się chyłkiem na widok stada wrogo usposobionych pawianów,

uznając ich dominację. Ale też nigdy dotąd nie nachodziły one jego legowiska.

Poczuł drapanie w gardle.

Nie znał gniewnej istoty, która go opanowała i zabijała, ale fakt, że może

ją znów przywołać i poprosić o pomoc, działał pokrzepiająco, niezwykle

pokrzepiająco.

Rozejrzał się, raz przynajmniej wiedząc na pewno, że nie działa we śnie.

Dostrzegł białą kość ramieniową, wykradzioną z jego legowiska. Podniósł ją

i zaraz puścił, jakby więź między nim a dobrze znanym przedmiotem została

zerwana. Rozejrzał się za dziwnym, lśniącem kamieniem, który przyniósł ze

sobą ze snu, lecz nie mógł go znaleźć. Tym razem utracił go na dobre.

Poszukał kamieni myśliwskich, ale ich także nie dostrzegł. Zgubił je

podczas ataku, w nawałnicy rozdawanych na ślepo ciosów.

Skały usłane były ciałami martwych małp, umazane krwią z roztrzaskanej

czaszki, zanieczyszczone odchodami młodych, które obserwowały

wybuch  
niepohamowanej furii chłopca.

Zszedł na niższą półkę skalną i pochylił się, by wejść do szczeliny, w której sypiał. W tym momencie wdepnął w stertę świeżych odchodów. Po

chwili jego wzrok przystosował się do mroku panującego w wąskim korytarzu.

Nie dość, że zniknęły należące do niego przedmioty, to jeszcze pawiany rozkopały i stratowały posłanie z suchych liści. Jego legowisko zmieniło się

w cuchnącą jamę, pełną małpiej sierści, odchodów, plam moczu i śliny.

Wygramolił się tyłem i oczyścił stopy ocierając je wielokrotnie o płaski

fragment skały. Następnie wspiął się na miejsce walki, gdzie nad martwymi

małpami kołowały już ptaki. W przyływie zimnego gniewu począł kopać

ciała, aż pospadały ze skał, lądując w zaroślach, ku którym w chwilę potem

sfrunęły dwa szwadrony padlinożerców.

Staw kolanowy stanowił praktycznie podręcznikowy przykład tego, jak

nogi człowieka — w przeciwieństwie do nóg goryla czy szympansa — zajmują pozycję pionową, niczym filary podpierające resztę ciała, i jak pomagają zachować równowagę. Dobrze rozwinięty mięsień pośladkowy

pomagał utrzymać kręgosłup w pozycji pionowej i popychał do przodu poruszający się wydłużonym krokiem ludzki korpus. Miednica i kolano łącznie świadczyły o tym, że kobieta ta była całkowicie przystosowana do

przyjmowania pozycji pionowej. Goryle i szympansy, choć niekiedy chodzą

na tylnych łapach, nie mają mięśni pośladkowych, wspomagających równo-

wagę kręgosłupa i -górną część tułowia, a ich kolana nie prostują się do końca. Dlatego stają na przygiętych nogach. Kiedy zaś chodzą na tylnych

kończynach, ich skulone torsy zwisają niewygodnie ku przodowi — pozycja

taka jest męcząca i nie do utrzymania przez dłuższy czas.

Ken przebiegł spojrzeniem po kościach nóg. Wyobraził sobie żywą kobietę. Stojącą. Idącą. Niezgrabną, a jednak pełną wdzięku. Popatrzył na jej

zęby, starte od żucia ziaren, traw i bulw. Okrywające je wargi zapewne były

mięsiste i świeże, tchnące wonią roślinnego pokarmu.

— Gotów jesteś, Ken? — spytał sarkastycznie Randall. — Wyglądasz,

jak byś wystraszył się tej panienci. Młotek! — zażądał ostro.

Ken podszedł z młotkiem geologicznym. Jego zaostrozony koniec umiesz-

czał w regularnych odstępach w podłużnym wgłębieniu, pozostawionym

przez wiertarkę, a następnie obracał narzędziem w górę, w dół i na boki, oddzielając wielkie płyty brekci.

— Dłuto! Igła! — rzucał polecenia Randall niczym chirurg wołający o skalpel i kleszcze.

Młodzi ludzie pospieszyli z narzędziami, usuwając wietrzelinę, która

mocno przywarła do kości. Kość i wietrzelina miały często tak podobną barwę, że tylko doświadczone oko Randalla mogło dostrzec, gdzie kończy się

jedno, a zaczyna drugie. Ken oczyszczał drobiazgowo kawałki szkieletu osadzoną w uchwycie igłą, Ngili natomiast zanurzał je w wiadrze ze słabym

roztworem sody.

Procedura ta trwała długo i była niewiarygodnie wyczerpująca. Oczysz-

czenie wymagało ogromnej precyzji niczym chirurgia laserowa.

W czaszce brakowało jedynie drobnego fragmentu żuchwy. Barki,

ramiona, ręce, klatka piersiowa i kręgosłup zachowały się przynajmniej w siedemdziesięciu procentach. Żebra po lewej stronie zostały wgniecione, jakby uderzono je ogromnym pobijakiem. Prawy staw biodrowy i kość udowa zachowały się w stanie nienaruszonym, ale dolne kości prawej nogi — piszczel i strzałka — pogruchotane były na drobne kawałki. Lewa kość udowa została przełamana na trzy części. Lewa noga, poniżej kolana, wyglądała, jakby zmiażdżył ją jakiś straszliwy nacisk, który pozostawił także ślady na żebrach. Mimo to większość kości dało się z łatwością poskładać. A to oznaczało, że starożytna dama pozostawała nietknięta.

— Wygląda, jakby stratował ją na śmierć jakiś pranosorożec albo mastodont — zauważył Ken.

— Bardziej prawdopodobne, że przytrafiło się to po śmierci — odezwał

się Ngili. — Przykrywająca ją warstwa ziemi osiadła miazdząc częściowo lewy bok.

— Pewnie masz rację — powiedział Ken.

— Myślę, że będą kłopoty ze stopami — stwierdził Randall. — Piszczele tuż powyżej kostek kruszą się.

Odkąd przystąpili do pracy, Ken czuł nieustanny łomot serca. —

Pospieszmy się, zobaczymy, w jakim są stanie — ponaglał. Nie wyobrażał

sobie, by szczęście się od nich odwróciło, ale wszystko mogło się zdarzyć,

a definitywny dowód dwunożności stanowiły właśnie stopy.

— Powoli — powstrzymał go Randall. — Jej pas biodrowy jest tak szeroki, że wygląda na to, iż ta pradawna *Frau* miała już dzieci. Jest piękna,

taka obfita i pierwotna. Poszczęściło się wam, hułtaje. Ken, sądzisz, że twój

fotograf wywołał już zdjęcia?

Już parę razy o to pytał.

Ken, sfrustrowany, wzruszył ramionami. Kiedy po drodze wpadli z Ngilim

do zakładu fotograficznego, dowiedzieli się, że Theo nie skończył jeszcze

roboty. „Przepraszam cię, Ken — powiedział — ci Hindusi wrócili, by powiększyć im pożegnalne zdjęcia. Podaj mi telefon, pod którym można cię

złapać. Zadzwoń, jak skończę twoje fotki.”

Ken podał mu numer telefonu Randalla. Zrobiło się już po dziewiątej,

a Theo jeszcze nie dzwonił. Ken dwukrotnie próbował się z nim połączyć, ale

linia była zajęta.

— Zadzwoń jeszcze raz za parę minut.

— Młotek — rozkazał znowu Randall.

Phillipsowie wystawili swój dom na sprzedaż, ale nie otrzymali żadnych

ofert. Stał w dzielnicy niegdyś cenionej, ale obecnie opanowanej całkowicie

przez *tandoori*, Hindusów o niskich dochodach, biedaków w rodzaju tych,

którzy modlą się w świątyni hinduistycznej i pozostawiają buty przed progiem

domostw. Wybijający się na wyższe pozycje społeczne Afrykanie nie zamieszkaliby wśród tej mniejszości, chociaż jej przedstawiciele żyli w

tym kraju od ponad trzystu lat. Od z górą roku raz po raz uderzano w Hindusów nowymi przepisami, utrudniając im prowadzenie interesów. Toteż opuszczali Kenię licznie i bez przerwy.

Randall wygrzebał cały sprzęt paleontologiczny, jakiego nie wysłał jeszcze do Davis w Kalifornii, ale pędzelki zostały już spakowane. Skończywszy wiercenie — z pominięciem stóp — pobiegł pożyczyć parę pędzli do sąsiada, który malował szyldy restauracyjne. Zarówno rzemieślnik, jak i właściciele restauracji byli oczywiście ubogimi Hindusami. Pod nieobecność męża Marcia pomogła dwu eksstudentom umyć ponownie stół. — To wstyd,

co się tu wyprawia z Hindusami — powiedziała. — Budowali ten kraj, może nawet w większym stopniu niż Anglicy. -

Ngili zachichotał ironicznie. — Dziękuję pani, Marcio. Nas, czarnych, wykluczyła pani zupełnie. Jak za czasów segregacji.

— Przyjrzyjcie się waszym własnym uprzedzeniom — odparowała z nieoczekiwaną wrogością. — Przejeżdż się lokalnym pociągiem i zobacz, na ilu stacjach nie zmieniono nawet starych tablic z napisami na toaletach: „Dla Europejczyków” i „Dla kolorowych”. Jeśli takie przesłanie przekazuje wasz rząd własnemu narodowi, dlaczego ja miałabym być tak „politycznie poprawna”?

Oblała się rumieńcem. Ken poczuł zapach jej ciała od lat przesiąkniętego whisky. Marcia ostro piła, wiedzieli o tym wszyscy znajomi Phillipsów. Ich

małżeństwo utrzymywało się tylko siłą inercji. Ngili zacisnął zęby. Podszedł do poźółkowej sofy, na której znajdowały się rzeczy przeznaczone do wyrzucenia, a wśród nich — stare radio. Włączył je. Na dźwięk dobrze mu znanego, chropawego głosu Ngili zamarł.

„Jesteśmy niczym stado lwów — mówił głos Jakuba Ngiameny. — Dziś,

kiedy wielu ludzi na świecie wydaje sądy o naszym kraju, musimy pamiętać, że nie jesteśmy jak inne narody. Stare lwy są nadal w naszym stadzie gwarantem właściwego przywództwa i dobrobytu. Radzę naszej młodzieży, aby poparła rząd i prezydenta...”

Włączył się inny głos — młody, o drażniącej nowoczesnej manierze:

„Słuchają państwo Jakuba Ngiameny, dyrektora rezerwatów dzikiej zwierzyny i członka gabinetu. Panie Ngiamena, styl pańskiej wypowiedzi nawiązuje do poezji masajskiej...”

W tym momencie Randall wrócił z pękiem pędzli. — Hej, hej — powiedział żartobliwie — twój staruszek nie przepada za publicznym wyrażaniem poparcia. Co się dzieje, Ngili?

— Nic się nie dzieje! Ojciec popiera rząd, będąc jego członkiem, cóż

w tym niezwykłego? — Ngili rzucił się do radia, wyłączył je i pchnął na przetarte siedzenie starej sofy.

— Co teraz się stanie? — zapytał Randall. — Pachnie mi to stanem wyjątkowym, może nawet rozwiązaniem parlamentu.



— Co to pana obchodzi? Jutro pan wyjeżdża.

Angielski, jakiego użył Ngili, nie miał już doskonałego akcentu z Cambridge. Masaj mówił matowym głosem, redukując samogłoski do podstawowego „aa”, jak prawdziwi Afrykanie.

Randall położył mu dłoń na ramieniu. — Obchodzą mnie moi studenci.

I przykro mi, że twój ojciec został w to wmieszany, to przyzwoity facet. —

Załóżł okulary ochronne. — Dobra. Ken, Ngili, gotowi? Zdejmijmy jej skarpetki.

Rzadki dym unoszący się spod ostrza wiertarki znów zaczął drażnić nozdrza. Na podłogę spadały ciemne odłamki brekcji.

Z każdym obrotem wiertarki i stuknięciem młotka pierwotność bryły

malą. Ken zastanawiał się, czy uczucie, jakiego doświadcza, podobne jest

do uniesienia rzeźbiarza, którego dłuto wyzwała z bezkształtnej bryły marmuru

skończoną formę posągu. Nie. Bardziej przypominało to spełnienie seksualne.

Wreszcie widział to, co pragnął zobaczyć. „To chorobliwe” — powiedziałaaby

Yinka. Wyobrazivszy ją sobie tu, w garażu, jako świadka jego obsesji, wyszczerzył zęby w uśmiechu. „Racja, Yinko. Warto było gonić za taką kobietą, jak ta w brekcji.”

Raptem ostatni fragment kruchej skały wokół prawej stopy rozpadł się

w chmurze szarawego pyłu. Kiedy pył opadł, zobaczyli kości stopy. A raczej

to, co z nich pozostało.

Były zupełnie połamane, zgruchotane siłą ciśnienia, jakie wywierała na

ciało kobiety ziemia z jej anonimowego grobu. Mimo że sam był w ponurym

nastroju, Ngili spojrział na Kena z niekłamanym współczuciem.

Ken pospiesznie powstrzymał rękę Randalla. — Wyłącz wiertarkę, rozbija

stopę na pył!

— Ona już jest pyłem! — Randall nieomal wrzasnął, równie zawiedziony,

jak jego dawny student. — Sądysz, że młotkiem zrobisz to lepiej? No to

wal! — Wyłączył wiertarkę, cofnął się i skrzyżował ramiona na piersi.

Czując, jakby całe znaczenie znaleziska nikło na jego oczach, Ken, rozdygotany, pochylił się z młotkiem geologicznym i igłą nad tym, co

pozostało z brekcji: nad wąską płytą zawierającą drugą stopę. By rozjaśnić

myśli i skoncentrować wzrok, wykonał kilka ruchów głową i ledwo oddychając

począł skrobać skałę.

Pod twardą zewnętrzną warstwą brekcja stała się tak krucha, że rozpadała

się w pył przy lada dotknięciu.

Z bijącym sercem oderwał następny płat, mając jak najgorsze przecucia.

Otworzył z trzaskiem kokon, który zapadł się w siebie.

W ciszy, jaka zapanowała w garażu, rozległo się cmoknięcie — to Randall uderzył językiem o górne zęby. A potem przystąpił do działania

z energią chirurga, który ma przywrócić pacjentowi po amputacji wiarę w samego siebie. — W porządku, w porządku. Cóż tu mamy?

Pliocieńską

Wenus bez stóp? Żaden problem, nadal jest to Wenus. Większość tych cudownych posągów odkopano bez nosa, a często i bez głowy. **Ken, Ngili.**

**I** tak natrafiliście na jednego z najlepiej zachowanych australopiteków,

**jakich**

dotąd znaleziono. Spójrzcie, na przykład, na to. — Uniósł oczyszczony wcześniej staw biodrowy i lekko dotknął kilku nierównych grzebieni na jego

wewnętrznej powierzchni. — To jest więzadło obłe, utrzymujące staw biodrowy. Sfosylizowane. Skamieniałe. Części ciała ludzkiego, nie będące

kośćmi, rzadko ulegają fosylizacji. Na podstawie tylko tego więzadła możemy

dokonać niewiarygodnych symulacji komputerowych. Możemy odtworzyć

działanie tego — poruszył połączonymi kośćmi biodrową i miednicę — z taką precyzją, że będziemy w stanie określić masę więzadeł i mięśni, długość kroku, nawet wiek tak dokładnie, jak byśmy analizowali jej zęby!

Umilkł, próbując ocenić nastrój swoich studentów. — Nie bądźcie tacy

życia, potrzeba tylko czterystu mil kwadratowych — zastanawiał się na głos

Randall. — A włóczę się oni więcej niż jakiegokolwiek inne plemię koczownicze

w Afryce. Stado pawianów z kolei wymaga zaledwie niecałych dwudziestu

mil kwadratowych, rodzina goryli — niespełna dziesięciu. Znaczy to...

Uczony mówił niemal szeptem, jakby rozmawiał sam ze sobą. — ...Znaczy

to, że jest tam aż nadto miejsca, żeby podtrzymać archaiczną populację spłodzoną przez takie mamusie jak ta. Dwie krzywe opisujące zdarzenia o niezwykle małym prawdopodobieństwie — przetrwanie takiej populacji

i odnalezienie jej przez ciebie — mogły się przeciąć trzy dni temu, kiedyście

tam wylądowali. Jak pojedę do Davis i określę wiek tej skamieniałości, będziemy dysponowali mocnymi wskazówkami, czy jest tak w istocie.

Ken poczuł, że musi wrócić do rzeczywistości. Rozejrzył się i zobaczył

zakurzone kąty, połamaną szafkę na narzędzia, nie używaną sofę, stare radio,

zwinięty szlauch, kosiarkę do trawy. Uniósł głowę. Mikroskopijne owady

zdołały dostać się do wnętrza dwóch nie osłoniętych żarówek wiszących pod

sufitem. Usmażone w płomieniu elektrycznym, leżały teraz na dnie szklanych

baniek — czarny osad organiczny, podgrzewany raz po raz przez żarzące się

druty.

Rzeczywistość pozostawała nie zmieniona, chociaż słowa Randalla były

równie zdumiewające, co kołowrót jego własnych myśli oscylujących między

sceptycyzmem a dzikimi spekulacjami.

— Ken. Jedź po te zdjęcia.

— Dobra. Zadzwoń jeszcze raz do Thea. Pewnie już je skończył.

Ken pospiesznie opuścił garaż. Przemierzył wąskie podwórze za domem,

wszedł do kuchni, zobaczył Ngilego, który siedział przy pustym blacie rozmawiając przez kuchenny telefon. Z ojcem, bez wątplenia. Wydawał się

dosyć rozluźniony, pomachał mu ręką.

**Ken** znowu poczuł ten ból głowy. Wszedł do zastawionej meblami głównej sypialni i zatrzymał się. Marcia leżała w ubraniu na łóżku obok otwartej i częściowo spakowanej walizki, lekko pochrapując. Na

nocnym

stoliku stał telefon, obok napełniona do połowy szklanka whisky.

Ken obszedł na palcach łóżko, podniósł słuchawkę i wykręcił numer

**telefonu** Thea.

Ciągle zajęty.

**Suchy** żar rozpałił mu policzki. Czy w sklepie Thea coś się wydarzyło?

Pożar, włamanie, nalot brutalnej i skorumpowanej nairobijskiej policji?

Postanowił do niego podjechać.

# 6

Słowa Randalla o rozmiarach Dogilani i o tym, że mogłaby tam przetrwać archaiczna rasa, nadzwyczaj podekscytowały Kena. Prowadził landrovera i pocił się, sądząc, że postradał zmysły, to znów wierząc, że jest u progu bezprecedensowego, rewelacyjnego odkrycia doty-

czącego rozwoju człowieka.

Gdyby żyła tam jakaś odmiana hominidów, oznaczałoby to, że na ziemi występuje więcej niż jeden gatunek ludzki.

„Na ziemi występuje więcej niż jeden gatunek ludzki...”

Zaparło mu dech. Bez względu na to, czy gatunek ten był reliktem wcześniejszego szczebla ewolucji czy też odgałęzieniem prowadzącym do

zupełnie odmiennego etapu, oznaczało to, że ludzkość nadal ewoluje.

Ken wcisnął hamulce, omal nie wpadając na jadący przed nim samochód.

Nie czas teraz na wypadki. Przejechał wolno obok ostatniego hinduskiego

kwartału. Na chodnikach stały grupki chłopców w białych koszulach i ciem-

nych szerokich spodniach, gawędząc z dziewczętami, które wyglądały zza

ozdobionych kratami okien, pod czujnym spojrzeniem matek, których sylwetki

majaczyły w głębi mieszkań.

Kiedy dotarł do dzielnicy zamieszkałej przez Afrykanów, znalazł się

w całkowicie innej scenerii. Mimo późnej pory półnogie dzieciaki ganiały się

po chodnikach, a z otwartych barów i restauracji dobiegała dudniąca

muzyka. Pojazdy poruszały się w sposób chaotyczny. Za kierownicami powgniatanych samochodów siedziały rozwrzeszczane nastolatki, bez skrępowania przepłukując gardła piwem. Na ekranie kina dla zmotoryzowanych, widocznym na tle nieba ponad niskimi dachami, poruszały się ogromne twarze.

Nagle na całej ulicy pogasły światła. Latarnie, oświetlone okna i drzwi mieszkań zniknęły, a pod skrawkiem księżycy sunęły wolno reflektory samochodów.

Jakiś pikap stuknął w tylny zderzak wozu Kena, ale ten postanowił to zignorować. Przyspieszył prosząc Boga, by odcięcie dopływu prądu nie miało

związku z sytuacją polityczną. Naraz wystrzelił z ziemi promień gigantycznego

reflektora, przecinając niebo na pół i gasząc żółtą poświatę księżyca.

Strumień światła zahipnotyzował młodocianych kierowców. Dały się

słyszeć głucho uderzenia wpadających na siebie wozów. Ruch uliczny zamarł.

Ponieważ sklep Thea znajdował się tylko dwa kwartały dalej, Ken postanowił

zaparkować samochód i pójść pieszo.

Wykręcając przednimi kołami na chodnik, wjechał pomiędzy dwa blisko

rosnące drzewa i zablokował kierownicę, mając nadzieję, że brak miejsca

zmniejszy ryzyko kradzieży landrovera. Wskoczył z wozu, ale zaraz wsiadł

z powrotem. Otworzył schowek na rękawiczki, wyjął walthera i wsunął go za

pasek. Wyszedł na ulicę.

Natychmiast spostrzegł, że inny kierowca, Afrykanin, wjeżdża poobijaną

toyotą na chodnik, ledwie parę stóp za nim, i wysiada z wozu. Ken obdarzył

go szerokim uśmiechem, jak towarzysza niedoli. Wysoki mężczyzna w prostej

koszuli wojskowego kroju obrzucił go surowym spojrzeniem i uczynił gest

ręką, jakby chciał pokazać, że zamierzał zająć to miejsce. Potem zniknął pomiędzy unieruchomionymi samochodami.

Ken pospiesznie szedł chodnikiem. Przystąpił przez kałużę mydlin wylanych na ulicę po domowym praniu, uchylił się, unikając spotkania z rozwieszoną na drzewie mokrą bielizną i został oślepiony tak potężnym

snopem światła, jakby prześwietlono go od stóp do głów promieniami rentgena, a wraz z nim całą ulicę.

Był to ten sam gigantyczny reflektor, świecący teraz gdzieś z bliska i pod

takim kątem, że omiatał wszystko w płaszczyźnie poziomej. Ken znajdował się

tuż za pawilonem, w którym mieścił się sklep Thea. Prowadzące doń tylne

schody zaczynały się na skraju wąskiego parkingu. Kilka świergotków grzebało

w pojemniku na śmieci. Szybko zbliżył się do schodów i puścił biegiem w górę.

Dotarł na pierwsze piętro i właśnie przystanął, żeby odetchnąć, kiedy znów

został prześwietlony strumieniem niebieskawego światła.

Mrużąc oczy, spozjrzał na dół. Naprzeciwko pawilonu stała wojskowa

ciężarówka z ogromnym reflektorem na platformie. Trzej żołnierze



uwieszeni  
przy jego uchwytach zmieniali kąt padania światła, wykorzystując w  
tym celu  
ciężar własnego ciała. Obok stał czołg. Dowódca, wychylony do pasa z  
włazu,  
wydawał rozkazy obsłudze reflektora. Strumień światła powoli omiatał  
fasady  
domów mieszkalnych, podwórza, sklepy. Inni uzbrojeni żołnierze  
wałęsali się  
po ulicy ze śmiechem. W ciemnych oknach pojawiły się twarze  
czarnych  
kobiet i mężczyzn. Dowódca czołgu powiedział w suahili, że nie mają  
się  
czego obawiać.

Niebieskawy blask reflektora nadawał dziwny, niebieskozielony  
odcień  
coraz liczniejszym twarzom wychylającym się z ciemności. Światło  
zatrzymało  
się na szklanych drzwiach jakiegoś baru, z którego wyszło kilka  
młodych  
kobiet w spódniczkach mini i na wysokich obcasach. Jedna z nich  
nieśmiało  
pomachała do żołnierzy.

— Jak ci się to wszystko podoba? — zapytał ktoś tuż obok Kena,  
który

aż podskoczył. Był to Theo. Właśnie przesunęło się po nich potężne światło, nadając twarzy Thea ten sam niebieskozielony odcień. Znajdowali się dwa kroki od szeroko otwartych drzwi zakładu fotograficznego. W środku brat właściciela sortował jakieś papiery przy świetle świecy. Ken wymamrotał, że dzwonił przez cały wieczór.

— Rozmawialiśmy przez telefon z maklerem, zasięgaliliśmy rady w sprawie naszych papierów wartościowych — wyjaśnił Theo. — Mamy trochę akcji, które musimy sprzedać od ręki, postanowiliśmy bowiem wyjechać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Dlaczego tak szybko? Co się stało?

— Nie słyszałeś? Prezydent wprowadził stan wyjątkowy. Powiedział, że

wszyscy mamy wziąć się w garść, ale obaj z bratem robiliśmy to już aż za długo, więc wyjeżdżamy. Nie sędzę, by ktokolwiek rad był z tego, że znów

musi brać się w garść, dlatego armia wyszła na ulice. „Brać się w garść” to

wyrażenie z czasów kolonialnych, ulubione powiedzenie prezydenta. Często

obiecował, że on pierwszy to zrobi. Sęk w tym, że zaczęło to oznaczać

„zaciskanie pasa” w kraju, gdzie ludzie i tak już mają dociśnięte pasy.

— Nic o tym nie wiedziałem. Skończyłeś moje zdjęcia?

— Pewnie, zaraz ci je przyniosę. Właśnie przenosiliśmy różne pudła, gdy

wyłączono prąd i ich zawartość rozsypała się po całym lokalu.

Theo pospieszył do sklepu, ku tańczącemu płomieniowi świecy.

Ken spojrział

na ulicę. Ludzie wychodzili z domów, ostrożni, ale żądni wrażeń. Dowódca czołgu

gawędził z tłumem, podczas gdy żołnierze wciąż kierowali światło reflektora

w stronę baru. Ken znał ten lokal z widzenia i podejrzewał, że stanowi fasadę

domu publicznego, gdyż kelnerki były niezwykle przystojne, ale niefachowe.

— Proszę — rzekł Theo. Włożył kopertę w rękę Kena. — Zajdziesz do

środku? Nie powinieneś przebywać na ulicy o tej porze.

— Nie. Muszę wracać...

Strumień światła przesunął się z baru na ścianę pawilonu. Ken poczuł go

na karku. Zalewał pomost i tylne schody zimną poświatą. Młody człowiek spojrzął w górę schodów, skąd celował do niego jakiś mężczyzna, unosząc oburącz wielki pistolet automatyczny.

Aż go zatkało, kiedy rozpoznał Afrykanina, który zaparkował obok niego na ulicy. Promień reflektora padł na człowieka z bronią, zmuszając go do zmrużenia oczu.

Ken wrzasnął i uskoczył, wyczuwając, że Theo rzuca się na pomost jednocześnie z nim. Wyrwał walthera zza pasa. Zobaczył, jak lufa broni napastnika pluje ogniem. Wycelował w jego złączone ręce. Światło odpęzło w chwili, kiedy tamten wydał głośny okrzyk bólu.

Na ulicy kilku żołnierzy wypaliło z karabinów w powietrze. Theo pogromił się na czworakach do sklepu i w mgnieniu oka wrócił z karabinem szturmowym, który wydawał się ogromny przy jego drobnej postaci. Wycełował krzycząc, by Ken się odsunął, ale nie wystrzelił. Zatrzymał się u schodów i wyjrzał na parking.

**Ken** nie zauważył, kiedy wypuścił kopertę. Jego zdjęcia rozsypały się po pomoście. Jedno kołowało jeszcze powoli w powietrzu. Chwytał je drżącą dłonią i schylił się, żeby pozbiierać resztę. Potem podbiegł do Thea stojącego na schodach.

— Nie załatwiłeś go — mruknął Theo. — Oddaj mi to. — Mocno wyszarpnął mu walthera. — To nie broń, to pukawka dla dzieci! Kto cię ścięga? Co się tu, kurczę, dzieje?

Upłynęły chyba dopiero dwie sekundy, ale mogło ich być dziesięć albo nawet sto. Znowu włączono prąd i Ken zobaczył wyraźnie parking, teraz już zupełnie pusty.

Młody naukowiec dygotał stojąc na schodach obok Thea. — Ten facet z bronią... przyszedł za mną... Widziałem go wcześniej na ulicy. — Tylko tyle zdołał powiedzieć.

— Gdzie?

— Tam, gdzie zaparkowałem dzipa...

— Masz cholerne szczęście — stwierdził Grek. — Stałeś na tle tej bariery, jak żywy cel na strzelnicy. Oślepiło go światło, w przeciwnym razie już byś nie żył.

Minęły kolejne dwie sekundy, a może dziesięć albo sto. Znowu znajdowali się w sklepie. Ktoś wewnątrz Kena poruszał jego rękami, mówił jego ustami. Zapłacił za fotografie i zaczął się żegnać z Theo i jego bratem.

— Oszalałeś? — wybuchnął Grek. — Pewno czekają na ciebie przy

twoim dzipie. Ken, co się dzieje? Zamieszany jesteś w handel kością słoniową albo innym towarem pochodzącym z kłusownictwa?

— Nie, nie byłem w nic zamieszany! W nic poza... — Chciał powiedzieć

„nauką”, ale słowo to wydało mu się zupełnie niestosowne. — Wezmę

matatu — powiedział i zdał sobie natychmiast sprawę, że w tym obłąkańczym

zamieszaniu nie znajdzie taksówki. — Albo pójde pieszo.

— Uzbrojony w tę zabawkę?

Obaj bracia pochwycili rękę Kena i wcisnęli w nią „Rhino.38”, solidny południowoafrykański pistolet. — Chciałbyś zobaczyć się niedługo

z mamusią? — zapytał Theo. Ken potrząsnął głową i zaśmiał się jak wariat; nie, nie z mamusią, wolałby zobaczyć się z kimś innym niż mamusia.

— Jutro znajdziesz landrovera tam, gdzie go zostawiłeś — rzekł brat

Thea. — Bez akumulatora albo bez opon, ale go znajdziesz. Chodź, podwieziemy cię.

Dwie sekundy, dziesięć, sto, tysiąc. Ken siedział w samochodzie z tyłu, za plecami Greków. Prowadził Theo. W mieście wrzało. Czołgi i wojskowe ciężarówki stały przy prawie każdym skrzyżowaniu, z niektórych rozdawano piwo. Pili mężczyźni i kobiety. Rozpoczęto jakieś chaotyczne tańce, ale wkrótce je przerwano. Wśród tłumu pojawiły się portrety prezydenta.

— Ten palant powinien nakarmić swój lud, zamiast go upijać — zauważył brat Thea.

Ken pomyślał o Ngilim, o Yince. Miał nadzieję, że dziewczyna nie ogląda

szaleństw wygłodzonego miasta. Zdjęcia spoczywały na kolanach.

— Te wyszły nieostro, wszystkie — mówił Theo, wskazując na kuliście

rozmszczone ślady stóp na nagim zboczu. Film naświetlał się zbyt wolno

w stosunku do prędkości samolotu. Ale można stwierdzić, że zostawił je człowiek, są takie regularne. Teraz te, te są świetne. — Gwizdnął, wskazując

ślady stworzenia z sawanny. — Co za zwierzę je zostawiło, gereza?

Ken się uśmiechnął, lecz nie miał siły odpowiedzieć. Stopy gerezy nie

wyglądały w ten sposób. Na kilku ujęciach widniał też znacznie większy

odcisk buta Kena, pozostawiony na piasku dla porównania. Ślady hominida

były ponad połowę mniejsze od jego własnych. Przypominały stopy dziecka.

Nagiego dziecka w sawannie.

Rhino.38 leżał na kolanach Kena obok zdjęć. Zacisnął pięść na rękojeści

broni. Theo spostrzegł ten ruch w tylnym lusterku. — Spokojnie, tylko nas

nie wystrzelaj.

— Nie masz do niego więcej magazynków?

— Nie pamiętasz? Wsadziłem ci dwa do kieszeni jeszcze w sklepie.

Gdzie ty jesteś, u licha?

— Tutaj.

„A jutro wrócę tam. Jeśli przeżyję noc.”

Miał w banku dziesięć tysięcy szylingów. Dosyć, by skusić Hendrijkxa

albo innego starego orła, by go tam zawiózł. „Jak powie nie, przyłożę

mu to

do głowy.”

Już się nie trząsał.

Samochód Thea — mały, mocny „Mini morris” — wjechał na ulicę Randalla. W hinduskiej części miasta najwyraźniej panował spokój. Zapar-

gowany przed nimi wóz błysnął potężnymi przednimi światłami. Był to „Mercedes 600” Ngiamenów. Ngili, Jakub i Randall stali na chodniku, obserwując zbliżającego się morrisa. Theo zatrzymał się prowokacyjnie naprzeciwko mercedesa. Ken wysiadł.

— Coś nie w porządku? — zapytał Ngili, pędząc w jego stronę.

Ken wiedział, że nie zdoła ukryć tego, co zaszło. — Ktoś strzelał do mnie

przed sklepem Thea. — Urwał i patrzył na miny pozostałych obecnych.

—

To pewnie pomyłka. Może wzięto mnie za kogoś innego.

Jakub spojrział ze zdziwieniem. Randall szybko zerknął na dom, gdzie

■pała żona i dzieci.

Stary Ngiamena poruszył majestatycznie swym tłustym ciałem, zaintrygowany i niespokojny. — Ken, chcesz zostać u nas na noc?

— Hm... nie, raczej wrócę do siebie.

— Odwieziemy go do domu — krzyknął Theo ze swego samochodziku.

Ken poprosił o pięć minut. Podał kopertę ze zdjęciami Randallowi, który zaniósł ją do domu. Za nim poszli wszyscy pozostali, prócz Thea i jego brata.

Randall rozłożył fotografie. Wszyscy przypatrywali im się w milczeniu.

Po chwili Ngili spojrzął na Kena, który powiedział: — Myślę, że najlepiej

będzie, jeśli chwilowo przechowasz te kości.

— Tak właśnie planowaliśmy — rzekł Jakub. — Umieszczę je w naszym

sejfie dopóty, dopóki nie zostanie zniesiony stan wyjątkowy.

— Nie nocuj w domu — powiedział Ngili. Nie spuszczał wzroku z twarzy przyjaciela.

— Jeśli nie pojedę do siebie, skąd będę wiedział, czy ten atak to pomyłka, czy nie?

— Jedź z nami — powtórzył Jakub. — Kiedy się to wszystko zaczęło,

Yinki nie było w domu i dotąd nie wróciła.

— Dziękuję, pojedę do siebie.

— Zadzwoń do Kweziego — poprosił Jakub. Kwezi był portierem w domu, gdzie mieszkał Ken. Jakub zapamiętał jego imię z czasów, kiedy

Ngili mieszkał u przyjaciela. — Upewnij się, że w pobliżu nie kręci się nikt

podejrzany.

— Dobrze. — Ken, wskazując zdjęcia, zwrócił się do Randalla. — Co

o tym sądzisz?

Uczony wydał wargi. Po chwili odpowiedział, starannie dobierając słowa. — Co sądzę? Sądzę, że są bardzo, bardzo intrygujące.

Powinienem

kilka zabrać ze sobą, skoro biorę już próbki kości i gleby. Chciałbym również

też z twoim butem, dla porównania wymiarów.

Ken wybrał powoli dwie fotografie i wręczył je Randallowi. Ngili, widząc

powolne ruchy przyjaciela, zrozumiał, że właśnie podjął on jakąś doniosłą

decyzję. Obszedł stół i stanął blisko Amerykanina. — Ken, co zamierzasz

zrobić?

— Zamierzam tam wrócić. Wkrótce, może nawet jutro. — Jakub zmar-

szczył brwi i już chciał coś powiedzieć, ale Ken uniósł rękę w błagalnym

geście, więc zmilczał. — Muszę to zrobić, Ngili, bez względu na to, czy możesz ze mną polecieć, czy nie. Odkryliśmy coś niewiarygodnego w

miejscu,

które wydawało się niedostępne, a jednak zostaliśmy tam napadnięci. A mnie

zaatakowano przed chwilą jeszcze raz, chociaż nigdy dotąd nie miałem w tym

kraju kłopotów. — Jakub przyglądał mu się bacznie, coraz bardziej zasępio-



ny. — Trudne uwierzyć, że te dwa ataki nie są powiązane. Z drugiej strony, dlaczego pierwszy miał miejsce właśnie tam, obok naszych wykopalisk? Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań i nie wiem, gdzie ich szukać. Tak czy inaczej, ktoś musi tam wrócić, żeby zakończyć prace przy znalezisku i je zabezpieczyć.

Urwał. Spośród rozłożonych na stole zdjęć wybrał kilka i wsunął je do

kieszonki na piersi. Pozostałe, wraz z negatywami, wręczył Jakubowi.

Stary Ngiamena przyjął zdjęcia. — Pierwszy atak może mieć bardzo

proste wyjaśnienie. Jacyś ludzie ścigani przez prawo przekroczyli skradzionym

wozem granicę z Tanzanią i się zgubili. Zobaczyli samolot, wzięli was za

strażników parku i postanowili nie ryzykować.

— Mam nadzieję, że to prawda — rzekł Ken. — W każdym razie, biorąc

pod uwagę to, co zdają się sugerować zdjęcia, jasne jest, że powinniśmy — jak

sądzę — zachować tajemnicę, póki nie dowiemy się, z czym mamy do czynienia.

— Możesz być pewien mojego milczenia. — Ngiamena uśmiechnął się. —

Mam teraz inne kłopoty. Ken, myślę jednak, że się najpierw powinieneś

przespać.

— Spróbuję. — Ken roześmiał się, ale w jego głosie nie było radości.

— Zawiadom mnie, zanim tam wyruszysz — rzekł stanowczo Ngili.

— Dobrze.

— Dobranoc, przyjacielu mego syna. Dobranoc, profesorze Phillips —

rzekł Jakub. Wyszedł w towarzystwie podążającego za nim Ngilego niczym

król z jednoosobową świtą.

Randall spojrział na Kena, jakby widział go po raz pierwszy. — Rzeczywiś-

cie postanowiłeś tam wrócić? — Ken potaknął w napięciu.

— A niech to, miałem gdzieś broń — rzekł Randall. — Sądzisz, że powinienem ją odszukać?

Theo i brat odwieźli Kena do mieszkania przy Tom Mboia Road. Szeroka

ulica była opustoszała, wszyscy mieszkańcy wylegli z domów i udali się do

centrum. Theo jechał powoli, a jego brat lustrował zaparkowane wozy, z palcem na spuście trzymanego na kolanach karabinu szturmowego.

Nie

dostrzegli nikogo w samochodach ani podejrzanych cieni na ulicach. Zatrzymali

wóz przed domem Kena. Wejście było jasno oświetlone. Bracia wysiedli wraz

z Amerykaninem, ale na jego znak nie weszli do hallu. Ken upewnił się, że

rhino daje się odbezpieczyć jednym ruchem kciuka. Wetknął broń do prawej

kieszoni spodni i wszedł do środka.

Portier Kwezi siedział przed małym, starym, czarno-białym telewizorem.

Pokazywano sceny z centrum miasta na przemian z fragmentami kronik filmowych, ukazujących prezydenta. Kilkoro bezdomnych dzieciaków, którym

dozorca pozwalał zwykle spać na podłodze w hallu, rozłożyło się wokół

jego  
pulpitu.

— Witam w domu, panie Ken — rzekł Kwezi, po czym wyciągnął białą

kopertę. — Pewien dżentelmen zostawił to dla pana.

Wziął kopertę. Papier wyglądał na drogi. — Kto to był?

— Pan Anderson.

Ken był zbyt oszołomiony, żeby zareagować. Odchrząknął tylko i zapytał,

czy nie szukał go ktoś jeszcze, ktoś mogący wzbudzać podejrzenia.

Portier

potrząsnął głową. — Ale teraz ktoś czeka na pana, panie Ken. —

Wskazał

gestem prostą drewnianą ławę, prawie niewidoczną za rzędem rosnących w donicach palm. Ken wsunął dłoń do prawej kieszeni i starał się rozpoznać

gościa poprzez liście. Na ławie, kontrastując z jej kanciastym, odstręczającym

kształtem, spoczywała postać w faldzistej szacie.

— Cześć, osadniku — dobiegł zza palm głos Yinki.

# 7

**K**en obejrzał się i dał znak stojącemu po drugiej stronie wejścia Theo, żeby poczekał. Następnie pospieszył między palmy.

Dziewczyna nie wstała z miejsca, ale wyraz jej twarzy uległ zmianie na widok Kena, który pochylił się nad nią z oczami błyszczącymi jak w gorączce

i rzekł: — Podwiózł mnie tu przyjaciel, który mógłby cię stąd zabrać do Ngong Hills, więc chciałbym, żebyś zaraz pojechała. Jakąś godzinę temu ktoś

usiłował mnie zastrzelić, nie wiem, czy byłabyś tu ze mną bezpieczna.

—

Przyszło mu do głowy, że może wstąpiła tu, by uniknąć panującego na mieście szaleństwa, więc dodał: — Na ulicach nie jest tak strasznie.

Poproszę

Thea...

— Mam samochód — przerwała mu. — Jeżeli tu nie jest bezpiecznie, czemu wróciłeś? I kto usiłował cię zabić?

Wzruszył w milczeniu ramionami.

— Wydajesz się być dobrze przygotowany na odparcie dalszych ataków. — Uśmiechnęła się szeroko i wstała.

Spojrzał na swoje spodnie: wielkie wybrzuszenie rozpięło mu prawą kieszeń, do której wsadził rhina. Z zażenowaniem przykrył połą marynarki

wybrzuszoną kieszeń. — Yinko, czego chcesz?

— Co pisze do ciebie Anderson?

— Widziałaś, jak wchodził?

— Widziałam ich. Podglądałam przez liście. Jak zaprosisz mnie na górę,

powiem ci, kto mu towarzyszył.

— Nie zamierzam zapraszać cię na górę. Jedź do domu. Tata martwił się

o ciebie.

— Niech się martwi. Wymyśliłam, jak możesz wrócić na Dogilani.

— To miło z twojej strony, ale prawdę mówiąc, mam własny sposób.

Niczym młoda żyrafa podniosła się do góry z półleżącej pozycji, wyciągnęła długie nogi i ruszyła w stronę wejścia. Ken po chwili wahania

zastąpił jej drogę i przeprosił. Dobrze, niech wejdzie na górę. Odwrócił się

i dał znak Theo, że wszystko w porządku, że mogą wracać do domu.

„Dogilani” — pomyślał. Bez względu na to, jaką pomoc proponuje Yinka, musi to rozważyć.

— Co ci pisze *bwana* profesor? — zapytała.

Rozdarł kopertę.

W odręcznej notatce na własnym papierze listowym Anderson zapraszał

go na spotkanie w sali seminaryjnej, by przedstawił wyniki podróży na Dogilani. („Skąd, u diabła, dowiedział się, gdzie byli?” — zastanawiał się

gniewnie Ken.) Oczekiwał na pełne informacje dotyczące istoty programu

badawczego, a w zamian oferował wsparcie przy dalszych ekspedycjach.

W obecnej sytuacji politycznej, podkreślał, kontynuowanie jakichkolwiek

niezależnych badań wymagało takiego wsparcia. „Ken, nie czas teraz na naukowe szarady” — kończył przyjaźnie, acz złowieszczo. Podpisał się incjalem: „C.H.A.” — Cyril Hewett Anderson.

Zamyślony podał list Yince. Anderson coś wiedział. Wiedział coś, ale nie

do końca. Dziewczyna z obojętną miną przebiegła wzrokiem notatkę i zwróciła

mu list.

— Kto z nim tu był? — zapytał.

— Ten stary emerytowany profesor, Raj Haksar. Wczoraj obaj odwiedzili

nas w domu.

— Czego chcieli, u diabła?

— Wczoraj po południu, kiedy od dwudziestu czterech godzin nie mieliśmy z wami kontaktu radiowego, *urn'tu* zaniepokoił się i zadzwonił do

Andersona. Byłam w gabinecie i słyszałam, jak mówi, że wylecieliście

przeprowadzić badania stratygraficzne. Chciał się dowiedzieć, czy Cyril nie

orientuje się, gdzie mogliście się zgubić. Profesor zapytał, czy są gdzieś jakieś

notatki z waszych wcześniejszych badań. *Urn'tu* kazał mu poczekać i poszedł

szukać w pokoju Ngilego. Podśluchiwałam z aparatu w gabinecie, bo

chciałam wiedzieć, gdzie jest Ngili. *Um'tu* znalazł jakieś notatki dotyczące

stratygrafii i przeczytał je Cyrilowi, który powiedział, że sądząc po układzie

skał jesteście w pobliżu wysuniętego najbardziej na południe łańcucha Mau.

Prawdopodobnie na Dogilani. Wtedy zapytał *um'tu*, czy mógłby wpaść.

— I zrobił to.

— Przyszli z Haksarem jakieś pół godziny później. *Um'tu* poprosił,

żebym przygotowała herbatę, więc odegrałam rolę grzecznej afrykańskiej córki... — Yinka wykrzywiła pogardliwie dolną wargę — wniosłam herbatę i postyszałam większość z tego, co mówili. Wyglądało na to, że Anderson nie miał wiele do czynienia z Dogilani, ale Haksar opowiadał o jakichś żyjących w tym rejonie tubylcach. Obawiał się, że możecie zakłócić równowagę środowiska. Ken ożywił się gwałtownie. — Jakich tubylcach? — Nie usłyszałam nic konkretniejszego, musiałam wychodzić z pokoju, ale chyba twierdził, że to nomadzi. Potem Haksar poprosił *urn'tu*, by nie wspominał o tej rozmowie ani tobie, ani Ngilemu. — Czy ojcu nie wydało się to dziwne?

— Owszem, i powiedział to. Haksar napomknął, że się tam wybiera i że w tej specjalności panuje duża konkurencja. *Um'tu* obiecał, nie obchodziło go to, chciał tylko wiedzieć, gdzie jest Ngili, by wysłać na poszukiwania samolot z parku.

— I wysłał go? .

Ken przypomniał sobie nagle, że Hendrijs wspomniał coś o przelatującym samolocie, podczas gdy oni fotografowali ślady.

— Hm, wysłał go dzisiaj wcześniej rano, lecz zanim dostrzegli na ziemi beech lightninga, prawie skończyło im się paliwo i nie zdołali nawiązać z wami kontaktu radiowego. Parę godzin później chyba samiście naprawili radio, bo zadzwoniono z Embakasi z informacją, że właśnie poprosiliście o zgodę na lądowanie.

Głęboko westchnęła. Ken pozostał milczący i spięty.

A więc Haksar wiedział coś o dziwnych mieszkańcach Dogilani.

Ale jak dużo?

Ken analizował szybko. Może wcale nie wie tak wiele, nie zajmował się

pracą w terenie i zapewne nie był na Dogilani osobiście, raczej natknął się na

stary raport z badań terenowych albo po prostu słyszał jakieś plotki. A jednak

wzbudziło to zainteresowanie Andersona, w przeciwnym razie nie pisałby do

Kena listu, który — jak mu się teraz wydało — sformułowany został nie bez

udziału Haksara. Obaj profesorowie nie zgadzali się ze sobą. Ale pogodziło

ich Dogilani.

Czyżby jakiś laik odwiedził Dogilani i zobaczył tam praludzi? Czy wieści

o tym rozeszły się? Ken ujrzał w myślach twarz Hendrijska. Przypomniał

sobie, co powiedział Randall: „Na twoim miejscu złapałbym tego pilota...”

„Doskonale, *Menheer* Hendrijs — pomyślał, używając jednego z nielicz-

nych, znanych sobie, afrykanerskich słów. — Dowiem się, co wiesz. A nawet

jeszcze lepiej — zabiorę cię tam ze sobą, żebyś o tym nie gadał.”

— Chodźmy na górę — powiedział i ujął dziewczynę pod ramię.

Poprowadził ją do windy. Już od dawna nie działało w niej światło, drewniane ściany popękały, wyłożona linoleum podłoga cuchnęła.

Przysunął

się bliżej, czując zapach młodej kobiety. Nie cofnęła się.



— Mam bardzo prosty plan — odezwała się na tle skrzypiących kabli windy — jak mógłbyś wrócić tam w tym tygodniu.

— W tym tygodniu?  
Skinęła głową.

— Cóż to za podstęp?

— Nie ma w tym żadnego podstępu. Przekonasz Ngilego, aby został i spełnił swój obowiązek wobec kraju. Obiecasz mu, że potem będzie mógł do ciebie dołączyć, pozostając współautorem odkrycia. Do tego czasu kryzys, miejmy nadzieję, minie. Przy takim układzie skłonię *um'tu*, by wysłał cię na Dogilani z zezwoleniem od parku dzikiej zwierzyny i za ich pieniądze.

— Cóż za hojność!

— Wcale nie. Ojciec obawia się, że jego wpływy maleją. Chce je

odzyskać okazując swe oddanie i wydaje mu się, że Ngili może mu w tym pomóc.

To tłumaczyłoby pełne napięcia zachowanie starszego pana i jego wystąpienie radiowe...

— Jest w tym jednak pewien podstęp — zauważył Ken. — Byłbym na sawannie zupełnie sam. — „Sam jak tamto dziecko” — pomyślał.

Zmierzyła go wzrokiem, jej fantastyczne oczy stały się jeszcze bardziej fantastyczne w zmiennym oświetleniu mijanych pięter, raz pograżonych w głębokim mroku, to znów rozbłyskujących posępnym światłem zaśniedziałych mosiężnych kinkietów. — Czyż nie tego tak naprawdę chcesz?

— Tak, chcę tego. A czego ty chcesz?

— Mdli mnie już od tuzinkowego dziennikarstwa — odparła bez wahania — i mam wrażenie, że spełniłam swój obowiązek wobec narodu. Jak

znajdziesz tam coś sensacyjnego, chcę być pierwsza na miejscu. I chcę...

Winda zatrzymała się. Piętro, na którym mieszkał Ken, było zupełnie ciemne. Oczy dziewczyny znów stały się czarne jak noc. — ...Chcę cię zrozumieć...

— Dlaczego?

— To moja sprawa. Zgoda, osadniku? Umowa stoi? — Stali nieruchomo naprzeciw siebie, słysząc skrzypiące nad ich głowami kable windy.

— Mógłbyś wrócić na Dogilani w przyszłym tygodniu.

„Chryste — pomyślał — w przyszłym tygodniu!”

— Zgoda. Umowa stoi. Ngili pewnie jest już w domu, zadzwonimy do niego.

Poprowadził ją do drzwi. Czuł się lekko oszołomiony i miał kłopoty z trafieniem kluczem w otwór zamka. Podczas gdy otwierał, ona zauważyła, że nadal nie rozumie, czemu właściwie badania nad wczesnymi ludźmi tak

wszystkich ekscytują. Gdy weszli do ciasnego saloniku, stłumiła cichy okrzyk na widok stojących pośrodku dwu nagich postaci — małpoludów obojga płci.

Były to naturalnej wielkości odlewy gipsowe pary australopiteków

— które w pozycji wyprostowanej liczyły sobie niespełna pięć stóp wzrostu —

pokryte jasnobrązową skórą, porosłą krótkim czarnym włosiem. Istoty miały

usta o cienkich, wysuniętych daleko do przodu wargach, płaskie nosy

bez  
grzbietu i czoła biegnące ukośnie ku szczytowi niskiej czaszki. Szklane  
oczy  
o zupełnie brązowych tęczówkach i opalizujących białkach ukryte były  
głęboko pod nawisami łuków brwiowych. Wyglądali tak realistycznie,  
że

Yinka nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż są jak żywi, że zostali  
schwytani

i uwięzieni przez zawsze nieobliczalnego Kena Laudera.

— Więc to jest twoja rodzina? — zażartowała.

Mruknął, że to pomoce dydaktyczne, które zabrał do domu, kiedy  
porządkowano uniwersytecką pracownię paleoanatomii. Zgarnął z  
tapczanu

stertę czasopism naukowych, by mogła usiąść, i podniósł słuchawkę.

Porozmawiał najpierw z Ngilim, który wydawał się zmęczony, ale spokojny i opanowany. Przystał na plan siostry, pod warunkiem że będzie mógł latać co tydzień na Dogilani, żeby kontrolować stan badań, dostarczać Kenowi prowiant i odbierać raporty z badań terenowych. Mógłby zorganizować loty z zapasami w weekendy, ojciec na pewno przystałby na taki układ. Następnie słuchawkę wzięła Yinka, która w pewnym momencie powiedziała: — Świetnie, przyjedź po mnie, jeśli ci to poprawi humor. — I dodała: — Skończ z tym, nie mam już dwunastu lat. — Ken domyślił się, że Ngili czyni jej wyrzuty, iż przyszła tutaj sama.

Miał wrażenie, że przyjaciel odgrywa rolę starszego brata li tylko dla formy. Ngili był znowu sobą — wszyscy wrócili do swoich zwykłych ról, teraz kiedy pierworodny załagodził już napięcie, jakie panowało między nim a ojcem.

„Ojcostwo — pomyślał Ken — jedna z tajemnic ludzkości.”

Jego członki ogarnął spokój, błogi, bezsilny spokój. Miał wrócić na Dogilani, i tylko to się liczyło. Kiedy Yinka odłożyła słuchawkę, zapytał, czy się czegoś napije, ale potrząsnęła głową. Poczul, że sam potrzebuje drinka, więc przetrząsnął szafki, odnalazł zakurzoną butelkę „Johnnie Walkera” z resztką trunku na dwa palce na dnie i napełnił nim szklanekę.

Wypił spory łyk, patrząc na dziewczynę, która stała w saloniku przed postaciami praludzi.

Mężczyzna miał futro gęstsze. Bujne włosy porastały od góry do dołu pierś i brzuch, przechodząc w kroku w dziką gęstwinę. Zwisiał z niej penis przypominający gruby brązowy palec. Otoczenie genitaliów samicy zaznaczało się równie wyraźnie, mgiełka włosów rozpoczynała się poniżej pępka i spływała ku dołowi, gdzie wciągał ją trójkąt łonowy o szorstkiej, sterczącej kępcze włosów. Generalnie kobieta była znacznie mniej owłosiona, co uwidoczniało brak fałdów tłuszczowych; nawet nadmiar tłuszczu na pośladkach i udach odkładał się wewnątrz pasów mięśniowych. Nie miała zarostu na twarzy, tylko puszek nad górną wargą, który wydał się Yince nie pozbawiony zwierzęcej zmysłowości.

Ogólnie samica mniej przypominała małpę, a bardziej — mimo

różnicy  
setek tysięcy lat — kobietę, która miała pewnego dnia zacząć używać  
szminki  
i dezodorantów. Mężczyzna kroczył przed nią, wyraźnie czegoś  
wypatrując.

Mimika kobiety wyrażała wyczekiwanie i w większym jeszcze stopniu  
niepokój, ale jednocześnie ufność, że na cokolwiek natrafiłby jej  
partner,  
poradzi z tym sobie sam bądź z jej pomocą.

Yinka nerwowo zachichotała. — Ta para robi wrażenie, jakby  
miała  
dokonać podboju świata.

— I tak się stało. A któż może stwierdzić, że o tym nie wiedzieli?  
—

zapytał pociągając następny łyk.

— Upozowano ich tak tradycyjnie. Spójrz, ona nawet idzie za  
mężczyzną.

Wzruszył ramionami. — Te odlewy mają około czterdziestu lat. W rze-  
czywistości jednak środowiskiem życia tej pary nie był Londyn czy  
Nowy

Jork, ale sawanną sprzed dwóch milionów lat, więc to mężczyzna był obrońcą przecierającym szlak.

— Tak, tak, obrońca, przewodnik i wszystkie te bzdury.

Ze zmarszczonymi brwiami zaczął tłumaczyć jak profesor na zajęciach. — Yinko, kobiety australopiteka nie były głupie. Miały do wykonania

zadanie — rodzenie dzieci, i nie zamierzały skakać prosto w rozwartą paszczę

tygrysa szablozębnego, uważając to za swój obowiązek. To była robota dla

mężczyzny, jego ryzyko. Jeśli wyprowadził je prosto na drapieznika, to jego

strata. Układ taki stawiał kobietę w znacznie bardziej uprzywilejowanej pozycji, nie sądzisz?

— No cóż, skoro tak to ujmujesz... Dlaczego mężczyzna miałby taki

układ akceptować?

— Ponieważ poświęcał się, żeby przekazać własne geny, oczywiście

wymieszane z jej genami, nawet jeśli wymagało to oddania życia. Ona także

nie odmawiała rodzenia dzieci, chociaż mogła umrzeć w czasie porodu,

i często tak się właśnie działo.

Yinka milczała.

Potem zauważyła sarkastycznie, że twórca odlewów przesadnie wy-

eksponował genitalia. Ken odparł, że australopiteki znajdowały się na etapie eksperymentów seksualnych. Położenie genitaliów uległo zmianie:

u mężczyzny zostały bardziej wyeksponowane niż u jakiegokolwiek innego ssaka, u kobiety zaś były teraz praktycznie ukryte w porównaniu z purpurowymi, nabrzniałymi w okresie rui genitaliami samicy małpy. Przesadne eksponowanie nowego położenia to w naturze rzecz normalna.

To samo stało się z gruczołami mlecznymi, umieszczonymi teraz w kopalastych sutkach. Ukryte organy płciowe kobiety nabrały jednocześnie tajemniczości, cechy nie znanej bądź nieistotnej u innych zwierząt, ale odgrywającej zasadniczą rolę przy powstawaniu związków monogamicznych.

— Wygląda na to, że seks uczynił nas ludźmi. — Uśmiechnęła się.

Badał ją wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy dopuścić ją do sekretu. —

Chcesz poznać moją teorię? — Zwróciła się ku niemu, cała zamieniając się

w słuch. — Pięć zasadniczych transformacji uczyniło nas ludźmi. Po pierwsze:

oczy z przodu, zamiast po bokach twarzy, co umożliwiło widzenie trójwymiarowe, tak że nie musieliśmy już orientować się w otaczającym świecie,

węsząc wilgotnym nosem. Po drugie: wkroczenie na otwarty, płaski teren, wymuszone kurczeniem się powierzchni lasów, a potem przybranie pozycji pionowej, pozwalającej obserwować ruchy drapieżników, przed którymi ani nie mogliśmy uciec, ani ich pokonać niewielkimi płaskimi zębami. Zachowanie w stosunku do nich dystansu, będące rzeczą zasadniczej wagi, niemożliwe było bez przybrania postawy wyprostowanej. Po trzecie: wykorzystanie rąk dla wspomżenia słabych zębów przy chwytaniu i rozrywaniu pokarmu. Po czwarte: utrata owłosienia ciała, co pozwoliło na wykształcenie się gruczołów potowych, dzięki którym mogliśmy znieść zabójcze słońce sawanny. Wskutek

tęgo nasza skóra stała się naga. I wreszcie... przyjemność, wzmożona znacznie

z powodu utraty owłosienia skóry — zakończył, zauważywszy z zadowoleniem

wyraz zdumienia na jej twarzy.

— Przyjemność? — powtórzyła.

— Przyjemność. Mamy więcej niż jakiegokolwiek inne zwierzęta komórek,

które pozwalając naszym ciałom doświadczać przyjemności, i połączeń

nerwowych przetwarzających te doznania w mózgu. Nie zapominam bynaj-

mniej, że zwiększenie objętości mózgu umożliwiło nam abstrakcyjne myślenie,

ale uważam, że człowieczeństwo to nade wszystko ocena wrażeń. To dzięki

niej wyodrębniliśmy się z reszty przyrody. Dzięki niej staliśmy się ostatecznie

świadomi samych siebie.

Obrzuciła szybkim spojrzeniem jego zabałaganione mieszkanie. — Jak na

osobę tak świadomą istnienia przyjemnych doznań — mruknęła — nie wydajesz się zbyt doceniać komfortu. Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem na Dogilani?

— Chyba nie.

Obracał w palcach prawie pustą szklanke. Wyjęła mu ją z ręki, łyknęła

resztkę trunku i upuściła naczynie na podłogę. Płynnym ruchem otoczyła mu

szyję długimi ramionami, przyciągnęła jego głowę i pocałowała wargami

i językiem — pocałunek był czuły, ale odrobinę chłodny i powściągliwy,

jakby go sprawdzała. Przywarła doń całym ciałem, gibkim i mocnym. Czuł

jej płaski, napięty brzuch, twarde, krągłe kolana i piersi, które zdawały się

mocne, jędrne i większe niż przedtem.

Odepchnęła go. Stali twarzą w twarz, patrząc na siebie. Zadzwoił telefon, tylko raz.

— To Kwezi z dołu szepnął. — Ngili chyba już tu jest.

— Powodzenia, osadnku.

— Na razie.

Zamknął za nią drzwi. Siadł przy zabałaganionym biurku i dotknął otwartą dłońią warg, jakby chciał się przekonać, że rzeczywiście go pocałowała.

Znowu wstał i upewnił się, że drzwi są zamknięte. Wyjął rhina, odbezpieczył i położył na biurku.

Wziął długopis oraz notes i zaczął spisywać potrzebny mu sprzęt.

Wydobył stare spisy suchego prowiantu, ekwipunku obozowego i ogromną



mapę zachodniej Kenii. Właśnie zapisywał pośpiesznie, że ma pamiętać o tabletkach halazonu, używanych do oczyszczania wody, kiedy osunął się głową naprzód i opadł górną połową tułowia na biurko.

Zasnął.

Sześć godzin później afrykańskie słońce rozpętało żar nowego dnia, ale jego promienie, przenikające przez żaluzje w mieszkaniu, nie przeszkadzały Kenowi. Spał z głową na biurku.

W sawannie słońce szybowало w górę z niezwykłą prędkością, jak  
zawsze  
w Afryce o świcie. Mały hominid zbudził się już i przewracał z boku  
na bok  
w swej kamiennej niszy.

Usłyszał dudnienie bosych stóp dochodzące spomiędzy skalnego  
wału  
i granicy wysokich traw, których pędzelkowate kłosa kołysały się w  
porannym  
wietrze.

Kilka par stóp przebiegało truchtem po ścieżce u podnóża skał, a  
ich  
masywne boscie pięty rozgniaty piach. To paluchy, długie i  
odwiedzione,  
sprawiały, że krok ich był tak ciężki. Idący ubijali hałaśliwie piasek, a z  
ich  
wklęsłych piersi dobywało się chrapliwe, niemal bolesne dyszenie.

Powietrze wibrowało od kroków i oddechów, a fale dźwięku niosły  
się  
we wszystkich kierunkach, docierając do długich płatków uszu  
chłopca.

W ułamkach sekund jego mózg przetworzył odgłosy ciężkich kroków.  
Hominid wstał i, drżąc ze strachu, chwycił dwa kamienie myśliwskie,  
wychylił twarz znad skraju skały i zerknął w dół.

Poprzez niebieskawą mgiełkę na wciąż nie oświetlonej słońcem  
ścieżce  
zobaczył kosmate bryły karków i ramion, które wydawały się ciemne,  
niemal  
atramentowoczarne. Chłopiec oparł pięści o półkę skalną i zacisnął  
zęby, żeby  
nie wydać nawet najcichszego dźwięku. Przywarł do skały, a jego umysł  
jakby pogrążył się we mgle.

Wróciła mu pamięć. Przypomnił sobie. Przypomnił sobie, kim są  
przechodzące na dole wielkie stworzenia i co oznacza ich obecność.

Niemal w tej samej chwili dostrzegł zapalniczkę: dziwny, lśniący  
kamień — dar pozostawiony mu przez obcego, który podróżował  
owadem-  
-bulwą — wyrzucony przez pawiany z jego niszy wpadł w szczelinę  
skalną.

Teraz pojawił się ponownie, w sposób niemal magiczny. Wargi  
chłopca  
rozchylił uśmiech zdumienia.

Długim, szczupłym palcem wydobyl przedmiot ze szczeliny,  
następnie  
zstąpił do swojej niszy i ukazał się z powrotem z białą kością  
ramieniową,  
którą odnalazł był już wcześniej. Wsadził zapalniczkę pod pachę, a kość  
ramieniową w zęby, i nasłuchiwał.

Kroki ucichły. Po chwili rozległy się znowu, podążając w kilku  
kierunkach  
naraz: kroczący ciężko patrol rozdzielił się, przeszukując skały.

Niewielki mózg chłopca natychmiast dostrzegł w tym szansę: trzeba oddalić się niepostrzeżenie, podczas gdy niewidoczni intruzi będą słyszeli nawzajem swoje kroki. A odgadywanie kierunku ze słuchu nie należało do ich mocnych stron.

Rzucił kamieniem na ścieżkę, w kierunku przeciwnym do wschodzącego słońca. Usłyszał stukot, a potem bieganinę ciężkich ciał. Podbiegł na skraj skały i, niewidoczny dla przeciwników, dał ogromnego susa przez ścieżkę. Wylądował w trawie twardo i z hałasem. Przybliżył się chyłkiem do ścieżki, przykucnął i wyteżył wzrok.

Wielkie cienie chaotycznie penetrowały ścieżkę — tam i z powrotem. Potem zeszyły z niej i poczęły przeczesywać trawę.

Chłopiec wstał. Oglądając się przez ramię, pospieszył za róg skalnej palisady, a potem dalej wzdłuż jej ścian ciągnących się ku północy niczym skamieniała armia i kończących się wypiętrzeniem pólki i tarasów u stóp Mau.

Słońce dalej wędrowało w górę, rozpoczynając kolejny dzień. W odległym mieście mijały godziny. W buszu realizowały się potencjały ewolucyjne, a gatunki stawiały kolejny krok na swej drodze ku przetrwaniu albo wymarciu.

Siedem godzin później w mieszkaniu Kena zabuczał komputer, wyświetlając przesłane siecią Internetu wyniki badań naukowych. Przystarzały „StyleWriter” drukował powoli tekst artykułu opublikowanego w „Quarterly Review of Biology”. Ken gimnastykował się, leżąc przy drukarce, i obserwował z ukosa ruch perforowanego papieru.

Zadzwonił telefon. Ken wstał i — z grymasem prostując zmęczone plecy i ramiona — podniósł słuchawkę.

— Filizanka kawy dla bezrobotnej reporterki? — zażartowała Yinka.

Zachichotał zaskoczony. — Gdzie jesteś?

— Tuż za rogiem.

— Kawa chyba mi się skończyła, ale może mam trochę herbaty...

— Wspaniale. Zaraz będę.

— Czekaj. — Zamierzał spędzić dzień, robiąc zapasy na wyprawę.

—

Może to nie najlepsza pora, taki u mnie bałagan...

— Masz dwie minuty.

— Co robisz w tej części miasta?

— Poszłam na lunch do tego, co pozostało po klubie prasy zagranicznej.

Nie przejmuj się bałaganem. Wiesz, mam brata bałaganiarza.

— Zgoda. — W końcu pomogła mu zorganizować wyprawę. — Zdązysz

w pięć minut?

— W dwie. Widzę stąd twój dom. — Wyłączyła się.

Pokręcił głową. „StyleWriter” skończył drukować. Ken oderwał ostatnią

stronę, podniósł niewielki plik papieru i obszedł z nim pokój, szukając szlafroka. Znalazł go na oparciu krzesła w saloniku. Rzucił papiery na tapczan, złapał szlafrok i pognał do łazienki, prosząc Boga, by była woda.

Była. Wpadł pod zimny prysznic, namydlił się, drapiąc skórę paznokciami,

opłukał, wytarł i wbił się w szlafrok w chwili, kiedy zadzwonił portier, zapowiadając Yinę.

Kazał mu ją wpuścić, popędził z powrotem do łazienki, wytrząsnął szczoteczkę ze szklanki, wycisnął z tubki resztki pasty, wymył energicznie

zęby, aż zaczęły krwawić dziąsła, i znów pognał do saloniku.

Zapukano do drzwi, lekko i szybko, jak pukają kobiety.

Otworzył. Yinka miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę, białą z wąskimi wyłogami, i białe pantofle na wysokim obcasie, w których wydawała się wyższa. Spojrzał, jakby widział ją po raz pierwszy. — Wyglądasz tak oficjalnie.

Przesunął dłonią po policzku. Zapomniał się ogolić.

— Tak. Sądziłam, że powinnam się odstawić, bo był to swego rodzaju pogrzeb.

Usłyszał w jej głosie ten sam ton, co w czasie jazdy samochodem

— trzymany na wodzy gniew. Rozejrzała się po mieszkaniu, spojrzała na gipsowe odlewy; nie wyglądały przekonująco w świetle dnia.

— Yinko, dobrze się czujesz?

Jestem umiarkowanie wściekła. Gdzie herbata?

Siadaj, zaraz zrobię.

Pospieszył do ciasnej kuchni, otworzył z brzękiem szafkę, żeby wyjąć

filiżanki. „Muszę zapanować nad rękami, co ona sobie pomyśli?” Rozgniewał

się. Od kiedyz to się tak przejmuje tym, co może pomyśleć Yinka Ngiamena?

„Chyba naprawdę jestem zmęczony”. Zatrzasnął szafkę łokciem.

— Przekonałam *urn'tu*, żeby oddał ci do dyspozycji dwa zestawy ratunkowe — zawołała z saloniku. — Z magazynu biura rezerwatu. Przydadzą

ci się, skoro masz tam siedzieć samotnie przez dłuższy czas.

Omiał nie upuścić filiżanki, którą obcierał brzegiem szlafroka. — Jak ci

się udało go do tego skłonić? — Zestawy ratunkowe, same w sobie stanowiące

małe obozowiska, były najcenniejszym sprzętem na safari. Kradzione kosztowały na czarnym rynku tysiąc dolarów.

— No bo jego kochana córeczka wpadnie tam może później, żeby wszystko opisać.

Ken drgnął — weszła bezgłośnie do kuchni i stanęła półprofilem, zwrócona

twarzą do okna obramiającego fragment zadymionego Nairobi. Nie patrzyła

na niego. — *Um'tu* każe zrzucić zasobniki do buszu na spadochronie, ale naturalnie możesz powiedzieć pilotowi, gdzie ma to zrobić, a jeśli włamiesz

się do któregoś, nie będziesz musiał za to płacić. — Wciąż nie patrząc na

niego, wyszła na swych przerażająco bezszelestnych wysokich obcasach.

Wepchnął liście herbaciane do pozieleniałego pojemniczka zaparzaczkii.

Czajnik zaczął wyrzucać kłęby pary dziubkiem, na którym spod złuszczonej

emalii ukazywał się mosiądz. Ken nalał wrzątku do dwu filiżanek, do jednej

włożył zaparzaczkę, umieścił wszystko na wyblakłej tacy i wyszedł z kuchni.

Stała przy tapczanie, przerzucając artykuł z „Quarterly Review of

Biology".

— Co to? — zapytała unosząc zadrukowane stronicę.

Tytuł zapisano prostą, nieozdobną czcionką: „Tajemnicza seksualność

kobiety — broń w walce o rozmnażanie się."

— Wyniki badań. — Przełożył zaparzaczkę z jednej filiżanki do drugiej

i podał herbatę. Yinka rzuciła artykuł na tapczan i podeszła do okna, przez

które ukazywał się nieco większy fragment Nairobi. — Światło jest za ostre.

Pozwolisz? — Opuściła aluminiowe żaluzje i siadła na tapczanie z parującą

filiżanką. — Szczęśliwy jesteś, osadniku?

— Pewnie. Ile krwi muszę przelać, żeby się odwdzięczyć?

— Musisz napisać dla *um'tu* raport dotyczący fauny. Żaden problem dla

kogoś o twoim ilorazie inteligencji.

Łyknął herbaty, stwierdził, że jest gorąca i bez smaku. Spojrzał na nogi

dziewczyny, przełknął ślinę i skierował wzrok prosto na jej twarz. Odstawiła

filizankę. — Jestem niespokojna, osadniku.

— Z powodu sytuacji politycznej?

— Z powodu wszystkiego. Zamknięto moją gazetę, Gwee się zeni — jest

najmłodszym bratem, mogłam nim pomiatać, a teraz go nie będzie — a ty

wyruszasz po sławę i przygody...

— Czy jestem aż taki ważny?

— Twoja ekspedycja to chwilowo jedyna rzecz, do której mogę się w jakimś stopniu przyczynić. Opowiedz mi zatem o tej tajemniczej kobiecej

seksualności.

— Pogawędka przy herbacie?

— Nie, poważnie. Może zostanę popularyzatorką nauki.

Jej skupione, uważne spojrzenie, jakim patrzą studenci, uspokoiło go, ale widok nagich kolan sprawiał, że pragnął, by wyszła stąd jak najprędzej. Objął ją obojętnie i zdawkowo — taką przynajmniej miał nadzieję — że seksualność kobieca stawiała się w miarę postępującej ewolucji człowieka coraz bardziej enigmatyczna. U szympansie, krów, suk czy lwic owulacja jest zjawiskiem rzucającym się w oczy, wszystkie one wydzielają określone zapachy i sygnalizują gotowość seksualną w sposób

tak nachalny, że nie sposób tego przeoczyć. Inaczej samice człowieka. Jediną oznaką owulacji, bardzo niepewną i łatwą do przeoczenia, jest nieznaczny wzrost temperatury ciała. A jednak to przejście od jawnego obwieszczania do prawie całkowitej dyskrecji musi się wiązać z maksymalizacją szans na reprodukcję. U żadnego gatunku nie zostałyby zapoczątkowane takie zmiany, gdyby nie wpływały korzystnie na jego rozmnażanie się.

Zauważył, że w miarę jak mówił, jej oczy stawały się coraz ciemniej-

sze, a postawa bardziej sztywna. — Poprzednim razem wychwalałeś mono-

gamię — wtrąciła. — Nie wygląda na to, by ta tajemniczość do niej zachęcała.

— W pewnym sensie zachęca, gdyż doprowadza do szaleństwa samców

usiłujących zachować samice dla siebie. A jednocześnie pozwala kobietom na

niewierność, która może pozostać nie wykryta. Oficjalny partner często zapewnia doskonale gniazdo rodzinne, ale nie zawsze najlepsze geny.

— Ken

wstał i odstawił filizankę, uwalniając ręce od pobrzękującego i kłopotliwego

przedmiotu. Kiedy znów spojrzął na dziewczynę, oczy miała jeszcze ciem-

niejsze, a jej postawa wyrażała tłumione napięcie. — Pewne badania



świadczą  
o tym, że kobiety częściej przeżywają szczytowanie, mają romanse —  
dodał  
niepewnym tonem — co może wydawać się oczywiste, z kolei  
mężczyźni  
wytwarzają w niedozwolonych związkach więcej spermy, wygrywając  
takim  
„zalewem” konkurencję z mężem czy innym kochankiem....

Odstawiła filiżankę i wstała. — Jesteśmy, według ciebie, takimi  
skrytymi,  
samolubnymi sukami.

— „Samolubne” to za mocne słowo. Sądzę, że życie w sawannie obfitowało w tyle niebezpieczeństw, że kobiety musiały stać się oportunistkami. Jeśli partner został zabity przez drapieżnika, musiały zdobyć innego —

ale jak miały go skłonić do opieki nad wcześniejszym potomstwem? Więc

może romanse były metodą tworzenia pobocznych związków, które zaczynały

odgrywać rolę, kiedy pierwsze ulegały zerwaniu, zwłaszcza wskutek tragi-

cznego wypadku. Może utrzymywanie samca w stanie zazdrosnej niepewności

służyło podtrzymywaniu takiego... związku. Boże, nie cierpię tego słowa. —

Roześmiał się sucho.

— Nie będzie cię na weselu Gwee?

Wesele Gwee. Hm! Zapomniał o tym. Omal się nie zarumienił.

— Oczywiście, że nie. Jesteś takim samolubnym samcem.

Ujęła jego dłoń, rozmasowała mocnymi smukłymi palcami, potem owinęła

jego rękę wokół swych wysokich ramion i pocałowała go w usta natarczywie,

prawie niezgrabnie. — Prawda jest taka, że nic nie wiesz o kobietach — szepnęła — więc dlaczego tak się boję, że poznasz mnie na wylot za pomocą

swego uczonego mózgu?

Znów go pocałowała. Odsunęła się, jej wilgotne wargi błyszcząły.

Niedbała poza uczyniła z niej inną, nie tak doskonałą, kobietę. — Masz jakieś

łóżko, małpoludzie? — zapytała, a on zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości

przyszła, by się kochać, a nie pić herbatę czy się wściekać z powodu sytuacji

politycznej.

Gestem podbródka wskazał drzwi sypialni. Obróciła się i skierowała ku

nim, odpinając guziki sukienki. Podążył za nią i wszedł w chwili, gdy rozpięła

zamek błyskawiczny na boku, przez co sukienka utraciła pierwotną linię.

Wysunęła ramiona, pozwalając jej opaść na podłogę, zdjęła skąpy staniczek

i pyrgnęła nim byle gdzie, zrzuciła z nóg pantofle i pochyliła się, by ściągnąć

majtki. Podeszła do niego naga, wysoka i długonoga.

— Zdejmij ten łań — szepnęła ciągnąc za jego szlafrok.

Zrzucił go na podłogę i stanął nagi i podniecony w półmroku, który łagodził wizualny szok nagości, ale nie skrywał niczego. Z zapartym tchem

poprowadził ją do łóżka. Z czarno-białego zdjęcia na komodzie

uśmiechali

się szeroko on i Ngili na swoich pierwszych wykopaliskach.

Piersi miała rozkosznie krągłe; na brzuchu — ani jednej fałdki.

Niewielki

trójkącik włosów łonowych nęcił dyskretnie. Rozciągnęła się na plecach.

Ken

położył się obok i wziął ją w ramiona, a ona szeptem wyraziła zdumienie, że

jest taki napalony.

— Tym się różnią samce od samic w walce o rozród — mruknął szcękając zębami. — My jesteśmy szczerzy i otwarci. Wy — chłodne, tajemnicze i wyrachowane.

— Zamknij się.

Przyciągnęła go do siebie. Ale nie mógł z jakiegoś powodu tak po prostu

wsunąć go w tę ciemną nimfę, mimo iż pocierała nogą o nogę i rozchyliła

uda. — Przyszłaś kochać się ze mną czy z moimi teoriami?

Domyślił się, że zaczęła pisać, kiedy był w łazience, a potem poprosiła o herbatę, by móc dokończyć. Zaskakujące jak na kogoś, komu nigdy nie brakło słów.

Czy napisała to, żeby zostawić mu coś od siebie?

Normalnie uśmiechnąłby się w duchu, dumny z takiego dowodu kobiecej troski. Teraz nie było mu wcale do śmiechu. Wciągnął spodnie i koszulkę i wyszedł kupić zapasy na wyprawę.

## **Część trzecia**

**POLOWANIE NA**

**CZŁOWIEKA**

# 1

Znalazszy się nieopodal swego dawnego legowiska, chłopiec poczuł się niemal bezpieczny. Przystanął i przykłęknąwszy przy kępie palczatki zerwał pracowicie sporą ilość źdźbeł trawy.

Wybierając

najszersze, uplotł niewielki woreczek na pasku, w którym miał nosić swoje

rzeczy — kość ramieniową, zapalniczkę i jedyny, jaki mu pozostał,

kamień

do polowania.

Zawiesił woreczek na ramieniu i powędrował dalej, trzymając się granicy oddzielającej wysokie trawy od skalnych wałów.

Szedł zdecydowanym, równym krokiem, choć tak naprawdę nie wiedział,

dokąd idzie. Zadzierał wciąż głowę, poszukując na niebie owada-bulwy, ale

nigdzie go nie dostrzegł; zdziwiło go to, gdyż nie minął jeszcze świt, a owady

zwykle uwijają się pracowicie o świetle i zmierzchu.

Nieco później schwytał i zjadł kreta, ale podczas polowania zgubił kamień. Na szczęście w niedługim czasie znalazł nowy, którym parokrotnie

uderzył mocno o skalną ścianę, odłupując ostre wióry, aż pozostał nieregularny

okrągły rdzeń. Trzymał go teraz w ustach, pobudzając gruczoły ślinowe, co

łagodziło pragnienie.

Odłupki, nadające się do cięcia, wetknął do woreczka z trawy.

Szedł na północ, nie odczuwając żadnego dyskomfortu i tylko

niekiedy  
bekając. Później, pod koniec dnia, gdy przysiadł na skalnej półce,  
rozmyślając  
nad powrotem wielkich istot, nagle usłyszał lecącego po niebie  
owada-bulwę.  
Dostrzegł go przez moment, ale stracił z oczu, kiedy ten skrył się w  
chmurze.  
Nie przyszło mu do głowy, że może to być inny owad-bulwa.  
Uśmiechnął się  
szeroko. Przez cały czas wiedział, że owad powróci.

U stóp Mau teren stawał się coraz bardziej skalisty. Coraz też  
częściej  
pojawiały się ściekające z gór strumyczki wody. Spowijające grzbiet  
mgły  
skraplały się, spadając w postaci krótkiej chłodnej ulewy, zraszającej  
obficie  
podnóże gór.

Idąc dalej, chłopiec dotarł do rozległego rumowiska czarnych skał — gigantycznych płyt wyschniętej lawy, spękanej na kształt płaskich listew stężących pod najdziwniejszymi kątami. Tworzyły niekończący się labirynt pradawnych czarnych bloków. Niezliczone szczeliny, kominy, tunele i spękane ściany tworzyły architekturę tyle tajemniczą, co zabawną, dostarczając tysięcy doskonałych kryjówek.

Chłopiec upuścił woreczek, zapominając o całym świecie. Wydając radosne okrzyki, przeskakiwał z głazu na głaz — zwinny i pewnie trzymający się na stwardniałych stopach — rozkoszując się pędem, w jaki wprawiały go prężne mięśnie. Przypominał nieco bezwłosego szympansa podczas zabawy.

Niespodziewanie nad jego głową rozpięta się burza z piorunami i zaczął padać ulewny deszcz.

Głazy stały się śliskie, co jeszcze zwielokrotniło przyjemność niebezpiecznych harców.

Nie bacząc na niebezpieczeństwa, skakał po skałach, wydając głuche wycia — pierwotny człowiek wymyślał taniec bez nazwy.

Na stopach pojawiły się krwawe zadrapania. Nie czuł ich. Tańczył dalej, młodość karmiła się złudzeniem nieśmiertelności, które umacniało się z każdym skokiem.

Piorun uderzył parę stóp obok, a spływający do ziemi ładunek elektryczny zapłonął wokół kamienia, wzbudzając smużki dymu. Ogłuszające wyładowanie zaskoczyło chłopca w pół skoku. Upadł, stoczył się z wyższej płyty lawy na niższą i znieruchomiał.

Kiedy deszcz zelżał, hominid odzyskał świadomość. Wstał z trudem, ale

nie odczuwał poważniejszych obrażeń. Przypomnił sobie o woreczku.

Zszedł ze skalnego labiryntu i natknął się na swoją zgubę przez czysty

przypadek. Właśnie wówczas w jego mózgu pojawiło się dawno zagubione

wspomnienie — wyraziste i szczegółowe. Przystanął, pokryty kroplami deszczu, które wysychały na skórze, i wpatrywał się w to wspomnienie, jakby

było realną sceną.

Widział hominidów, mężczyzn i kobiety, biegnących od sawanny ku skalnemu labiryntowi w poszukiwaniu kryjówek.

Nie zdążyli do nich.



Kroczył pomiędzy skałami, póki nie otworzyła się przed nim rozległa, przypominająca kamieniołom, kotlina. Postać przez chwilę, przyglądając się, potem odwrócił się gwałtownie i oddalił. Po chwili wrócił. Stanał przed polem pełnym kości oczyszczonych przez dzikie zwierzęta i upływ czasu, omytych deszczem.

Stał w milczeniu, znosząc to bolesne wspomnienie, póki się nie rozwiało.

Znowu pomyślał o istocie, która na jego oczach wykopywała tamte kości ze żwiru sawanny. Obcy i jego towarzysz wydobywali je z troskliwością, która powiedziała mu o nich coś, czego oni sami o sobie nie wiedzieli.

Przypomniał sobie ręce obcego o łwiej twarzy, wydobywające części szkieletu — powoli, cierpliwie, delikatnie.

Chłopiec położył się w wąskim kominie z lawy, wyczerpany własnymi myślami.

Kiedy zbudził się o świcie, świat był jeszcze mokry po burzy.

Wyszedł ze swego schronienia. Wezbrany strumyk płynął obok ku zagłębieniu z wodą, zaznaczonemu porastającym je nieregularnie kępami

trzciny. Poprzez mgłę niewyraźnie rysowały się na brzegu nieruchome sylwetki

bawołów wodnych. Antylopa gnu, ukąszona zapewne przez owada poszukującego suchego schronienia w jej sierści, podskoczyła do góry, wierząc

wszystkimi nogami, a następnie staranowała głową własne stado, próbując

zapoczątkować galopadę, ale wywołała tylko krótkotrwałe poruszenie.

Chłopiec znowu usłyszał owada-bulwę. Samolot pikował nisko niczym ogromna, atakująca ziemię pszczoła. Gnu natychmiast wznowiły galopadę,

rzucając się dziko na bawoły wodne, które ryknęły z irytacją i ruszyły bez

przekonania biegiem.

Afrykański pilot zwrócił się do Ngilego, który siedział obok niego w starym helio courierze, należącym do departamentu parków narodowych.

Przed nimi formowały się chmury, wiotkie pióropusze przekształcały się w szarawe bele bawełny. Pilot chciał wiedzieć, czy mimo to ma wyrzucić

przy południowym łańcuchu Mau zasobnik z ekwipunkiem i żywnością, tak

jak prosił Ken.

Minał akurat tydzień, odkąd Ken zawarł umowę z rodziną

Ngiamenów.

Ngili przez radio skontaktował się z przyjacielem, który rozbijał obóz

dwadzieścia mil na południe od wspomnianego łańcucha i około pół mili od

miejsca, gdzie wylądowali z Hendrijksem i natknęli się na skamieniały szkielet. Ken dotarł tam poprzedniego ranka, po ciężkiej czterodniowej jeździe z Nairobi ciężarówką kierowaną przez tropiciela z rezerwatu. Za nimi

jechał prowadzony przez innego pracownika parku landrover Kena, wzmoc-

niony niedawno z przodu nową kratą ochronną.

Udało mu się bez pomocy Hendrijksa odnaleźć zapadnięty wzgórek, z którego wykopali skamieniałość. Przez ostatnie siedem dni ani nikt nie widział pilota, ani o nim nie słyszał. W jego mieszkaniu nie odpowiadał telefon. Biuro w mieście było zamknięte, przeszklone drzwi zasłonięto od wewnątrz opuszczoną roletą, która wyglądała jak pogryziona przez pchły. Co dziwniejsze, Hendrijks ani nie zadzwonił, ani nie pokazał się, żeby zrealizować czek.

— Zrzuć zasobnik — polecił Ken — zanim zbiorą się chmury.

Odbiór.

— Dzieli nas parę mil od odnogi, przy której mieliśmy dokonać zrzutu.

Odbiór.

— **Wybrałem tamto** miejsce dość dowolnie — odpowiedział Ken.

Zrzućcie go i zanotujcie pozycję. Spadochron jest jaskrawopomarańczowy, więc powinienem go później odnaleźć. Odbiór.

— Doskonale. Do zobaczenia za parę minut — rzekł Ngili. — Bez odbioru.

Stojący na dole mały hominid nie myślał o tym, by się skryć. Był przestraszony, lecz zarazem tak zafascynowany, że tkwił nieruchomo, kiedy samolot sunął nad nim. W ciele owada-bulwy pojawiła się szczelina; wypadł z niej i poszybował w dół dziwny przedmiot przypominający jajko, niesiony przez pomarańczowy kształt w formie kwiatu. Owad-bulwa poleciał dalej, a jego jajko spadło z łoskotem na skały. Mokry spadochron zahaczył o wysoką płytę lawy. Pomarańczowa tkanina stanowiła tak uderzający kontrast na tle naturalnych barw otoczenia, że chłopiec zastanawiał się, czy aby znowu nie śni.

Usłyszał jakiś zgrzytliwy odgłos. Wielki metalowy cylinder spadł na pochyłą płytę i ześlizgiwał się na dół, drapiąc o skałę i naciągając linki łączące go z mokrym od deszczu spadochronem.

Chłopiec popędził, żeby obejrzeć zasobnik, którego zjazd po skałę go zafascynował. Linki spadochronu, trąc o poszarpane boki płyty, poczęły się przecierać. Jedna puściła. Cały ciężar zawisł teraz na trzech pozostałych, które trzaskały jedna po drugiej. Cylinder odpadł i zniknął w kominie z lawy.

Na zewnątrz pozostał spadochron niby ogromny pomarańczowy kwiat przygnieciony deszczem.

Warkot samolotu oddalił się ku południowemu zachodowi, gdzie miał nastąpić zrzut drugiego zasobnika ratunkowego.

— Profesor Lauder? Jestem sierdziant Jonas Modibo, profesodzie — rzekł mały Afrykanin z plemiennym tatuażem z atramentowych kropek ułożonych w kształcie nieregularnego czworokąta na lewym policzku.

— Psiedłem pomóc panu psi obodzie. Situacja jest taka, zie, o ile wiem, nie ma w cim rejonie kłusowników, ale psiedłem pomóc. — Miał pięć stóp wzrostu i mówił po angielsku z wyraźnym akcentem („Chyba nie Kikuju —

może  
Kipsigi? Luo?" — pomyślał przelotnie Ken) i nosił stary brytyjski  
płaszcz  
wojskowy, obcięty u dołu, by pasował na jego niewysoką posturę.

Ken, stojący w sawannie pół mili od pagórka, gdzie znaleźli  
skamieniałość,

nie wierzył własnym oczom. Miał przed sobą mężczyznę o wyglądzie  
pięćdziesięciolatka, z brytyjskim karabinkiem „Enfield” z czasów  
drugiej

wojny światowej, przewieszonym przez ramię, ale nie na skórzanym  
pasku,

lecz na sznurze splecionym bodaj ze zwierzęcego włosia.

Ken rozbił obóz w najbardziej jałowym miejscu, jakie znalazł —  
rosła

tam tylko dzika trawa i krzaki — żeby w jak najmniejszym stopniu  
zakłócać

naturalną równowagę środowiska, które zamierzał obserwować. Otwierał się stamtąd widok we wszystkich kierunkach, także na skalną palisadę i rozproszone laski akacjowe. Słabą stroną takiej lokalizacji była ekspozycja na ostre promienie słoneczne, które zalewały okolicę, tworząc surrealistyczny, przesycony światłem obraz jak z koszmaru sennego.

Pocąc się pod starym terenowym kapeluszem, Ken słuchał Modiba, który pojawił się nie wiadomo skąd, idąc przez sawannę w starych butach z niskimi cholewkami i, jak się wydawało, bez skarpetek. Modibo oświadczył, że departament parków dzikiej zwierzyny wystosował prośbę do posterunku granicznego, o którym Ken nigdy nie słyszał, żeby wysłano znajomego busz podoficera do obozowiska profesora Laudera, ponieważ — jak to ujął — przed dziesięcioma dniami profesor miał „gości”.

— Jak właściwie departament parków skontaktował się z tobą?

— Nie park. Armia. Jestem z armii, z patrolu granicznego. Wiadomość

psiekazano na mój posterunek radiotelefonem z Nairobi.

— A jak się tu dostałeś? — Najbliższy posterunek graniczny musiał

znajdować się w odległości prawie stu mil.

— Wojskową ciężarówką od granicy z Tanzanią do miejsca o jakies

cidzieści mil stąd. Potem ci dni marski.

— Przeszedłeś taki kawał samotnie?

— Tak. Mam pana ściec piesed drapieżnikami, profesodzie. — Na oblicze Jonasa Modiba wypłynął niemal uszczęśliwiony uśmiech, sięgnął

ciemną, szponiastą ręką pod płaszcz. — Oto moja akredytacja.

Chociaż wyglądał, jakby pod płaszczem był zupełnie nagi, wydobył

wojskową książeczkę identyfikacyjną formatu portfela, pogiętą i brudną, ale

zaopatrzoną w fotografię, stemple i z aktualną datą ważności.

Stojący za plecami Kena tropiciele od Jakuba Ngiameny gapili się na

dziwnego człowieczka. W bluzach mundurowych i szortach koloru khaki

oraz ciemnoniebieskich beretach wyglądali w porównaniu z nim bardzo szykownie, nawet po dwu dniach jazdy po pylistej pustyni Nyiri i całym dniu obozowania. Przysłuchiwali się, co Modibo mówi: — Mam rozkaz z armii, która ocimała go z biura direktora Ngiameny. — Wymawiał: „Njameny”, z silnym nosowym wydechem, co nasunęło Kenowi myśl,

że  
może tak to nazwisko pierwotnie wymawiano, zanim Ngiamenowie  
przenie-  
śli się do miasta i dołączyli do elity, która oderwała się od plemiennych  
korzeni.

Kenem owładnęły tak silne wątpliwości, że nie był w stanie przyjąć  
za  
dobrą monetę całej tej historyjki.

— Wymyśliłeś to, sierzancie?

Nie, profesodzie.

Ken spojrzął na ekipę tropicieli. Jej szef — przystojny młody  
strażnik —  
wzruszył ramionami, przyznając się do kompletnej niewiedzy w kwestii  
tej  
niespodziewanej okoliczności. Dzień wcześniej wraz z drugim  
tropicielem  
„przeczesali" busz i grzbiety skalne ciężarówką i na piechotę. Zgodzili  
się

z Modibem, że nie ma tu kłusowników, a przynajmniej takich, których dałoby się łatwo wypatrzeć.

— Widziałeś jakieś lwy? — zapytał Ken tylko po to, by coś powiedzieć".

— Tak, dwa samce. Jeden starł, jeden młodi. Słi za stadem jakichś... —

Modibo zmrużył oczy, licząc w myśli —...modzie pięciu lwic z młodimi.

Ken potakująco skinął głową. Znał tę lwią metodę. Leniwe samce próbowały dołączyć do stada, zabijając młode. Jeśli udało im się większość

zabić, lwice wkrótce zaczynały się grzać. Tarzały się po ziemi, były ogonami

i pomrukiwały na lwy, by zrobiły im nowe potomstwo. Nakaz płodzenia był

w ich naturze odcisnięty mocniej niż wściekłość urażonego macierzyństwa.

W ten sposób samce przejmowały stado i korzystały ze zdobyczy upolowanych

przez samice.

— Widziałeś coś takiego? — Ken trzymał w ręku futerał na spis wyposażenia, mapy i notatnik. Naszkicował szybko odcisk stopy hominida

i pokazał rysunek sierżantowi.

Czarny obdartus zerknął szybko. — Nie. A dlaczego? Pana goście mają

śmieszne stopy? — Wskazał podbródkiem wrak wywróconego dziesięć dni

temu safari cuba, który w zadziwiający sposób wtopił się w busz za sprawą

kurzu, pyłków kwiatowych, rozgniecionych na ścianach owadów oraz siadających na nim ptaków.

— Nie, mam na myśli stopy pewnego gatunku... zwierzęcia naczelnego.

Stary żołnierz zignorował tę uwagę. — Ten obóz nie jest doabri — rzekł

autorytatywnie. — Złe połodzenie, wprost na ślaku pędzących stad. Jedno

psibędzie tu zaraz. — Padł na płask i przyłożył ucho do ziemi. — Zaraz.

Psiesunąć obóz tam. — Podniósł się i machnął ręką w kierunku gołego zbocza

wzgórza o płaskim wierzchołku.

Szybkim ruchem Ken wy dobył lornetkę z futerału i zlustrował horyzont.

Zobaczył przesłaniające Mau chmury deszczowe, ale nigdzie nie dostrzegł

pyłu wzbijanego kopytami pędzącego stada. Naturalnie, jeśli padało, teren

w pobliżu Mau mógł być mokry. Rzucił się na ziemię równocześnie z



jednym z tropicieli. Wstali spoglądając po sobie i wzruszając ramionami — nie usłyszeli odległego tętentu kopyt.

Modibo spojrział, jakby czytał w myślach. — Pan pocieka, psibiegną.

A pan nie chce, zięby pogniotli pana papieri, profesodzie.

— Nie jestem profesorem — rzucił Ken. — I nie przeniesiemy obozu.

Dziesięć minut później odezwał się przez radio Ngili. Z okna samolotu

dostrzegł grupę pędzących antylop gnu oraz bawołów, które oddalając się od

mokrych czarnych skał wywoływały panikę wśród innych zwierząt. Oznajmił,

że za jakąś godzinę Ken może spodziewać się w obozie wizyty szarżującego w popłochu stada.

Czterdzieści minut później czarna rzeka bawołów przepłynęła obok wzgórza; za nią podążyły w podskokach i susach antylopy gnu. Kiedy szarża

mineła, Modibo — który siedział na suchej trawie chrupiąc gruboziarnistego

suchara, wydobytego z postrzępionego płaszcza, wstał i odszedł bez słowa.

Ken zobaczył, że Murzyn zatrzymał się przy safari cubie, obejrzał go, wpełził do środka i pojawił się znowu, trzymając lśniący klucz.

Kiedy wrócił, oznajmił Kenowi, że uzbrojeni mężczyźni byli, według niego, zbiegłymi kryminalistami z Tanzanii. Zdawało się, że przekraczali niekiedy pustynię kradzionymi samochodami, zmierzając ku względnie spokojnej przystani — do Ugandy.

— Zblidzia się samolot pana psijaciela — ostrzegł Kena, który wyteżył słuch, ale nie pochwycił szumu silnika. Parę minut później ciemny trójkąt przypominający szybującego sępa, powiększył się, przeistaczając w twarde przedmiot wykonany ręką człowieka. Maszyna wylądowała podskakując na pasie oczyszczonym przez tropicieli i bawole kopyta.

„Ten sukinsyn musi być psychiczny” — pomyślał Ken. Może i dostrzegł samolot, ale nie sposób, żeby ktoś o normalnym słuchu mógł usłyszeć z tak wielkiej odległości tętent galopującego stada. A jak, u diabła, trafił na ten klucz w cubie? Przetrzęsnęli z Ngilim wóz i stwierdzili, że jest kompletnie pusty.

Landrover, prowadzony pod górę przez jednego z tropicieli, utknął w miejscu. Rozpędzony ponownie, dotarł na szczyt, kaszląc jak stary człowiek po męczącym spacerze. Modibo wyskoczył z trawy i, wymachując kluczem, oświadczył, że był w wojsku mechanikiem — niech mu więc pozwolą rzucić okiem na silnik. Nim Ken zdążył zaoponować, sierżant podniósł rozgrzaną na słońcu maskę i zajrzał do środka. Amerykanin podbiegł i zatrzasnął ją, omal nie przycinając mu palców. Sam się później zajmie swoim dżipem. Zły, że stracił nad sobą panowanie i okazał to, wrócił do namiotu, gdzie jeden z tropicieli dał mu znak, że ma rozmowę radiową z Nairobi.

Kiedy spocony po marszu pod górę Ngili ukazał się na szczycie wzniesienia, zobaczył, jak Ken szczerzy w uśmiechu zęby do radia. Odezwał się kobiecy głos, czysty i melodyjny: — Łatwiej mi to powiedzieć przez radio. Jesteś niezwykle wolnym człowiekiem, Ken — to znaczy, jak na kogoś bez władzy i pieniędzy. Mam nadzieję, że pobyt na sawannie sprawia ci trochę przyjemności.

— Mnóstwo! — wrzasnął Ngili, spiesząc ku radiu i głosowi siostry. —

Dziś wieczór będzie miał wielki bal — pójdzie samotnie na obchód  
drapież-

ników, odbiór!

— Podśluchiwałaś? — spytała Yinka. — A co to jest obchód  
drapież-

ników?

— Nie idę na żaden obchód. Na pewno nie dziś wieczór — wtrącił  
Ken.

Rzeczywiście planował nocny przegląd stad lwów i hien, ale nie  
podczas

najbliższych nocy, gdy zwierzęta po dwóch dniach przelotów  
samolotów

nisko nad sawanną skłonne będą do panicznej ucieczki. Nieunikniona  
fala

galopujących w popłochu stad właśnie ruszyła i zmierzała do skraju  
pustyni,

skąd zawróci, a wystraszone zwierzęta znów znajdują się na swych dawnych pastwiskach. Wypłoszą je stamtąd ponownie ataki drapieżników, wywołując panikę, ale na znacznie mniejszą skalę.

Pożegnał się pospiesznie z Yinką, wyłączył radio i zwrócił się do Ngilego. — Niepotrzebnie jesteś niegrzeczny, aż trudno w to uwierzyć. A cóż

to, cholera, za historia z tym wścibskim sierżantem? — Modibo na rozkraczonych nogach i z podciągniętym do góry płaszczem sikał na krzaki, pokazując, że nic nie nosi pod płaszczem z wyjątkiem szortów. — Mógłbyś zadzwonić do ojca i poprosić go, żeby zabrał tego typa?

— Na pewno nie będę dzwonił z takiego powodu. Nic o sprawie nie wiedziałem, ale masz w nim dodatkową ochronę!

— Nie potrzeba mi dodatkowej ochrony. Sądziłem, że mają to być jednoosobowe poszukiwania!

— A nie są? Czy nie jesteś jedynym naukowcem na obszarze czterystu mil kwadratowych?

Wyznaczony przez Kena rejon stanowił kwadrat o boku dwudziestu mil,

ograniczony od południa i północy sawanny palisadą skał. W jego północno-

-wschodnim i południowo-zachodnim narożniku zrzucono pojemniki ratun-

kowe. Młody badacz zamierzał przeszukiwać cały obszar pieszko, przemierzając

pięćmilionowe odcinki terenu z lekkim namiotem i dwugalonowym plastikowym

baniakiem na wodę. Żeby objąć jak najrozleglejszy obszar, przenieś swój

obóz najpierw do pierwszego zasobnika ratunkowego, a potem do drugiego,

i podejmie tyle dodatkowych wypadów, na ile starczy mu sił.

Ułożył niezwykle ambitny plan. Z jednej strony istniało prawdopodobieństwo,

że „wysiądzie” znacznie szybciej, niż się spodziewał, z drugiej zaś —

szansa, że natrafi na to, czego szukał.

Ngili uspokoił się. — Przepraszam. Stary cymbał nie będzie ci zawadzał.

Pożywi się tylko przez parę dni na twój koszt i odejdzie. Wściekam się, bo

to, co zobaczysz, zobaczysz beze mnie.

— Może nic nie zobaczę.

Zobaczysz, i to zupełnie sam.

— Cóż, musisz się z tym pogodzić. W każdym razie będziesz przylatywał

tu co tydzień. To najlepsze, co dało się zrobić, zgodziłeś się na to.  
— Wiem! — odparł Ngili z rosnącą pasją. — Yinka miała rację.  
Jesteś wolny, ja zaś nie jestem wolny jak ty. Nie jestem szczęśliwym  
i swobodnym jankeskim sierotą, jasne? — Po chwilowej zmianie  
nastroju  
dotknął ramienia Kena, wciąż z pasją, ale już serdecznie i szczerze.

—  
Przepraszam, w porządku?

— W porządku. — Ken podniósł się i zaczął oddalać. — Zapytam  
tego  
dziwnego typu, jak długo zamierza tu zabawić.

Ale nie uczynił tego, bo nigdzie nie mógł dojrzeć Modiba.

Zapytał dwu tropicieli, czy nie widzieli, dokąd tamten poszedł, ale  
zajęci

byli przeglądem ciężarówki przed powrotem do Nairobi. Modibo  
doradził im

wcześniejszy, niż planowali, wyjazd, gdyż „zblidzia się  
następna fala

galopujących zwiedziat, najwięksia", która tak stratuje ziemię u podnóża

wzniesienia, że nie da się tamtędy przejechać. Taka znajomość buszu zaimponowała tropicielom, więc zapytali Modiba, jak długo zna Dogilani.

Odpowiedział, że przebywał „w tim miejscu od podatku lat pięćdziesiątich, w takim albo innym charakterze. Jako partizant Mau-Mau, potem w prywatnym biznesie safari, potem w wojsku."

Nie dostrzegli go ani na szczycie wzgórza, ani nigdzie indziej. Nic nie

świadczyło o jego dotychczasowej obecności poza paroma okruchami suchara

i krzakiem, który spryskał przed odejściem urną niczym dzikie zwierzę

oznaczające swoje terytorium.

Modibo pojawił się, kiedy tropiciele, Ngili, Ken i kenijski pilot spożywali w napięciu obiad. Pilot też chciał odlecieć wcześniej, co przygnębiło Ngilego.

Ken zaś był spięty, gdyż urządził się dopiero połowicznie i liczył na to, że mu pomogą przed odjazdem.

Modibo usiadł, chwycił porcję lunchu dla tropiciela i zajął w całkowitym

milczeniu, przerywając sobie tylko po to, by oznajmić, że tamte lwice z młodymi pojawiły się właśnie w bezpośrednim sąsiedztwie obozu. Ulokowały

się w pobliskim lasku akacjowym.

— Bardzo ciekawe — rzekł Ken. — Pójdiesz ze mną po zmierzchu sfilmować je kamerą na podczervenień?

Nie. Pilnuję obozu, takie moje rozkazi. Nie filmuję lwów, nie takie moje rozkazi.

Świetnie, sierżancie. Jak zjemy, każdy z nas zajmie się swoimi obowiązkami.

— Pewnie, profesodzie. — Modibo plunął kawałkiem zimnego kurczaka. Ken wstał, podniósł resztkę i wrzucił do plastikowej torby na śmiecie. — Zasada numer jeden — oznajmił — żadnego bałaganu wokół obozu.

— Psieprasiam, racja — rzekł Modibo z udaną wylewnością. — Co do

lwów, pójdę z panem, jeśli pan chce.

— Nie ma potrzeby. Trzymaj się swoich rozkazów. A tak na marginesie,

gdzie te twoje bawoły? Nie słyszę ani nie widzę żadnej galopady.  
— Psijdą.  
— Przed odejściem oznajmiłeś o tym tak, jakby miały stratować nas w ciągu następnych pięciu minut. Zaniepokoiłeś wszystkich i zachęciłeś do powrotu, a teraz nie widzę żadnych bawołów — powiedział Ken bardziej w imieniu tropicieli i pilota niż w swoim własnym.  
— Psieprasiam. Psijdą później. — Modibo wypluł następną drobinę kurczaka, ostentacyjnie podniósł ją palcami i wepchnął do torby na śmiecie.  
— Rozgrzeję silnik — oznajmił kenijski pilot, wstając z miejsca. Nie patrzył na Modiba, ale Ken wiedział, że myśli pilota krążyć wokół zapowiadanej przez sierżanta szarzy spłoszonych stad, która zniszczy pas startowy i unie-

ruchomi go tutaj z kimś takim jak Modibo, najmniej budzącym zaufanie tropicielem zwierzyny, jakiego Ken w życiu spotkał.

Ngili również powstał. Unikał spojrzenia przyjaciela. — Ken, pomogę ci zebrać trochę drewna na ognisko.

Kiedy wrócili — bliżsi sobie po półgodzinnym rąbaniu drzewa w mil-

—  
Modibo znowu zniknął.

Nadal nie było widać bawołów ani gnu.

Wreszcie nastąpiły ogólne pożegnania. Ken uściśnął ręce tropicielom

i pilotowi. Tropiciele rozstali się z Ngilim i pilotem. Ken i Ngili padli sobie

w ramiona. — *Kwaheri na kuona* — rzekł Ngili do przyjaciela. — Żegnaj,

póki nie spotkamy się znowu.

Nigdy jeszcze w czasie wypraw do buszu Ken nie przeżył dwóch odjazdów równocześnie. Ciężarówka stoczyła się ze wzgórza w tym samym

czasie, gdy samolot odlatywał podskakując na prowizorycznym pasie startowym.

Parę minut później ciężarówka stała się ruchomym punktem, a samolot

błyszcącym krzyżem na wciąż rozżarzonej niebie. Pilot zawrócił nabrawszy

wysokości i przeleciał tuż ponad głową Kena, kierując się ku Nairobi.

Skrzydła helio zbierały tyle słonecznego blasku, że wyglądały jak promienie

lasera.

Ken patrzył za nikałą ciężarówką i samolotem nie bez niepokoju.

Ludzkość pozostawiała tu samotnie jednego ze swych przedstawicieli i tak się

składało, że to był właśnie on.

Ken miał trzymać przez pewien czas radio nastawione na odbiór, na

wypadek gdyby Ngili wypatrzył sierżanta z samolotu, chociaż najprawdopodobniej przebywa on gdzieś w pobliżu i pojawi się równie nieoczekiwanie,

jak poprzednio.

Ngili pomógł przyjacielowi porąbać ciemne gałęzie i przygotować małą

stertę, którą wystarczyło tylko podpalić, żeby w każdej chwili stała się pierwszym obozowym ogniskiem. Mimo to młody eksplorator musiał jeszcze

zabezpieczyć swoje otoczenie. Na początek zaczął przechadzać się tam i z powrotem po płaskim szczycie wzgórza, nie cicho i ostrożnie, jak zwykł



to czynić przebywając wśród dzikiej przyrody, ale tupiąc ciężko butami w celu wystraszenia gryzoni i innych małych ssaków, zmniejszając tym samym prawdopodobieństwo pojawienia się groźnego węża, zwłaszcza śmiertelnie jadowitej czarnej mamby. Miał nadzieję, że ognisko odstraszy inne niebezpieczne zwierzęta.

Już po zachodzie słońca, gdy począł wstawać księżyc, odezwało się obozowe radio. Lecąc na południe, Ngili nie wypatrzył sierżanta ani nikogo innego. Zbliżał się właśnie do Nairobi i życzył Kenowi dobrej nocy.

Ken położył się w namiocie, parę stóp od landrovera. Wydawało mu się, że usnął, ale po chwili stwierdził, że budzi się, wstaje, wypelza na zewnątrz, wchodzi do dzipa i odjeżdża dwadzieścia jardów dalej. Teraz nikt już nie

zdoła podkraść się do niego, kryjąc za samochodem. Uspokojony nieco tą myślą, wrócił do śpiwora. Odszukał po omacku rhina, naładował go, zabezpieczył i położył obok siebie. Wiedział, iż to, że zaczyna samotne poszukiwania z tak napiętymi nerwami, nie stanowi dobrej wróżby.

Poderwał się gwałtownie. Nie pamiętał, kiedy się zdrzemnął. Zasnął przy namiocie, pod gołym niebem.

„Rauuuu” — rozległ się w pobliżu ryk lwa, niczym ostrzeżenie z głębin prehistorii.

Kilka samic odpowiedziało głosami gniewnymi i zbolalymi, jakby raniono je w trzewia.

„Co, u licha, ten idiota robi?” — pomyślał. Był przekonany, że sierżant podchodzi lwy, nie bacząc na rozkazy. Wytężył słuch, oczekując krótkiego tępego huku enfielada. Taki kombinator jak Modibo nie zawahałby się strzelać do lwów, żeby sprzedać ich skóry kłusownikom.

Usiadł zmagając się z nie dającym się opanować uciskiem w piersiach, wywołanym bliskimi głosami drapieżników. Znajdował się w ich pobliżu

setki razy, ale zawsze go przerażały. Nie odczuwał z tego powodu zakłopotania — ten strach był niemal pierwotny.

— Lwi coś złapały — stwierdził Modibo.

Ken, chociaż siedział, tak mocno drgnął z zaskoczenia, że omal nie upadł

na plecy. Sierżant klęczał niecały jard od niego, karabin odłożył na trawę.

Uniosł dłonie i rozczapierzonymi zagiętymi palcami naśladował ruchy lwich pazurów.

„Lwy coś złapały.”

— Co złapały? — wyszeptał Ken.

Sierżant spojrzał tak, jakby zastanawiał się, czy ma odpowiedzieć, czy

nie. — Nie mogę stwierdzić. Ofiara nie ksiciała, nie widawała odgłosów.

Modzie znalazli coś martwego.

Kena uderzyła myśl, że może to tamto dziecko.

Może już nie żyło.

Nakazał sobie spokój. Tylko nie dać się zwariować.

Nie mógł jednak powstrzymać błędzących myśli. „Czy to było tamto

dziecko? Czy już nie żyło, bo Modibo zabił je jednym niskim, głuchym strzałem ze swego karabinu?

Modibo opuścił ręce na kolana. W tym momencie Ken zdał sobie sprawę, że Murzyn czai się, by pochwycić pistolet leżący niemal w zasięgu jego ręki.

Ken również mógł sięgnąć po broń: po enfielda sierżanta.

Oszacował, że ma ramiona dłuższe niż Modibo. Nastąpił szczególny

rodzaj pojedynku, rodem z Dzikiego Zachodu, gdzie obaj walczący, zamiast

sięgnąć po własną broń, rzucali się po broń przeciwnika.

— Co się dzieje z tym spłoszonym stadem? — wychrypiał Ken. — Wciąż, go nie ma?

Modibo zmrużył w ciemności oczy, jakby zmieszany pytaniem.

Ken wyrzucił do przodu rękę, chwytając kolbę enfielda. Sierżant, choć wpatrywał się małymi oczkami w twarz rozmówcy, dał się zaskoczyć:

opuszczona szponiasta dłoń trafiła już tylko na trawę. Karabin był w rękach Kena.

— Chodź, zobaczymy, co znalazły lwy — powiedział Amerykanin.

Przyciągnął do siebie karabin i opadł plecami na plecak z wyposażeniem.

Poczuł twarde kształty okularów noktowizyjnych, zapasowego radia i łopatki;

wcinały mu się w plecy i nerki, ale na to nie zważał. Wstał trzymając plecak,

rhino i karabin.

— Pociębna panu taka ochrona? — Modibo uniósł wzrok. Na klęczkach

wyglądał jak jakiś gnom. Wystraszył Kena bardziej niż walczące lwy. —

Dokąd pan idzie, profesodzie? Zostawia mnie tu pan bez broni?

— Lwy nie wejdą na wzgórze, żeby cię zaatakować, powinieneś to wiedzieć — mruknął Ken. Chociaż stchórzył i czuł się tym zakłopotany —

doznał ulgi. Im dłużej patrzył na to plugawe oblicze, na nierównomierny

zarost i atramentowe kropki tatuażu, tym bardziej nabierał przekonania, że nie

domyśla się nawet części prawdy o tym małym człowieczku.

Modibo, nadal na klęczkach, wybuchnął donośnym śmiechem kontra-

stującym z jego unizonym zachowaniem. Stał się raczej potężny i groźny. —

Sialoni *mzungu* — rzekł używając wschodnioafrykańskiego pogardliwego

terminu na określenie białego człowieka.

— Racja — zgodził się Ken. — Zupełnie szalony. Powiesz mi o tym

więcej, jak wrócę. — Wycofał się tyłem, pozostawiając człowieczka na wzgórze, samotnego i nieruchomego.

„Zobaczymy najpierw, cóż to za historia z tymi lwami” — pomyślał.

Usłyszał skrzyp żwiru pod stopami i uświadomił sobie, że nie zdjął butów

przed pójściem spać. Szczęśliwe niedopatrzzenie. Jak dotąd wszystko układało

się szczęśliwie. Odwrócił się, zarzucił ciężki plecak ze sprzętem na ramię

i ruszył biegiem w noc.

Przed nim jakaś lwica wydała krzyk bólu lub skargi, potem rozległ się

jednoczesny ryk dwojga lwów: lwicy, tej samej albo innej, oraz samca.

Brzmiał tak, jakby zwierzęta walczyły ze sobą w bezpośrednim starciu, paszcza w paszczę,

Ken w biegu poszperał w plecaku i wydobyl okulary noktowizyjne. Przystanał, by je założyć, i znów pognął w kierunku, z którego dochodziły ryki. Widziany przez okulary busz przybrał barwę fosforyzująco zieloną. Oczy zwierząt, lub ich kły lśniące w rozwartych paszczach, wyglądały jak żywe ogniste punkciki. Nad horyzontem wydawało się jarzyć zielonobursztynowe tchnienie dalekiego kosmosu. Gwiazdy również przypominały oczy, miriady oczu, których niewzruszoność i spokój nadawały im iście diaboliczny wygląd. Były martwe i nieruchome niczym oczy zmarłych przodków z afrykańskich opowieści, którzy wpatrują się w dziwną planetę, z której odeszli.

Czy to ze zmęczenia, czy też pod wpływem niesamowitego obrazu, jaki dawały okulary, Ken zadrżał. Zbliżał się do drzew akacji, które zdawały się podskakiwać w górę i w dół, w rytm jego kroków. Nagle usłyszał potężny ryk i przeniknął go lęk.

Obok akacji zobaczył kłębiące się lwy. Coś rozdzierały. Dojrzał między nimi ciemny kształt.

Popędził naprzód, wydając bezwiednie pierwotne okrzyki: — Ho! Ho! —

Puścił plecak, zaczął wymachiwać karabinem Afrykanina. Broń miała lekkie łożo, jakby wykonano je z bambusa, lufę natomiast przyciężką do celowania.

Rzucił ją i chwycił budzącego zaufanie, ciężkiego rhina.

Ow kształt pośrodku kłębowiska lwów uniósł się, potem opadł i znów się poruszył, podciągany przez nie do góry i rzucony na ziemię. Ken był przekonany, że to ciało hominida. Odczuł zgrozę, jakiej doznaje każdy człowiek na widok innego człowieka rozszarpywanego kłami i pazurami.

— Ho!!! — krzyknął jak opętany, gnając naprzód. Nie mógł wypalić do

kłębowiska, nie ryzykując trafienia ofiary. Puścił rhina i enfielda i skoczył naprzód z gołymi rękami, potem rzucił się na ziemię, by zebrać kilka kamieni i cisnąć nimi w drapieżniki. Drapał mocno miałki piasek, znajdując tylko drobne kamyki. Pękł mu paznokciec na kciuku, rozszczepiając się boleśnie.

Ken wzdrygnął się z bólu, ale po sekundzie już o nim nie pamiętał.

Zamachnął się, by rzucić kamykiem, ale zamarł w pół ruchu. Dwie lwice podskakiwały ku dolnym konarom innej akacji. Skakały i porykiwały, jakby drażnione przez siedzące na drzewie stworzenie.

Spojrzał przez okulary noktowizyjne na dziwną scenę tańca potężnych

głodnych cielsk. Potem uniósł wzrok. Drzewo było gęsto ulistnione. Nie mógł stwierdzić, co atakują lwice. Zlustrował listowie i dostrzegł w rozwidleniu

górnej gałęzi okrągły kształt, ale nie wiedział, czy to skulona małpa, narośl na korze czy duże gniazdo.

Lwy z pierwszej grupy milczały teraz, ciągnąc martwe i poszarpane ciało.

Nic już nie mógł zrobić. Jeden z samców oddalił się niedbale z miejsca

walki,  
trzymając w pysku jakiś dyndający strzep. Kenowi zaparło dech.  
Spojrzał ze  
zgrozą, sądząc, że to ludzka kończyna...

Z wielkiej paszczy samca zwisało martwe lwiątko, a na ziemi leżała  
zabita lwica. Pożerały ją dwa, inne samce. Pozostałe samice poczęły  
odganiać  
swe ocalone chwilowo młode silnymi pchnięciami nosów bądź też  
szorstkim  
uderzeniem łapy.

Ofiarą lwów nie padł hominid.

Niesforne młode samice poniechały obskakiwania drzewa i  
dołączyły do  
oddalającego się stada. Wzbijały ogonami kłęby pyłu, wyraźnie  
widocznego  
w bursztynowym świetle noktowizora. Ken zastanawiał się, cóż to za  
zwierzę,  
ukryte teraz bezpiecznie wśród gałęzi, tak je rozjuszyło. Samcom  
pozwolono  
pożreć zabite ofiary. Z pewnością znów zaczną niepokoić stado, ale  
jeszcze nie  
jutro. Przez następnych parę nocy będą leniwie przewalać się pod  
drzewami, aż  
zgłodnieją tak bardzo, żeby znów zaatakować przedstawicieli własnego  
gatunku.

Ken stał obserwując jedzące lwy i sunące w świetle księżycy zady samic.

Pokaz odwiecznego panowania instynktów chwilowo się zakończył.

Cofnął się i odnalazł porzuconą broń. Pochylając się, by ją podnieść,

zerknął przypadkiem w stronę wzgórza i został oślepiony strumieniem światła

tak nagłym i ostrym, że wydał stłumiony okrzyk. Noktowizor wzmacniający

siedemdziesiąt tysięcy razy napotkane promienie trafił nie na słaby promień

księżycy czy błysk kłów zwierzęcia, lecz na światło elektryczne. Ken opadł

na kolana i zacisnął oczy. Następnie zdjął okulary i zawiesił na pasku u szyi.

Zamrugał ostrożnie, szukając ulgi dla porażonych oczu w ciemnościach sawanny, soczystych i realnych.

Na szczycie wzgórza światło latarki tańczyło wokół kwadratowego profilu landrovera. Przywykłszy do ciemności, Ken stwierdził, że maska wozu

jest podniesiona. Potem latarka zgasła i usłyszał mechaniczny dźwięk niczym

uderzenie metalu o metal.

Podniósłszy rhina, torbę i karabin, ruszył z powrotem, depcząc butami

źwir. Już ze szczytu wzgórza zobaczył dżipa. Maską była opuszczona.

Pomyślał, czy nie doznał po prostu złudzenia. Wkrótce jednak latarka znowu

zabłysła. Za kierownicą wozu siedział Modibo, a w rękę lśnił mu klucz.

Rozległ się dźwięk uderzeń metalu o metal.

Ken, oniemiały, przypatrywał się tej scenie, która uruchomiła w jego

umyśle proces kojarzenia. Nagle doznał olśnienia: to Modibo prowadził w zeszłym tygodniu safari cuba, to musiał być on, to on uciekł wtedy do buszu.

Zerknął na ciemny szczyt, dostrzegł krzak i po cichu położył pod nim

enfielada — na wszelki wypadek, gdyby sierżant usiłował wyrwać mu broń.

Wetknął rhina za pas i spróbował podejść bezszelestnie do samochodu. Dotarł

do drzwiczek, sięgnął po klamkę i otworzył je jednym szarpnięciem.

Kolumna kierownicy została rozbebeszona, paski plastiku zwisały z roz-

ciętego boku, a sworznie lśniły wewnątrz niczym kości odsłonięte przy otwartym złamaniu. Modibo walił w drążek kierowniczy, starając się rozluźnić

bolce łączące go z mechanizmem napędzającym koła samochodu.

Odwrócił się i walnął kluczem w głowę Kena tak mocno i szybko, że ten

aż poleciał na niego. Padając poczuł nieznośny odór starego nie



mytego  
samca, woń psujących się zębów, prostackiego jada i zjełczałego  
masła,  
którym sierżant namaścił sobie chyba włosy. Dzięki temu Amerykanin  
nic  
zemdłał. Czuł krew spływającą po czole, ciepłą i lepka, jej smak w  
kąciku  
ust. Zalewała mu oczy. Wszystko widział przez czerwoną mgłę.

Uchylił się przed kolejnym ciosem. Trzeci też go nie trafił. Wyrwał  
klucz  
i odrzucił na bok, złapał sierżanta za spocony kark i wyciągnął z  
landrovera.

Uderzył, wkładając w to całą siłę. Cios prosto w podbródek rzucił  
Murzyna  
z powrotem do samochodu. Ken znów zacisnął dłonie na jego lepkiej  
szyi,  
potrząsnął nim i wysyczał: — Dlaczego? — A potem: — Kto? Kto cię  
przysłał?

Modibo zwisał bezwładnie, ale kiedy Ken go puścił, rzucił się do  
przodu,  
uderzając go kolanem w żołądek i powalając na ziemię. Przesząpił przez  
niego

i szukał po omacku klucza. Ken poczuł serce w gardle. Jeśli teraz nie złapie przeciwnika, zginie. Rzucił się i chwycił stopę w zniszczonym wojskowym bucie. But, zakurzony i śmierdzący, pozostał mu w ręku. Modibo roześmiał się niczym gnom i popędził w dół zbocza, podczas gdy Ken wy dobył swego rhina i wskoczył za kierownicę samochodu. Grzbietem dłoni otarł krew z twarzy i wyszczerzył zęby w krwawym grymasie. Żadną miarą. Żadną miarą nie pozwoli Modibowi uciec. Już raz umknął mu tamtego ranka, kiedy zaatakowano ich safari cubem, i tego samego wieczoru ktoś inny usiłować go zabić przed sklepem Thea.

Włożył kluczyk do stacyjki. Silnik zapalił. Przy obrocie kierownicą kolumna zazgrzytała, ale kierownica reagowała, to znaczy, że Modibo nie zdołał uszkodzić drążka. Włączył długie światła i ruszył z rykiem silnika w dół. Przed sobą widział omiatający ziemię wojskowy płaszcz. Pas żwiru wydawał się poszarpany i pełen dziur. Dżipem rzuciło w bok, strzeliły w górę kamyki i Ken ostro przyhamował.

Pedał hamulca dotknął podłogi i nie uniósł się. Wcisnął go raz po raz, ale już nie ożył.

Jedyne, co Ken mógł zrobić, to przywrzeć do kierownicy.

Modibo zapewne przeciął przewody wysokociśnieniowe, doprowadzające płyn hamulcowy z pompy głównej do hamulców tarczowych, posługując się ostrym nożem, który ukrywał pod niezawodnym wojskowym płaszczem. Robotę wykonał fachowo — wystarczyło jedno mocne naciśnięcie na hamulec, by urządzenie wysiadło. Ken wyobraził sobie podwozie landrovera, ochlapujące ciemnym płynem hamulcowym tysiącletnie piargi wzgórza.

Wszystkie te myśli odrywały jego uwagę od obrazu pofalowanej powierzchni zbocza, zdradzieckiego żwiru, zięjących w pustej przestrzeni dziur, które

omiął z oszałamiającą prędkością, a piszczące koła dżipa ciskały w nie kamyki. Wrzasnął na cały głos, aby w ten sposób odpędzić niepotrzebne myśli. W celu lepszej koncentracji odwrócił wzrok od poruszającego się przed nim wojskowego płaszcz. Przywarł do kierownicy, przywarł do drogi, przywarł do swego życia.

Landrover trzeszczał i szczekał jak puste wiadro. Przerażliwie nim

zarzuciło. Ken mocno odbił kierownicą w przeciwną stronę, aby zapobiec wywrotce i stoczeniu się w dół. Dżip odzyskał równowagę i pomknął dalej na dół, jakby ścigały go furie. Kenowi nie pozostało nic innego, jak trzymać się zakrętów, próbując je przewidzieć, i modlić się.

Zjazd po zboczu, na które wjeżdżało się przez dziesięć minut, zajął niespełna dwie, lecz i one zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Ken zmienił bieg na niższy, żeby zwolnić — bez rezultatu. U stóp wzgórza prędkościomierz wskazywał sto mil na godzinę. Dżip uderzył kołem w głaz i podskoczył tak, że Ken trzasnął czołem w lusterko wsteczne. Nie poczuł uderzenia, gdyż przez przednią szybę wpatrywał się w Modiba, który stał niżej, niemal na baczność, z płaszczem rozpiętym na piersi, błyskając białymi zębami.

Ken mógłby go zastrzelić, ale ręce przywarły mu do kierownicy. Przejeżdżając obok, nie spuszczał wzroku z Murzyna, próbując utrwalić w pamięci każdy szczegół, który mógłby okazać się pomocny w przyszłości, żeby go wysledzić. Czuł bowiem, że gra nie została zakończona, że wyścig dopiero się rozpoczął. Przeżył. Nie zwałił się dżipem w ramiona ognistej śmierci — dlaczego więc Modibo się śmiał?

Wóz wypadł z rykiem na sawannę, a reflektory rozświetliły rozległą przestrzeń wypełnioną rogami. To dlatego śmiał się Modibo! Bawoły wodne wprawdzie nie galopowały, ale były tutaj, przemieszczając się spokojnie w chłodzie nocy. Ich rogi były widoczne na równinie już kilkanaście jardów od wzgórza.

Ken nie miał czasu na decyzję, czy ma zostać w dżipie, nad którym nie panował, czy wyskoczyć. Patrzył, jak jego nowa krata ochronna wali w ogromnego byka o rozłożystych rogach, które zdawały się ściągać głowę zwierzęcia w dół. Byk wyleciał w powietrze i opadł pomiędzy ciemne cielska innych bawołów niczym wieloryb, który po skoku opada na fale. Nagłe poruszenie wstrząsnęło stadem, jak wstrząs tektoniczny ziemią. Dżip, który nie wrócił jeszcze do pozycji poziomej, wbił się w zwierzęcą masę jak pocisk wystrzelony z bliskiej odległości.

T r r a c h!!! Jakaś para rogów walnęła z prawej strony w pogiętą karoserię nad tylnym kołem. Boczne okno rozprysło się. Bawolica, osłaniając cielaka, dźgnęła swymi drobniejszymi i mniej wygiętymi ku dołowi rogami w prawą oponę. Ken instynktownie skręcił, ustawiając wóz przodem, wskutek czego prawym końcem kraty ochronnej przebił zwierzęciu szyję. Młody człowiek wydał głośny, mocny krzyk. Przed tygodniem zaatakowano go dwukrotnie, ale zdołał ująć z życiem, tym razem jednak nie będzie miał tyle szczęścia, i to dlatego Modibo się śmiał. Był skazany bez względu na to, czy opuści wóz, czy nie. Znajdą jego skrwawione strzępy pozaczepiane na krzakach, znajdą samochód i szczątki człowieka stopione w jedno po pożarze silnika. Rogi rozkołyszą dżipa, aż się przewróci i prawie na pewno zapali. Aon i...

A oni mieli wszystkie materiały dotyczące jego znaleziska.  
Na myśl o tym przeniknął go dreszcz tak mocny, że zjeżyły mu się wszystkie włosy na ciele.  
Oni, kimkolwiek byli, wiedzieli, że odkrył skamieniałość. Wiedzieli też, gdzie mieszka, albo mogli się tego z łatwością dowiedzieć. Wszystkie informacje o znalezisku, szczegółowe opisy skamieniałości i odcisków stóp zanotował na dwóch dyskietkach. Trzymał je w swoim mieszkaniu w zamkniętej szufladzie — klucz do niej nosił na kółku z kluczami od mieszkania. Kiedy jednak jego prześladowcy tam się włamią, wystarczy im chwila, żeby dobrać się do szuflady. Negatywy zdjęć odcisków stóp umieścił w skrytce w banku, ale teraz nawet to zabezpieczenie nie wydawało się tak bardzo pewne. O jego odkryciu świadczył nawet sprzęt do prac wykopaliskowych, pozostawiony w obozie — w większości w plecaku z wyposażeniem, który, jak idiota, porzucił na szczycie wzgórza.  
Już nigdy nie zobaczy tego wzgórza. Pozbyli się go, a sami dysponowali całą jego dokumentacją.

Oni...

Kim właściwie byli ci o n i?

I czy ścigali go z powodu skamieniałości, czy z powodu odcisków stóp hominida?

Zgroza, jaką przejęły go te myśli, przywróciła mu zmysły. Jakkolwiek wątpliwe były szanse przeżycia, musiał grać dalej.

Landrover kołysał się, co parę sekund uderzany z różnych stron rogami.

Potem wjechał w inną część stada, składającą się z mniejszych zwierząt, które jednak atakowały wyraźnie bardziej zaciekle, wybijając opuszczonymi rogami

dziury w karoserii. Były to głównie bawolice chroniące cielaki. Trach, bang, bum! — uderzenia posypały się ze wszystkich stron, kiedy pół tuzina matek

sposzregło słabość Kena i poczęło otaczać go kręgiem, atakując rogami jednocześnie z przodu, z boków i z tyłu. Samochód trząsał się niczym ochłap

w pysku psa, który wygrzebał go sobie na śmietniku, ale nie może z nim uciec. Wszystkie boczne szyby stłukły się, a pocięte tylne drzwi otworzyły,

włączając przy okazji żarówkę na suficie, która migotała utrudniając obser-

wowanie sytuacji. Oba przednie reflektory już nie działały. Ken myślał tylko

o jednym: musi się wydostać spomiędzy tych rozwścieczonych matek.

Miał jeszcze trochę benzyny. Przekładnia i kierownica nadal funkcjonowały. Nawet radio było sprawne, ale nie miał czasu na wysłanie wezwania o pomoc. A zresztą Modibo, który zapewne przetrząsał już obóz,

odebrałby wezwanie jako pierwszy i bez zwłoki powiadomił swoich przyjaciół,

którzy pospiesznie przybyliby, aby zabić Kena, jeśliby jeszcze żył.

Uśmiechnął się, szcękając zębami: galopujące zwierzęta posłucha mu za

doskonałą osłonę. Jeśli przeżyje. Wcisnął gaz i kręcił stawiającą opór kierownicą — albo puścił jakiś bolec, albo koła ugrzęzły w padlinie. Wykręcał,

wcisnął jak szalony pedał gazu i....

Landrover wynurzył się powoli z grupki matek i dołączył do głównego stada.

Pędził teraz wraz z nim. Zwierzęta wciąż poszturchiwały go z boku rogami, ale pozwoliły galopować w gromadzie, niemal go akceptując.

Jedyną

Izansą była jazda w spłoszonym stadzie oraz drażnienie i pobudzanie bawołów do dalszej galopady. Gdyby zamysł się udał, Ken znalazłby się 2 dala od obozowiska i uzbrojonych ludzi.

A jeśli by w końcu zabrakło mu benzyny i został wywrócony, to przeżyłby,

pod warunkiem, że nastąpiłoby to za dnia. Musiał więc zjednoczyć się z tym

galopującym stadem. Musiał, aż do rana, stać się jego częścią.

Poluzowane tylne drzwi klekotały, to włączając, to wyłączając lampkę

pod sufitem. Widział przed sobą tylko wtedy, gdy ustawało szalone migotanie

nad głową, toteż walnął pięścią w mrugającą żarówkę. Zranił i osmalił rękę,

ale się udało. Załatwił to zabójcze światło. Teraz on i stado odpływali, zjednoczeni, w promieniach księżyca.

## 2

Czas, który upłynął, zdawał się nie mieć końca. Wreszcie na prawo od Kena pas czerwieni rozciął widnokrąg niczym pęknięcie na skórce mięsistego dojrzałego owocu. Opary przed samochodem gęstniały. Nad północno-zachodnim skrajem sawanny kłębiły się chmury.

Pasma Mau, które zdawało się bardzo odległe, niemal całkowicie przysłaniała mgła.

Landrover zwolnił i natychmiast został zaatakowany rogami pędzących zwierząt. Ken modlił się, żeby stado zostawiło go przy kępie drzew, która mogłaby stad się chwilowo najlepszym schronieniem, nie pozwalającym dostrzec go z góry. Zastanawiał się, czyby nie wyskoczyć z dżipa, ale wokół wciąż gęsto było od rozjuszonych cielsk. Drzewa przybliżyły się. Usiłował określić ich gatunek, żeby odgadnąć, gdzie się znajduje. Jakaś nie zauważona naturalna przeszkoda wyrzuciła samochód w górę. Kena zalał szeroki snop oślepiającego światła, kiedy frunąc razem z wozem uderzył mocno głową w sufit.

Samochód przewalił się na bok. Natychmiast zaatakowały go rozpedzone bawoły i kilka par rogów ugrzęzło w dachu.

Zwierzęta ciągnęły wóz dalej, wyhamowywane jego ciężarem.



Wreszcie

dżip zatrzymał się niczym kamień unieruchomiony pośrodku strumienia.

Stado przelało się obok niego i odeszło. Wewnątrz pozostało zwiotczone ludzkie ciało, wyglądające na martwe.

Upłynęło nie wiedzieć ile czasu. Omdlały człowiek kaszlnął, otworzył

oczy i zaczął zмагаć się z drzwiami. Otworzył je i spróbował wyjść, ale

ugięły się pod nim kolana. Wpadł z landrovera i przeczołgał się parę stóp,

potem znów zabrakło mu sił. Leżał bez ruchu, nieprzytomny.

Usłyszał świergot ptaków. Powietrze wibrowało od głośnego „wrrrrr”.

„To kolibry” — pomyślał. Zamrugnął oczami, otworzył je, krusząc przy tym

warstewkę zaskorupiałej krwi.

Leżał pośród krzewów o drobnych liściach i kruchych bladoniebieskich kwiatach. Rozpostarta nad nim korona wielkiego drzewa wydawała się kojąco ciemna. Spróbował dźwignąć się w górę, lecz poczuł palący ból w kostce i padł pod krzak. Chwilowo nie mógł stanąć na nodze. Wytrąciło go to ze stanu długiego otępienia, w jakie popadł po rozbiciu samochodu.

Lamparcica właśnie urodziła dwoje młodych. Pod smukłym grzbietem wciąż jeszcze zwiisał rozciągnięty ciężą brzuch. Była wściekle głodna, przez ostatni tydzień nie jadła nic oprócz niewielkiej antylopy i własnego łozyska. Głód wygnał ją na łowy w biały dzień. Weszła na polanę pomiędzy dwa wielkie drzewa. Ich robaczywe owoce często spadały na ziemię, stanowiąc pokarm dla gazeli, które trawiły ich miękisz, natomiast nasiona wydalaly z odchodami. Mogła zatem zastać te zwierzęta między drzewami. Lamparcica zbliżyła się chyłkiem, ale była zbyt głodna, by zachowywać się cicho. Śliniła się i wydychała powietrze z uchwytnym dla ucha dźwiękiem „grrrrr”.

Ken jął czołgać się do przewróconego landrovera, by odszukać pistolet.

Usłyszał lamparta, zanim go zobaczył — żadne inne zwierzę w buszu nie wydaje takiego gardłowego, rżącego głosu. Kiedy drapieżnik znalazł się w polu widzenia człowieka, jedno spojrzenie na brzuch o powiększonych różowych sutkach, widocznych poprzez zmierzwione futro, powiedziało mu, że ma do czynienia ze świeżo upieczoną matką, co czyniło ją podwójnie niebezpieczną. Dziękując losowi, że nie odniósł innych obrażeń, przesunął się na rękach, wbijając paznokcie w ziemię. Był słaby, ale czujny. Gdyby udało mu się znaleźć pistolet, miałby szansę się obronić.

Lamparcica, zaskoczona, przypadła do ziemi, bijąc ogonem po płodnych bokach, potem uniosła się, węsząc. Ptak cukrzyk zabrzączał jej przed nosem.

Machnęła łapą, zła, jak wszystkie koty, że coś rozprasza jej uwagę, kiedy gotuje się do ataku. Soki trawienne podchodziły jej do gardła. Warknęła głośniejsz, a z pyska spłynęła spieniona z głodu ślina.

Ken leżał przy masce samochodu. Zauważył, że boczne brzegi kraty ochronnej zostały oderwane jak zapalki. Blacha od uderzeń rogów wyglądała jak podziurawiona kulami, zderzak zaś zniknął. Po reflektorach zostały ślepe i puste metalowe oczodoły.

Nieopatrznie oparł się obiema stopami o ziemię. Szalony ból kostki przeniknął aż do mózgu. Oblał go zimny pot, który na twarzy zmieszał się z krwią, nadając jej przerażający wygląd — ni to ludzki, ni zwierzęcy. Chwycił kratę ochronną, by się podciągnąć, ale zasłabł. Ani nie mógł wstać, ani otworzyć powginanych drzwi.

Lamparcica była teraz ledwie parę stóp od niego. Na oko ważyła ponad sto sześćdziesiąt funtów. Gorączkowo chwycił za pasek, gdzie miał przytwierdzony duży nóż, prawie jak bagnet; zazwyczaj ciął nim drzewo na ognisko.

Wyciągnął go ze skórzanej pochwy. Rozważał, jaka pozycja najlepiej nada się do obrony. Nie pokona lamparta leżąc na ziemi, chyba że jakimś

cudem trafi go w serce. Pozycja siedząca, z plecami opartymi o resztki kraty ochronnej, wydawała się korzystniejsza. Zdołał dźwignąć się w górę i przekręcić, po czym oparł się o dzią. Splótł nogi, usiadł i skierował ostrze noża na zewnątrz.

Samica przywarowała dwa jardy dalej, gotując się do decydującego skoku.

Sądził, że ma wystarczająco silne nerwy, żeby zaczekać na jej atak, ale

utkwione spojrzenie lśniących żółtych oczu wzięło górę nad samokontrolą.

Zwierzę przypadło do ziemi tak nisko, że nieomal zniknęło. Widział tylko

pysk i błydy język wywieszony z głodu, plaskający o czarny nos i zwilżający

ostre wąsiki. Na widok tego mlaskania wpadł w panikę.

Otworzył usta i zawył głośno i przeciągle: — Hooo! Wrzeszczał potąd, pokąd nie zabrakło mu tchu, a wówczas zaczął warczeć szczerząc

krótkie

płaskie zęby i, zamknawszy oczy, siłą woli odpędzał lamparcicę.

Cofnęła się, chwilowo spłoszona. Wetknął nóż w zęby, chwycił kratę

ochronną i znów podciągnął się w górę. Stanął na chorej nodze, mimo rozdzierającego bólu. Następnie wdrapał się na skierowany ku górze bok dzią

i stwierdził, że drzwi zapadły się do wewnątrz. Opuścił się do środka, ale

nigdzie nie dostrzegł pistoletu. Macał, szperał, przetrząsał rozmaite zakamarki,

wreszcie natrafił na coś palcami, pochwycił to i pociągnął pełen nadziei.

Były to okulary noktowizyjne.

Odrzucił je i jeszcze raz pomacał palcami. Żadnej broni. Zapewne siła

uderzenia wyrzuciła pistolet podczas wywrotki.

Poczuł, że nie ma już siły wyć. A wielki kot siedział na nakrapianym

ogonie parę jardów od samochodu.

Ken oparł się niechcący o poszarpane tylne drzwi i wyleciał na zewnątrz

przy akompaniamencie chrzęstu wyginanego metalu. Padając potoczył się,

lamparcica zaś, jakby na dany znak, natychmiast znalazła się na nim, zwabiona nagłym ruchem. Szponiasta łapa spadła na miedziane guziki koszuli

połowej, a wąsate nozdrza skoczyły do twarzy. Człowiek wydał z siebie najstraszniejsze wycie, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się w życiu wydobyć

i zionął na drapieżnika oddechem śmierci.

Lamparcica wstrząsnęła głową, jakby ogłuszył ją ten krzyk, i zlała mu z piersi. Cofnęła się, smagając go ogonem. Ken usiadł. Dygotał tak bardzo, że aż podskakiwała mu głowa, przez co obraz kota rozmywał się i pulsował.

Bliskość śmierci wprawiła go w uniesienie. I chociaż nie miał nad sobą otwartego nieba, do którego mógłby skierować modlitwę, uniósł ku niemu oblicze w ludzkim geście wyrażającym rozpaczliwe błaganie.

Zobaczył nad sobą czyjąś twarz, ale nie była to twarz dziecka. Ktoś dorosły — o brązowej skórze, niskim czole, długich wargach i długich ramionach — zwisał z drzewa akacji niemal tuż nad nim. Miał krzepkie ramiona wytrenowanego wspinacza i otwarte usta. Wydawał się gotów pomóc

Kenowi w przegnaniu lamparcicy także swoim wyciem.

Dwie inne istoty, siedzące na gałęziach nieco wyżej, usiłowały przyciągnąć do siebie ciekawskiego towarzysza i nie dopuścić, by zdradził ich obecność.

Ken ledwo dostrzegał ich twarze, gdyż skrywały je liście. Otworzył usta, żeby  
zawyc jeszcze raz, ale nie wydał żadnego dźwięku. Istota znajdująca się  
najbliżej niego rozwarła wargi, wydymając je na kształt lejka, i dobyte z siebie wycie wysokie i skrzeczące, ale nade wszystko tak przenikliwe, że  
lamparcica odskoczyła smagając się ogonem po zadzie, nieomal uznawszy  
swą porażkę. Dziwne stworzenie wydało kolejny okrzyk, jeszcze głośniejsze  
„iii—iii—iii—iii”, po którym, jak się zdawało, zamarło wszelkie życie. Zniknęły  
nawet cukrzyki, które jeszcze przed chwilą kłębiły się w promieniach słońca.

Stworzenie czekało. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle zieleni  
liści. Ken dostrzegł kontur podobnej jak u szympansa puszkę mózgową i ocenił, że mogłaby pomieścić pięćset centymetrów sześciennych mózgu.  
Wieńczyło ją niskie, lecz wyraźne, ząbkowane wybrzuszenie — grzebień  
strzałkowy podtrzymujący potężne mięśnie szczęki.

Stworzenie przypominało hominida.

Na spieczonych wargach Kena pojawił się uśmiech. „Wspaniałe przed-  
śmierne marzenie, Lauder. We właściwym czasie, na właściwym miejscu.”

Pozostałe stworzenia poczęły ciągnąć w górę siedzącego niżej towarzysza.

Nie pozwolą mu narażać się jeszcze bardziej na niebezpieczeństwo przez

uczestniczenie w walce, która ich nie dotyczy. Był to piękny gest, mający  
powstrzymać idealistycznego krewniaka, który poczuł współczucie dla

osaczonego na dole — obcego.

Ken nie był już pewien, czy w tym momencie śni, czy nie. Wizja trwała

jeszcze kilka sekund, dopóki pozostali dwaj siłacze nie wciągnęli na górę

trzeciego, który przy okazji zademonstrował swój prawie ludzki pośladek,

brak ogona, a także zgrubień kulszowych i szympanszych narośli.

Potem cała trójka zniknęła, wśród poruszających się liści. Kenem, bliskim

omdlenia i zobojętniałym, oładnęła radość. „Widziałeś ich, Lauder. Otrzy-

małeś ten dar od losu, więc możesz już teraz umrzeć”.

Czuł, że jeśli nawet była to tylko wizja, ocaliła mu życie. Lamparcica

odeszła z niczym. Wydając groźne pomruki opuściła polanę, kołysząc barkami

i zadem, w poszukiwaniu bardziej konwencjonalnej zwierzyny.

Wczołgał się do dżipa, zamknął wygięte drzwi i przez krótką chwilę

radował się świadomością, że mu się udało.

Przez następne parę minut — a może godzin? — Ken przeszukiwał dżipa, ale nie znalazł pistoletu. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że

stracił broń. W chwili jaśniejszej świadomości zdał sobie sprawę, że powodem

jego obłąkańczego i nielogicznego zachowania jest postępujące odwodnienie

organizmu. Potem jasność umysłu minęła i znów rozpoczął poszukiwania rhina.

Wyczółgał się z wozu, oparł czoło o gałąź krzaka i, zmagając się z dokuczliwym bólem głowy, próbował opanować rozbiegane myśli. Może

rhino leżał w pobliskich zaroślach, wyrzucony podczas wywrotki, ale załadowany i gotowy do użycia. Kontuzja kostki udaremniła poszukiwania.

Klucze znalazł na podłodze samochodu. Teraz manipulował spinającym je kółkiem, oddzielając kluczyk od stacyjki od kluczy do mieszkania w Nairobi, sejfu w banku i szuflady biurka. Kluczyk samochodowy włożył do zapinanej na zamek błyskawiczny kieszonki na piersi, pozostałe zaś do tylnej kieszeni spodni, razem z portfelem i zezwoleniem na podjęcie pracy przez cudzoziemca w Republice Kenii.

Wyczerpały go te, przeprowadzone na małą skalę, poszukiwania. Siadł na trawie. Kostka spuchła niczym piłka futbolowa, a ból promieniował aż do kolana i uda i był tak intensywny, że Ken musiał zaciskać zęby, aby nie jęczeć. Nie jadł ani nie pił od ponad szesnastu godzin. Swoją kondycję mógł poprawić jedynie odpoczynkiem.

Chcąc się położyć, natrafił na nóż leżący w trawie, parę cali od miejsca, gdzie siedział. Nie pamiętał, kiedy wysunął mu się z palców. Sciskając go w rękę, ułożył się na boku i jeszcze raz przeżywał w myślach swą fantazję na temat praludzi. Bo to o była fantazja, nie miał co do tego wątpliwości. Nawet ten skrzeczący wrzask. Stwierdził, że to najlepsza przedśmiertna wizja, jakiej mógł doświadczyć, i zamknął oczy.

Czuł, że spał, ale miał wrażenie, jakby minęło zaledwie parę minut. Znów zmierzchało, a on nadal leżał obok dżipa.

Nie jadł nic i nie pił od blisko dwudziestu czterech godzin.

O zmierzchu zrobiło się chłodniej. Poczuł, że znów funkcjonuje racjonalnie. Zaczął podsumowywać w myślach złe strony swej obecnej sytuacji. Spuchła mu kostka i nie mógł stwierdzić, w jakim naprawdę jest stanie. Nie wiedział, czy po wywrotce dżip nadaje się do dalszej jazdy; najpierw należało go postawić, ale w swym obecnym położeniu nie podobałby temu sam. Dżip wyposażony był w zasilany baterią wyciąg z liną, umieszczony w stalowym uchwycie za kratą ochronną. Gdyby udało się zamocować linę do grubszego konara akacji i uruchomić wyciąg, mógłby postawić wóz na cztery koła. Nie przypominał sobie, czy ma dodatkowy kanister z benzyną w schowku pod tylnym siedzeniem. Nie było też sposobu, żeby naprawić przewody hamulcowe.

Co ważniejsze, nie miał jedzenia ani wody, ani kompasu — kompas



został w obozie wraz z resztą sprzętu.

Nie mógł opędzić się myśli o tym, jak bogate i specjalistyczne wyposażenie pozostawił w obozie. A teraz wszystko stracił: namiot, śpiwór, apteczkę, latarki z zapasowymi bateriami, zegarek (ostatniej nocy zdjął go i włożył do kieszeni śpiwora), okulary przeciwsłoneczne, lornetkę, aparat fotograficzny z zapasowymi obiektywami, rolki filmu, mapy, patelnię i garnki, notesy, długopisy i ołówki, flary i spory zapas mokrych ręczników higienicznych w zaplombowanych plastikowych torbach. Miał też pastylki do oczyszczania wody i jedzenie — począwszy od zup w proszku i suszonego mięsa a skończywszy na płatkach zbożowych i tabletkach soli.

Przywiózł ze sobą cały bagaż cywilizacyjny współczesnego człowieka i utracił go w parę minut.

Najbardziej doskwierał mu brak zegarka. Był to cyfrowy „Seiko”, lśniący krzepiąco w ciemności. W buszu czas niewielkie miał znaczenie, ale

Ken odczuwał jego wpływ w sposób niemal mistyczny. Często, gdy noc ogarniała majestatyczną dziką przyrodę, odczytywał czas, by sprawdzić, kiedy dokładnie zaszło słońce sygnalizujące nocnym myśliwym początek łowów.

Teraz nie było już czasu. Zniknął wraz z innymi wynalazkami człowieka.

Amerikanin nie wiedział, jak daleko znajduje się od obozu. W czasie

długiej jazdy samochodem ustawicznie spoglądał na licznik, ale teraz nie

przypominał sobie odczytów. Zresztą liczba mil nie miała żadnego znaczenia,

skoro nie wiedział, w jakim kierunku się poruszał, a dzip nie był wyposażony

w kompas. Za dnia mógłby się orientować według słońca i szczytu Mau, zakładając, że najpierw kostka wydobrzała by tak dalece, iż zdołałby wyjść spomiędzy drzew.

Wiedział, że bez jedzenia mógłby normalnie funkcjonować przez pięć do

siedmiu dni, nawet tracąc w szybkim tempie sole mineralne przez wypocenie.

Jeśli jednak nie znajdzie wody, postrada zmysły przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin, nie wspominając już o tym, że opadnie zupełnie

z sił. Będzie doświadczał omamów wzrokowych i słuchowych oraz najprzedejniejszych myśli, także samobójczych.

Pierwsze zadanie, jakie przed nim stało, to znalezienie wody, drugie —

to dotarcie do jednego z zasobników ratunkowych.

Do tego potrzebne mu będą siły. Zastanawiał się, jak słaby okaże się

nazajutrz rano, zakładając, że w nocy nie będzie musiał odpierać ataku następnego lamparta lub innego krwiożerczego stworzenia, co mogłoby okazać się zgubne.

Wówczas przypomniał sobie sierżanta Modiba i jego wykrzywiony uśmiech gнома. Modibowi wprawdzie nie udało się go zabić, ale też nie dał

za wygraną. Do listy niebezpieczeństw Ken dodał jeszcze to, że zarówno sierżant, jak i jego przyjaciele mogą go odszukać. Przypomniał sobie safari

cuba. Jeśli stanowili zorganizowaną grupę, dysponowali zapewne jeszcze

innymi pojazdami.

Skarcił się za panikowanie. Modibo sądził pewnie, że Ken zginął. Zwierzęta musiały przecież pić, więc gdzieś w pobliżu znajdowało się jakieś jezioro. Nie miał wprawdzie tabletek oczyszczających wodę, ale już przedtem pijał brązową ciecz z naturalnych zbiorników, przechodził przez nieuniknioną w takich wypadkach biegunkę i przeżył. Dotrze więc jakoś do wody, choćby nawet miał się czołgać.

— Głupi — mruknął, samotny w gęstniejących ciemnościach — jaki głupi.

Spodziewał się, że zaśnie, ale mu się nie udało. Chcąc dodać sobie otuchy, przypominał sobie raz po raz o zasobnikach ratunkowych, przyznanych mu dzięki szczodrości Jakuba Ngiameny, który oczekiwał od niego cotygodniowych raportów dotyczących stanu fauny i flory oraz podłoża.

Jakub Ngiamena...

„Mam rozkaz z armii — mówił Modibo. — Z armii, która ocimała go z biura direktora Ngiameny”.

Sierżant Modibo... Dyrektor Ngiamena...

Z głośnym krzykiem zerwał się na równe nogi i — stając na obolałej

stopie — upadł. Ale upadek ciała był niczym w porównaniu z załamaniem

duchowym, jakiego doznał uświadomiwszy sobie, że skoro biuro dyrektora

kontaktowało się z posterunkiem granicznym, istnieje możliwość, że to właśnie sam Ngiamena rozkazał Modibowi, aby... aby... go zabił!

Zestawiwszy — w myślach — postać cuchnącego sierżanta z majestatycz-

nym, pełnym powagi królem Masajów, Ken doznał uczucia eksplozji pod czaszką.

Puszcza wodze fantazji. Po prostu puszcza wodze fantazji.

Ale czy rzeczywiście?

Rozumował gorączkowo. Dlaczegoż by Ngiamena nie miał chcieć go

zabić? Ken był cudzoziemcem, Amerykaninem, białoskórym, wywierał zły

wpływ na jego syna i niepotrzebnie zawracał głowę córce. A przede wszystkim odkrył unikatowy skarb w ubogim kraju, i to w okresie rozpasanego

nacjonalizmu! Oblał go zimny pot. Yinka wspominała, że stary miał problemy.

Ngiamenowie mogli stracić swą pozycję, pieniądze i miejsce wśród elity kraju

i w jego historii, ale też mogli wszystko to zachować dzięki wykazaniu się

jakimś wielkim aktem wierności wobec państwa przechodzącego kryzys.

A nie było po temu lepszej okazji niż uratować to niewiarygodne znalezisko

z rąk autsajdera, intruza tudzież „agenta”, jak go bez wątpienia określa.

Odchodził od zmysłów zarówno wskutek odwodnienia i wygłodzenia, jak

też wstrząsu wywołanego tak nieoczekiwaną i przerażającą odmianą losu.

Każdy na jego miejscu zacząłby dostrzegać wszędzie upiory i spiski. Ngiamena

zabójcą? Walczył z Brytyjczykami, owszem, ale miało to miejsce czterdzieści

lat temu. Chociaż? Chwileczkę...

Ken się wzdrygnął. Wiedział, że lwy — ten symbol szlachectwa umiesz-

czany w tyłu herbach, na kolumnach i piedestałach, ozdoba tyłu pomników —

są jedynie złośliwymi i leniwymi zabójcami, które pożerają własne młode,

wykradają lwicom ich zdobycz i nigdy nie dzielą się pokarmem, zanim same

nie napęlnią sobie brzucha. Są cuchnące, bierne, niedojrzałe i straszliwie

krwiożercze. Pociągnął nosem, starając się stwierdzić, czy Simba Ngiamena

pachnie jak prawdziwy lew. Ale właśnie wtedy Ngiamena zmienił się we

własną córkę. — „Umowa stoi, osadniku?”

Yinka. Pachniała jak kwiat i była równie chłodna jak kwiat. Albo jak

woda. W bolesnym delirium Ken zdał sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje

wody. Yinka, woda. Czy jej imię oznaczało w dialekcie plemiennym „źródło”

albo coś podobnego? Yinka równa się woda?

Yinka stała się Ngilim. Ten zaś powiedział ponuro i mściwie:  
„Będziesz  
pierwszym naukowcem, który to zobaczy. Jedynym na obszarze  
czterystu mil  
kwadratowych”.

To prawda. W przeblýsku rozsądku pomyślał, że jeśli Modibo dał  
się  
złapać na jego fortel, to on, żywy i samotny, jest jedynym człowiekiem  
na  
obszarze czterystu mil kwadratowych.

Przy takim odwodnieniu już dawno powinien przestać się pocić, a  
jednak  
nadal spływał potem mimo nocnego chłodu. Modlił się, żeby to  
szaleństwo  
się skończyło. Ale się nie skończyło. Jeśli Ngiamena kazał go  
wyliminować,  
co wydawało się całkiem logiczne, to w takim razie po której stronie  
znajdował się Ngili?

Ngili.  
„Nie — powiedział nocy. — Żadną miarą. Chryste! Ngili to  
najlepszy  
przyjaciel.” Przed zaledwie dziesięcioma dniami ocalił mu życie, kiedy  
przelatywali nad tamtą odnogą górską i gdy Ken omal nie wypadł z  
samolotu  
Hendrijksa. Nie, nie! Ngili to przyjaciel. Ciągle jeszcze przyjaciel,  
pomimo  
śmiesznej reakcji na zainteresowanie Yinki jego osobą, jeśli  
rzeczywiście  
żywiła takie zainteresowanie...

Yinka...  
Poczuł jej pocałunek na wargach i w ustach; i wówczas zdał sobie  
sprawę,  
że odczuwa smak własnego wyschniętego z pragnienia podniebienia.  
Było  
suche jak pustynia. Oderwał guzik od koszuli i wetknął do ust. Ścisnął  
zębami  
miedź i czekał, aż organizm zareaguje na jej obecność. Miała gorzki  
smak  
oksydowanego metalu, ale na podniebieniu i policzkach wydzielily się  
drobne  
kropelki śliny.

To Yinka przekonała go do tej umowy... Też w tym uczestniczyła...  
Wszyscy oni...

Ale dlaczego on? Był niewinny. Czemu go ukarano?  
Właśnie dlatego, że jest niewinny, zdecydował. Dla przypomnienia,  
że  
oni, Afrykanie, chociaż niewinni, doznawali, przez całe stulecia  
najazdów,  
zabijania i panowania bezlitosnych obcych rządów. Afryka miała własną  
historię okrucieństwa.

Usiadł w ciemności, dygocząc. Smutno mu było, ale uznał, że jego

zmienieni we wrogów przyjaciele mieli prawo do odwetu. Nienawiść zasiewano w nich od czasów faraonów i Rzymian, kiedy to pierwszych afrykańskich niewolników sprzedawano w Tebach, Bizancjum i Rzymie. Potem przyszli Arabowie, Turcy, Anglicy, Holendrzy, Francuzi, Niemcy, Portugalczycy i Amerykanie. Wszyscy oni najeżdżali ich, palili, poddawali chłóście i garotowali, ładowali na statki, skutyh łańcuchami jak niewolników, którzy, nie mogąc nawet wyskoczyć za burzę, by utonąć, odbierali sobie życie powstrzymując oddech, aż serca przestawały bić (zachodnia medycyna nie potrafiła wytłumaczyć takiego wyczynu). Toteż dla Afrykanów nienawiść stała się czymś oczywistym, sposobem na życie, przystosowaniem się do historii, a teraz chcieli odreagować to kosztem Kena Laudera. Mieli prawo do

nienawiści. I nie uciszą jej zabawy w demokrację ani dochody z parków dzikiej zwierzyny.

Ken począł dygotać tak mocno, że chociaż objął rękami brzuch i zgiął

kolana podciągając je do twarzy, nie mógł powstrzymać drżenia. To on popełnił błąd uznając znajomość z tymi ludźmi za rzecz oczywistą, jadając

przy ich stole, korzystając z ich pomocy, czując się zaszczyconym przyjaź-

nią — podczas gdy był to jedynie rozejm — obnosząc się z głupim anglosaskim myśleniem życzeniowym, że przeszłość to już tylko przeszłość.

Cóż, było inaczej. Usiłował wywieźć kości ich przodków, czym obraził pamięć o wszystkim, co stracili, więc zasługiwał na karę. Zasługiwał na to,

by umrzeć, nie wiedząc o wydanym na siebie wyroku!

Wrzała w nim krew. Mózg odmawiał posłuszeństwa.

Położył się. Ponad nim, w koronie akacji, lśniła para oczu umieszczonych

frontalnie i szeroko rozstawionych jak u człowieka. Przez parę sekund nieruchomo wpatrywały się w Kena. Potem poruszyły się liście i oczy znikły.

Uznał, że ma halucynacje.

Owo przywidzenie zmieniło bieg jego myśli. Poczuł, że zaczyna funkcjonować racjonalniej.

„Najważniejszą rzeczą — pomyślał — nie jest woda. Najważniejszą rzeczą jest... chodzenie!”

Wstał i, skacząc na zdrowej nodze, dotarł do odsłoniętych korzeni akacji.

Zabrało mu to wiele czasu — posuwał się parę cali w ciągu minuty. Jakieś

pasżytnicze pnącze wiło się wokół jednego z korzeni. Wepchnął w nie spuchniętą stopę, niby w pętlę. Klnąc — cały pokryty potem — upadł na ziemię. Kontuzjowana stopa dobrze tkwiła w pętli. Powoli pociągnął.

Doznał tak straszliwego bólu, że spłynął potem.

Pociągnął jeszcze raz, usłyszał chrupnięcie w kostce, jakby zwichnięty

staw zaskoczył na swoje miejsce. Przygryzł dolną wargę aż do krwi i znowu

pociągnął. Ból mieszał się z poczuciem dziwnej ulgi. Uwolnił nogę, oblizał

krew i stwierdził, że jej smak przynosi ukojenie. Opuścił stopę na ziemię

i podniósł się niepewnie. Mógł teraz stać doświadczając znacznie mniejszego

cierpienia.

Mógł nawet stąpać, ból nie był już tak rozdzierający. Nastawił zwichnięty

staw. Obrzęk powinien się zmniejszyć. Wygrał pierwszą rundę



pojedyнку  
o zachowanie zdrowych zmysłów. Musiał tylko utrzymać to  
zwycięstwo.

Może nie istniał żaden spisek...

Wszłuchał się w głosy buszu. Nawet teraz każdy dźwięk, każde  
granie

świerszcza, każde odległe wycie czy ryk wydawały się niezmiernie  
piękne.

Obok pnia akacji przeciął powietrze ogromny afrykański świetlik —  
jego

odwłok migotał jak światło pozycyjne samolotu — przysiadł na pniu i,  
dalej

mrugając, przyzywał partnerkę. Dzięki temu jasnożółtemu blaskowi  
owad

wydawał się wielki niczym wróbel. Wówczas nadleciał drugi, kierując  
się

wprost do tamtego i mrugając w tym samym rytmie, ale inaczej —  
zielonkawo

i mniej intensywnie.

Ken uzmysłowił sobie, że rankiem minie już trzydziesta szósta godzina, odkąd nie jadł i nie pił. Mimo to żył. I może widział wymarzone przez siebie istoty.

Nadeszła krytyczna, trzydziesta szósta, godzina bez wody. Nadeszła i minęła. Zbliżała się czterdziesta.

Przebudził się z umysłem tak jasnym, że niemal go to przeraziło. Uświadomił sobie, że wodę ma tuż pod ręką, w chłodnicy landrovera. Wpełził do samochodu i wyciął nożem skórę z obicia siedzeń. Wykonał z niej prymitywny okrągły bukłak z wąskim otworem. Podczołgał się z nim do przedniej części dzipa, odkręcił otwór spustowy chłodnicy, wiedząc, że może to zrobić tylko raz, a więc musi być gotów pochwyć każdą kroplę rdzawej wody. Wyplęzło jakieś dwanaście uncji, zaledwie tyle, ile mieści się w puszcze od piwa. Z przymkniętymi oczami wypił połowę — gardło miał tak wyschnięte, a język obrzmiały, że prawie nie rozróżniał smaku.

Powoli ożywił się i poczuł niewielki przyływ sił.

Wykuśtykał spomiędzy drzew i doznał zaskoczenia. Spodziewał się, że masyw Mau wznosić się będzie tuż przed nim, jak sądził — na zachodzie.

Tymczasem był bardzo oddalony — niski i wyblakły pod niebem pełnym chmur. Leżał więc raczej na północy, odległy o ponad dzień jazdy od miejsca, gdzie Ken się znajdował. Galopujące stado zaniósło go aż tak daleko, w pobliże ciągnącej się przy granicy z Tanzanią pustyni.

Mimo wszystko poczuł się lepiej i rozjaśniło mu się w głowie. Mógł się

normalnie poruszać, toteż sytuacja nie wydawała się już rozpaczliwa. Pokuśtykał z powrotem i znalazł w dziupie zapas benzyny. Przełał ją do zbiornika, robiąc krótkie przerwy dla odpoczynku, po czym przeciągnął linę wyciągarki pod korzeniem wielkiego drzewa i uruchomił urządzenie.

Lina szarpnęła z jękiem, a korzeń zatrzeszczał, ale wytrzymał.

Dzıp został wkrótce uniesiony, potem postawiony na cztery koła, gotów do dalszej jazdy nawet bez hamulców. Będzie go prowadził powoli, po prostu wyłączając od czasu do czasu silnik dla wychłodzenia.

Nawinał linę i schował wyciągarke. Sprawdzał silnik, włączając go i wyłączając. Wsłuchiwał się w odgłosy polany i stwierdził, że na drzewie ponad nim panuje niezwykła cisza.

Spojrzał odruchowo zza pni akacji i dostrzegł jadący powoli przez sawannę samochód. Jeszcze jeden safari cub.

„Nie róbcie mi tego” — błagał swoje zmęczone, niepewne już

niczego  
zmysły.

Ale cub nie znikał, bez względu na to, jak bardzo się w niego Ken wpatrywał. Dobiegł dźwięk silnika. Na drzewie poruszyła się głośno gałąź, przyciągając jego spojrzenie. Znow musiał pogodzić się z tym, że widzi coś, co wydaje mu się realne, i może takie jest. Brązowa sylwetka przesunęła się

na sam koniec gałęzi i zatrzymała. Gałąź znów zakolysała się pod jej ciężarem. Stworzenie wychyliło się w stronę sawanny niczym obserwator.

Wyciągnęło brązowe włochate ramię i ocieniło oczy długą dłonią, gestem tak znajomym, że Ken bezgłośnie zachichotał (chichot wywołany został skurczem pustego żołądka). Ten gest pracźlowieka wydał mu się tak ludzki, że na chwilę oderwał wzrok od safari cuba.

Wtedy zobaczył drugie stworzenie — może to, które poprzedniego ranka przegoniło lamparta krzykiem, a może inne. Siedziało w rozwidleniu dwóch dużych gałęzi i spoglądało oczami rozszerzonymi ze strachu to na Kena, to na zbliżający się pojazd.

Cub jechał powoli, wreszcie się zatrzymał. Ken przyglądał mu się, osłaniając oczy dłonią przed blaskiem sawanny. Z wozu wysiadło czterech mężczyzn. Trzech Afrykanów, jeden biały. frzykucnęli. Domyślił się, że pośród bawolich śladów szukają odcisków opon landrovera. Zwierzęta tak zryły ziemię, że nawet Modibo miałby cholerne kłopoty z odnalezieniem śladów dżipa. A on tam był i Ken go widział. Wprawdzie znajdował się za daleko, żeby dało się rozróżnić rysy twarzy, jednakże rozpoznał jego krabie ruchy i rozpięty płaszcz.

Z góry dobiegł jakiś odgłos — cichy jęk strachu. „Jeśli to rzeczywistość — pomyślał — jest to pierwszy dźwięk, jaki dotarł do mnie z epoki kamiennej.”

Był jednak zbyt wyczerpany, żeby ulegać wzruszeniom. „Dobra — powiedział w myślach do tajemniczych hominidów — wystraszyliście się tych bandytów. Znajdę sposób, żeby się ich pozbyć. Ochronię was.”

Wsadził nóż za pas, pochwycił bukłak z płynem z chłodnicy i wsiadł do dżipa. Znalazł okulary noktowizyjne, przypuszczalnie wyrzucone spod siedzenia w czasie stawiania wozu na cztery koła. Usiadł za kierownicą i rozgrzał silnik.

Czterej ludzie nie słyszeli nabierającego szybkości landrovera, nie mogli go też zobaczyć przez drzewa. Zdołali go zlokalizować dopiero wtedy, gdy wypadł z zarośli i znalazł się na otwartej przestrzeni, oddalając od nich szybko.

Klnąc rzucili się do cuba i pomknęli za landroverem, który gnał jak opętany. Wysforował się daleko do przodu. Uderzywszy zapewne o wystającą

skale, podskoczył do góry i zniknął w jakimś wąwozie. Nagle buchnęło dymem. W powietrze wyleciał wysoki słup okruchów skalnych.

Trzej Afrykanie w cubie wydali radosne okrzyki. — Dobra robota z tymi

hamulcami — powiedział jeden z nich. Ubrany był w spłowiała kurtkę od

munduru, ręcznie łątaną, i żółtą trykotową czapkę. Dwaj pozostali także nosili

wyblakłe mundury albo wojskowe kombinezony robocze, przypadkowo skompletowane i źle dopasowane.

Na białym nie zrobiło to wrażenia. — Dobra robota? Po trzech dniach...

Przejdźmy się tam i sprawdźmy, czy zginął.

W parę minut znaleźli niewielki wąwóz, niemal całkowicie zablokowany

dymiącym landroverem. Gęsty dym przysłaniał wnętrze samochodu.

Modibo stał wciągając nozdrzami powietrze, a dym owiewał mu twarz.

Następnie odwrócił się powoli i powiedział do Hendrijsa tak cicho, aby

pozostali nie mogli usłyszeć, że nie czuje zapachu palonego ciała. —  
Modzie

*mzungu* wiskocił. Ale nie ma problema, jest tu tylko jedno dziągłębienie z wodą, a on go nie znajdzie. Więc umdzie.

— Co to, kurwa, znaczy, że wyskoczył? Co ty pierniczysz, do diabła? —

zapienił się Hendrijs. Wbił spojrzenie w ogień i dym rozwiewany leniwym

powiewem. Łatwiej było teraz dojrzeć wewnątrz landrovera, ale nie wygadało

na to, by znajdowało się w nim jakieś ciało, chociaż ktoś nieprzytomny mógł

osunąć się między przednie siedzenie i deskę rozdzielczą.

Hendrijs, zawiedziony, ściągnął kapelusz i trzepnął się nim po kolanach,

wzbijając prosto w twarz kłęb pyłu, od którego zaczął się krztusić. Wydało

mu się, że przez pył dostrzega uśmiech na twarzy Modiba.

— Idź go poszukać — wrzasnął. — No już!

— Nie — rzekł spokojnie Modibo. — Wracami. Kończy nam się woda.

— A jeśli nie umrze?

Wiatr porwał jego słowa wraz z dymem.

— Umdzie — upewnił go Modibo.

— Jeśli nie — wróć i sam go dopadnę — mruknął Hendrijs.

Sierżant podszedł do cuba, a wraz z nim pozostali Afrykanie.

Hendrijs spojrział w głąb wąwozu ponad słupem dymu. Jakieś siedem-

dziesiąt jardów dalej rozpoczynał się pas odkrytych skałek o konturach zamazanych teraz przez nawiewany dym. Ciągnęły się aż do zamglonego

podnóża Mau. Nie byłby w stanie przeszukać ich sam. Odwrócił się i podążył

za Afrykanami.

Spoglądający zza niewielkiego wgłębienia na wierzchołku *kopje*, Ken

wyraźnie usłyszał słowa Hendrijsa: „A jeśli nie umrze?” A potem: „Wróć

i sam go dopadnę”.

Trząśł się tak bardzo, że aż zawieszony na piersi okulary noktowizyjne

stukotały w tym samym rytmie o skałę. Przycisnął je do siebie, żeby stłumić

ten odgłos strachu. Patrzył, jak jego prześladowcy wsiadają do cuba i znikają.

Co tu robił Hendrijs? W jaki sposób sprzymierzył się z Modibem? I dlaczego chcieli zabić Kena Laudera? Poszukiwał hominidów, którzy

dla

Modiba czy Hendriksa nie mogli przedstawiać żadnej wartości.

Z drżeniem przypominał sobie, że to sam Jakub Ngiamaena przeypytywał

Afrykanera, zanim poradził Kenowi i Ngilemu, żeby wynajęli go lecąc na

Dogilani. „Kupcie mu whisky i zostawcie w spokoju, wykona porządną robotę”. To w jego obecności wykopywali skamieniałość i przy nim wspominali, ile jest warta i jak może zmienić ich życie.

Czyżby to z powodu skamieniałości? Jak na Hendriksa czy Modiba,

wydawało się to zbyt wyrafinowane. Hendriks był tylko „skrzydlatą świnią”,

jak pewnego razu nazwał go Ngili, starzejącym się chłopcem na posyłki, który

latał do buszu za drobne sumy, wracał i przepuszczał pieniądze w miejscowych

dyskotekach, a potem chrapał pijany, na sztywnym od spermy materacu, aż

do czasu otrzymania następnej pracy. Co zaś się tyczy Modiba...

W tym momencie uświadomił sobie, że lekceważąc Hendriksa czy Modiba, stara się dodać sobie otuchy. Tak naprawdę nic nie wiedział, o żadnym z nich. I wciąż nie znał odpowiedzi na główne pytanie: dlaczego?

„Co tu się dzieje, dlaczego tak bezlitośnie usiłują mnie usunąć?”

Postanowił przeczekać dzień w cieniu i ruszyć dalej nocą. Większość

pasm *kopje* ciągnęła się do podnóża Mau, a chyba właśnie tam najłatwiej

znaleźć wodę. Pójdzie wzdłuż jednego z nich. Obejrzał się na zagajnik, w którym spędził prawie dwa dni. Drzewa wydawały mu się magicznie piękne, niczym ze snu.

Po zachodzie słońca wypił ostatnie krople z prowizorycznej manierki i tak

długo wylizywał jej wilgotne wnętrze, aż poczuł, że nie może już ruszać

językiem. Potem przetoczył się na plecy. Chmury się rozprasały. Na niebie

zamrugwały gwiazdy.

Noc i parę kropli wody tchnęło w niego nowe życie. Poczul się silniejszy

niz w ciągu ostatnich paru dni, mimo że nic nie jadł. Mgły podniosły się,

odslaniając masyw\* Mau. Był tam, gdzie się go Ken spodziewał. Sądził, że

dotrze jakoś do jego podnóża, gdzie — jak wierzył — czekał na niego zasobnik ratunkowy.

Założywszy okulary noktowizyjne, które miały mu pomóc dostrzec w ciemnościach ewentualnych napastników, ruszył w drogę. Był słaby, ale

szło mu się lekko. Głęboką nocą, gdy jego cień rysował się w świetle księżycy, dotarł do zwaliska czerniejących płyt skalnych, tak dziwnych, że

mogły uchodzić za kolejną zwidę.

Zbliżył się i dotknął ich.

Z wierzchołka pochyłej płyty dobiegało jakieś łopotanie. Udało mu się

stać na niewielkim kamieniu i znaleźć się dostatecznie blisko źródła dźwięku, żeby określić, co to takiego.

Był to spadochron. Sięgnął po niego ręką.

Linki od zasobnika zostały przecięte. Zapas wody i żywności oraz cały

ekwipunek zniknęły.

Ken obmacał w ciemności kilka linek. Ich nylonowe końce przycięte

zostały tak równo, że nasuwał się tylko jeden wniosek. Oni tu byli. Nie dość że uszkodzili mu samochód, ścigali przez busz, tropiąc ślady i kryjówki,



nie dość że obiecali, iż powrócą, aby go wykończyć, to jeszcze przecięli linki i ukradli zasobniki.

Tym go dobili. Kto wie, czy nie obserwowali go z jakiegoś nieodległego miejsca — napawając się jego agonią — aby się upewnić, że nie przeżył. Nie było już ucieczki.

Czekał kilka godzin. Śmierć nie nadchodziła. Spóźniła się.

Zastanawiał się, ile czasu pozostało do rana. Utraciwszy zegarek, pozbawiony został od kilku dni mechanicznego wskaźnika czasu.

Spróbował wreszcie wstać. Udało się. Księżyc, bliski pełni, jasno oświetlał

rumowisko bloków lawy. Ken chwiejnym krokiem skierował się ku szez-  
czącym nieopodal drzewom. Pod jednym z nich leżało coś, co  
wyglądało jak  
ciemne owoce. Rozpoznał orzechy mungogo. Nadawały się do  
jedzenia, były  
bogatym źródłem białka i stanowiły podstawę diety niektórych plemion,  
w tym także Buszmenów.

Nie miał czym rozłupać orzechów, toteż wsadził jeden między  
zęby,  
kalecząc przy tym dziąsła i rozkrwawiając wargi, ale rozgryzł twardą  
skorupę.  
Był tak wygłodniały, że bezwiednie połknął miąższ w całości,  
zakrztusił się  
i zaniósł kaszlem. Wreszcie znów mógł oddychać.

Zabrał się do drugiego orzecha, nakazując sobie żuć powoli.  
Pomogła mu  
w tym dziwna reakcja emocjonalna — orzechy mogły przedłużyć mu  
życie  
o parę godzin, to zaś uzmysłowiło mu, jak bardzo pragnie pozostać przy  
życiu. Oczy zaszyły mu mgłą.

Pogryzł miąższ, przełknął, oblizał wargi i zaatakował następny  
orzech.

Pocił się obficie. W pewnej chwili musiał wstać, żeby oddać moc.  
Wyglądało  
na to, że cały organizm, zaalarmowany możliwością dalszego trwania  
życia,  
funkcjonował intensywniej.

Znów opadł pod drzewo i jeszcze trochę zjadł. Krew z poranionych  
warg  
smakowała niczym słono-słodką przyprawą.

Na drzewie dostrzegł więcej orzechów. Wyraźnie nie mieszkały tu  
żadne  
plemiona, w przeciwnym bowiem razie wszystkie mungogo zostałyby  
zebrane. Chwilowo drzewo należało tylko do niego. Mógł liczyć na co  
najmniej jeszcze jeden posiłek.

Położył się pod skałami i zaczął zasypiać, rozważając mgliście, czy  
drzewa i skały świadome są jego obecności i tego, że przybył tu znikąd,  
przynosząc wraz z sobą swój własny czas — epokę, do której należał.  
Wstał  
przed wschodem słońca, dręczony utajonym głodem, ale silniejszy i  
rozumu-  
jący jasno. Podczołgał się do drzewa, zebrał więcej orzechów i  
delektował się  
ich nieodmiennie wybornym smakiem. Potem pokuśtykał, aby rozejrzeć  
się  
po okolicy. Mgła zgęstniała, przylegając ściśle do skał i drzew.

Usłyszał kroki i zmartwiał.

„To Hendrijsk” — pomyślał.

W ciągu tej nocy Hendrijsk („Sam go dopadnę”) stał się jeszcze  
groźniejszy niż Modibo.

Kroki dochodziły z bliska. Obmacał podarte ubranie w poszukiwaniu

noża i znalazłszy go, mocno uchwycił.

Kroki ucichły w szarych oparach.

Poszedł dalej. Właśnie znalazł trochę jedzenia. Jeśli miał przeżyć, musiał

zmieniać miejsce pobytu. Wkroczył w mgłę, wyężając wzrok, żeby rozpoznać

majaczące cienie, i ściskając nóż. Mgła się przeredziła. Niecałe ćwierć mili

od zwałonych skał znalazł płytkie zagłębienie terenu. Rosło w nim kilka akacji. Idąc wzdłuż niego, doszedł do błotnistej strumienia, który nie płynął

już wartkim nurtem, lecz nikał pod ziemią w brejowatej kałuży.

Zapomniawszy o wszystkich niebezpieczeństwach, rzucił nóż i zanurzył

twarz w wodzie, nie bacząc na unoszące się w niej ciernie, drobiny ziemi i martwe owady. Pił czując, że wchłania wodę nie tylko przełykiem i żołądkiem, lecz także płucami, sercem, nerkami i całym ciałem. Wyobrażał sobie, jak błogosławiony płyn, brudny i o nieprzyjemnym smaku (ale płyn!), spływa w jego ciało, odżywia je i regeneruje. Na chwilę przerwał, rozkoszując się chłodną pieszczotą wody na policzkach, a potem pił znowu. Zaczerpnął tchu i pił dalej, ślepy i głuchy na wszystko inne.

Potem kroki znów zadudniły jak wibrujący w głębinie silnik łodzi podwodnej.

Skoczył na równe nogi, ociekając wodą. Kroki przybliżyły się.

Zdażył pochwycić nóż, lekko się obrócić i podnieść wzrok. Jakaś ogromna postać — ktoś lub coś — wynurzała się z mgły, zupełnie jakby biegła. Z wysiłkiem zgiął rękę z nożem, by mieć większą swobodę zadania ciosu. Ciemna postać dała nura niemal wprost na niego i wylądowała w wodzie, częściowo ukryta za zaroślami dzikiej agawy, której czerwono-niebieskie kwiaty wydawały się bladoszare we mgle.

Ken usłyszał jakieś siorbanie, przeciągłe i nieustające. Ten, kto go ścigał,

był chyba tak samo spragniony, jak on. A może równie wyczerpany.

Przeczołgał się z nożem w ręku wzdłuż brzegu kałuży, żeby zobaczyć,

кто to jest. Przykląkł na kolanie i wyjrzał zza krzaka. Dostrzegł nagie plecy

jakiejsz prostującej się właśnie postaci. Należały do niezwykle drobnego chłopca o włosach długich, zapyłonych i poprzetykanych liśćmi i cierniami

akacji, który pił oddychając głośno i nie wynurzając ust z wody. Po chwili

uniósł twarz i rozejrzał się. Potem znów pił, przez dłuższy czas trzymając usta

w wodzie. Podczas picia oddychał parszkając.

Jego wargi, widziane z boku, były długie i wydęte w komicznym wyrazie

zachłanności. Nos miał płaski, prawie bez grzbietu, o szerokich nozdrzach,

które żywo się poruszały. Chłopiec wydawał się czujny i jednocześnie

bardzo  
sprawny w rozróżnianiu niezwykłych zapachów.

Tym jednak, co sprawiło, że Ken oniemiał, nie był profil chłopca, lecz sposób, w jaki pił.

Współcześni ludzie nie potrafią jednocześnie pić i oddychać. Uniemożliwia im to zbyt nisko położona krtań. Małpy z kolei mogą to robić, podobnie jak noworodki, gdyż ich krtań jeszcze nie zeszła niżej. Przyjmuje się, że podobnie było u australopiteków.

Tak więc stworzenie, które oddychało i piło jednocześnie, mogło być albo noworodkiem, albo małpą. Ono jednak nie było niemowlęciem. Nie było też małpą, ponieważ dobiegło do kałuży zupełnie wyprostowane. Było małym hominidem, który pił jak *Australopithecus*.

# 3

Nieopatrznie Ken popełnił kardynalny grzech z punktu widzenia antropologii. Doskoczył do swego okazu i wrzasnął: —

*Hujambo. Habaril* Dzień dobry. Co nowego?

Chłopak dał nura w cierniste listowie agawy, nie zważając na ukłucia —

dotyk kolczastych liści nie był zapewne najprzyjemniejszy w zetknięciu z nagą skórą — i stamtąd obserwował Kena małymi brązowymi oczami.

Ken

postąpił krok naprzód i otrzymał tak mocne uderzenie w prawy bark, że aż

się zatoczył. Okrągły kamień sturlał się po brudnej koszuli. Chłopiec wyskoczył

z zarośli i przebiegł obok niego. Drobne, dziko zaciśnięte pięści przyciskał do

niewielkiej jasnobrązowej klatki piersiowej; z otwartych ust dobywał się przeciągły gwizd, a nozdrza drgały z przerażenia. Już na pierwszy rzut

oka

Ken mógł stwierdzić, że linia łącząca czoło i usta pochylona jest pod kątem

niemal czterdziestu pięciu stopni.

„Mam halucynacje” — pomyślał młody badacz.

Podniósł prawą rękę do ust i ugryzł się z całej siły w nadgarstek, aż drgnął

z bólu.

Para gołych pośladków — lśniących mimo gęstniejącej mgły jak naoli-

wione — pomknęła między drzewa akacji i znikła. Ken rzucił się w pościg.

Chłopiec skoczył tam, gdzie drzewa rosły najgęściej. Ken musiał przystanąć

i przytrzymać się niskiej gałęzi — serce waliło mu mocno. Nie wydobywał

jeszcze w tym stopniu, by biegać.

Wyszedł spośród akacji i wyskubał ciernie z koszuli i

przedramion.

Roztarł obolałe od uderzenia miejsce po prawej stronie klatki piersiowej.

Na ziemi dostrzegł czerniejący kamień. Podniósł go i poczuł, że jest ciepły, jakby ktoś przed chwilą mocno go ścisnął.

„No proszę, znów kradnę mu broń” — pomyślał jak szaleniec.

„Albo narzędzie”.

„Narzędzie? Jeśli używa narzędzi, nie jest już australopitekiem, lecz *Homo habilis*, człowiekiem uzdolnionym”.

Siadł na ziemi, próbując przypomnieć sobie jak najszybciej i najpełniej

wszystko, czego doświadczył na widok tego chłopca. Jak długo to wszystko trwało? Dwie, trzy minuty? Pięć? Jak długo — tak naprawdę — chłopiec pił z kałuży?

Zerwał się na nogi i pomaszzerował z powrotem pomiędzy akacje, nie zważając już na to, że robi hałas. Stukot butów aż nadto wyraźnie obwieszczał jego przybycie. Czuł zbytne podniecenie, żeby zwolnić albo przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Bandytów najprawdopodobniej tu nie było, gdyż w przeciwnym razie hominid nie wyszedłby na otwarty teren ani nie pił tak łapczywie jak spragnione dziecko po zbyt długim śnie.

Grunt wokół akacji był wyschnięty i zwirowaty. Odnalazł kilka wgłębień, ale nie mógł stwierdzić, czy to odciski stóp. Przypomniawszy sobie, że opuścił gdzieś okulary noktowizyjne i nóż i że może już ich nie odnaleźć. Zignorował tę myśl, podobnie jak wiele innych przedtem, jako nieistotną.

Za drzewami ciągnął się pas odsłoniętych skałek, splekanych i poślizgniętych od wiatru i gorąca. Chłopiec mógł się znajdować wszędzie — mógł ukrywać się w pobliżu lub uciec już daleko.

Ken wkroczył na otoczony skalnym murem teren w kształcie nieregularnego czworoboku. Tu opadł na kolana. Wokół leżały czarne kamienie, takie jak ten, którym chłopiec w niego rzucił. Liczył je z zapartym tchem. Dziewięć kamieni — małych, lecz ciężkich — bazaltowych. Zapewnie był to magazyn, mały skład narzędzi do polowania. Odłupano je od większych skał i uformowano na kształt pocisków przed milionami lat. A może ledwie parę miesięcy temu? Tamto dziecko i kamienie należały do tego samego czasu, tak bardzo już odległego, lecz zarazem będącego... teraźniejszością!

Ken poczuł, że musi coś zrobić, coś powiedzieć lub wykonać jakikolwiek gest, żeby nieco się odprężyć. Musiał jakoś wyrazić niezwykłość i doniosłość tego wszystkiego. Miał wrażenie, jakby przez niewidzialne wrota wkroczył w epokę minioną i dzisiejszą zarazem, a przez to znalazł się poza czasem.

Nie wiedział, co dalej robić. Myśl o czających się nie tak znów



daleko

bandytach — choć czuł, że z ich strony nie grozi mu już takie niebezpieczeństwo — pomogła mu się pozbierać. Oparłszy się plecami o skalną ścianę, siadł na ziemi.

Słońce wypalało dziurę we mgle. Ukazywało się jako ognista kula na

otwierającym się niebie. W tym świetle łatwo było go wypatrzeć z samolotu, ale nawet to straciło znaczenie.

Teraz już nie wątpił, że dzień wcześniej widział praludzi na drzewach ponad miejscem, gdzie walczył z lampartem. Praludzi, nie zaś szympansy czy gerezy.

Skoro ten chłopak tu był, musieli też tu żyć jego krewniacy. Dorośli.

Nie wolno mu teraz zachowywać się po wariacku. Nadal reprezentuje erę

nowożytną i naukę, toteż musi działać na zimno. Uniósł wzrok i znowu zobaczył chłopca.

Pierwszą rzeczą, jaką teraz zauważył, były rozliczne blizny na jego ciele.

Chłopiec pojawił się ponownie, kiedy Ken oglądał jego kamienie myśliwskie. Stał na otwartym terenie, patrząc na współczesnego człowieka

i marszcząc drobne czoło. Jego ramiona, barki i uda pokrywały szramy

—  
wszystkie całkowicie zabliznione i *raczej* lekkie, jakby powstały wskutek

zadrapań, z wyjątkiem jednej dużej blizny przecinającej brzuch. Ta również

wyglądała na zagojoną. Ken przypuszczał, że rozciągała się, w miarę jak rosło

ciało chłopca. Uświadomił sobie jednak, że prawdopodobnie nigdy się nie

dowie, kto i w jaki sposób zranił to dziecko.

Wiedział natomiast, że chłopiec od pewnego czasu żył samotnie — i przetrwał.

Już miał otworzyć usta, lecz powstrzymał się. Używanie mowy stało się

i bezsensowne, i niepotrzebne.

Utkwił w chłopcu spojrzenie. Czuł się tak, jakby wpadał w tunel czasu.

Dziecko miało drobną twarz, wydatny podbródek i usta o dobrze ukształtowanych wargach, odznaczających się różową barwą na tle jasno-

brązowej skóry. Delikatny puszek ocieniał górną wargę, a na włosach widniały jaśniejsze pasemka, raczej wyblakłe niż zapyłone. Ken mógł się

upewnić, że włosy sprzed paru milionów lat blakły pod słońcem sawanny tak

jak jego własne.

Skóra chłopca była naprawdę jasna — u wczesnej istoty dwunożnej z sawanny nie zaszły jeszcze zmiany genetyczne pozwalające wytwarzać

wystarczającą ilość melaniny do przeciwdziałania zabójczemu tropikalnemu słońcu.

Każdy szczegół zdumiewającej powierzchowności tego stworzenia przy-

ciągał spojrzenie Kena: płaski nos, drobne, lecz zaokrąglone nozdrza, szybko

i pracowicie wchłaniające i identyfikujące zapachy, oraz drobna pierś wzdymana oddechem; chłopiec dyszał po biegu i wskutek napięcia. Miał pełne policzki i głębokie oczodoły, a niskie czoło marszczyło się pod nagłym

naporem myśli. W małej pięści ścisnął inny czarny kamień z precyzją, którą

Ken natychmiast zauważył. Kciuk, przyciśnięty mocno do wystającego końca

kamienia, był zgięty w stawach, co wskazywało na ich dużą ruchliwość. Inne

palce otaczały kamień zgrabnym kolistym chwytem, znacznie bardziej

wyrobionym niż u małpy.

Grzbiet małej dłoni był lekko owłosiony. Chłopak miał włosy także na nogach i ramionach, niewiele zaś na tułowiu. Na głowie, przeciwnie, rosły gęsto, stercząc prostymi spłowiałymi kosmykami o brudnym kolorze. Stopy, które Ken zlustrował szybkim spojrzeniem, były dobrze uformowane, o długich palcach.

Mały wygięty penis, zapyłony od czołgania się na brzuchu, zwisał spod niewielkiej fałdy skórnej, jedynego miejsca na żylastym ciele chłopca, gdzie znajdowała się podściółka tłuszczu.

Słońce już pełnym blaskiem oświetlało tę niewiarygodną scenę. Chłopiec znajdował się zaledwie dziesięć stóp od Kena. A dzielący ich dystans czasu jakby przestał istnieć.

Ken przeszukał kieszenie i natrafił na kluczyki od mieszkania. Wydobył je i zadyndał nimi w powietrzu.

Chłopiec, niezdecydowany, cofnął się parę kroków. Przez jego lewe ramię przebiegło drżenie. Uniósł kamień na wysokość drobnego barku. Wydał wargi, przybierając wdzięczną minę zagniewanego dziecka. Ken zadyndał kluczykami, które zabrzczały cicho jak dzwoneczki, i upuścił je na ziemię.

Chłopiec odwrócił się i wspinał na skały. Lśniące pośladki trzęsły się, gdy zręcznym i pewnym krokiem piał się pod górę. Pięty o jaśniejszej pigmentacji śmigały na tle szarawożółtych kamieni.

Zniknął. Ken rzucił się ku skałom i zobaczył, jak chłopiec zeskakuje na ziemię po drugiej stronie, lądując na czworakach. Potem poderwał się na nogi i ruszył wyprostowany ku rumowisku czarnych bloków lawy. Szedł bez widocznego wysiłku i bez zbędnych ruchów, ale pochylając się raz po raz, jakby chciał skryć się wśród bujnego głuchego owsa. Przez dobrą minutę Ken widział jeszcze jego brązowe ciało. Potem chłopiec odwrócił się, obejrzał i zniknął, jakby wessało go skalne rumowisko.

Ken zastanawiał się, czy nie podążyć w ślad za nim, w nadziei na następne spotkanie. „Cóż to w istocie było? Cóż ja właściwie teraz robię?” — rozważał pamiętając, że nie dysponuje żadnym sprzętem, nie ma instrumentów ani urządzeń rejestrujących, nawet notesu i długopisu, że utracił całe wyposażenie naukowe.

„On, mając lat osiem, jest lepiej przystosowany do życia tutaj niż ja, mając dwadzieścia osiem” — rozmyślał, nie mogąc pozbyć się uczucia, że ten brak przygotowania nie wynika z tego, że utracił swój ekwipunek obozowy, a w dodatku jest ścigany.

Wiek chłopca ocenił na podstawie wzrostu. Z kolei pewność, z jaką hominid sobie poczynał, czując się tu jak w swoim żywiole — i to w pojedynkę — pozwalała wnioskować, że jest starszy. Prawdopodobnie żadna z tych ocen nie była trafna. Jeśli bowiem chłopak należał do odrębnej rasy, jego gatunek podlegał własnemu cyklowi rozwojowemu o określonym czasie trwania etapu dzieciństwa, dojrzewania i dojrzałości.

Ken rozpiął koszulę — na piersi widniał spory siniak. Roztarł go, a następnie postąpił naprzód i podniósł klucze.

Chłopiec na nie nie zareagował. „Musisz olśnić go jakimś ciekawszym gadżetem, Lauder.”

Wtedy zobaczył, jak mały wyskakuje pomiędzy skał i idzie pospiesznie, pochylony charakterystycznie do przodu — ale bez wątpienia jak dwunożny — zdecydowany i skupiony. Ken się uśmiechnął. Wszyscy mali chłopcy na świecie są strasznie zajęci, a ten się od nich nie różnił.

Nie kierował się jednak w stronę skał. Zerknął przelotnie na Kena, tylko

raz, po czym jął torować sobie drogę przez wysokie trawy, ginąc mu szybko

z oczu. Ken minął skały i rzucił się biegiem przez trawy, które zaczynały się

już prostować, kryjąc ślady chłopca. Przestraszył się, że go zgubi. Cholera,

nie postępował wcale jak naukowiec, nie zachowywał nawet ostrożności.

Zadarł głowę i zlustrował niebo, a potem horyzont, czy nie widać śladów

Hendriksa lub innych przybyszy. Wyglądało jednak na to, że poza nim i chłopcem nie ma tu innych ludzi.

Kosmate kłosa wysokich traw zwierały szeregi, kryjąc ślady hominida.

Musiał poruszać się szybko.

Zagłębienie z wodą było małe, niewiele większe od kortu tenisowego,

i tak zarośnięte trawą i trzcinami, że Ken wdepnął w nie niespodzianie. Rozdzielił kępę trzcin przy końcu ginącej ścieżki i wpadł z nienacką po kolana

w zieloną wodę. Zagłębienie było niewielkie, ale głębokie. Niezwykle obfite

opady deszczu w tym rejonie zapewniały dostateczny zapas wody.

Turaki,

gajówki i drozdy poderwały się do góry, a wilgotne podmuchy znad powierzchni zbiornika wachlowały rozgrzaną twarz Kena.

Biały nosorożec szerokopyski tarzał się na środku jeziora, jakby to była

jego prywatna wanna. Ta dwutonowa bestia znana jest z płochliwości i skłonności do samotnego życia. Słyszac pluskającego Kena, zwierzę poruszyło

drobnymi uszkami i poczęło pisać się na brzeg po drugiej stronie, znacznie

mniej zarośnięty. Następnie przekłusowało, posapując, obok trzech odpoczywających bawołów i brodatego czarnego kozła, który zanurzył nos w wodzie.

Po drugiej stronie zagłębienia rosły obsypane kwiatami zarośla, a w nich

buszowało mnóstwo żądnych pyłku cukrzyków. Ken widział zwykle te ptaki

w lasach, ale tym tutaj udało się zaadaptować do życia na stepie. Było ich

chyba więcej niż szpaków i gajówek. Na przeciwległym brzegu rozpościerała

się swego rodzaju plaża, mokra i błotnista. Leżał na niej mały hominid. Kiedy

ukazał się ospale stąpający nosorożec, chłopiec przewrócił się obojętnie na

bok, jak pracownik zoo, który przywykł do błazeństw ciężkiego zwierzęcia.

Ken odetchnął z ulgą, zapominając, że stoi po kolana w wodzie. Widział

małego hominida. Sen zaczynał się od nowa.

, Jeśli nie wciąga mnie w jakąś zwariowaną zabawę w chowanego, może

za nim nadążę — pomyślał. Jeśli zaś to robi, przegrana sprawa, bo nawet nie

mogę się z nim równać pod względem wytrzymałości."

Miał wrażenie, że chłopiec obserwował go już przedtem. Reagował bowiem w sposób zbyt spokojny i zbyt dobrze czuł się, przebywając w jego pobliżu. Ale kiedy miało to miejsce? Prawdopodobnie w czasie poprzedniego postoju Kena w sawannie z Ngilim i Hendnjksem. Było to jednak jakieś dwadzieścia mil na południe — dziwne, że ten chłopiec (jeśli to ten sam osobnik) zmienił miejsce pobytu i pojawił się na drodze Kena. Może to inny hominid....

Stopy chłopca, ukształtowane jak ręce, pozostawiły świeże ślady w błocie.

Ken przywołał obraz śladów utrwalonych na fotografiach i porównał z tymi, które miał przed sobą. Wydawały się identyczne.

Obok chłopca leżało na lśniącem wilgotnym błocie kilka kamieni.

Ken

widział, jak podnosi on, a potem odkłada, jeden z nich, bierze inny i upuszcza, decyduje się na trzeci — niczym człowiek, który w milczącym skupieniu przebiera wśród mnóstwa podobnych do siebie spinek do koszuli, a przecież różniących się w drobnych, lecz istotnych dla właściciela szczegółach. Chłopiec wybrał bród i podniósł się, zmierzając w wyraźnie określonym kierunku. Spojrzał na Kena i, jak się wydawało, zmienił zamiar. Zrobił kilka kroków, przyjrzał się ziemi, rzucił kamień, opadł na kolana i łokcie i sprawdzał grunt z równą uwagą jak fizyk badający przygotowane do rozszczepienia jądro atomu.

Kenowi przeleciał przez głowę cytat z Darwina: „Wszystkie stworzenia doznają zdumienia, a wiele okazuje ciekawość.” Cóż, to stworzenie okazało ciekawość, potem zdumienie i znów ciekawość. Hominid niemal się uśmiechnął, spoglądając na ziemię, potem zasepił, uniósł brwi, ściągnął je i raz jeszcze się uśmiechnął. Kena zachwycił malujący się na obliczu praczłowieka wysiłek intelektualny. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczył małego, obserwował, jak na jego twarzy odbijał się proces myślenia bądź to w postaci ciekawości lub namysłu, bądź wątpliwości lub pewności, bądź też zuchwałości lub niepewnego oczekiwania. Być może jego mózg miał więcej niż pięćset centymetrów sześciennych pojemności.

Teraz chłopiec zdawał się studiować grunt dla samego studiowania. Może należał do takich, co to namyślają się długo, a potem doznają nagłych i niezwykłych ośnień. Popatrzył nagle na Kena. Sprawiało to wrażenie, jakby na krótko zwarty się dwa różne czasy.

Ken odpowiedział szerokim uśmiechem. — Przestań majaczyć, Lauder —

mruknął cicho, wydobywając się z cuchnącej kałuży. Ociekając wodą, obszedł trzciny, zbliżając się do chłopca, „On nie jest tu po to, żebyś sprawdzał na nim swoje teorie. Jest tu, aby być, a ty także mógłbyś zapomnieć o wszystkim i po prostu być tutaj....”

Przychodziło mu to z trudem. Szczycił się, że jest praktyczniejszy od innych naukowców, mniej skłonny do spekulacji i pokrętnych rozumowań niż koledzy paleontolodzy. Marszczył brwi, gdy mówiono o nim „kowboj Lauder”, ale w gruncie rzeczy pochlebiało mu to, co chciano w ten sposób



wyrazić. Był bardziej odkrywcą niż myślicielem, i to mu odpowiadało. Zbierze materiał do późniejszych przemyśleń, a kiedy skończy się dlań czas dokonywania odkryć, zacznie pisać o prehistorii, korzystając z własnych doświadczeń, nie zaś ubierając w swoje słowa cudze poglądy. Z pewnością marzył o takiej chwili, kiedy unikatowe badania i obserwacje zainspirują go do nowych i oryginalnych teorii. Nie miał jednak umysłu teoretyka. Nurtowały go bardziej praktyczne pytania: — Ilu jeszcze takich osobników żyło w tym rejonie i dlaczego się ukrywali, podczas gdy chłopiec pokazywał się w sposób niemal ostentacyjny? Czy będąc osłabiony, zdoła dotrzymać kroku temu uosobieniu witalności? Jak się zachowają Hendrijs i jego ludzie, jeśli się pojawią? A najważniejsze — co może zrobić „kowboj Lauder”, żeby obronić siebie i swoje znalezisko?

Kiedy Ken podchodził bliżej, chłopiec obejrzał się przez ramię o jasnej, prawie bezwłosej skórze, która lśniła jak naoliwiona. Jego gruczoły potowe były bardzo aktywne. Ich funkcjonowanie zależało od wody. Jeśli Ken podąży jego śladem, z pewnością dotrze do jej źródła.

Chłopiec zacisnął wargi i powieki w grymasie wyrażającym skupienie albo ostrzeżenie. Ken, pomny tego, że nie powinien dążyć do zbytniego zbliżenia, przykucnął parę jardów dalej. Nasunęła mu się cała lawina nowych pytań. W jakim dokładnie wieku jest chłopiec? Jego figlarna ciekawość i zadziwienie światem umiejscawiały go w przedziale między szóstym a ósmym rokiem życia. Z kolei zręczność i znajomość otoczenia były typowe dla dziesięciolatka. Jeśli rzeczywiście żył w pojedynkę, to fakt, że przetrwał w buszu, graniczył z cudem. Był rówieśnikiem tego miejsca, był wieczny, lecz z każdą minutą rodził się na nowo, tak jak sawanna.

Ken lustrował drobne ciało, zwłaszcza długie i odwiedzione paluchy stóp. Kiedy chłopiec stał nieruchomo, jego stopy przypominały wąskie dłonie o względnie krótkich palcach i nadmiernie rozwiniętych kościach nadgarstka, które przeobraziły się w pięty, jednak nadal wyglądały trochę jak nadgarstki.

To zadziwiające, że mając stopy o tak pierwotnej budowie, można tak dobrze chodzić i biegać. Ken zastanawiał się, czym się to dziecko żywi. „Musi tu być mnóstwo padliny” — pomyślał, czując ciepło słońca na czubku głowy i kojący powiew na karku. Za plecami miał bujną trawę sawanny, która przypominała ogród i w uderzający sposób kontrastowała z jałowym terenem po drugiej stronie czarnych skał. Ta strona, ujęta między dwie odnogi Mau, tworzyła wąski pas soczystej zieleni, znacznie bujniejszej niż tam, gdzie Ken natrafił na skamieniałość. Szczyt Mau utrzymywał, dzięki nieustannej otoczce chmur, stałą wilgotność. Nawet teraz, gdy słońce już wzeszło, nad granią unosiły się mgły, a wyższe partie lasu bardziej przypominały dżunglę niż sawannę. Pod względem klimatu i roślinności miejsce to było rajem, co w praktyce oznaczało obfitość mięsa — zarówno świeżego, jak i gnijącego. Chłopiec zebrał już kamienie. Dwa wsadził pod lewą pachę i przycisnął

zwieszonym ramieniem. Ken dostrzegł wyraźnie odcinające się wybrzuszenie mięśnia ramieniowego. Mały hominid obrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając mnóstwo śladów, za które Ken jeszcze parę dni wcześniej dałby się zabić.

Szedł powoli, spoglądając ponad trawami. Bacznie obserwował kolumny ptaków, które wznosząc się, łamały i przeformowały szyk. Wielkie informowały o padlinie, a także o miejscach odpoczynku kotowatych, drzemiących zwykle tuż obok zdobyczy. Mniejsze z kolei pokazywały wodę, w pobliżu której mogły wydziobywać z trawy ślimaki o miękkich skorupkach.

W kilka minut dotarli do znacznie większego jeziora o piaszczystych nieregularnych brzegach i przejrzystszej wodzie. Chłopiec rzucił kamienie i puścił się biegiem, aż rozwiewały mu się brudne włosy. Ze spojrzeniem utkwionym w ziemi rzucił się na coś szczupakiem.

Ken wyteżył wszystkie siły, by dotrzymać kroku biegnącemu.  
Dogonił go

w chwili, gdy chłopiec już wstawał. W jakby trzepoczących się rękach ścisnął wielkiego kreta, długiego na ponad dwadzieścia cali. Zwierzę bezsilnie wykrzywiało pyszczek. Hominid trzasnął go w gardło kantem dłoni, chwycił w obie ręce i grzmotnął mocno o ziemię. Zirytowany tym, że miękkość piaszczystego podłoża nie pozwoliła zabić zwierzęcia natychmiast, uderzał nim raz za razem. Potem — nie wiedzieć skąd — znalazł się w jego garści ostry kamień. Przebity kret pisnął cienko. Łowca padł na kolana i odczekał, aż miną ostatnie agonalne drgawki ofiary. Następnie rozejrzał się, szukając czegoś wzrokiem.

Dostrzegł Kena. Uniósł swą zdobycz i zatopił w niej zęby.

Dał świadectwo swojej zręczności i miał co jeść. Wykonał złożone zadanie, podwójnie satysfakcjonujące.

Ken siadł przy zagłębieniu z wodą. Słońce prażyło, a był bez kapelusza.

Zanurzył złożone dłonie w wodzie, zaczerpnął jej i zmoczył włosy. Potem czekał spokojnie, zadowolając się samym patrzeniem.

Obserwował, jak chłopak je, gryząc łapczywie i ukazując raz po raz zęby — płaskie, o kłach ledwo wyrastających poza linię trzonowców i siekaczy. Wielkie kły małp są długie, zastrzone i zachodzące na siebie.

Zęby chłopca nie miały w sobie nic małpiego. Jedyne małpi rys w jego wyglądzie — gdy tak siedział z palcami stóp zagłębionymi w piasku — stanowiło niskie czoło świadczące o mniejszym mózgu. Ale któż powiedział,

że większy mózg jest bardziej pożądany? Ken uśmiechnął się do dziecka, do

zagłębienia z wodą, do małego stadka broźców przechadzających się po

jeziorku i zagłębiających raz po raz w wodzie długie, smukłe dzioby.

Zrelaksowany, rozpostarł szeroko nogi i westchnął w poczuciu błęgiego zadowolenia. Zaraz jednak poderwał się, a wszystkie zmysły mu się wyostrzyły.

To chłopiec oderwał palcami kawałek miękkiego brzucha kreta i jaskrawo-

czerwona, ociekająca krwią grudka zamiast do jego ust powędrowała w kierunku twarzy Kena.

Był to poczęstunek.

Ken przez zmrużone oczy patrzył na bezkształtny czerwony ochłap i zastanawiał się, co zrobić. Jeśli przyjmie — nawiąże się między nimi bardziej intymna więź. Wziął więc miękki, krwawy, jeszcze ciepły kęs, z którego dopiero co uszło życie.

Chłopiec go obserwował.

„Zamarkuję tylko” — pomyślał Ken. Na oczach australopiteka uniósł

mięso do ust i dotknął górną wargą. Zawładnęło nim pragnienie, by spróbować.

Przełykał z głodu ślinę, ale żołądek kurczył się od wzbierającej odrazy. To

surowe białko, którego nie jadł ostatnio poza paroma orzechami. Miał teraz

pokarm, a to oznaczało albo zatrucie, albo przetrwanie.

„Ugryzę tylko kawałek” — uspokajał sam siebie. Kret należy do owadożernych, nie żywi się mięsem zwierząt, a już na pewno nie padliną.

W rzeczywistości mogło to być czystsze jedzenie i z pewnością lepiej przystosowane do potrzeb ludzkiego organizmu niż kurczaki z amerykańskich

supermarketów. Pił już przecież wodę z kałuży i, jak dotąd, nie wystąpiły

najmniejsze dolegliwości żołądkowe. Z wahaniem ugryzł mały kęs.

Był śliski i prawie bez smaku. Mały nie pogryziony kawałek przesunął

mu się przez gardło i na samą myśl o tym Ken omal nie zwymiotował. Pokarm dotarł do żołądka. Pierwszy kęs zaostrzył głód. Zjadł jeszcze odrobinę, przekonując samego siebie, że resztę powinien odrzucić, ale czuł

się wyczerpany, a w zasięgu ręki miał jedzenie.

Ugryzł kolejny kęs i przeżuwał. Tkanka była miękka i nie wydawała się zbyt pożywna — lekki posiłek z epoki kamienia.

Poczuł nagłe mdłości. Poderwał się na nogi, by dotrzeć do krzaka i zwymiotować poza zasięgiem wzroku chłopca, ale opadł na kolana i zwrócił mięso wraz z sokiem trawiennym. Wystawił sobie ocenę niedo-

stateczną z przystosowania się do życia w warunkach naturalnych. Niektórzy

przeżyli w dżungli lub na pustyni dzięki temu, że jedli własne paski i buty,

surowe myszy i ptaki lub nawet martwych towarzyszy. On nie należał do

tego grona.

Otarł twarz rękawem koszuli i zatoczył się — wygłodzony, upokorzony

i straszliwie na siebie zły.

Chłopiec siedział tam gdzie przedtem, miażdżąc zębami łeb kreta. Na

jego poziomie ewolucyjnym nie znano szacunku dla innej istoty, kiedy już nie

żyła. Mięso to mięso.

Ken zaobserwował, że chłopiec podniósł porzucony kawałek mięsa i wepchnął sobie do ust. Potem rozłożył się leniwie na brzegu jeziora i się

napił. Ken uczynił to samo, jakby chciał przybliżyć się ponownie, tym razem

z pokorą, do stanu zdrowej dzikości. Chłopiec beknął głaszcząc się z zado-

woleniem po nabrzmiałym brzuchu i sięgnął po swoje kamienie.

Parę chwil później znowu obaj szli — chłopiec z epoki kamienia na przedzie, współczesny mężczyzna za nim.

Mały hominid niósł kamienie z naturalną swobodą, świadczącą o tym, że

posługiwał się nimi od dziecka. Ken był teraz przekonany, że pochodzą one

z rumowiska czarnych bloków lawy. W okolicy nie występowały inne złoża

czarnych skał. Oznaczało to, że kamienie, które widzieli z Ngilim po raz

pierwszy dwadzieścia mil na południe, zostały tam przeniesione. Już sam ten fakt pozwalał określić je jako narzędzia. Przenoszenie bowiem i wykorzystywanie do polowania czyniło z ich użytkownika „człowieka uzdolnionego”, prawdziwego *Homo habilis*, który według klasycznej antropologii pojawił się dopiero wtedy, gdy pojemność ludzkiego mózgu wzrosła do przynajmniej siedmiuset pięćdziesięciu centymetrów sześciennych.

Jednakże mózg stworzenia, które szło przed Kenem — to skręcając w lewo lub w prawo, to znów zerkając na busz lub oglądając się na towarzysza — mógł mieć w najlepszym razie pięćset centymetrów sześciennych, a może nawet mniej, w zależności od grubości kości czaszki. Jego masa

# 4

O Dante, poeto światowej sławy — wzniosł inwokację Ken —  
w swej »Boskiej komedii« zapomniałeś wymienić wśród

najstraszliwszych tortur piekielnych afrykańską biegunkę."

Przykucał już szósty (a może siódmy?) raz w ciągu ostatnich dwóch godzin, wydalając cuchnącą ciecz. Między kolejnymi wypróżnieniami tak był

wyczerpany i zmożony bólami brzucha, że musiał leżeć. Nie panował nad

mięśniami odbytu, więc zdjął spodnie i zostawił je na trawie.

Możliwe, że zatrzał się mięsem kreta, ale najpewniej — wodą. Była w tym

okrutna ironia, gdyż biegunka odwodni go tak bardzo, że — jeśli chciał przeżyć jeszcze parę godzin — będzie musiał uzupełnić zapas wody, pijąc

znowu. Miał na sobie tylko spodnie, koszulę, slipy i wełniane skarpety, które

nosił do terenowych butów. Nie mógł pod żadnym pozorem ich zabrudzić.

Rozebrał się do naga i został w samych butach. Złożył ubranie na trawie,

dziękując nocy, że zaciągnęła kurtynę współczucia nad jego poniżeniem.

Nawet gdyby w tym momencie pojawił się Hendrijs, Ken nie czułby się

bardziej zmaltretowany czy bliski końca. Pomiędzy atakami kładł się na

plecach i delikatnie masował brzuch, usiłując namówić jelita do spokoju. „No

już — przymilał się — dość mnie ukarałyście."

Ale nie chciały mu wybaczyć.

Czuł taki ból, jakby przebijano mu krzyż żelaznym prętem.

Wstał księżyc i ataki się nasiliły. Dostał wysokiej gorączki i drżał tak, aż

szczękały mu zęby. Zastanawiał się, czy nie zjeść trochę trawy albo nie



pożuć  
kory, aby zająć czymś żołądek, ale brakło mu sił, by narwać źdźbeł albo  
dowlec się do drzewa.

Wiedział, że niebawem nadejdzie chwila, kiedy już nie zdoła  
wstać, tylko

zacznie robić pod siebie. Co gorsza, znów poczuł pragnienie, które  
paliło mu  
wnętrznosci i wysuszało usta. Pod wpływem gorączki miał wrażenie, że  
oddycha ogniem.

W pewnej chwili usłyszał, że głośno majaczy. Dał wykład o  
dwunożności  
i odpowiadał na pytania audytorium. Kiedy pytania się skończyły,  
stwierdził,

że pije wodę z kałuży u końca potoku. Kałuża kurczyła się, więc kiedy podpełźnie do niej następnym razem, zapewne nie będzie już wody.

Odszedł na chwiejnych nogach. Jakimś cudem czuł się nieco lepiej.

Ataki

biegunki następowały rzadziej, chyba raz na godzinę. Potem raz na dwie, trzy

godziny. W pewnym momencie natknął się na swoje slipy, wciągnął je, ale

nie odnalazł spodni i koszuli. Czuł tak dotkliwe bóle, że przy ubieraniu aż

jęczał. Usiłował wrócić pod drzewo mungongo, lecz zamiast tego znalazł się

na jakimś jałowym terenie. Nad głową świecił mamiąco księżyc. Ken czuł się

tak wyczerpany, że spodziewał się, iż serce samo przestanie mu bić. Będąc

w takim stanie, usłyszał dźwięk bębnow. Ale to nie bębny były, lecz wielkie

krople deszczu, padające rzadko i spokojnie na żdźbła traw i liście.

Mgły znad szczytu opadały rześkim, leniwym deszczem, ostatnim w przedłużającej się porze deszczowej. Ken, zamknawszy oczy, leżał na trawie z otwartymi ustami, spijając kojący smak deszczówki. Krztusił się

i kaszłał.

Omdlał wśród padającego deszczu.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał w jakimś ciasnym i mrocznym pomieszczeniu i oddychał chłodnym powietrzem o przenikliwej woni niczym

zapach łąjna nietoperza w jaskini. Być może wpadł w jakąś dziurę i zanieczyścił

ją własnymi odchodami. Nie mógł tego stwierdzić. Nadal czuł się niezwykle słabo, choć, na szczęście, gorączka minęła.

Skądś padał odblask światła, ale nie widział jego źródła. Leżał na plecach,

nie odczuwał chwilowo bólów brzucha, ale był tak wyczerpany, że nie mógł

unieść ramion, choć wiedział, że dotykają chłodnej, wilgotnej ziemi.

Czując się jak pogrzebana mumia, śledził wzrokiem, chyba przez wiele

godzin, stopniową zmianę oświetlenia. Wreszcie uniósł się na łokciach, po

chwili usiadł i zaraz poczuł dojmujący ból, walnąwszy głową w niski skalny

strop.

Leżąc na plecach, wyczołgał się niezgrabnie do miejsca, gdzie było więcej przestrzeni. Uniósł wzrok i zobaczył okrągły szarawy otwór, który

okazał się wylotem skalnego komina. Tunel prowadził do otworu na powierzchni, ukrytego wśród rosnących zarośli, które w promieniach

słońca  
wyglądały dziwnie pięknie i przejrzyście. Ken znajdował się zapewne  
tylko  
parę stóp pod ziemią, ale cały tunel, przez który niegdyś wydobywały  
się gazy  
wulkaniczne, był długi i chyba niełatwy do sforsowania.

Mimo to świadomość, że nie został żywcem pogrzebany i że praw-  
dopodobnie nie jest więźniem, przyniosła mu ulgę. Kominem tym dało  
się  
wspiąć do góry. Wystarczy, że poczeka na powrót sił.

Przenikające przez otwór światło słoneczne stawało się coraz  
mocniejsze

i w miarę jak w jaskini robiło się jaśniej, Ken zauważał, że komin  
wykorzystywano już od pewnego czasu — choć nie czuł się właściwie  
uprawniony, żeby narzekać na brzydkie zapachy. Część  
ciemnoszarego

# 4

O Dante, poeto światowej sławy — wzniosł inwokację Ken —

w swej »Boskiej komedii« zapomniałeś wymienić wśród

najstraszliwszych tortur piekielnych afrykańską biegunkę."

Przykucał już szósty (a może siódmy?) raz w ciągu ostatnich dwóch

godzin, wydalając cuchnącą ciecz. Między kolejnymi wypróżnieniami tak był

wyczerpany i zmożony bólami brzucha, że musiał leżeć. Nie panował nad

mięśniami odbytu, więc zdjął spodnie i zostawił je na trawie.

Możliwe, że zatrzał się mięsem kreta, ale najpewniej — wodą. Była w tym

okrutna ironia, gdyż biegunka odwodni go tak bardzo, że — jeśli chciał przeżyć jeszcze parę godzin — będzie musiał uzupełnić zapas wody, pijąc

znowu. Miał na sobie tylko spodnie, koszulę, slipy i wełniane skarpety, które

nosił do terenowych butów. Nie mógł pod żadnym pozorem ich zabrudzić.

Rozebrał się do naga i został w samych butach. Złożył ubranie na trawie,

dziękując nocy, że zaciągnęła kurtynę współczucia nad jego poniżeniem.

Nawet gdyby w tym momencie pojawił się Hendrijs, Ken nie czułby się

bardziej zmaltretowany czy bliski końca. Pomiedzy atakami kładł się na

plecach i delikatnie masował brzuch, usiłując namówić jelita do spokoju. „No

już — przymiłał się — dość mnie ukarałyście."

Ale nie chciały mu wybaczyć.

Czuł taki ból, jakby przebijano mu krzyż żelaznym prętem.

Wstał księżyc i ataki się nasiliły. Dostał wysokiej gorączki i drżał tak, aż

szczękały mu zęby. Zastanawiał się, czy nie zjeść trochę trawy albo nie pożuć kory, aby zająć czymś żołądek, ale brakło mu sił, by narwać źdźbeł albo dowlec się do drzewa.

Wiedział, że niebawem nadejdzie chwila, kiedy już nie zdoła wstać, tylko zacznie robić pod siebie. Co gorsza, znów poczuł pragnienie, które paliło mu wnętrzności i wysuszało usta. Pod wpływem gorączki miał wrażenie, że oddycha ogniem.

W pewnej chwili usłyszał, że głośno majaczy. Dał wykład o dwunożności i odpowiadał na pytania audytorium. Kiedy pytania się skończyły, stwierdził,

że pije wodę z kałuży u końca potoku. Kałuża kurczyła się, więc kiedy podpełźnie do niej następnym razem, zapewne nie będzie już wody.

Odszedł na chwiejnych nogach. Jakimś cudem czuł się nieco lepiej.

Ataki

biegunki następowały rzadziej, chyba raz na godzinę. Potem raz na dwie, trzy

godziny. W pewnym momencie natknął się na swoje slipy, wciągnął je, ale

nie odnalazł spodni i koszuli. Czuł tak dotkliwe bóle, że przy ubieraniu aż

jęczał. Usiłował wrócić pod drzewo mungongo, lecz zamiast tego znalazł się

na jakimś jałowym terenie. Nad głową świecił mamiąco księżyc. Ken czuł się

tak wyczerpany, że spodziewał się, iż serce samo przestanie mu bić. Będąc

w takim stanie, usłyszał dźwięk bębnow. Ale to nie bębny były, lecz wielkie

krople deszczu, padające rzadko i spokojnie na żdźbła traw i liście.

Mgły znad szczytu opadały rześistym, leniwym deszczem, ostatnim w przedłużającej się porze deszczowej. Ken, zamknawszy oczy, leżał na trawie z otwartymi ustami, spijając kojący smak deszczówki. Krztusił się

i kaszłał.

Omdlał wśród padającego deszczu.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał w jakimś ciasnym i mrocznym pomieszczeniu i oddychał chłodnym powietrzem o przenikliwej woni niczym

zapach łąjna nietoperza w jaskini. Być może wpadł w jakąś dziurę i zanieczyś-

cił ją własnymi odchodami. Nie mógł tego stwierdzić. Nadal czuł się niezwykle słabo, choć, na szczęście, gorączka minęła.

Skądś padał odblask światła, ale nie widział jego źródła. Leżał na plecach,

nie odczuwał chwilowo bólów brzucha, ale był tak wyczerpany, że nie mógł

unieść ramion, choć wiedział, że dotykają chłodnej, wilgotnej ziemi.

Czując się jak pogrzebana mumia, śledził wzrokiem, chyba przez wiele

godzin, stopniową zmianę oświetlenia. Wreszcie uniósł się na łokciach, po

chwili usiadł i zaraz poczuł dojmujący ból, walnąwszy głową w niski skalny

strop.

Leżąc na plecach, wyczołgał się niezgrabnie do miejsca, gdzie było więcej przestrzeni. Uniósł wzrok i zobaczył okrągły szarawy otwór, który

okazał się wylotem skalnego komina. Tunel prowadził do otworu na powierzchni, ukrytego wśród rosnących zarośli, które w promieniach

słońca  
wyglądały dziwnie pięknie i przejrzyście. Ken znajdował się zapewne tylko parę stóp pod ziemią, ale cały tunel, przez który niegdyś wydobywały się gazy wulkaniczne, był długi i chyba niełatwy do sforsowania.

Mimo to świadomość, że nie został żywcem pogrzebany i że prawdopodobnie nie jest więźniem, przyniosła mu ulgę. Kominem tym dało się wspiąć do góry. Wystarczy, że poczeka na powrót sił.

Przenikające przez otwór światło słoneczne stawało się coraz mocniejsze

i w miarę jak w jaskini robiło się jaśniej, Ken zauważał, że komin wykorzystywano już od pewnego czasu — choć nie czuł się właściwie uprawniony, żeby narzekać na brzydkie zapachy. Część ciemnoszarego

podłóża wyglądała tak, jakby ktoś tam sypiał, a nieco dalej leżały dwa przedmioty.

Wyciągnął z wahaniem rękę i przybliżył do oczu kawałek białej kości.

Odłożył ją szybko i sięgnął po drugi przedmiot. Była to jego zapalniczka

zgubiona w czasie ostatniej wycieczki na Dogilani. Chłopiec podniósł ją,

wiedząc do kogo należy. W sumie mały lepiej znał Kena Laudera, niż Ken

Lauder to sobie wyobrażał, co tłumaczyło względną łatwość, z jaką

nawiązali

pierwszy kontakt, i zaufanie chłopca.

Potem przyszło mu na myśl, że znajduje się przy legowisku hominida,

a nic nie wskazywało, by jeszcze ktoś tam mieszkał. Chłopiec żył samotnie

i nie spotykał się z rodzicami lub krewnymi od co najmniej dziesięciu

dni,

może nawet dłużej.

Mały hominid polował na otwartej przestrzeni, noce natomiast spędzał

tutaj, w miejscu dobrze osłoniętym. Nie ukrywał się, ale miał się na

baczności

przed drapieżnikami lub może nawet jakimiś wrogami.

Na koniec Ken zdał sobie sprawę, że chłopiec pogłębił ich

wzajemne

zaufanie, sprowadzając go do swojego schronienia. Nie mógł się oprzeć

wzruszeniu.

Znów podniósł kość. Wyglądała na ludzką kość ramieniową. Po co

ten

mały ją trzymał? Czy to narzędzie, czy zabawka, czy może obiekt

służący

nawiązaniu więzi ze zmarłym krewniakiem?

Otworzył zapalniczkę i pstryknął. Za drugim obrotem kamienia

błysnęła

iskra i zapłonął słaby niebieski płomyk.

Zgasił go, czując, że posiadanie ognia, nawet w tak ograniczonym

zakresie, przywróciło mu normalne umiejętności i moc istoty *Homo sapiens*.

Nagle wewnątrz komina załało oślepiające światło — ktoś odsunął

zasłonę

krzewów, kryjącą otwór wejściowy. Zaraz potem przysłoniło go

wpełzające

do środka na czworakach ciało. Patrząc w górę, Ken ujrzał ogromną

twarz

o parze wąsko rozstawionych oczu. Stworzenie wpełzające do jaskini,

czymkolwiek było, wydawało charakterystyczne dźwięki: „mhmf, mhmf”.

Czuł zbyt wielkie osłabienie, by wpaść w popłoch. „To koniec —

powiedział sobie — szybko się zakończy walka między głodną bestią



a wycieńczonym człowiekiem." Walka na oślep, krótka i anonimowa, walka pod powierzchnią ziemi. Starał się rozpoznać zwierzę po wydawanych przez nie dźwiękach, ale w niczym nie przypominały ani głosu kotowatych, ani naczelnych.

Był to chłopiec. Zdziwił się, widząc Kena w innym końcu jaskini, niż go zostawił, i krzyknął zaskoczony, wypuszczając z ust martwego jeża, którego obdarł ze skóry, zostawiając tylko cześć nad ogonem.

Siedzieli w ciemności, wpatrując się w siebie. Po chwili hominid odwrócił się i pospiesznie wycofał z komina.

Niebawem wczołgał się z powrotem, jeszcze wolniej i ostrożniej. Tym

razem poruszał się tylko na trzech kończynach: w prawej ręce niósł na wielkim dłoniastym liściu nieco wody.

Słyszeć tę istotę było rzeczą chyba jeszcze bardziej niezwykłą niż ją widzieć.

Przebywając z chłopcem w tak ciasnym pomieszczeniu, Ken intensywniej wyczuwał jego niepokój. Hominid odłożył liść i usiadł drżąc niecierpliwie.

Z jego piersi dobywał się dźwięk przypominający westchnienie: „haa-haa-haa”.

Zadyszał się po prostu, przynosząc jedzenie i picie. Potrząsnął głową, kichnął, wciągnął do nozdrzy śluz, następnie powąchał powietrze, jakby sprawdzając,

w jakim stopniu woń Kena zmieszała się z zapachami jego domu. Wyciągnął

jasnobrązową rękę, która w odbitych promieniach słońca nabrała demonicznej

czerni, i wskazał jeża. Ken czuł słaby odór krwi i rozerwanych wnętrzności.

Znów zebrało mu się na wymioty. Zaciśnął zęby i zdołał się opanować.

Doznał tryumfalnego uczucia, że ponownie jest dawnym sobą. Chłopiec musiał to spostrzec, bo na chwilę znieruchomiał i bacznie się przypatrywał jego twarzy.

Potem znów zaczął się wiercić (tylko tym słowem dało się to określić).

Długim palcem wskazał wodę lśniąca na wielkim liściu. Tym samym palcem

szturchnął małego jeża i Ken odniósł wrażenie, że zrobił to nieco okrutnie,

ale z okrucieństwem buszu — szybko i bez sadyzmu. Bez wątpienia chciał

wiedzieć, czy Ken zamierza to zjeść; bo jeśli nie, to on nadal jest głodny. Ken

zaśmiał się cicho. Potem umilkł uświadomiwszy sobie, że niepokój chłopca

wywołany jest także ich wzajemną bliskością — chyba po raz pierwszy dziecko dostrzegło w nim potencjalnego agresora; na powierzchni ziemi mogło szybko umknąć, ale tutaj pozostawało na łasce większego stworzenia.

Ken roześmiał się — wyłącznie dla rozładowania napięcia.

Zupełnie nieoczekiwanie australopitek zaśmiał się również.

Wydał wysoki, piskliwy dźwięk. Krtań miał umieszczoną nie dość głęboko, aby artykułować rzeczywiście dźwięczne sylaby. Ale to był śmiech —

napięty, pozbawiony radości i zupełnie ludzki śmiech. Chłopiec reagował tak

jak człowiek dobrze wychowany, który znalazł się raptem z kimś nieznanym

w ciasnym pomieszczeniu, na przykład w unieruchomionej windzie.

„Rozśmiesz go jeszcze” — pomyślał Ken.

Szybko podniósł dłoniasty liść, starając się wymyślić coś zabawnego.

Zanim cokolwiek przyszło mu do głowy, kichnął mocno w sam środek trzymanej na dłoni wody, rozpryskując ją na twarz i piersi. Chłopiec uniósł

ku górze wydatne wargi oraz słabo zarysowany podbródek i ryknął śmiechem.

Ken oblizał gniewnie liść i wilgotną dłoń, wysssał opryskane wargi i znów

wylizał ręce, by nie uronić ani kropli. Chłopak, rozbawiony teraz na dobre,

od wycia przeszedł do s&\$Lurywanych chichotów, przypominających szczek-

nięcia. Ken — mokry, zniechęcony i słaby --- roześmiał się również.

Przyszło mu do głowy, że bardzo przydałby się magnetofon.

Uśmiadomiw-

szy sobie absurdalność tego pomysłu, Śmiał się w duchu. Przebywał teraz

w pliocenie. A tu magnetofonów nie mieli.

Teraz liczył się tylko śmiech. Obserwował u zwierząt wiele objawów

wesołości lub zadowolenia, ale nie poczucie humoru jako takie. Szimpansy

znane są z tego, że płatają sobie wzajemnie figle, często dosyć niewybredne,  
i szaleją z radości, kiedy im się to powiedzie, niemniej poczucie humoru, jako czynnik budujący zaufanie, to cecha wyłącznie ludzka.

Wciąż chichocząc Ken wskazał martwego jeża, dając chłopcu znak, że może go sobie zjeść.

Hominid wyciągnął rękę gestem tak instynktownie zwierzęcym, że Ken

aż się cofnął. Chłopiec wepchnął do ust miękki brzuch jeża i połykał kęs tak ogromny, że aż wyszły mu na wierzch oczy, a Kenowi na ten widok zaparło

dech. „Ostrożnie” — chciał go ostrzec. Poczul, że drży, widząc jak wielki,

ledwo pogryziony kawałek mięsa przesuwa się wyraźnie wzdłuż przełyku chłopca, a mały stuka się w pierś, by pomóc sobie w przełknięciu.

Ken odetchnął z ulgą.

Jeż to w końcu kawałek mięsa. Konsument z epoki kamiennej, napelniwszy chwilowo brzuch, bekał więc z sytości.

Ken znów zaczął się śmiać. Chłopiec chichotał do wtóru, ale z nieco

zdziwioną miną. Nie miał pewności, dlaczego teraz się śmieją, ale chętnie się dołączył. Śmiał się chyba tylko dlatego, żeby jego gość nie robił tego samotnie.

„To niemożliwe — pomyślał Ken poruszony — ten chłopak zbyt dobrze

sobie radzi i przystosowuje, żeby mógł być tym, za kogo go uważam.”

Kął twarzowy i szczęki ma jak u małpy, co widać jeszcze wyraźniej, kiedy je. I te jego śmieszne stopy.

Małpa i coś z człowieka, człowiek i coś z małpy — musi być tym, kim jest.

Nie mógł to być po prostu przypadek złożonego atawizmu, jednoczesnego nawarstwienia wielu cech pierwotnych. U ludzi współczesnych występują

niekiedy niższe czoła, bardziej pociągłe twarze, masywniejsze wały nadoczodołowe, dłuższe ręce, stopy i palce stóp, ale nigdy wszystkie te cechy naraz.

„Gdzie są twoi krewniacy, chłopcze?” — miał ochotę zapytać. Nie było

jednak sposobu, żeby to zrobić.

Nigdy chyba nie uda mu się zadać pytania podobnemu osobnikowi.

Dziecko znów zrobiło się niespokojne — jak Ken zdołał już zauważyć, okresy pełnej koncentracji trwały krótko — rzuciło zabite zwierzę na ziemię

i zaczęło się podnosić; cmoknęło językiem, wsparło się rękami o wewnętrzne ścianki skalnego tunelu i podciągnęło do góry.

„Idź, dokąd cię przyzywa młodość” — pomyślał Ken. Zdumiało go, że

reaguje zupełnie jak starzec. W końcu miał dopiero dwadzieścia osiem lat.

Ale dwadzieścia osiem lat to dojrzały wiek jak na praczłowieka.

Ken stracił poczucie czasu. Zapadał w drzemkę, budził się, zasypiał.

W okresach świadomości czuł, że powoli odzyskuje siły.

Był następny ranek.

Najpierw usłyszał ten chichot, niski niczym radosne poszczekiwanie

szczeniaka. Po chwili kominem zszedł hominid, niosąc zieloną, wstrętne

wyglądającą bulwę. Zeskoczył parę kroków przed końcem tunelu i wylądował

na podłodze jaskini na ugiętych mocnych, kragłych kolanach, uderzając długimi stopami w ziemię — zwinnie i bez wahania. Znow rozległ się ten krótki śmiech, który stał się ich wspólnym małym rytuałem, gdy w chwilach odzyskiwania świadomości przez Kena hominid wpadał lub wypadał z jaskini. Paleontolog szybko odpowiedział chichotem stanowiącym rodzaj powitania zastępującego mruknięcie, obwężywanie czy dotyk.

Chłopiec klapnął na ziemię i wgrzył się w bulwę, aby pokazać, że nadaje się do jedzenia. Ken zauważył, że — jak dotąd — mały nie jadał padliny, lecz to, co sam upolował; doceniał też, jak się wydawało, przynajmniej jeden gatunek warzyw. Czy przejął te umiejętności od krewniaków? A może nauczył się tego sam? Trudno było stwierdzić. Okryta szorstką skórą bulwa smakowała wodniście i gorzko i była mało sycąca, ale Ken potrzebował pożywienia. Zjadł ją wraz ze skórką, podczas gdy chłopiec odwrócił się niespokojnie, żeby znow wyleźć z jaskini.

— Przynieś mi więcej — odezwał się Ken łagodnie, ale głośno. Chłopiec tylko spojrzął, po czym odwrócił się i podciągnął w górę tunelu. Głos Kena nie przstraszył go ani nie zaskoczył. „Rozmawiałem przez sen — powiedział do siebie młody człowiek — albo majaczyłem w gorączce.”

Znow zirytowało go własne podejście — oczekiwał, że stworzenie zareaguje obawą, oszołomieniem czy nawet ucieczką ze strachu. Powinien wyzbyć się wszelkich oczekiwań. „Odpręż się, Lauder, i ciesz tym, że nie musisz być naukowcem. Po pierwsze, czoło tego chłopca jest może niskie, a płaty czołowe mniejsze niż twoje, ale to dlatego, że na tym etapie pamięć i myślenie abstrakcyjne nie muszą być tak rozwinięte. A temu właśnie służą te płaty. Teraz natomiast do niczego by mu się nie przydały. Cóż bowiem miałby zapamiętywać oprócz sposobów przetrwania w buszu? Nad czym miałby rozmyślać? A tak na marginesie, zawsze nabijałeś się z klasycznej antropologii, przyjmującej, że praludzie to niezgrabne małpy. Ciesz się, że możesz studiować długopalcego, który tak spontanicznie przystosowuje się do nowej sytuacji.”

Znow przywołał się do porządku. Nigdy nie lubił „studiowania”, a czyż to nie było właśnie „studiowaniem”?

Ilekcio znalazł się z tym chłopcem twarzą w twarz, czuł, że nie jest już

Kenem Lauderem, lecz kimś więcej i zarazem kimś mniej — nieznaną istotą,

która zetknęła się z inną nieznaną istotą. Zdawał sobie sprawę, że tego wszystkiego nie analizuje, lecz absorbuje. Nosem, uszami, oczami, zmysłem

temperatury i dotyku chłonał chłopca, a on — jego.

W okresie choroby i rekonwalescencji wciąż niepokoiła Kena myśl, że

wśród bloków lawy pojawi się Hendrijs. Co wtedy ma zrobić?

Modlił się, żeby polowanie na człowieka się zakończyło. — Może lepiej,

Długopalcu, żebyś nie poznał nas, przedstawicieli gatunku *Homo sapiens*, od

razu z najgorszej strony — wymruczał w ciemności. — Może lepiej, byś pozbywał się złudzeń stopniowo, jeśli w ogóle je masz.

Pokrywa liści znów się odsunęła i coś z góry spadło. Zmięte, splukane deszczem spodnie.

Chłopiec odnalazł je. Trudno było stwierdzić, czy wiedział, co to takiego, jednak przyniósł je swemu gościowi, gdy ten nie był już tak chory i bezsilny.

Ken wstał nieco chwiejnie. Odczuwał lekkość — z pewnością stracił na wadze. Wsadził jedną, potem drugą nogę w nogawki spodni. Odzyskał typowe dla współczesnego człowieka poczucie, że w ubraniu jest silniejszy i mniej bezbronny. Wsadził zapalniczkę do kieszeni. To tylko podniesiony przez chłopca przedmiot, ale właśnie od tego — od przedmiotów — zaczynało się zawsze osvajanie dzikiej przyrody.

Czuł się wystarczająco silny, by wspiąć się na górę. Będąc jeszcze w kominie, usłyszał samolot. Znieruchomiał, usiłując sobie przypomnieć, jak długo tu przebywa.

Ngili i tropiciele odjechali z Dogilani w niedzielę. On gorączkowo wędrował przez dwa dni, potem spotkał chłopca, i przez następne dwa, trzy dni walczył z chorobą. Nie była to zatem następna niedziela, kiedy Ngili miał wrócić z prowiantem i odebrać pierwszy raport.

Samolot zbliżył się i Ken rozpoznał dźwięk silnika.

To beech lightning Hendrijksa.

Trwał jak skamieniały w kominie skalnym, kiedy zaś po chwili spróbował

piąć się szybciej, stwierdził, że powierzchnia skały jest zaskakująco śliska

i trudno mu znaleźć chywy. Intensywnie myślał. Gdzie jest koszula?

Dojrzana z samolotu mogła zdradzić ich miejsce pobytu. Gdzie są okulary noktowizyjne, które zgubił po natknięciu się na spadochron? One też stanowiły

ślad jego obecności. Sklął się w duchu za to, że ich dotąd nie odszukał.

Pomyślał o małym hominidzie. Co się z nim stanie? Może będzie musiał

patrzeć na to, jak Ken zostaje ranny albo zabity. Albo jeszcze gorzej — sam

zostanie schwytyany. Mało prawdopodobne, żeby Hendrijks dostarczył ten

unikatowy okaz wydziałowi paleoantropologii na uniwersytecie w Nairobi.

Ken wyobraził sobie chłopca w więzach, ciągniętego niczym jakiś potworek wśród rubasznych śmiechów do cuchnącego obozu kłusowników albo walącego



się posterunku granicznego.

Dotarł do otworu i, uczepiwszy się rękami skał, wydostał na zewnątrz.

Potknął się, oślepiiony światłem.

Chłopiec stał przy krzaku.

Buczenie samolotu wprowadziło hominida w podniecenie.

Był dość rozczarowany tym, że obcy przybył tu bez swego owada-bulwy, teraz natomiast owad przyleciał za nim.

Uniósł ku niebu twarz rozpromienioną jak u dziecka spodziewającego się wspaniałej zabawki.

Był w dobrym nastroju, gdyż wydarzenia ostatnich paru dni stanowiły

istną rozkosz. Z bliska obcy jeszcze bardziej go fascynował, a w miarę jak

poznawał go lepiej — coraz bardziej intrygował.

Dlatego był zaskoczony widząc, że obcy wyskakuje z komina w pomiętych

spodniach, wydając przy tym nieprzyjemne sapiące i grzechoczące dźwięki

(Ken dyszał i kłał), i biega jak szalony wśród trawy, rumowiska skał wulkanicznych, wokół drzewa mungongo i nad strumieniem w poszukiwaniu koszuli.

Buczenie samolotu przybliżyło się. Ken już się opanował i próbował teraz

użyć uspokajającej siły swego głosu: — To nic złego, Długopalcy. — Pomyślał, że może powinien mówić w suahili zamiast po angielsku, ale uświadomił sobie, że oba języki są dla chłopca równie niezrozumiałe. — To

tylko taka mała gra *Homo sapiens*. Wojna wewnątrz gatunku.

Ogarnęło go tak okropne poczucie winy z powodu chłopca, że zastanawiał

się, czy nie wybiec na otwartą przestrzeń i poddać się. Ale nawet to nie zagwarantowałyby hominidowi bezpieczeństwa.

Ken potrzebował broni. Gdzieś w zaroślach obok jaskini leżał zapewne nóż. Ale to za mało. „Potrzebuję broni” — pomyślał.

Buczenie samolotu stało się intensywniejsze, jakby maszyna leciała nisko, okrążając po kolei kępy drzew.

Nie mógł znaleźć koszuli. Deszcz zmienił wąły strumyk w rwący potok

i sfluwał grunt tam, gdzie nie umacniały go zarośla. Koszula została zapewne

zmyta, nie miał jednak czasu, by się o tym przekonać — warkot samolotu był

coraz bliższy — musiał zatem zniknąć jakoś wraz z chłopcem z widoku.

Sięgnął do kieszeni. — Spójrz, Długopalcy — wymamrotał unosząc zapalniczkę.

Hominid ujrzał w ręku obcego lśniący kamień. Obcy potarł go z wierzchu kciukiem.

Chłopiec widywał ogień, gdy płonął busz, nigdy natomiast w postaci

drobnego, jarzącego się żółto płomyka, który obcy przybliżył sobie do twarzy

i zdmuchnął. Następnie znów go wywołał, przybliżył do twarzy chłopca, pozwalając mu cieszyć się widokiem drobego żywego ognika. Cofnął się do

wejścia do jaskini, by pokazać mu, że w ciemności ogień świeci jeszcze mocniej i bardziej jaskrawo.

Deszcz zmył koszulę Kena do strumienia, który poniósł ją parę mil dalej. Rozpościerana i zwijana przez kapryśny nurt, chwytając wyrwane gałązki i bryłki ziemi, aż wreszcie — zwinięta w kłębek — zabłpkowała wodę niczym mała tama. Nazajutrz późnym rankiem, gdy przestało padać, unosiła się na środku strumienia, wzdęta i zabłocona niczym utopione zwierzę.

Jakiś marabut opadł na nią, trzepocząc skrzydłami, i skubnął z ciekawości

dziobem. Natrafił na rękaw, ale pociągnawszy go, nie poczuł krwi ani żywych tkanek, więc stracił zainteresowanie, puścił i odleciał.

Trzęsawisko wysychało pod pnącym się po niebie słońcem. Mijały godziny.

Znalazłszy się w jaskini, Ken szybko przeciął palcem drobny płomyk.

Poczuł jego liźnięcie, więc przesunął teraz palec pod innym kątem. Eks-

peryment przeprowadzał na oczach zafascynowanego chłopca.

Starał się pokazać, że taka zabawa nie jest niebezpieczna. Ale mały hominid nie chciał przekonać się osobiście, że ogień jest przyjaznym żywiołem.

To Kenowi odpowiadało. Im dłużej zajmie uwagę chłopca, tym większe ma

szanse na to, że samolot, okrążywszy teren nad jaskinią, odleci.

Musiał jednak zachowywać się roztropnie — zapalniczka zawierała tylko

ograniczoną ilość gazu — by nie stracić swego jedyne go źródła ognia. Musiał

znaleźć coś, co zapali się od płomienia zapalniczki. Ale co?

Akurat w tym momencie chłopiec sięgnął po zapalniczkę. Ken ułożył

jego ciemny kciuk — jak na swe rozmiary wydawał się on szokująco muskularny — na mechanizmie krzesającym iskrę i przesunął po urządzeniu,

opanowując jednocześnie drzenie wywołane pierwszym bezpośrednim kon-

taktem z ciałem chłopca.

Hominid zrobił to teraz sam, ale zbyt mocno i nie udało mu się.

Upuścił

rozgrzaną zapalniczkę.

Ken podniósł ją cierpliwie i znów zaczął manipulować, nasłuchując jednocześnie dźwięku samolotu i analizując z praktycznego punktu widzenia

swoje położenie. Nie znalazł zasobnika ratunkowego. Drugi znajdował się na

przeciwległym krańcu rejonu wyznaczonego do badań. Dojście wymagałoby

przemieszczania się po otwartej przestrzeni i zabrałoby mu, albo im, kilka dni.

A teraz miał pewność, że jest ścigany.

Musiał znaleźć inne rozwiązanie niż dotarcie do zasobnika lub wyznaczonego miejsca spotkania z Ngilim. Co się jednak stanie, jeśli nie dotrze

na spotkanie z przyjacielem, zakładając, że nie bierze on udziału w spisku?

Uświadomił sobie, że ratunek może znaleźć w małych zalesionych dolinkach, ukrytych wśród odnóg Mau. Wąskie i kręte, nie dawały się

przeszukać z nisko lecącego samolotu. Jego prześladowcy musieliby przybyć

tam pieszo, co dawało mu daleko większe szanse.

„Potrzebuję broni. Nie mogę dopuścić, by zaatakował nas jakiś lampart.

Albo lew.

Potrzebuję broni. Zrobię ją sam.”

Płomień zapalniczki palił się teraz bardzo słabo, zużywając niemal ostatnie krople gazu. Ken musiał znaleźć coś, co mógłby zapalić, zanim wyczerpie się paliwo.

Dziecko wyjęło mu zapalniczkę z ręki, gdy płomień jeszcze się palił.

Wydało gardłowy, ostrzegawczy dźwięk: „rrrr”. Ken oderwał kieszeń od

spodni. Była zmięta, ale sucha dzięki bliskości ciała. Przytknął ją do płomienia i uśmiechnął się szerzej, gdy tkanina zajęła się ogniem, a niebieskawo-  
kawy płomyk urósł zmieniając barwę na głębokożółtą.

Chłopiec umilkł. Tylko oczy, szeroko rozwarte, świadczyły o niepo-  
wtarzalności tej chwili. Ich gałki stały się lśniące, opalizująco białe, a rozszerzone źrenice otoczył delikatny czerwonawy blask.

Hominid zaskoczył Kena swoją reakcją: odstąpił dwa kroki w tył, padł na  
kolana i łokcie, i z twarzą wysoko uniesioną pozostał w tej pozycji symbolizującej uległość i bezbronność.

Ken puścił płonąca tkaninę i siadł. Chłopiec przeturlał się po ziemi i siadł

obok, niemal ramię w ramię. Potem oparł się o niego lekliwie, a zarazem  
natarczywie, jakby ten kontakt dawał mu siłę do stawienia czoła  
ogniowi.

Siedzieli tak obok siebie, utkwivszy wzrok w niskich płomieniach, i każdy  
z nich wiedział, że drugi obserwuje tę samą kapryśną naturę światła.

Ken aż spocił się i zacisnął zęby.

„Bingo — pomyślał — całkowite zaufanie.”

Wiedział, że wyrażało się ono nie słowach, lecz w wartości, jaką  
ma ta  
chwila, i że sięgało samych podstaw ich egzystencji.

Może sprawiła to moc owej chwili, a może siła jego wyobraźni,  
dość że  
dźwięk samolotu stał się teraz odleglejszy.

Aż wreszcie przestał być słyszalny. Warkot silnika umilkł.

Tego samego dnia po południu szponiasta dłoń uniosła zmiętą  
koszulę Kena,  
a kilka par stóp w wytartych butach skupiło się przy wyschłym  
bagnisku. Modibo  
oglądał koszulę ze wszystkich stron i obmacywał stwardniałymi  
palcami.

— Nie żyje, nie żyje! — zawołał tylko Hendrijs, zanim wykonał  
groteskowy taniec, skacząc w koło i sięgając po koszulę. Modibo  
wyszarpnął  
mu ją. Pilot zsunął na tył głowy kapelusz. Ukazało się karmazynowe  
czoło,

przecięte w połowie odcisniętym śladem po pasku.

— On nie żyje, no nie? No nie? — wrzasnął, nie kryjąc już  
zmęczenia

ostatnimi pięcioma dniami nieustannych lotów, lądowań i  
przeszukiwania

buszu, kiedy musiał spoglądać jednocześnie przed i za siebie,  
trzymając rękę  
na kolbie swego szwajcarskiego pistoletu „Sig-Hammerli.45”. Sypiał

nie  
dłużej niż po piętnaście minut, jak robią to pawiany i ptaki z buszu.  
Zapłacił  
Modibowi i pozostałym Afrykanom za pięciodniowe polowanie na  
człowieka,  
nie pomyślał jednak o tym, by zabrać ze sobą innego *witte* (po  
afrykanersku —  
„biały”). Toteż spędził tu najgorsze noce swego życia w  
paranoicznym lęku,  
że czarni zabiją go i sprzedadzą samolot.  
— Gadaj, do cholery! — wrzasnął na Modiba.  
Sierżant rozpostarł koszulę i trzymając ją blisko paciorkowatych  
oczu  
obrócił na drugą stronę. Nawet powąchał. W końcu wypuścił z rąk.  
— Modzie nie zginął — rzekł zamyślony. — Nie ma na niej krwi,  
nie  
sądzę.

— Ale padało! Deszcz zmył krew!

— Modzie miał pragnienie i pił deść.

Hendrijs miał wrażenie, że postrada zmysły. Spojrzał na rozgrzaną równinę i na otwartej przestrzeni dostrzegł szakala siedzącego na tle zamglonej skarpy. Żwierzę wywiesiło z gorąca język i spoglądało jakby z szyderstwem.

— Modzie zbił nas kosiulą, tak jak zbił nas samochodem. — Modibo

podrapał gołą, zakurzoną tydkę czubkiem zniszczonego buta.

Więc gdzie on jest? — pinił się Hendrijs. Zerwał z głowy kapelusz, ale zamiast trzepnąć o ubranie, cisnął go w krzaki. Naraz dobiegło stamtąd

jakieś syknięcie. Pilot rzucił się, by podnieść kapelusz. Wykonał komiczny

skok na widok węża drzewnego, który wysliznął się spod krzaka.

Hendrijs

był tak wściekły, że skoczył naprzód, żeby rozdeptać gada, ale chybił.

Wąż

skręcił się na ogonie i uniósł pionowo w górę z rozwartymi szczękami, odsłaniając górne zęby jadowe. W blasku słońca chmura trującej cieczy prysnęła na pierś, gruby brzuch, nogi i stopy pilota.

Usłyszał śmiech Afrykanów. Uskoczył poza zasięg ataku węża i odwrócił się z ręką na kaburze.

Śmiech umilkł. Hendrijs spojrział na warstewkę jadu pokrywającego przód koszuli i poczuł irracjonalny lęk, że przeniknie on przez tkaninę, a potem przez skórę.

— Niech wischnie na słońcu. W podziądku — rzekł Modibo, intuicyjnie wyczuwając jego strach.

Hendrijs, który ochłonął tylko na moment, znów zakipiał wściekłością. —

Myślisz, że ten *Kafr* wróci tu jakoś i dołączy do Laudera?

— *Kafr!* — spytał Modibo z lekkim szyderstwem.

Pod wzrokiem trzech Afrykanów Hendrijs zająknął się: — No, ten... to

znaczy Ngiamena. Ten geolog.

— Nie — odparł Modibo, spluwają! przez dziurę między białymi dolnymi

zębami. — *Mzungu* i *Kafr*, bardzo mocna ekipa. — Przypomniał sobie

bowiem, jak Ken pędził ze strzelbą w rękę, padł na kolana i mierzył w safari

cuba, a krok za nim biegł Ngili, wrzeszcząc dziko: „Strzelaj w opony! Strzelaj

w opony!”



— Bardzo mocna ekipa, moglibi nas zabić — stwierdził rozkoszując się wyrazem malującym się na zbielełej twarzy pilota.

Hendrijs przełknął ślinę. Smakowała gorzko, jakby pomieszana z żół-

cią. — Jeśli żyje, jak sądzisz, co zamierza?

— Modzie pójdzie tam. — Modibo wskazał lasy porastające stoki Mau.

— A potem?

— Modzie zginie. — Modibo był naprawdę ubawiony. — Albo wróci i mi zginie.

Nie oczekiwał na to odpowiedzi. I rzeczywiście, pilot mruknął tylko: —

Wracajcie do samolotu. Podrzucę was do obozu.

— Dokąd lecisz?

— Do Nairobi — odparł Hendrijs, dając do zrozumienia, że planuje

zemstę. Spróbował założyć kapelusz, ale przednia część runda  
załopotała,  
naderwana przez krzak.

Afrykanie wiedzieli, kiedy mogą śmiać się z białego pilota, a kiedy  
lepiej

nie przeciągać struny. Tym razem zmilczeli. Jeden podniósł z ziemi  
strzelbę

i wszyscy ruszyli ku beech lightningowi.

Hendrijsk wydawał się zatopiony w myślach.

Stał twarzą do gór, lustrując wyższe partie. Wysoko mgły przetarły  
się,

odslaniając na chwilę plamę zieleni i kłując nią oczy pilota. Drgnął i  
potrzęsnał

głową, jakby odpędzał od siebie jakieś wizje lub wspomnienia.  
Przypomniał

sobie o koszuli Kena i schylił się, by ją podnieść. Zwinął ją byle jak,  
wsadził

pod pachę i ruszył do samolotu.

# 5

Zabawa w palenie ognia w jaskini trwała parę godzin, a kiedy się zakończyła, obaj wyszli na zewnątrz. Jakieś sto jardów od wejścia Ken znalazł nóż.

Powiedział sobie, że wkrótce będzie musiał zjeść kawałek mięsa. Mięso, bogate źródło białka, dostarczyło hominidom energii niezbędnej do eksplorowania otwartych przestrzeni i zastąpiło nieustanne spożywanie liści i nasion dwoma lub trzema posiłkami dziennie. Mięso, mięso, mięso. Mięso. Pragnął go. Nawet surowego. Złapał się na tym, że wyobraża sobie befsztyk tatarski, surowy, lepki, plamiący krwistym sokiem kąciki ust. „To niemożliwe, żebym myślał w ten sposób.” Ale tak właśnie było.

Wspiął się na rumowisko skalne i rozejrzał za samolotem, ale nie dojrzał go ani nie usłyszał.

Zszedł na dół, szeroko uśmiechnął się do chłopca i ruszył między skały ku pierwszej z palczastych, ocienionych dolin, przytulonych do bocznych odnóg masywu skalnego. Sprawdzili pierwszą, drugą i trzecią. Spodobała im się dopiero czwarta. Zatrzymali się pod baldachimem z gałęzi, gdzie — jak zauważył mały hominid — obcy stał się napięty i niespokojny. Zbliżała się noc, a on nadal nie miał broni.

Chłopiec był jednak pod takim jego urokiem, że nie przejmował się całą resztą. Początkowo obcy poruszał się wolno, zupełnie tak jakby nie był

w stanie biec. Kiedy chłopiec odnalazł go nieprzytomnego w trawie na deszczu i przeciągał do komina skalnego, czuł ciężar masy mięśni, której tamten wyraźnie nie wykorzystywał. Słyszając, jak Ken majaczy, dziwił się wydawanym przez niego dźwiękom. Wyszedł nawet z jaskini i próbował je naśladować, ale nic mu z tego nie wyszło. Mimo to przybysz stanowił prawdziwą atrakcję dla oczu, uszu i w ogóle pod każdym względem. Teraz, kiedy przeszukiwali osłoniętą dolinę, obcy zachowywał się dużo

pewniej. Poruszał się szybko, a jego władcza postawa rzucała się w oczy. Na

swoj sposób wydawał się nawet piękny i działał uspokajająco.

Chłopcu sprawiała przyjemność abstrakcyjna czynność przypominania

sobie, że dzieje się z nim coś nowego i podniecającego. Poprzedniej nocy

obudził się w kominie skalnym i uświadomił sobie bez słów, że nie jest sam.

Następnego dnia znów będzie się cieszyć towarzystwem tej niewiarygodnej

istoty.

Ken chrapał spokojnie w ciemnościach, co uprzytomniło hominidowi, że

pewne procesy i przejawy funkcjonowania organizmu przybysza wyglądały

albo brzmiały podobnie do... do tych typowych dla jego własnej rasy.

Jednakże kilka wymamrotanych przez Kena słów przez sen szybko zadało

kłam temu wrażeniu.

Chłopiec znów się położył, lecz nie mógł zasnąć. Zabawa, pokaz, nieustanne zdumienie obecnością obcego — wszystko to mąciło mu myśli.

Przez cały dzień trwał w tym zdumieniu niczym młode zwierzę chwytające

źdźbło trawy lub odkrywające koniec ogona.

A teraz nadszedł drugi akt gry: przypominanie sobie tego wszystkiego.

Podązał za obcym aż do miejsca, gdzie przed paroma tygodniami słonie wyrwały z korzeniami drzewo akacji i kilka dzikich kasztanów.

Chłopiec siadł

ufnie na trawie z krzemieniem w ręku, obserwując, jak Ken wspina się na niski

ułamany konar, żeby naciąć trochę chrustu. Ken wiedział, że cięcie drzewa

niewielkim, nie przystosowanym do tej czynności nożem potrwa długo, ale nie

miął wyboru. Noc poczynała wypełniać dolinkę niczym późny przyptyw.

Za pomocą gasnącej już zapalniczki i drugiej, oderwanej od spodni, kieszeni rozpałił ogień.

Właśnie pochylał się, by podnieść kolejne narzędzie suchych połamanych

gałęzi, kiedy usłyszał wysoki dźwięk: hominid stał z otwartymi ustami obok

strzelającego w górę ogniska i krzyczał bez wyraźnej przyczyny. Ken podbiegł, sądząc w pierwszej chwili, że małego ukąsił wąż.

Chłopiec nie był jednak ranny, gdyż zaraz zaczął miotać się bezładnie,

wpychając do ogniska coraz to nowe gałęzie. Nie przestając krzyżeć,  
padł  
na ziemię, wyrywał trawę i też wrzucał ją w płomienie, a potem  
ukwiecone  
gałązki krzewów, w większości zbyt zielone, żeby mogły zająć się  
ogniem.  
Ognisko poczęło dymić, grożąc wygaśnięciem. Mały odbiegł nieco  
dalej.  
Milknąc tylko dla nabrania tchu, wrzeszczał raz po raz i biegał wokół  
zarośli  
oraz drzew, zbierając wszystko, co nadawało się do wrzucenia do ognia:  
stare  
zwisające z gałęzi gniazdo, suche, opadłe na ziemię pnącza oraz inne —  
żywe  
i zielone — zeszlą kiść dzikich orzechów zmiażdżonych nogą słonia,  
bryłkę  
ziemi razem z żywymi mrówkami. Wrzucił to wszystko w ogień. Teraz  
podskakiwał w miejscu, strzepując z rąk i ramion mrówki, nawet na nie  
nie  
patrzając, gdyż całą uwagę skupił na płomieniach.

Ken nieporuszony patrzył, jak dzieciak pokrywa się potem, jak  
błyszczą

mu — najpierw dziko, a później po prostu łobuzersko — oczy. Już nie krzyczał, ale nadal podskakiwał i podrygiwał, jakby rozpiekało go uczucie ulgi, że oto jeden z jego dawnych lęków — lęk przed pożarem buszu, zabójczą plagą afrykańskich równin — został odegnany. Chłopiec nosił go w sobie przez długi czas. Zagnieździł się w jego ciele niczym tragiczne wspomnienie.

Teraz został przegnany, a zamiast niego pojawiło się poczucie władzy nad płomieniami. Wyraźnie uszczęśliwiony, brązowoskóry diabełek znów biegał w poszukiwaniu innych, dających się spopielić, materiałów. Zanurzył ręce w trawie i wyciągnął wielką, wykręcającą się jaszczurkę, którą cisnął w sam środek ogniska. Zwierzę wiło się przez moment, po czym znieruchomiło uduszone. Czując zapach pieczonego mięsa, Ken doznał ostrego skurczu żołądka, do mózgu dotarł sygnał o niespodziewanym posiłku.

Przykucnął i spróbował wydobyć jaszczurkę gałęzią z płomieni, ale umierając uczepiła się kurczowo ogniska i nie mógł jej poruszyć. Z głośnym puknięciem pękły, rozdęte w ogniu, gardziel i żołądek. Smród palonego białka łęchtął Kenowi nozdrza, szydząc z jego przelotnego współczucia dla niewinnego zwierzątka. Istotne stały się podstawowe pojęcia: głodny mężczyzna, podekscytowane dziecko, ogień trawiący jedno życie, by ochronić inne — w tym wypadku ich własne — ciemny busz i szansa na zdobycie jutro posiłku.

Chłopiec, pijany tryumfem, skoczył przez ogień. Wrzasnął oparzysty sobie stopy. Ze zmrużonymi oczami odstał na bok, żeby skoczyć jeszcze raz, i jeszcze. Wreszcie mężczyzna wypuścił z rąk nóż i suchą gałąź i pochwycił go w pasie ramionami. Obaj padli na trawę. Chłopak jak oszalały kopał i walił pięściami, śmiejąc się przy tym krzykliwie, aż w końcu Ken zdumiony siłą małej istoty uspokoił go, przyciskając do swej piersi jego niskie czoło.

Puścił go. Nie podsycane płomienie przygasły. Chłopiec podszedł do ogniska chwiejnym krokiem i dla ukoronowania podboju obsikał je.

Nie polowali, więc nie mieli nic na kolację.

Siedzieli wspólnie przy ognisku, mężczyzna strugał długą i prostą

gałąź  
kasztanowca, chłopiec natomiast wpatrywał się w płomień z twarzą  
napiętą  
do ostatnich granic od niewyartykułowanych myśli, jakie obudził w  
nim  
ogień. W pewnym momencie Ken zobaczył, jak mały odwraca się od  
ogniska,  
by spojrzeć za siebie w mrok. Na drzewie zamigotały oczy sowy.  
Nadlatujące  
zygzakiem nietoperze pojawiły się znikąd i umknęły w nicość. Kiedy  
zawirowały nad tańczącym światłem, ich ostre piski brzmiały tak jak  
zawsze,  
ale same zwierzęta, oświetlane od czasu do czasu blaskiem ognia,  
wyglądały  
całkiem odmiennie. Podobnie zresztą jak nieregularny lot owada, w  
którego  
skrzydełkach odbijał się blask płomienia, lub gęsta chmura  
drobniejszych  
insektów wpadających w ogień czy też ziemia w pobliżu ogniska —  
zwykły  
kawałek ubogiej gleby, z którego światło wydobywało niespotykane  
dotąd  
barwy i poruszenia.



Strugając gałąź kasztanowca, Ken zerkał na chłopca, zadowolony z jego spokojnego zachowania. „Ładnie się sprawujesz, Długopalcy. Masz dobrze poukładane w tej swojej małej makówce.” Drgnął, gdyż zaciął się w palec.

Włożył go do ust i ssąc krwawiące nacięcie pomyślał: „Żegnaj, Prometeuszu. Człowiek nigdy nie wykradł bogom ognia, bez względu na to, czy orzeł wydziobał mu wątrobę za karę, czy też nie. Nigdy nie trzeba było szukać ognia, bo zawsze był on pod ręką, zapalony w buszu promieniami słońca. Tylko że człowiek nie odczuwał naglącej potrzeby używania go aż do pierwszego wielkiego zlodowacenia, kiedy to odkrył powtórnie dar ciepła, a także nauczył się gotować pożywienie, prawdopodobnie przy okazji rozmrażania zmarzłych brył mamuciego mięsa.”

Żółte drewno kasztanowca odbijało blask płomieni. Gałąź powoli zmieniała się w oszczep.

Poniechał strugania i przesunął prawie skończoną broń po trawie w stronę stóp chłopca. Ten obmacał ją i szybko o niej zapomniał, utkwivszy na powrót wzrok w ogniu.

Nietrudno było zrobić oszczep. Dużo trudniej będzie go używać. Ken wyobraził sobie, jak biegnie z nim, chybia albo trafia, a wszystko to pod krytycznym spojrzeniem młodego australopiteka.

Ogarnęła go nagle niewiara, że to, w czym uczestniczy, dzieje się naprawdę! Że gdyby zamknął oczy i znów je otworzył, tamta istota zniknęłaby.

„To nie dzieje się naprawdę” — powtórzył w myślach. A przecież znajdował się zaledwie dwadzieścia mil na północ od miejsca, gdzie odkrył skamieniałość.

Wtedy również początkowo zaprzeczał: „To nie dzieje się naprawdę.”

Ale się działo.

Wiedział, że łatwiej zaakceptowałyby taką nierzeczywistą rzeczywistość,

gdyby spotkał nie jednego osobnika, ale kilku przedstawicieli tej rasy. Rodzinę, u której mógłby zostawić to dziecko, a potem... Potem co?

W końcu i tak ich wszystkich opuści, przyznał w duchu. Ruszy tam, skąd przyszedł. Teraz nie było tu takiej rodziny, a może w ogóle nie istniała? Był tylko on i ten młodzik, dziwna para, której nie mógł rozbijać.

Ta myśl zrodziła inną, która ciążyła mu, przypominając o odpowiedzial-

ności. Jeśli wszystko było prawdą, to cóż on ma robić? Co powinien zrobić

Ken Lauder, jako człowiek i naukowiec, napotkawszy samotnego pracownika?

„Wpadłem w niezły bigos — pomyślał — i to nie tylko z powodu Hendrijksa.”

Gdyby tylko mógł usunąć z pamięci całą przeszłość, z wyjątkiem ostatnich paru dni... Był tutaj, już nie chorował i miał niezwykłego towarzysza.

To fantastyczne! Wystarczyło tylko zapomnieć, dlaczego tu się znalazł i skąd

przybywał. A potem — cóż za swoboda i radość móc współzycystować z przedmiotem swoich badań, być wolnym od obowiązków uczonego, móc

harcować wspólnie po pliocenie i po prostu żyć!

Chłopiec zwinął się w kłębek przy ognisku, wciąż obserwując je spod na

wpół przymkniętych oczu. Po chwili powieki mu opadły, odemknął je odrobinę, potem znów opadły i już pozostały zamknięte. Ken leżał na plecach, przygotowując się do niespokojnego nocnego snu. Odplynał na jego mrocznej fali, by wkrótce poderwać się z ręką na nie ukończonym oszczepie, zlustrować otaczające ciemności, sprawdzić ognisko, zasnąć i zbudzić się ponownie.

Dwie minuty badania otoczenia na każde dziesięć lub dwadzieścia minut odpoczynku — takie zachowywał proporcje. Będzie spać jak pierwotni ludzie.

Wystraszył się. Poczul przygniatający ciężar ciszy. Już tak dawno nic nie

mówił — i tak przecież nie zostałby zrozumiany, a tylko skonfundowałby

swego przyjaciela. Musiał się jednak z nim jakoś porozumiewać. Nie przychodził mu do głowy żaden sposób, chociaż udało mu się przyprowadzić

go w to nowe miejsce i razem patrzyli w ogień.

^ „Będziemy polować” — postanowił.

„Będziemy polować. Jutro.”

Zabrzmiało to jak zaklęcie. Równie, a może nawet bardziej  
precyzyjnie  
niż słowo mówione.  
„3ędziemy polować.”

# 6

Godzina policyjna w Nairobi rozpoczynała się o ósmej wieczorem. Ale uliczne patrole wojskowe egzekwowały ją tylko przez pierwsze dni. Potem rozkwitł proceder wydawania fałszywych przepustek, uprawiany przez samą armię, która ustawiała blokady przy głównych skrzyżowaniach w celu zatrzymywania i karania grzywną kierowców za posiadanie fałszywych dokumentów. Na ulice miasta szybko powróciły zatory i korki. Podczas gdy centrum skupiało na sobie uwagę patroli, przedmieścia pulsowały znowu nocnym życiem.

— Ukażcie mnie podwójną grzywną, ale pozwólcie przejechać — błagał Cyril Anderson porucznika stołecznej policji, wychylając się z terenowej toyoty. Jego zezwolenie było prawdziwe, wydane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ale tkwił w korku od pół godziny i chciał wreszcie wydostać się z alei wypełnionej spalinami z przegrzanych samochodów osobowych i matatu.

Policjant kazał mu czekać w kolejce, co oznaczało, że jeśli powróci za minutę, a Anderson podniesie stawkę, to może go przepuścić. Uczony zaklął głośno tym swoim scenicznym głosem jak z szekspirowskiego teatru, sięgnął po telefon komórkowy, wykręcił kierunkowy za granicę, a następnie

numer,

którego zdążył się już nauczyć na pamięć przez ostatnie dwa dni.

Kiedy odebrał recepcjonista hotelu „Mayfair” w Londynie, Anderson

zapytał, czy pani Corinne Anderson wróciła do swego pokoju, jeśli zaś nie,

to niech ją wezwą z hallu, baru, restauracji, skądkolwiek. Czekał z rosnącą

wściekłością. Tego samego dnia, tyle że wcześniej, jak również w przeddzień

Corinne była nieuchwytna bez względu na to, o jakiej godzinie dzwonił. Toteż

zaskoczył go jej spokojny i czysty głos w słuchawce: — Cyril? Wiedziałam,

że to ty. Udało ci się mnie złapać. Właśnie wychodzę na drinka z przewod-

niczącym konferencji.

— Nieźle się bawisz, co?

Krótką pauza. — Nie sądzisz, że należy mi się to po latach czekania na

twoje powroty z konferencji i sympozjów?

Wiedział, że powinien odpowiedzieć: „Oczywiście, kochanie, to jest twój pierwszy wyjazd naukowy, więc baw się dobrze, nie mam nic przeciw temu”.  
Miał jednak wrażenie, że w psychice żony odkręcono jakiś kurek z napisem „teraz moja kolej”. Cokolwiek on powie, ona odwróci kota ogonem i przypisze wszystko brakowi równowagi w ich związku. Przez lata robił to lub tamto, teraz natomiast nadeszła jej kolej, żeby skorzystać ze swobody i robić, co jej się żywnie podoba. Miał ochotę wrzasnąć w słuchawkę, że straciła rozum, że bez niego byłaby niczym, że ożenił się z nią dla jej atrakcyjnego wyglądu! Z przyjemnością by ją poniżył, ale nie mógł tego zrobić, bo kiedyś, całkiem niedawno, odwróciła się do niego jak wąż i wysyczała, że wyszła za niego dla kariery naukowej i że nadszedł wreszcie czas, by się o tę karierę zatroszczyła, bo poza tym niewiele od niego otrzymała. Zraniła go tym znacznie bardziej niż on ją.

Ta krótką i szczerą wymiana zdań odmieniła ich związek. Starał się uzmysłwić sobie, kiedy przestała reagować na „aurę Andersona”. Oczywiście brał do łóżka inne studentki, napełniał je swoją ciepłą spermą i patrzył, jak dyszą i jęczą z podziwu dla niego. Tak przynajmniej to wyglądało. Pomyślał teraz, że gdyby poślubił jakąkolwiek inną, to może i ona dojrzałaby do niezależności i buntu tak samo jak Corinne. Może łóżko profesorskie nie było tak naprawdę zwierciadłem jego sprawności, lecz sceną, na której studentki udawały przed nim orgazmy, podczas gdy w rzeczywistości doznawały ich z jurnymi skurwielami, takimi jak Lauder czy Ngiamena.

Przez sześć lat małżeństwa przeżywał męki zazdrości z powodu przygody Corinne z Kenem. Romans ten miał miejsce, zanim on sam zwrócił na nią uwagę, ale jej „to nic takiego, kochanie” powiedziało mu, że sprawa nie była bez znaczenia i że został wyeliminowany, nim jeszcze przystąpił do gry. „Niemniej go rzuciła” — podpowiadała mu miłość własna. Czy jednak nie popełniał błędów? Corinne wołała Laudera przez wzgląd na egoistyczną przyjemność, a rzuciła go dopiero wtedy, kiedy trafiła jej się okazja związania z Andersonem.

Teraz poleciała do Londynu na konferencję dotyczącą kwestii rozrostu mózgu. Zdał sobie sprawę, że chce ją mieć tu przy sobie. Jeżeli nie mogło ich jut zbliżyć łóżko lub pasjonujące nowe odkrycia, pozostawało... przyzwyczajenie. Przestał nawet o niej myśleć, odkąd dowiedział się, gdzie jest i że przebywa z niegroźnym francuskim ewolucjonistą, którego znał od lat.

— To takie fascynujące — mówiła Corinne. — Naukowcy prezentują tu referaty, które brzmią, jakby były bezpośrednio inspirowane tym, co opowiadasz mi przy kolacji. Lebenson przedstawił analizę genetyczną zależności między wzrostem wagi mózgu a zmianami diety. Fidos i Oppelman omówili alometrię związku między szybkością krążenia mózgowego a ochłodzeniem się klimatu.

— Fidos i Oppelman to Niemcy — przerwał jej. — Zobaczysz, jak naukowcy z Trzeciego Świata rozerwą ich na sztuki za wysuwanie sugestii, że rozrost ludzkiego mózgu osiągnął maksimum w Europie.



— Nie o to mi chodzi. Wszystkie te kierunki badań wytyczasz ot tak, przy śniadaniu.

Zrozumiał, dokąd zmierza. — Ci ludzie to szczury laboratoryjne, Corinne.

Nie mogą się ze mną równać.

— Kilku z nich jest całkiem błyskotliwych. Lebenson przedstawia nie

jeden referat, ale dwa. Drugi dotyczy optymalizacji lokalizacji komponentów

neuronowych u wyższych naczelnych. Porównuje to z problemem mini-

malizacji rozkładu połączeń mikrochipsów w komputerze...

— Skończysz wreszcie z tym żargonem? Zdecydowałem już, że nie chcę

brać udziału w robieniu z naszej nauki inżynierii komputerowej! —

„Nie

mogę" byłoby bardziej adekwatnym określeniem niż „nie chcę", ale nie

zamierzał jej tego podpowiadać. — Corinne, znajdź mi jakąś fundację

zainteresowaną moją osobą albo program międzynarodowy, który mógłbym

przewodzić. W przeciwnym razie zabierasz mi tylko czas!

Słucham? Sądziłam, że to ty dzwonisz do mnie. Każę czekać

przewodniczącemu konferencji, żeby pogadać o twoich problemach.

O jego problemach! Miał ochotę ją udusić, gdyby tylko mógł to zrobić

przez telefon.

— Coś nowego na temat poszukiwań Kena? — zapytała nieoczekiwanie.

Poprzez zasłone spalin Anderson dostrzegł zbiegowisko na chodniku —

mężczyzn oraz piękną samotną kobietę w zawoju, mnóstwo głów i ramion

poruszających się w jednym rytmie, uderzających w kogoś uwięzionego

pośród nich. Prawdopodobnie w kieszonkowca. Tłum wziął sprawiedliwość

w swoje ręce. To okrucieństwo wydało się Andersonowi nieuchronne. Ostatnio

sam czuł się jak ta anonimowa ofiara, zbierając cięgi ze wszystkich stron:

z powodu swego wieku (z niejakim niepokojem oczekiwał na wynik badania

prostaty), kryzysu politycznego oraz braku lojalności -ze strony żony.

— Dlaczego właściwie pytasz o Laudera? — Mówiąc o Kenie, nigdy nie

używał jego imienia.

— Ciągle o nim opowiadałeś — że tak ciekawie wygląda to jego znalezisko, nawet po pobieżnym zbadaniu, że pytałeś Ngiamene,

czy Ken wrócił samotnie na Dogilani, a on nabrał wody w usta, lecz właściwie nie zaprzeczył...

Ach tak? — Sięgnął do portfela. Wszystkie banknoty zwinął w jeden rulon i czekał, aż zbliży się porucznik policji.

— Ken ma dużo szczęścia, więcej niż my oboje. Może więc mógłbyś

skorzystać z jego szczęścia? Jeśli wrócił samotnie na Dogilani, nie jest mu

tam łatwo. Dlaczego nie pojedziesz do niego, żeby zaproponować realną

pomoc. Wybierze cię na koordynatora naukowego, nie będzie miał wyboru.

— Nie opowiadaj bzdur. Jestem pewien, że zaproponował to Phillips-

owi. — Wyobraził sobie siebie i Kena razem w buszu. Miał niewielkie

doświadczenie terenowe w porównaniu z pełnym wigoru i inicjatywy młodym

zawadiaką. Boże, to nie wchodzi w grę. — Lauder potrzebuje Phillipsa,

ponieważ jest kiepskim teoretykiem, to była zawsze jego pięta achillesowa. —

Przyciągnął uwagę policjanta zwiłkiem banknotów.

— A ty jesteś wielkim teoretykiem, większym niż Phillips. On jest nieobecny, a Ken potrzebuje pomocy, ty natomiast jakiegoś znaleziska.

— Dlaczego akurat Lauder? On nie może nawet...

— Skończ z tym, Cyrilu. Ken nie musi gadać, on wykonuje robotę.

—

„Strasznie naukowo to ujęła” — pomyślał Anderson z gniewną pogardą. —

Najłatwiej by ci było włączyć się do prac nad jego znaleziskiem...

Wysunął rękę przez okno samochodu. Policjant wziął pieniądze.

Anderson

zdołał się opanować i nie wrzasnął do telefonu. Zamiast tego wyszeptał: —

Byłoby poniżej mojej godności, gdybym pomagał komuś przy jego znalezisku,

a nie ktoś przy moim.

— Czego trzeba, żebym cię przekonała? — zapytała, wciąż nie tracąc cierpliwości.

— Dlaczego myślisz, że to znalezisko jest takie wyjątkowe?

— Sam tak myślisz.

Przytłaczała go swoją logiką. Pojawiła się wszakże niewielka szansa

zmiany ich wzajemnego stosunku, toteż skwapliwie z niej skorzystał.

—

Doskonale, musimy jeszcze o tym pomówić. O której jutro do mnie zadzwonisz?

— Teraz ja ci powiem kiedy, a ty mi odpowiesz, że będziesz wtedy zajęty i wymienisz inną porę tylko po to, by mi pokazać, jaki jesteś ważny. —

Mówiła tonem spokojnym, ale poirytowanym. — Tak lubisz manipulować ludźmi, kochanie.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odrzekł sucho. Miała rację, ale nie przejmował się tym, najważniejsze, by do niego należało ostatnie słowo. —

Zadzwoń jutro w południe, kochanie. Będę jadł lunch w swojej sali seminaryjnej. Zgoda, Corinne? — Policjant schował pieniądze do kieszeni.

Dał znak kierowcy innego wozu, żeby się cofnął i umożliwił Andersonowi

wyrwanie się z korka.

Milczała pełna pogardy.

— Zgoda? — wrzasnął tracąc zimną krew. — Corinne? — Cisza na drugim końcu linii. Czyżby odłożyła słuchawkę? — Corinne?

Usłyszał sygnał centrali.

Odłożył telefon, wcisnął gaz i wystartował tak ostro, że policjant, uskakując do tyłu, musiał oprzeć się o inny samochód. Wjechał na chodnik,

trąbiąc na Afrykanów, którzy umykali przed szalonym wozem i

przeklinali  
kierowcę.

Pomyślał, czyby jeszcze raz do niej nie zadzwonić. Powstrzymał się

wszystkimi siłami. Spocił się. Otarł czoło rękawem białej marynarki.

Zostanie

plama od potu. Odłożyła słuchawkę. Cóż to miało znaczyć? Czy zadzwoni

jutro, czy też będzie musiał na nią polować?

Wyminął rozkopany odcinek chodnika i stuknął w tablicę informującą

o robotach drogowych. Samochód podskoczył. Pomogło mu to odzyskać nad

sobą panowanie. Zdjął nogę z gazu. Zerknął we wsteczne lusterko.

Wypros-

tował się, żeby się przejrzeć. Wyglądał jak zwykle — zadbane białe włosy,

wspaniała twarz. W ciemnym wnętrzu wozu włosy jaśniały, a dostojne oblicze mężczyzny w średnim wieku wyglądało jak wyrzeźbione w kamieniu.

Utożsamiał się znowu z osobą, za którą się uważał — z mistrzem w swojej dziedzinie nauki i panem swego życia... Ona jednak odłożyła słuchawkę.

Anderson zerknął na kartkę z adresem. Opuścił centrum miasta i skierował

się ku chaotycznej zabudowie okalającej stary dworzec kolejowy. Stała tam

niskie, źle utrzymane budynki, pachniało miejską nędzą. Zdał sobie sprawę,

jak bardzo jego land cruiser rzuca się w oczy na tym tle.

Zaparkował na wewnętrznym dziedzińcu motelu „Nyassa”, zamknął

samochód i wyszedł na ulicę. Natychmiast do jego uszu dobiegły odgłosy

doznań seksualnych, dźwięki radia i — absurdalny o tej porze — łoskot pracującej kosiarki do trawy.

Obok przebiegł chłopak ze stosem parujących pudeł tekturowych, opatrzonych napisem: „Pizza Bucci, najlepsza w Afryce!” Zerkając na trzymaną w rękę kartkę z adresem, Anderson zapukał do właściwych drzwi.

Chłopak z pizzerii — do drzwi obok, które otworzyła kobieta w białym staniku. Jęki rozkoszy stały się głośniejsze.

Drzwi, przed którymi stał Anderson, skrzypnęły i otworzyły się do wewnątrz. Ukazał się w nich tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i wyciętym

w serek podkoszulku. — Profesorze — powiedział z uśmiechem — sądziłem,

że pan nie przyjdzie.

— Ledwo mi się udało, panie Hendrijs.

Zerknął na stojący za plecami pilota okrągły stół oświetlony zawieszoną

na łańcuchu lampą. Dostrzegł na nim pudełko z pizzą. Hendrijs wykonał gest

zapraszający do środka, ale Anderson nie wszedł.

— Rozmyślałem o naszym pierwszym spotkaniu, panie Hendrijs. Żadną

miarą nie mógłbym dać panu tyle pieniędzy, ile pan zażądał.

Ich pierwsze spotkanie odbyło się w zagraconych pomieszczeniach sklepu

„Zhang Chen — Zioła i Skamieniałości”. Sprzedawano tam nasiona i korzenie,

„po rozsądnych cenach leki dla każdego”.

— Proszę wejść na chwilę. Pokażę coś panu, profesorze. Może zmieni

pan zdanie.

— Nie, naprawdę nie. Przyszedłem powiedzieć, że nie jestem

zaintere-  
sowany, proszę przestać dzwonić i przysyłać listy.  
— Tylko minutkę, *verdomma*\ — Hendrijsk usłyszał sobie, że  
zaklął,  
i to na cały głos. — Przepraszam — powiedział ze śmiechem. —  
Mówię  
głośno, bo... — Jęki rozkoszy napełniały cały pokój i były  
głośniejsze niż na  
zewnątrz. —...Za ścianą kręca film porno. Dźwięk dobiega przez  
urządzenia  
klimatyzacyjne. Sprzęt do nagrywania mają tak stary, że muszą  
krzyczeć... Na  
minutkę? Proszę...  
— Na minutkę. — Anderson wszedł.  
Hendrijsk zamknął za nim drzwi i skierował się wprost do stołu.  
Odsunął

niecierpliwie pudełko z pizzą, odsłaniając przy okazji coś jeszcze — rozłożony pistolet, w którego otwartym magazynku sterczał srebrzysto-mosiężny pocisk.

Anderson zląkł się, że Hendrijsk może chwycić za broń, ten jednak nadal grzebał po stole. Przysunął dwie fotografie, wydłużył łańcuch, na którym wisiała lampa i pokazał zdjęcia doskonale widocznych odcisków stóp hominida.

— Te zdjęcia zrobił Lauder — oznajmił. — Widać na nich odcisk jego buta.

— Pan również widział te ślady?

Hendrijsk potaknął głową.

Anderson znów chrząknął. — Widział pan żywe osobniki?

Hendrijsk ponownie skinął głową. Paleontolog spurpurowiał. Chrząknął. —

Jak dużo ich było? — Pilot milczał. — Gdzie to jest?

Hendrijsk roześmiał się i pogroził palcem. Nie, nie, żadnych dalszych informacji, póki nie zgodzą się co do sumy. Nawet wtedy nie ujawni miejsca.

Anderson dowiędzie się, gdzie to jest, kiedy tam razem polecą.

— Dlaczego powiedział pan to wszystko mnie, a nie komuś innemu? —

zapytał profesor.

— Ponieważ wciąż pana wspominali. Lauder i Ngiamena.

Słyszałem, jak

mówili, że bardzo pragnęły pan przejąć ich znalezisko. Słyszałem to

i w samolocie, i w buszu.

Nie powiedział mi pan zbyt wiele. — Chrząknął raz po raz. — Jak mogę zaufać komuś, kto wyraźnie wykradł cudze dane?

Hendrijsk roześmiał się tak jak przedtem. Nie, nie, nie... Niczego nie

ukradł. Poszedł po prostu do pewnego banku i pogadał z kierownikiem. Zapytał o schowek na depozyty na nazwisko Lauder, jego klienta, który nie

zapłacił za tydzień latania. Kierownik pozwolił otworzyć schowek.

— Pozwolił? — zapytał Anderson pomiędzy kolejnymi chrząknięciami.

— Potrafię przekonywać ludzi. — Hendrijsk wziął do ręki pistolet i zaczął go składać. — Nie zdziwiło pana, profesorze, że znam pański numer

telefonu? — Anderson drgnął. Rzeczywiście, nie zapytał, w jaki sposób Hendrijsk znalazł jego zastrzeżony numer. — Złożyłem wizytę w przedsię-

biorstwie telefonicznym — pilot wyszczerzył w uśmiechu zęby. — Pogadałem

z kierownikiem. Tamtejsi kierownicy otrzymują żaloszne pensyjki.

— Widzi pan, profesorze, człowiek taki jak pan nie posiada 40ś

sprytu,  
żeby podejść kogoś takiego jak Lauder. — Hendrijs skończył  
składać sig-  
hammer!Fego. — Idę o zakład, że nie potrafi pan nawet strzelać. —  
Wsunął  
magazynek. — Ani odczytywać śladów czy znaleźć wody w buszu.  
Posłałem  
kogoś za Lauderem. Nazywa się Modibo, niezwykle doświadczony  
tropiciel  
i kłusownik. Nadal kłusuje, chociaż jest w wojsku. — Odwrócił się,  
by  
otworzyć szufladę, ale nie dał rady jedną ręką, więc odłożył pistolet i  
odsunął  
ją oburącz. Wyjął zmiętą, wyblakłą koszulę. Rzucona na stół, upadła  
na broń  
i pudełko z pizzą. — To jest koszula Laudera. Znaleźliśmy ją z  
moim  
tropicielem nieopodal Mau.  
— Czy on zginął?



— Nie wydaje się, by zginaj. Sądźmy raczej, że odnaleźli go Śmiesznostopi.

Anderson odetchnął.— W porządku, zawrzemy umowę. Gdzie on jest?

Wiedział, gdzie znajduje się Ken, bo kiedy zadzwonił do niego Ngiamena,

zaniepokojony losem syna, Anderson domyślił się, że idzie o Dogilani. Nazajutrz Jakub potwierdził, że samolot z parku dostrzegł obu młodych ludzi na Dogilani, czyli dokładnie tam, gdzie spodziewał się ich znaleźć uczony.

Gdzieżby indziej mógł być teraz Ken?

— Cena za całość informacji zależy od tego, jaką umowę zawrzemy.

Sledzenie Laudera to jedno. Jego usunięcie — Anderson zrobił przerażoną minę, a Hendrijks zachichotał — kosztuje więcej. Ale będzie pana na to stać.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— O usunięciu Laudera — rzekł Hendrijks. — Niedrogo. Pięć tysięcy.

— Muszę się namyślić — odparł Anderson. — Nigdy dotąd nie mowałem takiej decyzji.

— Nie robi się takich rzeczy dla nauki — zachichotał Hendrijks. — Proszę zatem potraktować to jak wojnę. On jest nieprzyjacielem i wkroczył na pańskie terytorium.

— Pan proponuje mi morderstwo, panie Hendrijks.

— Kiedy zabije pan Laudera, dostanie pan jego znalezisko jak na tacy.

Sądzi pan, że pięć tysięcy to zbyt wiele? W porządku, zapłaci pan cztery?

„To tańsze niż ty, Corinne — pomyślał Anderson — żywi hominidzi za cztery tysiące”.

Oparł się o stół. — Nie boi się pan, że złapią pana i oddadzą pod sąd,

a ja będę zeznawał przeciwko panu?

Hendrijks przybrał ten sam rozbawiony wyraz twarzy, niczym dorosły

rozmawiający z dzieckiem. — Jeszcze długo nikt nie będzie w tym kraju

sądzony. Do władzy dochodzi zupełnie nowa siła, a ja mam z nią powiązania.

— Panie Hendrijks, Lauder to mój student.

Hendrijks roześmiał się. — W życiu zdarzają się takie chwile, profesorze, kiedy kradzież przestaje być kradzieżą, a morderstwo morderstwem. Zdarzają

się bardzo rzadko, więc ma pan szczęście, że pan na taką trafił.

Hendrijsk podniósł koszulę Kena. Anderson rzucił się, by złapać pistolet, w chwili gdy zmięta tkanina uniosła się do góry, odsłaniając jego lśniący przyćmionym blaskiem kształt. Chwycił za broń, odbezpieczył i wcisnął lufę

w klatkę piersiową pilota. Ciało stłumiło odgłos wystrzału niczym tłumik.

Hendrijsk ugiął kolana i już miał paść na podłogę, gdy zaczął barkiem

o krzesło. Nie upadł więc na płask, lecz osunął się w pozycji siedzącej. Umarł

w trakcie tego ruchu. Anderson słyszał o tym, że na twarzy zamordowanych

ludzi maluje się czasem wyraz zaskoczenia doznany — ostatnim w życiu —

rozczarowaniem. Niczego takiego nie dostrzegł na twarzy Hendrijska. Pilot

miał tępą minę, jakby akceptował to, co się stało.

Jeszcze przez parę sekund Anderson trzymał broń w pogotowiu, po czym

rzucił ją obok zabitego. Czuł dziwne oszołomienie i zaskoczenie. Poszło tak

łatwo.

Czekał spodziewając się, że dostanie mdłości, ale nic takiego nie nastąpiło. Po twarzy Hendriksa przebiegło krótkie drzenie. Wywrócił oczy i wypuścił powietrze z płuc, wydając ostatnie tchnienie.

Anderson odwrócił się i włączył klimatyzację. Z pomieszczenia, gdzie krecono film porno, dobiegły głośne jęki.

Poszło łatwo, ale teraz musi wytrzeć" broń.

Zamierzał użyć prześcieradeł, ale były za ciężkie i przesycone odorem

potu starego samca. Zadławił się, czując ten zapach. Przeszedł do łazienki, znalazł przy umywalce brudny ręcznik i chciał go zdjąć, ale nie mógł zdobyć

się na to, by go dotknąć. Zaciśnął zęby i spojrział w lustro — pod szkłem widniały zielone pęknięcia przypominające wodorosty. Na ich tle ujrzął siebie. Nadal wyglądał jak człowiek, którego świetnie znał, a ów człowiek

prezentował się doskonale. Patrząc na siebie, Anderson nie miał trudności

z zaakceptowaniem tego, kim się stał. Znacznie trudniej było mu dotykać

brudnych rzeczy zabitego.

Przemógł się, wziął ręcznik, wrócił do pokoju i wytarł broń, nucąc w duchu szaloną piosenkę: „Poszło tak łatwo. Tak łatwooo”.

Zabity to nie Lauder, ale i z tamym też łatwo sobie poradzi.

Wypuścił pistolet, rzucił ręcznik na podłogę, przetrząsnął szafki i szuflady

w poszukiwaniu innych materiałów dowodzących istnienia hominidów —

fotografii albo notatek. Nie znalazł niczego oprócz mapy Dogilani z zaznaczonym czerwonym krzyżykiem pewnym punktem. Po przyjrzeniu się

stwierdził, że odpowiada on niemal dokładnie miejscu, którego położenie

wydedukował na podstawie notatek stratygraficznych Ngilego i Kena — znajdowało się ono tuż przy wysuniętym najdalej na południe bocznym grzbiecie Mau. Złożył mapę i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przypomniał sobie, że powinien zdjąć i dokładnie obejrzeć marynarkę.

Nie znalazł jednak śladów krwi ani na niej, ani nigdzie indziej na ubraniu.

Pomyślał o tym, jak szybko, sprawnie i skutecznie zabił człowieka, ograni-

czając przy tym do minimum ilość rozlanej krwi dzięki zagłębieniu lufy w zwiotczałym, tłustym brzuchu starzejącego się pilota. Pomyślał o tym i znów zanucił w duchu swą nową piosenkę: „Łatwooo”.

Teraz już wszystko pójdzie łatwo.

Nakazał sobie ostrożność. Starł ręcznikiem swoje odciski palców z po-

wierzchni szafek i szuflad — które umyślnie zostawił pootwierane —  
teraz  
zaś zamknął po kolei ramieniem. Chciał rzucić ręcznik, ale nie wiedzieć  
czemu, z jakiejś niezrozumiałej ostrożności wetknął go pod marynarkę,  
potem  
zgasił światło, przyciskając kontakt barkiem. Otworzył drzwi i wyjrzał  
na  
zatłoczony parking. Zrozumiał, że pojedzie na Dogilani, żeby zabić  
Kena  
Laudera.

Pójdzie to łatwo.

Przyszli mu na myśl inni ludzie, którzy wiedzieli o tamtym  
znalezisku:

Ngili, Randall Phillips, Raj Haksar.

Haksar zadzwonił do Andersona i zaskoczył go swoją opowieścią o  
tym,

że nigdyś sam odwiedził Dogilani. Nie chciał się przyznać kiedy, ale mówił, że widział grupę dziwnych osobników, którzy umknęli do lasu, uświadomiwszy sobie, że są obserwowani. Nie podał szczegółów, Anderson zaś nie zwracał na to większej uwagi, założył bowiem, że Haksar dostrzegł członków jakiegoś nieznanego plemienia. Jego interesowały skamieniałości, a Haksar ich nie znalazł, widział tylko żywe plemię. Nagle owładnęła nim myśl o plemieniu praludzi. Zapomniał o Hendriksie. Stał w drzwiach pokoju, uświadomiwszy sobie, że nareszcie trafił na swoje znalezisko.

Czy Haksar opublikował coś na temat widzianego przez siebie plemienia?

Anderson zapragnął pobiec natychmiast do samochodu i zadzwonić do starego, ale powstrzymał się. Właśnie dlatego, że wszystko pójdzie odtąd łatwo, nie powinien postępować nieostrożnie czy pochopnie.

Haksar powiedział, że liczy na jego współpracę. Napomykał coś o wspólnym powrocie na sawannę. Czego naprawdę chciał? Pieniądzy, jak ten pilot?

Sposobności, by wyeliminować potencjalnych rywali? Zachichotał. Haksar

był wątpliwy i poważnie chory na cukrzycę. Anderson nie mógł sobie wyobrazić, żeby Hindus stał się niebezpieczny.

„Wszystko po kolei” — powiedział sobie. Jutro odwiedzi Haksara. Dowie

się szczegółów, a wówczas poleci na Dogilani, żeby dopaść Laudera.

Dopaść Laudera. To była absolutna konieczność.

Znów opanowały go myśli o swoim znalezisku (należało już do niego),

o jego doniosłości i zaledwie przeczuwanej wartości. Spadło to na niego jak

grom z jasnego nieba, w tajemniczy, nieuchronny sposób, który wiązał się

z zabiciem człowieka i wymagał zabicia co najmniej jeszcze jednego — byłego kochanka jego żony.

A to pójdzie łatwo.

Zdał sobie sprawę, co właściwie robi, i wreszcie zamknął za sobą drzwi.

Sąsiednie też były zamknięte. Obok leżał stos pudełek po pizzy. Właśnie

umilkły jęki, a jakiś głos wewnątrz zawołał, że trzeba zmienić ustawienie

kamer, później zaś wszyscy będą mogli wziąć prysznic.

Anderson skierował się do samochodu. Na szczęście nie został

wgnieciony  
ani porysowany i miał wszystkie opony. Wsiadł, włączył przednie  
światła  
i starter, zauważając przy tym, że ręka mu nie drży, stopa na pedale gazu  
nie  
dygocze, a on sam nie przygryza już dolnej wargi.

Wyprowadził wóz z dziedzińca motelu.

Pięć minut później przejechał — nie mając litości dla wysokiej  
klasy

opon land cruisera — po zardzewiałych torach kolejowych i wyrzucił  
ręcznik

przez okno. Następnie zawrócił i ruszył do centrum, zastanawiając się,  
czy

zadzwoić do londyńskiego hotelu „Myfair” i zostawić Corinne  
ogólnikową

wiadomość, że poszło łatwo.

Nie. Na to jeszcze zbyt wcześnie. Zrobi to, załatwiwszy sprawę z  
Haksarem

i — co ważniejsze — dopadłszy Laudera.

# **Część czwarta**

**PIEŚŃ**

**SAWANNY**

# 1

Codziennie budzili się mniej więcej o tej samej porze, choć czasu nie odmierzał żaden zegar. Poza tym Ken zapominał powoli, co to znaczy używać zegarka. Czas nie składał się tutaj z regularnie następujących po sobie odcinków, mierzonych w równych i abstrakcyjnych jednostkach jak godziny, minuty i sekundy. Tworzyły go okresy bezpieczeństwa i zagrożenia, pościgu albo bycia ściganym, przeżycia i udanych polowań.

Budząc się, zawsze odczuwali to samo. Pojawiające się światło dnia przemieniało mrok nocy w pejzaż różnych odcieni szarości, a potem w spektrum żywych ciepłych barw. Ptaki poczynaly ćwierkać i świergotać, a chłodny powiew napływający od strony Mau przynosił wilgotną mgiełkę, przyprawiającą Kena o kaszel.

Kiedy Ken kasłał, chłopiec poruszał się, a niekiedy nawet zrywał z posłania. Śluzowate wydzieliny snu pękały wokół obrzeży oczu, gdy trzepotał powiekami i obrzucał otoczenie szybkim spojrzeniem.

Spostrzegłszy Kena, unosił do góry kąciki ust na powitanie. Tarł gwałtownie oczy pięściami i wierzgał nogami, jakby walczył jeszcze ze snem, kopiąc przy tym Kena z impulsivewnością nastolatka.

Następnie bekał. Beknięcie nie pochodziło z napełnionego żołądka — po prostu skutek zmiany pozycji ciała wydobywało się na zewnątrz uwięzione



tam powietrze. Oznaczało również głód. Najczęściej dzieciak zrywał się na nogi i rzucał na resztki pozostałe z ostatniego posiłku, które poprzedniego wieczoru przysypał ziemią. Śniadanie praczłowieka składało się ze strzępów mięsa i połamanych kości, kilku żył i ścięgien oraz przywartych do nich grudek zakrzepłej krwi — wszystko zakonserwowane przez wędrowne mrówki.

Chłopiec zdmuchiwał je, albo nawet zdejmował palcami, zanim zaatakował samo mięso. Ken miażdżył niekiedy wielką kość, żeby wyssać świeży i ciepławy szpik. Takie było śniadanie dwóch hominidów: archaicznego i współczesnego.

Ken uczył się, że prawie żadne zwierzę nie pogardza zdobyczą innego.

Mimo iż borsuk słyszał z tego, że jada dziki miód, tchórz afrykański insekty

i jaja, a mangusta jaszczurki i węże, żadne z nich nie ominęłyby okazji zjedzenia mięsa tylko dlatego, że samo go nie upolowało lub nie wywalczyło.

Mięso — nawet rzadko spożywane — stanowiło źródło naturalnego białka, bez względu na to, jak zanieczyszczali je pierwotni myśliwi, jak bardzo było wyschnięte lub przegniłe.

Ken stopniowo przywykł do odoru rozkładających się zwierzęcych ciał.

Stwierdził nawet, że woń gnijącego białka nie jest pozbawiona pewnej dozy

słodczy. Wśród dzikiej przyrody słodki aromat wydzielały jeszcze tylko

kwiaty i dojrzewające owoce. Były to dwie odosobnione smużki słodkiego,

nektarowego smaku i zapachu, zagubione na palecie woni sawanny, pełnej

surowych, gorzkich, brutalnych odorów: antylopiego łajna, uryny, którą lwy,

hieny i szakale oznaczały swe terytoria, drzew spalonych w czasie ostatniego

pożaru buszu, gnijącego mięsa, wrzącego na słońcu błota, starego pyłu splukiwanego powierzchniowo deszczem dwa razy w roku.

Ken miał wrażenie, że jego zmysł węchu uległ przeobrażeniu. Nos, niewielki w porównaniu z wieloma zwierzęcymi, ale znacznie większy niż

u chłopca, stał się równie ważny jak oczy.

Nawet zapachy własnego ciała odbierał inaczej. Jego świadomość rejestrowała ich znaczenie, tak że prawie nie przeszkadzało mu to, iż się nie

kąpał, nie podcierał czy nie mył zębów od... Od jak wielu już dni? Nie mógłby tego stwierdzić.

Przebywał samotnie w sawannie jedenaście, może dwanaście dni, jednakże

liczba ta wydawała się czymś abstrakcyjnym. Drapał się po rosnącej brodzie

i godził — sądząc po jej wyglądzie — z upływem czasu, nie był jednak w stanie powiązać tego z mijanymi dniami na sawannie. Nie istniały tu

godziny, przynajmniej w sensie tego nowoczesnego, sztucznie dzielonego

czasu. Dzień i noc dzieliły się na pięć zasadniczych okresów:

- 1) budzenie się i przygotowywanie do polowania,
  - 2) polowanie,
  - 3) zjadanie zdobyczy, a potem odpoczynek prawie do zmierzchu,
- zmierzch, niespokojna pora wyszukiwania miejsca na sen,
- 4) sen.

Życie Kena skoncentrowane było głównie na obserwacji małego pra-

człowieka, bronienu go przed niebezpieczeństwami i współuczestniczeniu w jego zajęciach. Żył, aby go sobie „przyswoić”, uchwycić i wprowadzić w głąb własnej współczesnej jaźni lub raczej tego, co z niej pozostało. Kenneth T. Lauder wcale już nie był pewien, jak wiele w nim przetrwało z Kennetha T. Laudera, ani też nie miał zbyt wiele czasu, by się tym zajmować.

Oni obaj musieli spać i jeść.

Żeby móc jeść, należało najpierw nie dopuścić do tego, by samemu zostać zjedzonym.

Ken uczył się, jak unikać lwich paszcz, kłów hien, rogów guźców

i antylop, bawolich kopyt, zębów węży, kłów słoni i nosorożców, użądleń owadów. Nocą pod przymkniętymi powiekami przesuwają się obrazy wszystkich rozlicznych niebezpieczeństw minionego dnia. Przed niektórymi umknął zbyt szybko, by mogła je dokładnie zarejestrować pamięć. Inne — w postaci wielkich kotów, guźców, szarżujących bawołów i szczekających hien — odcisnęły na jego zmysłach tak mocne piętno, że dziwił się, jak mógł dotąd nie zdawać sobie sprawy z zagrożeń, jakie stanowiły one dla ludzkiej rasy.

Chłopiec zasypiał tak szybko. Dla niego taka egzystencja była czymś normalnym, dla Kena natomiast równała się ekstremalnej walce o przeżycie.

Pod tym względem czuł się słabszy od swego towarzysza.

Bez względu na to, który z nich był „lepszy”, obaj musieli unikać niebezpieczeństw i zarazem nieustannie stawiać im czoło. Musieli też polować, co wymagało czasu, energii, niezwykle wysiłku fizycznego, ze strony zaś

Kena swego rodzaju niemej modlitwy o powodzenie.

Jak dotąd, za narzędzia myśliwskie służyły im głównie kamienie. Ken

wystrugał drugi oszczep, ale polowanie z użyciem oszczepu nie zastąpiło jeszcze polowania kamieniami. Zwykle mieli je ze sobą, gdyby jednak zostali zaskoczeni z pustymi rękami, zawsze mogli podnieść rozmieszczoną wszędzie na ich terenach łowieckich kamienną broń.

Posługiwanie się kamieniami do polowania wymagało świadomego pozostawiania ich w określonych miejscach i zapamiętywania, gdzie te miejsca się znajdują. Dzięki temu Ken uczył się poznawać swoje terytorium.

Zawsze mogli być pewni, że odnajdą kamienie tam, gdzie je położyli. Zwierzęta ich nie dotykały, chyba że pozostawiliby je tuż przy norze lub legowisku bądź też na ruchliwym szlaku wydeptanym łapami i kopytami.

Musieli rozmieszczać zapasy kamieni w pewnej odległości od ścieżek dzikiej zwierzyny, ale zarazem dość blisko, tak żeby zagwarantować sobie sukces w łowach. Rozróżnianie dobrych miejsc od złych uczyło oczywiście jeszcze lepszej znajomości terenu.

Na tym nie kończyły się działania Kena i chłopca. Musieli również szukać innego pożywienia niż mięso: orzechów mungongo, pędów roślin,

nasion, bulw i korzeni. Wszystkiego należało najpierw spróbować, jedne bowiem rośliny były jadalne, inne zaś nie. W istocie niektóre były wręcz silnie trujące, co należało stwierdzić kosztując odrobinę i czekając na skutki.

Wyglądało na to, że chłopiec nie zna jadalnych roślin, z wyjątkiem soczystych bulw. Ken wysnuł stąd wniosek, że krewniacy małego żywili się mięsem.

Wreszcie należało znaleźć wodę — ten życiodajny napój. Ken zachował obraz czystych strumieni i przejrzystych jezior, podczas gdy tutaj woda nigdy nie była krystalicznie czysta, chyba że po rzęsim deszczu natrafili na nią w szczelinach skalnych. Zwykle występowała w postaci kałuż, trzęsawisk, w zagłębieniach terenu, zapaskudzona utopionymi owadami i osadem aluwialnym. Uważali ją za życiodajną tylko dlatego, że gdyby jej nie pili, z pewnością zmarliby wskutek odwodnienia.

Żołądek Kena nigdy nie przystosowałby się do takiej wody, gdyby nie pomoc chłopca. Podczas trzeciego poważnego ataku biegunki, w momencie gdy wypuszczał cuchnącą ciecz przez okrutnie podrażniony odbyt, hominid przyniósł nagle garść mokrej ziemi i wepchnął mu ją do ust. Ken pogryzł, przełknął i legł wyczerpany na trawie do chwili, aż skurcze i biegunka osłabły.

Jakiś składnik tej ziemnej pigułki musiał oddziaływać na trawienie. Ken uśmiechnął się z wdzięcznością do chłopca, który wyglądał na tak zadowolonego, że znów pobiegł na gliniasty brzeg zanikającego potoku, wydrapał palcami trochę ziemi i powrócił przeżuwać ją. Ta czynność nasunęła Kenowi myśl o preparowaniu medykamentu mieszadłem w aptekarskim moździerzem. Moździerzem były usta chłopca, przyrządem do mieszania — zęby i język. Wypluł ziemię i wepchnął bryłkę wielkości sporego kęsa między rozchyłone wargi Kena, przynaglając go spojrzeniem czystych oczu: „No już, połknij to!”

Ken wiedział, hominid nie mógł nauczyć się tego sam. Przeżuł mokrą glinę, doświadczając jednocześnie odrazy i ciekawego poczucia wspólnoty. Chłopak musiał nauczyć się tego od swoich krewniaków. Gdzie oni teraz byli?

Niezwykły lek sprawił, że Ken poczuł się lepiej i wkrótce znów mógł jadać za dnia surowe mięso. Wieczorem zaś, po rozpaleniu ogniska, piekł je w ogniu. Pieczenie nie było konieczne, ale dodawało pokarmowi smaku. Nie miał jednak dość sił, żeby za każdym razem, gdy potrzebował białka, rozpalać ogień, zatem musiał zjadać mięso na surowo — niczym przemęczony sapiens chrupiący kawałek zimnej pizzy — chyba że zebrał wystarczająco dużo orzechów. Jego żołądek, wspomagany od czasu do czasu ziemną pigułką, przywykał stopniowo do takiej mieszanej, ludzko-praludzkiej diety.

Epizod z ziemną pigułką przypieczętował pakt między Kenem a chłopcem.

Troszczyli się o siebie wzajemnie. Dla obu stanowiło to kolejny ważny obowiązek.

Ponadto spoczywało na nich jeszcze wiele innych ważnych obowiązków.

Utrzymanie higieny osobistej polegało głównie na wycieraniu ciała po jedzeniu i wydalaniu. Skoro szimpansy potrafiły wykorzystywać liście jako ręczniki higieniczne (a nawet tampony menstruacyjne), to dwóch hominidów również mogło wynaleźć rozmaite zastosowania dla liści i traw. Musieli też baczyć, gdzie kucają. Ken nauczył się wypróżniać w ten sposób, by nie dawać węzom czy owadom okazji do ukąszenia go w gołe kostki lub pośladki ani zgłodniałemu drapieżnikowi szansy takiego zbliżenia się, by mógł pożreć jego świeże odchody. Hieny i dzikie psy nigdy nie gardziły odchodami, nie wyłączając swoich własnych. To dzięki nim dzika przyroda pozostawała czysta.

Życie w pliocenie tak wyczerpywało, że w połowie dnia obaj potrzebowali krótkiego, ale całkowitego wypoczynku, który odbywali siedząc na trawie i opierając się o siebie plecami. W ten sposób byli w stanie obserwować busz,

zawsze wyczuleni na kołysanie traw, mogące oznajmiać zbliżanie się wielkich drapieżników.

W takich chwilach Ken czuł mocne i szczupłe plecy chłopca przy swoich.

Czasem mały opierał mu głowę — twardą i zaskakująco ciężką jak na swoje rozmiary — na ramieniu. Hominid nie zachowywał się wobec Kena łagodnie czy delikatnie. Delikatność okazał tylko raz, i to też dość powściągliwie, kiedy Ken leżał chory w kominie wystygłej lawy.

Chcąc zwrócić na siebie uwagę towarzysza, chłopak kopał go albo szorstko zatrzymywał, chwytając za ramię. Rzucił się nań całym ciałem bądź to w chwilach radosnego podniecenia, bądź też każąc zmienić kierunek marszu. Jak gdyby nigdy nic wyciągał Kenowi z rąk kawałki zdobyczy, co mogłoby go drażnić gdyby nie to, że dostrzegał w takim zachowaniu oznakę zaufania.

To zaufanie zupełnie go rozbrajało. Złapał się na tym, że tęskni za następnym kopniakiem, szturchnięciem łokciem lub mocnym uderzeniem głową w bark. Tak naprawdę chłopak nie był w stanie go zranić. Ken nadal dysponował mocnym i ciężkim ciałem wysokiego współczesnego człowieka, machiną mięśni wydoskonaloną przez dwa miliony lat ewolucji. Stracił na wadze, ale ciągle pozostawał w świetnej formie.

Schudł tak bardzo, że musiał zapinać pasek na ostatnią dziurkę. Pasek, podobnie jak pozostałe części garderoby, był teraz spękany, zblakły i brudny.

Spodnie, podarte i wypłowiałe na ostrym słońcu, oblepione piaskiem i błotem, przypominały warstwę starej skóry, która — nie wiedzieć czemu — się nie złuszczyła. Terenowe buty były postrzępione, sznurowadła zaś pękły, zmuszając go do związki ich w wielkie węzły.

Co do brudnej bielizny i cuchnących skarpet, to leżały porzucone gdzieś w sąsiedztwie, zmienione zapewne w mysie gniazda. Zgubił też kapelusz, co oznaczało, że od rana do zachodu musiał mrużyć obolałe oczy w blasku rozpalonego nieba. Nieustannie odczuwał też kłujący ból oparzeń słonecznych, szczególnie dotkliwy na grzbiecie nosa.

Zartował w duchu, że wcześni ludzie właśnie dlatego mieli płaskie nosy,



żeby uniknąć takich oparzeń. Śmiał się z tego dowcipu, żałując *i.e* nie może się nim podzielić z chłopcem. Zadrapania i pęknięcia na opalonej skórze znaczyły każdy odsłonięty fragment jego ciała. Zwichnięta kostka wydobrzała, ale nie do końca, gdyż nieustannie ją obciążał. W nocy próbował ją masować, czemu przyglądał się jego towarzysz. Ken zdał sobie sprawę, że ten prosty gest nie wymagał ani tłumaczenia, ani wyjaśnień, że zarówno przed dwoma milionami lat, jak i teraz, zwichnięta kostka była zwichniętą kostką. Aż tu pewnego ranka obudziło go kopnięcie prosto w obolałą nogę. Ledwo stłumił głośne przekleństwo, usiadł i... poczuł zapach lwów. Aż podskoczył ogarnięty trwogą. Spali na skalnej półce, podścieliwszy sobie dla wygody ciepłe popioły z ostatnich paru ognisk. Chłopiec poruszył się, przewrócił na brzuch i znowu zasnął. Prawdopodobnie także wyczuł lwy, dysponując węchowym systemem

ostrzegania równie wrażliwym jak u Kena. Czyżby uznał, że zagrożenie jest jeszcze odległe? Czy może uspokoiła go obecność potężnego przyjaciela?

Jeśli tak, chłopiec ryzykował życiem.

Ken spojrzął na jego drobną twarz. Czuł, jak pięść zaciska mu się na

oszczepie. Działał odruchowo, nie myśląc. Zrobi, co się da, żeby obronić to dziecko i siebie.

Znów poczuł zapach lwów i usłyszał cichy ryk. Głosy dobiegały z oddali

bądź też tłumiła je mgła.

Doznał, bynajmniej wcale nieprzykrego, uczucia solidarności ze wszystkim-

kimi ludźmi z przeszłości i teraźniejszości, którzy walczyli z kotowatymi

drapieżnikami. Hominidzi kontra kotowate to najdłuższa i najzacieklejsza

wojna międzygatunkowa w historii. Brał w niej teraz udział, walcząc o przetrwanie rasy.

Odczuł charakterystyczne ściągnięcie moszny i skurcz odbytu. Ukłucia

strachu promieniowały z krocza, docierały do żołądka, gniotły pierś i wznosiły

się dopóty, dopóki gwałtowne, nieprzyjemne napięcie nie zacisnęło szczęk.

Instynkt przetrwania kazał mu ustalić, gdzie, jak daleko i w jakiej sile

znajduje się wróg. Musiał go zobaczyć, w tym celu zaś powinien stanąć na

nogi, przyjąć pozycję pionową, znaleźć się na najbliższym wzniesieniu. Piął

się już na odkrytą skałkę, wspierając na oszczepie.

Stanąwszy na wierzchołku, wciągnął w płuca mgłę i zakaszłał, klnąc

siebie w duchu za robienie hałasu, który mógł go zdradzić. Poczł specyficzny

odór lwich samców.

„Cholera. Szkoda, że nie mam już lornetki” — pomyślał.

Utracił ją przecież wraz z pozostałym ekwipunkiem obozowym po walce

z Modibem. Stojąc z oszczepem w rękę na szczycie skały, wciąż nie do końca

rozumiał, co sierżant robił w jego obozie ani jaką rolę odegrali inni ludzie

(powiązani z Modibem lub też od niego niezależni?), w wydarzeniach, które

sprowadziły go tutaj.

Oczy musiały zastąpić mu lornetkę.

Czekał z łomotem serca.

Z mgły wyłaniały się z wolna jakieś kontury. Dwa żółte punkty  
nabrały

kształtu, a po chwili dało się zaobserwować także kierunek ich ruchu.  
Dwie

ciemnobrązowe plamy przybrały postać grzywiastych łbów dwóch  
samców

kroczących wprost na skaliste wzniesienie.

„Cholera. Dwa samce. Wielkie i głodne.”

Widział ich puste, wzdęte brzuchy, zwisające między falującymi w  
ruchu

zadami. Powiódł spojrzeniem na prawo i lewo, prosząc Boga, by  
pojawiła się

jakaś antylopa, odwracając ich uwagę. Wystarczyłaby jedna taka  
zdobycz,

żeby leżały ospale i bierne przez parę dni, a to dałoby hominidom dość  
czasu

na przeniesienie się w inny rejon.

Wtedy zobaczył we mgle coś jeszcze, a widok ten okazał się tak  
nieoczekiwany i groźny, że serce mu zamarło.

Zaledwie pięćdziesiąt jardów na prawo od samców rozciągała  
się

w oparach mgły znacznie większa masa żółci, przypominająca rozkołysany wał pełną żywej materii. Dzięki mgłę wydawała się zrazu jednolita, ale było to złudzenie.

Ken wyteżył wzrok tak mocno, że aż nabrzmiały mu żyły na skroniach, zaczął jednak odróżniać poszczególne zwierzęta. Liczył: raz, dwa, trzy.... Ich

sylwetki wyrastały ponad niską złocistą masę. Daleko na prawo mgła zaczynała rzednąć i ukazały się kolejne: cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.

W miarę jak ich liczba rosła, serce Kena zamierało.

Patrzył na wielkie stado lwic, złożone z siedmiu lub ośmiu dorosłych

sztuk, oraz na towarzyszącą im nieprzebraną liczbę młodych. Mógł już wyraźnie rozróżnić lwiątko, małe i niskie, w kolorze płynnego złota, z zaznaczającymi się ciemnobrązowymi cętkami i plamkami pyszczków, uszu i oczu.

Nie dojrzał w stadzie żadnych wielkich brązowych plam, żadnych grzyw, żadnych dorosłych samców.

Stado zmierzało prosto ku odsłoniętej skałce i zboczu Mau. Na jego drodze leżało jezioro w kształcie szerokiej nieregularnej litery L, o brzegach przystrojonych trawą, ale pozbawionych krzewów i trzcin. On oraz chłopiec pijali tam, hominid zaś polował także na małe gryzonie. To był ich zbiornik wody.

„Będziemy musieli ustąpić i przenieść się gdzie indziej jeszcze dzisiaj — pomyślał. Wynosząc się stąd, trzeba zachować ostrożność”.

Mimo iż z każdą sekundą rosło zagrożenie, Ken przez parę chwil napawał się widokiem poruszających się lwic. Ich barki pod żółtymi futrami kołysały się miękko, karki pochylały faliście, zady krągliły w rzednącej mgłę, nieomal po kobiecemu ponętne.

Nakazał sobie czujność. Odwrócił się i zderzył z małym brązowym hominidem, który dysząc po szybkim podejściu, śmiał się do niego oczami i ustami. Trzy dni wcześniej Ken sporządził drugi oszczep, zahartował go w ogniu i podarował chłopcu. Nowa broń lśniła w jego ciemnej zaciśniętej dłoni. Mały uśmiechnął się szeroko i oto znowu w ułamku sekundy zniknęły różnice będące owocem dwóch milionów lat ewolucji.

Chłopiec odwrócił się, by popatrzeć na lwy. Przez moment wydeły

mu

się policzki, a oczy rozjaśniły. Potem spojrział na Kena, lustrując wzrokiem

jego oszczep niczym żołnierz, który sprawdza uzbrojenie towarzysza i goto-

wość do walki. Jego mimika była tak niesłychanie współczesna, że Ken zdał

sobie sprawę, iż brak mu tylko znajomości mowy. Jak zwykle nie wypowiadał

się słowami, lecz dźwiękami. Rozległo się najpierw chrapliwe, gardłowe „rrrrr”, po nim nastąpiło „iiii”, wyrażające zaskoczenie i pełną podniecenia

bojowość. „Iiiii” — to są lwy. „Iiiii” — jest ich wiele. „iiii” — zabawmy się

podchodząc do nich bliżej.

Ken nauczył się, że dźwięk „iiii” często stanowił wezwanie do działania.

Był to dźwięk numer pięć z repertuaru języka „Ape 36”, jak zaczął nazywać

zbiór dźwięków używanych przez chłopca. Bazował przy tym na zestawie

dźwięków, jakimi posługuje się szympans, a składającym się przynajmniej z trzydziestu sześciu odmiennych wyrażen, ujednocionych i zrozumiałych dla innych osobników. Ken zauważył, że dźwięki, którymi chłopiec sygnalizuje niebezpieczeństwo i zagrożenie, są dokładnie określone i ujednoczone, jak u szympansów, oraz starannie artykułowane, natomiast te wyrażające satysfakcję, radość i odprężenie są w znacznie większym stopniu przypadkowe i niedbałe. Język jest zjawiskiem społecznym i wyrósł z pierwotnej potrzeby ostrzeżenia innych przed niebezpieczeństwem.

Dźwięki od pierwszego do czwartego wyrażały ostrzeżenia. Podstawowe „rrrr” stanowiło samo w sobie ostrzeżenie o obecności. Dalece gwałtowniejsze „grrrr” było wyraźną deklaracją wrogości, chłopiec posługiwał się nim w czasie polowania. Głośne, brutalne „uraaaa!” to najostrzejsze z ostrzeżeń. Ken słyszał, że chłopiec wydał je podczas snu, a potem zerwał się i otrząsnął jak z koszmaru. Niskie, słabnące „uaaa” oznaczało zmęczenie; hominid używał go, kiedy maszerowali zbyt długo bez picia czy odpoczynku. „liii” wyrażało podniecenie, a „maaa” oraz „naaa” sygnalizowało głód.

— liii! — Ken spróbował naśladować chłopca, ale ten spojrzął tylko z lekkim zaskoczeniem i uśmiechnął się szeroko. „Znów mnie przedrzeżniasz?” — zdawał się mówić. Zeskoczył w dół po skale. „Dokąd on idzie, do diabła?” — panikował Ken. „Zaczekaj, Długopalcy! Musimy szybko oddalić się od tych lwów. My....”

Chłopiec schodził po skałach, brązowe podeszwy stóp zdawały się frunąć ponad naturalnymi stopniami, aż wreszcie zniknął. Ken zaklął, pochwycił oszczep i począł skakać w dół ze skały na skałę. Już sobie wyobrażał chłopca pochwyczonego i rozrywanego przez lwy, zanim on zdąży interweniować swym potężnym głosem i śmiesznie lekkim oszczepem.

Zbiegając potknął się i upadł, poderwał i pobiegł znowu. „Skręcę kark, usiłując obronić tę małą maszynkę do polowania, która jak dotąd całkiem nieźle dawała sobie radę bez mojej ochrony.” Skoczył ze skały na pas

żwiru,  
ciągnący się wzdłuż skalnego wału. Za tymi kamykami, powstałymi w wyniku trwającej od milionów lat erozji, zaczynała się wysoka trawa. Pas żwiru między skałą a trawą wił się i ciągnął dalej niczym korytarz.

Nie dostrzegł nikogo.

Tupnął spoconą stopą w bucie. Bolała go kostka, czuł, że bliski jest rezygnacji. Któż by zniósł tę emocjonalną karuzelę? A jeśli hominid zginie

w lwiej paszczy....? No cóż, będzie to po prostu pech.

Odwrócił się nagle.

Chłopak stał tuż za nim, mrużąc jedno oko niemal tak, jakby porozumie-

wawczo mrugał. Ken odrzucił oszczep i wyciągnął ku niemu ramiona, gotów

pociągnąć go z powrotem w jakieś pozornie bezpieczniejsze miejsce, ale bezpieczeństwo mogło im zapewnić tylko dalsze wspólne działanie przeciwko

niespodziankom dzikiej przyrody.

Chłopiec pobiegł żwirowatym korytarzem, zatrzymał się jednak na

moment i machnął ramieniem w kierunku niemal prostej ściany skalnej, dając

Kenowi znak, że tamtędy muszą ominąć lwy. I znowu ruszył biegiem.

Była to chytra zmiana terytorium i Ken zrozumiał, że kipiący energią

chłopiec gotów jest do polowania.

— Zgoda, Długopalcy — wydyszał. — Chodźmy złapać coś na obiad.

Albo sami staniemy się obiadem dla zwierząt, które bardziej niż my zasługują

na to, by przekazać potomstwu swoje geny.

Dwa lwy nigdy dotąd nie podeszły tak blisko pasma Mau. Zbliżyły się do

niego bez przerwy już od ponad tygodnia. Starszy kulał wskutek rany odniesionej w czasie walki z broniącą swoich młodych lwicą. Chora łapa

ograniczała tempo ich marszu, lecz mimo to samice, za którymi się skradały

lwy, nie mogły im umknąć, gdyż obarczone były młodymi. Część lwiatek

liczyła sobie zaledwie dwa tygodnie.

To wielkie stado składało się w istocie z dwóch stad, które połączyły się po

wielokrotnych atakach samców na młode. Obie osłabione grupy zlały się w jedną.

Lwice nie ustaliły w niej wyraźnej hierarchii ani taktyki zespołowych działań.

Gdyby wystąpiły solidarnie przeciw obu samcom, powstrzymałyby ich,

nie było jednak wśród nich zgody. Samice, które straciły młode, stanowiły

słabe ogniwo — instynkt już zaczynał je przynaglać do macierzyństwa. Fale

podniecenia płciowego pulsowały im we wnętrzu narządów rozrodczych,

kiedy tak szły kołyszącym się krokiem przez wysokie trawy. Pod falującymi

ogonami poczynały się tworzyć małe czopy śluzu, roztaczając zapach zachęcający do kopulacji. Dla samców oznaczało to określony sygnał, więc

się nie spieszyły.

Oba lwy niewiele jadły przez ostatnie dwa tygodnie, toteż wyglądały

bardzo marnie. Sierść miały matową, oczy zmrużone i pozbawione blasku.

Zazwyczaj lśniące ciemne wargi były teraz spękane. Równie niecierpliwie

wyczekiwały pokarmu, co okazji do pokrycia samicy. Z chęcią zżarłyby lwią



część zdobyczy upolowanej przez szybkonogie, skoczne i wytrwałe samice.

„Lwia część” to w istocie część łupu dla samca. W społeczności tych

drapieżników nie ma ani rozleniwionych samic, ani pracowitych samców,

chyba że ci ostatni zdani są na samych siebie.

Tak więc dwaj lwi rozbójnicy posuwali się naprzód, samice zaś ustawicznie się cofały.

Owego dnia, kiedy tylko horyzont poszarzał wraz z nadejściem świtu, oba

samce poczęły ryczeć, zmuszając lwice, by wstały i popędziły swoje młode

dalej. Wówczas lwy zamilkły i podążyły w ślad za stadem w mgłę, w której

mogły upolować oddalające się od reszty lwiątko.

Lwice kontrolowały wzrokiem swoje małe. Tracąc je z oczu we mgle,

zatrzymywały się i nerwowo miotały usiłując odnaleźć lwiątko, które

zaskoczone i wystraszone — miauczały, kichały i nieuchronnie zaczynały

zostawać w tyle, gubiąc się.

Samce podkładały się bliżej, czujnie nastawiając puszyste uszy. Kiedy usłyszały miauczenie młodych, pędziły ku łakomym kąskom poprzez falujące opary, szczerząc wielkie zębiska i błyskając czujnie żółtymi ślepiami w obawie przed matkami.

Tego dnia na czele patrolu zabójców kuśtykał kulejący weteran, dźwigając swoje ponad czterysta funtów żywej wagi. Pomrukiwał basowo na młodego samca, który wykonywał dobrą robotę, przepłaszając samice zapachem i rykiem. Stary lew zmrużył oczy i spojrział na niebo. Słońce zaczęło przeświecać przez mgłę, a to oznaczało, że na polowanie pozostało zaledwie parę minut.

Znieruchomiał do chwili, gdy usłyszał pomrukiwania dwóch zabłąkanych lwiatek.

Ziewnął, obnażając groźne siekacze, długie na pięć cali. Obliznął wąsy brązowym jęzorem i leżał płasko w trawie z wyciągniętymi łapami. Zaczął się czołgać. Rozchyłał łapą trawy, aż natrafił na zaledwie parotygodniowe lwiatko.

Była to mała samica o krótkiej szyi, nakrapianej sierści i krótkim węzlastym, ostro zakończonym ogonie.

Spostrzegła wielką łapę, ale nie pojęła, co to takiego. Łapa była niemal tak duża, jak ona, i wyglądała całkiem niegroźnie. Mała lwica o ślepkach lśniących niczym kuleczki rtęci wyciągnęła ostrożnie łapkę, stanęła na nogi i skoczyła na wielką łapę, tnąc radośnie ogonkiem zamglone powietrze.

Potęźny samiec opuścił błyskawicznie głowę niby potężny młot, obalił zwierzątko na trawę, łamiąc mu kręgosłup. Lwiatko zakwiliło po raz ostatni. Żółte zęby wbiły mu się w kark, niczym tasak w płat mięsa, i cofnęły ociekając krwią.

O jedno młode mniej. Kolejny krok na drodze do przejścia stada.

Nieopodal, na prawo od starego lwa, odezwało się inne lwiatko. Mocniejszy i głębszy głos wskazywał, że to samczyk, i to chyba trochę większy.

Zabójca znów przypadł do ziemi i wyciągnął na wabia kulawą łapę.

Puszysta przynęta przyciągnęła spojrzenie małego lewka podobnie jak przed chwilą jego siostry. Już miał ją drapnąć, gdy uniósł wzrok — potężna paszcza kłapnęła we mgłę blisko niego, jednak nie dość blisko. Lwiatko przysiadło na wątych tylnych nogach bardziej ze zdumienia niż w odruchu samoobrony. Stary samiec poczuł, że pazury dwutygodniowego malca ranią mu powierzchnię pyska. I znów siekacze przecięły delikatne ciało niczym noże do mięsa.

Tym razem weteran nie mógł się powstrzymać. Trzymając zdobycz w zębach, potrząsnął strasznym łbem i oderwał małą głowę od nakrapianego tułowia. Wciągnął ją do wielkiej gardzieli. Akurat w tym momencie inne starsze lwiatko, skonfundowane i przestraszone, wpadło na starego samca i spostrzegłszy go, skoczyło mu w samobójczym ataku prosto do pyska. Wielki lew — zaskoczony — usiłując zaczerpnąć tchu, połknął głowę w całości.

Nie mogąc złapać powietrza, podskoczył wysoko i opadł waląc  
piersią  
o ziemię. Dzięki temu nie pogryziona głowa powędrowała do pustego  
żołądka. Płuca znów wypełniły się powietrzem. Z rykiem odrzucił  
trzeciego  
młodego i jednym kłapnięciem zębów przegryzł mu tętnicę szyjną.  
Zaczął  
ssać krew, żeby zwilżyć gardło i uspokoić pobudzony żołądek.

Podniósł się z ziemi.

Lwice usłyszały go i rzuciły się do tyłu, ale było za późno.  
Powrócił  
młody lew z pyskiem pokrwawionym pazurami któreś z nich. Weteran  
pokuśtykał w wysoką trawę i znów przypadł do ziemi.

Matka dwojga lwiatek wbiegła na polanę i położywszy po sobie  
uszy

wydała rozpaczliwy ryk. Najpierw natknęła się na rozszarpaną córkę,  
potem na  
pozbawionego głowy syna. Przez niemal minutę — oszołomiona —  
płaczliwie  
porykiwała, zanim nie zdała sobie sprawy, że jej młode nie żyją.  
Pozostała jej  
jeszcze dwójka, gdzieś na przedzie stada. W obawie o ich życie  
zawróciła,  
podążając wśród rzędzącej mgły w stronę zbocza Mau i oplakując stratę.

Kiedy światło słoneczne zalało miejsce porannych lwich  
podchodów, Ken

zobaczył, że matka odeszła. Obserwował teraz wielkiego samca, który  
poczłapał niczym pijak w stronę kępy krzaków. Przystanął i zaczął  
pospiesznie  
gryźć liście i trawę. Młodszy lew przypatrywał się z głupią miną  
świadczącą

o braku doświadczenia. Stary wiedział, co robi. Zastygł w dziwnej  
pozycji

wskazującej na niedyspozycję, rozdziawił ogromną paszczę i  
zwymiotował

wraz z sokami żołądkowymi nie strawioną głowę lwiatka. Ken i hominid  
ujrzeli, że wyskakuje ona z gardła zabójcy i toczy się, oblepiona, w  
trawę.

Powietrze sawanny, cofając się pod naporem zimnego powiewu  
znad

Mau, uniosło ze sobą zapach zwymiotowanej głowy, mokrej od ostrych  
soków trawiennych. Smród dotarł do antylop, które właśnie ocknęły się  
ze

swego snu na stojąco, do małych budzących się na drzewach i do rodzinki  
guźców zażywających błotnej kąpieli. Był ohydny ostrzeżeniem dla  
każdego,

któ posiadał nos oraz powody, żeby obawiać się lwów.

Ken spojrział na chłopca, który właśnie wydał nowy dźwięk. Nie  
było to

ostrzegawcze lub pełne podniecenia i ciekawości „iiii” sprzed zaledwie  
godziny, lecz przeciągłe „uuuurrggghhh” z głębi trzewi, pomruk pełen

nienawiści i goryczy. Mały hominid wyglądał przerażająco. Ken nieoczeki-  
wanie pomyślał o obrońcach środowiska naturalnego, którzy martwią się  
zanikaniem gatunków wielkich kotowatych, podczas gdy tutaj, w  
pliocenie,  
wszystko w człowieku buntuje się przeciwko tym najbardziej  
morderczym  
zębom i pazurom w całej dzikiej przyrodzie.

Jedyną bronią, jaką on i chłopiec dysponowali przeciwko tym  
zębom  
i pazurom, były drewniane kije i własne umysły.

Położył dłoń na jego nagim ramieniu. Wyraz nienawiści w  
spojrzeniu  
hominida począł z wolna ustępować miejsca innemu, bardziej  
praktycznemu  
nastrojowi.

„Zabierajmy się za nasze własne polowanie” — zdawały się mówić  
czarne jak węgiel tęczęwki.

Obróciwszy się na pięcie, chłopak zeskoczył na zwirowatą ścieżkę i zaczął wrywać do przodu, jak zwykle pierwszy.

Zostawili lwy za sobą i posuwali się dalej. Spory kawałek od tamtego

miejsca znajdowało się inne zagłębienie z wodą — niewielkie, więc przycią-

gało tylko ograniczoną liczbę zwierząt. Nie zagrażały tu kotowate, gdyż brzegi były błotniste i dzięki temu wolne od zarośli i wysokiej trawy.

Każdy

wielki drapieжник, gdyby chciał się zbliżyć, zostałby z łatwością wykryty

wzrokiem lub węchem. Ponieważ drapieżniki odwiedzały inne zbiorniki wody, tutejsze zwierzęta żyły w błogim spokoju. Ken odnotował w pamięci,

że jeśli mają polować oszczepem, to powinni zacząć najpierw od tego miejsca.

Trzymał w garści swoją broń, chłopiec zaś ścisnął swoją w małej

brązowej dłoni. „Dziś udzielę mu pierwszej lekcji rzucania oszczepem”

—  
pomyślał podniecony. Wyprawa do „spokojnego” zagłębienia z wodą wyda-

wała się tym bardziej rozsądna, że Ken, chcąc zostać nauczycielem, sam powinien nauczyć się polowania z oszczepem.

Nauczy się w trakcie ćwiczeń.

Śmiał się, biegnąc. „Znacznie mniej byłbym zdenerwowany, gdyby obserwowały mnie połączone wydziały paleontologii i antropologii niż ten

ośmiolatek o mózgu wielkości pięści. Ale coś wymyślę. Widziałem, jak on

poluje kamieniami na dujkery. Co wtedy robi? Zachodzi je na czworakach od

tyłu, u wodopoju, i rzuca kamieniami nie w konkretne zwierzę, ale w całe

cholerne stado stanowiące duży cel. Dujkery wpadają w popłoch i zaczynają

galopować, zazwyczaj obalając przy tym jakąś słabszą samicę lub koziołka.

Chłopak trafia wtedy leżące zwierzę. Nie jest to wysoce precyzyjna technika

myśliwska, ale dosyć skuteczna.

Wymyślę coś podobnego i jakoś mi się poszczęści. Antylopy mają pewne

przyzwyczajenie. — Bardzo często nie uciekają przed niebezpieczeństwem,

po linii prostej, lecz zaczynają zataczać szerokie koło, tak aby powrócić do

swoich stad lub opuszczonych pastwisk. Musi być jakiś sposób przewidzenia

tego manewru. W przeciwnym razie człowiek, przy swojej szybkości biegu,

nie miałby szans na sukces w takim polowaniu.”

Reszta zależała od precyzji rzutu, sprawy czystej i prostej. Nie można chybić. Czy to idzie o ciskanie kamieniami, wrzucanie piłki do kosza czy też wysyłanie statków kosmicznych — nie można chybić.

Brzmi to całkiem prosto.

„Cholera, Długopalcy, do czego ty mnie zmuszasz” — uśmiechnął się

szeroko, mimo iż spocił się od długiego biegu. Zdenerwowanie ustępowało.

Poczuł się równie pewnie jak każdy hominid biegnący z oszczepem w ręku

przez równinę obfitującą w zwierzęta. „Jakoś mi się poszczęści”.

Dotarli do zagłębienia z wodą. Poszczęściło mu się, ale inaczej niż się spodziewał.

Oczekali, aż do wody zbliżył się samotny wielki samiec antylopy kudu.

Płowy, majestatyczny, o wspaniałym porożu. Białe paski na bokach poruszały

się w rytm ruchów jak falująca szata. Ken zawsze odnosił wrażenie, że kudu

roztaczają wokół siebie jakąś kapłańską aurę, a to dzięki temu, że swe kręcone

rogi nosiły niczym uroczyście nakrycie głowy. Zwierzę, równie wysokie jak

Ken, lustrowało dwójkę hominidów.

„Nie możesz chybić” — powiedział sobie człowiek.

Jednakże dotąd nie rzucał oszczepem, wiedział natomiast, że jeśli chybi,

okaże chłopcu, że tak naprawdę nie ma pojęcia, co robi.

I wtedy to wymyślił: nie możesz chybić. Tylko to miało znaczenie.

Uniósł rękę z oszczepem, czując napięcie w łokciu i barku.

Zrobił szybki wdech, wydech, jeszcze raz wdech. „Prrrr!” — rozkazał

sobie w duchu, galopując naprzód, i cisnął oszczep ponad wodą. Poczul eksplozję bólu w stawie łokciowym, ale to się nie liczyło. Cel uciekał, a oszczep pędził za nim, przecinając powietrze, aż wbił się w lewy bark kudu.

Wielkie zwierzę odbiegło z dyndającym kijem, który wystawał mu z ciała

niczym dodatkowy róg, dziwnie nie na miejscu. Ken spojrzał na chłopca, a na twarzy, obolałej od opalenizny, pojawił mu się szeroki uśmiech zachwytu

i dumy. Udało się! Ogarnęła go fala radości — czystej i pierwotnej — utajonej w nim od dwóch milionów lat.

Potem oszczep wyśliznął się z grzbietu zwierzęcia, a ono pobiegło dalej,

niosąc sztywno w górze swoje skręcone rogi.

Ken biegł wzdłuż brzegu, żeby podnieść broń; za sobą słyszał dudniące kroki chłopca.

Ostrze było karmazynowe od krwi. Chłopiec wyrwał mu oszczep i przysunął do swojej twarzy. Narzędzie przeistoczyło się w efektywną broń dalekiego zasięgu.

Chłopiec wydał swoje wysokie „iiiiii!”. Potem zaśmiał się szczeqliwie

i zaczął przerzucać oszczep z ręki do ręki. Dotknął zakrwawionej części i pogratulował Kenowi spojrzeniem.

Nadepnął na drugi oszczep, pozostawiony w błotnistej trawie, kopnął go

w stronę Kena, zatrzymując sobie ten, który już trafił celu.

Ken obszedł zagłębienie z wodą, oddalając się od swego towarzysza.

Starał się zebrać myśli, ale mały podążał za nim niczym szczeniak.

„Śliczny

jest nad wyraz” — pomyślał Ken, zastanawiając się równocześnie, czy inny

sapiens dostrzegłby w chłopcu jedynie istotę chudą, drobną, pokraczną, wręcz

brzydala? Czy jego wygląd zaszokowałby współczesnych ludzi?

Przypomniał  
sobie Fuegię, Indiankę patagońską odkrytą przez Darwina. Uczony  
uważał ją  
za piękną, lecz jego współcześni widzieli w niej jedynie płaskostopą,  
klocowatą  
istotę o piersiach przypominających prymitywne wahadła i łonie niczym  
buchający ciepłem piec prokreacyjny. Wyrwana ze swego środowiska  
Fuegia-potworek stała się „gwiazdą” sezonu.

Ken kroczył samotnie brzegiem, zamyślony. Niepokoiło go, że zbyt  
wiele

z jego dawnej jaźni ulega rozpadowi, „W kogo się przeistaczam? —  
zastanawiał się. — Cóż we mnie pozostało z dwudziestu ośmiu lat  
cywilizo-  
wanego życia?”

Słowo „cywilizowany” zabrzmiało tu wręcz nienaturalnie. Ludzkość



wydała mu się populacją więźniów, których osiągnięcia technologiczne i kulturalne pozbawiały niczym system więzienny prawa do pierwotnego życia. On się wyzwolił. Postrzeganie cywilizacji jako więzienia nie leżało jednak w jego naturze. Owszem, preferował zdrowe życie na świeżym powietrzu, ale nie należał do ekstremistów. Cywilizacja jest wartością, którą należy chronić w tym samym stopniu co dziką przyrodę. Obie nie wykluczały się wzajemnie.

Te wzniosłe słowa nie zabrzmiały przekonywająco.

Omam nie uwiecznione sukcesem łowy na kudu spotęgowały podniecenie

Kena, wywołane pierwszym prawdziwym polowaniem. Powędrowali dalej,

żeby je kontynuować. Na trawiastym terenie porośniętym z rzadka drzewami

dostrzegli kilka stadek dujkerów o żółtych grzbietach.

Zwierzęta były tłuste, o szerokich zadach, na których zbiegały się żółtawe

pasły z grzbietów w nieregularny kształt trójkąta. Ken uniósł oszczep, imitując

początek rzutu, chłopiec natomiast podniósł gwałtownie swą broń i popędził

naprzód.

„Cholera”. Ken zamierzał dać mu znak, że spróbuje pierwszy. Jak miał

teraz powstrzymać tę samonapędzającą się maszynkę?

Pobiegł w ślad za brązowymi stopami. Czuł, jak jego własne pięty dotykają

ziemi, stopy lądują całą długością, mięśnie łydek podciągają je w górę od strony

pięt, a kłęby paluchów podrzucają mocno w górę. Fala fizycznej energii płynęła

od stóp do łydek i dalej przez kolana, uda, pośladki, kręgosłup.

Tak właśnie biegał *Homo sapiens*.

Chłopiec biegł niby tak samo, a jednak inaczej. Jego pięty dotykały ziemi

w ten sam sposób, ale wbijały się mocniej, pozostawiając odcisk nieproporc-

jonalnie duży w stosunku do drobnego ciała. Długie zakrzywione palce grzęzły głębiej, tak iż ich uwolnienie wymagało większego wysiłku.

Podczas

gdy kłęby paluchów wyrzucały chłopca do góry, mięśnie łydek wybrzuszały

się jak u futbolisty. Nic dziwnego, że męczył się szybciej i konsumował znacznie więcej pokarmu i wody niż Ken.

Chłopiec obejrzał się za nim, a następnie wyrzucił lewe ramię w kierunku

stada i jednocześnie odchylił korpus w prawo. Ken zrozumiał, że ma spłoszyć zwierzęta od lewej, tak by pobiegły w prawo, gdzie będzie na nie czekał hominid. „Dobrze pomyślana strategia, Długopalcy”.

Stado poczuło Kena. Kilka kozłów, strażników grupy, uniosło łby znad

trawy, nie przestając żuć, a jeden zaryczał jak klaskon samochodowy. Samice

odwróciły się i szybko pogalopowały wrywając kopytami trawę. Ken u uniesionym oszczepem gnał za nimi, czując w płucach ogień. Przez chwilę wydawało mu się, że dogoni stado. Jeden szczególnie tłusty zad pozostał nieco z tyłu i Ken modlił się w duchu, żeby chłopiec zdążył już zająć

swoją pozycję. Kiedy jednak tłusty zwierzak obrócił się bokiem, ukazując wystraszone ślepie, zawahał się, poczuł wyrzuty sumienia i opuścił oszczep.

Uniósł go znowu, ale już pozostał w tyle. Dujkery przeszły w pełny galop,

Ken zaś jął zwalniać — płuca paliły go, a oczy szczypały od kłębiącego się kurzu.

Pędzące przed nim antylopy przeskakiwały przez zarośla. Ken nie widział

chłopca, dostrzegł tylko oszczep przecinający z błyskiem powietrze i wpada-  
jący pomiędzy dwoje zwierząt. Inne, gnając galopem, zakręcały. Jeden  
koziół

upadł i został stratowany. Reszta biegła prosto na Kena. Z łatwością  
mógłby  
przeszyć jeszcze jakąś sztukę.

Kątem oka dojrzał jednak, że chłopiec wstaje. W chwilę później  
stracił

go z oczu, jakby coś zbiło go z nóg. Ken zapomniał o polowaniu i ruszył  
biegiem, przestraszony i zagniewany. Co się, u diabła, stało? Chłopak  
był

drobny, tak łatwo mógł zostać przewrócony i stratowany. Dlaczego się  
nie  
podnosił?

Biegł uskakując przed szarżującymi dujkerami, wreszcie dotarł do  
wielkiego kłębowiska pyłu, z którego wyłonił się chłopiec ciągnięty po  
ziemi

przez powalonego kozła — mały szatan nie mógł poradzić sobie ze  
zwierzę-

ciem, trafiwszy je prosto w szyję. Umierający dujker ciągnął po szerokim  
łuku

uczepionego do oszczepu chłopca, wzbijając przy tym kłęby kurzu, gdyż  
oszczep nie chciał się złamać, chłopiec wypuścić go z rąk, a koziół  
rozstać

się z życiem bez dramatycznej walki.

Ken pognał naprzód, lecz, zanim zdecydował, co robić, wirująca  
para

wpadła nań, a koźle kopyto dosięgło jego obolałej kostki. Skoczył na  
oślep,

trafił na twardy grzbiet zwierzęcia i uchwycił spowalniając jego ruchy.  
Chłopiec zachwiał się i upadł, być może ranny, być może oszołomiony.  
Kiedy

obaj próbowali w nieprawdopodobnym kurzu uwolnić się od kozła,  
znieca

wyrósł przed nimi jakiś łeb, ogromny, ocieniony aureolą grzywy, z  
obnażonymi

w otwartej paszczy białymi zębiskami.

Był to młodszy lew rozbójnik.

Wcześniej lwice zatrzymały się na noc przy zagłębieniu z wodą,  
toteż

obydwa głodne samce postanowiły rozejrzeć się za zwierzyną albo

zabitymi  
przez siebie, ale nie pożartymi, lwiątkami. Młodszy zdecydował, że nie  
będzie  
dzielić się ewentualnym łupem, i wyruszył samotnie.

Obserwował stado harcujących dujkerów i czekał, aż jakaś łatwa  
zdobycz

sama podejdzie mu pod nos. Dostrzegł wijącego się w przedśmiertnych  
drgawkach kozła. Podniósł się na całą wysokość i skoczył, pewien  
swych sił.

Pozostało mu tylko dobić ofiarę. Nie czuł w żołądku skurczów  
podniecenia,

tylko soki trawienne burzące się w oczekiwaniu na przyjęcie pokarmu.

Obok zwierzęcia podniósł się jakiś człowiek, a koło niego druga  
podobna

postać, tyle że mniejsza — razem wyglądali na osobników jednego  
gatunku.

Atak stał się przez to bardziej zabawny, a wydanie głośnego ryku —  
nawet

uzasadnione.

W głowie Kena, kiedy podnosił oszczep, obecna była jedna jedyna  
myśl:

nie możesz chybić.

Chłopiec z wysokości swoich czterech stóp zobaczył, jak sylwetka  
lwa

powiększa się z sekundy na sekundę, że z zębów zwierzęcia ścieka spieniona

ślina, a oczy rozszerzają się, a nozdrza prychają. Hominid zakwilił ochryple.

Pędzący susami lew był po prostu za duży i szarżował zbyt szybko. Nie zdąży przed nim uciec.

Już bez swej zwykłej brawury mały rzucił się całym ciałem ku Kenowi, który właśnie wznosił oszczep.

Chłopiec — przerażony i jak zahipnotyzowany — spojrzał w górę.

Ken unosił broń jakby w zwolnionym tempie, aż drewniane ostrze wycelowało prosto w pysk drapieżnika. Obniżył je na wysokość paszczy

zwierzęcia, następnie opuścił jeszcze nieco niżej. Nie możesz chybić.

Musiał uważać, żeby ostrze broni i gardło szarżującego lwa znalazły się

na jednej linii. Sylwetka nacierającej bestii rosła w oczach, co niemal uniemożliwiało Kenowi trzymanie rąk nieruchomo.

Zmagał się z odruchem, by rzucić oszczep i uciec. Zlewał się potem tak

obficie, że spodnie, już i tak sztywne od wypoconej w poprzednich dniach

solii, pociemniały w parę sekund.

Nie możesz chybić.

Chłopiec wytrzymał niemal do ostatniej chwili, w końcu jednak nie mógł

dłużej zdzierżyć widoku szarżującego lwa. Ken otworzył usta szerzej, niż

czynił to kiedykolwiek przedtem w obecności chłopca, przez co ów dziwny,

szeroki otwór, otoczony drobnymi płaskimi zębami, wyglądał niemal śmiesz-

nie. Wydobyło się z niego wysokie a jednocześnie głębokie wycie.

Ken nie zamierzał wydawać tego głosu, ale mimowolnie uniósł przy tym

broń. Musiał ją szybko obniżyć w kierunku celu. Nie możesz chybić.

Wył dalej dziko, wnosząc przed sobą ten dźwięk jak drugi oszczep.

W chwili ostatniego skoku drapieżnik wydał mu się niemal tak wielki jak

urwisko góry. Ken, nagle przy nim skarłały, zawył, skierował kij prosto w górę i pchnął.

Ostrze przebiło szyję lwa poniżej gardła, przenikając przez masywne kocie

mięśnie. Ciężar padającego zwierzęcia wpychał je jeszcze głębiej. Ken nie

puszczał oszczepu, choć ramiona dygotały mu tak, jakby zaraz miały być

wyrwane ze stawów. Jakimś cudem oszczep utrzymał przez moment ciężar

drapieznika w powietrzu. Piana z rozwartej paszczy prysnęła na twarz człowieka.

Ken zmusił się do puszczenia wibrującego kija. Lew złamał nie pod-  
trzymywany oszczep jak zapalną i runął całym ciężarem na ziemię, wpychając ostrze broni jeszcze głębiej w pierś. Wywieszony jęzor zadygotał i bestia znieruchomiła.

Ken zatoczył się. Ręce chłopca ścisnęły zapamiętałe jego prawe kolano.

Spojrzał na ułamaną broń.

Spróbował się zaśmiać, ale wydał tylko prostackie czknięcie.

Chłopiec wyciągnął po omacku drugi oszczep z ciała dujkera — patrzył bowiem nie na broń, lecz na Kena — uniósł go do góry i ostrym ruchem barku zachęcił Kena, żeby poszedł w jego ślady. „No, chodź, wyszliśmy cało z opresji, jest jeszcze zwierzyna, a dzień dopiero się zaczął”.

Kiedy jednak chłopiec zrobił kilka niepewnych, chwiejnych kroków,  
Ken domyślił się, że mały jest tak zszokowany, że nawet nie rozumie, po co idzie.

Chwycił więc od tyłu jego drobne ciało i obalił na trawę. Było tak spocone, że wysliznęło mu się z rąk jak ryba. Chwycił je ponownie w szeroko rozłożone ramiona, przygwoździł do trawy i zawołał łagodnie: — Nie pójdziesz nigdzie, nigdzie, słyszysz? Nigdzie, nigdzie! — powtarzał, wyrażając

tym jednym słowem swoje szaleńcze pragnienie zawładnięcia tym drobnym ciałem i utrzymania we względnym bezpieczeństwie.

Chłopiec piskliwie protestował. Krzyczeli na siebie wzajemnie, jakby odnaleźli wspólny język. Twarze obu splywały potem, w oczach hominida pojawiły się łzy lub coś na kształt łez, Ken natomiast, z twarzą poplamioną śliną umierającego lwa, zaciskał zęby, aby pohamować emocje.

— Nigdzie — wydyszał po raz ostatni.

Chłopak, jakby puściły w nim wewnętrzne hamulce, uniósł małpie wargi ku niebu sawanny.

Wątlým wyciem, w którym brzmiała radość\*, oznajmiał całej okolicy, jak był przestraszony i jak zdumiewające jest to, że wciąż żyje. A potem, zaciskając pięści i dysząc ciężko na piersi swego niezwykłego obrońcy, zapłakał.

## 2

Upłynęło trochę czasu, zanim nad zwłokami lwa i dujkera załopotwały skrzydła orłów, sępów i marabutów.

Ken i chłopiec leżeli na trawie wyczerpani, ale przekonani, że śmierć lwa

w jakiś sposób zagwarantowała im na pewien czas nietykalność.

Ken myślał o chwili, kiedy skupił wszystkie siły, żeby nie uciec, lecz

wykazać się odwagą i zawziętością, o które siebie nigdy nie podejrzewał.

„Nigdy, nigdy, nigdy” — powtarzał sobie, tak jak przed paroma minutami

mruczał: „nigdzie, nigdzie”. Przyciskał do siebie chłopca i czuł, że liczy się tylko to, że ma go tuż przy sobie.

Nieoczekiwanie pomyślał o swym ojcu listonoszu, który zniknął z jego

życia, jak gdyby to, że zapłodnił kobietę, która urodziła mu potomka, nic dla

niego nie znaczyło.

Przyszła mu do głowy również Yinka. Czyż ich przypadek nie oznaczał

po prostu spontanicznego zaspokojenia silnego wzajemnego pożądania przez pozbawionych zahamowań mężczyznę i kobietę? To było tylko to. A może nie?

Złapał się na tym, że wyobraża sobie nagi brzuch dziewczyny. Obraz ten podział nań tak silnie, że aż stężał. Nie reagował jednak pożądaniem na widok czystego ciała i delikatnego łona, który tak go dręczył w zagraconej sypialni. Doceniał raczej szerokość bioder, rozmiary kości miednicy i doskonałość narządów płciowych. Yinka była zdrową, doskonale zbudowaną kobietą, idealną odbiorczynią męskich genów.

Mignęła mu przed oczami twarz matki siedzącej w domu w Oakland.

Zwymyślał ją bez słów. Była podobno wrażliwą kobietą, lecz nic nie



spozrzęła, kiedy przyjechał na ostatnie Boże Narodzenie, żadnej oznaki świadczącej o dojrzewającej w nim po cichu ukrytej emocji. Jak zwykle paplała o sobie. Niczego się nie domyślała, o nic nie pytała. Tępa wegetarianka, obdarzona nie większą intuicją niż roślinożerca z sawanny.

Wyobraził sobie, że matka siedzi naprzeciw niego na krześle w jadalni

i pyta: „Ken, chłopcze, kiedy ty się ożenisz?” Serce zaczęłoby mu walić\*.

„Kiedy zostanę babką? Ken, synku, do diabła z jedzeniem makrobiotycznym

i kuchnią w stylu New Age, chcę być babką, chociaż nie chciałam zostać

matką. Muszę wiedzieć, czy jest tam jakaś matka, przyszła matka twoich dzieci? Jest? Czy jest, synku?”

Nie zadawała oczywiście takich pytań, ale gdyby je zadała, to cóż by odpowiedział? Nie miał odpowiedzi, pomyślał prostodusznie.

Wstali i poszli dalej. Chłopiec jak zwykle prowadził. Lustrując rozległe

przestrzenie traw, Ken dostrzegł starego, kulawego lwa. Kręciły się wokół

niego trzy młode lwice, zabiegając o względy. Jedna podskoczyła mu tuż

przed nosem, smagnawszy ogonem po pysku. Pozostałe pomrukiwały kokieteryjnie i pocierały wargami sromu o szorstką roślinność, żeby złagodzić wywoływane przez hormony swędzenie. Pragnęły zostać zapłodnione.

Chłopiec stuknął swego towarzysza i pospieszył przodem, zerkając od czasu do czasu, czy ten za nim podąża.

Ken otarł swędzącą twarz. Na policzkach i wargach miał zaschniętą ślinę

lwa. Zrywając tę warstewkę kociej wydzieliny, uśmiechnął się szeroko i ruszył szybciej naprzód.

Chłopiec obszedł blok skamieniałej lawy, leżący wśród zarośli niczym

złamana kolumna jakiejś zaginionej świątyni. Ken przelotnie dotknął ją dłonią. Powierzchnia kamienia wydała mu się tak znajoma, że aż się uśmiechnął. Stąpnął w wąski przesmyk pomiędzy skałami i wylądował na

ludzkiem szkielecie.

Usiłował uskokczyć na jakieś puste miejsce, ale ciasna, nieregularna przestrzeń między skałami cała usłana była kośćmi. Potknął się, upadł i dźwignął na kolana, podpierając się rękami.

Ledwie parę stóp od niego leżała czaszka. Czoło miała cofnięte do tyłu,

brakło lewego policzka, jakby strzaskało go uderzenie. Obok leżał wielki

głaz i kilka obłupanych kamieni. Kształtem przypominały pierwotne narzędzia do cięcia, którym Mary Leakey nadała miano Olduvai — od nazwy wąwozu.

Chłopiec przystanął i patrzył na Kena z trudnym do określenia wyrazem

twarzy. Jednakże mężczyzna nie zwracał na niego uwagi. Leżał rozplaszczony

na brzuchu, niemal z nosem przy kościach jakiejś stopy. Sięgnął po nie z

ta  
samą niecierpliwością, jaką odczuwał podczas nocy spędzonej w garażu  
Randalla na czyszczeniu skamieniałości.

Ta stopa nie była skamieniałością. Została tylko objedzona do  
czysta,

a potem wyschła. Palce wały się po ziemi, zmieszane z kośćmi stępu,  
sześcienną, łódkowatą i klinowatymi oraz skokową i piętową. Leżała  
tam

najwyraźniej cała stopa.

Ken podniósł kość piętową i zważył w dłoni. Ten, kto na niej  
stąpił, miał

wielką mięsistą stopę. Wziął paluch i stwierdził, że musiał on być  
skierowany

na zewnątrz, tak samo jak na fotografiach. Gruby i muskularny, służył  
do

chwytania i wspinania się. To wczesny „model” stopy piechura, z czasów

kiedy ludzie nie wyrzekli się jeszcze łażenia po drzewach. Stopa pochodziła

z epoki, kiedy ewolucja nie wytworzyła jeszcze opływowej, wysmukłej linii

*Homo sapiens*.

Ken trafił na brakujące ogniwo ewolucji cechy dwunożności.

Zlustrował teren w otoczeniu skał. Musiało tam znajdować się z tuzin

szkieletów, w całości bądź we fragmentach. Począł zbierać interesujące go kości, nie zważając na chłopca, który stał w milczeniu na swoich małych stopach. Miały one dorosnąć do wymiarów stopy dorosłego, takiej jak ta leżąca obok na ziemi. Zastanawiał się, w co włoży swoje znalezisko.

Na moment znów stał się Kenem Lauderem — naukowcem. Obecność

hominida nawet irytowała go. Potem poczuł zażenowanie — chłopiec mu się przyglądał. „Co on sobie pomyśli? Mogę zebrać te kości później”.

Wstał i uważnie obszedł teren. Szkielety należały do praludzi. Kąty twarzowe czaszek były małe, szczęki wydłużone, miednice zbudowane z szerokich, zupełnie nie małpich kości biodrowych. Wszystko to powinno

być skamieniałe, a tymczasem było stosunkowo świeże. Kości odznaczały się

twardością, ale nie uległy mineralizacji. Leżały na wilgotnej i zwartej ziemi,

co sugerowało, że przetrwały tu raczej zaledwie kilka pór deszczowych niż

parę milionów lat erozji.

Spojrzał na chłopca, potem na kości. Następnie przyjrzał się swoim znoszonym butom. Wszystko było rzeczywiste, chociaż pochodziło z różnych czasów.

Oszło mu go wrażenie, że czas się kurczy i rozszerza.

Parę stóp dalej leżała klatka piersiowa — mostek został wgnieciony,

dolne żebra niemal sproszkowane, jakby na pierś ich właścicielowi nastąpił

śłoń. Nieopodal leżał sporych rozmiarów głaz. Ta niewielka kotlina wśród

skał stała się cmentarzyskiem pobratymców chłopca, może nawet jego bliskiej

rodziny. Dowodziło to, że nie jest on dzikim dzieckiem o potworkowatej

anatomii. Ken przypomniał sobie ludzką kość ramieniową, którą znalazł pośród należących do hominida przedmiotów.

Mignął mu nagle w myślach pewien obraz, tak szybko, że Ken aż

się  
zachwiał: obok stojącego wśród skał małego hominida zobaczył  
dorosłego  
pracźłowika, mężczyznę, muskularnego choć niewysokiego, liczącego  
nie-  
wiele ponad pięć stóp. Mężczyzna trzymał w ręku kamień. Uniósł ramię,  
ugiął  
je, wyprostował, i kamień świsnął obok Kena, który — choć działo się  
to  
w wyobraźni — drgnął. Niemal słyszał piskliwy śmiech chłopca, jaki  
wtedy  
by się rozległ. Wyobraził sobie, jak mały biegnie beztrąsko za  
pociskiem,  
przynosi go i podaje dorosłemu pramięczyźnie, ten jednak nie  
przyjmuje  
kamienia, lecz zaciska na nim małą dłoń chłopca i ustawia go twarzą  
w kierunku otwartej sawanny.

Praczlówek kieruje drobnym ramieniem, odciąga je w tył, zginając mały biceps, i uczy, jak należy wypuszczać kamień.  
Tu leży ojciec chłopca. Jeden z tych martwych praludzi był jego ojcem.  
Ta kość, którą ze sobą nosił, pochodziła z jego ramienia.  
Wizja się rozplynęła.  
Ken uświadomił sobie coś równie zdumiewającego jak sama wizja — że oto chłopiec się z nim porozumiewał.

Na tym dziwnym cmentarzysku leżało jedenaście szkieletów. Wszystkie miednice wydawały się dość wąskie, nie przystosowane do rodzenia dzieci, co świadczyłoby o tym, że należały do samców australopiteków. Wszystkie zostały połamane, jakby wdarł się tu jakiś słoń i stratował ciała. Słonie nie zabłąkałyby się jednak między skały, gdzie nie było trawy, drzew liściastych ani wody. Więc kto lub co zabiło tych praludzi?  
W tym rejonie powodzie zdarzały się rzadko, nawet gdy deszcze zmieniały strużki ściekające ze stoków Mau w rwące strumienie. Tych jedenastu mężczyzn nie utonęło.  
Szkielety nie wyglądały na zwęglone, toteż pożar buszu również nie wchodził w rachubę.  
Może więc martwe ciała zostały przyniesione do skalnej zagrody, ale po co i przez kogo?  
Ken chodził tu i tam, czując, że wszystko to w jakiś sposób wiąże się z chłopcem, skoro go tu przyprowadził i oczekiwał jakiejś reakcji.  
Poruszał się niezgrabnie i raz po raz rzucał małemu nieśmiały uśmiech.  
Bez odzewu. Hominid, stąpając lekko, obchodził cmentarzyko. Dobrze znał to miejsce.  
Ken ścisnął oszczep z taką siłą, że na grzbiecie dłoni wystąpiły żyły, a koniuszki palców zbieleły.  
„Opowiada mi swoją historię. Przyprowadził mnie tu, żeby powiedzieć, dlaczego jest sam.”  
Chłopiec porozumiewał się z nim. Jego ojciec musiał być jednym z zabitych. Ojciec, który niegdyś uczył go polować.

Wyglądało na to, że kilka wielkich głazów stoczyło się tu z

majającego

w górze urwiska. Czy to możliwe, żeby runęły na małą grupkę ukrywających się tu hominidów — zapewne podczas jakiejś utarczki w ramach wojny między gatunkami?

Obecność kamieni do polowania, ręcznych toporków i pięściaków świadczyła o tym, że mężczyźni wycofali się tu uzbrojeni. Jeśli tak się rzeczy miały, to czy chłopiec przeżył jako jedyny ze swej rasy?

Ken, obarczony wszystkimi tymi myślami naraz, uczepił się innej: „Może mały odpowie mi na to pytanie, i to już wkrótce.”

Ujął drobną, brązową zaciśniętą piastkę i rozwarł palce. Wyjął z nich kamień i zastąpił go oszczepem. Chłopiec przyjął broń.

Ken przykląkł na kolano. Zgarnął oburącz kości stopy, wepchnął je pod

przewieszoną półkę skalną i obłożył kamieniami. Wiedział, że pozostawia

rzecz o niewiarygodnej wartości, ale po prostu nie mógł jednocześnie zajmować się i kośćmi, i dzieckiem.

Podniósł się i spojrział chłopcu w oczy. Studiując antropologię, słyszał, że

ogromne różnice w poziomie kultury bywają szybko niwelowane dzięki

inteligencji „dzikusów”, członków prymitywnych plemion. Nigdy jednak

w swej karierze antropologa nie doświadczył tak przemożnego wrażenia, że

jest rozumiany, jak w wypadku tego hominida. To oczywisty absurd. Ten

dzieciak nie mógł go rozumieć, a jednak...

Ken czuł, że cokolwiek robił, chłopiec chwycił to w lot, tak iż z nich

dwóch to on okazywał się gorzej poinformowany. To on był zapóźniony i dopiero się uczył.

Ujął drugą rękę chłopca i delikatnie wypchnął go poza teren cmentarzyska.

— To jest samolot. — Ken narysował palcem na ziemi zarys samolotu,

ograniczając do minimum liczbę szczegółów. — Rozumiesz? Sa-mo-lot. —

Podzielił słowo na sylaby i wymawiał je cierpliwie, choć wiedział, że nie

niosą żadnego znaczenia do ukrytego za pozbawionymi wyrazu małymi oczami mózgu o pojemności pięciuset centymetrów sześciennych.

Narysował śmigło, usiadł, wyciągnął jedno ramię w górę, drugie w dół

i obracał nimi, naśladując łopaty śmigła. Wydawał przy tym dźwięk imitujący

buczenie silnika. Potem przestał i wskazał palcem narysowany na ziemi samolot.

Chłopiec chłonał wszystko błyszczącymi oczyma, ale nie reagował.

Ken narysował siebie: zwalistego współczesnego człowieka z oszczepem

w dłoni. Nadal nie wywołało to żadnej reakcji.

„Idiota ze mnie. Nie w tym rzecz, że on nie rozumie, ale że rysunki są

płaskie, natomiast jego rzeczywistość — trójwymiarowa. Muszę posłużyć się inną metodą.”



Położył na ziemi nóż, a obok naszkicował jego rysunek — dwuwymiarową reprodukcję przy trójwymiarowym modelu.

Nie spodziewał się reakcji, a tymczasem chłopiec podniósł nóż i — przyjrawszy mu się — starł rysunek przedramieniem, a na jego miejscu umieścił nóż.

„Oczywiście. Cóż za mądry małopoludek. Komuż potrzebny martwy, bezużyteczny obraz noża, skoro może mieć realny przedmiot?”

Żadnych więcej etnocentrycznych eksperymentów. Jeśli chce, by komu-  
nikat dotarł, musi wynaleźć taki sposób, który należy do świata hominidów,  
a nie do jego własnego.

Coś drgnęło w małych oczach dziecka, które zbliżyło się do Kena na

czworakach i zaczęło ocierać gładką nagą skórą o opaloną skórę człowieka i jego mokre, brudne spodnie. Uspokoiwszy się, parsknęło cicho, zupełnie jakby chciało powiedzieć: „Jesteśmy tu razem, więc o co, u diabła, chodzi?”

Znów się z nim porozumiewało. Najprostszymi środkami, ale w sposób całkowicie skuteczny.

Ken położył się tuż obok na plecach i obserwował żeglujące nad nimi ptaki sawanny.

Po jakimś czasie wrócili do martwego lwa i dujkera. Hieny rozciągnęły i tak poszarpały padlinę, że trudno było odróżnić wielkiego kota od kozła. Chłopiec natarł na hieny i rozpędziwszy je, rzucił się na brudną, skrwawioną masę. Oderwał od ciała dujkera tylną nogę, wywindował ją sobie na ramiona i poprowadził ich z powrotem ku dającym schronienie skałom.

Tam rzucił mięso i przysypał ziemią.

Zmierzchało.

Ken zbierał chrust, aby mogli spędzić kolejną noc wśród dzikiej przyrody.

„Jak mam postąpić? — zastanawiał się bliski paniki. — Co z sobą zrobiłem?”

O kim właściwie myślał? Przecież to on zabił niedawno Iwa wykonaną własnoręcznie bronią.

Zaniósł gałęzie pod urwisko. Znaleźli miłe miejsce na nocleg, na gładkiej równej płaszczyźnie skalnej, jakieś osiem stóp nad ziemią. Ken wniósł drzewo na górę i rozpałił ogień. Położyli się.

Chłopiec wyciągnął dłoń i począł dotykać koniuszków palców Kena.

Uniósł się przy tym na łokciu i spoglądał oczami, w których tańczył odbłask płomieni. Jął dotykać jego twarzy. Małymi twardymi dłońmi poklepał go lekko po policzkach. Przesunął palcem po linii podbródka, potem po grzbiecie nosa. Począł się bawić jego włosami, nawet za nie pociągał.

„Wie, że niedługo odejdę — uświadomił sobie nagle Ken. — Chcę mnie zapamiętać.”

Zarumienił się gwałtownie. Dzięki Bogu, że jest ciemno. Chłopiec był tak

blisko, że Ken nerwowo przełykał ślinę. Zastanawiał się, czy oczy australopiteków widzą w ciemności. Może krańcowe rozszerzenie soczewek — tęczęwek — upodobniało je do naturalnych noktowizorów?.

Nie mogąc znieść spojrzenia chłopca, zamknął oczy, następnie znów je odemknął i przyjrzał się grze odblasków płomieni na piersi i ramionach hominida.

„Nie mogę go tu zostawić. Ale jaki mam wybór? Zabrać go do Nairobi?

Do Londynu? Do Instytutu Pochodzenia Człowieka w Berkeley?”

Łatwiej było znów zamknąć oczy. Pojawił się obraz matki — młodej i brzemiennej — oraz ojca, wysokiego, nieco niezgrabnego młodzieńca

w okularach i z kucykiem, pomagającego jej wysiąść z poobijanego volkswagena i dojść do drzwi lecznicy w Oakland. Ale przecież żadną miarą nie mógł pamiętać ciężarnej matki. Działo się to przed jego urodzeniem!

Znów poczuł palce chłopca. Badały jego twarz.

Chłopiec zasnął, on zaś czuwał wpatrując się w ogień, dręczony niespokojnymi myślami. Odejdzie czy zostanie? Zabierze te kości stopy do cywilizowanego świata i wywoła sensację wśród społeczności naukowej, tak iż wszystkie sławy w tej dziedzinie zlecą się na Dogilani? Nikt nie oceniałby go surowo za to, że zwrócił uwagę ogółu na to archaiczne środowisko i zamieszkującą je istotę, jedyne go reprezentanta swojej rasy.

Nikt prócz tej właśnie istoty.

Wyobraził sobie Dogilani zmienione w najmodniejszą atrakcję naukową,

hałaśliwe samoloty i śmigłowce latające tam i z powrotem, płynące w eter

komunikaty radiowe, rozkopywanie skał, przeliczanie odmian roślin, etykietowanie gatunków zwierząt. W sytuacji kiedy strażnicy parku utrudniałyby

dostęp do Dogilani, dziennikarze zabiegali by o względy naukowców, rządowa

Rada do spraw Starożytności wydawałaby zezwolenia, on zaś i Ngili dyrygowaliby operacją „Godzina zero w ewolucji człowieka”.

Zastanawiał się, jak powinien postąpić prawdziwy uczonec, taki, którego

nigdy nie obchodził sukces czy rozgłos, ale sama nauka?

„Zostań — odpowiedział sobie. Zostań i obserwuj dziecko. Staraj się

odnaleźć miejsce bytowania jego rasy i obserwuj ją.”

Co na moim miejscu zrobiłby każdy ojciec? — zadał sobie pytanie.

Powstrzymywał się od przewracania z boku na bok, żeby nie zbudzić

chłopca. Nie był jego ojcem. Nie mógł też grać tej roli wobec syna dzikiej

przyrody.

Musiał wrócić do Nairobi i podzielić się odkryciem z kolegami uczonymi,

którzy wydawali mu się teraz zupełnie obcy. Zastanawiał się, jak zareagowałiby

na widok chłopca. Raj Haksar wiedziałby może, jak postąpić, to ekspert od

plemion prymitywnych. Anderson szukałby rozgłosu, zorganizowałby zjazd

naukowy i objechał cały świat z małym hominidem. Nie miał pewności co do

Randalla Phillipsa. Wydawał się tak zestresowany i zgorzkniały — jego żona była niezdolna do normalnego życia, małżeństwo się rozpadało. Należy się człowiekowi, który traci życiowe oparcie. Pozostawał jeszcze Ngili, ulegający zmiennym nastrojom i związany tradycją z afrykańską rodziną.

Brakowało mu Ngilego.

Pomyślał o nim i Yince.

Dzieciak odwrócił się na wznak i pochrapywał z cicha, wydychane powietrze wibrowało przepływając pod długim, niskim podniebieniem. Ken złapał jeden z kamieni myśliwskich, wstał i zszedł po skałach na trawiasty teren.

Przechadzał się po trawie, oświetlonej zamierającym już blaskiem ogniska.

Rozmyślał o tym, co Yinka powiedziała mu w Nairobi na temat wizyty, jaką Anderson i Haksar złożyli Jakubowi Ngiamenie w przeddzień ich powrotu z Dogilani. Haksar utrzymywał, że mieszka tam jakieś plemię i że będzie próbował zorganizować ekspedycję. Mogło to oznaczać, że podróżował już wcześniej po Dogilani. Może widział praludzi? Dlaczego jednak trzymałby to w tajemnicy?

Zawrócił. Zastanawiał się, czy ktokolwiek oprócz niego widział tych

hominidów. Istnieje ciekawa masajska legenda o dawnym ludzie znanym jako *mangati*. Według niej, Masajowie pokonali *mangati* i przegnali w zalesione góry Kenii, skąd tamci nigdy nie powrócili. Czy w legendzie tkwiło ziarno

prawdy? Czy *mangati* byli rzeczywiście pierwotnymi ludźmi nie tylko w kategoriach folklorystycznych, lecz również antropologicznych?

Stado dzikich psów wszczęło walkę o szczątki martwego lwa. Słuchając

ich szcęknięć i powarkiwań, Ken pomyślał o drugim lwie, kulejącym

zabójcy małych lwiątek, i zapragnął także jego zabić. Może już w najbliższych dniach. Wzdrygnął się od nocnego chłodu. Jak długo jeszcze tu pozostanie?

Nie stawiał się na pierwsze spotkanie z Ngilim. Jeśli jego wyczucie upływu czasu nie zostało całkowicie upośledzone, przyjaciel miał przylecieć za dwa, może trzy dni. „Padnie, jak zobaczy mnie z tym chłopcem... Ale co się stanie, kiedy hominid zobaczy Ngilego? — zaniepokoił się nagle. — Jak zareaguje?”

Odpowiedź na to, a także na wiele innych pytań, leżała przy ognisku, pochrapując cicho i niewinnie.

# 3

Raj? — powiedział do telefonu w samochodzie Cyril Anderson. — Zatrzymałem wóz przed twoim domem i dzwoniłem do drzwi, ale nie otwierałeś. Nie słyszałeś dzwonka?

Raj Haksar odpowiedział niepewnie: — Kiedy to było...? Nic nie słyszałem...

— Czyżby? — Cyril jeździł w rześmistym deszczu ulicami wokół domu

Haksara w Małym Benares, najstarszej części hinduskiej dzielnicy Nairobi. —

Dwadzieścia minut temu. Sam słyszałem dzwonek, a dzwoniłem przynajmniej tuzin razy. Gdzie właściwie byłeś?

Drzwi frontowe tego domu wykonano z polerowanego drewna dekowego,

ozdobionego inskrypcjami w języku hindustani. Cyril dobrze znał ten dom.

Wejście prowadziło do kolistego atrium, wznoszącego się na wysokość dwóch

pięter aż po dach kopulasty niczym stupa cejlońskiej świątyni. Dzięki temu

dom stawał się wielkim pudłem rezonansowym. Niemożliwe, żeby Haksar nie

usłyszał dzwonka.

— Dwadzieścia minut... Och, tak. Przykro mi, Cyrilu, byłem... nieobecny.

— Gdzieś jeździłeś?

„Ty stary kłamco *tandoori*”. Anderson widział na podjeździe wóz Haksara

wiekowego brytyjskiego humbera z końca lat pięćdziesiątych, o oponach

sflaczałych od długotrwałego postoju.

— Nigdzie. Cierpię na okresowe omdlenia... Podejrzewam, że właśnie

przechodziłem przez coś takiego.



To było możliwe. Cukrzyca dokuczała mu coraz bardziej, a ostatnio organizm przestawał tolerować insulinę, lek, który pozwalał zapanować nad chorobą. Anderson wiedział, że przedłużające się stany niedoboru insuliny uszkadzają w końcu mózg. Diabetycy mieszkający samotnie — jak Haksar — zaczęli nierzadko zachowywać się nieracjonalnie, przestawali jeść albo odstawiali leki, co mogło prowadzić do wystąpienia śpiączki cukrzycowej.

— Czuję się teraz nieco lepiej... a lekarz obiecał, że przepisze mi inny lek. Co się dzieje?

— Otwórz drzwi. Wrócę i powiem ci.  
— Mów przez telefon.  
— Czyż sam nie twierdziłeś, że powinniśmy się spotkać?  
— Jestem tak bardzo zmęczony... Oszczędzam siły na lekarza.  
Wspomniał,  
że może dzisiaj wpadnie... Ma tylu pacjentów... Dlaczego nie  
możesz mi  
powiedzieć przez telefon?  
— Raj! — Anderson w ostatniej sekundzie ostro zahamował,  
unikając  
potrącenia Hinduski przechodzącej pośpiesznie z dwójką dzieci  
przez ulicę.  
Deszcz rozmazywał żółć ich bosych stóp i czerwień sari kobiety. —  
Raj, jacy  
z nas partnerzy w tej całej sprawie? Jak mam wynaleźć fundusze na  
twoją  
ekspedycję, skoro rozmawiamy tylko przez telefon pomiędzy  
wizytami tego  
cudaka lekarza?

Nie miał pewności, jak dalece może wierzyć w to, co Haksar mówił  
o swoim zdrowiu. Kiedy obaj złożyli wizytę Jakubowi Ngiamenie przed  
powrotem Laudera i Ngilego, wydawało się, że Hindus jest w całkiem  
znośnej  
formie. Ocierał wprawdzie czoło chusteczką i wychodził trzy razy do  
toalety,  
ale to przecież diabetyk. Anderson żałował, że owego dnia nie postawił  
sprawy jasno: — „Ani minuty mego czasu, ani grosza z uzyskanych  
pieniędzy,  
jeśli nie zdradzisz mi całej tej cholernej tajemnicy!”

Naturalnie nie wiedział jeszcze wtedy, że istnieje jakaś tajemnica

—  
dopóki Hendrijks nie pokazał mu zdjęć Laudera z odciskami stóp.

Wstrząsnął się na myśl, że zabił pilota. „Tak łatwooo!” Emocje  
przyciły  
mu wówczas rozsądek. Dopiero kiedy Hendrijks upadł na brudną  
podłogę  
motelu, Cyril zdał sobie sprawę, że żywa skamieniałość to coś  
cenniejszego  
niż jakikolwiek szkielet, a tymczasem on, początkujący morderca,  
załatwił to  
właśnie tak, żeby pilot nie mógł mu powiedzieć, gdzie jej szukać.

Czy ktoś poza Kenem i Ngilim widział to stworzenie?

Może Haksar?

Stary profesor opowiadał w obecności Jakuba, że widział niegdyś  
na

Dogilani jakieś plemię „Nietypowe plemię” — jak się wyraził.  
Sformułowanie  
to krążyło wciąż Cyrilowi po głowie.

Czy oznaczało to plemię żywych skamieniałości? Tylko Haksar  
mógłby  
na to odpowiedzieć.

Dwa dni po zabiciu Hendrijksa Anderson odwiedził Hindusa i powiedział mu, że widział zdjęcia śladów stóp, nie wspomniał jednak, kto mu je pokazał. Haksar zaczął się nagle uskarżać na ból głowy i słabość — oznaki niedoboru cukru. Poprosił, by Cyril podał mu ampułkę insuliny z apteczki w gabinecie i przyszedł później. Nie chciał, by ktoś był obecny, gdy robi sobie zastrzyk. Po paru godzinach Anderson znów przyjechał do Małego Benares. Haksar przyczłapał do drzwi i przez wizjer powiedział, że nie czuje się najlepiej, po czym zasłonił wizjer i odszedł. Przez cały następny tydzień Hindus albo nie odpowiadał na telefony, albo twierdził, że jest chory i odkładał słuchawkę. Oznaczało to, iż wie o tym dziwnym stworzeniu i nie chce, by Cyril się o nim dowiedział, a także, iż szuka poparcia u kogoś innego.

Doprowadzało to Cyrila do szaleństwa. Cała tajemnica mogła mu się wymknąć z rąk i przynieść sławę innemu uczonemu, na przykład Lauderowi.

Może Lauder i Ngili działali do spółki z Haksarem, a prośba o pomoc, z jaką

Hindus zwrócił się do niego, to tylko fortel. Cyril zapragnął zadzwonić do

nowego szefa nairobijskiej policji, potężnego i groźnego Arnolda Kalangiego,

(zaprzyjaźnili się podczas zebrań gabinetu i rutynowo świadczyli sobie drobne

przysługi), ale oznaczałoby to wyjawienie tajemnicy komuś obcemu....

Takie to natrętne myśli krążyły po głowie Cyrila Andersona.

Zaczynał

dzielić ludzi na dwie kategorie — tych, którzy mogli pomóc mu sięgnąć po

zasłużoną chwałę, oraz tych, których będzie musiał zmiażdżyć, aby oczyścić

sobie drogę.

— Ra-aj — modulował przekonująco głos — to, co wiesz o tym miejscu, jest ważniejsze od ciebie... Ważniejsze od nas wszystkich. Potrzebujesz partnera. („Może już go zdobył” — podpowiadała mu paranoiczna

obsesja.) — A tymczasem nie możesz prosić mnie, bym szukał funduszy na

badania, skoro dysponuję wyłącznie jakimiś wzmiankami. Zwłaszcza że z pieniędzmi jest bardzo krucho i jak dotąd nie znalazłem sponsorów.

Była to prawda, bo nawet nie zaczął ich szukać.

— Skoro nie znalazłeś sponsorów, o czym tu mówić?

— Raj! A niech cię szlag!

Hinduska z dziećmi dołączyła do niewielkiej grupy ziomków oczekujących

na deszczu przed barakowozem popularnej jadłodajni serwującej curry. Niektórzy mieli czarne parasole, większość nie była niczym osłonięta.

Czekali

na wyjście aktorów przystrojonych i umalowanych jak bogowie Brahma,

Wisznu oraz Siwa i jego boska małżonka Parwati. Procesja miała następnie

przetoczyć się w deszczu i błocie do rzeki Nairobi, gdzie tradycjoniści celebrowali święto z okazji końca pory deszczowej.

Rzece Nairobi — odrażającemu ściekowi, w którym tarzały się świnię

i taplały skomlące bezpańskie psy — daleko było do Gangesu, niemniej

wyznawcy hinduizmu musieli mieć swoją świętą strugę. Dzięki temu ta część

dzielnicy zdobyła sobie miano Małego Benares i stała się nawet skromną

atrakcją turystyczną dla zanglizowanych Hindusów stroniących od

hinduizmu.

— Cyrilu, nie mogę nawet podejść do drzwi — powtórzył Haksar.

—

Oszczędzam siły, żeby zredagować notatki o tym, co zaobserwowałem

w sawannie... Dlaczego z pieniędzmi jest tak krucho? — Wzmianka o pienią-

dzach zabrzmiała twardo, praktycznie.

Nie powinienem powiedzieć ci o tym ani słowa, skoro tak traktujesz kolegę pozostającego poza wszelkimi podejrzeniami.

„»Notatki« — powiedział Haksar. Jakie notatki?"

— W takim razie odkładam słuchawkę...

— Raj! Czekaj! — Cyril omal nie wywrócił toyoty. — Raj, słowo daję,

jesteś najbardziej przebiegłym, nieufnym... — Usłyszał jakiś dźwięk po

drugiej stronie linii i wrzasnął: — Jeśli odłożysz słuchawkę, zadzwonię do

Kalangiego, szefa policji! Skarby starożytności stały się dziś własnością

narodową, a ty odmawiasz udzielenia informacji mogącej naprowadzić na

ślad jednego z nich. Dostanę nakaz, włamię się do twojej obskurnej świątyni,

każę cię stamtąd wywieźć, a wtedy będę mógł przeszukać swobodnie wszystkie szuflady i kartoteki. Nie możesz zrobić... — miał już powiedzieć

„mi tego”, ale niczym aktor wyczuwający konieczność skorygowania tekstu

roli dodał szybko: — ...tego nauce!

— Przykro mi, Cyrilu...

Usłyszał sygnał centrali.

Anderson pożałował, że nie ma już przed samochodem tamtej Hinduski

i jej dzieciaków, mógłby stuknąć ją kratą ochronną po to tylko, by zobaczyć,

jak leci w swym sari w gęstym od deszczu powietrzu.

Haksar mógłby umrzeć na atak serca. Albo zostać zamknięty w więzieniu

bez zastrzyków insuliny. Hindus odłożył słuchawkę w trakcie rozmowy. Tak

jak Corinne, która nie wróciła do Nairobi. Została w Londynie i więcej nie

zadzwoiła.

Pod tym względem Cyril i Haksar znajdowali się w podobnej sytuacji.

Obaj nie mieli kobiety. Cyril pamiętał Ranee Haksar, żonę Raja, niziutką

brązowoskórą niewiastę, która zawsze nosiła namalowany na czole wiśniowy

znak swojej kasty, służyła mężowi i słuchała go niemal jak boga. Zanim

zmarła na raka, wydawała wystawne obiady, karmiąc praktycznie cały wydział. Wszystko gotowała własnoręcznie i osobiście obsługiwała

każdemu gościowi. Sama jadła w kuchni po zakończeniu przyjęcia, tylko dlatego że

tak sobie życzył jej boski małżonek.

„Lepiej na niej wyszedłeś niż ja na swojej” — pomyślał Anderson z jeszcze większą irytacją.

Obserwował ruch w sąsiedztwie, żeby ustalić, jak ryzykowne będzie

włamanie się do domu Haksara. Musiał się dowiedzieć, co stary ukrywa. Był

to prawdopodobnie rejestr tego, co odnalazł. Jego notatki.

Skupił uwagę na domu. Stał, posepny pomiędzy dwoma *dukka* — sklepami — zamkniętymi teraz z powodu święta. Na podjeździe obok nie

używanego samochodu piętrzyła się sarta gazet. Okna zarosły brudem i pajęczynami. Na chodniku przed domem jakiś uliczny artysta wyrysował

krełą ogromną postać Hanumana, hinduskiego boga małp. Co

ważniejsze,

Cyril nie zauważył żadnych/patroli policyjnych. Świadczyło to wyraźnie o podupadaniu dzielnicy.

Zaparkował land. <5ruisera przy długiej żardynierze, ocienionej roz-

wieszonym na palikach brezentem, i zamknął drzwi. Szedł przez deszcz,

zdając sobie sprawę, jak bardzo wyróżnia się spośród przechodniów.

Ulicznej

kapliczki Ramy i innych mitycznych postaci strzegł mężczyzna, który z dumą,

jak się zdawało, pokazywał potworne kikuty amputowanych ramion.

Obok

sprzedawano nie polewane garnki, a grupa dzieci kopła mosiężne krążki,

usiłując toczyć je po błocie w pozycji pionowej.

„Oni wszyscy mnie widzieli” — pomyślał. Czyżby? Minął ulicznego artystę o martwym spojrzeniu. „Żaden z tych ludzi nie istnieje. Żyją i są

realni, ale posiadają tak mało władzy i wpływów, że nie ma znaczenia, czy mnie widzą, czy nie."

Wszedł na nierówno wybrukowany podjazd. Złamany posążek cztero-

ramiennego Wisznu na fontannie deptał wody stworzenia, podczas gdy drobny Brahma wyskakiwał mu z pępka. Wisznu utracił większość ze swych

dwudziestu palców. Ktoś usiłował też oderwać Brahmę od boskiego brzucha,

lecz zdołał go tylko wygiąć. Anderson wyobraził sobie leżącego bez życia

Haksara i pomyślał z zawziętością: „Nie zabierzesz ze sobą tajemnicy do

grobu, ty stary śmierzdielu. Jeśli będzie trzeba, wyrwę ci paznokcie, żeby

skłonić cię do mówienia. Łatwooo". Uderzył pięścią w guzik dzwonka.

— Dzień do-bry — zabulgotał w domofonie głos Haksara.

— Tu doktor Sharwati — powiedział Cyril, wymieniając nazwisko właściciela hinduskiej pralni, gdzie oddawał koszule.

— Słucham? Kogo pan szuka?

— Profesora Haksara.

— To chyba jakaś pomyłka. Jestem Haksar, ale mój lekarz nazywa się

Gupta.

— Wiem, profesorze. Doktor Gupta jest dziś zajęty, toteż przysłał mnie.

Cukrzyca, zgadza się? Dał mi dla pana próbkę nowych pastylek.

Biorę zastrzyki, nie pastylki... Zbyt wiele zastrzyków... sześć razy dziennie.

— Wiem — odparł pogodnie Cyril. — To dlatego doktor Gupta sądził,

że warto, by spróbował pan tych nowych pastylek.

— Jak się nazywają?

O tym nie pomyślał. — Bazują na insulinie... dodano tylko nowy... środek rozpuszczający.

— Chcę wiedzieć, jak się nazywa ten lek...

— Na ulicy stoi ciężarówka wojskowa, przeszukując przechodniom kieszenie — odezwał się bez namysłu Anderson. — Jeśli chce pan,

żeby

poszedł, pańska sprawa, ale prawdopodobnie otworzą mi torbę — A to

szwajcarskie pastylki. Pomyślą najpewniej, że to halucynogeny doustne. Na

razie, profesorze...

— Proszę zaczekać...

Cyril przywarł do drzwi, żeby Haksar nie mógł go zobaczyć przez okno.

Słyszał zbliżające się kroki.

— Cyril! — Stojący w uchylonych drzwiach Haksar wyglądał jak



żywy

trup, ale spojrzenie miał zaskakujące czujne. — Cóż to"?a kawały ro...?

Cyril napał całym ciężarem na drzwi i wpadł do hallu. Haksar poleciał

do tyłu na stertę gazet, ułożoną obok stojaka na parasole, wznecając tuman

kurzu. Cyril zatrzaskał drzwi wejściowe. — A cóż to za kawały Raj? Po co

ta cała tajemniczość?

Haksar, ubrany w marynarkę *a la* Nehru, z zaokrąglonym kołnierzem,

wydawał się niewyspany i brudny. Po zapadniętych policzkach zaczynały

spływać wielkie krople potu, wyskamlął coś, że potrzebuje pieniędzy.

— Na co ci one, do diabła? — parsknął Cyril. — Nie byłbyś nawet w stanie spuścić się bez pomocy!

Anderson był zupełnie zaskoczony, gdy Haksar złapał łaskę spacerową i uderzył go, przecinając stalowym końcem skórę od końca brwi do policzka.

Krew bryznęła na gazety. Haksar umknął w głąb domu.

Cyril ruszył za nim, zauważając wszędzie oznaki niemiłosiernego zaniedbania: drzwi pootwierane na oścież, pokoje ziejące pustką, na piecyku w kuchni gruba warstwa wykipiałych potraw. Dom pachniał korzennymi sosami i zatkaną toaletą.

U podstawy szerokich schodów Haksar potknął się i upadł, ale zdołał

rzucić łaskę pod nogi Cyrila, powalając go na zakurzoną podłogę, sam natomiast wstał, pojękując, z obwisłą prawą ręką. — Mój nadgarstek, złamałeś

mi nadgarstek... — Mimo to znalazł siły, żeby powlec się w górę schodami,

zanim Cyril zdołał go zatrzymać. Na myśl o tym, że Hindus może dotrzeć do

kryjówki i zniszczyć jakieś informacje, Cyril podniósł się z podłogi.

Buum! Na zewnątrz zadudniły ogromne bębny, zbyt głośno, by deszcz

mógł stłumić ich dźwięk. Grający Pana Siwę aktor z twarzą pomalowaną na

niebiesko i nagim torsem wyszedł z barakowozu i postępował naprzód wśród

rozstępującego się tłumu, a za nim jego „boskie przejawy”: ogromny bęben

dźwigany ponad głowę przez innego aktora, wielki trójząb niesiony przez

jeszcze innego, wykonany z *papier-mdchi* potężny lingam — albo kolumna

falliczna — nałożony niczym wielki kondom na głowę i ramiona czwartego.

Cała czwórka kroczyła na spotkanie podobnej grupy artystów uosabiających

Parwati, małżonkę Siwy, i jej awatary. Rozległy się uderzenia w bębny, piskliwe głosy fletów i okrzyki. W tej samej chwili gdy Siwa uniósł rękę, by

uspokoić tłum, Cyril dopadł Haksara.

Hałas z zewnątrz stłumił odgłosy uderzeń pięści Cyrila o kruche ciało

Hindusa. Anderson bił bezbronnego starca tak długo, aż krwawienie z własnej

rozciętej twarzy zmusiło go do zaprzestania. Poszedł do łazienki, ale oprócz

papieru toaletowego nie znalazł nic, czym mógłby zatamować krew. Złożył

razem kilka kawałków, które przyłożył do skaleczenia. Wybiegł i zastał

Haksara... przy telefonie! Wyszarpnął mu słuchawkę z wątych palców i wyrwał kabel telefoniczny z gniazdka. — Do kogo zamierzałeś dzwonić?

Do kogo?

Dał spokój, gdyż Haksar zwisał bezwładnie jak martwy.

— Przestań udawać! — rozkazał. Pchnął Hindusa na aluminiowe krzesło

stojące obok zgrabnego funkcjonalnego biurka, na którym ustawiono komputer,

faks i telefon. Gabinet Haksara wyposażony był nowoczesnie w niezbędne

urządzenia. Anderson błyskawicznym ruchem wydobył wykonaną przez

Laudera fotografię odcisków stóp, ale kiedy podstawił ją staremu pod nos

i gotów był rozpocząć wypytywanie, usłyszał dzwonek u drzwi.

— Kto to może być? — spytał.

Stary tylko zamrugał, więc Anderson lekko uderzył go w twarz otwartą

dłonią. Hindus otworzył oczy.

— To pewnie młody Ngiamena... — wyszeptał. Był ledwo żywy, ale uśmiechał się chytrze. Przez moment tylko nieustępliwy dzwonek powstrzymał Cyrila od skręcenia mu karku.

Cyril wzdrygnął się na widok odrazy w oczach starego, ale chwilowo nie miał czasu, by go ukarać. Na dole czekał Ngili, przyjaciel i partner Kena Laudera.

— Po co tu przyszedł?

Chytry uśmieszek się poszerzył. — Z tego samego powodu, co ty, Cyrilu.

— Co to znaczy „z tego samego powodu”? Co chcesz przez to powiedzieć,

do jasnej cholery? — Potrzęsnała chorym, zauważając, jak jest lekki

— sama skóra i kości.

— Chce wiedzieć... o Dogilani... i o lesie...

— O lesie? — spytał Cyril skonsternowany.

Dzwonek znów się odezwał.

— Gdzie postawiłeś wóz? — Pytaniu towarzyszył szeroki uśmiech Haksara.

Studenci rozpoznawali land cruisera Andersona niczym wizytówkę, niczym

herb. Chciał zresztą, żeby tak było. Ale teraz każdy, kto rozpozna ten samochód, będzie wiedział, że profesor odwiedził tę dzielnicę. I każdy dojdzie do wniosku, że nie kupował sosu curry, lecz składał wizytę Haksarowi.

— Piśnij tylko słówko, a zabiję cię — ostrzegł Cyril. Zejdzie na dół i pozbędzie się Ngilego. Wciąż jednak nie ufał Haksarowi. Porwał z biurka

nożyczki i pociął kabel telefoniczny na kawałki. Jednym związał Hindusowi

ręce za oparciem krzesła, drugim skrępował kostki. Pospiesznie przyglądał

zmiętoszone ubranie i zszedł po schodach.

W połowie drogi uświadomił sobie, że nie ma przy sobie swego pistoletu

„Sig-Hammerli”. Jeśli zajdzie potrzeba załatwienia Ngilego, będzie musiał to

zrobić gołymi rękami. To mu przywróciło zdrowy rozsądek. Walczyć z Ngilim?

Śmieszne. Cyril powie mu po prostu, żeby się zmył.

Otworzył gwałtownie drzwi.

— Coś nie w porządku? — zapytał zaskoczony Ngili. Stał w progu, ubrany w luźne spodnie i sweter, wytworny, szczupły i wysoki. Uosabiał typ

Afrykanina, którego Cyril nie znosił — pewnego siebie, ale nie wyzywającego, biali bowiem ani go nie przerażali, ani nie robili na nim wrażenia.

Przybyły wskazał jego twarz. Uczony zapomniał, że krwawi. —  
Wszystko

w porządku, profesorze Anderson?

— Uhm... taak... tak...

— Co pan tu robi? — zapytał Ngili. — Co się dzieje?

Cyril otarł policzek grzbietem dłoni. Poczul się tak poniżony w  
oczach

Afrykanina, że mógłby go zabić tylko po to, by zmazać obrazę.

— Profesor Haksar jest bardzo chory... Prosił, bym pomógł mu  
przejść  
do łazienki... i upadł... a ja z nim — wyjaśnił.

Ngili zlustrował bystrym spojrzeniem jego ubranie. Cyril modlił  
się, żeby nie

odkrył, że dopiero co walczył. Wiedział jednak, że takie właśnie  
sprawia  
wrażenie.

— Mam zadzwonić po ambulans? — zapytał Ngili.

— Nie ma potrzeby. Już się lepiej czuje. Czego chcesz? —

Podszedł

groźnie do Masaja. Ten powstrzymał go, chwytając za ramię — nie brutalnie,

ale stanowczo.

— Profesor Haksar dzwonił do mnie i prosił, bym przyszedł. —

Cofnął

rękę, jak człowiek trzeźwy, który podtrzymywał pijanego.

— Dzwonił do ciebie? — zapytał Cyril. — Cóż, nie może teraz z tobą

rozmawiać. Przemknęło mu przez głowę pewne wspomnienie.

Uchwycił się

go z wdzięcznością. — W tym tygodniu odbywa się wesele twego

brata,

prawda? Wesele Gwee. — Imię brata Ngilego wydało się Cyrilowi

najbardziej

przykrym słowem, jakie kiedykolwiek wypowiedział. — Pewnie

jesteście

zajęci przygotowaniami...

Owszem, wesele odbywa się dziś wieczorem. Ale profesor mówił, że powinniśmy porozmawiać jak najszybciej. — Ngili zrobił krok ku wejściu.

— On nie... nie wiedział, co... co mówi... — Cyril zastąpił mu drogę,

mając nadzieję, że wygląda na zakłopotanego upadkiem sił dawnego kolegi.

Narysował palcem wskazującym kółko na skroni. — To niedobór insuliny...

dostaje fioła...

— Ale nalegał.

— To niepotrzebne. Już o tym zapomniał. Zająłem się wszystkim.

Anderson poczuł, że już dłużej nie będzie w stanie wytrzymać

spojrzenia

utkwionych w nim bystrych oczu Masaja. Ich źrenice rozszerzyły się niczym

szerokokątny obiektyw, obejmując całe ciało rozmówcy. W taki właśnie

sposób Masajowie na równinie, stojąc na jednej nodze, sprawdzali całe stado:

nie wdzili oczami na prawo i lewo, lecz po prostu rozszerzali źrenice, by

objąć wzrokiem rozleglejszy obszar.

Ngili zrobił krok w kierunku ulicy, ale szybko się odwrócił. — Nie owijajmy sprawy w bawełnę. Kiedy przyszedł pan z profesorem Haksarem do

mego ojca, profesor powiedział, że niegdyś badał Dogilani. Wydawał się poirytowany faktem, że my też tam się znajdujemy. Pan o niczym takim nie

mówił, teraz natomiast przekonuje mnie pan, że nie powinienem rozmawiać

z profesorem Haksarem. To bardzo dziwne, gdyż profesor prosił, bym przyszedł, i wspominał nawet coś o dziedzictwie, które chce powierzyć właściwej osobie...

— I to miałbyś być ty? — Cyril roześmiał się szczerze. — Nie potrafiłeś nawet obronić swego przyjaciela Kena!

Trafił w czuły punkt. Ngili spojrział tak twardo, że Cyril sklął siebie w duchu za to, że nie zabrał sig-hammerliego. Prosił Boga, by Afrykanin poprzestał na wbiciu w niego oczu, które przybrały teraz przyćmioną, matową barwę hartowanej stali.

Ngili pohamował się. Za parę godzin było wesele Gwee. Zgodził się tak

szybko odwiedzić Haksara, gdyż miał odebrać od hinduskiego rzemieślnika

oddane do renowacji drewniane kije używane w czasie obrzędów plemiennych

oraz pokryte krowią skórą tarcze masajske.

— Niech pan powie profesorowi Haksarowi, że jeszcze wrócę — ostrzegł. — Wystaje panu z kieszeni jakiś kabel, chyba telefoniczny.

Odwrócił się i ruszył w stronę ulicy.

Kiedy jego sylwetka zniknęła w mżącym deszczu, Cyril obmacał się po kieszeniach i stwierdził, że do prawej wepchnął kawałek kabla telefonicznego.

Wrócił do środka i zatrzasnął drzwi. W nozdrza uderzył go zapach spalenizny. Pognał schodami do drzwi gabinetu, skąd wydobywał się dym.

Wpadł do środka. Ruchome oparcie aluminiowego krzesła leżało na podłodze. Haksar odłączył je od krzesła, unosząc się po prostu do góry, a potem rozwiązał sobie ręce. Leżał teraz na podłodze ze skrępowanymi jeszcze kostkami i wrzucał gęsto zapisane regularnym pismem kartki do ognia

palącego się na mosiężnej tacy.

— W samą porę — pisał szyderczo Hindus, kiedy zczerniał w ogniu ostatni plik papierów. Z brody skapywały mu wielkie i ciemne jak agaty krople potu, wywołane żarem ognia i narastającym niedoborem insuliny.

Anderson rzucił się i wyciągnął kilka kartek. Pokrywały je rysunki małp, o ile mógł to stwierdzić, rzuciwszy pobieżnie okiem. — Co zniszczyłeś, Raj?

— To, czego wszyscy szu...

— Co to było?

Haksar wzruszył ramionami, nie miał zamiaru mówić dalej.

Anderson postąpił krok ku niemu. — Nie chciałeś mi powiedzieć... ale wezwałeś Ngilego... Dlaczego najpierw mnie poprosiłeś o pomoc?

— Żeby stwierdzić, czy coś o tym wiesz — odparł rozsądnie chory.

—

Zawsze wężysz, Cyrilu, zawsze wtykasz nos w nie swoje sprawy.

Więc

musiałem się dowiedzieć...

— Chciałeś mi dokuczyć — wrzasnął Cyril.

— N-nie chciałem c-ci d-dokuczyć... — Niedobór insuliny wywołał u chorego jąkanie. — Chciałem t-tylko zobaczyć, k-kto będzie najlepszym

op-piekunem... t-tego, co znalazłem... Nie ty, Cyrilu...

Anderson cofnął się i zaczął otwierać komody i szafki gabinetu. Mimo

wycieńczenia, serce Haksara zabiło żywiej, jak silnik zwiększający obroty.

Cyril zbliżał się właśnie do tej szczególnej szafki, w której...

Otworzył ją. Rzędy ampułek insuliny odbijały promienie światła każdą

zaopatrzoną w igłę jednorazowego użytku.



Jednym pociągnięciem ręki Cyril zgarnął cały rząd. Za nim następny.

Kaskada ampułek spadła na podłogę, większość się potłukła. Resztę rozdeptał.

Życiodajny płyn wylał się na brudny dywan, tworząc niewielką kałużę.

Haksar podciągnął pod siebie skrepowane nogi i siadł niczym jeden z ulicznych

mędrców, patrząc na jeziorko insuliny.

Oddychając z trudem, Anderson przysunął sobie krzesło bez oparcia i osunął się na nie ciężko. On również wpatrywał się w kałużę i rozbite ampułki.

— Widzisz, Raj? Twoje życie leży strzaskane na podłodze. I wyschnie tam, o ile mi nie opowiesz całej historii.

# 4

Cholerny skurwiel, *nyoka* — wąż, *mbaya ugonjwa* — plugawa zaraza — Ngili kłął w duchu Andersona. Wściekły jak diabli, najeżdżał wielkim mercedesem Ngiamenów na przechodniów, zdobywając opinię, na którą nie zasłużył — rozpieszczonego syna czarnych nuworyszy. Anderson powiedział mu jednak coś, co było prawdą. Zgodnie zaś z afrykańskim porzekadłem, „język kłamcy mówi najbardziej gorzką prawdę”.

Ngili nie ochronił przyjaciela.

Dopuścił do tego, by zginął samotnie w sawannie. Zniknięcie Kena to był wypadek, niemniej etos Masaja to etos wojownika. Ngili czuł się tak, jakby opuścił towarzysza i przyjaciela. Dla wojownika porzucenie towarzyszy oznaczało tylko nieco mniejszą hańbę niż przegranie wojny.

Tego dnia zewsząd atakowała go symbolika plemienna, nawet za nim, na tylnym siedzeniu stukotały masajske tarcze i kije, a ich dźwięk zdawał się oskarżać.

Ngili mówił sobie, że wykonywał polecenie ojca. Ilekroć jednak usprawiedliwiał się w ten sposób, tylekroć przypominał sobie, jak przelatywał ponad równiną, pokrytą stadami zwierząt, szukając Kena — robił to już dwukrotnie, lustrując sawannę przez przyciśniętą do oczu lornetkę, żeby osłonić je przed jaskrawymi promieniami słońca. Ruchy zwierząt były

jak  
zawsze fascynujące, ale oczy Ngilego usilnie wypatrywały  
poruszającego się  
człowieka.

Nie dostrzegał tam w dole żadnych ludzi.

Wyglądało na to, że Ken zniknął.

„Zrobiłem to dla ojca”.

Myśl ta nie przyniosła mu ulgi. Brakowało mu Kena i martwił się o  
niego.

A ściślej: brakowało mu tej specyficznej cząstki samego siebie, która  
dochodziła do głosu podczas kontaktów z białym amerykańskim  
przyjacielem.

Jak wielu wykształconych Afrykanów, Ngili czuł wewnętrzne rozdarcie  
między tradycjami plemiennymi a zachodnim sposobem myślenia. Przy  
Kenie

mógł swobodnie to uzewnętrznić. W istocie dzięki przyjacielowi  
uświadomił

sobie istnienie innego Ngilego, który dojrzał w nim po cichu, niedostrzegalny dla zawsze czujnego ojcowskiego oka.

W takich chwilach prawie nienawidził ojca. Był zatrwożony tym zdumiewającym, nowym uczuciem.

Nie ośmielił się powiedzieć ojcu, jak była ważna dlań była przyjaźń z *mzungu*. I że ma ochotę porzucić obowiązki rodzinne (które niewiarygodnie skomplikowało wesele brata), wsiąść znów do samolotu, żeby polecieć i szukać dalej.

Z Kena mogły już pozostać tylko kości rozwłóczone na przestrzeni kilku mil kwadratowych.

Było jeszcze coś. Śmierć Hendrijksa.

Wezwano go z siostrą do kostnicy stołecznej policji, żeby zidentyfikowali

zwłoki pilota. Wydawało się dziwne, że komendant Arnold Kalangi poprosił także Yinkę. Ona jednakże spotkała Hendrijksa, więc zgodziła się pójść. Weszła do kostnicy, oddychając szeroko otwartymi ustami: objaw głodu tlenowego, typowa oznaka strachu.

Kostnica policyjna to był betonowy sześcian przypominający gigantyczny brykiet cementu żuźlowego. W podziemiach komendant Kalangi osobiście

wysunął ze schowka metalową szufladę z opakowanym w plastikową folię ciałem, które wydawało się dziwnie małe i obrzmiałe. Kierownik kostnicy otworzył zamek błyskawiczny. Ukazała się woskowozielona twarz Hendrijksa, rozdęta jak prymitywny wyrób ceramiczny.

Yinka podbiegła do mosiężnej spluwaczki. Mdlilo ją, ale nie mogła zwymiotować. Ngili pospieszył, by ją podtrzymać.

Komendant wepchnął z powrotem szufladę do chłodni prosektorium.

Dziewczyna otarła twarz chusteczką higieniczną. Spojrzała na brata i zauwa-

żyła, że jego policzki podbarwiły się zielonkawym odcieniem strachu. Czy bał

się dlatego, że po zniknięciu Kena i śmierci Hendrijksa tylko on pozostał

żywy spośród uczestników tamtej wyprawy na Dogilani?

Ngilego kusilo, żeby do poszukiwań Kena wciągnąć policję, wiedział

jednak, że lepiej tego nie robić. Chociaż Kalangi, niedawno mianowany szef

policji, obiecał zrobić porządek w swoim departamencie, zbyt wielu policjan-

tów zaangażowało się w handel narkotykami i kłusownictwo.

Kalangi zapytał, czy Ngiamenowie mają jakichś wrogów.  
Spoglądając na  
wysokiego, białowłosego i odrażająco chudego komendanta, Ngili  
wzruszył  
ramionami. Czuł, że dobrowolne udzielenie jakichkolwiek informacji  
może  
zostać wykorzystane przeciwko niemu. I nagle ze zdumieniem usłyszał,  
że  
komendant oferuje mu — dla ochrony osobistej — usługi byłych  
stróżów  
prawa, którzy mogli chronić każdego i wszędzie, nawet za granicą.  
Yinka drgnęła, zaskoczona, Ngili natomiast zapytał lodowato: —  
Jest pan  
pewien, że ci ludzie są byłymi stróżami prawa, a nie aktualnymi?  
Komendant uśmiechnął się szeroko, po czym kaszlnął  
przysłoniwszy usta

dłonią. — W podziądku, jak panu nie pocieba, to pan nie kupi. — Mówił z wyraźnym akcentem kikiju, który w uszach Ngilego nie brzmiał autentycz-

nie. Miał poczerwiałe zęby od żucia kawałków słodkiego drzewa *mkoko* albo

orzechów *betelu*.

— Co za obmierzły stary drań — stwierdziła Yinka, znalazłszy się w samochodzie. Spojrzała na brata. — Nie sądzisz, że to jakaś poważniejsza,

i to dość obrzydliwa, sprawa?

— Nie — odparł zgodnie z przekonaniem. — Załatwili Hendrijksa, bo

czegoś handlował. Może narkotykami.

Nie zapytała, czy sądzi, że Ken nadal żyje.

Działo się to trzy dni temu, teraz zaś przed mercedesem wyłonił się hotel

„Naivasha”, gdzie już za parę godzin miało się odbyć wesele. To tam Ken

i Ngili podawali drinki i wspólnie snuli marzenia.

Yinka stała na parkiecie sali balowej „Naivasha” przystrojona we wspaniałe, czerwone jak płomień, kiko. Na czole zawiesiła cały sklep jubilerski. Nadzorowała próbę generalną erotycznego tańca młodzieży masajskiej, będącego formą zalotów.

Dwadzieścia dziewcząt spokrewnionych z Ngiamenami miało podskakiwać

w tańcu naprzeciw dwudziestu chłopców wybranych starannie spośród członków najlepszych rodzin masajskich z Nairobi. Został zaproszony syn

samego prezydenta Noi — który nie był wprawdzie Masajem, ale któżby zwracał na to uwagę? — by przewodzić tancerzom płci męskiej. Nie wiadziiano, czy przybędzie. Chłopcy nosili stroje myśliwskie, ale na rękach

zegarki „Vacheron” czy „Rolex”. Tak chłopcy, jak i dziewczęta skakali na

długich bosych stopach przy akompaniamencie bębnow digo, podzwaniając

łańcuszkami zawieszonymi na czołach oraz pobrzękując srebrnymi i mosięż-

nymi bransoletami zdobiacymi łcostki i nadgarstki.

Taniec ten, wykonywany żywiołowo — niektórzy mężczyźni wyskakiwali

na wysokość czterech stóp ponad podłogę, kobiety na trzy stopy — miał

ukryte znaczenie, dające się odczytać z ruchów ramion, piersi, bioder i pośladków. Dla mężczyzn symbolizował młodość, siłę, oderwanie się od

szałości dnia codziennego, zapal do polowania i zapładniania; dla kobiet

—

młodość, zabawę, wesołość, pragnienie zwrócenia uwagi mężczyzny oraz  
chęć urodzenia mu potomstwa. Pod wąskimi prostymi kiko podrygiwały  
piersi dziewcząt, dyndały genitalia chłopców. Tancerze wypychali biodra do  
przodu, tancerki krążyły z wysuniętymi ku przodowi miedmicami, następnie  
cofały się, drocząc i udając, że unikają partnerów. Wszystkiemu wtórowała  
muzyka i chichoty. Dziewczęta, niewiele widząc spod zasłaniających im  
twarze ozdób, musiały spoglądać z ukosa, żeby utrzymać się w szeregu  
i, drocząc się z tancerzami, nie wpaść na nich, co stanowiło nie lada  
wyczyn.

Podczas lat spędzonych w wiosce dziadków Yinka oglądała ten  
taniec  
w wykonaniu prawdziwej młodzieży plemiennej, niekiedy zaledwie  
dziesięcio-

latków. Nie noszono tam rolexów. Tancerze nie mieli pod stopami  
lśniacej  
posadzki hotelowej, tylko gołą ziemię, a sam taniec był jeszcze dziksz  
i bardziej zmysłowy, istny rytuał zalotów i spółkowania. Po jego  
zakończeniu  
co bardziej dojrzałi fizycznie tancerze udawali się parami w zarośla, nie  
kontrolowani i nie ograniczani przez rodziców. Sama fizjologia  
stanowiła  
znamię dojrzałości i dawała upragnione prawo do kochania się, picia  
i zachowywania jak dorośli. Dziewczeta o ledwo rozkwitłych piersiach  
pozostawały nieśmiało z tyłu, także chłopcy, których penisy unosiły się  
niepewnie pod myśliwskim strojem, nie czynili podbojów. Dzieci  
wiedziały,  
kiedy są jeszcze dziećmi, a kiedy powinny stać się mężczyznami i  
kobietami.

Yinka pamiętała o tym wszystkim, co czyniło z niej dobrą  
nauczycielkę  
tańca. Ustawiła dziewczeta według wzrostu i wieku — najmniejsze na  
przodzie, by tańczyły przed najniższymi chłopcami. Ta grupa  
zachowywała  
się najmniej śmiało. Miała za zadanie rozgrzać zebranych swymi  
niewinnymi,  
pozbawionymi erotycznych podtekstów podskokami, a potem usunąć się  
na  
bok, ustępując miejsca starszym, którzy mieli bardziej określone  
zamiary  
wobec swych partnerów. Wtedy taniec nabierze tempa, jednostajne  
dudnienie  
bębnów przejdzie w oszalałe „burrrrr”, stopy, ciała i głowy będą niemal  
frunęły, a oczy pod ozdobami plemiennymi zapłoną jak ogień. Pot  
zaślni na  
młodej skórze niczym szklane paciorki. Zgromadzeni poczują, bez  
względu  
na swój wiek, jak rytm bębnów burzy im krew. Wszyscy doznają  
jednoczącego  
przyływu witalności, a duma z własnego dziedzictwa sprawi, że krewni  
uśmiechną się do siebie wzajemnie, zapominając o różnicach poglądów  
i drobnych urazach.

Taniec ten, należący do najbardziej obrazowych tańców świata,  
odznaczał  
się jednocześnie wielką czystością. Wielu tańczących nie przeszło  
dotąd  
inicjacji seksualnej, a żaden starszy chłopiec i dziewczyna nie zostali  
jeszcze  
poślubieni. Wkładali tyle serca w ruchy bioder, podrygi i skręty, że  
właśnie  
przez tę spontaniczność taniec tracił swą lubieżność. Było to  
celebrowanie  
święta, które miało dopiero nadejść w przyszłości.

Jako że wesele Ngiameny należało do znaczących wydarzeń w  
życiu



miasta, taniec młodzieży masajskiej zmodyfikowano tak, aby mogli uczestniczyć w nim starsi krewni oraz prominentni goście. Po trzech początkowych rundach, wykonanych wyłącznie przez młodzież, do tańca będzie mógł się włączyć każdy, komu przyjdzie na to ochota. Yinka powiedziała do Kena żartem, że spodziewa się, iż z nią zatańczy. Byłby to zapewne śmieszny widok — ich dwoje tańczących na oczach uśmiechających się z zakłopotaniem krewnych. Teraz zdała sobie sprawę, że od dawna tego pragnęła. Oczyma wyobraźni widziała siebie i osadnika, jak skaczą razem: on — niezręczny, lecz uśmiechnięty, i ona — dająca mistrzowski pokaz. Chciała unosić się naprzeciw niego jak ptak, kołysać przed nim piersiami, przybliżać się aż do zetknięcia kolan z jego kolanami, przynaglać go i zachęcać szybkimi, namiętymi spojrzeniami. On dałby z siebie wszystko, wiedząc, że daleko mu do mistrzostwa, podskakiwałby niezgrabnie z tym swoim szerokim amerykań-

skim uśmiechem. A może — kto wie? — jego zahartowane w warunkach sawanny ciało odnalazłoby własny rytm? Kto wie? Jak prawdziwa Afrykanka, Yinka wierzyła, że taniec jest środkiem porozumienia między ludźmi. Chciała poznać Kena i od tej strony. Wówczas byłby to jej taniec. Szczyciłaby się swoim mistrzostwem, górując nad partnerem kunsztem i czując się w swoim żywiole, jednocześnie jednak witałaby z zadowoleniem jego inwencję albo przynajmniej odwagę podjęcia wyzwania.

Gdyby tu był, ale nie było go.

Znów poczuła skurcz żołądka na wspomnienie wizyty w kostnicy.

Ukazała jej się twarz Hendrijksa, a potem — zamiast niej — twarz Kena.

Zaczęła oddychać szeroko otwartymi ustami. To niedobór tlenu, oznaka strachu.

Gdzie był Ken? Dlaczego ten idiota wyruszył samotnie? Ale przecież to

ona wpadła na genialny pomysł, żeby mu w tym pomóc.

Nie mogła przestać o nim myśleć, zwłaszcza że po wizycie w kostnicy

troska o jego los zmieszała się z lękiem o życie brata.

Ngili nosił przy sobie pistolet, będzie go miał pod plemienną szatą dziś

wieczorem. Ona nie przyjęła broni, nie przyznawała się też otwarcie do swego

niepokoju. Na widok wkraczającego do sali balowej brata nakazała tancerzom

chwilę przerwy i podeszła doń spokojnie, z promiennym uśmiechem.

— Wszystko w porządku, mój bracie?

— Mniej więcej. — Przeszedł do zaimprovizowanej garderoby, żeby

przebrać się w strój plemienny.

Podążyła za nim. — Czego chciał Haksar?

— Nie wiem, nie udało mi się go zobaczyć.

Wszedł do kabiny, zaciągnął umocowaną na drucie zasłonę i opowiedział

jej, co zaszło. Milczała. — Zawiedziona jesteś? — zapytał gniewnie. — Sądziłaś, że powie mi coś, co pomoże nam odnaleźć Kena?

— Tak — przyznała zastanawiając się, dlaczego jest taki rozgniewany.

— Obawiam się, że mamy inne kłopoty. *Um'tu* rozmawiał na dole z Jackiem Dimathi. Zawołał mnie tam. — Yinka słuchała obojętnie.

Jack

Dimathi był właścicielem jedynej we wschodniej Afryce prywatnej pasażerskiej

linii lotniczej. Ngili odsunął zasłonę. Wyglądał tak przystojnie, że

nawet jego  
sarkastycznej siostrze zaparło na chwilę dech. Rzucił spojrzenie na  
salę  
i chociaż stwierdził, że nikogo nie ma w pobliżu, zniżył głos. — Jack  
uważa,  
że szykuje się zamach stanu. I że skierowany będzie przeciwko  
Masajom.  
Yinkę coś ścisnęło za gardło. — Dlaczego przeciw nam? Jesteśmy  
takim  
małym plemieniem...  
— Właśnie dlatego. Oni nie odważyliby się wziąć na cel  
większego.  
— Takiego jak ich własny lud, Kikuju, albo Embu.  
— Jacy oni? Armia?  
Ngili skinął głową. Armia. Jedyna instytucja w Afryce, której  
wszyscy się  
bali. Miała zapewniać stabilizację, ale zawsze podsyciała waśnie. Jack  
Dimathi  
należał jako właściciel linii lotniczej do najlepiej poinformowanych  
obywateli

kraju. Ngili wyjaśnił Yince, że Jack zauważył pewną prawidłowość. Oddziały

wojska przemieszczano z koszar na tereny zamieszkałe przez plemiona, których członkami nie byli żołnierze. Wojsko odbywało manewry i rozbijało obozy w pobliżu pastwisk Masajów. Tymczasem różni masajscy przywódcy zaczęli coś wspominać o „reprezentacji plemiennej”.

— Ktoś podpowiada im te słowa — zakończył Ngili. — Ktoś organizuje

masajską prowokację, żeby dać wojsku pretekst. — Odczekał chwilę, spog-

ładając na oszołomioną siostrę. — Przynajmniej tak sądzi Jack.

— A *um'tu* traktuje go poważnie?

— Tak. Przywódcy plemienni popijają drinki w głównym hallu, a *um'tu*

zasypuje ich informacjami o ruchach wojsk na ich terenach.

Wesele miało się rozpocząć dopiero za godzinę, ale szpaler powitalny był

już gotów, gdyż wodzowie wraz z rodzinami przybywali swoimi dość zawodnymi samochodami i ciężarówkami sporo przed czasem, w przewidy-

waniu ewentualnych awarii. Spory tłumek zgromadził się przed wejściem do

hotelu, oczekując w deszczu, pod parasolami na swoją kolej wejścia do hallu — co odbywało się w tempie jedna rodzina na pięć minut, tyle bowiem

zajmowało każdej z nich przemierzenie dwudziestu jardów — gdzie witali ich

Jakub, Itina oraz pan młody strojny w szatę z lwiej skóry ozdobioną lwimi

kłami, a także Wambui, piastunka, która wychowała wszystkie dzieci Ngiamenów.

Wambui, bardzo wzruszona, wyplakiwała sobie oczy nie tylko przez

szacunek dla dawnych obyczajów.

Goście wchodzili uśmiechnięci od ucha do ucha — ale te uśmiechy pozbawione były ciepła, gdyż stanowiły formalny wyraz kurtuazji, nie zaś

objaw nagłego uczucia — i wypowiadali na początek słowa: — *Hujambo!*

*Habañ!* Dzień dobry. Jak się macie? — na co Ngiamenowie odpowiadali równocześnie: — *Hujambo. Habañ!* Zaraz potem obie strony mówiły: —

*Mzoori, ahsante*, doskonale, dziękujemy — i wymieniały uściski, którym

towarzyszyły te same przyklejone uśmiechy, ani odrobinę mniej formalne

niż podczas kolonialnych *garden party*. Wówczas goście zaczęli zadawać

zawsze te same pytania: o zdrowie całej rodziny, o cenę panny młodej (Ngiamenowie nie płacili za dziewczynę, pochodziła bowiem z miasta i była absolwentką prawa, ale należało jednak podtrzymywać obyczaj nakazujący zadanie tego pytania) oraz dlaczego Ngili nie ożenił się pierwszy, na co Jakub z udanym zakłopotaniem dawał do zrozumienia, że syn zapewne ofiarowywał już komuś swoje nasienie i ewentualna przyszła małżonka znajduje się wśród gości, jednak kochankowie nie chcą z jakiegoś powodu ujawniać swego związku. Na razie Ngili będzie jeszcze więcej polował, żeby zrekompensować starzejącym się rodzicom to, że nie dał im bystrych i posłusznych wnucząt.

Zaproszeni mężczyźni nosili czapki z lamparciej skóry oraz tuniki ze skór lamparta lub zebry, kobiety natomiast — wytworne kikoi i nakrycia głowy z wielobarwnych piór turaków, brązowoszyjej papugi, czerwonogłowej papużki

falistej oraz wielu odmian cukrzyków. Obserwując zachowanie gości, można

było stwierdzić, którzy noszą takie ozdoby często, a którzy bardziej przywykli

do garniturów, krawatów lub butów na wysokich obcasach. Pod jednym tylko

względem stare swobodnie mieszało się z nowym: kobiety nosiły zarówno ozdoby plemienne z miedzi, jak i klejnoty od Cartiera i Bulgariego.

Odgłosy przyjęcia przypomniały Ngilemu, że powinien zejść wraz z siostrą do gości.

— A tak na marginesie — szepnął — syn prezydenta nie przybędzie. Dzwoniłem do biura w pałacu, bardzo przepraszali.

„Cudownie” — miała ochotę powiedzieć. Facet przystawiał się do niej po

ostatnim tańcu masajskim, tak iż musiała w końcu porządnie go uszczypnąć.

Nic o tym nikomu nie wspomniała, bo gdyby prezydent pozwolił synowi przyjść, stanowiłoby to pozytywny sygnał, nieobecność natomiast oznaczała

rodzaj milczącego uniku.

Ngili spojrzął na siostrę i zauważył, jak pięknie wygląda. — Jestem pewna, że pomysł Jacka to szaleństwo — szepnęła. — Branie na cel Masajów

byłoby absurdem, przecież tylko garstka posiada jakiegoś wpływu. Armia nie wystąpi zaś przeciwko prezydentowi, bo wojskowym za dobrze się powodzi.

— A gdyby to prezydent wraz z armią chcieli pozbyć się wszelkiej opozycji, wykorzystując sprawę Masajów jako pretekst?

— *Urn 'tu* nie powinien dać sobie zepsuć przyjęcia — odparła gniewnie,

schodząc szybko po schodach do hallu. — A co z Kenem? — zapytała, słysząc tuż za sobą kroki brata. — Nie zorganizujemy wyprawy ratunkowej?

— A jeśli nie będziemy mogli?

— Chcesz powiedzieć, że mamy go pozostawić własnemu losowi?

— Ken ma doświadczenie i może tam jest bezpieczniejszy niż my... — mruknął niejasno.

Stała jak wryta w połowie schodów i odrzuciła głowę do tyłu, żeby spojrzeć na brata spod plemiennych ozdób. — Jak możesz być tak bezwzględny

wobec najlepszego przyjaciela?

— Powiedziałem, co myślę, Yinko. — Chwycił jej nagie ramię, aż zadzwoniły bransolety. — Yinko, Ken kocha tylko jedno: naukę...

Uśmiechnęła się z przymusem. — Doprawdy? Nie jest robotem.

— Yinko! On jest...

— Białą? — warknęła.

— Amerykaninem! — wybuchnął, a ona się roześmiała. Czyż wszystkie

Kenijki nie marzą o poślubieniu Amerykanina? A to, że ci Amerykanie są

**zazwyczaj czarni, ma jakieś znaczenie?**

**A jeśli doszłam do wniosku, że nie chcę żyć jak grzeczna afrykańska córeczka — zapytała wyzywająco — lecz jak „kobieta oportunistka”?**

**Czyż**

**nie tak nazywacie samice w waszych dyskusjach o strategiach genetycznych?**

**A jeśli uznałam, że ja sama nie mam Kenowi nic do zarzucenia? Jest młody,**

**oddany pracy, wartościowy genetycznie, jak ty byś to określił. Zostanie może**

**gwiazdą nauki, jeśli wróci żywy...**

— Jeśli... — szepnął złowieszczo. Spojrzał na nią ponuro. — Yinka. Czy

ty...?

— Nie twój zasrany interes! — I poczuła, iż naprawdę martwi się o osadnika wcale nie dlatego, że poszła z nim do łóżka. Byli ze sobą blisko

zaledwie parę godzin, a on może już nie żył od tygodni.

— Słuchaj. — Rysy Ngilego ściągnęły się, stał sztywny i opanowany.

Rozumiała jednak, że ta postawa oznaczała coś przeciwnego: przejmował się

tym. — A jeśli Ken wróci i nic się między wami nie wydarzy?

— Masz rację — rzekła apatycznie. — Może nic się nie wydarzy.

Pospieszyła na dół, a on za nią. W hallu rozległy się huczne okłaski.

Oboje w strojach plemiennych tworzyli — schodząc po schodach — tak

wspaniałą parę, że zgromadzeni dostrzegli w nich własny wymarzony ideał.

Pobrzękując łańcuszkami, dziewczyna podeszła do świeżo przybyłej grupki

i wzięła w ramiona przyjaciółkę ze szkoły średniej.

Tę samą szatę kikoi, w której teraz występowała, nosiła jej matka na

własnym weselu. W kołnierzu zaszyto duże nasienie pewnego dziko rosnącego

drzewa. Było to *juju*, afrykański amulet miłosny, który gwarantował, że mężczyzna będzie myślał o kobiecie, której się podoba, jeśli ona myśli jednocześnie o nim. „No już, *juju*, pokaż swoją moc — myślała żarliwie Yinka. — Niech myśli o mnie, jeśli żyje! Niech myśli o mnie!”

Odniosła wrażenie, że wyschłe nasienie stało się cięższe i uciska jej obojczyk. Przywitała się z rodziną szkolnej koleżanki, a następnie ustawiła

się w powitalnym szpalerze nieco z boku, z twarzą zwróconą ku niewidocznej

dzielnicy hinduskiej. Dotknęła nasienia na szyi i wyraziła życzenie, by wszystko, co Haksar wie o Dogilani, pomogło Kenowi.

— Następne zlodowacenie... nastąpi za... dwa tysiące... lat... To oznacza...

sto ludzkich pokoleń... Dość czasu, aby ustabilizować nową rasę...

Haksar leżał teraz na tapczanie uwolniony z więzów. Niedobór insuliny

w jego organizmie był tak znaczny, że Cyril zastanawiał się, dlaczego stary

Hindus tak długo nie umiera.

W domu panowały ciemności, paliła się tylko lampa na biurku, przy

którym siedział Anderson. W powietrzu unosił się kurz z przetrząśniętych

starych książek i papierów, pomieszany z wonią rozlanego lekarstwa



i zatkanych toalet

— Ale na długo przedtem... planeta zapadnie się, z przeludnienia...

—

Haksar ciągnął dalej, niczym odtwarzacz tak zaprogramowany, by urywać

i rozpoczynać na nowo co parę sekund. — Za dwa tysiące lat... będzie na

Ziemi... ponad dwa tysiące... miliardów... ludzi... Ekstrapolując obecne tempo

przyrostu naturalnego... waga samych Filipin... przewyższy ciężar planety... —

Zachichotał na myśl o wadze Filipin.

Anderson wstał i przeciągnął się, aż mu strzeliło w kręgosłupie.

Nowa

rasa ludzka to piękna rzecz, ale jak pozbyć się starej? A co z wyczerpywaniem

się zasobów naturalnych? Nagle wypadł zza biurka i stanął groźnie przed

Haksarem. — Dlaczego tak perorujesz o nowej rasie, Raj? Chcesz powiedzied,

że spotkałeś te stworzenia i kopulowałeś z nimi?

Stary profesor nic mu dotąd nie powiedział. Nie pomagało **nawet** zadawanie bólu — Cyril ścisnął mocno jego kontuzjowany nadgarstek, wyczuwając nierówną krawędź chyba złamanej kości. Torturowany krzyczał,

ale nie wyjawiał żadnych informacji.

— Nie... to nie byłaby... nauka...

— Cieszy mnie to — roześmiał się Cyril. Zamachał paroma uratowanymi

z ognia kartkami. Wykonano na nich realistycznie i poprawnie pod względem

anatomicznym naturalnej wielkości rysunki owłosionych męskich genita-

liów — jądra i członki rozmaitych gatunków naczelnych. — Sam to rysowałeś,

chłopie? Musiałeś być wówczas cholernie napalony. Od tego zaczynałeś?

— To ja rysowałem... owszem... w pięćdziesiątym trzecim...

Rok 1953. Anderson był wtedy w Oksfordzie. Nie wydarzyło się w tamtym

roku nic szczególnego oprócz... Och tak, oczywiście: w Kenii brytyjskie

lotnictwo dziesiątkowało czarnych podczas Wojny o niepodległość.

— Tak... studiowałem wtedy zoologię... Zostaw to... w spokoju.

— Zrelaksuj się. — Anderson przerzucił kilka stron, podziwiając precyzję

rysunków i dziwiąc się, że członek goryla ma w stanie erekcji niecałe półtora

cala (liczbę podano obok każdego rysunku), podczas gdy orangutana dwa,

szympansa dwa i pół, zaś ogromny członek *Homo sapiens* co najmniej pięć

cali. — Można by się spodziewać, że im większe małpy, tym większe mają

fiuty... — wymamrotał.

— Przec-ciwnie — wyjąkał Haksar. -1- Wielkie małpy... są dość silne,

by... odstraszyć... konkurentów... więc nie potrzebują wielkich członków...

żeby zapewnić sobie wierność samic... Ciemny jesteś z... biosocjologii, Cyrilu.

— Zamknij się.

— Zbytnio się zajmujesz polityką wydziałową... Boże... co ja tam widziałem...

— W sawannie?

— W sawannie... i w lesie... —Haksar uniósł się, jego rysy stały się niemal małpie. Z oczu sączył się złośliwy blask. — Trzymaj się z

dala od  
tego miejsca, Cyrilu. Ono zabija... nie przynosi chwały... lecz śmierć...

Zobaczysz... rodzenie się człowieczeństwa... a potem umrzesz...

— Sądziś, że Lauder zginął?

— Może... nie...

Cyril oparł się pokusie, by go uderzyć. — Dlaczego... nie? —  
zapytał

przedrzeźniając konającego.

— Ma bardzo mocne... geny...

Głowa Haksara opadła na piersi, ale Cyril zachowywał ostrożność.  
A jeśli

stary tchórz udaje? W tej pozycji, oddychając bardzo słabo, stary mógł  
zmniejszyć zużycie energii w ciągu godziny do dwudziestu kalorii na  
sto

funtów wagi ciała. Albo jeszcze mniej, gdyż ważył pewnie niecałe sto  
funtów.

Może potrafił nawet symulować własną śmierć, Hindusi znają różne niesamowite techniki...

Cyril obserwował starego, oglądając inną kartkę. Krew zabarwiła mu

policzki, kiedy zobaczył szereg rysunków — niewielkich, ale realistycznych —

przedstawiających w ujęciu frontalnym pochwy naczelnych: od lemura do

człowieka. Wszystkie posiadały wyraźnie dostrzegalne, sporych rozmiarów

łechtaczki.

— Czy tym się zajmowałeś na Dogilani? Uganiałeś się za małpimi cipkami? — Nie mógł uwierzyć, że te rysunki tak na niego działają.

Wykupię

ci subskrypcję „JPenthouse'a”, Raj. Raj?

Haksar wyglądał teraz jak skorodowana podobizna bóstwa. Z jego niesamowicie znieruchomiłego ciała dobył się głos wątlý, ale wyraźny

i bez

jąkania.

— Wiesz, jak duże są jaja goryla, Cyrilu? Dwa razy większe niż

ludzkie... A jednak dostaje orgazmu w niecałe dziesięć sekund... Jak duże są

twoje jaja, Cyrilu?

— Co takiego? Nie twój zasrany interes!

— Obserwacje w naturze wykazują, że im większe jaja samca małpy,

tym mniej wierna jest jego partnerka. Potrzebuje on takich dużych jąder, żeby

móc pojąć wiele samic, gdyż nie może zatrzymać przy sobie żadnej... —

Spojrzał znacząco na Andersona. — Ktoś mi mówił, że Corinne zostaje

w Londynie...

Cyril podskoczył, chwycił Haksara i potrząsnął nim. — Przestań udawać,

Raj! Ciągłe jesteś przytomny! Zawiozę cię do szpitala, dadzą ci zastrzyk

insuliny, potem powiesz mi, co wiesz, i zarobimy wspólnie trochę pieniędzy!

— Ile pieniędzy? Za nową rasę ludzką? Nikt nie ma dość pieniędzy, żeby

za to zapłacić!

— Zbyt długo czekałem, aż wpadnie mi w ręce coś tak wspaniałego! —

wrzasnął Cyril. — Nie zatrzyma mnie stary człowiek, który jest już jedną

nogą w grobie! Co?

Potrzeba mi mnóstwo pieniędzy — powiedział Haksar. — Muszę

mieć czas, żeby ci to wszystko powiedzieć. Daj mi trochę... — znów

mówił

wolniej, nieoczekiwana rezerwa energii wyczerpywała się — insuliny...  
Już!

— Jak? Mam ją wyssać z podłogi?

W zwięzającej się z każdą chwilą kałuży na dywanie było jeszcze trochę  
płynu.

— Weź trochę na łyżeczkę i wciągnij strzykawką...

Anderson nie zauważył plastikowych strzykawek, zapakowanych  
w od-  
dzielnym pudełku.

Przysunął twarz tak blisko do chorego, że nozdrza wypełnił mu  
jego

oddech, słodko-gorzko-nieświeży, straszny zapach. Nie zważał na to.  
Ode-

pchnął go własnym oddechem. — Mam nadzieję, że warto będzie...

— Szybko... łyżkę... w kuchni... zobaczymy, kto będzie szybszy...  
ty...

czy moja śmierć...

„A niech cię — pomyślał Cyril, wybiegając na schody — szkoda, że nie mogę cię naprawdę zabić!”

Haksar, pozostawiony samemu sobie, postawił stopy na **podłodze**, wyprostował tułów i wstał drżąc jak osika. Zagryzł wargi, tłumiąc **jęk bólu**, i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Zdołał je otworzyć.

Uderzyło go w twarz wilgotne powietrze. Ulica przed domem opustoszała, ale przy barakowozie ludzie ze świecami, dzwonkami i bębnami obserwowali

półnagich hinduskich eremitów, którzy szli ze śpiewem ku rzeczce, natarłszy gołe torsy popiołem. Świętobliwi mężowie mieli wzrok utkwiony w ziemi.

Ich brody i zmierzwione długie loki, podobnie jak pokryte popiołem ciała,

lśniły w miejscach, gdzie deszcz zmył popiół. Hałas sięgał szczytu. Dziś w nocy ludzie ci byli Hindusami, tylko i wyłącznie Hindusami, głęboko związanymi z wiarą i dziedzictwem przodków.

Haksar wpatrywał się w nich, pragnąc szaleńczo złączyć się z nimi, zapomnieć o nauce i dziwnych wydarzeniach, które go tu sprowadziły. Chciał w obliczu śmierci przenieść się do wieczności, w którą wierzył ten rozśpiewany tłum.

To, co wiedział o świecie i rasie ludzkiej, ciążyło mu jak kamień ofiarny.

Czuł też ogromny żal, że nie znalazł zaufanego następcy, któremu mógłby

pozostawić swą wiedzę.

„Ten las — pomyślał. — Nie idź do tego lasu, Cyrilu.”

Wciąż był sam.

Na biurku zobaczył pewną książkę; wyglądała na mocno zaczytaną.

Przyciągnął ją i otworzył. Praktycznie na każdej stronie znajdowały się odręczne notatki. Leżała obok jedyne urządzenie, łączące dom ze światem zewnętrznym, jakie uniknęło wandalizmu Cyrila: telefaksu.

Przekartkował ją, po czym wyrwał kilka stron. Zerknął na umieszczoną

na blacie biurka nalepkę z numerami telefonów, umieścił kartki w telefaksie

i wybrał jeden z zagranicznych numerów. Wcisnął guzik „przesłać”. Kartki

poczęły pogrążyć się w urządzeniu z cichym buczeniem, by pojawić się jako

kopie w innym telefaksie, odległym o osiem tysięcy mil.

Kiedy Cyril przypędził z powrotem z łyżką, zastał okno otwarte. Stał przy nim Haksar, kołysząc się na boki, z twarzą lśniącą od potu. Nagle upadł. Cyril

podskoczył ku niemu, ale nie zdołał go podtrzymać. Hindus wydawał się

martwy. Jediną oznaką życia były drgające powieki.

Cyril zebrał łyżką płyn z podłogi, zanurzył w nim igłę strzykawki i pociągnął tłoczek. Nigdy dotąd nie robił zastrzyków. Przyjrzał się Haksarowi

i postanowił wbić mu niewielką igłę w dłoń. Nagle przez ciało chorego przebiegł dreszcz. Cyril mruknął radośnie. Stary mimo wszystko postanowił

nie zostać zdrajcą!

— Czekaj! Raj, wstrzymaj się jeszcze chwilę! — wrzasnął piskliwie, nie

uświadamiając sobie całej makabrycznej wymowy tego wezwania. Nabrał

niezgrabnie więcej płynu i usiłując zanurzyć w nim igłę ukłuł się w rękę.

„Cholera jasna”. Kapiąc swoją krwią na trupa rękę Haksara, wbił strzykawkę

w dłoń konającego.

Stary człowiek zadrżał spazmatycznie, po czym utkwiał w nim spojrzenie.

Na dworze eremici dotarli właśnie do błotnistej strumienia i padli w wodę, wykrzykując: — Siwa! Siwa! — Wzywali imienia boga śmierci, ale i odrodzenia.

Haksar nie żył. A bóg nie powiedział, w jakiej postaci miał się odrodzić.

Cyril zrobił jedyną stosowną w tym momencie rzecz. Zamknął okno.

Potem przeszedł do biblioteki i znów począł myszkować, szybko i na chybił

trafił, wyrywając stronicę, deptając nogami książki, zrozpaczony, że od Haksara wydobyl równie mało informacji, jak od Hendrijksa. Na koniec znalazł pudełko czarno-białych fotografii, wetknięte niedbale pod blat biurka.

Rozłożył je na podłodze. Na jednej widniała ciemna, obrośnięta grań Mau.

Na tle góry stało trzech ludzi. W szczupłym mężczyźnie o wydatnej

szczęce Cyril rozpoznał Hendrijksa, młodszego o jakieś czterdzieści lat. Obok

stał Haksar, także młody, żyłasty, o wielkich oczach, tryskający energią.

Fotografię zrobiono prawdopodobnie na początku lat pięćdziesiątych,

kiedy Anderson był w Oksfordzie. Haksar miał na sobie koszulę wojskowego

kroju, przebarwioną miejscami na ramionach i kołnierzu. Cyril pomyślał, że

są to ślady po zerwanych naszywkach. Obok niego stał jakiś Murzyn, bardzo

młody chudy facet o pałakowatych nogach, z kwadratowym tatuażem na policzku. On także nosił wojskowy strój z oderwanymi naszywkami.

Przez

ramię przewiesił karabin „Enfield”, którego skórzany pasek zastąpiono sznurem

splecionym, jak się wydawało, ze zwierzęcego włosia. Kolbę enfielda ułamano

poniżej zamka. Przypomniało to Cyrilowi komiczne, lecz zabójcze strzelby

domowej roboty, używane przez partyzantów Mau-Mau podczas walk niepodległościowych przeciw Brytyjczykom.

Mau-Mau...

Spojrzał na grań, potem na Murzyna. Hendrijks i Haksar uśmiechali



się  
zawadiacko, Afrykanin — z okrucieństwem. Jego twarz mówiła: „zabiję  
cię”.

Murzyn mógł być tropicielem zwierzyny, a Hendrijs pilotem. Ale  
co tam  
robił Haksar?

Cyril usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wie o partyzantach  
Mau-Mau, ale nie było go wtedy w Afryce i wojna o niepodległość nie  
odcisnęła się w jego pamięci tak, jak w pamięci innych Europejczyków.

Masyw Mau, porośnięty ciemnym lasem, unosił się ponad trójką  
mężczyzn

na fotografii niczym plioceński pancernik. Cyril po raz pierwszy zdał  
sobie

sprawę, jak niebezpiecznie będzie wysledzić Laudera i odebrać mu jego  
znalezisko.

Wsadził fotografię do kieszeni. Haksar nie żył, a Ngili widział go  
tutaj

zaledwie przed paroma godzinami.

Widział, że krwawił.

I groził, że powróci.

Cyril rozejrzał się. Sądząc po niebывałym bałaganie, można było dojść

do wniosku, że Haksar został obrabowany, z kolei potłuczone ampułki z insuliną na podłodze wskazywały na morderstwo.

Niedoświadczony morderca stracił zimną krew.

Parę minut później wyszedł z domu i pobiegł w deszczu do zaparkowanego

land cruisera. Zauważył w przelocie, że artysta uliczny nie strzeże już narysowanego na chodniku wizerunku. Zapewne przegnał go deszcz.

Skręcił samochodem za róg i wjechał w zaułek. Zbutwiała od deszczu

brama w drewnianym ogrodzeniu prowadziła na podwórze za domem. Zostawił wóz w zaułku i wrócił do domu. Ciało było tam, gdzie je zostawił.

Kierując się jakąś perwersyjną logiką, uznał, że czynnikiem obciążającym są zwłoki, trzeba więc się ich pozbyć.

Wkrótce wyszedł z domu, dźwigając Haksara. Trzymał go pionowo, bez

trudu dając sobie radę z drobnym, jakby nic nie ważącym ciałem. Z oddali

mogło się wydawać, że idzie dwóch ludzi blisko siebie, głowa przy głowie,

niczym bracia syjamscy. Tak dotarli do samochodu. Cyril opuścił zwłoki na

tylne siedzenie.

Jechał kierując się instynktownie wzdłuż północnego brzegu obrzydliwej

rzeczki. Przez otwarte okno widział pochylone postacie grzebiące w śmieciach.

Martwe ciało mniej się tu będzie rzucało w oczy niż jego dobrze utrzymany

i kosztowny pojazd. Wyłączył silnik, chwycił zwłoki i wydobył się wraz z nimi z wozu.

Na szczęście Haksar niewiele ważył, więc łatwo dało się go ciągnąć.

Cyril nie umiałby powiedzieć, z której strony płynie rzeka, ale ją usłyszał.

Poszedł w tamtym kierunku i zobaczył ją — czerwoną błotnistą kałużę.

Wrzucił do niej ciało Haksara, uświadamiając sobie, że honoruje go najbardziej

symbolicznym z pochówków, powierzając ciało, obyczajem hinduskim, nurtowi

świętej rzeki.

Wrócił do samochodu i... stanął jak wryty. Obok stał sztywno, jakby kij

połknął, Arnold Kalangi, szef policji. Przez ułamek sekundy Cyril sądził, że

to halucynacja.

— Dobry wieczór, profesorze — rzekł Kalangi po angielsku z akcentem kikuju.

Krótką wymianą pozdrowień nie wystarczyła jednak, by halucynacja zniknęła. — Jak się pan tu dostał? — wyszeptał Cyril.

— Jechałem za panem — odparł komendant. — Zostawiłem tam wóz. —

Wskazał kierunek podbródkiem.

Przy najdalszej stercie odpadków Cyril dostrzegł ciemny samochód bez

oznaczeń, zaparkowany na polu manewrowym śmieciarek miejskich.

— Dlaczego? — zapytał Cyril.

— Ponieważ okoliczności wymagały, byśmy się spotkali i omówili parę

spraw — wyjaśnił Kalangi. — Ma pan teraz czas, profesorze?

— He? Ja... Taak, miałem właśnie... jechać do domu.

— Zechciałby mi pan towarzyszyć? Jadę w pewne miejsce na tyłach

bazaru przy Muindi Mbingu Road. Może pan je zna. To sklep z ziołami Zhang

Chena. Pojedzie pan ze mną?

Cyril zastanawiał się, w jakim stopniu Kalangi poinformowany jest o tym,

co zaszło w domu Haksara. Czy artysta uliczny pracował dla policji? Czy

Kalangi założył podsłuch na linii Cyrila albo Haksara?

Policjant zerknął na miejsce, gdzie Cyril wyrzucił zwłoki. — Profesor

Haksar był naprawdę bardzo chory. Nie pociągnąłby długo.

Cyril pozostawił to bez komentarza.

— Nie sądzę, by trzymał w domu wiele notatek — zauważył kome-

nt. — Pewien jestem, że istnieją gdzieś materiały z jego wcześniejszych

ekspedycji... ale chyba nie tam.

Cyril ożywił się. — Gdzie one są?

— Możemy o tym pogadać — rzekł tamten. — Chodźmy.

I, ku zdziwieniu Cyrila, Kalangi wyciągnął ramię, by pomóc mu przejść

przez góry odpadków do nie oznakowanego samochodu.

W tym samym mniej więcej czasie wszyscy goście weselni zebrali się już

w hotelu „Naivasha” i przyjęcie rozpoczęło się na dobre. Nieoczekiwanie

Jakub Ngiamena wziął Ngilego na stronę. — Nasz przyjaciel Jack Dimathi

poczuł się zmęczony. Mówi, że wielkie przyjęcia już mu nie służą. Nie odwołaj się go do domu?

Dimathi stał za plecami Jakuba. Był to niski, zadbany pięćdziesięcioletni

Afrykanin, ubrany w smoking wyróżniający się spośród kikoi pozostałych

gości. Dał się poznać jako jeden z nielicznych jawnych gejów w afrykańskiej

elicie. Jego znacznie młodszy partner, Arab z Zanzibaru, grał na bębnach digo

w zespole wynajętym na wesele.

— Zapomniałem też zabrać z biura podarunek ślubny — rzekł z uśmie-

chem Jack, który nie wyglądał wcale na zmęczonego. — Moglibyśmy wziąć

go po drodze.

Ngili przypomniał sobie, że Jack nie prowadzi samochodu, zdziwiło go natomiast, że ojciec akurat jemu powierzył to zadanie.

Rzut oka na ojca powiedział mu, że to rozkaz.

— Jasne — mruknął — tylko się przebiorę.

Parę minut później, ubrany w luźne spodnie i wiatrówkę, dowiózł Jacka

przez blokady uliczne do jego biura w centrum miasta. Dimathi otworzył

z klucza drzwi wejściowe, spędził w środku pięć minut, po czym wrócił z brązową nie zapieczętowaną kopertą oraz buteleczką perfum „Annick Goutal”. Przeprosił, że prezent nie jest zapakowany. Zaintrygowany Ngili

wziął perfumy, które wyglądały na kupione kiedyś podczas podróży w jednym

z bezcłowych sklepów. Otworzył kopertę. Zawierała siedem biletów lotniczych

do Johannesburga, na linię Jacka.

— Stamtąd możecie lecieć wszędzie, dokąd zechcecie. Do Londynu, Nowego Jorku — wyjaśnił Jack. — Bilety są bez daty, ważne trzy miesiące.

Ngili zapytał zakłopotany, czy ma za nie zapłacić.

— Wyślecie mi później przekaz. Jeśli wykorzystacie bilety, naturalnie. Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Biletów wystarczyłoby akurat dla rodziców Ngilego, dla niego samego, Yinki, Gwee i jego narzeczonej oraz Wambui, uważanej za członka rodziny.

Policzki Ngilego oblał rumieniec, kiedy spojrzął na eleganckiego człowieka.

Jakub zadbał o to, by móc wywieźć rodzinę z kraju.

— Nikt nas nie widział, nikt nic nie wie. Teraz możesz odwieźć mnie do

domu i wrócić na przyjęcie.

— Jack... — Ngili dobrze znał swego rozmówcę, Ngiamenowie przez lata korzystali z jego samolotów, przez lata odwiedzali go i razem z nim bywali na przyjęciach u innych członków miejskiej elity. Nawet jego homoseksualizm, rzecz, na którą w Afryce bardzo krzywo patrzono, został

zaakceptowany jako osobliwy kaprys przyjaciela rodziny. Jednak Ngili nigdy

dotąd nie rozmawiał z nim tak otwarcie. — Jack, czy coś cię martwi?

— Mnie nigdy nic nie martwi. — Jack uśmiechnął się słabo. — Jestem

po prostu świadom rozwoju sytuacji. Armia zakupiła właśnie w Brazylii

cztery nowe samoloty „Embraer” po tym, jak ich transportowce okazały się

za mało sprawne podczas przelotu nad wodami... Oczywiście — jego wątpli

uśmiech poszerzył się — embraery nie są właściwie transportowcami, to

samoloty szturmowe z działkami na skrzydłach. Oficerom, którzy popełnili

ten błąd i podpisali zamówienie, nie wypadało już wycofać się z transakcji...

Ten ciągły bałagan, sam wiesz...

Nie był to rezultat ciągłego bałaganu. Ngili skojarzył sprawę samolotów z koncentracją wojska wokół enklaw masajskich. To samo mogło dzieć się wokół terenów innych plemion.

— Nie przejmuj się takimi drobiazgami, jesteś naukowcem — zakończył

Jack, pochylając się, by wsiąść do wielkiego mercedesa Ngiamenów.

Ngili uruchomił silnik, wystartował ostro, ale wkrótce zahamował natknąwszy się na półmilowy korek. Wykręcił i spróbował przejechać Kaunda

Street. Tu natknął się na następną blokadę, wyminął ją bocznym zaułkiem i wypadł na Uhuru Highway. Stwierdziwszy, że jest przejezdna, pognął do bungalowu Jacka przy University Way.

Wyrzucił go pod domem i usiłował powrócić na trasę szybkiego ruchu, spostrzegł jednak wojskową ciężarówkę stojącą w poprzek i blokującą

przejazd. Cofnął się do Muindi Mbingu Road i wjeżdżał po kolei w małe uliczki z ubogimi arabskimi sklepikami i afrykańskimi straganami, mając nadzieję, że nie będą zapchane. Wciąż jednak natykał się na blokady przy przecznicach i na wojskowe oddziały patrolowe, wymuszające pieniądze od kierowców. Miasto, jedno z największych w Afryce, wydawało się prowadzić dziwną grę polegającą na blokowaniu swoich głównych arterii. Natomiast wśród bocznych uliczek ubóstwo dawało poczucie swobody.

Kątem oka Ngili dostrzegł na siedzeniu kopertę z biletami.

Musiał zatrzymać się za taksówką matatu o pofałdowanym dachu, która

przystanąła, żeby wysadzić pasażera. Obok znajdował się dawny skład, zmieniony w sklep: pod nagą żarówką wisiał wyraźnie widoczny szyld „Zhang Chen — Ziola i Skamieniałości”.

Zhang, krzepki chiński dżentelmen koło sześćdziesiątki, był twardym

facetem. Choć policja często zamykała mu sklep, gdyż handlował artykułami

pochodzącymi od kłusowników, zawsze jakoś otwierał ponownie interes,

dawszy im w łapę. Kiedy odbierano mu prawo dzierżawy lokalu, załatwiał

sobie nowy, niekiedy tuż obok poprzedniego. To u niego Ken i Ngili natrafili

na fragment sklepienia czaszki australopiteka, której według Randalla nie dało

się datować metodą potas-argon. Tego wieczoru w sklepie panował zastój, jak

to zwykle bywa pomiędzy zamknięciem a ponownym otwarciem.

Ngili aż poderwał się za kierownicą mercedesa.

Zobaczył dwóch mężczyzn zdążających w stronę sklepu — Cyrila Andersona i jakiegoś Afrykanina.

Afrykaninem był szef nairobijskiej policji, Arnold Kalangi.

Anderson wyglądał dość nędznie i miał na sobie to samo ubranie.

Ngili przekrzywił lusterko wsteczne tak, by widzieć obu mężczyzn, po

czym zsunął się nieco z fotela. Kalangi zdawał się coś tłumaczyć, gestykulował

gwałtownie, natomiast Anderson zachowywał się ostrożnie i jakby z rezerwą.

Komendant otworzył drzwi sklepu, wpuścił rozmówcę do środka i sam wszedł. Zapaliło się światło. Przez okno widać było ich sylwetki:

Kalangi

usiadł, Anderson chodził zaś tam i z powrotem.

Ngili poderwał się na dźwięk silnika matatu. Wcisnął gaz i pojechał za

taksówką, oddalając się od sklepu. Kilka domów dalej zobaczył czynny jeszcze warsztat samochodowy. Wjechał w otwartą bramę, wyskoczył z wozu

i umówił się z właścicielem, że tam zaparkuje. Potem pobiegł, mając się na

baczności, do sklepu zielarskiego.

Kalangi i Anderson nadal przebywali w środku, z tym że Anderson również siedział, jakby postanowił zachowywać się cierpliwie.

Ngili intuicyjnie wyczuł, że trafił na ważny ślad. Rozejrzał się za



jakąś

kryjówką. Pod ścianą cuchnącą uryną pozostawiono na noc rząd ręcznych wózków. Uwaga Ngilego zbyt jednak była skupiona na sklepie, by miał przejmować się zapachami.

Wśliznął się po cichu we wnękę pomiędzy wózkami i ścianą.

Zaledwie parę minut później w zaułku ukazała się zapyłona ciężarówka

i podjechała pod sklep. Na platformie głośno łomotały rogi i zeszywniałe

zwłoki zwierząt. Zeskoczyło z niej dwóch ludzi w potwornie obszarpanych

wojskowych kombinezonach roboczych, a z szoferki wyszedł tatuowany drab

o pałkowatych nogach, w którym Ngili rozpoznał strasznego typu, jaki pojawił się w obozie Kena tuż przed jego zniknięciem — sierżanta Modiba.

# 5

Szczyty gór Aberdare nie pozwalały przepłynąć ku zachodowi deszczowym chmurom wiszącym nad Nairobi. Tylko kilka obłoków, zbyt lekkich, by spadł z nich deszcz, dotarło nad Dogilani.

Kiedy

znalazły się nad sawanną, zapadała już noc, chłodna i sucha.

Na sawannie znów wybiła godzina rozrachunku dla łowców i ich ofiar.

Cielsko zabitego lwa odwiedziły, także i tej nocy, dwa współzawodniczące

stadka padlinożerców — rodzina hien i dzikie psy. Poprzedniej nocy toczyły

o nie takie boje, że pozostało niemal nietknięte. Przez cały następny dzień

unoszący się lwi zapach odstraszał licznych amatorów padliny — w sawannie

rzadko spotyka się martwe lwy. Wreszcie ptaki stwierdziły, że drapieżca nie

jest groźny, i sfrunęły ostrożnie, by wydziobać oczy, miękkie części pyska,

wywieszony jęzor, jądra i kawałki ogona przylegające do pośladków.

Drugiej nocy hieny i dzikie psy postanowiły jeszcze raz spróbować szczęścia przy lwiej padlinie. Ale i tym razem hieny o pochyłych grzbietach,

z tylnymi nogami tak krótkimi w porównaniu do przednich, że wyglądały jak

obcięte, musiały się liczyć z obecnością dzikich psów, których wielkie lejkowate uszy przypominały kształtem tuby staroświeckich gramofonów,

a na futrach widniały ohydne czarne i żółte plamy, jakby jakieś większe zwierzę na nie zwymiotowało. Obie grupy były bardziej wygłodzone niż poprzednio i rwały się do walki. Psów było o połowę więcej, a ponadto górowały nieprawdopodobną odwagą. Hieny polegały na swojej wadze i większej sile, psy na zajadłości i potężnych szczękach. Hieny skakały

i tarzały się po ziemi, przygniatając psy, które gryzły jak lądowe piranie. Wycia obu stad rozbrzmiewały nad dolinką, pulsując w promieniach ubywającego księżyca.

Mimo tej wrzawy, mały australopitek chrapał spokojnie na szerokiej płaskiej skale. Dla Kena była to druga bezsenna noc po zabiciu lwa.

Siadł na skale. W ciągu ostatnich kilku tygodni jego oczy coraz lepiej dostrzegały w ciemności ruchy i przedmioty. Zobaczył więc teraz, jak kilka psów rzuca się na jedną wielką hienę, dominującą w stadzie, i rozszarpuje jej

szyję, żeby pozbawić stado przewodnika. Inne hieny skoczyły na pomoc, lecz zachowywały się niepewnie i bezładnie. Zaatakowana samica uniosła pysk ku

księżycowi, skowycząc przeraźliwie, a kiedy największy pies przegryzł jej

tętnicę szyjną, zadygotała i padła na ziemię. Psy zawyły zwycięsko i wykonały

serię niesamowitych skoków niczym czworonożni akrobaci. Hieny przeszły

od szczęknięć do skamlenia i się wycofały. Dzięki psy skoczyły na lwa.

Ken ześliznął się po skale aż na skraj trawy. Zatrzymał się przed tą subtelną granicą, za którą zwielokrotniały się niebezpieczeństwa nocy.

Wiedział, że spowodował walkę między hienami a psami, zostawiając na

równinie martwego lwa. Zabił to wielkie i okrutne stworzenie, wzbudzające

postrach wśród wszystkich mieszkańców buszu. Stał się teraz łowcą. W szkole

średniej był niezdara, nie należał nawet do skautów, a jednak zabił lwa.

Zdawało mu się, że zagląda we własną duszę: czy mógłby żyć w sposób

naturalny i bezpośredni, poniechawszy wiecznej autoanalizy

współczesnego

człowieka, czy mógłby po prostu żyć tak jak Długopalcy?

Ale to też była tylko romantyczna fantazja. W życiu Długopalcego nie

brakowało konfliktów. Wyznał mu na tamtym skalnym cmentarzysku, że

dreczę go wspomnienia przeszłości.

Ken ugiął kolana i siadł opierając się plecami o skałę.

Znajdował piękno we wszystkim, co widział i słyszał — niegdyś nazwałby

to pięknem okrutnym, ale nie było tu ani okrucieństwa, ani dobroci, tylko

utajony we wszystkim, absolutny i pozornie niedbały perfekcjonizm. Dzięki

psy — małe, złe i szczęśliwe — wydawały się tworamia doskonałymi, a wszelkie ich poczynania były same przez się usprawiedliwione, śmierć

lwa

nabrała jakiegoś dziwnego uroku — ta prostoduszna bestia nieoczekiwanie

pozwoiliła Kenowi poznać duszę pierwotnego łowcy. Czuł wdzięczność w stosunku do tego zwierzęcia. Czuł wdzięczność w stosunku do wszystkich

stworzeń, żywych i martwych, nawet do trawy, którą zakrwawiły, stratowały

lub zjadły. Stał się jak myśliwi z pierwotnych plemion, którzy zabiwszy ofiarę

składali jej dziękczynienie i zachowywali rogi i kopyta w charakterze

amuletów.

Wszystko, co przeczytał o antropologii, wszystko, czego nauczył się o kulturach plemiennych, nabrało teraz sensu. Fetysze, uroki, pieśni myśliw-

skie, wierzenia i przesady nabrały sensu i stały się częścią jego samego.

Wszystko z powodu lwa?

Czy też może z powodu chłopca, stanowiącego dla Kena niewyczerpane źródło objawień?

Wszystko się na to złożyło: i chłopiec, i lew, i kudu, i cała upolowana przez nich zwierzyna. I ogień rozpalony zapalniczką miastowego chłopaka.

Wszystko, co wydarzyło się w czasie tych ostatnich — niewiarygodnych, jak zaczarowanych — tygodni.

Ale przede wszystkim to dziecko.

Zabicie lwa znacznie zmniejszyło obawę Kena przed Modibem. Jego działania stawały się teraz przewidywalne, to po prostu jeszcze jeden hominid

posiadający niebezpieczne narzędzie, broń palną. Gdyby znowu go napotkał na swej drodze, załatwiliby to między sobą. Człowiek przeciw człowiekowi, hominid przeciw hominidowi.

Przypomniiał sobie o chłopcu i zrezygnował z zapuszczania się między trawy. Odwrócił się i począł wspinać na skały.

Leżał i martwił się przez sen, że do rana zapomni swoich myśli i nie zdola ich zanotować. Potem przypomniał sobie, że przecież nie ma długopisu i papieru. Przewrócił się na bok i natrafił ręką na ciało chłopca. Uspokojony jego ciepłą bliskością, przekręcił się na plecy i poczuł na twarzy chłód nocy. Chyba powinien podsycić ogień. Był jednak zbyt zmęczony. Przewracał się z boku na bok, żeby wchłonąć w siebie całe ciepło popiołu. Śnił o jego cieple, miękkości i delikatności.

Na warstwę popiołu padł nagle jakiś cień, który objął też śpiącego mężczyznę i dziecko, powodując, że emanująca od nich szarawa jasność przybladła, przez co ich ciała wydawały się ciemniejsze. Szeroka stopa z odwiedzionym paluchem obmacała popioły. Druga stanęła obok. Ich palce, przypominające raczej palce rąk, pogmerały w ciepłym pyle, co sprawiło, że stworzenie doznało przelotnego dreszczu przyjemności. Potem przykucnęło na jedno kolano i oparło się na pięści, kładąc ją przed sobą na ziemi. Ręka o bardzo długich palcach, lecz krótkim i grubym kciuku, dotknęła białego, lśniącego łagodnie oszczepu, jedyne, jaki Kenowi pozostał.

Podniosła broń, otaczając ją czterema palcami, do których usiłował dołączyć krótki kciuk, lecz tylko wygiął się nieudolnie. Potem obie dłonie zacisnęły się na oszczepie, zadygotały wskutek napięcia mięśniów wybrzusających się na włochatych ramionach i poziomo opuściły oszczep na szyję Kena.

Człowiek poczuł dławiący ciężar i otworzył oczy. Tuż nad sobą miał jakąś kudłatą głowę.

Pobłyskiwała w niej para oczu, w której odbijały się blade promienie księżyca. Ciepły oddech uderzył go w twarz z tak bliska, że Ken wciągnął go w płuca. Oszczep uciskał mu gardło i rozcinał skórę, blokując drogi

oddechowe  
i odcinając dopływ powietrza. Chwycił za oszczep i odepchnął,  
wciągając  
powietrze do płuc. Wrzasnął z przerażenia, podciągnął kolana do piersi  
i kopnął dzikie włochate stworzenie.

Leżące obok Kena brązowe ciało chłopca poderwało się do góry.

Ken skoczył na nogi i wpadł na inną majaczącą postać. Napastnicy  
byli  
włochaci i silni. Ten, którego zobaczył nad sobą, miał płaską twarz,  
pozbawioną charakterystycznego dla pawianów psiego pyska.

Inne stworzenie chwyciło Kena za kostki, tak że padł na twarz.  
Poderwał  
się i zwrócił ku nowemu przeciwnikowi, złapał go za ramiona i pierś,  
czując

poprzez włochatą skórę nabite mięśnie, i obaj zlecieli ze skały.

Lądowanie mieli twarde, chociaż upadek okazał się lżejszy niż  
wstrząs

wywołany zaskoczeniem — Ken tracił wiarę, że jest niezwycięzony, jaka  
opanowała go po zabiciu lwa. Stworzenie, z którym spadł, zaskowyczało  
z bólu, on zaś rzucił się w bok, próbując zawołać chłopca. Mały nie miał jednak imienia i nie rozumiał języka, którym mówił Ken!

Paleontolog otworzył usta i wrzasnął: — Iiiii!

Z góry dobiegały dyszące pomruki atakujących i stłumiony jęk, jakby  
wydany przez zamknięte usta. Wyobraził sobie napastnika zaciskającego  
dłonie na ustach chłopca, by uciszyć go i zabić. Cały spocony ze strachu,  
rzucił się na skalną półkę. Usłyszał łomot ciała o ciało i zobaczył, że jeden  
z atakujących cofa się chwiejnie, trzymając się włóchatymi rękami za krocze.  
Domyślił się, że mały australopitek kopnął przeciwnika w jądra! Napastnik  
przypominał mangabę — włosy na szczycie czaszki tworzyły sztywny grzebień — ale jak na małpę był zbyt wielki. Grzebieniasty samiec, usiłując  
znowu pochwycić chłopca, odwrócił się do Kena pełnym profilem, ukazując  
kąć twarzy. Ken miał przed sobą australopiteka, ale należącego nie do tej  
samej co Długopalcy rasy o lekkich kościach, lecz do krzepkiej i ciężkiej,  
wyposażonej w grzebień. Te masywne, kosmate stworzenia były praludźmi  
jak chłopiec, ale odmiennego gatunku.

Wszystkie te myśli gwałtownie przelatywały przez głowę Kena, podczas  
gdy chłopiec walczył desperacko z krzepkimi, a oni rzucali się na niego jakby  
stanowił smakowity kąsek. Na koniec pojawiła się myśl, że nocny najazd był  
dziełem przypadku.

Nie miał już czasu do namysłu. Chłopiec chwycił go za ramię i pociągnął  
w dół. Obaj upadli...

Ken wylądował z jękiem na obolałej kostce. Chłopiec natychmiast znalazł  
się przy nim i przynaglał do powstania. W wysokiej trawie ukazało się kilku  
napastników. Krzyknął do chłopca — używając bezsensownego w tych warunkach angielskiego: — Biegnij, biegnij! — a ten popędził przed siebie.  
Najbliższa grzebieniasta istota rzuciła się na Kena, chcąc go pochwycić, zrobił jednak unik i umknął kuśtykając. Biegnący przed nim chłopiec obejrzał



się parę razy, po czym nagle uskoczył w bok, w stronę stoków Mau.  
Zdyszany  
Ken wydał niezdecydowany, gardłowy okrzyk. Jego towarzysz zniknął  
w kępie  
drzew.

Klnąc ze strachu i konfuzji, wpadł na teren nierównomiernie  
porośnięty  
południowoafrykańskimi kasztanowcami. Spojrzał w górę i poprzez  
zwisające  
tuż nad sobą gałęzie dostrzegł zalesione zbocza Mau.

Dotarł do środka lasu i zatrzymał się. Od gęstego poszycia szedł  
chłodny  
powiew, woń butwiejącej ściółki leśnej i zapach grzybów  
porastających pnie  
drzew.

Z tyłu, a właściwie niemal nad sobą, usłyszał szelest rozsuwanego  
listowia. Jeden z napastników wspiął się na drzewo i wykonywał  
brachiacje —  
przenosił ciężar ciała wahadłowymi ruchami ramion. Poruszał się tak  
szybko,  
że widać było tylko tańczący cień. Oszołomiony paleontolog wypadł  
spomiędzy  
drzew i pobiegł w górę zbocza pomiędzy kępami trawy, gdzie napastnik  
nie

mógłby wykonywać brachiacji. Smagneła go po nagiej piersi liana rzucona jak sznur z rosnącego na niewielkim wzniesieniu dzikiego płomieniodrzewu, absurdalnie kojarzącego się z drzewami ocieniającymi aleje Nairobi. Pomiędzy konarami dostrzegł chłopca. Chciał krzyknąć z ulgi, ale zagryzł dolną wargę i zmilczał. Mały hominid, sam przypominający małpę, machnął ku niemu ramieniem.

Ruch ten, zapoczątkowany kolistym gestem mającym przykuć uwagę, przeszedł w prosty wyrzut skierowanej ku górze dłoni, podobny do wykonanego w czasie polowania. Chłopiec wskazywał zbocze, jakby przynaglał Kena do dalszej wspinaczki prosto pod górę.

Potem mały zniknął wśród listowia, a liana, której użył, by zwrócić na siebie uwagę, zwisała luźno, już bezużyteczna.

Za plecami Kena zwaliste małpie sylwetki zeskakiwały z gałęzi. Odwrócił się — było ich pięć. Zwolniły znalazłszy się z dala od drzew, wśród trawy.

Ich obecność mniej martwiła Kena niż perspektywa utraty Długopalcego. Do czego tamten zmierzał? Czy wpadł pomiędzy drzewa ze strachu czy

z wyrachowania?

Potem zobaczył go znowu wśród gałęzi, daleko w przodzie.

Chłopaka

miał przed sobą, prześladowców za plecami, podczas gdy zalesiony  
stok Mau

pozostawiał niewielki wybór: albo w górę zbocza, albo w dół.

Jeśli pobiegnie pod górę, jak zrobił to Długopalcy, może się nie  
zgubi.

Czując ogień w płucach, posuwał się pod splątanymi gałęziami.

Raz

dostrzegł wielki cień i przestraszył się, że napastnicy go doścignęli, ale  
było

to tylko, zbudowane z błota, monstrualnych rozmiarów ptasie gniazdo.

Na suchym i szeleszczącym poszyciu głośny chrzęst kroków  
zdradzał

jego obecność wszystkim znajdującym się w pobliżu stworzeniom.

Potem

uświadomił sobie, że hałas nie dobiega spod jego stóp, lecz z tyłu,  
spomiędzy

liści drzew. Napastnicy wciąż go ścigali.

**Część**

**piąta**

**INNI**

**LUDZIE**

# 1

**K**en biegł pod górę.

W biegu rozważał, czy chłopiec rzeczywiście od niego oczekiwał, żeby piał się po stromym zboczu Mau. Rękami torował sobie drogę przez gąszcz smagających go pnączy i gałęzi, myśląc z trwogą o grożących w każdej chwili ukąszeniach jadowitych stworzeń.

Ciekawiło go

też, czy Długopalcy wciąż jeszcze gdzieś tu jest pod osłoną niższych konarów

i jakie napotyka na drodze niebezpieczeństwa. Znajdowali się na terytorium

lampartów czających się między lasem a sawanną. Być może chłopiec zatrzymał się w poszukiwaniu kryjówki. „Ja też się zatrzymam.”

Zwolnił, lecz znów usłyszał ścigających go krzepakich. Zaczął przebijając się dalej. Sądził, że wkrótce las zmieni charakter, tak iż zarośla, porastające niższe partie zbocza, ustąpią rzadko rozmieszczonym wielkim drzewom o koronach tak gęstych, że nie przesączały się przez nie ani życiodajne promienie słońca, ani woda. Tam nie będzie musiał się zmagać z dzikimi, rosnącymi blisko ziemi krzewami. „No, pokażcie się, wielkie drzewa, pokażcie się!” — błagał.

Wreszcie wypadł na teren pozbawiony krzaczastego poszycia i pędził pod nieregularnie powyginanymi i nisko zawieszonymi gałęziami. Coś

ciemnego  
poruszyło się. To stado mboloko, karłowatych leśnych antylop, które z  
bekiem  
pierzchły. Wdepnął w ich śliskie łajno oraz w dzikie figi, którymi się  
pożywiały.

Zwolnił, nie mając już siły uciekać. Jego prześladowcy pojawili się  
tuż  
nad nim.

Ich nieustanne wrzaski towarzyszyły mu wszędzie. Nie mógł przed  
nimi

uciec. Cofnął się, słysząc pełzanie i trzask łamanych gałęzi. Dźwięki  
zlewały

się w jednolity, dobiegający z góry szum. Wreszcie uświadomił sobie,  
że to

nocny powiew porusza koronami drzew, wiejąc w dół zbocza.

Nikt go nie ścigał, przynajmniej nie w tej chwili.

Ale może ktoś się skradał?

Ogarnął go strach tak przemożny i pełen zwidów, że każdy hałas  
brał za

ryk, a w ciemnościach widział poruszające się miliardy głodnych stworzeń.

Czy miał iść dalej, czy też czekać? Jeśli zaczeka, może zostać odnaleziony,

jeśli się ruszy, może spotkać innego zabójcę poruszającego się po ziemi,

w obu natomiast wypadkach może być zaatakowany z powietrza przez innego

nocnego łowcę — gada lub nietoperza. Dostrzegł cienkie młode drzewko.

Kiedy wyciągnął rękę, by ułamać jedną z gałęzi, plasnął mu na wierzch dłoni

lepkii płyn, ciepłe odchody wypuszczone we śnie przez jakieś zwierzę. Otarł

rękę o złachmanione spodnie, po czym odłamał gałąź i uniósł ponad głowę.

Ruszył przed siebie naturalnym korytarzem ku miejscu, gdzie blade światło

księżycy sączyło się przez wystrzępiony baldachim gałęzi, i w tych promieniach

dostrzegł sunącego szybko chłopca.

Ken znieruchomiał.

Chłopiec nie zatrzymał się, chociaż lustrował spojrzeniem zarośla i drzewa

po obu stronach. „Szukasz mnie, Długopalcy?” — pomyślał Ken. Nim jednak

zdołał się odezwać, chłopiec oddalił się pospiesznie, nadal posuwając w górę

zbocza, i zniknął. Znów zapominając o ostrożności, Ken sprężył się, gotów

przedzierać się za nim dalej przez zarośla, ale...

Tuż za chłopcem poruszały się bezgłośnie, jak w złym śnie, trzy zwałiste

postacie krzepkich. Ken widział ich wyraźnie: posuwali się bokiem do niego,

zwiesiwszy długie szczęki i otwierając usta z wysiłku, by wspinać się bezszelestnie.

Szli na ugiętych nogach, jakby przytłaczały ich baniaste torsy. Przesunęli

się przed przerażonymi oczami Kena, w których zapłonęło natychmiast naukowe zainteresowanie, ale wkrótce zgasło stłumione strachem, że te nieznanne stworzenia o morderczych instynktach dybią na niego i chłopca.

Cofnął się instynktownie, by wtopić się w listowie. Prześladowcy zniknęli.

Minęło parę chwil. Liczył się z tym, że będzie musiał tkwić nierucho-

mo, póki nie wynajdzie jakiejś lepszej broni niż gałąź, którą torował sobie

drogę. Nie rezygnował ze znalezienia chłopca, ale błędzenie nocą po lesie

to najpewniejszy sposób, by dać się zabić. Omal nie zginął walcząc z krzepkimi napastnikami na półce skalnej. Bił się tam, powodowany instynktem samozachowawczym, nie wiedząc, z kim się zмага. Teraz natomiast na samą myśl o tym, co widział, dostawał z przerażenia bólów żołądka.

Zrozumiał, że stworzenia nie były krewniakami chłopca.

Upłynęło parę minut, w czasie których starał się odzyskać samokontrolę.

Jestem Ken Lauder — myślał próbując uchwycić się swego nazwiska

jak jedynego pewnego punktu, dzięki któremu będzie mógł odnaleźć się w tej

sytuacji — i przybyłem tu jako naukowiec. Jutro mogę odejść. Mogę odejść

ponieważ... ponieważ... ponieważ nie jestem opiekunem tego chłopca. Nie ma

sensu, bym narażał się w ten sposób na niebezpieczeństwo. Kiedy mignął mi

tam w przejściu pomiędzy drzewami parę minut temu, widziałem go może po

raz ostatni."

Ken, leżąc otulony listowiem, sądził, że powraca do swojego dawnego ja.



Mógł teraz myśleć o ratunku dla siebie; a jeśli przeżyje, powróci znów na przytulne łono nauki, gdzie nie ma miejsca na niespodzianki, chyba że są to niespodzianki naukowe.

Oczy zaczęły mu się zamykać. Zapadł w sen.

„Co z nim zamierzasz zrobić?” — pytała Yinka. Przewracała się z boku na bok, leżąc obok niego na warstwie ściółki. Jej nagie ciało było ciemne jak same ciemności, a jednak widział je wyraźnie.

Chciał ją błagać, by wstała, gdyż nagie ciało leżące w lesie na ziemi narażone jest na rozliczne niebezpieczeństwa. Ale Yinka założyła ramiona za głowę, pozwalając, by chłodne powietrze nocy pieściło swobodnie jej piersi.

Jej oczy błyszczały pytająco. „Co z nim zamierzasz zrobić?”

Wymamrotał coś o naukowej wartości odkrycia Długopalcego.

Potrząsnęła głową, hamując gniew. „Ken, to dziecko, przede wszystkim dziecko. Czy wiesz, co robisz? Wtargnąłeś w jego dzieciństwo. Teraz ingerujesz w życie jego rasy, pociągniesz za sobą całą resztę.”

Wdychał rozkoszną woń jej ciała, tak odmienną od zapachu lasu. Był

podniecony do szaleństwa i gotów zrobić wszystko i powiedzieć wszystko,

byle tylko wziąć ją w ramiona. „Co byś zrobiła na moim miejscu?” — wymamrotał pochylając się, żeby stłumić jej odpowiedź pocałunkiem.

Wyciągnęła ramiona spod głowy i usiadła, wyraźnie niechętnie przyjmując

jego awanse erotyczne. „Odejdź!” — rzekła apodyktycznie.

„Nie mogę tego zrobić...”

„Haksar odszedł.”

„Skąd wiesz, że tu był?”

„Skąd wiesz, że go nie było? Dlaczego przychodząc wtedy do mego ojca

wspominał, że odwiedzał niegdyś Dogilani?”

Zastanowił się. Miała rację. Dlaczego Haksar miałby się tak interesować

tym kawałkiem dzikiej przyrody, gdyby nie odwiedził go nigdy przedtem?

„Musisz przestać być taki samolubny” — powiedziała.

„Co? Samolubny?” — Ken zastanawiał się, czy się nie przesłyszał, a ona

mówiła dalej: „Musisz przestać myśleć o sobie i zacząć myśleć o nim.”

„Ależ myślę tylko o nim...”

Podniosła się i odeszła. Patrzył, jak jej sylwetka znika w lesie, i czuł, że

musi wstać i popędzić za nią — nie mógł zostawić jej samej i

bezbronnej.

Jakich ona szukała odpowiedzi, rzucając się szaleńczo w tę dziką przyrodę,

i to zupełnie naga?

„To musiał być sen” — powiedział sobie z tą dziwną jasnością umysłu,

jaką niosą ze sobą niektóre sny. Pomyślał o Yince i jej cudownym ciele leżącym w jego rozmemłanym łóżku w Nairobi. Podrażniło to jego męską

dumę. Co robiła, odkąd opuścił miasto? Pewnie tańczyła na weselu Gwee

z pięknymi Masajami, pełnowartościowymi kandydatami na przyszłych mężów.

Ngili musiał być szczęśliwy z tego powodu. Zastanawiał się, czy lata

przyjaźni z Ngilim i intymne chwile spędzone z Yinką okażą się jedynie

wtargnięciem w obszar wrogięgo i na zawsze oddzielnego świata.

Spośród wszystkich myśli wyłoniła się ta jedna najważniejsza i skoncen-

trowała jego uwagę na tym, co się naprawdę liczy: na Długopalcym.

Zamknął oczy, ale pod powiekami pojawił się zaraz obraz Długopalcego. Mały wyszczerzył w uśmiechu lśniącobiałe zęby, drapał się drobnymi paznokciami, brzuch miał napęczniały po niedawno spożytym

posiłku, pępek wystawał mu niczym mały brązowy guzik, poderwał się na nogi, odszedł, pobiegł, siadł, usnął, zachrapał — przybierał setki póź swego niewiarygodnego dziecięctwa, a wszystko tak jak Ken zapamiętał.

Ken nigdy przedtem nie zwracał większej uwagi na dzieci. Zawsze pragnął być dorosły, niezależny, racjonalny i odporny na ciosy. Ojcostwo też

go tak naprawdę nie interesowało, ludzi zbyt uzewnętrzniających miłość do

swego potomstwa uważał za głupawych mięczaków. Obcowanie z Długopalcym wyleczyło go z takiego podejścia. Dokonał tego malec o zwartym ciele

(żadnego miejsca, gdzie można by uszczypnąć, żadnych pulchności, żadnych słodkich fałdek), minikrewniak nie dający się przytulić (nigdy nie pozwolił

Kenowi objąć się w czułym uścisku), drobny cudak z odwiedzionymi paluchami i z całą tą resztą — denerwujący i wzruszający, bekający, chichoczący i wypowiadający się w „Ape 36”. Długopalcego posiadał dar wzbudzania w Kenie pierwotnego uczucia, którego nie dało się wyrazić słowami. Nie należało ono bowiem do warstwy języka, lecz do innej -r- daleko głębszej niż rozum lub język.

Ogarnięty tym nie dającym się wyrazić słowami uczuciem, Ken wyobrażał

sobie, że kocha się z Yinką, że współżyjąc z nią, nie uderza dziko, lecz zagłębia się cierpliwie w przedsionek jej macicy i dochodzi do orgazmu, kierując nasienie ku jej jajom.

Ojcostwo było potrzebne. Ojcostwo czyniło człowieka ludzkim.

I on także mógłby zostać ojcem, gdyby przeżył.

Myśl ta pomogła mu zapanować nad innymi lękami. Położył się na plecach i uznał, że aby przetrwać, powinien postarać się zasnąć.

Daleko na wschodzie słońce wynurzyło się z Oceanu Indyjskiego, a parę

minut później jego promienie zalały całą wschodnią Afrykę.

Wierzchołki drzew na zboczu Mau zapłonęły. Zalegająca pod drzewami

ciemność przechodząc w bure tony szarości.

Jeszcze przez sen Ken poczuł ukłucie poniżej lewego sutka.

Sięgnął ręką i złapał małego owada. Ścisnął go między kciukiem i palcem wskazującym, rozgniatając całkowicie z wyjątkiem twardego elementu przypominającego główkę od szpilki, który pozostał mu w ręku nienaruszony. Była to głowa mrówki wędrownej. Szczęki-szczypce jeszcze się poruszały. Zerwał się, macając dłońmi po skórze, gdyż poczuł na brzuchu drugie

ugryzienie, potem trzecie, czwarte i dziesiąte. Obok dostrzegł niewielki płynący strumyk. Podniósł się i ukląkł w nim, ale ze zdziwieniem stwierdził, że nie czuje wilgoci. Chmura insektów, ciem, sennych motyli i koników polnych poderwała się w górę, umykając przed owym strumieniem, który rozprzestrzenił się już we-wszystkich kierunkach, jakby na przekór prawu grawitacji.

To, co Ken wziął za strumień, było w rzeczywistości kolumną mrówek wędrownych, opuszczających mrowisko w poszukiwaniu pokarmu i nowej siedziby.

Ken podniósł się. Jego kolana wyglądały karykaturalnie, obrzmiały od pelzających owadów. Wszędzie dookoła zwierzęta uciekały, by ratować życie — niektóre zbyt wolno. Pelzający zygzakiem wąż był tak oblepiony mrówkami, że musiał zginąć w parę sekund, ogryziony tak sprawnie, że pozostanie z niego tylko szkielet. Karłowata antylopa z gracją galopowała przez falę owadów, unikając strasznej śmierci. Ogromna leśna ćma zakolewała jak szalona i pod ciężarem uczepionych do niej mrówek runęła między maszerujące szeregi. Ken rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nawet skrawka wolnej przestrzeni. Wiedział, że owady te przemieszczają się we wszystkich kierunkach, a ich jedyną strategią jest zalanie całego terenu, póki nie znajdą nowej, odpowiedniej dla siebie siedziby. Taka kolumna mogła liczyć pięć albo dwadzieścia milionów sztuk i ciągnąć się nawet na długości stu jardów, wędrując przez kilka dni z prędkością czterdziestu jardów na godzinę.

Zaczerpnął powietrza i pognał przez teren, który już migotał od tego rojowiska. Mrówki wylewały się nieprzerwanie. Gdyby natrafiły po drodze na rzeki, zbudowałyby mosty z własnych szczipionych ciał. Powstrzymać je mógł wyłącznie ogień, w którym zginęłyby miliony, ale w ciągu paru dni zostałyby zastąpione młodymi, wyklutymi z jajeczek jednej z dwunastu nowych królowych, która kopulowałaby z jednym z pół tuzina skrzydlatych samców.

Pokrzykując tryumfalnie, dopadł kawałka wolnego jeszcze lasu, rzucił się na ziemię i jak oszalały ściągnął spodnie. Strząsał mrówki z kostek, kolan

i ud, potem roztarł nadgarstki i przedramiona, rozmazując uczezione skóry owady. Zrzucił buty, wyczyścił je w środku liśćmi i wciągnął z powrotem; podobnie spodnie. Zajął się teraz wyskuby waniem mrówczych główek z dłoni i ramion. Gdy uniósł wzrok, wydało mu się, że dostrzega opartego o pień chłopca.

Skoczył ku niemu i upadł. Kiedy powtórnie spojrział w górę, zobaczył tylko wielką brązową narośl na korze w kształcie ludzkiej głowy.

Zaprzagnął nagle podejść do tego drzewa i dotknąć go. Potem cofał się, aż

dostrzegł rój mrówek i zrozumiał, że one także są rzeczywiste.

„No chodź, Lauder. Chodź.”

Ruszył chwiejnie pod górę.

Dzień przechodził niespiesznie kolejne fazy zmian napięcia światła. Na

liściach zebrała się woda deszczowa. Ken przystanął, by się napić\*.

Następnie począł piąć się wyżej, aż wreszcie znalazł się w głębi imperium wielkich drzew.

Przez tysiąclecia wszystkie te kamforowce, migdałeczники i drzewa iglaste przypominające cedry chłoneły promienie słońca i wilgoć, nie pozwalając, by wyrosło pod nimi cokolwiek oprócz mizernych krzewów. Pod

zaścielającą ziemię warstwą butwiejących liści żyły drobne gryzonie, robaki,

gąsienice, pająki i stonogi, natomiast pod drzewami mieszkały antylopy bongo, leśne krowy o łagodnym spojrzeniu, okapi i mboloko. W koronach

gnieździły się małpy, orły i inne skrzydlate drapieżniki. A wśród nich żyły

lemury, małe gady oraz drobne drapieżniki spędzające całe życie na drzewach.

„Sam człowiek zupełnie nie pasował do lasu — pomyślał Ken — chociaż tu była jego kolebka.”

Nadeszło i minęło południe. Ken — odrętwiały ze zmęczenia — szedł, niemal zasypiając.

Zbocza Mau wznosiły się teraz nierównomiernie, tworząc małe płasienki.

Przez prześwitujące miejscami korony drzew wpadało nieco światła, dzięki czemu rosła tu kępami trawa.

Ken przystanął wreszcie, by odpocząć. Spojrzał w górę i przez gmatwaninę zieleni dostrzegł przebijające się skrawki czystego nieba.



## 2

Klan smukłych hominidów rozłożył się w trawie na wysokiej polanie, otoczonej kilkoma ogromnymi drzewami lobelii i wałem dzikich krzewów. Ponad pędzlastymi włóczniami kwiatostanów lobelii widać było grań Mau, a wyżej — niebo.

Wytrwale kołował orzeł wojownik. Na ziemi kobieta o wroście nieco powyżej czterech stóp uniosła głowę i spojrzała na ptaka. Oczy miała jasnobrązowe. Uznała, że jego obecność nie oznacza bezpośredniego niebezpieczeństwa, więc skupiła uwagę na rozproszonej wokół grupie hominidów.

Wszystko wyglądało spokojnie. Czując na bezwłosych piersiach i brzuchu rozkoszny powiew ciepłego wiatru, kobieta wstała odrzuciwszy w tył grube pasma brązowych włosów, które ocierały jej się o policzki. Włosy miała długie, proste i gęste, a kiedy się pochylała, ocieniały jej twarz niczym naturalny kaptur; czoło, policzki i usta — gładkie i nie zarośnięte, co wyróżniało ją i jej krewniaków od wszystkich innych zwierząt leśnych.

Uniosła długą rękę i przecesała włosy palcami typowym dla niej gestem.

Drugą ręką podtrzymywała niemowlę, które obejmowało pulchnymi nóżkami jej chudą talię. Dziecko zaśliniło się, kiedy jeden z sutków wysunął się z drobnych warg, i poszukało, mlaskając, drugiego.

Nie było podobne do kobiety. Miało grubsze rysy, dłuższe szczęki i cieńsze wargi. Ale dotyk jego warg na sutkach odczuwała tak samo, jak kiedyś dotknięcia własnych dzieci. Wolną ręką przycisnęła od góry pierś, pobudzając wydzielanie mleka — dużo później, u przyszłych pokoleń matek pokarm wypływać będzie znacznie łatwiej, dzięki czemu karmienie

stanie się  
czynnością przyjemniejszą.

Kobieta już od ponad roku znosiła bolesny dotyk drobnych ust na  
piersi,

karmiąc nie swoje dziecko. Skutecznie chroniło ją to przed ponownym  
zajściem w ciążę. Uniknęła macierzyństwa, gdyż była przywódczynią,  
lecz

praktycznie w każdej chwili mogła temu położyć kres jej nagła śmierć.  
Dla

klanu nadeszły czasy gwałtowne i nieprzewidywalne.

Nie potrzebowała słów, żeby rozumieć, jak do tego doszło.

Zapamiętywała

przyczyny obecnej sytuacji w sposób charakterystyczny dla szczebla ewolucji, na jakim się znajdowała, to znaczy gromadząc obrazy i inne zapisy zmysłowych doznań minionych wydarzeń w słabo jeszcze rozwiniętych płatach pamięci w przedniej części mózgu. Owe wspomnienia — kombinacje obrazów, zapachów i dźwięków — były równie liczne co słowa sapiensa, mogła je przywoływać, odsuwać, zmniejszać bądź powiększać w ułamkach sekund, bo nawet mózg, o pojemności kilkuset centymetrów sześciennych zawierał kilka miliardów rifeuronów, z których każdy przysyłał impulsy elektryczne do tysięcy innych.

Z cudzym dzieckiem w ramionach przypominała małpę, ale także kobietę współczesną. Jej czoło nachylało się ku tyłowi pod kątem czterdziestu pięciu stopni, oczy były osadzone pod mocnymi łukami brwiowymi. Miała wyraźnie wykrojone nozdrza, choć sam nos wręcz minimalnych rozmiarów, wargi bezwłose i pełne, śladowy podbródek nadawał jej twarzy wyraz stanowczości. Pępek był duży i uniesiony — znak, że matka odgryzła pępownię zaraz po urodzeniu.

Ona także przegryzała pępownię wszystkim swoim dzieciom, zaraz po tym jak je urodziła stojąc na szeroko rozstawionych nogach i ściskając długimi rękami niski konar drzewa. Brzuch miała pięknie wysklepiony, bez jednej zmarszczki spowodowanej ciążą bądź wiekiem. Liczyła sobie ponad dwadzieścia lat, co dla jej rasy stanowiło niemal połowę życia. Krocze porastała jej gęsta kępa włosów łonowych. Talię miała smukłą, nogi krzepkie i muskularne, podeszwy stóp o odwiedzionych paluchach przypominały dłonie.

Kiedy siedziała, używała często stóp, żeby dotykać nimi, gładzić lub szturchać delikatnie dla zwrócenia uwagi niesfornemu dziecku bądź też kopać szorstko, by ostrzec je albo ukarać. W sumie — poza cofniętym czołem i niezwykłymi stopami — bardzo przypominała współczesną kobietę.

A jednak była odmienna. Jej nagie ciało — wciąż młody i ciepły tygiel genetyczny — obwieszczało innym hominidom o swoim istnieniu, uzewnętrzniając dręczący ją niepokój, wywołany tym, co działo się z jej gatunkiem.

Przewodziła klanowi i nie zaszła w ciążę od dwóch pór

deszczowych.

Wszystkich członków klanu poza trzema wyjątkami — jednym było karmione

właśnie piersią dziecko — łączyły z nią więzy krwi.

Wśród siedmiu dorosłych kobiet (z których trzy spodziewały się dziecka)

dwie były jej siostrami, dalsze dwie siostrami przyrodnimi, pozostałe zaś

różnego stopnia kuzynkami. Wśród około piętnaściorga biegających i bawią-

cych się opadłymi pnączami dzieci znajdowały się jej trzy córki i syn. Miała

też siostrzeńca, którego nie widziała od dość dawna, syna siostry zmarłej

mniej więcej w tym samym czasie co jej najmłodsze dziecko.

Teraz siostrzeniec ten — z obrzmiałą twarzą, z policzkami i klatką piersiową podrapanymi i posiniaczonymi, jakby ktoś go pobił — siedział na

niskiej gałęzi drzewa.

Długopalcy usiadł wystarczająco wysoko, by móc odpędzić kopniakami

kuzynów, którzy pragnęliby ściągnąć go na ziemię i obić, jak to już dwukrotnie robili tego dnia.

Odplaci irikza to na swój sposób w najbliższym czasie. Jeżeli oczywiście pozostanie ze swym klanem.

Chwilowo nie miał pewności, czy tego chce po karze, jaką otrzymał za>

oddalenie się na całe miesiące, i po całodziennym żywieniu się<sup>^</sup>rawą i liśćmi,

od których miał podrapany język i kwaśny oddech- Tamta kobieta — wyglądająca, a nawet pachnąca jak matka -r- nie była jego\* matką, a jej ciężkie spojrzenie nakazywało absolutne posłuszeństwo, którego smaku już

zapomniał, lecz teraz zapoznawał się z nim na nowo i wcale mu się to nie

podobało.

/'

Inna kobieta, niższa, lecz\*o dłuższych szczękach, trzymała się blisko

przywódczyni. Miała grubsze i bardziej szorstkie włosy oraz szersze stopy.

Krótkie ciemne włoski, widoczne również na twarzy, ocieniały jej barki i pośladki. Oczy, tak samo brązowe, promieniowały delikatnym ciepłem, od

którego Długopalcemu robiło się nieswojo.

Jej udo znaczyła głęboka, z grubsza zagojona blizna. Kobieta trzymała się

blisko przywódczyni, jakby łączyła je jakaś więź. To właśnie przewodniczka

hordy wyleczyła oszpecając ranę, oczyściwszy ją językiem i obłożywszy

gliną zmieszaną ze śliną, a dziecko, które karmiła piersią, należało do niższej

i bardziej krzepkiej kobiety.

Długopalcu nigdy nie widział, żeby jego krewniacy o długich kończynach

tolerowali krzepkich australopiteków. Krzepka kobieta oraz jej dziecko bardzo go intrygowały.

Krzepka nie protestowała przeciw zaborczemu zachowaniu przywódczyni

klanu, lecz uznała Jfc za element ich związku. Przywódczyni smukłych uratowała jej życie a potem wzięła dziecko do karmienia, gdyż własne niedawno straciła. Od czasu do czasu krzepka obrzucała ją ponurym spojrzeniem, kiedy uważała, że tamta traktuje małą dziewczynkę szorstko lub

niedbale. Hamowała się jednak, pozostając w roli damy dworu.

Miała też drugie dziecko, chłopca, który był niewiele starszy od Długopalcego i harcował teraz z innymi dziećmi. Przywódczyni uratowała

życie krzepkiej, a potem przyjęła ją do klanu wraz z dwojgiem dzieci. Cała

trójka krzepkich zdecydowanie intrygowała Długopalcego.

Nie dziwiło go, że w pobliżu nie ma dorosłych mężczyzn. Powróciła pamięć o minionych wydarzeniach w życiu klanu oraz o tym, jak i dlaczego on sam umknął na sawannę. W sawannie wyparł ze świadomości te bolesne wspomnienia, tutaj nie miało to już sensu. Wszystko o nich przypominało: zmęczenie dzieci, brak mięsa, napięta czujność ciotki, leśny gąszcz zamiast perspektywicznych widoków. Wszystko to wywoływało przytłaczający smutek, który towarzyszył mu, odkąd tego ranka trafił na ich ślad i napotkał wreszcie znowu swój klan.

Nie był w stanie wzbudzić w sobie zainteresowania czymkolwiek, nawet tym, by zeskoczyć i poszukać jakiegoś przyzwoitego jedzenia. Las przytłaczał

go i napełniał poczuciem beznadziejności, tak różnym od wszystkiego, czego doświadczał w sawannie. Tam życie pełne było aktywności. Zaznał zarówno strachu, jak i radości, ale nie tej przygnębiającej bezsilności.

I nie wiedzieć czemu czuł, że ta przypominająca mu matkę przywódczyni jest za to odpowiedzialna.

Podobało mu się jednak parę rzeczy związanych z powrotem do klanu:

brzmiające jak muzyka dźwięki wydobywające się z ruchliwych ust oraz cuchnąca, ciepła bliskość innych ciał. Nastąpiły też zmiany, które wprawiły

go w zakłopotanie. Długopalcy pozostawał z dala od klanu wystarczająco

długo, by niektórzy młodszy krewniacy wyrosli niemal nie do poznania, a na

piersiach dojrzewających dziewczyn, w tym dwu z trzech córek przywódczyni,

pojawiły się niewielkie kopuły. Sposób, w jaki spoglądały nań okrągłymi

oczami spod uniesionych powiek, sprawiał, że niemal zapomniał o

otrzymanym

lanu i jarskiej diecie.

Córki przywódczyni przechadzały się w trójkę, chichocząc, wysoko unosząc pochyłe czoła i udając, że nie dostrzegają nikogo prócz siebie.

Zrywały kwiaty oraz owoce i rzucały nimi w Długopalcego i w innych młodzieńców. Kiedy dołączył owego ranka do klanu, to właśnie te trzy dziewczyny dotkliwie podrapały go i obity. Robiły to jednak z dziwną intencją, jakby usiłowały się czegoś o nim dowiedzieć.

Wszystko to pozostawiło mieszane wrażenia: przyjemne, a jednocześnie

przykre. Cała ta zawikłana sytuacja sprawiła, że Długopalcy postanowił

wymknąć się, kiedy wszyscy zasną, i wrócić na płaską sawannę. Nie ma tam

żadnych rozchichotanych, dojrzewających kuzynek. I żadnych żenujących

sytuacji.

Po drodze poszuka w niższych partiach lasu swego przyjaciela, obcego,

który się zagubił. Nie zdziwiło to właściwie Długopalcego, zauważył bowiem, że uwagę przyjaciela łatwo przyciągają rzeczy dla niego samego

mało frapujące. Coś takiego musiało się wydarzyć w lesie. Nie martwił się o niego. Widział, jak przeszywał oszczepem lwa, wydając przy tym ryk, jakiego nie można usłyszeć w przyrodzie. Musi wałęsać się gdzieś tam, na dole, nie niepokojony, w przeciwnym razie chłopiec usłyszałby znowu ten niesamowity ryk.

Długopalcy znajdzie przyjaciela, a potem ruszą obaj w dół, w step.

Ze swojej grzędy zobaczył zmiernego wolnym krokiem w

stronę  
drzewa jednego z młodzieńców, syna krzepkiej. Liczył sobie około  
trzech  
stóp wzrostu, był jednak mocniejszy i bardziej owłosiony niż inni  
chłopcy,  
a na czubku głowy miał grzebień strzałkowy, wokół którego wyrastały  
gęsto  
włosy. Wyglądał zupełnie tak, jakby ostrzyżono go na jeża.

Kiedy podszedł do drzewa, kilku młodzieńców zaczęło go drażnić,  
prowokując do gonitwy. Wiedział, że jest wolniejszy, toteż tylko coś  
burknął.

Kiedy tamci nie chcieli przestać, chwycił znienacka jednego i warknął  
ukazując zaciśnięte, zachodzące na siebie kły.

Tamci wybuchnęli natychmiast okrzykami udawanego strachu,  
mającymi



zaalarmować matki. Przywódczyni wyprostowała się w trawie, a siedząca obok krzepka uniosła wzrok i gwizdnęła ostrzegawczo. Trzy córki przywódczyni podbiegły, by rozsądzić spór, podobnie jak ich brat, tykowaty, niezgrabny i nerwowy młodzieniec, który rozchyłał nieustannie wargi ukazując lśniące zęby. Wszyscy razem pokonali krzepkiego chłopca, który począł jęczeć. Wreszcie podeszła doń matka, trzęsąc ciężkimi pośladkami, między którymi, jak zauważył Długopalczy, widoczne były obrzmiałe wargi sromu. Zmuszona do odstawienia dziecka od piersi, znów przechodziła ruję.

Młode księżniczki puściły krzepkiego chłopca, który dźwignął się na jedno kolano, z zaczerwienioną twarzą i bliski płaczu. Wyglądało na to, że również matka gotowa jest go obić. Oboje wymienili spojrzenia mówiące, jak bardzo potępiają wzajemnie swoje postępowanie. Chłopak odwrócił się, przeszedł obok drzewa i nieoczekiwanie chwycił Długopalczego, zagłębiając wyszczerzone zęby w nodze zbiega.

Ten, raniony w łydkę, zdzielił krzepkiego pięścią w głowę i zawył. Uwolnił nogę i kopnął przeciwnika w pierś, ale jednocześnie puścił gałąź i zwałił się na niego. Obaj zawrzeli gniewem i w ułamku sekundy tarzali się po ziemi, warcząc, okładając pięściami, kopiąc i gryząc. Przewagę krzepkiego stanowiły wystające zęby, z kolei wszystkie nagromadzone w Długopalcym podczas pobytu w sawannie lęki przemieniły się w desperacką zjadłość.

Pozostali chłopcy i dziewczęta zebrali się wokół nich, krzycząc i wrzeszcząc, jednak Długopalczy wziął górę nad swoim przeciwnikiem tak szybko, że aż wzbudził w nich strach. Dało im to niejasne pojęcie o śmiertelnym niebezpieczeństwie, z jakiego wyszedł cało, żyjąc z dala od nich. Krzepka matka również się przestraszyła. Rzuciła się między walczących i z łatwością ich rozdzieliła, gdyż jej syn rad był wycofać się z bójki. Wtedy ukarała go szorstkim uderzeniem w szczękę. W tym czasie Długopalczy chwycił się niskiego konaru, podciągnął na drzewo i skoczył ku górze, między wyższe gałęzie.

Przywódczyni oddała dziecko krzepkiej innej kobiecie i zbliżyła się,

gotowa ukarać wszystkich biorących udział w bójce. Infantylnie kuzynki nabrały pełne garście ściółki, by rzucić nią w Długopalcego, siedzącego teraz dwadzieścia stóp nad ziemią.

Żałował, że nie ma przy sobie kamieni myśliwskich i nie może zemścić się na dziewczynach i ciotce, która stała na dole milcząca i nieruchoma, z rękami założonymi pod usmarowanymi mlekiem sutkami. Do całego zamieszania dołączył jej zawsze uśmiechnięty syn, który wymierzył krzepkiemu młodzieńcowi szybkiego kopniaka.

Długopalcy zobaczył już wystarczająco dużo, by poczuć obrzydzenie.

Wylizywał ranę na nodze i spoglądał poprzez zielone listowie. Dwie postacie pięły się po zboczu na terytorium klanu.

Wyrzucił z siebie głośne „grrrr”, oznaczające maksymalne zagrożenie.

Tego ranka, gdy powrócił jej siostrzeniec, przywódczyni klanu zmniejszyła czujność. Tu, na wysokim *plateau* o listowiu nie tak gęstym i nieprzeniknionym, mniej się bała intruzów.

Na słonecznych zboczach ściółka była sucha i głośno szeleściła. W ciągu ostatnich paru lat mniej padało podczas pory deszczowej. Wszystko to razem uświadamiało jej, że Mau powoli wysycha.

Czas życia ostatnich dziesięciu pokoleń jej pobratymców wydłużył się.

(Ona sama żyła już dłużej niż jej matka.) Ten fakt dawał większe możliwości spostrzegania wydarzeń cyklicznych, to z kolei przyczyniało się do powstania prymitywnej świadomości tego, co jest normalne, a co nie. Rozwinęli się też fizycznie i mentalnie, co spowodowało wzrost populacji i nieustannie przygotowywało ich do ewolucyjnego skoku.

Jednakże trzy pokolenia wstecz doświadczyły okrutnego załamania.

Klan wciąż jeszcze odczuwał tego konsekwencje. Przywódczyni nie była bezpośrednim świadkiem — urodziła się w następnym pokoleniu, już podczas odrotu z dawnych terenów, ale poznała życie pełne utarczek i strat, gwałtu i doraźnych działań. Straciła kilku partnerów. Ledwo uniknęła okaleczenia i śmierci.

Z niepokojem oczekiwała przyszłości — stanowiącej wyzwanie dla jej rasy — przesiewając w myślach doświadczenia własne oraz przekazane jej przez przodków i snując plany umysłem bogatszym o całą tę wiedzę ostatnich dziesięciu generacji.

Mimo iż jej mózg miał pojemność zaledwie pięciuset centymetrów sześciennych, był już wystarczająco duży, by posiadać złożoną strukturę, i funkcjonował w sposób tak skoordynowany, że podstawowe instynkty obejmowały jednocześnie wszystkie jego rejony, użytkując wszystkich jego funkcje. Instynkt ochrony terytorium, instynkt agresji, walki o przetrwanie i dominację, instynkt nakazujący przekazanie własnych genów i pozwalający odróżnić w klanie obcych od krewnych oraz własny gatunek od innych — nie różniły się zasadniczo od odpowiednich popędów u prostszych ssaków czy

nawet gadów albo ptaków. Stanowiły jednak istotny składnik jej człowieczeństwa, a to dlatego, iż były niepospolicie silne. Znacznie silniejsze niż u wszystkich pozostałych gatunków.

W mózgu małej kobiety o prostych brązowych włosach rodziły się zaczątki świadomego niepokoju o przyszłość rasy. W tym sensie jej mózg hominida, choć podobny do mózgow innych gatunków i niemal identyczny z mózgami wielu małp człekokształtnych, był już zupełnie odmienny.

W poszczególnych jego częściach nie było nic osobliwego, jednakże sposób, w jaki ze sobą współdziałały, stanowił zupełną nowość. To ich fenomenalna kooperacja i integracja sprawiły, że osiągał takie rezultaty, mimo że nie istniał jeszcze język. Znajdowały się w nim, na przykład, pewne elementy — jedne okrągłe, inne zakrzywione — które nauka określi później mianem układu limbicznego. Odpowiada on za regulowanie pierwotnych motywacji i emocji. Zachodziły w nim niewidoczne dla oka procesy

przekładające się w niezwykle sposób na widzialne reakcje fizyczne; wskutek tego, kiedy kobieta doświadczała pewnych emocji albo uświadamiała sobie pewne cele, jej oczy lśniły jaśniej, serce biło żywiej, podnosiła się temperatura ciała albo występował pot. I nie miało to nic wspólnego z użytkowaniem energii fizycznej. Emocje i plany zmieniały ton jej głosu albo rumieńce na twarzy i piersiach.

Dlaczego zmiany takie okazały się wartościowe, podczas gdy u większości innych gatunków ekspresja uczuć występowała rzadko albo wcale? Dlaczego hominidzi mieliby okazywać tak jawnie, co czują, skoro na przykład krokodyl przez wszystkie etapy swego życia pozostaje nieporuszony i zachowuje „kamienną twarz”?

Ponieważ hominidzi żyli, aby się porozumiewać, i porozumiewali się, aby żyć. Nawet gdy przedstawiciel tej rasy pozostawał samotny, fizyczna ekspresja jego emocji nie ulegała zahamowaniu, gdyż praludzie, jako jedyni w przyrodzie, bezustannie porozumiewali się ze sobą na temat tego, co czują.

Właśnie to prymitywne myślenie i planowanie, które zazwyczaj ratowało ją w trudnych sytuacjach, zarazem absorbowало ją i rozpraszało. Tego ranka nie wystawiła czujek, które ostrzegłyby klan o zbliżaniu się intruzów. A kiedy uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, jeden z wałęsających się krzepakich mężczyzn już ukazywał się spoza pobliskiego krzaka.

Natychmiast wydała ostry, gardłowy dźwięk pobudzający wszystkich do działania. Pochwycono bawiące się na trawie dzieci, młodzień zapędzono w zarośla na drugim końcu polany. Młodzieńcy, zdolni do walki, wyrwali gałęzie, by użyć ich w charakterze broni, ale kobiety wygoniły ich pomiędzy krzewy razem z dziećmi. Długopalcy znów spojrzal na niżej położony kraniec polany, gdzie przywódczyni klanu i jej krzepka towarzyszka zmagaly się na ziemi z dwoma mężczyznanami o zarośniętych twarzach i grzebieniach strzałkowych na czaszkach. Walczyły gołymi rękami, bo choć klan był

wyposażony w broń w postaci otoczków i kości, nie było czasu ich pochwycić.

Krzepka o nabrzmiątych genitaliach odwróciła się instynktownie, żeby

zabrać niemowlę i dorastającego syna, ale stojąca na jej drodze przywódczyni

pchnęła ją mocno w stronę intruzów. Krzepka znalazła się twarzą w twarz

z samcem swojej rasy. Długie włosy na jego piersi i brzuchu wyrastały po

obu stronach od pionowej osi centralnej. Jądra wielkości jabłek były ciężkie

i brązowe, jednak członek wydawał się tak skurczony, jakby go wcale nie

było. Ramiona zwisały niemal do kolan, a włosy na głowie sterczały wokół

grzebienia strzałkowego. Był dwukrotnie większy od kobiety.

W krzepkiej zakipiło podniecenie seksualne, ale wiedziała, jak je ukryć.

Mogła się odwrócić i umknąć, ale siostry smukłej trzymały jej dzieci. Użyła

zatem pierwotnego podstępu. Odsłoniła zęby w serdecznym uśmiechu i poruszyła się na boki, kolebiąc obwisłymi piersiami. Odwróciwszy się,

udała, że ucieka, potknęła się chytrze i podparła dłońmi, ukazując nabrzmiałe

w okresie rui organy. Mężczyzna powinien na to zareagować w odpowiedni

sposób. Nie słysząc jednak za sobą dyszenia napastnika, podniosła się chwycenie.

Samiec usunął się na bok, jakby ustępował pola drugiemu — olbrzymowi,

któremu wokół grzebienia na czaszce wyrastały białe włosy, a uśmiech ujawniał braki w uzębieniu. Tym razem krzepka potknęła się naprawdę, a obaj

mężczyźni skoczyli naprzód.

Większy chwycił przywódczynię i rzucił ją na ziemię. Upadła na plecy,

a jej skierowana ku przodowi pochwa została niebezpiecznie odsłonięta, więc

walczyła zaciekle, wbijając paznokcie w twarz atakującego. Ze strachu, by nie

zapłodnił jej jego krótki penis, przypomniała sobie, jak dwie pory deszczowe

temu jej najmłodsze dziecko leżało martwe w zalesionym wąwozie. Godzinami

kręciła się wokół drobnego ciała, wdmuchując mu swój oddech w usta, odganiając owady od sztywniejącej powoli drobnej twarzyczki i kończyn, aż

wreszcie rozdrapała dłońmi ziemię i przysypała nią drobną istotkę — delikatnie, jakby w obawie, że się zbudzi. Śmierć ta skłoniła ją do unikania

dalszych ciąży.

Niedługo po tym zdarzeniu zaprowadziła klan do niższych partii lasu,

gdzie spotkali krzepką — ranną i ciężarną. To tam nawiązała się między nimi

owa dziwna więź, a parę tygodni później pielęgnowana przez nią kobieta

urodziła dziecko.

Teraz krzepka także nie chciała zająć w ciążę. Partner, którego straciła,

był smukłym. Liczyła na to, że jeszcze żyje i ukrywa się w lesie.

Niemal już pokryta, wyduła długie wargi i zawyla wzywając pomocy tak

głośno, że inne kobiety na końcu polany skuliły się ze strachu.

Młodzięncy z klanu nie mogli się powstrzymać. Najpierw dwóch —

potem trzeci i czwarty, w tym syn krzepkiej — wyskoczyło z zarośli w poszukiwaniu gałęzi i kijów. Zobaczyli przed sobą Długopalcego, który

zeskoczył już z drzewa i wylądował na czworakach, wbijając palce w ziemię.

Znalazł jedynie bryłkę kruchego, choć dość ciężkiego piaskowca. Nie

widział w pobliżu lepszych kamieni. Ten musi wystarczyć.

Opadły go własne wspomnienia, w których zdawały się ożywać kości

jedenastu mężczyzn ze skalnej kotliny. Zobaczył ich, jak walczą z krępkimi

napastnikami. Podniósł kawał piaskowca i ruszył biegiem.

Krzepka odepchnęła od siebie atakującego, kopiąc go kolanami we włochaty brzuch. Przywódczyni, mocując się z napastnikiem i starając utrzymać uda razem, gryzła go, dopóki nie zdołała się spod niego wydostać,

ale znów ją pochwycił, tym razem od tyłu. Na szczęście, wargi sromowe miała suche i napięte. Ze wzwidzonego członka, pobudzonego jej oporem,

trysnęło nasienie mające wylewać się szybko i gdzie popadnie. W tej samej

chwili wielka bryła piaskowca walnęła gwałciciela w głowę, posyłając go

w ramiona śmierci.



Kije i bryłki ziemi poleciały na drugiego krzepkiego, który zerwał się na nogi, chwycił za gałąź i podciągnął na drzewo. Oddalił się, wykonując brachiacje.

Uradowane młode samce gotowe były rzucić się w pościg, ale przywód-

czyni — z twarzą jak maska bólu, spoza której nie widać było oczu — poderwała się i wymierzyła swemu wybawcy, Długopalcemu, straszne uderzenie za to, że rzucił się jej na pomoc; wydała wysoki okrzyk wzywający

do sprawdzenia, czy są wszyscy, zabrania rzeczy i ruszenia w drogę. Następnie zerwała wielki liść, zmięła go, tworząc naturalny tampon, i wytarła spernę rozlaną na tylnej części ud.

Długopalcy, wędrując teraz między drzewami ze swoim klanem, przypomniał

sobie wszystko. Przypomniał sobie inne podobne wędrowki, kiedy matki, spięte i szorstkie jak rzadko, wyprowadzały potomstwo z miejsca, które przestało być bezpieczne, ojcowie natomiast odchodzili na jakieś tajemnicze męskie wyprawy.

Wracali z nich w uszczuplonej liczbie, okulawieni, poranieni, z boleśnie

wywichniętymi lub połamanymi ramionami, przyciśniętymi do posiniaczonych ciał. Niektórzy nie wracali nigdy.

Po powrocie ojcowie mieli dziwnie dzikie spojrzenia, co sprawiało, że

wyglądali odrażająco, a jednocześnie bohatersko. W umyśle Długopalcego

rodziło się potężne pragnienie, by podążyć za mężczyznami, dowiedzieć się,

co robią, i stać się jednym z nich.

Kiedyś — przed czterema porami deszczowymi, czyli niemal dwa lata

temu — oddalił się chyłkiem od klanu. Podążał za mężczyznami wystraszony,

że zostanie odkryty i będzie musiał stawić czoło zagniewanemu ojcu. Liczył

jednocześnie na to, że we właściwym momencie będzie mógł się ujawnić

i zostanie przyjęty do grona wojowników.

Przez kilka dni podążał za nimi lasem i równiną, wyczekując stosownej chwili.

Kiedy zbierał się już na odwagę, by zdradzić swą obecność, jakaś dziwna

siła przegnała smukłych z niziny z powrotem do lasu. Biegli uchodząc

przed

trzaskającymi błyskawicami i dziwnymi hukami, aż wpadli w zasadzkę zastawioną przez hordeę zwalistych krzepkich, wyczekujących w bezpiecznym

ukryciu na skalnych wzniesieniach. Zepchnęli na smukłych lawinę głazów,

która zmiażdżyła wszystkich jedenastu.

Tak zginął ojciec Długopalcego, nie dowiedziawszy się nigdy, że jego

mały syn, chłopiec, którego uczył polować, szedł za nim krok w krok.

Syn, który stał się świadkiem tej masakry, wyrzucił jej wspomnienie ze

świadomości. Pozostał na sawannie, wolny również od wspomnień dotyczących

obowiązków względem klanu.

Lecz teraz powrócił do swych pobratymców, a do niego powróciły wspomnienia.

Wspomnienia pochwyciły go, drżącego, w zimny uścisk chłodnego,  
dawno zapomnianego strachu.

Przebywanie w smutnej krainie przeszłości nie leżało jednak w naturze

Długopalcego. Do jego świadomości dotarło dudnienie własnych stóp i widok idących nieopodal przez zarośla kuzynów. Spojrzał przed siebie, w stronę lasu, ku przyszłości.

W oddali dojrzał wysoki cień i serce zabiło mu żywiej. To jego przyjaciel,

obcy, szedł swym dziwnym krokiem, sztywno wyprostowany.

Nie mógł powstrzymać chichotu. Obcy wyglądał tak śmiesznie.

Wówczas przemknęły mu przez głowę obrazy ukazujące, co powinien zrobić, żeby powstrzymać członków klanu przed zranieniem przyjaciela:

powinien zbiec, obrócić go i zmusić, by pobiegł na dół, ku otwartym przestrzeniom. Ale nie było na to czasu. Jego pobratymcy już dojrzeli nieznanego przybysza. W najmniejszym stopniu nie przypominał niczego, co dotąd widzieli. Obcy uniósł wzrok, a na twarzy odbił mu się wyraz

zaskoczenia.

Uniósł ramiona w powitalnym, niemal modlitewnym geście.

Zwycięstwo nad dwoma krzepkimi napęliło młodzieńców wiarą  
we  
własne siły. Rzucili się przeto w dół, błyskając mocnymi piętami, i  
skoczyli  
na obcego, obalając go na suchą ściółkę.

# 3

Ken nigdy dotąd nie doznał tak elektryzującego napływu adrenaliny, jakby wstrzyknięto mu ją do wszystkich organów naraz. Ogłuszyło go bicie własnego serca. Wyostrozony wzrok sprawił, że wszystko, co widział, stało się niemal nieziemsko oślepiające. Pusty żołądek ścisnął się, rozszerzył i znów skurczył, do gardła strzyknęły gorzkie strużki

zółci. Ken poczuł smak krwi. Zaciśnął zęby tak mocno, że zranił dziąsła.

Jeśli miał przeżyć, nie mógł okazać strachu. Hominidów było, lekko

licząc, ze trzydziestu, z czego tuzin pędził z góry, by go pochwycić albo

zabić. Wszyscy byli młodzi i liczyli od trzech do czterech stóp wzrostu.

Rozpoznał też Długopalcego, który zbiegał wśród nich, wydając jakieś

dźwięki, lecz nie miał pewności, czy chłopiec jeszcze go poznaje.

Jakiś inny chłopak o baryłkowatej piersi, dłuższych szczękach i wyraźnie

zaznaczonym grzebieniu strzałkowym biegł na czele. Włosy sterczały mu

szywno po obu stronach grzebienia. Długopalcy usiłował go odepchnąć, napierając z boku. Tamten zdołał jednak chwycić już ramię Kena, popchniętego

równocześnie przez młodą kobietę. Wówczas młodzieniec o wargach roz-

suniętych w skąpym uśmiechu kopnął paleontologa w brzuch, powalając na

ziemię.

Wszyscy mieli cofnięte czoła, oprócz tego różnili się jednak tak bardzo,

że Ken obrzucał ich po kolei gorączkowym spojrzeniem, odnotowując szczegóły, których nie był w stanie uporządkować. Młodzi hominidzi opadli go. Żar ich zdyszanych oddechów owiał mu twarz.

Pod gradem uderzeń zrozumiał, dlaczego wydają mu się tak różnorodni.

Utrwalony w jego umyśle wizerunek Długopalcego rzutował na wyobrażenia

o całej rasie. Dlatego spodziewał się, że wszyscy okażą się wiernymi kopiami

chłopca będącego jednym z nich. Poza charakterystycznie cofniętymi czołami

i wydatnymi szczękami każdy z nich różnił się czymś od pozostałych — kształtem twarzy, stopniem umięśnienia, sposobem, w jaki reagował. A czegoż

należało się spodziewać? Tworzyli żywą rasę! Żadne dwie klatki piersiowe

nie wydawały się identyczne, żadne dwa brzuchy nie były wysklepione

w podobny sposób. Jedni mieli wargi cienkie jak u małp, u innych nabierały już mięsistości typowej dla ludzi współczesnych. To samo dało się powiedzieć o nozdrzach i uszach. Jedyłą ich wspólną cechą było bezbrzeżne zdumienie, z jakim wpatrywali się w Kena.

On sam doświadczał takiego samego zdumienia. Nie mógł się na nich

napatrzeć ani uporządkować w myślach wszystkiego, co widział.

Słyszał, jak chrypią nad nim i skrzeczą. Na tym tle rozróżniał wyraźnie

odrębny tembr głosu Długopalcego. Cieszył się, że przygniata go ta sterta ciał,

gdyż pod nią mniej drżało jego własne. Czuł korzenny zapach ich potu.

Ciemne paznokcie szarpnęły za włosy na jego piersi — jęknął, a one pociągnęły mocniej. Wykręcił się, ale młode prące, przerażająco silne, kiedy działały wspólnie, przytrzymały go za ramiona i nogi, aby inne mogły

obmacać żebra, brzuch i okryte spodniami krocze.

Guzik nad zamkiem błyskawicznym urwał się, a sam zamek rozsunał.

Mocna tkanina terenowych spodni pękała rwana na kawałki, podobnie jak

buty. Niektóre szorstkie dotknięcia i pociągnięcia sprawiały, że wydawał

krzyk i bronił się. Naraz stwierdził, że jest unieruchomiony i rozebrany do naga.

Instynktownym ruchem dłoni osłonił krocze, ale największe zaciekawienie

wyraźnie budziły jego stopy. Nigdy nie miał łaskotek, niemniej dotknięcia

palców przebiegających mu po podeszwach, palcach i kostkach były nie do

zniesienia. Chichocząc jękliwie, zdołał oswobodzić kopniakami stopy.

Cofnęli się ledwie o parę cali, a on znowu wbił w nich wzrok, mając

wrażenie, że śni.

Długopalcy odciągnął kuzynów za łokcie i ramiona. Ken dostrzegł jego zaniepokojoną minę: sprawdzał, czy przyjaciel jeszcze żyje. Czuł, że chłopiec chce, aby coś zrobił, ale nie wiedział co. A potem się domyślił — Długopalcy pragnął, żeby wydał z siebie to przeraźliwe wycie,

które mogłoby wystraszyć lwa.

Długopalcy spostrzegł kątem oka swoją ciotkę, spieszącą w dół w towa-

rzystwie dorosłych kobiet, wśród nich także krzepkiej. Grupka, otaczająca

Kena, rozstąpiła się, a przywódczyni klanu zobaczyła, że człowiek patrzy

w ich stronę wystraszonymi i zdumionymi oczami.

Pochyliła się nad nim w milczeniu.

Skurcz w gardle pozbawił go tchu. Widział tylko jej oczy. Lśniły niczym u żywego sfinksa.

Zauważył powiększone otoczki brodawek piersi pełnych mleka, które

nadawały jej, skądinąd agresywnej, postawie odrobinę łagodności. Dłonie

o długich palcach i pokryte lekkim puszkciem ramiona emanowały skupioną

siłą. Wyciągnęła rękę i dotknęła go przelotnie, jakby chcąc się upewnić, że

jest realny. Jej dotyk wydał mu się twardy jak dotyk drewna.

Patrzyła na Kena, on zaś podniósł się i znalazł z nią twarzą w twarz,

zacerpnął powietrza i począł wyc tak donośnie, że sama siła tego głosu odrzuciła kobietę w tył. Potem stanął wyzywająco naprzeciw nich

wszystkich,

choć czuł się strasznie niepewnie bez ubrania. Zanim przeminął czar wywołany



wyciem, ruszył ku najbliższemu drzewu, na jakie dało się wspiąć. W każdej chwili mogli się ukazać mężczyźni, a oni zapewne nie dadzą się zastraszyć wrzaskiem.

Objął szybko drzewo — nagi jak praludzie, zrównany z nimi. „Mięśnie rąk i nóg, nie zawiedźcie mnie teraz.”

Ale jakiś ruch za plecami powstrzymał go. Obejrzał się.

Przywódczyni odganiała hominidów, kierując nieskładną kolumnę między drzewa. Długopalcy oraz kilku innych obejrzało się za nim. Rzucane przez ramię spojrzenia wydawały się zupełnie niesamowitym zamknięciem tego epizodu: pozostawiali go za sobą — samotnego i nagiego przybysza.

Ken pospieszył natychmiast za nimi, depcząc po suchych gałęziach, trawie i ściółce. Pomyślał przelotnie o zniszczonym ubraniu, ale szybko zapomniał i o nim, i o tym, czego było symbolem. Jego przyszłość stanowiło najbliższe parę minut, jego świat — najbliższe parę jardów i oddalający się od niego pospiesznie klan nagich hominidów.

Choć nie przywykł do chodzenia boso, dość łatwo dotrzymywał im kroku, gdyż stopy człowieka są lepiej dostosowane do marszu.

Przypomniał sobie sfinksowe spojrzenie tamtej kobiety i jej wyraźne zmieszanie. Oszczędziła go chwilowo. Nie miała pewności, kim jest i jak ma z nim postępować. Długopalcy także mu pomogli. Los Kena zależał teraz od woli przywódczyni klanu i wpływów ośmioletniego dziecka.

Tymczasem pędził za nimi obłąkańczo, zamiast myśleć o ratowaniu życia. Zaczaj biec szybciej. Przedzierał się przez ogromną pajęczynę. Chciał dać się w nią złapać, starał się o to, ciężko pracował, liczył na to i prosił Boga, by mógł się znaleźć tam, gdzie właśnie był. Szedł boso po śladach pozostawionych przez stopy praludzi, przedzierał się, obnażony, przez nagi i pozbawiony osłony las, gdzie każde drgnienie życia pozostawało nagie, nie zamaskowane, nie chronione przez kulturę.

Chciał tego, a teraz to miał.

Wyobraził sobie Ngilego i Haksara, nagich jak on, jednego po jednej stronie drugiego po drugiej, depczących poszycie leśne. Wiedza Haksara o plemionach nie mających kontaktu z cywilizacją okazałaby się teraz bezcenna.

Podążał za idącymi przed nim hominidami. Gdyby nie trochę  
niepewny  
chód, z tyłu wyglądałoby na tubylcze plemię. Nie nosili absolutnie  
żadnych  
ozdób — muszelek, naszyjników czy sztyftów w uszach — jakby  
jeszcze nie  
wykształciła się u nich świadomość istnienia osobistego piękna.

Skupił nagle myśli na zagadce ich obecności. Zapomniał o głodzie,  
strachu i wyczerpaniu. Jak to możliwe? Jak naukowo wytłumaczyć  
fakt, że  
przetrwali i nie zostali odkryci?

Jedynego wyjaśnienia dostarczało to środowisko naturalne.  
Powiedział  
sobie, że jest to unikatowy fragment dzikiej przyrody — wycinek  
żywego  
pliocenu.

Zabrzmiało to jak żart.

A gdzie byli mężczyźni? Poszli polować? Jak zareagują na jego widok po powrocie? Czy kosmate stworzenia, z jakimi zetknęli się ubiegłej nocy, to samce tej rasy? W takim razie nie miało sensu, by nawiedzali dolną granicę lasu, podczas gdy ta matriarchalna grupa ukrywała się na wyższych zboczach.

Lecz dlaczego chłopiec błąkał się po sawannie samotnie?

Ken nie rozumiał tak wielu rzeczy. Na cóż się zdało półtora tysiąca centymetrów sześciennych mózgu, skoro nie rozumiał tego, co miał przed oczami?

Próbował się przekonywać, że nie jest sam, że ma jego — chłopca. Nie podziałało. Po prostu nie czuł już z nim łączności.

Oni dwaj nie tworzyli już odrębnego gatunku.

Członkowie klanu wyszli na polanę otoczoną gęsto rosnącymi lobeliami średniej wielkości i ogromnymi alpejskimi wrzosami przybranyymi mchem, zwanym „brodą starca”. Na widok tych roślin Ken pomyślał, że być może doszli już na wysokość siedmiu tysięcy stóp, albo i wyżej, chociaż powietrze nie było szczególnie chłodne i nie odczuwał trudności z oddychaniem. Wrzosa występowały zazwyczaj w wyższych partiach gór, gdzie wiatry nie pozwalały rosnąć wysokim drzewom. Zauważył też krzewy ciężkie od nie znanych mu orzechów, zebranych w grona jak owoce winorośli. Ocieniały je dwa dzikie drzewa bananowe, których owoce miały nietypową czerwona skórę.

Na bananowcach Ken dostrzegł zwierzęta, jakich nigdy dotąd nie widział:

wielkie — przypominające wyraka — stworzenia o ogromnych oczach. Poruszały się niespiesznie na chwytnych łapach, obierały czerwone banany i przeżuwały ich papkowaty miąższ. Wyraki to zwierzęta, z których rozwinęły się małpy. Przyjrzał się lobeliom i wrzosom i uderzyło go, jak ściśle otaczają polanę, odcinając ją od reszty lasu. „To środowisko jeszcze starsze niż praludzie — pomyślał. Wpadłem w czarną dziurę pliocenu.”

Przywódczyni podeszła do Kena i stanęła zaledwie parę stóp od niego,

lustrując go wzrokiem, aż zdał sobie sprawę, że jej spojrzenie ma coś oznaczać. Cofnął się, aż uderzył plecami w drzewo, po czym osunął się na trawę i zakrył twarz dłońmi, mając nadzieję, że ten gest wyrazi jego

uległość.

Czekał z twarzą ukrytą w cieniu, wyzbyty wszelkich myśli, jakby był

wyschniętą hubką, która czeka na iskrę, by przemienić się w buchający płomień.

Po paru minutach, kiedy nie słyszał, by ktoś doń podchodził, zerknął z ukosa.

Dzieci rozpoczęły zabawę, ciągnąc zwisające z drzew liany. Przywódczyni

udała się w stronę drzew bananowych, za nią chwiejnie szła dziewczynka.

Krzepka zerwała pasemko „brody starca” i zabawiała nim dziecko, natomiast

przywódczyni pogrzebała pomiędzy drzewami bananowymi i wyciągnęła

wielką uszlą gałąź obwieszoną orzechami przypominającymi owoce nerko-

drzewu. A potem wyszarpnęła z ziemi lśniącą od robaków antylopę mboloko.

A więc jadają mięso i trzymają je na tej polanie.

Ken zastanawiał się, dlaczego jadali padlinę z lasu, skoro tyle zwierzyny jest w sawannie. Antylopa była stara, jej przednie nogi uderzały o siebie niczym patyki. Jednak Ken nie jadł nic od dwudziestu czterech godzin, więc mboloko wydawała mu się tylko z lekka odrażająca.

Członkowie klanu zebrali się wokół przywódczyni i, przepychając się łokciami, ustawili w określonym porządku. Ta odstąpiła z mięsem parę kroków, pokazując, że niektórzy powinni udać się za nią. Kiedy znów usiadła, rozsadziła swoją rodzinę w odmiennym porządku. Swą towarzyszkę, niską, przysadzistą kobietę, umieściła po swojej prawej stronie. Wiecznie uśmiechnięty młodzieniec usiadł między jej nogami, jak przystało na pierworodnego.

Inni siedli dalej, głaszcząc się wzajemnie albo drapiąc, zanim dotarło do nich jedzenie. Matki trzymały dzieci między nogami i dzieliły się z nimi pokarmem.

Ogólnie rzecz biorąc, kawałki zgniłego mięsa przekazywano sobie bez zbyt wielu scysji. Stare mięso jako główne danie, suche orzechy na deser, domyślił się Ken, i rzeczywiście potem pojawiły się orzechy. Następnie ci

o mocniejszych zębach porozrywali na kawałki gałąz i pogryźli suche drewno.

Długopalczy wciąż wpatrywał się w Kena. Przywódczyni zerknęła na siostrzeńca i ten natychmiast spuścił wzrok na trzymane w rękach mięso, po czym wgrzył się w nie, w pełni zintegrowany z grupą.

Przysadzista niska kobieta zabrała parę lepszych kawałków dla siebie i swojej dziewczynki. Przeżuła je na papkę i podając z ust do ust karmiła nimi dziecko, które chwilowo znalazło się w jej ramionach. Inne dorosłe kobiety także karmiły swoje potomstwo z ust do ust, przez co posiłek przypominał spektakl pełen rzewnych pocałunków.

„To może być to — pomyślał Ken — narodziny ludzkiego pocałunku!”

Zapanowała atmosfera cichej i szorstkiej czułości. Długopalczy, przeżuwając kawałek drewna, napotkał spojrzenie Kena. Może chciał, by przyjaciel zobaczył tę scenę. Może po nocnym ataku krzepkich przekazał mu następujące polecenie: „Idź za mną, a pokażę ci swój klan. Idź za mną, a zaprowadzę cię

do innych ludzi."

Ken usiłował się roześmiać, lecz ten śmiech bardziej przypominał płacz.

Ładny z niego zabójca lwów.

Przywódczyni wpatrywała się w Kena bezwstydnie i wyzywająco. Potarła

w trawie stopę o stopę, jakby w nerwowym tiku.

„Co by zrobiła, gdybym wstał i podszedł bliżej?” — zastanawiał się.

Wiedział, że nie tolerowałaby niczego, co zagroziłoby jej małemu plemieniu.

Długopalcy siedział teraz w trawie, otoczony gromadką dzieci, wydających

krótkie, ale natarczywe dźwięki. Czy pytali o sawannę? A może także o Kena? Ich twarzyczki zwracały się nieustannie w jego stronę, a potem z powrotem ku chłopcu. Ilekroć Długopalcy napotykał spojrzenie Kena, tylekroć zerkał szybko na ciemniejący baldachim drzew, sygnalizując — być

może — że muszą zaczekać do zmroku.

Ken odpowiadał nieznacznym skinieniem głowy.

Dorośle kobiety zaczęły włączyć się po polanie, przygotowując na noc legowiska. Przechodziły tam i z powrotem obok Kena, rzucały mu zacieka-

wione spojrzenia, jednak go nie niepokoiły. Zastanawiał się, czy przywódczyni nie zakazała zbliżyć się do niego.

Jasne było, że mają dobre wyczucie czasu, gdyż schronienia zostały przygotowane, zanim słońce ześliznęło się poniżej linii horyzontu. Wtedy nastąpiła noc.

Ken czekał, aż umilkną odgłosy zasypiania członków klanu. Chciał podpełznąć do miejsca, gdzie położył się spać Długopalcu.

Wielkie świetliki rozbłyskiwały raz po raz we wzajemnym pościgu.

Ken

obrócił się na plecy, by obserwować ich migotliwe, przecinające ciemność nocne loty. Wtedy posłyszał jakieś odgłosy. Usiadł i zobaczył dwie przytulone do siebie postacie. Jedną z nich był Długopalcu, który pojękiwał wydając dźwięk brzmiący mniej więcej jak „niau, niau”. Przywódczyni ścisnęła go w ramionach, z ustami przy jego ciele. Koła ból potłuczeń wargami i językiem.

Ken wstrzymał oddech, przeżywając wraz z nimi tę niepowtarzalną chwilę intymności.

Chłopiec znów wydał ów dźwięk. Odpowiedziała mu miękkimi chrząknięciami, po których przytulał się do niej mocniej. I znów łagodziła językiem i wargami ból jego zadrapań i ran, a może po prostu wyrażała miłość, której dotąd nie okazywała. Długopalcu odwzajemniał się uściskami i swoim „niauu, niauu”, ona natomiast zajmowała się jego barkiem. Chwyciła coś, może drzazgę, w wydatne zęby i pociągnęła. Wydała wargami odgłos przypominający splunięcie — jeśli była to drzazga, została usunięta. Potem sama zajęczała: „uaai, uaai”, zupełnie jak płaczące dziecko, na co on odpowiedział swoim „niauu”. Oba dźwięki wydawały się bardziej brzemiennie w znaczeniu i złożone niż jakikolwiek z tych, którymi chłopiec posługiwał się w sawannie. Brzmiały niemal jak sylaby.

„Niauu...” Podobnie brzmiące słowo — *niawo* — znaczy w języku suahili „matka”.

Czy był to dźwięk wydawany przez ludzkie potomstwo płaczące za matczyną piersią? Czy z czasem rzeczywiście zaczął oznaczać matkę? Któż

może stwierdzić, czy najbardziej elementarne słowa nie powstały w ten sposób?

Ken przysłuchiwał się z zapartym tchem. Czyżby oni naprawdę „rozmawiali”?

Zmienił pozycję, powodując ruch trawy. Kobieta uniosła głowę — wewnę-

rzne napięcie uzewnętrzniło się natychmiast w układzie barków — a z jej krtani

poczęło się wydobywać ostrzegawcze rżenie, brzmiące prymitywnie i małpio.

Ken znieruchomiał, czekając. Kobieta znowu ułożyła się na trawie i podjęła prymitywny dialog.

Nie miał wyboru — zapadł w sen, słuchając muzyki praludzkiej krtani.



Dotarło do jego świadomości, że jest zimno, a nad szarą ściółką wisi bezkształtna mgiełka.

Zamrugnął oczami i zobaczył, że już świta.

Uniósł wzrok i dostrzegł kucającą obok przywódczynię. Stwardniałym

brzegiem dłoni rozłupała jakąś bulwę, ugryzła kawałek i przeżuła. Położyła

mu ręce na ramionach i przyciągnęła do siebie. Chciała nakarmić go z ust do ust!

Czknął przerażony i odepchnął ją. Przeżuta papka poleciała na ziemię,

kobieta chwyciła ją palcami i wepchnęła mu do ust. Poczawszy smak ciepławej, kwaśnej i wodnistej papki, Ken zaczął krztusić się i pluć.

Wokół rozległy się gardłowe chichoty. Nie zorientował się w sytuacji.

Tuż za nim przysiadły trzy podobne do przywódczyni dziewczyny. Czuł

ciepło ich oddechów, całkiem przyjemne dla jego zmarzniętych pleców.

Otarł gniewnie wargi i podbródek, potem przecesał palcami dawno nie

strzyżoną czuprynę, co pobudziło kobiety do dalszego śmiechu, gdyż rozmazał

sobie papkę po włosach. Zerwał się na nogi, ale przypomniał sobie nagle, że

jego męskość dynda niczym nie osłonięta. Ponieważ przywódczyni również

wstała, poczuł obawę, że teraz zafrapują ją jego genitalia. Soki żółdkowe

burzyły mu się bezlitośnie. „Powinienem był zjeść tę bulwę” — skarcił się

w duchu. Drobiazgowy idiota. Nie przyjął pokarmu i przyjaznego gestu, który

mógł oznaczać włączenie do klanu.

Jedna z córek ugryzła łapczywie kawałek bulwy. Czuł się tak wygłodzony,

że opadł zawiedziony na ziemię, natomiast dziewczyny wstały i odeszły dumnie, rozbawione wydarzeniem, które rozpoczęło dzień. Ken zanurzył

twarz w trawie. Poczul na niej drobne kropelki rosy, złowił kilka wyschniętym

językiem. Był śmiertelnie spragniony.

Rozejrzał się za Długopalcym, który dopiero zaczynał się budzić, leżąc

obok dwóch innych chłopców — tego z wiecznym uśmiechem i tego „obciętego na jeża”. Cała trójka obejmowała się przez sen,

zapomniawszy o wszelkich animozjach.

Przywódczyni znów podeszła do Kena i podała mu garść liści.

Przyjął je i wsadził do ust. Smakowały okropnie — jak gorzki pył.

Wypłuł i jęknął, chwytając się rękami za brzuch i usiłując przy tym zrobić

najbardziej żalną i wygłodzoną minę, jaką paleoantropolog pokazywał kiedykolwiek samicy małpoluda.

Rozsunęła wargi w uśmiechu. Jej instynkt macierzyński nie potrzebował więcej wyjaśnień. Wstała i odeszła, on zaś zerwał się na nogi i podążył tuż za nią, zdecydowany nie skrewić więcej.

Długopalcy popatrzył za nim, marszcząc brew, po czym uwolnił się z uścisku pozostałych chłopców i wstał.

Ken zbierał siły przed kolejnym poczęstunkiem z zapyłonej ziemią padliny. Jeśli znajdzie na niej choćby odrobinę mięsa, odgryzie wierzchnią warstwę, aż trafi na jakiś jadalny kawałek, źródło protein. Burczący żołądek sekundował jego planom.

Kroczyła raźnie naprzód, oddalając się szybko od polany, więc z przyjemnością obserwował jej zadziwiające ciało, poruszające się na dwu nogach. Zatrzymała się, by zanurzyć wargi w kałuży, on także się napił. Zostawiła ślady stóp na kawałku wilgotnej ziemi, a on stanął na nich. Odwróciła się i odsłoniła w uśmiechu zęby, po czym ruszyła naprzód. Kiedy ją dogonił, otarła się ramieniem o omszały pień, przyjrzała mu się spod uniesionych brwi, następnie spuściła wzrok i popatrzyła w bok. Ken znów zajęczał, uderzając się po brzuchu. Kobieta uniosła rękę, by go dotknąć. Odskokczył w tył i speszony zachichotał — czy sprowadziła go w to ustronne miejsce, kierowana potrzebą odosobnienia, którą odczuwają nawet małpy będąc w nastroju erotycznym?

Pchnęła go ciepłym kolaniem tak, że się potknął i padł jak długi.

Opadła natychmiast obok niego, zanurzyła palce w ziemi i wyciągnęła długiego białego robaka. Odgryzła mu głowę i przystawiła go do drgających ust Kena.

Mimo odczuwanego głodu wzdrygnął się na widok pozbawionego głowy stworzenia. Zamknął oczy i wziął robaka do ust. Był chłodny i bez smaku, mocniejszych doznań dostarczały językowi i podniebieniu jego wijące się ruchy. Ken zebrał się w sobie, zamknął oczy i przełknął. Kiedy odemknął powieki, zobaczył, że kobieta wkłada sobie do ust resztkę robaka i również zamyka oczy, jakby próbowała nauczyć się jakiejś nowej sztuczki.

Zaczął się śmiać. Natychmiast otworzyła oczy, on jednak nie mógł powstrzymać śmiechu, zakrył więc twarz dłońmi. Kiedy je odsunął, ona także zasłoniła pochyloną twarz. Następnie opuściła ręce, uklękła i zakołysawszy mocno ramionami dała mu znać, że chce, by sam pogrzebał w ziemi, szukając dla siebie pożywienia. Płaśnięcia ich kolan o ziemię wypłoszyły na powierzchnię sporo robaków. Kobieta padła ze skamlaniem na brzuch, by złapać ich jak najwięcej. Kropelki potu pokryły jej zadziwiająco wiotką talię. Usiadła żując łapczywie. Uderzył go ten widok. Pochodziła z sawanny. Ona i wszyscy jej pobratymcy nie czuli się w lesie jak u siebie.

Dreńczyło go znowu to samo uczucie, które chłopiec wzbudził w nim

w stepie — że nie może zadawać pytań ani spodziewać się odpowiedzi. Było

w tym coś magicznego i przerażającego.

Przywódczyni wstała i położyła na ziemi kilkanaście robaków.

Potem

zbliżyła się do niego, lecz on cofnął się gwałtownie, żeby zachować dystans.

Przyskoczyła więc i pogładziła go po brzuchu. Przez głowę przeleciała mu

paniczna myśl — czyżby chodziło jej o...? Wtedy zrozumiał, że martwi się

o jego jelita, w których bulgotało i burczało. Gładziła go raz po raz z góry na

dół, jakby usiłowała uspokoić dziecko. Potem oddaliła się, zerwała z krzaka

i przyniosła mu purpurowy owoc w kształcie ziemniaka. Ugryzła kawałek,

jakby dla udowodnienia, że jest jadalny. Nie żując, pottrzymała go w ustach

wydawszy szczupłe policzki, być może chcąc w ten sposób pokazać, jak należy go trzymać, aby sok przeniknął do organizmu.

Zrobił, jak mu pokazała — oleista ciecz wysączała się z owocu, zwilżając

mu gardło.

Wyciągnawszy obie ręce kobieta obmacała mu pierś, barki i ramiona, tak że znów się zaczął niepokoić. Następnie oddaliła się do najniższej położonej części wąwozu, przysiadła na piętach i, wypiąwszy pośladki, znowu zanurzyła ręce w ziemi. Kopała niespiesznie, aż cała dziura zapieniła się od błotnistej leśnej wody. Uniosła wzrok i raz jeszcze zakołysała ramionami, mówiąc mu, żeby spróbował.

Opadł na kolana i zaczął kopać, uświadamiając sobie niejasno, że gest ten mógł mieć uboczne znaczenie. Wkrótce błotnista woda zwilżyła mu palce i jasne się stało, co kobieta miała na myśli. Zerwał się na nogi.

Odeszła. Odbyła z nim kurs walki o przetrwanie w lesie i zostawiła go.

Zbyt wiele razy zmieniała kierunek, by zdołał podążyć jej śladem.

Musiała to zrobić umyślnie. Nie chciała, by się koło nich kręcił, gdyż powodował zamieszanie i mógł narazić ich na niebezpieczeństwo.

W każdym razie jej medykament z epoki kamiennej ukoił jego wzburzony

żołądek. Ken poczuł, że jest nasycony i w lepszej formie.

Znów dobiegły go jakieś dźwięki, przypominające te wydawane przez członków klanu. Zastanawiając się, czy aby się co do niej nie pomylił, ruszył

przez gęste zarośla. Przez parę chwil szedł naprzód, aż wdepnął w jakąś śliską masę. Kiedy spojrzął pod nogi, odskoczył tłumiąc krzyk.

Nastąpił na objedzony do połowy tors hominida. Widział wnętrze klatki piersiowej. W miejscu gdzie znajdowały się kiedyś serce i płuca, wisiało kilka zerwanych naczyń krwionośnych. Głowa, ramiona i dolne partie ciała zostały oderwane, zamiast kończyn pozostały więzadła, ścięgna i strzępy mięśni,

purpurowe od zakrzepłej krwi. Oddzielone od ciała, zakrwawione kręgi leżały na ściółce leśnej niczym strzaskane paciorki jakiejś makabrycznej bransolety.

Skoczył naprzód, przedzierając się przez listowie, i zobaczył czterech krzepkich australopiteków rozrywających zwłoki innego hominida. Pożerali go.

Oblał się potem. Najbliższy z jedzących był włochaty i czerwonoooki, posiadał wysoki grzebień strzałkowy. Szczęki miał tak ogromne, że

przywo-  
dziły na myśl „czarną czaszkę”, na widok której wzdrygali się studenci  
odwiedzający uniwersyteckie muzeum skamieniałości. Jeden z  
krzepkich  
ogryzał kawałki hominida przy wtórze chrząkania i ciamkania  
przerywanego  
trzaskaniem łamanych kości. Twarz zmarłego została całkowicie  
wyrwana,  
z wyjątkiem, policzka, ucha i jednej strony szyi. Tyle tylko pozostało ze  
smukłego, rysami twarzy przypominającego kobietę, która dopiero co  
porzuciła  
Kena w lesie.

Dwóch jedzących przechyliło się w przeciwnych kierunkach, aby  
wyrwać  
krocze. Szarpnięta moszna zakołysała się flakowato. Głośny trzask  
oznajmił  
o rozdzieleniu kości miednicy. Pozostali siedzący na trawie krzepcy po-  
spieszyli, by zażądać swojej części tego przysmaku.

Ken zdołał jakoś zachować rozsądek. Cofnął się. Liście przestoniły  
mu  
widok uczyty.

Naraz jego mózg naukowca, zdumiewająca maszyna do abstrakcyjnego myślenia, połączył wszystko w jedną całość. Mau i równina poniżej, gdzie spotkał chłopca, tworzyły ekoton, strefę przejściową między kilkoma środowiskami ekogeologicznymi. Sawanna i las, zalesione zbocza i trawiaste polany umożliwiały koegzystencję wielorakich form życia. Niepowtarzalność tego konkretnego ekotonu polegała na tym, że współistniały tu nie tylko rozmaite formy życia, lecz także różne epoki. Archaiczne zakątki i nisze ekologiczne, jak ta pliocencka polana, stały się miejscem spotkania starszych i młodszych gatunków. Niezbędne warunki, by żyć według własnego zegara ewolucyjnego, opóźnionego w stosunku do reszty planety o dwa miliony lat, znalazła tutaj nie jedna, lecz dwie rasy przodków człowieka.

Ale... Tym, co go niezmiernie poruszyło, były dowody na to, że podczas gdy inne gatunki akceptowały się wzajemnie bez trudności, dwie rasy hominidów toczyły walkę na śmierć i życie, co oznaczało, że niedawno zostały zepchnięte na obszar o wiele dla nich za ciasny, na wycinek ekotonu tworzony właśnie przez ten południowy kraniec Mau.

Cudowną koegzystencję ekotonu zniszczyła tu walka pomiędzy dwoma najwyższymi rozwiniętymi gatunkami: hominidami leśnymi oraz wypartymi ze swoich terenów hominidami z sawanny.

„Nie chcę na to patrzeć” — myślał Ken z zaciętrzewieniem.

Ale żadną miarą nie mógł wycofać się i odejść, zapominając o tym, co zobaczył. Zahaczył palcem o gałąź krzewu i odsunął ją na bok, otwierając sobie widok na ucztę kanibali.

-I

Obserwował. Zza swej kruchej osłony zobaczył posuwającą się na czworakach kobietę. Kiedy mijala go, podpierając się pięściami, dostrzegł między pośladkami obwisłą szczelinę genitaliów. Nie miała piersi, tylko

dobre rozwinięte sutki. Na grzbiecie niosła uczeplone szyi niemowlę; I Z gęstwiny wyszła na dwóch nogach inna matka z dzieckiem, za nią podążała

grupka kobiet idących bądź w pozycji wyprostowanej, bądź podpartych na

< pięściach — wszystkie niosły dzieci, wszystkie miały sutki bez piersi.

Kenowi oczy wychodziły z orbit. Krzepka, którą widział w klanie, miała

gibką sylwetkę i w pełni rozwinięte piersi. W jej żyłach musiała płynąć krew obu ras, mieszana od dwóch albo trzech pokoleń. Ci archaiczni krzepcy nieustannie , ] krzyżowali się ze smukłymi, niewoląc ich pozbawione ochrony Jcobiety.

j

Ken, skulony za zasłoną krzewów, zauważył, że mężczyźni też wykazywali t pewne cechy mieszane — różnili się rozmiarami szczęk i grzebieni strzałkowych. Nie u wszystkich występowały zachodzące na siebie kły. Obie grupy hominidów musiały mieszać się ze sobą już od pewnego czasu.

j

Na widok mięsa kobiety roześmiały się z podnieceniem. Jedna z nich, duża i młoda, o talii nie zgrubiałej od porodów, potrząsnęła głową, poruszając zalotnie włosami. Inne przysiadły za mężczyznami, tak iż przy każdym znalazł się harem kilku matek. Wszystkie przepychały się do przodu, ;  
podtrzymując dzieci i zachowując się wyraźnie służalczo wobec samców.

Ken słuchał i zastanawiał się, czy nie odchodzi od zmysłów.  
Te



włochate cielska poruszały się na dwu nogach i „rozmawiały”. Ich okrzyki były czymś więcej niż sygnałami oznaczającymi niebezpieczeństwo, głód lub kopulację. Musiały wyrażać zindywidualizowane przekazy; w samej rzeczy, dźwięki wydawane przez kobiety brzmiały prawie jak pogawędka.

Ken zacisnął pięści. Przypomniała mu się walka z włochatymi krzepkimi,

którzy zaatakowali go i chłopca. Wyprawili się owej nocy na skraj sawanny w poszukiwaniu mięsa smukłych. Mignął mu w pamięci obraz odkrytego cmentarzyska smukłych mężczyzn w skalnej zagrodzie.

Doszło między nimi do wojny wewnątrzgatunkowej, ale co ją wywołało?

Kiedy mężczyźni zakończyli ucztę, kobiety zasiadły, żeby zjeść to, co pozostało. Ogryzały zwłoki inaczej niż mężczyźni, mniej żarłocznie. Pewna

młoda matka wciąż rzucała okiem ku wielkiemu mężczyźnie, na którego pierwszego zwrócił uwagę Ken. Liczyła na to, że kiedy oboje skończą posiłek, dojdzie między nimi do zbliżenia.

Ken nie był w stanie uwierzyć, że zaakceptował tę makabryczną scenę.

Czuł wprawdzie skurcze żołądka i tak zaciskał pięści, że paznokcie wbijały mu się w dłonie, niemniej jednak to wszystko nie budziło już w zasadzie jego

odrazy. Obserwował teraz, jak wielki krzepki podnosi się i staje na lekko ugiętych nogach. Zobaczywszy go w całej okazałości, Ken zdał sobie sprawę,

że osobnik ten, mimo ogromnego wzrostu, jest całkiem młody. Jego mięśnie

odznaczały się krągłością cechującą dojrzewającego młodzieńca. Krocze zdobiła mu wielka moszna, owłosienie łonowe dopiero wyrastało. Była to

najmniej przerażająca część jego ciała. Wydawało się, że w ogóle brak mu

penisa. Ken dostrzegł wreszcie drobną grzybowatą żołądź z małym otworkiem,

przyciśniętą do kości łonowej przez ogromne jądra. Mężczyzna rozejrzał się

i inna kobieta, ta, która wstrząsała włosami, podeszła doń, kręcąc grzywą dla

zwrócenia na siebie uwagi.

Młodzieniec nie mógł się zdecydować na którąś z chętnych samic.

Ken

nie zdołał zwalczyć pokusy przyjrzenia się temu z bliska, więc wyskoczył zza

krzaka, przebiegł przez pustą przestrzeń i skrył się za innym. Kobiety, wyczuwając niezdecydowanie mężczyzny, poczęły zachowywać się bardziej kokieteryjnie. Cała trójka zbliżyła się do krzewu o owocach przypominających purpurowe ziemniaki, które przywódczyni smukłych ofiarowała Kenowi. Młodsza kobieta przyskoczyła do krzaka i pochyliła się, by zerwać kilka owoców, ekspozując przy tym obrzmiął szczylinę. Ta druga, z dzieckiem, pojęła, do czego tamta zmierza, i wpadła na mężczyznę, pocierając go dłonią pomiędzy nogami. Jego penis uniósł się natychmiast, nadal szokując mały przy jego wzroście, ale bardziej doświadczona kobieta wprowadziła go od tyłu pomiędzy wargi sromu, nie wypuszczając przy tym dziecka. Pchnęła biodrami o jego lędźwie raz, drugi i trzeci, po czym oderwała się od niego i odeszła podpierając pięściami.

Młoda rywalka nie wyglądała na zniechęconą. Ugryzła jeden z owoców, a następnie przynęciła mężczyznę do siebie, unosząc pozostałą część. Pospieszył za nią wesoło, mała żołądz już mu poczyniała sztywnieć.

„Pędź, ogierze, w dżungłę ojcostwa” — pomyślał chichocząc Ken.

Odniosł wrażenie, że członkowie hordy poruszają się coraz wolniej, gotując się, być może, do zasłużonej sjesty. Posłyszał cichy szelest liści nad głową. Uniósłszy wzrok, zobaczył hominida o wiotkich kończynach — silnego, lecz niezręcznego — który opuszczał się na rękach z wyższej gałęzi na niższą w całkowitym milczeniu, gdyż przez cały czas trzymał w zębach kamień myśliwski. Wyglądał jak większa kopia Długopalcego, tyle że na twarzy wyrastała mu rzadka broda. Był to samiec smukłych, który podpełził po niższym konarze, znieruchomiał i wyjął kamień z ust.

Ken zlustrował szybkim spojrzeniem drzewa, ale nie dostrzegł innych

hominidów, więc spojrzał w stronę zarośli — nadchodziło stamtąd kilku

smukłych mężczyzn, nurkując między krzewami, wychylając się zza nich

i znów rzucając naprzód. Ilekroć ich twarze ukazywały się ponad krzakami,

wpatrywali się w leżących leniwie na polanie krzepakach.

Ken otworzył usta, by krzyknąć, ale zagryzł wargi.

Smukły na drzewie uniósł do góry precyzyjnie trzymany kamień i od-

czekał, aż gałąź przestanie się kołysać. Posuwający się naprzód wojownicy

smukłych wydawali się wiotcy i jak wymodelowani. Było ich niewielu.

Kiedy

mijali Kena, jeden z nich dostrzegł go poprzez gałęzie.

Miotacz na drzewie wyrzucił swój pocisk, a jego pobratymcy natarli z wyciem — mocnym i wysokim — na niczego nie podejrzewających krzepakach. Przedstawiciele obu ras wyglądali jak dwa wizerunki ludzkości,

przy czym jeden był odrobinę bardziej wysublimowany. Ken wrzasnął, zanim

zdołał się pohamować. Osobnik zamykający kolumnę smukłych cisnął

wen kamieniem, ale chybił. Ken nadał stał i wyl, aż inny kamień trafił go w

głowę. Wówczas opadł między krzaki, jakby go tam nigdy nie było. Przed nim

banda smukłych rzucała kamieniami w krzepakach. Wytlukliby ich jak kaczki,

gdyby nie ostrzegawczy wrzask Kena. Mimo to na trzech posypał się grad

pocisków, reszta zaś uciekała. Kobiety krzepakach robiły wrażenie lepiej

zorganizowanych. Młode wskoczyły na drzewa i z niższych gałęzi sięgały po podawane im

przez matki dzieci. Będąc lżejsze od mężczyzn, mogły szybko umknąć, przerzucając

ciężar ciała z ręki na rękę.

Kilku krzepkich pochyliło się, chwytając garściami ziemię i spadłe gałęzie. Smukli wyjęli swoje kamienie myśliwskie z ciał zabitych i właśnie gotowali się do kolejnej salwy, gdy na pole walki wpadło z rykiem i wyciem jakieś obce, nagie stworzenie i poczęło podskakiwać jak oszalały pawian. Tym razem smukli wymierzyli kamienie w Kena, trafiając go w czoło, pierś, i bezwłosy brzuch. On jednak nadal skakał i wrzeszczał, aż przedstawiciele obu ras się cofnęli. Gdy wreszcie upadł, poniechali rzucania. Krzepcy podali tyły, nie biorąc odwetu, a smukli oddalili się w stronę niewidocznych wzniesień, nie przypisując sobie zwycięstwa.

Ken ocknął się. Bitwa była skończona.

Siadł, a potem niepewnie stanął na nogach, przerażony perspektywą tego, co zobaczy.

Ujrzał rozciągnięte na ziemi trzy ciała: jednego smukłego i trzech krzepkich. Podobna do ręki stopa jednego z krzepkich drgnęła. Był to ten sam młody mężczyzna, który tak figłował zaledwie przed paroma chwilami. Z nozdrzy i ust sączyła mu się różowa piana, w gardle rzeziło, pierś poruszała się spazmatycznie.

Ken pośpieszył, by go podnieść. Włożył mu ręce pod pachy, splótł palce na masywnej piersi i, podtrzymując głowę własną głową, powłókł w stronę drzewa, by go pod nim posadzić. Pod lewym mięśniem piersiowym małpoluda wyczuł bicie serca. Miał ochotę nakazać mu, by nie umierał. Hominid był tak ciężki, że Ken musiał przystawać parę razy, zanim dotarł do drzewa i oparł go o nie.

Wielka głowa rannego natychmiast opadła. Ken unióśł ją delikatnie. Musiała ważyć ze trzydzieści funtów. Do zarośniętej twarzy o długiej szczęce przywarło kilka źdźbeł trawy. Wielkie stworzenie otworzyło oczy, bliskie śmierci, lecz wciąż ciekawe. Zobaczyło Kena. Usiłowało zacisnąć wielkie zęby w agresywnym grymasie, ale nie zdołało.

„Wytrzymaj — błagał Ken, klepiąc delikatnie potężną pierś. Jeszcze przed chwilą harcowałeś tu, żyjąc i dając życie. Wytrzymaj.”

Ujął go za gruby nadgarstek i poszukał pulsu, ale już go nie wyczuł.

Głowa hominida przechyliła się na bok, ale w szklistych oczach pozostał wyraz zaciekawienia. Potem potężne ramiona opadły, jakby straciły wewnętrzne oparcie. Wielki krzepki umarł.

Gdzieś za sobą Ken usłyszał głos Haksara, brzmiący tak wyraźnie, jakby Hindus znajdował się tam naprawdę.

„Już nie żył. Nie warto go było ciągnąć — rzekł stary profesor. — A poza tym krzepcy to ślepa odnoga ewolucji. Nie dożyli nawet do środka plejstocenu.”

„Haksara tu nie ma — pomyślał Ken — tylko wyobrażam sobie jego uprzejmy, uczony głos.”

I odpowiedział nieobecnemu staremu nauczycielowi, kierując odpowiedź w pusty las: „Krzepcy nie są ślepą odnogą, w każdym razie nie tutaj. Pan

odwiedził już kiedyś to miejsce. Tak?"

„Powiedzmy, że tak.”

„Dlaczego nie opublikował pan sprawozdania? Dlaczego trzymał pan to w tajemnicy?"

„Powiedzmy, że był to taki dowcip. Kawał, który stary *tandoon* zrobił

wszystkim innym. Ale ty, Lauder, zadziwiasz mnie. Ryzykować życiem dla

tej prawie że małpy. Ulepiony jesteś z tej samej gliny co świeci albo bałamutni psychotycy,"

„Dzięki.”

„Co chcesz zmienić, Lauder? Co możesz poprawić, informując innych

o tym miejscu? Ewolucja zrobiła swoje, dobór naturalny zrobił swoje, historia

ludzkości zrobiła swoje. Te włochate australopiteki, duże czy małe, krzepkie

czy smukłe, okazały się gorsze. Koniec opowieści i początek nauki."

„Pana nauki. Co pan tu robił, Raj? Jak pan tu trafił? Jak pan stąd odszedł?"

„Dlaczego miałbym ci powiedzieć?"

„Smukli to wyraźnie stworzenia sawanny. Nigdy nie wróciliby do lasu

z własnej woli. To jest środowisko życia innej rasy, nic dziwnego, że o nie

walczą. Coś się więc musiało stać. Fakt, że nikomu pan o tym nie powiedział,

dowodzi, że coś się musiało wydarzyć. "

„W lesie jest pewna wskazówka. Jeśli ją znajdziesz, poznasz całą historię."

„Znajdę ją."

.Zadbaj o to, by przeżyć, żebyś mógł o tym opowiedzieć. Powodzenia, Lauder."

— Raj! — Wszystko to była gra wyobraźni, a jednak Ken zawołał na

głos człowieka, którego nie widział od lat. — Proszę poczekać! Może mi pan

w tym pomóc. Nie tylko mnie, może pan pomóc...

„Komu? Ludzkości?" — głos Haksara, mówiącego z oksfordzkim akcen-

tem z lekką hinduską naleciałością, nabrał tonu złośliwie uszczypliwego. „Po

co? Ja także pragnąłem poprawić ludzkość, Lauder. Próbowałem tego w przeszłości i dostałem nauczkę. Poza tym ludzkość to pojęcie względne.

Wystraszyłeś się, że tej smukłej może się spodobać twój liliowo-biały kogutek. Cóż, czy teraz nie wydaje ci się ona zupełnie do przyjęcia w porównaniu z tymi prakanibalami? Czyż nie wygląda jak kobieta, urodziwa

i do przetrznięcia?" Jego głos, który Ken słyszał we własnej głowie, pogrubiał

jakby od zadawnionej niechęci. „Zawsze cię nienawidziłem, Lauder. Ciebie

i Ngiamenę. Czarnego Masaja i jasnoskórego piegowatego Szkota. Macie

takie ekstremalne genotypy. Ja mam cholernie pośredni — ani aryjski, ani

czarny..."

„Sam pan siebie nienawidzi, Raj. I jest pan nieuczciwy."

„Możliwe. Jestem słaby. Słabość rodzi nieuczciwość. Powodzenia, Lauder."

Głos zaczął powtarzać się echem, rezonując dziwnie, jakby przebiegał się

przez warstwy czasu. „Powodzenia-nia-nia, Lauder-lauder-lauder...”

Ken oprzytomniał. Zwłoki obok niego były realne, podobnie jak inne,  
leżące parę stóp dalej.

Trach! Kamień myśliwski walnął o pień drzewa tuż przy jego głowie

i opadł pomiędzy nim a martwym krzepkim. Inny przeleciał mu obok piersi

i uderzył w zwłoki. Kolejny szarpnął mocno piersią zabitego. Ken zobaczył

następny rząd brązowolitych podążających przez zarośla wprost na niego.

Dzięki Bogu nie brachiowali tak szybko jak krzepcy. Rzucił się na ziemię,

czując wyrzuty sumienia, że pozostawia to ciało nie pogrzebane. Bardzo możliwe, że smukli również okazały się kanibalami. Ci smukli kiepsko radzili

sobie w tej nierównej leśnej wojnie, nienawidzili zielonego piekła lasu, tego

tygła, w którym wszystko wrze, tego promiskuityzmu. Tęsknili za otwartą



przestrzenia, tak jak Ken i Długopalczy. Pragnęli powrócić na cudowną sawannę. Ale coś ich powstrzymywało.

Smukli zbliżali się. Trach! Kamień ściał wierzchołek młodego drzewka.

Ken puścił się biegiem. Obejrzał się — biegli za nim, zbliżali się, ale byli

w niekorzystnej sytuacji, gdyż musieli pochylać się, by zbierać kamienie,

którymi w niego ciskali. Nie poniechali jednak pogoni. Jeśli go pochwycą,

czy zdoła zabić kilku, zanim rozerwą go na strzępy?

Zbliżali się coraz bardziej.

Poczuł straszliwe uderzenie pod lewą łopatką, jakby wybito mu serce

z piersi. Usłyszawszy za sobą uradowane głosy, wyobraził sobie radość łowców. Celny rzut! Jeszcze jeden taki, chłopcy! Zrozumiał, że następny strzał może powalić go na ziemię, a wtedy obezwładnią go, zanim zdoła poderwać się na nogi. Słyszał już dudnienie stóp. Jeszcze parę sekund i poczuje na karku ich oddechy. Ogarnął go wielki żal. Zobaczył przodków

człowieka, ale nie przeżyje, żeby o tym opowiedzieć...

Strach tak zmałował mu umysł, że Ken liczył na jakieś nieprawdopodobne

wydarzenie, które go uratuje. „Gdzie jesteś, Długopalczy? Pogadaj z tymi

szaleńcami!" Ale Długopalczy uciekł na sawannę, żeby być od nich daleko,

albo od tego, co czyniło ich tak szalonymi. Mijając wielkie drzewo, Ken pomyślał, że doznałby ulgi, rzucając się na nie głową, by strzaskać sobie czaszkę. To byłoby to. Zgaszono światła. Przedstawienie skończone.

*Finito.*

Brakowało mu już sił, więc przystanął i odwrócił się, sądząc, że nacierający wojownicy dogonią go i zabiją.

Zatkało go z wrażenia: biegnący prześladowcy zwalniali.

Rozejrzał się w prawo i lewo, szukając jak szalony wyjaśnienia. Wśród

drzew majaczyło coś w rodzaju niskiej wieży. Ostatkiem sił pobiegł instynktownie w jej kierunku.

Minął linię drzew i przystanął tak wstrząśnięty, że zapomniał o całej

reszcie, nie wyłączając prześladowców.

Stał naprzeciwko czegoś, co wyglądało jak makabryczne dzieło sztuki.

Wznosiło się przed nim drzewo rozszczerzone na pół piorunem. Jego

konary wyschły, a kora poskręcała się i odpadła. Umocowane pnączami do

wyschłego pnia stały — niczym na postumencie — dwa szkielety. Pożółkły

ze starości, zarosły mchem i straciły fragmenty wielu kości, ale na pierwszy

rzut oka dało się stwierdzić, że jeden należał do sapiensa, drugi do  
praczłowika.

Szkielet sapiensa przybrany był w kolonialny hełm i starą kurtkę  
wojskową,

tak wyjedzoną przez owady, że przypominała zieloną ażurową  
serwetkę.

Szkielet praczłowika okryto mchem, zwanym brodą starca, żeby nadać  
mu

małpi wygląd. Ten w hełmie zarzucił na szyję praczłowika zardzewiałą  
drucianą pętlę, do której przywiązane zostały również jego ręce, co w  
sposób

prymitywny, ale wyraźny, ukazywało, że stworzenie to zmaga się z  
dławiącym

je arkanem. Nogi sapiensa wygięto w kolanach, nadając im pałkowaty  
kształt. Ziejące policzki wypełniono ubitą ziemią, która  
stwardniawszy

smukli podążyli za nim ku owej  
przypo makabrycznej ekspozycji.  
minała Nie zrobili tego, ale słyszał ich i zrozumiał, że nie odeszli.  
twarz, Postąpił ku strasznej kompozycji. Pod bosymi stopami  
a zachrzęściły inne  
żywicz kości. Wokół pnia leżały, niczym pokonani wojownicy, szkielety  
na hominidów.  
plama Te lekkie kości należały chyba do smukłych. Czas ogołocił je z ciała,  
na z wyjątkiem paru fragmentów tkanki zbyt suchej i twardej, by  
jedny chciały się nią  
m z zająć robaki.  
policz W tę strukturę wkomponowały się pnące lilie. Ich kwiaty zmieniały  
ków, barwę od jaskrawej czerwieni do purpury, co bardzo przypominało  
ciemn stygnącą  
a krew. Twórca tego makabrycznego dzieła, kimkolwiek był, nie  
i zaplanował  
kwadr użycia tej roślinnej krwi — kwiaty porosły po prostu na starych  
atowa, kościach,  
wyglą dała pozorując świeżą masakrę.  
jak... Sądząc z wyglądu kości oraz z nieładu, w jakim leżały,  
...J kompozycja  
ak liczyła sobie dwadzieścia do trzydziestu lat. Mogła być, oczywiście,  
tat jeszcze  
uaż starsza — sprzed czterdziestu lub pięćdziesięciu lat.  
sier Oglądał się raz po raz na dwa walczące szkielety — Modiba i  
żan tego  
ta anonimowego australopiteka. Ich postawa wyrażała okrutne  
Mo samozadowolenie  
dib sierżanta oraz rozpaczliwe oszołomienie pracźlowieka.  
a. „Szkoda, że nie zabiłem tego gнома o kabłąkowatych nogach,  
Ke kiedy  
n miałem po temu okazję. Jeśli spotkamy się jeszcze raz, koniec z  
wr nim” —  
ócił obiecał sobie Ken.  
my Wyzwoliwszy się wreszcie spod wrażenia, jakie wywarły  
śła walczące  
mi szkielety, poszedł dalej, by zbadać polanę. Nastąpił na coś twardego  
w i okrągłego. Sięgnąwszy ręką, trafił na cynową puszkę, jeszcze z  
tera pokrywką.  
żni Było to stare opakowanie środka „Zebra” odstrasżającego owady,  
ejs opatrzone  
zoś ostrzeżeniem: „Uwaga. Unikać kontaktu z plastikowymi oprawkami  
ć. okularów  
i tworzywami sztucznymi typu włókno octanowe albo sztuczny  
Obróci jedwab.” Ken  
ł się znał ten środek, ale nigdy nie widział go w takim opakowaniu.  
szybk Musiało być  
o, by naprawdę stare, z lat pięćdziesiątych. Może ten pomnik wzniesiono  
spraw w latach  
dzieć, pięćdziesiątych? Wypuścił puszkę i postąpił parę kroków dalej. Coś  
czy słabo

błysnę y: I.V.H.

ło na Przyglądał im się przez moment, zanim zdał sobie sprawę, że  
ziemi, oznaczają:

więc Induprakash Vasant Haksar. Ken spojrział na szkielet w hełmie, na  
schylił policzek

się i z płamą przywodzącą na myśl tatuaż. Modibo i Haksar?

podniósł Ta myśl zupełnie zbiła go z tropu. To niemożliwe. Cóż mogli  
mieć ze

okrągl

y 312

skorod

owany

przed

miot

wisząc

y na

przezn

iłym

skórza

nym

pasku.

Ze

gar

ek.

Otarł

go

palca

mi i

spojrz

ał na

poziel

eniąłą

tarczę.

Na

odwro

cie

zobacz

ył

nazwis

ko

szwajc

arskie

go

zegar

mistrz

a i

wygra

werow

ane

inicjał

sobą wspólnego? W jaki sposób znaleźli się tu razem? Dlaczego walczyli

z praludźmi i wzniesli tę przerażającą pamiątkę?

— Raj, co pan tu robił? — zapytał na głos. — Jest pan naukowcem.

Jak

mógł pan zostać wmieszany w to... w to...

Nie potrafił tego określić. Była to zbrodnia, lecz jej natury ani celu nie

mógł pojąć.

Pozostał tam jeszcze parę chwil, zastanawiając się, czy tatuaż nie może

wskazywać na kogoś innego niż Modibo, albo czy inicjały nie oznaczają

innego nazwiska niż Haksar. Ale nie było to możliwe. Póki Ken i Ngili nie

przywieźli ze sobą skamieniałości, Haksar nigdy nie wykazywał żadnego

zainteresowania Dogilani. A Modibo pokazał się w obozie Kena tuż po jego

powrocie na sawannę.

„Ten zegarek to ważny dowód” — pomyślał. Nałożył go na nagi nadgarstek.

Potem podniósł gałąź, by mieć się czym bronić na wypadek zasadzki ze

strony smukłych. Kiedy jednak wyszedł z kręgu drzew, nikt na niego nie

czekał.

Dało mu to pewną wskazówkę co do celu, w jakim wzniesiono ten pomnik. Miał to być zapewne swego rodzaju zakaz wstępu, przypominający

smukłym, by nie wracali w niższe partie lasu i dalej na sawannę. W każdym

razie, wiązało się to jakoś z faktem, że smukłych i krzepkich zmuszono do

życia w tym samym środowisku.

Ken, wciąż pełen obaw, szedł rozmyślając nad swoim położeniem.

Poderwało go potężne uderzenie w łędźwie. Odwrócił się i chwycił za rogi

szarżującego kozła mboloko.

Dwie stojące nieopodal samice obserwowały kozła ze zmrużonymi powiekami, jakby przynaglając go w milczeniu: „No już, zuchu, rób swoje.”

Kozioł, głupi samiec, znów zaszarżował trafiając Kena w podbrzusze. Ten

uniósł go za rogi i prasnął nim o drzewo. Upadli obaj. Człowiek dźwignął się

na kolano i obserwował tętniący puls na szyi zwierzęcia, wyznaczający ostatnie sekundy jego życia.

Samice odbiegły cwałem, unosząc żółtawe ogonki niczym sztandary. Ken

zszedł kilka kroków w dół zbocza, ale cofnął się i zarzucił kozła na

ramię.

Potem znów ruszył w dół, uginając się pod ciężarem zdobyczy.

Łamało

go w całym ciele, bolały nogi. Uświadomił sobie, że krwawią mu palce i podeszwy stóp — na trawie pozostawiał krwawy ślad.

Wówczas zobaczył stojącego mu na drodze, opartego o drzewo, hominida.

Wartownika.

Źle ocenił wzrost samotnego mężczyzny. „Fest taki mały — pomyślał —

jeśli nie ma towarzyszy, dam mu radę.” Zrzucił zabita antylopę z ramion. Już

samo pozbycie się martwego ciała sprawiło, że stał się bardziej ustępliwy.

„Nie będę z nim walczył. Podzielimy się kozłem, starczy dla nas obu.

A potem wrócę sam na sawannę.”

Hominid okazał się jednym z młodzieńców z klanu. Był to chłopak

o wargach rozsuniętych w nerwowym uśmiechu. Pozwolił Kenowi zbliżyć się

niemal na długość ramienia, po czym odwrócił się i oddalił niepewnym biegiem. Ken znowu zarzucił antylopę na ramię i ruszył w ślad za chłopcem.

Gdzieś przed nim podniosła się wrzawa. Dziecięce ciała smukłych przedzierały

się ku niemu przez gęstwinę. Na przedzie biegł Długopalcy z oczami wielkimi

jak spodki.

Kiedy fala młodzieży zbliżyła się, Ken wyczuł zmianę w sposobie, w jaki

go przyjmowali. Wydawali się hałaśliwi, podnieceni i przyjacielscy, podczas

gdy podążająca za nimi przywódczyni oraz jej towarzyszki przeciwnie

zachowywały się chłodno, niemal lodowato. Na widok obcego kobieta powoli

się zbliżyła mrużąc oczy i zaciskając wargi od hamowanego gniewu.

Ken uśmiechnął się do niej szeroko. Miał pewien pomysł. Padł na ziemię

i z twarzą schyloną nad butwiejącymi liśćmi, w pozie uległego oddania,

pełzł

w kierunku przywódczyni, pchając przed sobą zabity antylozę.



# 4

Nadal popychał przed sobą kozła, chociaż przywódczyni siadła już na ziemi. Pozostałe kobiety zgromadziły się wokół niej, dzieci natomiast przycupnęły za Kenem, owiewając gorącymi oddechami jego pięty. On zaś — nie taki głupi jak na sapiensa — wiedział, że im bliżej podpełza, tym większą zyskuje akceptację, więc dopchnął zabita antylopę aż do kobiety.

Chwyliła zwierzę za rogi i przyciągnęła do nagiego łona przy wtórze głośnych oddechów i radosnych pokrzykiwań młodzieży, która gotowa była rozerwać świeże mięso, nie przestrzegając ustalonego porządku dzielenia się jadłem. Ken usiadł prosto, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Członkowie klanu zaniechali obowiązującego przy posiłkach *savoir-vivre'u* epoki kamiennej, niemal tracąc poczucie dyscypliny.

Niektóre kobiety trzymały się z tyłu, usiłując odgadnąć nastrój przywódczyni, inne opadły na ziemię, by zająć miejsce w pobliżu mięsa. Ciotka Długopalcego uparcie chyliła cofnięte czoło. Ale trudno jej było oprzeć się błyszczącym dziecięcym oczom i przyspieszonym oddechom. Krzepka schyliła się, trzymając w ręku obłupany na kształt noża kamień. Przywódczyni wzięła go i zaczęła ćwiartować mięso, trzymając je przy piersi. Wyglodniała młodzież napała, omal jej nie przewracając, kobieta cofnęła się więc i

wpadła  
na spoconego obcego. Pozostał na swoim miejscu, nieporuszony jak  
słup.

Spróbowała się odsunąć, ale głodni pobratymcy popchnęli ją znowu ku  
niemu.

Ciało kozła zostało otwarte.

Ken zanurzył w nim ręce, jakby było tacą z jedzeniem.

W ciepłym wnętrzu napotkał ręce co śmielszych młodzieńców, a  
także

dłoń przywódczyni — twardą, nerwową i szybką niczym nieobliczalne  
małe

zwierzątko.

Usiłował pochwycić jej spojrzenie, spoglądając kątem oka na nią,  
a następnie na mięso, czym wykazał zarówno zainteresowanie  
posiłkiem, jak

i pełną szacunku cierpliwość.

Uparcie patrzyła na posilające się dzieci.

Wnętrznosci kozła, jeszcze parujące, wysoko oceniono ze względu na

miękkosc i brak kości. Gorliwe palce walczyły o serce i wątrobę. Ken zanurzył dłonie w ciepłym ciele zwierzęcia, odnalazł śliską wątrobę i wydarł

ją, unosząc do góry, ponad stłoczone ręce. Oderwał kawałek dla Długopalcego, który przyskoczył, by pochwycić łakomy kąsek.

Przywódczyni rzuciła Kenowi krótkie spojrzenie zmrużonych i pociemniałych oczu, jakby ich kąciki napełniono atramentem. Pochylił się ku niej —

żuła hałaśliwie, jakby chcąc trzymać go w szachu. Wyczuwał jej niepomierne

zdenewrowanie, gdyż zupełnie nie wiedziała, co okaże się najkorzystniejsze

dla klanu. Czy powinna zachować nieufność i przegnać obcego, czy też traktować przyjacielsko potencjalnego sprzymierzeńca?

Ofiarował jej resztę wątroby. Ugryzła spory kęs, a pozostałą część rzuciła

w błagalnie wyciągnięte ręce dzieci. Ken zauważył spojrzenie, jakie skierował

ku niej Długopalcy, spojrzenie wstrząsająco dojrzałe i uspokajające, które

mówiło, że obcy jest w porządku. Od jak dawna tak na nią patrzył? Widząc,

że przyjęła mięso od Kena, wyszczerzył zęby u uśmiechu na znak aprobaty.

„Ludzkość to pojęcie względne...”

Wstając z miejsca przywódczyni oparła się przelotnie o Rena. Podeszła

do niskiej gałęzi, oderwała kawałek „brody starca” i starła z siebie krew

zabitego kozła. Obserwował ją. Gdy stała, jej naturalnie wyprostowane, chude

i atletyczne ciało wydawało się wysokie.

Rozkoszował się odpoczynkiem i bezpieczeństwem. Żołądek trawił jedzenie, ciało ogrzewał ciasny krąg młodych hominidów, nozdrza wypełniał

surowy zapach pyłu oraz potu nie mytych ciał. Wszystko to stwarzało swojskie poczucie bycia u siebie.

Coś jednak w tej spokojnej scenie go niepokoiło I wreszcie to ziden-

tyfikował: utracił swoje poczucie odmiennosci. Oni wydawali się już tacy

ludscy.

Spoglądał po znanych już twarzach i stwierdził, że musi nadać im imiona.

Długopalcy pozostał chwilowo Długopalcym. Chłopiec z grzebieniem strzał-

kowym otrzymał imię Jeżyk. Krzepką kobietę ochrzcił mianem Rzepa.

Przywódczyni, będąca matką całego klanu przez wzgląd na więzy krwi lub tylko dzięki zajmowanej pozycji, stała się Niawo, co w języku suahili oznacza matkę. A jej wiecznie uśmiechnięty syn otrzymał przydomek Uśmieszek.

Posilający się młodzieńcy napierali nań tak mocno, że wreszcie poruszył się i odepchnął ich od siebie. Uwolnił nogi. Długopalcy krzyknął ze zdziwienia, wskazując na jego stopy — niezmiernie obrzmiałe i znaczące trawę śladami krwi. W mgnieniu oka gromadka dzieci zebrała się znów wokół niego, dotykając jego stóp, szczypiąc je i łaskocząc. Wydawały się uspokojone

---

obcy krwawił, jak każde normalne stworzenie.

Niawo wkroczyła, ze zwykłą u niej nerwową niecierpliwością, by zobaczyć, o co chodzi. Zerwała kilka liści, zgniotła je w kulkę, zmieszała ze śliną i opadła na kolana, by oczyścić jego krwawiące stopy. Nie robiła tego delikatnie, ale szybko i sprawnie. Długą i twardą dłonią obmacała jedną ze

stóp i w poszukiwaniu złamanych stawów poruszała poobcieranymi serdel-

kowatymi paluchami, po czym zrobiła to samo z drugą stopą. Potem ułożyła

obie na trawie, jakby Ken był rozpieszczonym dzieckiem. A on usiłował opanować przyływ wzruszenia podobnego do tego, jakie odczuwał przeby-

wając z chłopcem w sawannie.

- Tam, w stepie, pokochał tego chłopca. Nie mógł dopuścić do tego, by pokochać ich wszystkich. Zaczął się śmiać. Niawo spojrzała i długimi palcami

nerwowo przeczesła splątane włosy.

Potem wstała, a jej świta, nie wyłączając Rzepy, poszła w jej ślady.

Odeszli wymieniając dźwięki, których nie rozumiał. Rzepa wskazała pewien

kierunek, następnie inny, „omawiając”, być może, system wystawiania nocnych

posterunków. Niawo wydawała się bardzo zirytowana. Kiwnęła głową na

znak zgody, ale potem wydała jakieś piskliwe dźwięki, machnąwszy w powie-

trzu ręką w geście, który u wszystkich gatunków, od szympansa do sapiensa,

wyrażał zawsze to samo: mam już tego dosyć.

Ken usiadł prosto, obserwowany przez dzieci. Kobiety chwilowo się

oddaliły. Był to równie dobry moment, jak każdy inny.

Uniósł z trawy zakrwawiony kamienny nóż i odsunął na bok suche liście,

wyrównując ziemię dłonią. Zaczął rysować turaka — dziób, łapy, pióra.

Nawet pierwotny umysł powinien rozpoznać tak charakterystyczne cechy.

Długopalcy przykucnął i przypatrywał się ciekawie. Wokół zebrała się

reszta młodzieży. Ken oczyścił trochę większy kawałek ziemi, by narysować

drzewo akacji i kłusujące zebry.

Ciepłe oddechy owiewały mu kark i ramiona, a chór okrzyków i pojękiwań

brzmiał nieustannie, jednakże wyrażał tylko zaskoczenie, a nie zrozumienie.

„W końcu większość z tych dzieci nigdy nie widziała równiny” — powiedział

sobie, rysując żyrafę, która przyciąga wierzchołek akacji długim chwytnym

językiem. Rysował, ścierał, znowu rysował, usiłując pokazać realistycznie

szczegóły: niebo, otwartą przestrzeń, odległy horyzont; słońce można oddać

tylko za pomocą umownych symboli wizualnych. Mimo najszczęśliwszych

wysiłeków nie mógł tak naprawdę narysować sawanny.

Dzieci szeptały między sobą z ożywieniem. Długopalczy wydawał jakieś dźwięki, może coś tłumaczył. Ken wskazał go palcem, na co wszyscy inni się roześmieli, a Długopalczy spojrział zezem, skonfundowany. Potem inne dzieci pokazywały palcami Długopalcego i znów rozległy się śmiechy. Ken ujął ramię chłopca, uniósł do góry jego drobną dłoń i zamknął ją w pięść. Potem przysiadł i narysował pięść chłopca zaciśniętą na myśliwskim kamieniu. Obejrzał się przez ramię. Zmrużone oczy, skupione spojrzenia przypominające ostrza. Narysował resztę sylwetki Długopalcego rzucającego kamieniem w zającą na sawannie.

Ken spociał się i wywiesił język — dlaczego ludzie wysuwają języki w czasie pracy wymagającej koncentracji? Jaka część starszych zwojów mózgowych zostaje wtedy zaktywizowana? Przyjmował, że są to archaiczne odruchy odziedziczone po praludzkich antropoidach, które nadal używają ust

do chwytania i przytrzymywania; tak samo jak ludzki strach przed upadkiem stanowi spuściznę czasów, kiedy wszyscy późniejsi ludzie śmigali jeszcze po drzewach.

Poczuł na ramionach nieoczekiwany chłód. Uniósł wzrok. Uwaga obecnych zwróciła się w inną stronę, twarze skierowane były nie na niego, lecz na Długopalcego.

Wyglądało na to, że opowiadał im jakąś historię. Ken postąpił krok do przodu i siadł na ziemi za gromadką dzieci o drobnych nagich plecach.

Długopalcy „mówił”, ale jego mowa przeznaczona była w równej mierze

dla oczu co dla uszu. Obrócił się półprofilem, wydając dźwięk nie przypomi-

nający jego zwykłego „rrrr”. Przechyliwszy głowę na bok, rozpostarł ramiona,

trzepocząc dłońmi szybko, potem wolniej, jak... jak co? Jak zatrzymujące się śmigło samolotu? Kena zatkało, kiedy zdał sobie sprawę, że Długopalcy naśladuje lądowanie maszyny Hendrijksa.

Był nie tylko oszołomiony, lecz również pełen nabożnego podziwu,

choć tak naprawdę go to nie zaskoczyło. Mimika poprzedzała 'powstanie

mowy. Te istoty nie rozumiały rysunków i ich nie potrzebowały. Mimiki

nauczyły się na otwartych przestrzeniach, gdzie głos nie niesie się daleko,

a sygnały wizualne mają zasadnicze znaczenie przy polowaniu i podchodzeniu

zwierzyny.

Ken poczuł się głupio z powodu rysunków, nad którymi tak się napocił,

a jednak ekscytował go fakt, że skłoniły one Długopalcego do opowiedzenia

historii ich znajomości. Chłopiec pokazywał już, jak obcy wynurzył się z tej

przybyłej z nieba rzeczy. Wskazał palcem Kena, twarze dzieci zwróciły się

ku niemu, następnie ponownie w stronę małego narratora. Długopalcy

„mówił” używając krótkich dźwięków, którymi posługiwał się w sawannie,

lecz zarówno jego gesty, jak i zmiany w wyrazie twarzy cechowało większe

zróżnicowanie. Szczerzył się w uśmiechu, marszczył brwi, znów się uśmiechał,

wytrzeszczał oczy, robił posepną minę, mrużył oczy z konsternacją, prostując

się jednocześnie, potem rozluźniając, następnie znów naprężając — opisywał sceny niepewności i dramatycznego napięcia. Unosił dłoń, potem obie, zaciskał pięści. Wzruszał ramionami, wypinał pierś i wskazywał na Kena ręką albo spojrzeniem. Ken zauważył, że audytorium teraz tylko z rzadka zwracało się ku niemu — został bowiem zaakceptowany jako pojęcie i stał się częścią opowieści.

Długopalczy odgrywał sceny łowieckie. Przywołał niezwykle trudną do oddania postać lwa, po prostu ziewając szeroko otwartymi ustami, po czym ryknął straszliwie i odskoczył przerażony, odgrywając teraz samego siebie, przestraszonego atakiem lwa. Używając kości mboloko, demonstrował, jak lew został zabity za pomocą oszczepu, najwyraźniej przez niego samego, gdyż żadna twarz nie zwróciła się w stronę obcego! Odegrał ciężki upadek wielkiego kota i wyciąganie broni z jego cielska. Następnie uniósł kość nad drobną twarzyczkę i upuścił, a Jeżyk złapał ją natychmiast.

Długopalczy nieźle się bawił, widać to było wyraźnie, a potrafił przyciągnąć



uwagę audytorium. Twarze dzieci stały się niczym zwierciadła, w których

odbijały się jego pełne wzburzenia miny. Mimowolnie zaciskały pięści, skrzeczały zaskoczone, potem westchnęły z ulgą, jakby oglądały film.

U późniejszych potomków Długopalcego bogactwo gestów zastąpił złożony,

w pełni rozwinięty język, ale gestykulacja miała się zachować w ludzkim mózgu,

dzięki czemu współczesny sapiens nieustannie porusza oczami, ustami, brwiami,

rękami, ramionami i barkami. Gestykulacja ta miała stać się machinalna jako

relikt znacznie mniej werbalnego, za to bardziej wizualnego języka przodków,

którym Długopalcy przemawiał teraz do swych zachwyconych kuzynów.

Ken rozciągnął się na trawie i przyglądał, jak przyjaciel opowiada o ich

spotkaniu i wspólnym polowaniu. „Błyskotliwie, Długopalcy” — pomyślał.

To pierwszy krok, by nas wszystkich stąd wyciągnąć i wrócić na sawannę.

Uśmiechnął się z nadzieją, pewnością i, prawdę powiedziawszy, sporą dozą

egotyizmu. Być może nigdy nie zostanie to odnotowane w artykułach ani nie

będzie omawiane na kongresach naukowych, ale w swej własnej wyobraźni

Ken był tym, który zdobywał uznanie za wprowadzenie archaicznej rasy z powrotem do jej środowiska. Pomagał w ustanowieniu naturalnego biegu

ewolucji innego gatunku ludzkiego.

Na ramionach i piersi czuł jeszcze dotyk umierającego krzepkiego.

Spojrzał na zapięty na nadgarstku zegarek Haksara i przypomniał sobie perwersyjny pomnik ze szkieletów.

Nie chciał myśleć o śmierci. Rozejrzył się. Dorosłe kobiety obserwowały

Długopalcego, lecz ich reakcja była bardziej powściągliwa. Czy martwiły się,

że ich dzieci znęci perspektywa otwartych terenów łowieckich? Rzepa oddychała ciężko, a inne utkwily w dzieciach nieruchome spojrzenia i po-

trząsały ramionami jak poirytowane szympansy przed atakiem wściekłości,

kiedy rzucają wszystkim, co im wpadnie w rękę.

Dźwignął się na łokciach i kolanach. Chciał znaleźć jakieś miejsce, gdzie

mógłby porozmyślać w samotności. Leżąc jak małpa na czworakach, natknął

się na Niawo. Oczyszczyła się już z krwi kozła i — jak się wydawało — wystroiła, gdyż wetknęła we włosy kilka zielonych lancetowatych liści.

Jeden

włożyła do ust i żuła, tak że pachniało od niej miętą.

Spojrzał na nią. Odpowiedziała spojrzeniem.

Wyglądała teraz niemal krucho, jak samo życie. Ważyła niecałe sto funtów, ale Ken przypomniał sobie, jak zdecydowanie przewróciła go w dzikim

lesie. Co zamyślała teraz w swym małym mózgu?

Długopalczy skończył opowieść, a podekscytowana gromadka rozproszyła

się w trawie. Pozostałe kobiety dołączyły do dzieci, obrzucając Kena ostrożnymi spojrzeniami. Miał wrażenie, że wie, o czym myślą, sądził też, że

martwią się nie bez racji. Stanowił dla nich wielki problem.

Położył się obok Długopalcego, który przysunął się doń blisko, obejmując

zaborczo ramieniem. Ken zamknął oczy. Pod powiekami przesuwaly mu się

obrazy zapamiętane z sawanny. Zobaczył swoje pierwsze spotkanie z chłop-

cem — obaj pili z brudnej kałuży — ale zastanowiło go, w jaki dziwny

sposób zapamiętał te sceny. Oglądał je jakby z mniejszej wysokości, barwy nie były tak jasne, perspektywa zdawała się płaska, z kolei ruchy zwierząt widziane z niewiarygodną precyzją. Atakujący lew przeraził go teraz bardziej niż wówczas, gdy Ken sam jeden stanął mu na drodze.

A potem zobaczył jasnoskóre stworzenie, którego głowa wydawała się dobrze znana, a jednocześnie zupełnie fantastyczna, podobnie jak inne części

ciała i ruchy. Ta nieznaną istotą uniosła jakiś przedmiot, który zdawał się błyszczeć, choć nie był świecący ani przezroczysty; odznaczał się specjalnym kształtem — był prosty i cienki, a to sprawiło, że był tak wyjątkowy i lśniący.

Lew rzucił się na ten przedmiot, został przeбит i padł, aż zatrzęsła się ziemia.

Oczy dziwnej istoty załśniły, a z jej gardłowa wydobył się wstrząsający dźwięk — głośny nieharmonijny ryk. Ta dziwna istota to...

...To on sam. Teraz zrozumiał znaczenie niezwykłych obrazów i dziwną

perspektywę, z jakiej odbierał rzeczywistość. Oglądał sawannę i siebie oczami

Długopalcego. Widział ich spotkanie z perspektywy chłopca, w której Ken, sapiens, był tym drugim człowiekiem.

Otworzył oczy. Zaprzagnął się i rzucić jakąś sceptyczną uwagę w rodzaju „daj spokój” albo „tego już za wiele”.

Ale wyglądało na to, że przestał myśleć werbalnie. Zamiast tego, odnalazł w sobie zdolność percepcji hominidów.

Zaczął odczuwać strach.

Rozejrzał się po polanie. Każdy liść, każde źdźbło trawy stały się bliższe

i jakby bardziej płaskie, a jednak pozostawały w ostrym kontraście do wszystkich

innych kształtów i obiektów. Zapewne dlatego, że oczy australopiteków nie

widziały tak dobrze na daleki dystans ani nie były przyzwyczajone do otwartych

terenów. W ciasnym lesie, obejmującym człowieka jak łono, zmysł przestrzeni

nie miał takiego znaczenia. Ale wszystko, co poruszało się lub znajdowało

w niewielkim oddaleniu, wyglądało na potężniejsze i bardziej rzeczywiste, jakby

dla podkreślenia dramatycznego wpływu, jaki wywierało na życie jednostki.

Także inne zmysły, nie tylko wzrok i wyczucie ruchu, wyostrzyły się.

Skóra zmieniała się w drgające pole czułe na zmiany temperatury otoczenia.

Własny brud działał irytująco, a jednak nie budził odrazy. Ken podrapał się

po piersi, ramionach, brzuchu, nogach, między palcami stóp. Ciało pokrywały

mu liście, pył i próchno leśne. Oczyszczył pory skóry paznokciami, pozwalając

jej odetchnąć. Zauważył, że pierwotnemu człowiekowi kąpiel zastępowało

drapanie się, wyskubywanie i czesanie. Nie wymagało to wody przeznaczonej

do picia. Później, kiedy w sawannie przodkowie człowieka napotkają obfitość

wody, nauczą się — dzięki pływaniu — myć swoje ciało.

Ujrzał siebie oczami praludzi: istotę o ciężkiej głowie, wydającą ostre

porykiwania i wykonującą dziwne urywane ruchy. Jednak dało się go zaakceptować i zrozumieć. Zalała go fala szczęścia i ciepła, oszałamiająca jak

orgazm. Nie różnimy się tak bardzo!

Zrozumiał, że smukli chcą nawiązać z nim kontakt, choć są przestraszeni

i zaintrygowani jego wpływem na ich przyszłość. Zobaczył Niawo — zdawała

się stad bardzo blisko, prawdopodobnie ze względu na spłylenie perspektywy.

Owiał go jej oddech. Uświadomił sobie jednak, że odbiera nie zapach ciała

samicy hominida, lecz desperację genów, w której zawierało się palące zaciekawienie pewną częścią jego ciała.

Jego lędźwiami.

W nich samych nie było nic niezwykłego, lecz Niawo wyczuwała, że Ken

nie posiada potomstwa, a jeszcze bardziej intrygowało ją, iż nie przybył tam,

by znaleźć sobie kobietę.

Ta desperacja genów budziła jego lęk. Spojrzał w oczy prakobiety i odnalazł

w nich coś pierwotnego, obejmującego wszystkie pozostałe funkcje — fizyczne

i mentalne — coś, co stało się częścią jej inteligencji, prężności, odwagi, świadomości celu oraz szybkości decyzji. Było to tak silne i tak wymowne, że

w imię tego wszystko, nawet zabicie innych ludzi, stawało się usprawiedliwione.

Ken patrzył na ten dar prakobiety z zazdrością, a potem zagłębił się w sobie, by sprawdzić, czy on sam, jako sapiens, wciąż posiada ów dar.

Sięgnął nieoczekiwanie głęboko i znalazł w sobie palącą tęsknotę za kobietą, tak przemożne pragnienie zespolenia się z nią, że zadrgał każdy atom

jego ciała i każdy por nie mytej skóry. Zdawało mu się, że spoczywa nie na

nagich plecach, lecz na niezbadanych pokładach tajemnic przodków, na dziedzictwie sięgającym aż w pliocen.

Zanurzył się w oczach Niawo niby w bezdennej studni instynktu.

Serce

zabiło mu żywiej, błagał ją o coś bez słów, choć nie był pewien o co.

Błagał,

aż wreszcie wstała i bezlitośnie oddaliła się.

Wtedy wyszedł ze sfery percepcji praludzi. Rozpacz genów nie opuściła

go, ale jej pulsowanie osłabło, a umiejętności językowe sapiensa znów stały

się dostępne.

Jego pierwszą świadomą myślą było: „Zabiję cię, Raju Haksarze. I ciebie,

Modibo. Wszystkich was zabiję, jeśli — rozmyślnie lub nie — zrobiliście

coś, by doprowadzić do wyginięcia tej rasy.”

Potem zawołał w duchu; „Ngili, stary przyjacielu, musisz tu przyjechać

i tego spróbować. Jest mocniejsze niż *Uganda Blue*.” *Uganda Blue* to rodzaj

trawy, którą popalali pracując w barze hotelu „Naivasha”. Jak mówiono, to

paskudne, zabójcze zielsko zabija, jeśli ulegało mu się dość długo.

Desperacja genów nie zamaçała umysłu. Tworzyła krystaliczne wizje,

gdyż nie był to narkotyk, lecz po prostu sama racja istnienia.

Niawo wraz z kobietami zajęła się budową schronienia na noc, Ken natomiast obserwował ją, wyczuwając jej napięcie.

Wybrała młode drzewka, wygięła je i związała u góry z niezręcznością,

jakiej nigdy u niej nie widział. Zaczął się pocić. Czy ona buduje schronienie

dla siebie i... dla niego?

Nie. Nie. Dość tego szaleństwa.

Skąd mógł wiedzieć, o co jej idzie? Oszukała go tego ranka, wiedział więc, że jest do tego zdolna, jak wszyscy inni ludzie, nawet jeśli nie posiada umiejętności abstrakcyjnego myślenia. Jej zdolność abstrahowania ukierunkowana została na zdolność przetrwania i równała się sztuce oszukiwania, komunikowania nie wprost, lecz ukrywania prawdy. Rzeczywistość fizyczna była konkretna i prosta, ale żeby przeżyć, kobieta musiała planować i kusić innych, by weszli w świat wymyślony, który można wykreować bez języka czy abstrakcyjnego myślenia.

Uniósłszy głowę, Ken dojrzał idącą znów ku niemu przywódczynię.

Gotów był powiedzieć tej prakusicielce, że świadom będąc jej zdolności abstrahowania i zwodzenia, poty tu pozostanie nęcąc ją korzyściami sojuszu, póki nie odkryje, dlaczego tak naprawdę tu się znalazł. A może...

Nie, nie.

„Nie jestem Ulissem z wysp małpich nimf. Jestem człowiekiem współczesnym. Jestem... Kennethem T. Lauderem”.

To nazwisko, które nigdy nie budziło jego zastrzeżeń, zabrzmiało teraz

śmiesznie. Kobieta wskazała gestem, by wczłogał się do zbudowanego przez nią zielonego domu i położył. Wpatrywał się w tę małą chatę z liści, usiłując

odgadnąć, czy przeznaczono ją dla jednej czy dwóch osób. Mijając kobietę, znów się pocił i drżał w obawie, że ona może to odebrać jako przejaw zainteresowania erotycznego.

Wsunął się już częściowo do wnętrza, gdy czyjeś ciepłe ciało pchnęło go

w pośladki, tak że wpadł do środka. Obrócił się na plecy, gotów unieść kolana

i bronić swych genitaliów.

Był to Długopalczy. Wpychał się, by zrobić sobie miejsce, niczym szczeniak do zajętej już budy. Siedząca na zewnątrz Niawo pochwyciła spojrzenie Kena i parsknęła. Wypluła żuty liść dzikiej mięty. Następnie wstała

i związała nad nimi dach. Ken chwycił Długopalcego niczym tarczę. Chłopiec

z zadowoleniem przytulił się do jego spoconego ciała i beknął. Znaczyło to

u niego tyle, co: „już koniec dnia, jestem szczęśliwy i zmęczony”.

Przywódczyni odegnała mruknięciami inne zebrane wokół dzieci.

Jej

wiecznie uśmiechnięty syn usiłował marudzić, ale ona odepchnęła go i zajęła się łamaniem i wiązaniem dalszych pniaków, by ulepszyć szalę. Potem sama się położyła, przytulając do Kena i Długopalcego. Poczul jej ciepło, zmieszane z jego własnym i dziecka.

Stał się wrażliwy na wszelkie cielesne wygody. Więc choć denerwowała go jej bliskość, ukojony jej ciepłem zapadł w głęboki sen.

Zbudziło go dotknięcie czyjegoś palca na grzbiecie łydki.

Wstał, odrętwiały, oślepiiony ciemnością, i stwierdził, że dotyka go nie ręka, lecz stopa. Niawo pocierała o jego łydkę długim, przypominającym kciuk paluchem.



Pochylona u wejścia do szałas, zaglądała do środka. Otarłszy się o Kena, sięgnęła ręką do wewnątrz. Wstrzymał oddech. Ale ona potrzęsła tylko chłopca za ramię. Długopalcy poderwał się, waląc głową o dach z gałęzi.

Wyciągniętym ramieniem wskazała las za legowiskiem klanu. Mówiła

im, że są wolni, że mogą teraz — jeśli chcą — odejść z powrotem na ukochaną sawannę. Teraz, kiedy wszyscy spali.

„Co mam robić, u diabła” — zastanawiał się Ken.

Ta pierwotna kobietka wydawała się taka drobna i krucha.

Ogarnęło go paralizujące niezdecydowanie, zmieszane ze swego rodzaju

tchórzostwem. Spał w ciepłe ciała innych hominidów. Nie miał ochoty wychodzić w noc.

Wszyscy troje drgnęli słysząc dobiegający z oddali dźwięk. Jakies ponure wycie.

Długopalcy natychmiast siadł — ramię przy ramieniu z Kenem — spięty, choć nie przerażony. Wycie powtórzyło się, a po nim nastąpiła dzika

wrzawa. Głosy nie brzmiały jednakowo — w jednych przejawiała się agresja, inne były niewyraźne, chrapliwe, jakby zaspane. Jakiś senny głos

przeszedł nagle w mrozący krew w żyłach wrzask. Rozległy, niewidoczny

teren rozbrzmiewał okrzykami bólu, jakby naraz wiele stworzeń krzyczało

i umierało. Obie rasy znowu ze sobą walczyły, a jedna zdobywała przewagę.

„Spokojnie — powiedział sobie Ken — miałeś szczęście, że nie wpadłeś

w tę zasadzkę. Wszystko skończyłoby się w parę sekund. Lepiej trzymaj się

tego małego stworzenia.” Chłopiec drżał na całym ciele. Ken przyciągnął go

bliżej, myśląc znowu: „Dość już, ilu was tam jest, wy dzikie samce zabijające

się na oślep, po nocy! To zabijanie nie ma sensu, jest mnóstwo przestrzeni,

nie ma potrzeby...” Znowu mrozące krew w żyłach wrzaski. Głuche łomoty.

Okrzyki zachęty, głośnie ponaglenia, świadczące o drugim ataku. Przypominało

to niemal muzyczny spektakl... Spektakl śmierci w ciemnościach plioceńskiego

lasu. Ken zaciął zęby. Dosyć. Dosyć. Dosyć.

Wszystkie kobiety poderwały się ze snu. Jedna, leżąca w pobliżu, zawyla

w panice tak głośno, że dwie pozostałe wskoczyły na nią, by stłumić okrzyki

własnymi ciałami. To Rzepa, kobieta krzepkich. Pozostałe wymieniały jakieś krótkie słowa, przypominające komendy na statku w czasie sztormu. Dzieci poczęły płakać, matki zasłaniały im usta dłońmi. Niawo podniosła się i weszła pospiesznie między drzewa. W ślad za nią podążyły dwie inne kobiety i wszystkie trzy zniknęły. Pozostałe przykucnęły nerwowo, gotowe chwycić i uciszyć każdego, kto wpadłby w panikę. Ale nikt tego nie zrobił. Wszyscy, nawet nie mogąc odgadnąć wyniku odległej bitwy, wiedzieli, co ona oznacza. Nawet milczenie dzieci sygnalizowało, że są przerażone, choć wcale nie zaskoczone.

Wreszcie odgłosy bitwy poczęły cichnąć, okrzyki i wycia ściganych oddalały się. Noc zdawała się nie mieć końca. Potem zapadła cisza.

Ken wciąż tulił Długopalcego do piersi — bicie serca małego  
hominida

przypominało trzepot ptasiego skrzydła — kiedy dostrzegł pomiędzy  
drzewami

Niawo. Pozostałe kobiety podążały za nią niespiesznie, jakby znały  
wynik

bitwy. Kobiety przytrzymujące Rzepę uwolniły ją, ona zaś, szlochając,  
podbiegła kołyszącym się krokiem do przywódczyni, która przytuliła ją  
do

piersi. Obie odeszły chwiejnym krokiem, złączone uściskiem,  
wyrażającym

niedolę krzepkiej i ulgę smukłej.

Ken, cały rozdygotany, położył się i próbował zwalczyć  
egoistyczne

uczucie ulgi. W lesie smukli znów byli górą.

# 5

Cyrilu, wszyscy się ekscytują twoim małpoludem, ale nikt nie chce otwierać książeczek czekowych — rzekł Ramsay Beale, czołowy londyński bankier inwestycyjny, który poznał się z Cyrilem w Oksfordzie w latach pięćdziesiątych. — Dziś rano Harry Ends z Royal Dutch Shell zbył milczeniem kwestię inwestycji, zapytawszy mnie uprzednio z dzikim wzrokiem: „Rams, jak ci goście wyglądają? Jakiego są wzrostu? Jak się pieprzą?!” Cyrilu, wszyscy pytają, jak te stworzenia się pieprzą. Harry będzie dziś u mnie na obiedzie. Pomyślałem, że dam mu chyba szansę, by zmienił zdanie. Zobaczysz, wyciśnie z ciebie wszystkie informacje, wątpię jednak, czy wyłoży choć szylinga.

Cyril i Ramsay jechali bentleyem, stanowiącym własność tego ostatniego, w stronę wschodniego Londynu. Obrali nietypową trasę, południowym brzegiem Tamizy, wzdłuż Jamaica Road i innych ulic tworzących niegdyś serce miasta. Teraz pełniły one funkcję głównych arterii barwnych dzielnic emigrantów. To Anderson zaproponował tę trasę.

— A co z rządem jej królewskiej mości? — spytał Cyril z

zartobliwym

dystansem, chcąc zbagatelizować ewentualną kolejną odmowę.

— Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Premier powiedział:

„Ten

program to zabawka dla miliardera. Mam nadzieję, że twój

przyjaciel na nas

nie liczy”.

— Już nie. Czy premier też przychodzi do ciebie na obiad?

— Nie wiem. Zapytam go.

Londyn spowijały mikroskopijne kropelki paskudnej, wszystko

przenikają-

cej mgły. Wskutek tego ulice przypominały pierwotny wszechświat

wyrzucają-

cy z siebie czterokołowe mgławice. Tuż przed nimi uformowała się

mgławica

ciężarówka. — Uważaj, Rams! — wrzasnął Cyril. — Na litość boską!

Ramsay zdołał ją wyminąć. Anderson wymamrotał bez tchu: — To

miasto jest zawsze takie samo ■— mokre, zaprzątnięte własnymi

sprawami

i niełatwo pozwalające sobie zaimponować. Dokonałem wstrząsającego

odkrycia i nie mogę uwierzyć, że nikt na nie nie reflektuje.

— Może jest zbyt wstrząsające. — Ramsay spojrział na starego przyjaciela.

Z zachowania Cyrila emanowało ogromne napięcie. — Skoro prosisz o miliony funtów, może powinieneś pokazać nam jedno z tych stworzeń. Dlaczego nie przywiozłeś go ze sobą?

— Jak miałbym to zrobić, Rams? To nie są jaszczurki, które można złapać i wsadzić do słoja.

— Cóż, przykro mi. Nasi bossowie biznesu są zupełnie pozbawieni wyobraźni.

Anderson miał wszelkie powody, by czuć niepokój. Tydzień wcześniej

londyński „Times” na stronie poświęconej nauce zamieścił wiadomość, że

palinolog Corinne Anderson objęła stanowisko pracownika naukowego w londyńskim Muzeum Nauk Przyrodniczych. Jej pierwszą pracą w laborato-

rium muzeum miało być datowanie starożytnego szkieletu wykopanego w Afryce przez profesora Randalla Phillipsa. Randall utrzymywał, że odnalazł

szkielet „z pomocą swojego byłego studenta, Kennetha Laudera”. Ngili nie

został wspomniany. W zwięzłym, wydanym wspólnie oświadczeniu Corinne

i Randall spekulowali na temat możliwości przetrwania żywych praludzi w nie zmienionym od miliona lat środowisku Mau.

Anderson dostał to wydanie „Timesa” w Nairobi. Tą samą pocztą nadszedł krótki list od Corinne, która doszła do przekonania, że ich małżeństwo

nie ma dalszej racji bytu i wynajęła adwokata, żeby przeprowadzić rozwód.

Cyril powiązał tę decyzję z wymienieniem na łamach „Timesa” jej nazwiska

obok Randalla. Zatelefonował do kilku brytyjskich naukowców i dowiedział

się, że Randall, zamiast jechać na urlop naukowy do Davis, zatrzymał się

w Londynie i zdobywał przebojem zainteresowanie środowiska naukowego,

pokazując próbki kości oraz zdjęcia odcisków stóp. On i Corinne występowali

wszędzie razem. Corinne wynajęła mieszkanie w South Kensington, a Phillips

tam właśnie odbierał korespondencję i faksy.

Wynajęli również niejakiego Luke’a Merricka, by pomógł im sprzedać

„ich znalezisko”. Luke brał trzysta funtów za godzinę i był jednym z dziesięciu

czołowych promotorów na Wyspach Brytyjskich.

Renegaci jechali na fali jego, Andersona, sukcesu i należało ich powstrzymać. Zadzwoił do Ramsaya Beale'a — przyjaciela nie należącego do społeczności naukowej, ale nieskończenie bardziej ustosunkowanego i wpływowego — i oznajmił, że przybędzie do Londynu i potrzebuje jego pomocy.

W Oksfordzie Anderson studiował paleontologię, a Ramsay biznes, ale

zaprzyjaźnili się dzięki międzywydziałowym włóczegom po pubach. Włóczęgi

te obaj kontynuowali przez następne lata, podczas odwiedzin Cyrila w Anglii,

w bardziej luksusowych przybytkach, oferujących też towarzystwo dam. W istocie związek obu mężczyzn pozbawiony był głębszej treści, łączyły ich

jedynie pijackie wspomnienia oraz niezwykle poczucie solidarności pod-

starzałych brytyjskich chłopców, którzy powinni byli władać światem, ale nie

mogli tego robić. Ludzie tacy jak oni dwaj stali się, używając słów Ramsaya,

„luksusowymi sługami ery Jankesów”.

Istniała między nimi umowa bez słów, że mogą pewnego dnia odwołać

się do przyjaźni zrodzonej z dawnych włóczęg po pubach. Anderson odwołał

się do niej praktycznie już w momencie, gdy wyszedł z bramki kontroli celnej

na Heathrow i poprosił Ramsaya o pomoc w sprzedaniu „autentycznych praludzi, Rams, których dopiero co widziałem w buszu. Nie idzie o jakieś

okrucy kości ani prawdopodobieństwo ich przetrwania, lecz poświadczoną

obecność. Muszę znaleźć ludzi, którzy wybulą dziesięć melonów na badania,

i to szybko, zanim ta trójka ganefów \* (Cyril posługiwał się hollywoodzkim

jidysz, żeby w oczach Ramsaya, pochodzącego z bardzo zanglizowanej i nobilitowanej rodziny żydowskiej, zyskać opinię człowieka *a la mode*)

nam

to ukradnie." — Trójkę ganefów tworzyli: jego żona, którą sobie zraził Phillips i Lauder. Anderson wyjaśnił, że Corinne miała romans z Lauderem.

Teraz, kiedy ich małżeństwo się rozpadło, sypiała z Randallem, ale na pewno

nie pozwoli odejść Lauderowi. — Cudzołóstwo, Rams, nie jest niestety niemoralne, nie w kategoriach strategii genetycznych. Corinne potrzebuje

Phillipsa, żeby zabezpieczyć się zawodowo, a Laudera dla uzupełnienia zestawu genów. To opcje najzupełniej normalne dla kobiety.

— A jakie są opcje mężczyzny? Dziewczynki, które trzymamy na boku? — zachichotał Ramsay.

Ale w głębi duszy wcale nie było mu do śmiechu. Beale'om urodziło się

dwu synów: jeden, jak można się było spodziewać, ciemnowłosy, drugi, nie

wiedzieć czemu, rudy. Rams już od dawna zastanawiał się, dlaczego synowie

są do siebie tak niepodobni. — Pomogę ci, Cyrilu. Pomogę ci usunąć ze sceny

Corinne i Philipa.

— Dzięki, stary. Tak *a propos*, będę potrzebował twojej pomocy w prowadzeniu tego interesu, jeśli go uruchomimy. A na razie potrzeba mi

trochę forsy.

Ramsay wypisał czek na dziesięć tysięcy funtów, po czym zabrał Cyrila

do hotelu „Claridge's". — Dysponując takim znaleziskiem, nie wypada zatrzymywać się gdzie indziej. Ale pamiętaj, Cyrilu, będę o tym mówił z czołowymi inwestorami świata. Lepiej więc, żebyś miał się czym pochwalić.

— Nie martw się. — Nazywało się to dorabianiem ideologii, a w tej



dziedzinie Cyril nie miał sobie równych. — Widziałem naszą przeszłość,

Rams — rzekł podniesionym głosem — jest zdumiewająca, i co więcej

skrywa w sobie przyszłość. Badając jedną fałdę mózgową, jeden ząb moich

istot (za zupełnie słuszne uznał nazywanie ich swoimi), można osiągnąć tyle,

co odkrywając obiekty w przestrzeni kosmicznej.

— Cyrilu, naprawdę widziałeś te stworzenia?

Jak ciebie teraz — skłamał, nie mrugnawszy okiem.

Ramsay szukał sponsorów przy śniadaniu, lunchu, w czasie drinków i obiadu. Rozmówcy wydawali się oszołomieni, ale datki się nie sypały. Z pieniędzmi było krucho. Cyril namawiał Ramsaya, żeby wydał nieformalny

\* *Ganef*— w języku jidysz oznacza złodzieja.

obiad dla przyjaciół, w tym kilku czołowych postaci, które odmówiły. Był

przekonany, że nawiązawszy osobisty kontakt, zdoła ich przekonać. — Poczekaj, Rams, niech no tylko opiszę te małe typki o kolorze kawy z mlekiem; są zdumiewające. Trochę krzyżowania i może uda nam się wyhodować" nową ludzką rasę.

— W jakim czasie? — zapytał praktycznie Ramsay.

— Może w dziesięć lat. Szkoda, że nie mogłeś w to włączyć Royal Dutch

Shell, potrzebny mi ktoś taki jak oni. Mogliby nas finansować przez lata, nie

krępując się prasą i inną hołotą.

Obiad miał być wydany tego dnia. Londyńska Tower zniknęła za nimi,

a Bentley pędził Jamaica Road. Rams spoglądał raz po raz w lusterko wsteczne, gdyż Cyril powiedział mu, że mogą być śledzeni.

— Dlaczego ktoś miałby cię śledzić, Cyrilu? Jak na razie jeszcze nic nie dostałeś.

— Założmy, Rams, że moje czekoladowe parantropy dadzą się oswoić,

obserwować i tak dalej. Zdajesz sobie sprawę, że oznaczałoby to zaistnienie

obok naszej ludzkiej rasy innego gatunku człowieka? Stworzyłoby to straszliwe

problemy. — Rams bezwiednie zeszywniał pod wpływem tonu Andersona. —

Na przykład pilnowanie takiego znaleziska nasunie ogromne problemy

logistyczne. I dalej, samo istnienie tamtych stanowi pewne przesłanie: my,

sapiensy, nie jesteśmy już, że tak powiem, wybrani. Mogą nimi być oni.

Wprowadzę niewiadomą, która spowodowałaby rozdarcie świata, jaki znamy.

Rozumiesz teraz?

To był cały Anderson. Swoim głosem, swoją postawą rozbudził w Ram-

sayu lęk aż w głębi trzewi. Bankier poczuł, że powinien przestrzec rozmów-

cę. — Musimy pozostawić jakiś margines swobody, żeby się z tego wycofać,

Cyrilu. By móc ostro zahamować, że tak powiem...

— Oczywiście — zgodził się Cyril. — Nie odmówimy przyjęcia potajem-

nych datków, jeśli będą godziwe. — Bankier zdawał się dumny z tego, że

bierze w tym udział, a zarazem dosyć przestraszony.

— Z kim się spotykasz w Greenwich, Cyrilu? Z innym naukowcem?

— Tak. Z takim, którego — tak jak nas — niepokoją implikacje tego

wszystkiego.

Wjechali do spokojnego i zalanego deszczem Greenwich. Ukazał się

Greenwich Park—już nie gwarny, lecz wciąż królewski pod wielowiekowymi dębami i kasztanami. Pojawiło się Muzeum Morskie, poszarzałe z upływem

lat, stojące frontem do brudnej rzeki.

— Mógłbyś zostać w pobliżu jakiś kwadrans, Rams? Mój rozmówca czeka w parku.

— Jasne, w tej uliczce jest mały pub „Lord Nelson”. Zaparkuję tam.

— Dzięki. — Cyril wyskoczył z bentleya i ruszył spokojnym krokiem w stronę parku.

Kiedy Anderson zniknął za starymi dębami, wydobył z kieszeni lekki przenośny telefon i wybrał numer w South Kensington. — Tak — odezwał się krótko jakiś stanowczy męski głos. Cyril się przedstawił. Mężczyzna powiedział mu, że Corinne, Randall i Lukę Merrick są po przeciwnej stronie ulicy, w mieszkaniu jego żony. Cyril zapytał, czy deszcz nie przeszkodził w nagrywaniu rozmów. Tamten odparł, że wcześniej były kłopoty, gdyż krople deszczu przecinały promień lasera, ale teraz przestało padać i odbiór jest wyraźny. Czy chciałby wysłuchać kawałka?

— Tak — odrzekł Anderson. Rozległ się trzask przełączania linii, a potem czyjś głos. Rozpoznał Lukę'a Merricka. — Wiem, że istnienie innej rasy ludzkiej to rzecz niewiarygodna. Ale to tylko idea. Potrzebujemy czegoś więcej. Czy możemy przyjąć, że te wasze małpy mają w swoich organizmach — w swoim DNA — jakiś płyn mogący leczyć impotencję? albo likwidujący łysinę? albo przedłużający nam życie do dwustu lat? albo...

— Leczący AIDS? — zapytał głos Corinne, wyraźnie i ostro.

— Czemu nie? — odparował niewinnie Merrick.

— O czym ty, kurwa, opowiadasz, Lukę? — To głos Randalla. Dobiegał

z głębi, krzepki i nieokrzesany, zwłaszcza w porównaniu z dystygowanym tonem Brytyjczyka. — Co ty pleciesz? Dajemy ci sensacyjne znalezisko i chcemy, byś je sprzedał ze względu na jego wartość...

— Randall, Randall — błagała Corinne.

Anderson poczuł się wstrząśnięty. Corinne zwracała się do Phillipsa w sposób tak zażyły. Nie było co do tego wątpliwości.

— On stara się zrobić z praludzi coś w rodzaju UFO-ludków — stęknął Phillips.

— No cóż, owszem — odparł promotor przedsięwzięcia. — Dlaczego

ktoś miałby topić miliony w tym stworzeniu, skoro nie lata ono w powietrzu ani nie robi czegoś równie cudownego?

— To złe podejście, Lukę — rzekła Corinne spokojnie, lecz mocno. —

I właśnie na to musiałam się godzić przez całe lata. Cyril to zupełnie nieznośny sprzedawca sensacji. Sądziłam, że będę mogła wreszcie żyć trochę uczciwiej...

— Nie kłóćmy się — rzekł promotor. — W ciągu dziesięciu minut znajdzie się w tym pokoju dziewięciu najbardziej opiniotwórczych ludzi

w Londynie. — Cyril bezwiednie zacisnął zęby. Na tle rozmowy odezwał się

zdecydowany głos nagrywającego. — Podoba się panu odbiór?

Cyril zmusił się do mówienia. — Tak. Mam nadzieję, że nas nie słyszą?

— Naturalnie, że nie. To bardzo zmyślne urządzenie. Proszę się odprężyć.

W połowie opustoszałej drogi wiodącej do Królewskiego Obserwatorium

pojawił się mężczyzna w kapeluszu i nieprzemakalnym płaszczu. Cyril wziął

się w garść i szepnął pospiesznie do nagrywającego: — Nagrywaj dalej.

Wróć za godzinę.

Składał delikatny aparat telefoniczny, myśląc, że Corinne miała sporo tupetu wspominając o ucziwości.

Drgnął na widok mężczyzny około sześćdziesiątki, o zimnych szaro-niebieskich oczach i siwym wąsiku widocznym spod runda kapelusza i podniesionego kołnierza płaszcza. Istna karykatura detektywa z lat pięćdziesiątych.

— W latach pięćdziesiątych Haksar był agentem kenijskiej Policji Kolonialnej — rzekł rozmówca Andersona, kiedy szli pustymi alejkami parku. — Znał biegle dialekty afrykańskie, i tak naprawdę nie miał wyboru, musiał dla nas pracować, gdyż potrzebował pieniędzy na kontynuowanie studiów. „Pieniądze, zawsze pieniądze” — pomyślał Anderson. — Otóż, kiedy w Kenii powstał ruch niepodległościowy, zdławiliśmy go z łatwością, chociaż miały miejsce te wszystkie straszne wypadki dotyczące partyzantów Mau-Mau, ich tajemnej przysięgi, torturowania wieśniaków, którzy nie chcieli jej złożyć, wyłupywania i nabijania na patyki oczu tym, którzy ją złamali. Takie rzeczy się zdarzały. Z łatwością jednak położyliśmy temu kres, dysponując bronią palną i lotnictwem.

Mżawka spadała na przemoczone włosy Cyrila i jeżyła wąsiki jego rozmówcy, niewielkie i starannie przycięte, stanowiące typowo kolonialny atrybut męskości.

— Pamięta pan pilota nazwiskiem Hendrijs? — spytał Cyril.

— Afrykaner z Kraju Przylądkowego? Owszem, pracowały dla nas przybłędy rozmaitego autoramentu. Mieliśmy do pomocy więcej szpiegów i zdrajców niż potrzebowaliśmy.

Ciągnął dalej, opowiadając o okropnościach wojny głosem zbyt bez-namiętnym, by wzbudzić u swego słuchacza smutek czy zadumę. — A potem wpadliśmy w niezłą kabałę, ponieważ zależało nam, by wojna trwała, żeby otrzymywać dostawy broni i żywności. I żeby zarobić na awans, rozumie pan?

Tak więc wymyśliliśmy tę historię — w istocie to ja ją wymyśliłem. — Mężczyzna z wąsikiem zachichotał z niejaką dumą. — Utrzymywaliśmy, że Mau-Mau wycofali się rzekomo pod grań Mau. Spojrzałem na mapę, zobaczyłem nazwę tego łańcucha górskiego, mniej więcej taką samą jak nazwa ich ruchu. I bach, zaraportowałem do Londynu, że tam się wycofali....

— A nie było tak? — przerwał mu Anderson. — Wyjechałem wtedy

z Kenii, ale coś o tym słyszałem.

— Ja myślę, że nie — rzekł tamten pogardliwie. — Wsadziliśmy Jomo Kenyattę do więzienia, a resztę rozpedziliśmy na cztery wiatry. Może jakaś garstka marzła jeszcze w śniegach na Mount Kenya. W każdym razie, zaczęła się wtedy zupełnie inna zabawa. Szaleństwo liczenia, ilu Mau-Mau schwytaliśmy, a iluśmy zastrzelili. Wie pan, zawsze brakowało zastrzelonych. Toteż wysłałem Haksara na Mau, bo był dobrym szpiegiem, a ja chciałem podkreślić znaczenie tego rejonu. Przydzieliłem mu miejscowego konstabla, Kalangiego, prawdziwego skurczybyka. To na pewno on powiedział panu, żeby mnie pan poszukał.

— Nie — skłamał Anderson, chociaż to właśnie komendant Kalangi powiedział mu, jak znaleźć człowieka z małym siwym wąsikiem. — Przej-

rzałem nairobijską prasę z tamtego okresu i znalazłem wzmiankę na pański temat. Potem zadzwoniłem do mieszkającego tu przyjaciela, członka poprzedniego gabinetu, i poprosiłem, by pana odszukał.

— No cóż robi się teraz takie rzeczy nawet w naszej miłującej prywatność

Anglii — mruknął filozoficznie ekspolicjant kolonialny. — W każdym razie

załatwiłem Haksarowi i Kalangiemu paru kłusowników, których wyciągnąłem

z więzienia — wie pan, wtedy siedzieli w więzieniu — i wysłałem ich

wszystkich na sawannę pod masyw Mau z rozkazem odszukania kogoś, kto

nadawałby się do zabicia. Kłusownicy odwiedzali wcześniej ten rejon.

Haksar — nie. W każdym razie...

Przystanął i spojrzał w stronę rzeki. Nawet w deszczu widok na dawny Szpital Królewski i leżącą za nim Tamizę był nostalgicznie majestatyczny. — Czy uwierzy pan — zapytał — że to piękno jest na sprzedaż?

— Co jest na sprzedaż? Muzeum Morskie?

— Tak. Koszty utrzymania są zbyt wysokie. Nie można nawet znaleźć

kupca.

Anderson skinął współczująco głową. Dokąd zmierzała Anglia?

— Tamto stare, skrzypiące imperium nie było takie złe — stwierdził z goryczą ekspolicjant. — Po wszystkich wojnach i rewolucjach człowiek

dowiadyuje się, że przy tym nowym porządku jesteśmy znacznie mniej

szczęśliwi. Tak *a propos*, ma pan dla mnie j<sup>h</sup>eniądze?

— A przyniósł pan notatki Haksara?

Ekspolicjant skinął głową. Cyril spojrzał w deszczu przez wysokie ogrodzenie parkowe z kutego żelaza na pub, który otworzono ponoć za czasów Nelsona. Na jego tle lśnił należący do Ramseya Bentley. Wydobył

kopertę i wręczył rozmówcy, który schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza, nawet nie usiłując przeliczyć pieniędzy. Ekspolicjant wyjął

niewielki pękaty notatnik, wyblakły, w skórzanej oprawie spiętej zardzewiałą klamerką. Solidny i brzydki, projektowany pewnie dla armii.

Anderson wziął go do ręki — był ciężki i zwarty niczym płaski prostokątny

kamień.

— Nie ma pan żadnych innych rzeczy Haksara?

— Nie. — Anderson spojrzał niedowierzająco. — Niech pan do



mnie

przyjdzie i sprawdzi, jeśli ma pan ochotę. Moja żona chciała zobaczyć faceta,

który chce zapłacić za to tysiąc funciaków.

— Mniejsza z tym. Cóż się zatem stało, kiedy wydał pan ten rozkaz?

— Kłusownicy znaleźli u stóp Mau gromadę jakichś popieprzeńców. Wie

pan, gołych. Nomadów, jak przypuszczam. Zabili kilku, a resztę przegnali do lasu...

— Co zrobił Haksar?

— Sprawdził rzecz dokładniej. Razem z Kalangim poszli śladem tych

popieprzeńców do lasu. Zgubili ich, ale — według konstabla — Haksar załamał się, czy coś w tym stylu, i nie chciał stamtąd wyjść. Kalangi wrócił

sam i oddał mi ten notatnik. Potem wrócił również Haksar, ale dobre dwa

tygodnie później.

— Czy Haksar spisał raport?

Nie musiał. Ja pisałem raporty. Zmyślałem je.

Widział pan zwłoki tych tubylców?

— Nie. Kłusownicy odarli je z ciała, czego im nie nakazywałem.

Kiedy

Haksar i Kalangi byli w lesie, kłusownicy zdezerterowali i wrócili do Nairobi,

gdzie sprzedali szkielety sklepom, które je przemielili i sprzedawały jako

medykament na twardnienie koguta, uwierzy pan? Toteż wsadziłem ich

z powrotem do więzienia. Powstał nowy problem: na rynku sprzedawano

ludzkie kości, prawdopodobnie partyzantów. Dotarło to do prasy. W Londynie

zaczęto kręcić nosem. Tymczasem prawdziwi Mau-Mau przegrupowali się

i werbowali nowych ludzi. Wycofałem oddziały i przerzuciłem na inny

odcinek, ale nie miało to już znaczenia. Przegraliśmy wojnę.

— Nigdy nie zainteresował się pan zawartością tego notatnika?

— Nie. Wywiozłem go z Kenii tylko dlatego, że używałem książek do

obkładania na czas transportu rogów antylop z mojej kolekcji — mimo to

większość i tak się połamała. Dlaczego miałbym wracać do tej smutnej sprawy?

— A nie korciło pana wtedy, by wypytać Haksara?

— Czemu? Zrobił się z niego bredzący niezguła. Najlepiej było zapomnieć

o całej historii, bo przecież i tak oczekiwano od nas dyskrecji. Ograniczało

nas prawo wojenne. W czasie wojny lepiej nie wiedzieć za dużo.

— Ale podtrzymywał pan stosunki z Kalangim, prawda?

Pusty głos ekspolicjanta ożywił się pod wpływem nagłego gniewu. —

Pewnie, że nie. Guzik mnie obchodzi, że ten krwiożerczy skurwysyn został

komendantem policji zamiast mnie. Coś panu powiem, jeśli chce pan komuś

zaszkodzić, niech pan go poprosi o pomoc. Najbardziej wyspecjalizowane

gangi płatnych morderców działają w krajach Trzeciego Świata i są to najlepsi na świecie profesjonaliści, rozumiemy się? Jeśli Kalangi zapyta o mnie, proszę mu nie mówić, że mnie pan odnalazł.

— Nie powiem mu. Dzięki za pomoc. Notatki Haksara mogą mieć istotne znaczenie dla nauki, nawet po jego śmierci.

— Rad jestem, że jeszcze je miałem. Czytałem jego nekrolog. Nigdy

bym nie powiedział, że zrobi karierę jako sprzedawca curry, a co dopiero jako

nauczyciel akademicki. — Ekspolicjant uniósł kapelusz. Rzadkie, przylizane

włosy były równie siwe jak wąsiki. — Pójdę już. Szkoda tego parku, nieprawdaż?

Rozeszli się w deszczu.

Na zegarze Obserwatorium Greenwich wybiło południe. Cyril pospiesznie

kalkulował. Jazda do biura Ramsaya w City, gdzie tamten zostanie, by załatwić dalsze telefony, zajmie pół godziny, potem jeszcze dwadzieścia minut

taksówką na Brompton Road w South Kensington.

Tak jak obiecał, zdąży w ciągu godziny do mieszkania naprzeciw apartamentu Corinne. Tam, w pokoju pozbawionym mebli, z wyjątkiem biurka, krzesła i urządzenia laserowego, jakie wykorzystywano w

epoce „zimnej wojny” do podsłuchiwania obcych ambasad, siedział nagrywający, młody człowiek o krótkich i zdumiewająco zjeżonych włosach. Wycelował

w okna Corinne promień laserowy, wychwytyjący wibracje powietrza wywołane głosami mówiących i odbijający je z powrotem przez ulicę do odbiornika, który przekształcał je w głosy Corinne, Randalla i ich promotora.

Nagrywający przysłuchiwał się rozmowom i nagrywał je na taśmę magneto-fonową. Cyril wynajął go za rozsądną cenę pięciu tysięcy funtów. Ten rodzaj

sprzętu stał się dostępny po tym, jak korporacje przemysłowe zaczęły go wykorzystywać w wojnach z konkurencją.

Cyрил podążył w stronę Bentleya, wertując notatki i czytając je pobieżnie, marszcząc przy tym z konsternacją brwi.

Naraz stanął jak wryty.

Czytał z rosnącą uwagą.

Wargi zaokrągliły mu się w uśmiechu, ale nie zdawał sobie nawet z tego

sprawy. Czytał chciwie, aż kropla deszczu spadła na otwartą książeczkę.

Wtedy przerwał, schował notatnik pod płaszcz i przeszedł pośpiesznie pozostałą drogę.

Na dźwięk dzwonka młody człowiek o zjeżonej fryzurze zdjął słuchawki

i wyjął pistolet automatyczny. Podeszedł do drzwi i przytknął oko do wizjera.

Za drzwiami dostrzegł sylwetkę Andersona tak zniekształconą w soczewkach, że przypominała nadmuchiwanego bałwana karnawałowego.

Wpuścił go do środka i, mierząc z pistoletu, obszukał jedną ręką, po czym

wetknął broń za pasek i skinieniem głowy zaprosił przybysza do pokoju ze

sprzętem.

— Przechlapali — powiedział dotykając swej pięknej najeżonej fryzy-

ry. — Zamówili ekstraprzekąski z kawiolem, faszerowanymi jajkami i szampanem, a zjawilo się tylko dwóch spośród dziesięciu zaproszonych gości.

— Doprawdy? Dlaczego? — Widoczne przez okno mieszkanie Corinne

po drugiej stronie ulicy wydawało się tak blisko, że Cyril cofnął się instynktownie.

— Proszę się rozluźnić, są zajęci — rzekł młody człowiek. Znów dotknął

swoich włosów. — Promotor powiedział, że tamci nie przyszli, bo ta

skamieniałość to żadna skamieniałość. Za młoda o tysiąc lat czy coś takiego.

Wygląda na to, że oni mają na myśli skamieniałość, a nie żywą skamienia-

łość. — Cyril rzucił mu spojrzenie mówiące: szybko chwytasz. Młodzieniec

założył tłumik na pistolet.

— Teraz to zrobimy? Chce pan wejść i popatrzeć?

Trzymał broń tak blisko Cyrila, że ten zauważył drobną czarną plamkę,

drobinę węgla, która przywarła do gładkiej szarej powierzchni stali.

— Jeszcze nie. Niech najpierw wyjdzie promotor.

— Dla mnie żadna różnica. Dwa pogrzeby zamiast trzech. Twarda z niej

laska, tak w ogóle, i przystojna. Długo byliście małżeństwem? — Znów

dotknął włosów.

— Nie pana zasrany interes. Ma pan zdumiewające włosy. Gdzie pan je

układał?

— Nie pana zasrany interes. Pytałem, bo pomyślałem, że skoro zdecyd-

wał się pan posunąć tak daleko, zechce pan też o tym pogadać.

Słyszał pan kiedyś o panu Kalangim? — zapytał Cyril zmieniając temat.

Komendant polecił Cyrilowi usługi tego człowieka podczas zdumiewająco

krótkiej rozmowy. — Chce pan coś załatwić w Londynie? — zapytał komendant. — Pięć tysięcy dolarów i dam panu numer telefonu...

Cyril zapłacił pięć tysięcy. — Niech pan zapamięta ten numer — powiedział komendant. Londyńskie numery telefonów mają siedem cyfr, ale ten miał tylko pięć.

Mężczyzna z piękną fryzurą potrząsnął głową. Nigdy nie słyszał o panu Kalangim. Anderson zapytał go o nazwisko szefa, a tamten odparł, że nie ma szefa, jest wolnym strzelcem i nie zna nazwy firmy, która go poleciła. Wiedział natomiast, że jest to siatka międzynarodowa, wykonująca zadania, których rządy, organizacje policyjne, prywatne firmy

ochroniarskie i rodziny mafijne nie mogły przedsięwziąć bezpośrednio.

Cyril zauważył, że taka firma musi robić niezłe pieniądze. Mężczyzna odparł, że ponoć posiada ona działające publicznie i legalnie agendy, które emitują własne akcje. Anderson zapytał, czy kwatera główna takiej

spółki mogłaby mieścić się w Anglii. Tamten podejrzewał, że dowodząco

z Afryki, stanowiącej kontynent najmniej dostępny dla międzynarodowej kontroli.

Mężczyzna znów założył słuchawki. Uśmiechnął się, zdjął je i podał

Cyriłowi. — Niezłe tam sobie skaczą do oczu o to, kto co sfuszerował. Chce

pan posłuchać?

W mieszkaniu Corinne suty poczęstunek, złożony z kawioru i faszerowanych jaj, stał na stole praktycznie nie tknięty.

Jedyni dwaj zaproszeni goście, którzy się pokazali, zabawili bardzo krótko. Przy szampanie, zbyt zimnym i kwaśnym jak na taką pogodę i porę

dnia, zbadali fragmenty kości oczyszczone w nairobijskim garażu Randalla.

Wyłożono je na stole w jadalni na wielkim kawałku konopnego płótna. Na tle

sutego poczęstunku wydawały się małe i nieistotne, nawet trochę żałosne.

Randall starał się, by jego głos brzmiał pogodnie, kiedy wyjaśniał, dlaczego

te małe odłamki są tak unikatowe. Nie były to skamieniałości, choć należały

do gatunku będącego żywą skamieliną. Corinne, badając je metodą potas-argon, oceniła ich wiek na jedynie siedem tysięcy lat, co oznaczało, że stworzenie

należące do tej rasy, wymarłej oficjalnie przed dwoma milionami lat, żyło w czasach współczesnych! Zarówno to, jak i zdjęcia odcisków stóp (powiększone kopie fotografii Kena pokazano obok odłamków kości) sugerowały, że praludzie żyją jeszcze dzisiaj!

Obaj goście sączyli szampana, szeptali uprzejmie, że odłamki są „wspaniałe”, i nic nie zrozumieli. Czy to jest skamieniałość, czy nie jest?

I co ona ma wspólnego z żywymi praludźmi? Spoglądali zakłopotani na Randalla i Corinne. Lukę nie pomógł, ponieważ wciąż nazywał to skamieniałością, a Randall musiał korygować go i wyjaśniać, dlaczego tak nie jest. W okresie krótszym od dziesięciu tysięcy lat proces mineralizacji nie zachodzi do końca, co oznacza, że jest to półskamieniałość. Wikłało to sprawę jeszcze bardziej.

Goście pozostawili Corinne, Randalla i Luke'a samych z myślami o tym niepomyślnym początku.

Corinne była wściekła i wyrażała się bez ogródek. — Spieprzyłeś, Lukę.

Sprowadziłeś tu paru naiwnych kretynów. Nie uchwycili różnicy między kilkoma bardzo jasnymi pojęciami.

Lukę, do którego rzadko zwracano się w ten sposób, nalał sobie kieliszek szampana, nałożył na talerzyk nieco kawioru oraz jaj. Zdołał się już opanować. — Obawiam się, kochanie, że twoje pojęcia są nieco niejasne. —■

Uniosła brwi, spoglądając stalowoniebieskimi oczami, nie cierpiała jego protekcyjnego tonu Brytyjczyka. — Pokazujecie kości, ale mówicie o żywych stworzeniach. Powinniście przywieźć tu jedno z nich, jeśli chcecie toto sprzedać.

— Nasz współpracownik, Ken Lauder, jest teraz w sawannie — powie- działa szybko — i obserwuje australopiteki.

— Może powinniśmy zatem poczekać na waszego współpracownika. —

Lukę ciekaw był, czy ów Ken Lauder nie ma więcej wspólnego ze znaleziskiem

niz tych dwoje. — Macie szczęście, że Cyril też nie zaprezentował żywego

australopiteka. Śledziłem go oraz Ramsaya. Mają ten sam problem: gdzie jest

to, co chcą sprzedać?

— Nie chcę słyszeć o Cyrilu. Pomóż nam sprzedać to, co mamy!

—

warknęła Corinne, porządnie rozzłoszczona. Powtórzywszy trzykrotnie testy



w celu uniknięcia pomyłki, tak się podekscytowała, że wciągnęła  
Randalla do  
laboratorium i pocałowała prosto w usta. — Będziemy sławni —  
szepnęła,  
pobudzając go owym „my”, szybkością swoich poczynań i  
natychmiastową  
reakcją, z jaką on sam na nie odpowiedział.

Corinne wydawała się Randallowi tylko umiarkowanie atrakcyjna.

Nie  
był to właściwie ideał kobiety, którą by wybrał, żeby zdradzać Marcie.  
Ale

to ona doradziła wynajęcie Luke'a i poszukanie poważnych dotacji. —  
Nie

wytrzymają, Randall. Będą cię błagać, żebyś wziął ich pieniądze —  
nuciła

mu do ucha w swoim mieszkaniu, siadając na nim okrakiem, pół  
godziny po

przetestowaniu kości po raz trzeci. Kochała się z nim pożądliwie,  
przeważnie

znajdując się na górze.

Lukę ponownie nalał sobie szampana. — Musimy zmienić koncepcję, uwzględniając fakt istnienia tych waszych małp. Sądzę, że kupujący chciałby, żeby posiadały one jakieś niezwykle moce psychiczne albo obyczaje seksualne.

Czy one mają łechtaczki?

Randall skinął ze zdziwieniem głową. Owszem, mają.

— Wspaniale — tryumfował Lukę. — Dlaczego powstały u nich łechtacz-

ki? Co jest w łechtaczkach istotnego dla ewolucji człowieka? A może posługują

się matematyką, nie znając liczb? Einsteiny o mózgach wielkości pięści. Strasznie

mi przykro, ale biorąc pod uwagę obecny globalny kryzys, możemy angażować

nasze pieniądze tylko na zasadzie globalnego zysku. Nie chcemy zwykłych

przodków. Chcemy przodków, którzy dostarczą nam odpowiedzi. Na wszystko.

— Podejrzewam, że sami musimy poszukać tych odpowiedzi — rzekła

sarkastycznie Corinne.

Lukę poczuł się zmęczony i niedoceniony. Spojrzał na zegarek. — Muszę

już uciekać. — Pomyślał, czy nie powinien dołączyć do zespołu Andersona.

Ale oni też mieli trudności. Skierował się do wieszaka na płaszcze przy drzwiach wejściowych.

— Czekaj. — Randall, pochmurny i czerwony na twarzy, zbliżył się jak

samiec, który chce utwierdzić się co do własnej wartości. Lukę sięgnął

szybciej po płaszc. — Wracamy z Corinne do Afryki. Wskakujemy wieczoro-

rem w samolot i jutro po południu będziemy w buszu. Zdobędziemy nowe

dowody, całe pudła, a potem sprzedamy je, ale nie tutaj, lecz w Nowym Jorku

albo w Berlinie. Zadzwoń do Oppelmana i Fidosa — warknął w stronę

Corinne. — Są czołowymi niemieckimi specjalistami. Pracują w Instytucie

Maxa Plancka i w Fundacji von Steina, a to nie tylko głośne placówki

naukowe, lecz również główne źródła dotacji na cele naukowe. Próbowaliśmy

z tobą, Lukę. Resztę zrobimy bez ciebie.

— Ekstra! Zobaczymy, jak daleko zajdziecie... — mruknął Lukę — przyślę wam rachunek. — Otworzył drzwi.

— Niemcy mają szacunek dla kultury — rzekła Corinne

podniesionym

głosem do wychodzącego promotora. — Oszaleją, jak się dowiedzą, że

australopiteki chodziły po tej ziemi, kiedy Luter pisał swoje kazania, a Diirer

malował Adama i Ewę.

W rzeczywistości była bardziej wściekła, niż to okazywała. Pozwoliła się

ponieść entuzjizmowi. Na tym etapie znalezisko nie nadawało się

jeszcze do

przedania. A Randall to oferma.

— Muszę wysikać tego szampana — mruknął profesor. Wśliznął się

do

ciasnej łazienki.

Uniósł nogą deskę sedesową, chybotając się na nowych

połączonych zawiasach. „Drogie mieszkanie, szpanerskie i pełne bubli”. Wypuścił

spienioną strugę, odczuwając przy tym ból, jaki pozostał po zmysłowych

ekscesach z nienasyconą Corinne. — Zadzwoń do British Air i zarezerwuj miejsca

do Nairobi — wrzasnął przez zamknięte drzwi, zastanawiając się, jak długo

jego karty kredytowe wystarczą na takie ekstrawagancje.

Kierując się nagłym impulsem, wysiadł w Londynie, pozostawiwszy rodzinę w samolocie, przekonany, że gdy będzie bez Marcii, ale za to z odłamkami kości w kieszeni, świat stanie przed nim otworem, choć inaczej niż wtedy, kiedy miał lat dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści. Ale z naukowcami z Londynu szło tak samo trudno, jak z tymi z Berkeley lub Nowego Jorku. Żądali przedstawienia dokumentacji, dowodu, że kości nie zostały zanieczyszczone, obszernego artykułu do oceny kompetentnemu gronu. Ich także zaintrygowały ewentualne implikacje tego znaleziska. Nie przyjmowali do wiadomości możliwości istnienia środowiska nie zmienionego od epoki pliocenńskiej. Randall, zamiast stać się z dnia na dzień gwiazdą, zabiegał o to, by go wysłuchano.

Tymczasem Marcia poleciała wraz z dziećmi do Kalifornii, a teraz wysyłała mu faksy pod adresem hotelu „De Vere”, z którego się wymeldował, przynosząc do mieszkania Corinne. Z hotelu faksowano je tutaj.

Te nieprzyjemne myśli sprawiły, że kapnął moczem na brzeg sedesu.

Zerwał kawałek papieru toaletowego, wytarł sedes, spuścił wodę i umył ręce.

Wyszedł z łazienki i zastał Corinne pochyloną nad faksem. Zesztywniał

— jeszcze jedna płaczliwa wiadomość od Marcii?

— Te same trzy strony, które dostałeś poprzednio od Haksara — zauważyła zaintrygowana.

Podniosła je, rozpinając jednocześnie drugą ręką guziki sukienki. Wziął

od niej kartki z faksu. — Marcia musiała refaksować je tu przez pomyłkę. —

Po pijanemu jego żona zdolna była do gorszych rzeczy, potrafiła zostawić włączoną maszynkę do kawy, wywołując pożar.

Nie miało to sensu. Tekst opisywał niezwykle zdolności komunikacyjne

członków plemienia Indian amazońskich Mayoruna, które zaobserwował

schwytywany przez nich fotograf „National Geographic”. Przebywając wśród

nich kilka tygodni, człowiek ten nie mógł rozmawiać ze swymi strażnikami,

którzy nie zetknąwszy się nigdy z białymi ludźmi nie znali hiszpańskiego lub

portugalskiego, on z kolei, Amerykanin z Seattle, nie posługiwał się ich dialektem. A jednak Indianie porozumiewali się ze swym gościem dzięki telepatii.

Corinne spojrzała na tekst ponad ramieniem Randalla. — To może

być ta  
ciekawostka na sprzedaż, której szukamy! — Rozpięła kolejny guzik  
su-  
kienki. — Jeżeli mózgi przodków człowieka miały odmienną budowę,  
jeśli  
oni wykorzystywali niewerbalne środki porozumiewania, jest to  
wspaniała  
sprawa dla przemysłu komunikacyjnego.  
— Ale dlaczego Haksar miałby mi to przesłać na parę dni przed  
śmiercią?  
— Nie kojarzysz? Żeby przypieprzyć Cyrilowi! — Corinne zmięła  
kartki  
faksu od Haksara i cisnęła je do kosza na śmiecie, ale chybiła. —  
Powinniśmy  
spróbować rozdmuchać kwestię porozumiewania się. Zimno tu w  
tych  
londyńskich mieszkaniach. Przyspieszmy trochę krążenie krwi. —  
Zsunęła  
z siebie sukienkę i otarła się bladymi, wielkimi sutkami o koszulę  
Randalla.  
Zacisnęła wargi. — Co jest?

— Zastanawiam się, co robi Cyril. Wolałbym, żeby nie pojawił się u twoich drzwi.

— Byłoby to krępujące, ale nie niebezpieczne. Cyril to fanfaron i blagier, ale nie morderca. — Pociągnęła go do łazienki i pocałowała,

wsysając jego niechętny język. Potem odsunęła się, zdyszana. — Mam

też świetne pomysły dotyczące ich seksualności. Na przykład, dlaczego

pochwy są u nich wygięte ku przodowi, a nie ku tyłowi, pod ogon, jak u małpy?

— Z powodu tej cholernej dwunożności. — Kępkę na łonie miała w kolorze blond, piaskowoblonde, tak jak włosy na głowie. Tym gorzej dla

niego. Wsuwając się w nią, poczuł ból wokół brzegu napletka. Prosił ją, by

kupiła wazelinę, ale zapomniała, zaprzętnięta przygotowaniem zakąsek. —

Jeśli przyjmujesz spermę, a potem wstajesz i chodzisz, przypuszczam, że

trudniej jej wypaść, kiedy twój kanał nie jest skierowany prosto w dół...

Kanał. Jesteś taki prostacki. Och. — Dobra była w osiągnięciu szybkich orgazmów. Zdmuchnęła włosy z wilgotnego czoła. — Niezły z ciebie kochanek.

— Dzięki. A jaki był z Kena?

— Świetny. Spięty i opętany przez naukę. — Pchnęła go na plecy, kładąc się na nim.

— Nie żałujesz, że wasza znajomość nie trwała dłużej?

— Jedyna rzecz, której żałuję, to czas, jaki straciłam z Cyrilem. Ale nic

to, jestem jeszcze młoda. Jak tylko wyrobię sobie pozycję w nauce, pójdę do

najlepszego dostępnego banku spermy i urodzę sobie dziecko. — Poruszała

się rytmicznie, zbliżając do kolejnego orgazmu. — Żadnego męża, żadnego

współopiekuna, komuż potrzebne są męskie niezguły, na których nigdy nie

można polegać? Może byliście bardziej godni zaufania jako praludzie. —

Skończywszy, ścisnęła mu boleśnie członek, po czym odsunęła się i położyła

obok. Randall był zbyt obolały, żeby skończyć.

— Niech pan uważa przechodząc przez ulicę, niebezpiecznie tu — rzekł mężczyzna ze zjeżonymi włosami, przyhamowując Cyrila. — Zwłaszcza dla zagranicznych turystów — w zeszłym miesiącu samochód z

czwórka

Włochów zderzył się czołowo na zakręcie z autobusem. Wszyscy czworo zginęli.

Spojrzał na pędzące pojazdy, na zmieniające się światła i dał znak Cyrilowi, który przeszedł przez jezdnię na miękkich nogach. Widział zbliżający się chodnik po przeciwnej stronie ulicy, umykające w obu kierunkach cienie przechodniów, gazeciarza wymachującego wieczornym wydaniem informującym o zwycięstwie zespołu piłki nożnej.

Mężczyzna o najeżonej fryzurze niósł dwie sportowe torby. O dziwo, udało mu się wsadzić do nich cały sprzęt do podsłuchu. Raz jeszcze dotknął włosów, po czym wprowadził Cyrila do hallu budynku po drugiej stronie

ulicy. Portier Jamajczyk pochłonięty był rozmową przez telefon. Obrzucił ich obojętnym spojrzeniem.

Weszli do windy. Cyril pochwylił wzrok swego towarzysza. Ten odpowiedział uspokajającym uśmiechem. Wszystko pod kontrolą. Żadnych wpadek.

„Powinnam włożyć sobie krążek” — pomyślała Corinne. Robiąc to, zawsze była na górze i wycofywała się w ostatniej chwili, ale jednak... Randall leżał obok milczący i nieruchomy, jak nieżywy. W pewnej chwili

szepnął: — Ktoś tu jest... ktoś wszedł do mieszkania..

— Nonsens. To łóżko skrzywnęło.

Ktoś tu jest...

Tak ją to rozwścieczyło że mogłaby go uderzyć. Wskoczyła z łóżka,

chwyciła podomkę i naciągając ją na siebie wpadła do saloniku. Na widok

nie znanego sobie mężczyzny o dziwnych najeżonych włosach poczuła się

tak, jakby była zupełnie naga. Unosił właśnie lufę pistoletu z tłumikiem. Obok

niego stał jej mąż.

Cyril przeżywał w wyobraźni ten moment, ale kiedy jego towarzysz uniósł broń, coś w nim pękło. To była jego żona. Przypadł do drzwi

wejściowych, które tamten otworzył wytrychem, i wybiegł do hallu. W tym

momencie mężczyzna wystrzelił.

Corinne nie usłyszała sobie, że do niej strzelono, usłyszała tylko stłumione „pyk”, jakby otwierano kapsel. Poczuła uderzenie w pierś,

niby

pchnięcie laską. Tracąc równowagę, wyciągnęła na oslep rękę i

pochwyliła

zabójcę za sterzące włosy.

Cyril usłyszał stłumiony strzał i krzyk, krzyk bólu — wydany przez mężczyznę — tak dziki, że profesor rzucił się do środka, aby nie przegapić

śmierci Randalla. Nie czuł wyrzutów sumienia z jego powodu. Pomyślał, że

oszałał: po podłodze, przyciskając ręce do krwawiącej, zupełnie łysej głowy,

tarzał się rewolwerowic. Umierająca Carinne ścisnęła w ręku włosy — przeschępy wyrwane z czaszki swego zabójcy.

Randall wychodził właśnie z łazienki.

Cyril rzucił się bezwiednie na podłogę, chwycił i uniósł pistolet.

Oddany

do Randalla strzał wywołał równie niewiele hałasu. Randall upadł.

Cyril



zwrócił broń w kierunku zabójcy i znów wypalił — puk, puk. Na wykrzywionej bólem twarzy pojawił się wyraz natychmiastowej ulgi.

Corinne upadła na wznak. Cyril podbiegł do okien i zaciągnął zasłony.

Poszukał łazienki, chwycił ręcznik oraz szlafrok kąpielowy i pospiesznie przykrył zwłoki żony. Odwrócił się — drzwi do mieszkania wciąż stały otworem. Zatrzasnął je kopniakiem. Zaopatrzone były w zasuwkę bez otworu na klucz od zewnątrz. Zasunął ją, odcinając się od świata wraz z trzema trupami: żony, rywala i wynajętego mordercy. Nie poszło to „tak łatwo”.

Poderwał się, słysząc jakiś cichy odgłos.

Znowu zabuczał telefaks. Cyril podszedł do urządzenia. Przekazywało strony, które tak zaintrygowały Corinne. Wyjął je, przejrzał, jednak nie dostrzegł związku z Haksarem. Ale treść uznał za intrygującą. Złożył kartki i wetknął do kieszeni, po czym przeskoczył przez ciało Randalla, zagradzające drogę do telefonu.

Wykręcił numer biura Ramsaya.

— Gdzie byłeś? — krzyknął Ramsay, i Cyril z miejsca pojął, że oznacza to strzał w dziesiątkę: przyjaciel miał dobre wieści. — Przyjechałem tu i zastałem trzy wiadomości od Harry'ego Endsa. Harry odchodzi z Royal Dutch Shell, żeby rozkręcić własny interes z kapitałem pięćdziesięciu milionów funtów, i potrzebuje czegoś fantastycznego na początek. Toteż zrobiłem coś, czego ty byś nigdy nie zrobił, Cyrilu. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale musiałem. Chciał odpowiedzi od razu, a nie mogłem cię znaleźć, więc nie wytrzymałem i nałgałem trochę. Powiedziałem mu, że twoje parantropy posiadają gen przeciw łysieniu, co oznacza, że mogą mieć inne podobne, na przykład przeciw impotencji albo przeciw cholesterolowi czy czemuś tam *jeszcze*. Powinienem był to nazwać genem *młodości*, kropka. Czy nie mówiłeś mi, że te stworzenia nigdy nie dożywają trzydziestki? Więc przez cały czas są młode. Tak czy inaczej, skłoniłem Harry'ego do finansowania twego projektu. Zgodził się.

— Naprawdę, Rams? — Oczy Cyrila zaszyły mgiełką błogiej radości.

Zaczął się lekko jękać. — M-moje stworz-rzenia m-mają inne fantastycz-czne rz-rzeczy... pocz-czekaj, aż ci powiem...

— Czy może być coś równie dobrego, jak środek na łysinę? W każdym razie możesz wymyślić, jakie tylko zechcesz, fantastyczne rzeczy, im bardziej

fantastyczne, tym lepiej. Opowiesz nam to wszystko w samolocie.

— W samolocie?

— Lecimy razem do Afryki. Pojutrze, odrzutowcem Harry'ego.

— Co? — zaskrzeczał Cyril, jękanie już ustąpiło. Cholera. Szło to zbytnie dobrze.

— Zaraz zobaczę, czy nie uda mi się połączyć cię z Harrym. Mam go na drugiej linii. Marzy o tym, by z tobą pogadać. Wiem, że nie jesteś w hotelu.

Skąd dzwonicz?

Cyril zobaczył na telefonie nalepkę z numerem mieszkania Corinne. Był to londyński numer jak miliony innych. Ramsay zapomniałby go w tydzień.

A niech tam...

Ramsay kazał mu czekać przy aparacie i odłożył słuchawkę. Mijały sekundy. Cyril zdał sobie sprawę, że Harry Ends zechce zapewne zobaczyć

australopiteka, w jakim bowiem innym celu miałby lecieć do Afryki?

Poczuł

straszliwe napięcie. On sam nigdy ich jeszcze nie widział!

Zadzwonił telefon.

— Cyril? Czekaj, mam tu Harry'ego.

— Miło cię słyszeć, Cyrilu — odezwał się Harry Ends. Głos miał bardzo niski, niemal jak brzuchomówca.

Profesor nabrał odwagi. — Mnie również — odparł pospiesznie. — Widziałem te stworzenia, są po prostu absolutnie,...

— Wiem — odrzekł głęboki głos. — Cholernie mnie podnieca ten nasz

nowy projekt. — Cyril zmarszczył brwi. „Już się czujemy właścicielami, co?”

Harry kontynuował, niczego nie podejrzewając: — A ponieważ wybieram się do Afryki Południowej, postanowiłem zatrzymać się na dwa dni w... Nairobi,

zgadza się? Ty i Rams lećcie ze mną, zgoda? Na mój koszt, rzecz jasna. —

Roześmiał się, a Cyril zawtórował mu, jakby tamten powiedział coś śmiesznego. — Obejrzymy tam jedno z tych twoich małych straszdył,

zgoda? — Znów się roześmiał. — Nie mogę wpakować tyle grosza w coś,

czego nie widziałem. — Cyril zaczął coś mówić, ale Harry zagadał go

z łatwością, jak człowiek, który przywykł kończyć rozmowy, kiedy chce i jak

chce. — Masz czas do jutra na niezbędne przygotowania. Jeśli musisz

wykonać wiele telefonów, żeby pozłatwić sprawy, nie krepuj się, zapłacę

za nie. — Roześmiał się tak szczerze, że Cyril zaczął podejrzewać, iż Harry

czyta mu w myślach; właśnie przemknęło mu przez głowę: „Telefon. Telefon

do Nairobi.”

— Fajnie było z tobą pogadać, Cyrilu. Zobaczymy się na lotnisku, w porządku?

— Tak. Bezwzględnie. Na lotnisku. — Cyril już się nie jękał. Po prostu

wyrzucał z siebie całe słowa.

Odłożył słuchawkę, ale jego umysł pracował dalej, wyrzucając te same

podstawowe słowa. Nairobi. Straszdyło. Telefon.

Zaczerpnął tchu, wy dobył notesik i przerzucił kartki z numerami telefonów.

„Harry Ends wyrażał się całkiem jasno: »Nie mogę wpakować tyle grosza

w coś, czego nie widziałem«. Muszę załatwić mu jakieś straszdyło. Ale sekundę...”

Wystarczająco dobrze znał już notatki Haksara, by wiedzieć, że opisał on

tamto miejsce w swoim dzienniku. Hindus wszystko opisywał i

dokumentował.

Cyril przypomniał sobie fotografie, które znalazł w domu starego, brutalnie

realistyczne rysunki szczegółów budowy anatomicznej naczelnych... A Haksar

nie żył, na pewno nie żył.

Zamiast wstać z grobu, żeby wskazać palcem Cyrila, Haksar zabierał go

w podróż, jakiej jeszcze nigdy nie odbył. A Cyril miał jeszcze czas: ten wieczór, jutrzejszy dzień i następną noc. Kolejny dzień zajmie przelot, potem

jeszcze jedna noc. Trzy noce i dwa dni. Miał jeszcze czas.

Co za szczęśliwy traf, że przyprawiono mu rogi. Gdyby nie zdrada Corinne, nigdy by nie przyjechał do Londynu, nigdy nie wpadłyby mu w ręce

te notatki... Poklepał z lubością brzydki notatnik. Niemal czule przesunął

spojrzeniem po ciałach swoich ostatnich ofiar.

Poderwał się. Znowu dzwonił telefon.

Zawahał się. Zgoda na to, by Ramsay telefonował tu do niego, pociągała za sobą pewne ryzyko. Nie powinien podnosić słuchawki. Ale jeśli to znowu on?

„Jestem w mieszkaniu Corinne” — skojarzył nagle z nieklamana ciekawość-

cia. Któż do niej dzwoni, mimo iż leży martwa na podłodze?

„Odbiorę, ale się nie odezwę...” Podniósł słuchawkę i poczuł, że jest lepka od spoconej dłoni.

— Cyril? — odezwał się znowu Rams.

Cyril westchnął głośno z ulgą. — Tak, Rams. Dzięki za dobrą robotę, chłopie, było to świet...

— Gdzie ty jesteś, u diabła? — Cyril nie miał czasu, by wpaść w popłoch.

Ton, jakim mówił przyjaciel, świadczył o tym, że nie ma czasu wysłuchiwać

odpowiedzi — sprawy zaczęły toczyć się zbyt szybko. — Bezwzględnie

musisz, musisz wynaleźć dla Harry'ego jedno z tych stworzeń! Kilka

wielkich kompanii dzwoniło do niego, zapowiadając, że może w to wejść.

Chcieliby sponsorować — używając ich własnych słów — „jakiś zdrowy,

wspaniały afrykański projekt”. Mowa jest wreszcie o takich pieniądzech,

o jakie ci chodziło. Nieprawdopodobne sumy! Dzwonił więc do Nairobi

i załatw przynajmniej jednego takiego kudłacza. I ostatnia sprawa: Harry

przefaksował mi już raport wywiadu o tym kraju. Wygląda na to, że w każdej

chwili grozi tam wybuch czegoś w rodzaju wojny domowej...

— Co takiego?

— Jakieś kwestie etniczne. Jednostki wojskowe koncentrują się wokół

wiosek masajskich czy coś w tym stylu.

Cyril przeklął w duchu swego przyjaciela Kalangiego, który zapewniał go

tuż przed wyjazdem, że do niczego nie dojdzie podczas jego nieobecności

w Kenii. Ale daj Afrykanom cień okazji do narozrabiania, a na Boga, zrobią

to. O tym, co się gotowało i dlaczego, Cyril naprawdę nie miał zielonego

pojęcia. Najlepszym sposobem obrony wydawało się wyśmianie wszystkiego. — Armia przeprowadza manewry, Rams, oni nieustannie robią

manewry. Tak czy inaczej, skąd Harry miałby o tym wiedzieć? Miał, zdaje

się, dosyć mętne wyobrażenie, dokąd leci.

— Wierz mi, baza danych, z której korzysta, nie jest mętna. Mają dostęp do najnowszych zdjęć satelitarnych. Cyrilu, rzecz w tym, że ty znasz ludzi z tego rządu. Powiedz im, żeby się z tym wstrzymali parę dni. Jeśli zaś są w to zaangażowani, powiedz tym po drugiej stronie, kimkolwiek są, żeby się wstrzymali. Zgoda? Panujesz nad sytuacją? *Ciao*, chłopie.

Połączenie zostało przerwane.

Cyril posiedział spokojnie jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czyby nie zadzwonić ponownie z mieszkania Corinne. Zdecydował, że lepiej tego nie robić. To, co miał do powiedzenia komendantowi Kalangiemu, było doprawdy zbyt poważne. Wyjdzie stąd, wpadnie do banku, weźmie torbę drobnych i zadzwoni z automatu.

— Okłamałeś mnie, Arnoldzie — upomniał Cyril osłupiałego komendanta. — Powiedziałeś, że możesz mi załatwić trochę ciekawych kości przy pomocy tego parszywego tchórza, Modiba. Ale nie poinformowałeś mnie, że ty, Modibo, Haksar i Hendrijs widzieliście australopiteki w latach pięćdziesiątych.

Cyril mówił z automatu na parterze słynnego londyńskiego domu towarowego Harrodsa. Unoszący się dwadzieścia dwa tysiące mil nad Londynem satelita odbierał impulsy radiowe kodujące rozmowę i kierował je z powrotem na ziemię, do aparatu telefonicznego w betonowym gmachu nairobijskiej policji.

— Nie powiedziałeś mi też — ciągnął Cyril, wrzucając monety do automatu — jak atakowaliście australopiteki, zabijając mężczyzn, którzy stawiali opór, a resztę przeganiając do lasu.

Kalangi zaczął protestować, że on sam nigdy... Ale Cyril mu przerwał.

— Niemądrze postąpiłeś kontaktując mnie z kimś, kto przechowywał dokument opisujący tamto wydarzenie. Z tym starym brytyjskim policjantem.

Nie wiedziałeś, że wziął notatnik Haksara, prawda? — Chudy, siwowłosy, sztywny jakby kij połknął Kalangi nie odezwał się. — Ilu australopiteków zabiłeś od tego czasu, Arnoldzie? Dostajesz swoją działkę za sprzedaż ich

kości w Hongkongu? Ile za to bierzesz, Arnoldzie?

Kalangi odzyskał wreszcie głos. — Nie wiem, o czym mówisz. Tam nikt

nie mieszka. Jest taka legenda o pewnym dziwnym plemieniu zwanym *mangati*, które Masajowie niegdyś pokonali i zepchnęli do lasu, ale oczywiście to tylko dawna legenda...

— Oszczędź sobie opowieści o folklorze. Twoi *mangati* żyją i mają się dobrze. Jeśli nie przestaniesz zaprzeczać, Arnoldzie, zrobię dwie kopie tego

niezmiernie ciekawego notatnika i zaniosę jedną do Forum Odbudowy Demokracji. Mają biuro tu, w Londynie. Drugą oddam Richardowi Leakeyowi.

— Jedno i drugie było bluffem. Forum, najpotężniejsza kenijska partia

opozycyjna, naskoczyłaby na samego Cyrila. A on sam nigdy nie chciałby mieć nic wspólnego z błyskotliwym młodym Leakeyem.

Ale bluffy poskutkowały. Nastąpiła krótka pauza, po której komendant

znow się odezwał. — Tak, Cyrilu... — używając imienia paleontologa, Kalangi uznawał swoją przegraną i wyrażał gotowość do negocjacji —



czy  
znów poprosisz, bym ci pomógł? Pomógł białemu człowiekowi  
obrabować  
mój kraj z kolejnego skarbu?

— Ten skarb nie jest własnością tylko jednego kraju, może zresztą  
powinienem był poprosić o pomoc Jakuba Ngiamenę. Nie musiałbym mu  
płacić, a jego strażnicy parkowi najlepiej by się nadawali do  
przeszukania tej  
dziczy.

— Moi ludzie nie są gorsi od ludzi Jakuba — warknął Kalangi. — A  
co  
się tyczy płacenia, to przyjaciele nie powinni używać takich brzydkich  
określeń. Czy nie dowiodłem mojej przyjaźni? Czy nie odrzuciłem  
zeznań  
zebraków, którzy widzieli, jak wyrzucałeś jakieś ciało na hałdę śmieci?

Cyril roześmiał się głośno. — Chyba żartujesz, Arnoldzie. Słowo jakichś żebraków przeciwko słowu światowej klasy uczonego? To chyba ja jestem

lepszym przyjacielem, powstrzymując się przed ujawnieniem pewnych faktów.

Robieś brudną robotę za Anglików, Arnoldzie. — Anderson obserwował

przez szybę radosne ożywienie panujące u Harrodsa, które harmonizowało

z jego własnym podnieceniem. — Zdradziłeś swoich czarnych braci i omal

nie zniszczyłeś rasy mającej wartość dla całego świata.

Kalangi się nie odezwał. Podsumowano go.

— Tak na marginesie, Arnoldzie, ten notatnik nie wraca ze mną do Afryki. Zostaje tutaj, w sejfie, u przyjaciela, bym czuł się bezpiecznie po

powrocie do Nairobi. — Doznawał ogromnej przyjemności, kiedy tak

torturował rozmówcę, wykazując mu powoli swą przewagę. Nie było to

równie zabawne jak zabijanie; zabijanie trwało zbyt krótko. — Jeszcze jedna

sprawa. Czy praludzie, których zabijaliście, byli smukli czy krzepcy?

To byli... ci chudzi. — Komendant streścił po swojemu różnicę między dwoma rasami.

— To by się zgadzało — zakpił Cyril. — Ci drudzy załatwiliby was. —

Pauza. Sterta monet malała coraz bardziej. — Chyba ci przebaczę, Arnoldzie,

pomimo tego, co zrobiłeś nauce. Chyba dam ci jeszcze jedną szansę.

Kalangi milczał, ale jego milczenie nie wyrażało już zawziętości,

lecz  
uległość, rezygnację i przegraną. Potem rzekł: — Doskonale. Co mam  
zrobić  
dla białego człowieka?

— Już ci mówię. Idzie o tę awanturę, którą wojsko wszczyna, żeby  
powstrzymać... albo rozpocząć... Przesuń to w czasie, Arnoldzie.

Komendant policji zaprotestował, może i szczerze. — Ależ ja nie  
przygotowuję żadnego...

— Dowiedz się, kto przygotowuje, i przełoż to na później.

Pauza. — Dobrze. Co jeszcze mam zrobić dla białego człowieka?

— Powiem ci dokładnie, co masz zrobić.

## 6

Obozu kłusowników, schowanego na sawannie w zagłębieniu terenu, nie sposób było wypatrzeć z powietrza, gdyż kryły go płaskie korony sześciu drzew akacjowych. Ustawione pod ich przewiewnymi parasolami ciasne zagrody dla schwytej żywcem zwierzyny zamaskowane zostały ogrodzeniami z nie przystrzyżonych ciernistych gałęzi, których wierzchołki wgięto do wewnątrz i związane z innymi, tworząc kolczaste daszki.

Z samolotu, zwłaszcza dla oka niedoświadczonego poszukiwacza, całość wyglądała jak las akacjowy o gęstym krzewiastym poszyciu. Jeśli poruszały się jakieś zwierzęta, to zapewne wdarły się w zarośla w poszukiwaniu osłony przed upałem. Kamuflaż mógł zmylić nawet strażników parkowych i policjantów, jeśli nie działali zbyt długo w swoim fachu. Z drugiej strony, ci bardziej doświadczeni byli też bardziej skłonni przymknąć oko i wziąć łapówkę — pensja jednych i drugich ledwo starczała na utrzymanie żon i dzieci.

Jedną z rzeczy, której nie dało się zaobserwować z wysokości kilkuset stóp, było ohydne brzęczenie much gnieźdzących się zawsze tam, gdzie zarzynano i obdzierano ze skóry zwierzęta. Od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu procent zdobyczy stanowiły zebry, gdyż na ich skóry panował na całym świecie wielki popyt. Jeśli pracował generator, puszczano w obozie

taśmę z nagranymi odgłosami wystrzałów dla odstraszenia ptaków. Gdy  
go  
wyłączano, na najwyższych konarach akacji wieszano tykwy z suchymi  
nasionami, które, grzechocząc, miały spełniać to samo zadanie. Ale i  
jedno,  
i drugie niewiele pomagało, gdyż dzikie drapieżniki szybko odkryły, że  
mężczyźni z obozu to tylko jeszcze jeden gatunek drapieżcy, więc  
można  
walczyć o jego zdobycz. Orły, marabuty, sępy i jastrzębie ustawicznie  
nawiedzały lasek, natomiast czworonożni rabusie krążyli wokół bez  
przerwy,  
nocą zaś świeciły w buszu całe konstelacje ich oczu — zupełnie jakby  
sawanna żądała dla siebie części tego, co zrabowali i zabili kłusownicy.  
Kiedy stawało się zbyt obrzydliwie od wyrzuconego mięsa i kości,  
krwi

oraz gromadzących się odchodów ludzkich, porzucano obóz. Cenny generator wciągano na ciężarówkę, za nim ładowano prymitywne drewniane stoły do obdzierania zwierzyny ze skóry, wielkie wanny, w których gotowano wodę do czyszczenia skór, oraz piły tarczowe do przecinania grubych stóp słońi oraz twardych kolan zeber. Następnie ładowano młyny do mielenia gorszej jakości rogów, strzelby, oszczepy i noże — którymi dobijano schwytaną w sidła zwierzynę, żeby oszczędzać kule — oraz radiotelefon. Na koniec pakowano garnki i patelnie, na których kłusownicy gotowali posiłki. Cały obóz przenosił się na inny teren niczym gwałcieł poszukujący kolejnej dziewiczej ofiary.

Wczesnym rankiem dnia przeznaczonego na takie przenosiny chłodne promienie świtu przesunęły się z wolna po obozie i pięciu ludziach śpiących na gołej ziemi. Wszyscy byli młodzi, z wyjątkiem drobnego mężczyzny o pałkowatych nogach, odzianego w zblakły wojskowy płaszcz. Człowiek ów zachrapał i przekreślił ku jaśniejącemu niebu policzek z kwadratowym plemiennym tatuażem. Światło słoneczne załało teraz stertę siideł myśliwskich, wykonanych ze zwojów zwykłego stalowego drutu. Były na tyle szerokie, że zmieściłaby się w nich głowa bawołu wodnego czy nawet średniej wielkości nosorożca, a ostry stalowy drut mógł przeciąć szyję niemal jak brzytwa w niecałe trzydzieści sekund, pozbawiając głowy większe stworzenie, jeśli usiłowało się uwolnić. Wielkie zwierzęta zawsze tak robiły, oszczędzając kłusownikom wysiłku obcinania im głów piłą tarczową. Głowy bawołu wodnego i nosorożca znakomicie nadawały się do powieszenia na ścianie. Na azjatyckich rynkach płacono za nie odpowiednio dziesięć i dwadzieścia tysięcy dolarów od sztuki. Cały Daleki Wschód, od Singapuru do Taipei i od Seulu po Tokio, dostawał fioła na punkcie tych symboli mocy i surowego zbytku, zarezerwowanych niegdyś dla białego człowieka. Tamtejsi biznesmeni pracowali w skromnie urządzonych, choć wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt wnętrzach, odpoczywali natomiast wśród scenerii sztucznego nieładu

pełnego trofeów myśliwskich z polowań na grubego zwierza, dzięki czemu

czuli się jak młodszy kuzyni Teddy'ego Roosevelta.

Azjatyckie elity, które nie zapomniały o swej azjatyckości, wierzyły w możliwość leczenia chorób czy pobudzania apetytów seksualnych za pomocą mielonych, suszonych, pieczonych czy marynowanych produktów

zwierzęcych. Wykorzystywano w tym celu zwierzęta wszelkich gatunków,

pochodzące ze wszystkich stron świata. Kości i rogi. Wątroby i woreczki

żółciowe. Łapy niedźwiedzia. Małpie oczy. Tłuczone skorupy karłowatych

żółwi. Amazońskie ryby ogniste. Przedstawiciele azjatyckich elit, tradycyjni

konsumenci tych produktów, przyczynili się do dwudziestokrotnego wzrostu

klusownictwa w porównaniu do lat sześćdziesiątych, gdyż płacili dobrze, i to

gotówką: dwa tysiące dolarów amerykańskich za paczkę zupy z łapy niedźwiedzia (porcja dla czterech osób), pięć tysięcy od sztuki pewnego tropikalnego gatunku ryby, sto tysięcy za średniej wielkości parę kłów słonia,

od pół miliona do miliona za całego słonia.

Modibo nie znał tych zdumiewających sum, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że ceny na rynku azjatyckim idą w górę. Tylko około dziesięciu procent pieniędzy, płaconych w Taipei czy Tokio, docierało do takich jak on, ale owo dziesięć procent wzrosło ostatnio dwukrotnie, a potem trzykrotnie, mimo nowej konkurencji — Rosja pełną parą wkroczyła na rynek towarów pochodzących z kłusownictwa. Leki ze zwierząt stawały się ostatnio coraz droższe, i to nie tylko wśród klientów azjatyckich. Świat zaczynał odchodzić od antybiotyków. Wszystkiemu, co schwytano wśród dzikiej przyrody, przypisywano własności lecznicze, gdyż otaczała je aura naturalności i zdolności do przeżycia, dzięki mocy własnych genów. Na „żywność z sawanny” także był wielki popyt. Za czasów młodości Modiba słonie, potrącone przez pociągi na linii Mombasa-Nairobi, ściągano zwyczajnie z torów i pozostawiano, by zgniły. Dzisiaj każdego martwego słonia, jeśli tylko poćwiartowano go dostatecznie szybko, dało się sprzedać jako bogate źródło białek wytworzonych z pierwotnych traw sawanny. W pewnych ekskluzywnych klubach Tokio jedzono „życie” w postaci omletu z jaj strusia, kotleta z antylopy i steku ze słonia.

Dzięki rosnącym cenom, kłusowano coraz bezwzględniej. Gdzie napływało więcej pieniędzy, tam wyciągało się po nie więcej rąk. Strażnicy parkowi bezustannie molestowali ludzi Modiba — w tym roku spalili trzy z jego sześciu obozów. Samo kłusowanie też się zmieniło. Młodszy kłusownicy gorzej tropili zwierzynę niż ci ze starszego pokolenia. Chcieli pić oczyszczoną wodę, wzdrali się przed zjedzeniem węża lub małpy i używali baterie odbiorników radiowych na słuchanie rapu. Jak wszędzie indziej, młodzi zawadzili pokładane w nich nadzieje.

Modibo spał na gołej ziemi, chrapiąc po późnym posiłku złożonym z twardego steku z antylopy gnu i doprawionym długimi pociągnięciami skręta *Uganda Blue*. On i jego ludzie usiłowali poprzedniej nocy pochwycić w sidła rodzinę cywet, dzikich kotów ważących dwadzieścia pięć



funtów i tak  
szybkich, że potrafiły podejść stado wróbli i uderzyć kilka z nich, zanim reszta poderwała się do lotu. Samice posiadały w pochwach niewielkie gruczoły wydzielające cybet, wonną substancję, używaną już w epoce faraonów do wytwarzania perfum. Obecnie perfumy zawierające cybet wróciły do łask na fali obłędnej pogoni za wszystkim co naturalne. Jeśli nie zabrało się cywet dostatecznie szybko z siodeł, pożerały je hieny, same wpadając czasem w pułapkę. Modibo, który biegał przy świetle latarki od siodeł do siodeł, nieźle się napracował i zupełnie nie był w nastroju do tego, by bladym światem rozpoczynać następny dzień od rozmowy przez obozowy radiotelefon.

Jednak radio zahuczało.

Stary kłusownik, zmęczony i oszołomiony nadmierną ilością *Uganda*  
*Blue*, poczołgał się sennie w stronę radiotelefonu. Rozbudził się całkowicie, włożywszy w zimne odchody pozostawione na środku obozu przez przerażone zwierzę albo przez któregoś z jego zmordowanych ludzi. Zaklął, szukając po omacku czegoś, czym mógłby oczyścić wojskowy płaszcz, z którego był tak

dumny. Trafił tylko na twardą ziemię, zimny pył i cierniste gałęzie. Podrapany i śmierzący, otworzył oczy i podniósł słuchawkę. — *Ndiol* Tak? — Zamrugał ze zdziwienia, usłyszawszy, kto dzwoni o tej porze. — Szefi? — zapytał, wymawiając słowo „szef z akcentem suahili.

W jednej z zagród mały nosorożec, mający niecałe trzy miesiące i ledwo dwieście funtów żywej wagi, uniósł głowę ku intensywniejącemu światłu.

Nos, w tym wieku pozbawiony jeszcze rogu, upodabniał go do opancerzonego prosiaka. Głębokie, poszarpane cięcie na szyi wskazywało, że złapano go w sidła. Ranę opatrzone prymitywnie okładem z błota, a dzielny zwierzak, bardzo swawolny i wesoły na wolności, zdawał się odzyskiwać siły, chociaż utracił wiele krwi. Modibo zamierzał sprzedać go żywego odbiorcy mającemu kontakty z ogrodami zoologicznymi. Martwy nie przedstawiał żadnej wartości i zostałby porąbany na steki dla kłusowników. Teraz znalazł siłę, by wstać z zakrwawionego błotnego legowiska i spojrzeć na wschodzące słońce z nieopohamowaną młodzieńczą wolą życia.

Rozmawiając przez radiotelefon, Modibo stał na baczność, tak jak pozwalały mu na to kabłąkowate nogi. — Tak, szefi. Psiepraszam, że dzwonił pan wieciorem... — Starał się ściszać głos, ale dzwoniący warknął, by mówił „głośniej do cholery”, więc Modibo mówił głośniej, pogodziwszy się z tym, że zbudzi swych ludzi, którzy zobaczą go w pozie pełnej uległości; komendant Kalangi miał, zdaje się, wyjątkowo paskudny humor. — Psiepraszam, że dzwonił pan wieciorem szefi, łapaliśmi ciweti...

Jeden z kłusowników otworzył oczy i uniósł głowę ozdobioną szopą rastafariańskich loków. Był to Bilal, najmłodszy z grupy. Między lokami lśniły długie białe przedmioty przypominające papiloty.

— Ty zeschę hienie łajno — rzekł Kalangi. Zawsze kłął bardzo barwnie, nauczył się tego służąc w armii kolonialnej. — Domyślasz się, dlaczego dzwonię?

— Nie, szefi, nie domiślam się... — Zimny i jadowity ton Kalangiego nie nasuwał mu żadnych skojarzeń.

— Modibo, wiedziałeś, że *mangan* znowu wychodzą z lasu i nie mi nie powiedziałeś?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Modibo aż czknął. Kiedy głośnia rozwarła mu się znowu, z gardła wraz z wypuszczonym z płuc powietrzem dobył się urywany bełkot. — Co...? Nie ma już *mangati*, szefi... Mówiłem panu, wsiści odeśli...

— Nie kłam, małpia pizdo. Ten *mzungu*, któregoś nie mógł złapać, widział ich świeże ślady. Czy nie zabiłeś po prostu kilku, żeby sprzedać kości na własną rękę?

Kiedy azjatycki rynek zaczął prosperować, Modibo zdobył się na śmiałe posunięcie. Uznał, że komendantowi nie należy się procent od zwierząt pewnych gatunków. Kłamał mówiąc, że *mangati* zniknęły zupełnie, i zaczął sprzedawać je sam, za pośrednictwem sklepu Zhang Chena. Wiedząc, co go czeka za kantowanie szefa, poczuł przerażenie. — Nie, szefi, kto to mówi? Chińczik to kłamca, szefi. Nikt nie wie o *mangati*, ziadne nie zostali...

— Ty jesteś kłamcą, krecie gównu. Zostało ich mnóstwo, a plotki o nich dotarły aż do cholernego Londynu!

Pas światła, coraz jaśniejszy i szerszy, objął budzących się mężczyzn.

Widać teraz było wyraźnie papiloty we włosach Bilala, tyle że nie były to papiloty, lecz skręty *Uganda Blue*; uznał bowiem, że najbezpieczniej przechowywać je we włosach.

Bilal, najmłodszy w zespole, miał też najmiększe serce. Zrobił małemu

nosorożcowi okład z błota i poił go przez ostatnie dwa dni. Dla Modiba był

złym kłusownikiem — za dużo palił, leniwie biegał za padłą zwierzyną, dając

się wyprzedzić drapieżnikom, i odpowiadał impertynencko na czynione mu

uwagi. Teraz, naturalnie, czuł się uszczęśliwiony, że Modibowi zmyto głowę.

— Mam tylko pięciu ludzi, łącznie ze mną, szefi... — Sierżant słuchał teraz z wyrazem tępego martwego strachu na twarzy, od którego obwisły mu

rysy. — Ziębi to zrobić, szefi, pociebiję dobre radia, amunicję i noktowizori.

Kiedzi? W podziądku, w podziądku. Zrobimi to, szefi. Będziemi gotowi, gdy

tylko samolot zdziuci spsiet. — Modibo odwiesił słuchawkę.

Chwycił róg postrzępionej słomianej maty, oderwał go i wyczyścił sobie

płaszcz. Potem przeszedł się po obozie i kopnął mężczyznę, którego nie obudziła rozmowa. Ten coś zamamrotał i uniosł ręce od genitaliów, żeby

przetrzeć oczy. Modibo sięgnął pod płaszcz, wydobyl browninga P 35 o lufie

poplamionej i zapaskudzonej, jakby broń leżała w błocie. Podeszedł do zagrody z małym nosorożcem i wycelował. Rozległ się głośny strzał.

Potem

drugi — do innego zwierzęcia. I jeszcze jeden. Wszyscy czterej kłusownicy

poderwali się na nogi w pełni rozbudzeni i patrzyli, jak Modibo zabija po

kolei zwierzęta, choć schwytywanie niektórych wymagało wielogodzinnych

podchodów.

Zarepetował broń i podeszedł do małej drucianej klatki z cywetami.

Stworzenia, przeczuwając śmierć, miauczały i drapały siatkę, aż sierżant

wpakował każdemu kulę i hałasy ustały. W obozie nie pozostało przy życiu

ani jedno ze schwytyanych zwierząt.

Bilal stanął przy zagrodzie z małym nosorożcem — zwierzę umarło

natychmiast, z jednym okiem wylupionym kulą, która utkwiała w mózgu.

Murzyn zmarszczył brwi. — Dlaczego pan go zabił, sierdziejanie? Lepiej się ciuł.

— Żeby wiciać mu zębi i zrobić dla siebie i dla was amuleti miłosne —

rzekł Modibo z obmierzłym uśmiechem. Zastrzelenie zwierząt uspokoiło mu

nerwy. Warknął na swych ludzi, żeby się zwijali, bo za godzinę samolot

przywiezie tu amunicję, nowe radio i instrukcje dotyczące zadania, za które

każdy z nich dostanie pięćset dolarów. Usłyszał czyjeś oszołomione wes-

technienie. Żaden z nich nie zarobił nigdy tyle w ciągu całego sezonu.

— Znów ścigami tego *mzungul* — zapytał Bilal.

Modibo roześmiał się ze słów idioty. — Nie. *Mzungu* na pewno nie dzije.

Nie wicimałbi w lesie. — Podeszedł do sterty sideł, których stalowe zwoje

porzdzewiały w miejscach stałego kontaktu z krwią zwierząt. Zrobił jeszcze

krok, stanął przed beczką z benzyną, puknął w nią palcem, by sprawdzić, ile jeszcze zostało.

— Skoro *mzungu* nie dzije, to po co idziemi do lasu? — spytał Bilal.

Modibo zwrócił się twarzą ku niemu. — A kto to powiedział? —

Zauważył jednocześnie, że najmłodszy kłusownik jest za bystry, żeby mu to miało wyjść na zdrowie.

— W psieciwnim razie nie zaścieliłbi pan całej zdobici — rzekł Bilal,

spoglądając z ukosa na pozostałych. — Jeśli zostajemi na równinie, nie ma

pociebi zabijać i palić zwiedzini. — Sprytny skuwiel odgadł, dlaczego

Modibo puknął w zbiornik z benzyną.

— Idźcie pociąć nosorożca na steki, a potem psigotujcie ciędzarówkę —

rozkazał sierżant lekkim tonem. — Zjemi i wijeżdżiami. —

Spojrzał zza pnia

akacji na grań Mau, wznoszącą się jakieś dwadzieścia mil dalej. O tej porze

wydawała się chłodna i czarna, ale w południe będzie kipieć od upału, zielona

jak skóra żmii. Zobaczył, że jeden z ludzi błąka się bez zajęcia, więc

kazał mu umyć siadła. Nie musieli oszczędzać wody, gdyż samolot miał przywieźć

mnóstwo świeżej.

Komendant dał mu dwa dni na przywiezienie do Nairobi żywego *mangati*.

— Nie rozumiem — zrzędził Harry Ends — dlaczego musieliśmy tracić

dzień pracy, opuszczając Londyn przed lunchem, żeby przylecieć do Nairobi

w nocy.

Bez marynarki i w samych skarpetkach, z kieliszkiem „Chivas Regal”

w ręku siedział naprzeciw Cyrila i Ramsaya w saloniku swego odrzutowca.

Po sposobie, w jaki Harry przełknął połowę drinka, Cyril zorientował się, że

boi się latania i zbiera siły na moment startu.

Profesor z uśmiechem wyjaśnił, że wielkie samoloty jak ten zawsze lądują w Nairobi albo wieczorem, albo przed świtem, gdyż rozgrzane za dnia

wysokogórskie powietrze nad miastem staje się zbyt rzadkie, by utrzymać

takie maszyny. — Gdybyśmy przybyli za dnia, to zamiast wylądować, spadlibyśmy prosto na Nairobi.

Harry Ends stęzał i zmrużył oczy. Nie cierpiał czegoś nie wiedzieć, a zwłaszcza nienawidził, kiedy publicznie go pouczano. —■ Nie sądziłem, że mamy tyle ładunku... — wymruczał.

— Przelot nad Morzem Śródziemnym, Egiptem i resztą też możemy

wykorzystać na pracę — rzekł zdawkowo Cyril. — Chcesz posłuchać, jaki

przygotowałem dla nas program? — Harry chrząknął i łyknął jeszcze whisky.

Bardzo niski, słabo umięśniony i opalony, miał długawe włosy i niezmiernie

głęboki głos dobywający się z ciała ministranta. Był też „straszenie, strasznie

skłonny do współzawodnictwa", jak przestrzegał profesora Rams. Toteż Cyril

nie przepuścił okazji, żeby dać mu parę lekcji.

— Pierwszy poranek spędzimy w moim gabinecie na wydziale antropologii. Obejrzymy muzeum skamieniałości i parę filmów z moich

poprzednich ekspedycji. — Ekspedycji tych dokonywali jego studenci, ale

Cyril dopilnował, aby sfilmowano go w czasie każdej z nich. — Po południu

kawa z członkami gabinetu. — Harry począł protestować, nie cierpiał bowiem

oficjalnych spotkań, ale rozmówca przerwał mu: będą musieli zyskać poparcie

gabinetu. — Wieczorem pokażę ci miasto: ciekawostki, dziewczęta. Wspaniale

dziewczęta, nawiasem mówiąc, i bardzo usłużne — podkreślił, niepewny

upodobań Harry'ego. Za czasów jego młodości mężczyzna mógł wyczuć innego, ale licho ich tam wie, tych biznesmenów, chociaż pozowali na supernowoczesnych.

— Następnego dnia lecimy małym samolotem na Dogilani, małe mogą

się utrzymać w powietrzu o każdej porze — uśmiechnął się przyjaźnie. — Do

końca dnia szukamy skamieniałości. Nazajutrz jedziemy ciężarówką pod

Mau. Robimy wycieczkę, zatrzymujemy się, obserwujemy. Następnego dnia

to samo. I to zadecyduje.

— I to ma być to? — spytał Ramsay.

— Czy to nie wspaniale? — zapytał retorycznie Cyril. — Harry, w ciągu

czterech dni dowiesz się więcej o paleoantropologii niż cały świat biznesu

razem wzięty.

— Czekaj no, sekundkę. — Ends gmerał nerwowo przy pasach bez-

pieczeństwa, upewniając się, czy są właściwie umocowane. Cyril jeszcze nie

zapiął swoich, choć samolot wznosił się już ostro. — Sądziłem, że wyraziłem

się jasno: chcę zobaczyć jedno z tych stworzeń.

— Przy odrobinie szczęścia zobaczymy pozostawione przez nie ślady

stóp. — Cyril wstał. Zrobił to umyślnie. — Stewardesa, która akurat weszła,

by sprawdzić, czy wszystko w porządku, zmarszczyła brwi, ale ją zię-

norował. — Znajdziemy może świeże legowiska.

Ends zaniepokoił się, dotknął pasów, spojrzął na tabliczkę „nie palić”. —

Cyrilu, masz jeszcze jeden dzień. Nie możesz wysłać jakichś tropicieli lub

kogoś innego, toby ich wypędził?

— To znaczy, wypłoszył ich z buszu, jak przepiórki z Yorkshire? —

Cyril rozkoszował się wyrazem twarzy Harry'ego, który wyglądał, jakby



wpadł w potrzask. Co mógł teraz zrobić? Zawrócić samolot na Heathrow?

Cyril zauważył, że stewardesa nie marszczy już brwi, lecz się przysłuchuje. —

To są ludzie, Harry, tacy sami jak ty i ja, tyle że nie mają miast, samochodów, kart kredytowych czy zwiększonej objętości mózgu, pozwalającej produkować

samochody i karty kredytowe. — Kobieta słuchała z rosnącą uwagą. — Na

tym właśnie polega wartość tego znaleziska, na jego człowieczeństwie. Miałem naturalnie szczęście, że ktoś taki jak ty nie oczekuje, iż uda się to

bezwzględnie oszacować według kursu na giełdzie...

Ends zrobił gest świadczący o irytacji. — Oczywiście, oczywiście.

Wiem,

że oni są jak my. Wczoraj przez cały dzień myślałem nad znalezieniem wspólnego dla nas paradygmatu, zunifikowanej teorii pola, by tak rzec...

„Bredzisz, chłopcze” — pomyślał Cyril. Zerknął na stewardesę. Czy rozumiała, że Cyril to wielki umysł, a Harry to tylko papuga? W każdym razie

zwilżyła wargi i poszukała jego spojrzenia, po czym odwróciła wzrok.  
Żadna

piękność, ale wystarczy na najbliższe dwanaście godzin.

— Nie płaczmy się w słowach. Kiedy będziemy gotowi, Harry, obiecuję ci, że te stworzenia wyjdą z lasu. Harry, to będzie tak, jakbyśmy obserwowali pojawienie się człowieka, jego zejście z drzew na sawannę...

Możesz nawet myśleć o zrobieniu pokazu dla naszych sponsorów lub akcjonariuszy.

Rams zareagował entuzjastycznie. — Cyrilu, co za fantastyczny pomysł.

— Wiem. Muszę teraz zadzwonić do Nairobi, żeby dowiedzieć się, jak

się sprawy mają. — Cyril odwrócił się i spojrzał na Ramsaya, skinieniem

głowy, dając znak, by za nim poszedł.

Zaczekał parę sekund za zasłoną, aż Ramsay wyjdzie z saloniku.

Potem

chwycił go za łokieć i szepnął: — Jak ci się to podoba?

— Pojawienie się człowieka? Cóż za *show*. Naprawdę możesz to zrobić dla akcjonariuszy?

— Mogę to zrobić dla akcjonariuszy. Daj mi sześć miesięcy, a będę mógł

to zrobić dla każdego. — W niecałą minutę wzniesli się z wysokości

dwudziestu do trzydziestu tysięcy stóp, toteż czuł lekkie oszołomienie oraz

pewność, że wszystko jest w jego mocy. Nawet antropologia terenowa, nawet

ciężka praca. — Nawet dla innych inwestorów niż Harry, który, nawiasem

mówiąc, nie dał nam jeszcze żadnych dokumentów, nawet deklaracji intencji.

— Odręż się, na litość boską. Harry traktuje to poważnie. Cyrilu, co cię

tak nagli?

— Nauka — odrzekł profesor. Rzucił na odchodnym powłóczysty uśmiech i pospieszył do mieszczącej się obok kuchni kabiny z telefonami.

Stewardesa zapytała, czy ma ochotę na drinka. Zamówił koniak „Cour-

voisier”. Biorąc sklepiony kieliszek, przytrzymał jej dłoń w swojej, potem

przytknął go do nosa, powąchał i kichnął. Stewardesa zachichotała i podała

mu serwetkę, a on otarł nos, mrugnął do niej i przeszedł do telefonów.

— Jak się ma mój człowiek w Nairobi? — zapytał jowialnie Cyril.

Kalangi odparł, że jest zajęty. Kiedy mówił, słycać było pogłos, więc Cyril zapytał, dlaczego używa telefonu z głośnikiem. Komendant zaprzeczył — pogłos wywoływało połączenie satelitarne. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Budowano dla Andersona obóz u podnóża Mau, a zespół Modiba piał się na niższe zbocza. Ale żadną miarą nie mogli sprowadzić tego stworzenia w tak krótkim czasie.

— Muszą. Nie obchodzi mnie, jak to zrobią. Śledzisz Ngilego i Yinkę Ngiamenów?

— Tak. Dziewczyna wycofała wczoraj z banku całą gotówkę, nie wiem dlaczego. Według przekupywanego przez nas służącego, Ngili pokłócił się poważnie z ojcem i wyprowadza się z domu.

— O co się pokłócili?

— Ngili chce tam lecieć i szukać Laudera, ale ojciec stara się go powstrzymać.

— To nudne. Co nowego z osławionym wojskowym przewrotem?

— Tyle o tym mówiłeś, że zmusiłeś mnie, bym wypytał paru przyjaciół z armii. Wyśmiali mnie. Cyrilu, nie ma żadnego przewrotu, nic się nie dzieje.

Gdzie jesteś?

— Na wysokości trzydziestu tysięcy stóp nad Francją. Na razie.

— Na razie — przedrzeźnił go Kalangi.

Anderson poprosił stewardesę, by powiedziała dwóm współpasażerom, że musi trochę popracować w spokoju, po czym siadł przy oknie w tylnej części samolotu i niemal z dziecięcym zapałem otworzył notatnik Haksara.

Kalangi, znajdujący się w swoim gabinecie w Nairobi, wyłączył mikrofon i spojrzął na czterech wojskowych siedzących po drugiej stronie ogromnego biurka, na którym stało jedynie pół tuzina telefonów.

Najmłodszy stopniem był kapitanem, najstarszy — generałem. Popijali

z filiżanek kawę *kahawa*. Generał, najstarszy także wiekiem, miał tatuowane

policzki. Trzy pionowe paski żłobiły skórę pod każdym okiem, co sprawiało,

że wyglądał jakby wyzierał zza wiszących lian. Siorbał *kahawa*, trzymając

w zębach pałeczkę aromatycznego drzewa *m'koma*.

— Na kiedy planujecie początek? — zapytał Kalangi, mówiąc teraz bez przesadnie udawanego akcentu kikuju.

Wszyscy spojrzeli na generała. Dopił do końca. — Mniej więcej w czasie wizyty twego przyjaciela.

— On nigdy nie był moim przyjacielem. Muszę wiedzieć, jeśli mam robić, co do mnie należy.

— Między poniedziałkiem a czwartkiem. — Generał znów wypił hałaśliwie łyk kawy i roześmiał się. — W poniedziałek albo czwartek, nie

wykluczając jednak wtorku lub środy. — Kalangi wzruszył ramionami,

zniecierpliwiony jego gierkami, ale inni wojskowi pokiwali głowami i głośno zacmokali — generał okazał się tak chytry i dał tak subtelną odpowiedź.

Gdzie będziesz, Arnoldzie? — zapytał generał-porucznik. — W sawannie z Andersonem? — Był to niski, spięty mężczyzna z przedziałkiem,

który  
wyglądał, jakby wytyczono go laserem. Kalangi wiedział, że odgrywa  
rolę  
mózgu całej operacji.

— Prawdopodobnie, ale postaram się ściśle kontrolować tutejszą  
sytuację.

Wiesz, Cyril sprowadza niewiarygodnie wpływową osobę...

— To dobrze — rzekł generał-porucznik. — Zobacz nas w akcji  
i uświadomi sobie, jak jesteśmy zdeterminowani.— W  
pomieszczeniu rozległ  
się zimny wymuszony śmiech.

Zaświeciła lampka na jednym z telefonów Kalangiego. Podniósł  
słuchaw-  
kę. — Komendant Kalangi. — Słuchał przez chwilę. — Nie traćcie ich

z oczu — pouczył dzwoniącego i wyłączył się. — Ngili i Yinka Ngiamena

są na lotnisku Wilsona, usiłując wynająć prywatny samolot.

— Jakub domyślił się, że jest na naszej liście — stwierdził generał.

—

Ta kłótnia z synem to tylko przykrywka. Kazał dzieciom wynająć samolot,

żeby mogły wymknąć się za granicę.

Nie znajdują go. Uprzedziłem już prywatnych pilotów — zapewnił

Kalangi. — Jeśli ktoś im wynajmie, dostanie od nas w prezencie mały ładunek wybuchowy. Coś jeszcze?

Przywieź jedno z tych stworzeń do Nairobi, żebyśmy mogli ocenić, ile to warte — rzekł generał, wyjmując z ust paleczkę *m'koma* i wstając z miejsca. — Musimy odnowić zasoby finansowe kraju. — Jego podwładni

znów się roześmieli, a Kalangi im zawtórował.

— Dzięki, Yinko, za pożyczanie pieniędzy, ale wygląda na to, że nie jest

ci sądzone rozstać się z nimi — rzekł Ngili, opadając ciężko na siedzenie dla

pasażera w wielkim mercedesie. — Nie udało mi się wynająć żadnego

samolotu poza jakimś starym gratem do opryskiwania pól. Odrzuciłem tę ofertę.

— Cóż więc zrobimy?

— Będziemy dalej szukać przyzwoitej maszyny. Nie pomożemy Kenowi

biorąc taką, która rozleci się w powietrzu.

„Już nic mu nie pomoże, jeśli będziemy dłużej czekać” — pomyślała

Yinka, spoglądając na rozpalony w żarze pory suchej asfalt, tak że aż drgało

nad nim powietrze. — A twój przyjaciel Mtapani — zapytała włączając silnik

i wyjeżdżając z lotniska. Mtapani, kierownik firmy wynajmującej samoloty

na safari, był Masajem i kolegą Ngilego ze szkoły średniej.

— Chodziłem do niego pytać o cenę, powiedział mi, że zrobi to za darmo, jeśli pomogę mu w tym. — Ngili wydobyl z kieszeni arkusz papieru

z wydrukiem komputerowym. — Słuchaj, w co on się pakuje. — Czytał na

głos z mieszaniną rozbawienia i z troskania: „Jest to przysięga na imię Engai,

a kto ją złamie, zginie od błyskawic Engai”. Yinka zmarszczyła brew, słysząc

ten złowróźbny początek. W masajskich mitach termin *Engai* oznaczał niebo,

jak również najwyższe bóstwo. Ngili czytał dalej: „Na początku Engai dał ludowi Masajów wszelkie bydło i przyobiecał Masajom strzec ich losu. W zamian zażądał przysięgi posłuszeństwa i rękojmi krwi. Krew wysycha, lecz nigdy nie traci barwy. Lojalni wojownicy znoszą udręki niewoli i śmierć, lecz nigdy nie zdradzą Engai. Dziś wojownicy Engai znowu powstają, ażeby walczyć o wolność. Ktokolwiek służy *mzungu*, albo czarnym sługom *mzungu*, szczególnie od błyskawic Engai. Po tysiącokroć gorzej jest być czarnym sługą *mzungu* niż samym *mzungu*. Oto przysięga, którą odnawiamy dzisiaj, niech słudzy *mzungu* zostaną zabici, czy to obcy, czy to pochodzący z naszej własnej krwi... Jeśli złamiemy ją w jakikolwiek sposób, niechaj błyskawice Engai zwróćą się przeciwko nam." Ngili złożył papier. — Niezbyt się to różni od przysięgi Mau-Mau, co?

Wzruszyła ramionami, nie puszczając kierownicy, ale była poruszona.

Dodał lżejszym tonem: — Mtapani zasięgał mej opinii co do tego, czy należy zarznąć cielaka w czasie inicjacji nowych członków i kazać im nosić na ramionach opaski z jego skóry. Nastawał bardzo mocno, bym to podpisał, mówiąc, że potrzebny im ktoś o takim jak moje nazwisku, aby przyciągnąć członków. Zgadnij, ilu facetów już to podpisało?

Znów wzruszyła ramionami, dalej prowadząc samochód z nogami wyciągniętymi, by sięgnąć pedałów, w kikoii opiętym na płaskim brzuchu.

Straciła na wadze.

— Około sześćdziesięciu — poinformował ją. — Mtapani mówił, że

wielu chodziło do tej samej co my szkoły.

Sześćdziesiąt osób to zbyt mało, żeby się dziś liczyć na scenie politycznej, zwłaszcza jeśli pochodzą z plemienia tak niewielkiego, jak nasze.

Kto jest przywódcą?

Chyba nikt z kręgu znajomych — odrzekł Ngili. — Mtapani nie chciał mi powiedzieć, jeśli nie podpiszę, ale zachowywał się tak, jakby to był

ktos naprawdę wysoko postawiony.

— Przypuszczam więc, żeś nie podpisał?

— Żartujesz chyba? Czy sądzisz, że słowa „słudzy *mzungu*” odnoszą się

do czarnych pokojówek pracujących dla białych rodzin? Oznaczają rząd,

każdego, kto zadaje się z Międzynarodowym Funduszem Monetarnym,

z OPEC, z Bankiem Światowym... — Urwał, a kiedy podjął wątek, wyczuła

w jego głosie trwogę. — Ta przysięga pozwala zabić praktycznie każdego.

Ale Mtapani, Yinko, nie jest zubożałym Kikuju czy Kalenjinem. I powiedział-

łem mu to. Zapytałem, czy wracamy do roku pięćdziesiątego trzeciego?

Odparł: „W pięćdziesiątym trzecim my, Masajowie, zachowywaliśmy się jak

dzieci. Podpisaaliśmy preferencyjne umowy z Anglikami. Większość z nas

trzymała się z dala od wojny Mau-Mau. Musimy okupić swe winy i pokazać

naszą afrykańskość”. Powiedziałem mu, że nie możemy stać się tajnym

stowarzyszeniem, działającym przeciw innym Afrykanom, a on na



to: „A sądzisz, że inne plemiona nie tworzą tajemnych stowarzyszeń skierowanych przeciwko nam? Wywaliłem z pracy wszystkich moich mechaników Kikuju”.

Wtedy ja zapytałem: „A wywaliłeś angielskiego *mzungu*, dostawcę, który załatwia ci części do samolotów?”

— *Mzungu* — zauważyła gniewnie. — Po dwudziestu trzech latach niepodległości wciąż mamy obsesję na punkcie *mzungu*.

Dorastając wśród wolności i dostatku, ona i Ngili rzadko używali dotąd tego określenia. Teraz robili to, czując ciężkie brzemię gorzkiego dziedzictwa.

Ścisłe rzecz biorąc, słowo to oznaczało Europejczyka albo białego człowieka,

lecz miało zdumiewającą gamę odcieni. Król Wagandy Mtesa pozdrowił nim

podróżnika Johna Hanninga Speke'a, chcąc tym wyrazić fakt, że odkrywca

źródeł Nilu jest cudownym przybyszem, nieomal gościem zesłanym przez los.

Ale dla Murzynów, którzy dźwigali na barkach lektyki z białymi kolonistami

i znosili razy bykowca za to, że ruszają się zbyt wolno, słowo *mzungu* miało

zgoła odmienne znaczenie. A jeszcze inne miało dla pełnej obaw murzyńskiej matki, przynoszącej chore dziecko do europejskiego lekarza, który niekiedy okazywał się pomocny, jednak często wykazywał obojętność i cynizm. Kilku *mzungu* — misjonarz, który zbudował w dżungli szkołę, pilot, który przewiózł do szpitala członka plemienia ukąszonego przez jadowitego węża — zasługiwało na szacunek i wdzięczność. Ale samo słowo nigdy nie przestało wyrażać obawy, magicznego ładunku cierpienia i nienawiści. Yince kojarzyło się ono z najbardziej bezradną rolą, jaką mógł przyjąć Afrykanin — rolą przestraszonego tubylca, atakowanego we własnym kraju przez przedstawicieli rasy, która, niesprawiedliwie, okazała się bardziej zaradna.

Dostatnie życie nie pozwoliło też Yince i Ngilemu dostrzec zastarzałych zawiści, jakie odczuwali w stosunku do siebie członkowie rozmaitych plemion. Siedemdziesiąt plemion w Kenii oraz ponad dwieście w Afryce Wschodniej wkroczyło w okres niepodległości, kulejąc od noszenia najcięższego łańcucha kolonializmu: rozgałęzionego systemu wzajemnych uprzedzeń. Elitarystyczni Masajowie, będący wojownikami i hodowcami bydła, zawsze pogardzali najlicniejszym plemieniem, „jełopami” Kikuju, biednym i nie posiadającym bydła. Kikuju mawiali, że Masajowie to dzikusy z buszu. Ale jedni i drudzy zgodnie nienawidzili niedbałych, leniwych Kalenjinów. Większość plemion uważała, że Pigmeje są brzydcy, a Bahaya współżyją z małpami, ponieważ większość prostytutek z Afryki Wschodniej należała do tego plemienia. Sytuację skomplikowały jeszcze walki niepodległościowe, po których ocena wielu grup uległa zmianie w zależności od tego, jak zawzięcie walczyły one z Anglikami. Jakub Ngiamena, szanowany bojownik o niepodległość, znalazł się wraz z dziećmi poza zasięgiem zastarzałych uraz i podejrzeń. I wszystko wyglądało świetnie, dopóki kraj posiadał dość pieniędzy.

— Jak dawno temu wyruszył Ken? — Yinka skręciła samochodem na trasę szybkiego ruchu.

— Sześć tygodni — rzekł Ngili po chwili milczącego namysłu.

Westchnął  
i wybąkał: — To znaczy, prawie cztery tygodnie... Co się ze mną  
dzieje? —  
Tydzień kalendarza Masajów miał pięć dni, tyle co palców u ręki.  
Policzył  
czas w pięciodniowych tygodniach.  
— Bardzo obiecujący błąd — wyszczerzyła zęby w uśmiechu. —  
Twój  
przyjaciel Mtapani byłby z ciebie dumny.  
— Ależ z ciebie suka. Chyba już ci lepiej.  
— Miesiąc to najdłuższy okres, jaki ktokolwiek mógłby przetrwać  
samotnie w buszu, prawda?  
— Tak. Według niektórych ekspertów.  
— Właśnie. Skoro ten *mzungu* ma umrzeć, może dzieje się to  
właśnie teraz.  
— Przestań.  
— Poważnie mówię, braciszku. Moglibyśmy powiedzieć  
Mtapaniemu,  
żeśmy zabili własnego *mzungu*, pozwalając mu jechać tam samotnie  
i nie  
wracając potem na czas. Moglibyśmy dołączyć do jego tajnego  
stowarzyszenia  
jako honorowi członkowie.

— Zamknij się. Popełniłem błąd, kiedy rodzina i kraj wydawały się być

jedynym, co się liczy. Przykro mi, naprawdę. Więc zamknij się.

— Mnie też jest przykro. — Jechali pod wiatr, który wzbijał wysokie

pląchy pyłu i zarzucał je na poruszające się wozy. — Bo mimo całej mojej

brawury, byłam wielkim tchórzem. Mogło dojść do walki między tobą

a Kenem, między tobą a *um'tu*, więc stchórzyłam, nie chciałam patrzeć, jak

walczyli ze sobą. Zaproponowałam Kenowi tę umowę, a on zgodził się bez

wahania. Wiedziałam, że to zrobi, wiedziałam, że ty również.

Skinał głową. Jego profil rysował się na tle dławiących miasto slumsów;

jego uroda wydawała się teraz pusta i niczym nieusprawiedliwiona. — Znajdę

samolot — szepnął.

— Jest fizycznie niemożliwe, żeby wytrzymał znacznie dłużej, prawda?

Jakże znalazłby dość jedzenia, dość wody? Jak by się obronił?

— Wyruszył między innymi po to, żeby się o tym przekonać.

I pewnie się przekonał, ale nie wróci, by nam o tym powiedzieć.

— Przestań, ranisz samą siebie. — Ngili pogładził ją po ramieniu, potem szepnął łagodnie: — Czy to możliwe, żeś go tak bardzo lubiła,

nie wiedząc o tym?

Roześmiała się. — Tak, bracie, to możliwe. Ja, istota o arcykobiecej

intuicji, zawsze kontaktowa i szyszcząca z Kena, że się izoluje. Engai wykręcił

mi niezły numer, co?

Zjechała ze śmiertelnie niebezpiecznej trasy szybkiego ruchu na zatłoczone

ulice centrum miasta, gdzie Ngili chciał wpaść do sklepu ze sprzętem safari,

żeby kupić wyposażenie. Kiedy czekała na brata, pozwoliła myśłom krążyć

wokół Kena. Teraz wydawało się to usprawiedliwione. Przedtem zawsze miała z tym trudności. Teraz opadły wszelkie bariery, te ujawnione i te ukryte. Swoim zniknięciem Ken sprawił, że mogła bez żadnych ograniczeń

go wspominać.

Chyba prawdę mówiło afrykańskie przysłowie — że kobieta nigdy nie

uwolni się od mężczyzny, którego nasienie w niej spoczęło, a on sam stanie

się jej drugim cieniem — skoro Yinka więcej myślała o nim od czasu jego

zniknięcia niż kiedykolwiek przedtem. Rozpamiętywała krótkie chwile

spędzone razem i ślubowała skrycie, że jeśli Ken wróci, weźmie go znowu

do łóżka, żeby wynagrodzić sobie stracony czas i odtworzyć wspomnienia.

Nawet jeśli nic więcej się nie zdarzy, jeśli on się w niej nie zakocha — zasłużyła sobie na to i tym się zadowoli. „Najbardziej płciową częścią kobiety jest jej mózg — pomyślała — a nie to, co ma między nogami, jak sądzi wielu”.

Uśmiechnęła się, rozpoznając tę drugą Yinkę — szokującą i wyzywającą.

Stanie się nią na powrót. Posmuci się trochę, a potem wszystko wróci do normy.

„Kocham mego brata” — pomyślała na widok Ngilego otwierającego

drzwi samochodu i obładowanego całym naręczem pakunków. Siadł w wozie.

Wydawał się bardzo zamyślony. — Pomożesz mi namówić *urn'tu* do opuszczenia Nairobi? — zapytał. — Obawiam się, że kiedy dojdzie do tego

konfliktu, będzie to idiotyczna krwawa łaźnia, jak wszędzie indziej, i wszyscy

skorzystają z okazji, żeby spróbować załatwić własnych wrogów. A *urn'tu* jest

dla niektórych wrogiem. Chcę, żeby opuścił Nairobi, ty i mama również.

Chcę, żebyście wszyscy wyjechali z kraju, póki sytuacja się nie uspokoi.

— A gdzie ty będziesz?

— W sawannie — odparł bez wahania. — Nie chcę, by nasze znalezisko

stało się kartą przetargową w czyichś grach politycznych.

— Ambitna mowa, bracie. Spróbuję pomóc ci z *urn'tu*.

Wjechali w ulicę, przy której mieszkali. Karen nadal robiło szokująco

dostatnie wrażenie. Na jednym z frontowych dziedzińców jakaś czarna rodzina ładowała walizki na furgonetkę „Volvo”.

— Co to jest, u diabła? — mruknęła Yinka, kiedy mercedes przejechał przez bramę.

Przy domku gościnnym, w którym mieszkali w kawalerskich czasach

Ngili i Gwee, stał zakurzony autobus z prowincjonalnymi numerami rejestracyjnymi. Obok niego wbito w ziemię jakiś tuzin kijów. Domek był pusty:

Gwee wyjechał na miesiąc miodowy, a Ngili, posprzecawszy się z ojcem,

spędził ostatnie cztery noce w schronisku młodzieżowym. Kiedy Yinka zatrzymała mercedesa, z otwartych drzwi domku wydobyła się chmura dymu.

Wysiedli oboje, a Yinka rozkaszała się od ostrego zapachu wiejskiego

tytoniu. Ngili dotknął jednego z kijów. Był to oszczep wojownika, podobnie

jak pozostałe kije, a sądząc po zardzewiałych ostrzach, niektóre z nich były

dość zabytkowe. Wbito je barbarzyńsko w dobrze utrzymany trawnik.

— Mama! — krzyknęła Yinka zaskoczona widokiem Itiny wychodzącej

z frontowych drzwi głównego budynku i schodzącej z beznamiętną twarzą po

schodach z tacą z kanapkami; z tyłu postępował Patrick z drugą, identyczną.

Ujrawszy Ngilego, matka położyła tacę na tacy niesionej przez służącego

i podbiegła do syna. Z okrzykiem zarzuciła mu ramiona na szyję. — Tak się

cieszę, żeś przyszedł! — Jednym ramieniem objęła Ngilego, drugim Yinkę. —

Jest tu gromada wodzów z Nakuru, także paru przyjaciół,

rozmawiają  
z *urn'tu*. — Matka była niską kobietą, jedyną niską osobą w rodzinie Ngiamenów. Miała bystre oczy i siateczkę drobnych tatuaży na czole. Zawsze przypominała małe dynamo napędzające dwie wielkie maszyny jednocześnie — męża i dom.

— Dlaczego *um'tu* jest tutaj, a nie w biurze? — zapytał Ngili.

— Nie będzie więcej chodził do biura. Zrezygnował ze stanowiska dyrektora parków.

— Co takiego? Kiedy?

— Dziś rano. Prezydent wezwał go telefonicznie, rozmawiali przez pół godziny, potem *um'tu* przeszedł do swojego gabinetu i napisał rezygnację. Skłoniono go do tego. — Ngili wyczuł u matki panikę. — Ci ludzie usiłują namówić go do udziału w jakimś powstaniu, żeby ustanowić rząd separatystyczny. Ngili, nie pozwól mu się na to zgodzić. Jeśli powie im „tak”, wieści o tym rozejdą się i zostanie napiętnowany jako zdrajca i zabity.

— Ależ, mam... — Ngili uwolnił się delikatnie. — *Um'tu* nie jest nawet członkiem partii opozycyjnej... O jakim rządzie separatystycznym mogłaby być mowa?

— To jakieś sprawy plemienne. Chodź ze mną, sam się przekonasz. —

Wzięła swoją tacę. Patrick, podążający za nią z drugą, wyglądał tak, jakby nadejście posiłków przyniosło mu ulgę. — *Karibu chakulal* Chodźcie i jedzcie! — zawołała Itina w suahili, wkraczając do domku gościnnego; rzadko używała w domu tego języka.

Wszedłszy za nią, Ngili ujrzał dobrze sobie znane wnętrze, wciąż jeszcze

pełne książek i próbek minerałów. Goście, sami mężczyźni w średnim wieku

albo starsi, siedzieli na gołej podłodze. Dym z fajek i domowej roboty papierosów zmienił pomieszczenie w wędzarnię. Wśród dymu — z czołem

lśniącym od potu — stał samotnie przed siedzącą gromadą Jakub. Goście

odziani byli w wiejskie szaty: bawełniane spodnie, koszule i skórzane sandały, niektórzy nosili wełniane skarpety. Kilku założyło garnitury — wytarte i niemodne. Z dumą demonstrowali mosiężne naszyjniki, szklane

paciorki oraz znamiona rangi i stanowisk plemiennych: pałki *okiuka*, baty

i packi na muchy mówiące o statusie *olaiguenani*, *olobolosi*, *olotuno* i *laibon*.

Mężczyźni ci — członkowie rady, wróżbici, przywódcy starszyzny, selekc-

jonerzy byków, z którymi mocują się młodzi chłopcy przed rytuałem obrzezania, oraz strażnicy broni na czas pokoju — cieszyli się znacznym autorytetem przez większą część życia. Ngili natychmiast zrozumiał, dlaczego

ojciec tak się spocił. Ich raczej komiczny dziś wygląd (niektórzy nosili okulary, jeden wypuł gumę do żucia, przygotowując się do degustacji kanapek Itiny) niósł ze sobą ogromny ładunek tradycji.

— Przestańcie teraz mówić i jedzcie! — zawołała przenikliwie matka.

Ngili ciekaw był, czy przygotowała poczęstunek z własnej inicjatywy, by

przerwać zbyt niewygodną dla męża dyskusję.

— Dostojni wodzowie, oto mój syn i córka — oznajmił Jakub.

Kilku mężczyzn pozdrowiło sztywnymi ukłonami Ngilego (ale nie Yinke)

i zabrało się za kanapki. Yinka ze skrzyżowanymi ramionami ustawiła się na

środku pokoju. Siedzący na podłodze i przeżuwiający stary wódz zdawał



się  
gotów splunąć na jej uda. Jakub popatrzył na syna. Spodzielając się  
surowego spojrzenia królewskich oczu ojca, Ngili z zaskoczeniem  
zobaczył  
w nich milczące błaganie, jakby mówiły: „Rad jestem, że przyszedłeś,  
synu,  
bo potrzebuję twojej pomocy”. „A niech to — pomyślał Ngili w  
odpowiedzi  
na to spojrzenie — jaki jesteś ciepły i otwarty, *urn'tu*. Czy to może  
dlatego,  
żeś utracił wpływy związane ze stanowiskiem?” Niemniej pospieszył  
przez  
pokój, potracając kolana siedzących laibonów, i stanął obok ojca.  
Obaj znaleźli się w ogniu spojrzeń starszyny plemiennej,  
rzucanych  
przez zasłonę dymu tytoniowego. Jeden z wodzów wykrzyknął jedząc  
kanapkę: —Przez lata korzystałeś z przywilejów rządowych, Jakubie!  
Myśmy  
tego nigdy nie robili! Czy dlatego nie chcesz, abyśmy sformowali  
własny  
rząd, że sam odszedłeś z rządu?

— Nie odszedłem. Zmuszono mnie do odejścia — odparował Jakub, Ngili rozpoznał krzyczącego wodza. Był to Desmond Ndbala, członek

starszyny klanów masajskich, którym pozwolono wypasać bydło w rezerwacie

Magadi. — Chcemy własnego rządu, zgadza się, laibonowie? — Ndbala

dygotał na skutek podeszłego wieku i z dawna tłumionego gniewu. — Chcemy republiki, flagi, własnego narodu, zgadza się, laibonowie?

— Tak, tak! — wrzasnęli tamci. Kilku krzyknęło nawet śpiewnie

„Władza

„plemienia!” i uniosło zaciśnięte pięści w geście pozdrowienia, aż zadzwoniły

plemienne bransolety.

Chcecie republiki dla ostatniego plemienia w kraju? — Jakub także dygotał z giewu. — Sądzicie, że prezydent i armia na to pozwolą?

Chcesz

przywilejów, Desmondzie, chcesz władzy! Zdajesz sobie sprawę, ile będzie

kosztować stworzenie takiej republiki? Pograży to cały kraj w walkach plemiennych!

— A cóż w tym złego? Prosimy cię, byś został dowódcą naszych oddziałów. A w przyszłości może nawet naszym pierwszym prezydentem! —

Ndbala przestąpił przez kolana siedzących. Ngili widząc, jak ojciec tężeje

z napięcia, przestraszył się, by nie dostał ataku serca. Ndbala pochylił się nad

Jakubem, wydymając z samozadowoleniem policzki. — Twój rząd wsadził

cię w skórę chorej owcy — powiedział, co miało znaczyć, że rząd czeka

stosownej chwili, by zabić Jakuba. — Nasi wojownicy gotowi są zaatakować

siedziby rządu i prezydenta. Stań na ich czele, Jakubie.

— Tak czy inaczej zostaniesz zabity, lepiej więc, byś zginął jako męczennik — poparł go inny wódz. Miał tylko dwa zęby w górnej szczękę,

oba czarne jak odłamki obsydianu.

Yinka musiała naraz przytrzymać matkę, która podskoczyła z krzykiem

do Ndbali i innych mężczyzn, by się wynosili. Powiedziała, że są szaleńcami

i na dobitkę mordecami. Jakub zamachnął się ogromną ręką, ale nie uderzył,

tylko położył dłoń na ramieniu Ndbali i nacisnął, aż kolana starca z trzaskim

się ugięły. Ngili pospieszył, by ich rozdzielić, ale Ngiamena ustąpił, a Ndbala

padł na podłogę.

— Walczyłem z Brytyjczykami u boku *mzee* Kenyatty — ryknął Jakub. — My, którzy wtedy walczyliśmy, nie byliśmy Kikuju, Meru, Embu czy Masajami. Byliśmy po prostu patriotami. To, co proponujesz, podzieli kraj.

— Taki kraj nic nie daje, nic nie daje! — wrzeszczał starzec bezzębnymi ustami. Podnosił się już z podłogi. Wygłaszał teraz bombastyczną tyradę.

Jakub to zdrajca. Czarny *mzungu*. Przodkowie Masajów mawiali: „Poddaj swój kark, ale nie oko”. Jakub poddał i kark, i oko rządowi prezydenta Noi.

— Wynoście się, wynoście! — krzyknęła Itina, wrywając się z rąk Yinki. Pchnęła wstającego właśnie Ndbalę, czym wytrąciła go z równowagi, tak że zatoczył się na dwu innych mężczyzn. Patrick, nie wiedząc, czy ma przegnać pozostałych gości, spojrzał pytająco na Jakuba. Gospodarz pohamował jednak gniew i począł apelować: — Kiihuri, Djikane, jak długo się znamy? Posłuchajcie mnie! — Ale oni gromadnie zbierali się do wyjścia,

przewracając meble i depcząc kanapki. Jakub przekonywał chrapliwym głosem, że skorupy wprawdzie błyszczą, ale tylko cały dzban wodę nosi, i że

trzeba poznać moc własnego ramienia, zanim zaciśnie się pięść.

Ngili wypadł na podwórze, przypomniawszy sobie o zatkniętych oszcze-

pach. Począł wyrywać je z ziemi i nagle na tle zakurzonego autobusu oraz

gniewnej szarpaniny mężczyzn ujrzał siebie i Kena na bazarze przy Muindi

Mbindu Road, zanim zawieźli gości do Randalla Phillipsa. Owego popołudnia

padły między nimi jakieś słowa. Wyszarpował dalej oszczepy z ziemi. Co to

było? Zebrał broń w niezgrabną wiązkę i cisnął do autobusu. Ze środka dobiegł głośny, rozproszony stukot upadku. Starcy gniewnie wsiadali do autobusu. Ndbala zdążył jeszcze po drodze zdzielić Ngilego pięścią, całkiem

mocno jak na starca, ten zaś wepchnął go do wnętrza i zatrasnął drzwi. Aby

się upewnić, że odjechali, pobiegł kawałek za autobusem, który buchnął mu

prosto w twarz cuchnącymi spalinami/

Zwolnił, kiedy pojazd wyjechał na ulicę. Zawrócił i wszedł na podjazd,

doznając przerażającego uczucia, że wszystko wokół wydaje się nowe i nieznanne: bujny ogród, dom, w którym się wychował, a nawet Patrick, sługa,

którego, jak sądził, znał na wylot. Itina podbiegła do syna i otoczyła go mocnymi szczupłymi ramionami. — Czy zostaniesz i będziesz posłuszny ojcu?

Uwolnił się z uścisku. — Nie zamierzam iść do szkoły dyplomacji. Nie

zamierzam jechać do Nowego Jorku, nawet gdyby *urn'tu* miał już nigdy się

do mnie nie odezwać. Musimy natomiast wydostać się z Nairobi. I to zaraz.

Stanęła na palcach i pocałowała go szybko w policzek. — Wiem — szepnęła. — Wejź tam i powiedz mu to.

Na widok wychodzącej z domku gościnnego siostry znów doświadczył

tego uczucia, związanego jakoś z Kenem i ich bytnością na bazarze owego

popołudnia, tyle że teraz również Yinka miała w tym swój udział.

Odsunęła się, by go wpuścić, po czym podeszła do matki. „Nawet w takich strasznych czasach — pomyślał Ngili — kobiety wciąż są wyłączone

ze szczyrych męskich rozmów. Powiem mu to. Tym razem powiem mu wiele rzeczy.”

Wkroczył do środka i zapomniał, co miał do powiedzenia ojcu.

Jakub

odsunął dywan zasłaniający deski podłogi. Przy ścianie znajdowały się ukryte drzwiczki. Ngili nigdy ich nie spostrzegł — rzadko kiedy oglądał podłogę i zazwyczaj wychodził stąd wcześniej, zanim Patrick i służący przychodzili sprzątać.

Jakub podniósł deskę podłogi i wyciągnął kartonowe pudełko. Otworzył

je i obrócił się do Ngilego trzymając w rękach zupełnie niezwykłą broń.

Wykonano ją z kawałka zwykłej rury, wąskiej, zardzewiałej. Do jednego

końca przymocowano drutem gwóźdź tworzący prymitywną muszkę.

Choć

wydawało się to niemożliwe, rura była lufą pistoletu domowej roboty.

Oślonę

spustu tworzył wygięty pasek mosiądzu, a sam spust — inny gwóźdź.

Wykonana z drewna rękojeść, nie polerowana i nie malowana, stała się matowa i gładka wskutek częstego użycia. Pod rękojeścią wisiało wąskie

cynowe pudełko, chyba stara puszka po *anchois*. Był to magazynek. Cała broń wyglądała monstrualnie i śmiesznie, jak prymitywna zabawka, z której można jednak zabić.

Na widok zdziwienia w oczach Ngilego Jakub opuścił broń.

— Broń Mau-Mau? — zapytał Ngili.

— Tak, ale sam ją zrobiłem. — Pozwolił synowi zbliżyć się i wziąć broń.

— Strzelałeś z tego kiedyś? — zapytał Ngili.

Jakub skinął głową. — I zabijałem.

Ngili milczał. Dotykał pistoletu z mieszaniną szacunku i odrazy.

— Lufa jest z rury wodociągowej — wyjaśnił Jakub. — Iglica to kawałek

szrapnela z czasów drugiej wojny światowej, a uwalniana jest sprężyna z drutu kolczastego. Rękojeść zrobiłem z drewna, z twardego drewna *thirikwa*. Nigdy nie pęka z gorąca ani nie puchnie w wodzie. Z tego pistoletu

strzelałem nabojami do browninga kaliber dziewięć milimetrów, które ukradliśmy Brytyjczykom. Poszukałem "rury o średnicy pasującej do tych

naboi. Do innej broni domowej roboty musieliśmy spiłowywać pociski. Miałem prawdziwy talent wynajdywania rur, które pasowały do posiadanych przez nas kul, i miałem doświadczenie — już jako dziecko nauczyłem się

takiego rusznikarstwa od wuja, który przez całe życie polował strzelbą domowej roboty. Urwało mu przy tym trzy palce prawej ręki. — Jakub roześmiał się, unosząc pistolet i celując w ścianę.

Nacisnął spust, który stuknął ze zgrzytem. Widząc, że Ngili oczekiwał

strzału, roześmiał się. — Czy sądzisz, że trzymałbym go, załadowany, u ciebie pod podłogą? Nie chciałem ci go nawet pokazywać.

Ngili odetchnął. — Dlaczego więc umieściłeś go tutaj?

— Przesady. Uratował mi życie, więc uznałem, że jeśli go tu położę, będzie chronił także ciebie.

— Kto zrobił tę wnękę w podłodze? — zapytał Ngili.

— Biali, którzy mieszkali tu przed nami. W czasie wojny Mau-Mau

koloniści podziurawili swoje domy jak rzeszoto skrytkami na broń

— naturalnie nie była to broń domowej roboty — sądzili bowiem, że pomoże im

to na wypadek ataku ze strony własnych służących. Ale służba domyśliła się,

gdzie są skrytki, i dobrała się do broni przed panami. — Ngiamena zawahał

się, jakby szukał właściwych słów. — Myślałeś, że twój ojciec był przywódcą,

strategiem w wojnie o niepodległość? Najpierw byłem

rusznikarzem. To  
dzięki temu sprytny masajski chłopak, jakim wtedy byłem, zyskał  
sobie  
popularność wśród partyzantów Kikuju. Przechodzili raz po raz  
przez wioskę  
i widzieli, jak sporządzamy razem z wujem broń. Wreszcie zabrali  
mnie do  
*mzee* Kenyatty. Różni ludzie próbowali u nich robić broń, ale ja  
okazałem się  
od nich lepszy.

W głosie Jakuba wyczuwało się ongisiejszą dumę. — Prowadziłem  
prawdziwą fabrykę, wyrabialiśmy do czterech strzelb tygodniowo plus  
jeden  
pistolet. Większość rozrywała się przy pierwszym wystrzale. Więc  
musiejjsmy  
testować je, pociągając za spusty sznurkiem i dając nura do rowu. Te,  
które

wytrzymały próbę, wykorzystywano w walce z Anglikami. To tak wygraliśmy

tę wojnę. — Urwał i pochylił się, by włożyć broń z powrotem do pudełka. —

To tak wygraliśmy tę wojnę po to, żeby takie dzieci, jak ty i twoja siostra,

mogły chodzić do luksusowych szkół i bawić się z białymi jak równi z równymi.

Ngili słyszał już przedtem te słowa. Wetknął palce za pasek i wypiął

pierś, postanowiwszy nie ulec wyrzutom sumienia. Lecz kiedy spojrzął na

Jakuba, uświadomił sobie, że ojciec wcale nie usiłuje wywołać u niego poczucia winy, że jest zakłopotany własną szczerością. — Pierwszą bitwę

zobaczyłem w pół roku po wstąpieniu do partyzantki. Potem aresztowano

mnie razem z *mzee*. Przywódcą stałem się w więzieniu, a nie w polu. — Ngili

sięgnął po pudełko. Wyjął broń, uniósł, wymierzył w ścianę i pociągnął za

spust.

Sprężyna z drutu kolczastego zaskoczyła. Pistolet szczęknął. Ngili oddał

ojcu broń. — *Urn'tu*, chcę, żebyś wyjechał z Nairobi. Chcę, żeby cała rodzina

wyjechała.

— Chwileczkę. Co się tyczy tych starych klaunów, to ktoś wbił im do

głowy te pomysły o niezależności plemiennej. Nie zdziwiłbym się, gdyby

była to robota armii, gdyż dostarczyłoby to jej wspaniałego pretekstu do

działania. Wojsko uderzyłoby na nas, my nie pozostalibyśmy dłużni i mielibyś-

my nową Jugosławię w Afryce...

— Czy to dlatego zmuszono cię do odejścia? — wtrącił Ngili. —

W nadziei, że dasz się złapać na tę intrygę? — Jakub skinął głową.

— Ale ty

walczyłeś z Anglikami, *urn'tul* Walczyłeś z nimi u boku *tnzee*

— W tym właśnie rzecz. Walczyliśmy z białymi, wykopaliśmy ich stąd,

a potem uznaliśmy, że możemy spojrzeć im w oczy, a nawet pozwolić im

powrócić w charakterze gości. Teraz jednak do władzy doszedł nowy typ

afrykańskich przywódców. Oni nie ścierali się z białymi w polu z bronią

w ręku. Są zbyt młodzi. Spotykali ich w ONZ-ecie, w Międzynarodowym

Funduszu Monetarnym, w Banku Światowym. Tam, gdzie **zawiera**



się  
umowy, tam, gdzie biali są tak potężni, że mogą kupować całe  
rządy.

— A oni się sprzedali? — zapytał Ngili, domyślając się odpowiedzi.

— Sprzedali się, wiedząc, że pewnego dnia za to zapłacą. Teraz  
nadszedł

ten dzień, a nasi nowi liderzy nie dotrzymują umowy zarówno z  
zagranicznymi

bankami — jak i z własnym narodem. O to w tym wszystkim  
chodzi,

o niedotrzymywanie umów. Zrzućmy więc część winy także na  
białych.

Czemu nie?

Ngili milczał przypomniawszy sobie manifest, który wręczył mu  
Mtapani.

Potem odchrząknął. — Kto odniesie korzyści z tych niepokojów,  
*urn'tul*

— Armia i policja. Zwłaszcza policja. Komendant Kalangi. Jeśli  
wszystko

się zacznie, a spotkasz go na swej drodze, strzelaj pierwszy. Strzelaj w  
brzuch

albo w jądra — doradził okrutnie Jakub, jednak okrucieństwo to  
wydawało

się dziwnie nienaganne — abyś wiedział, że nawet jeśli go nie zabijesz,  
on

nie wstanie, by zabić ciebie. Ngili, on wydawał swoich towarzyszy  
Anglikom.

Nie ma dowodów, ale wiem o tym. Jest zaangażowany w handel narkotykami, zapewne również w kłusownictwo... — Ngili przypomniał sobie, że widział Kalangiego prowadzącego Cyrila Andersona do sklepu Zhang Chena, a potem Modiba, który podjechał pod sklep ciężarówką pełną towaru pochodzącego od kłusowników.

Ojciec ujął jego rękę i ścisnął w swojej wielkiej dłoni. — Ngili, jakie właściwie są zamiary Yinki w stosunku do Kena? Muszę to wiedzieć.

Chłopak pojął nagle, co oznaczało jego wspomnienie. On i Ken, których nic dotąd nie dzieliło, owego popołudnia na bazarze stanęli twarzą w twarz jak dwaj nieprzyjaciele, gdyż Ngili uświadomił sobie, że Yinka lubi jego przyjaciela.

— Nie mam pojęcia. — Ngili głośno przełknął ślinę. Jakub zmarszczył z niedowierzaniem brwi. Ngili odchrząknął, ale jego głos brzmiał ochryple od gniewu. — Jakże może mieć zamiary, skoro go tu nie ma i prawdopodobnie już nie żyje.

— Bardzo go lubiła? — zapytał Jakub.

— Tak... I on też ją lubił, jestem tego pewien. — Ngili czuł teraz, że ich

przyjaźń z Kenem była żałośnie powierzchowna. Męskie koleżeństwo okraszone ostentacyjnym egalitaryzmem rasowym i romantyzmem prowadzonych wspólnie wykopalisk. Yinka знаła go, być może lepiej niż on poznał go kiedykolwiek — wszak od zniknięcia Kena minął już miesiąc. Chcąc zagłuszyć w sobie pewność, że przyjaciel nie żyje, Ngili zapytał z wrogością:

— Dlaczego tak się interesujesz Kenem, *um'tul*

— Wcale się nie interesuję. Ale chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego nie

mówię ci, że masz jechać do sawanny i dowiedzieć się, co się z nim stało.

Wiem, że chcesz to zrobić zarówno z przyjaźni, jak i po to, żeby nie okazać

się od niego gorszym. Ale nie możesz jechać — ścisnął syna za rękę, jakby

przeczuwał opór — bo chcę, żebyś zabrał Yinkę i matkę do Johannesburga.

Gwee wciąż spędza tam miesiąc miodowy. Chcę, byście wszyscy

opuścili  
kraj, póki nie skończą się kłopoty. Odszedłem z departamentu  
parków, lecz  
wiadomość o tym nie rozejdzie się natychmiast. W ciągu dwudziestu  
czterech  
godzin załatwię wam prywatny samolot. Musisz mi pomóc, synu.  
Pomożesz  
mi, prawda?

Ngili spojrział na ojca czarnymi oczami. Potem jednym  
szarpnięciem  
oswobodził małą, ale silną rękę z jego szerokiej dłoni. — A jeśli on nie  
zginął, *urn'tul*

— Miał radio i nigdy nie nawiązał łączności. Latałeś tam  
dwukrotnie, ale  
się nie pokazał. Czyż nie na jedno wychodzi? — zapytał Jakub z  
tym samym,  
pozbawionym sadyzmu okrucieństwem. — Jesteś potrzebny swojej  
rodzinie  
i mnie. My żyjemy. Potrzebuję twojej pomocy, synu.  
— Chcesz, żebym towarzyszył kobietom. A gdzie ty będziesz?

Mam kryjówkę, tu w Nairobi.

— Gdzie?

— Lepiej, żebyś nie wiedział. Mam towarzyszy i broń. Jest nas  
kilku

takich, którzy nie zrezygnowali z walki dla dobra tego kraju. Mówię ci to teraz tylko dlatego, że nie chcę, byś sądził, że musisz wybierać między mną a przyjacielem.

Ngili spojrział na zestaw młotków geologicznych rozmaitych rozmiarów.

Ekwipunek naukowy wydał mu się nierzeczywisty. Obok młotków znajdowała się taka sama fotografia, jaką miał w swoim pokoju Ken. Przedstawiała ich obu na wykopaliskach — młodszych o parę lat, nie ogolonych, zakurzonych i szczęśliwych.

Obrzucił ojca spojrzeniem pełnym ogromnego wyrzeczenia. Stary człowiek zdumiał się na ten widok. Było to wyrzeczenie się przyjaźni ze zmarłym w buszu Amerykaninem i rezygnacja z poczucia tożsamości, czego Jakub nie mógł pojąć. — Bardzo dobrze. Załatw ten samolot. A jak to się skończy, będę mógł swobodnie wrócić na sawannę albo gdziekolwiek zechcę.

Jakub miał zamiar coś powiedzieć, ale zląkł się, że narazi tym na niebezpieczeństwo ich nowy sojusz. Oddychając głośno, pochylił się i schował dziwną broń do skrytki.

— Chodź do mego gabinetu. Świadomie przybrał lekki ton. —  
Mam

prawdziwą broń dla ciebie i Yinki.

— W porządku. Za chwilę.

Posłuchał ciężkich kroków ojca, potem siadł i spojrzał na próbki skał oraz

fotografie z wykopalisk. Zdumiało go, że ojciec wydaje się wciąż gotów do

walki. „Boże, niech stary znów okaże się zwycięzcą” — modlił się, powodo-

wany nie synowską miłością, ale poczuciem tego, co jest ważne.

Wtedy pomyślał o przyjacielu, o swoim przyjacielu *mzungu*.

Powtórzył

to sobie w duchu kilka razy: *mzungu*, *mzungu*. Określenie straciło negatywne

znaczenie, bo przyjaciel już nie żył. Ta przejrzysta, pozbawiona emocji wizja

pozwoiliła Ngilemu ujrzeć Kena leżącego bez życia w lesie, otoczonego przez

praludzi.

# 7

**W** rzawa bitwy umilkła, ale Ken już nie zasnął. Trzymając chłopca w ramionach, wsłuchiwał się w jego oddech i czuł rytmiczne unoszenie się i opadanie wątlej, nagiej piersi. Stary zegarek Haksara nie był przydatny w odliczaniu czasu, ale wyglądało na to, że co jakiś kwadrans chłopiec śnił, bo jego ciało napinało się, oddech przyspieszał, zęby zgrzytały.

Te sny miały, jak się zdawało, początek, środek i koniec. Rozpoczywały się od naprężenia mięśni i zgrzytania zębów, rozwijały w pełną napięcia akcję, kiedy chłopiec podrygiwał i wierzgał nogami, po czym następowało stopniowe rozluźnienie.

Dzisiejsi naukowcy uważają, że praludzie nie posiadali zdolności abstrahowania, ale czyż można nie uznać snu za przeżycie abstrakcyjne? «

„Tak niewiele wiemy” — pomyślał Ken, znajdując w tej myśli źródło nadziei. Skoro posiada jeszcze wiedzę, to znaczy, że nic się nie skończyło.

Wciąż istnieje szansa na to, że Ken Lauder — zarośnięty, brudny, wyczerpany, o paznokciach jak szpony, ze swędzącymi wypryskami w fałdach skóry, z owrzodzonymi dziąsłami i czubkiem języka, Ken Lauder, w którego umyśle wszystko, co wiedział o świecie, rozpadało się w chaos — może doprowadzić tę przygodę do sensownego końca. Przekształcić to bezwiedne bohaterstwo w... W co? Spotkanie między nim a innymi rasami?

Cóż mogło wyniknąć z takiego spotkania? Oni, przodkowie, mieli własny los i własną przyszłość, które nie mogły i nie powinny być wypaczone

tylko

po to, żeby sapiens mógł zdobyć większą wiedzę.

Przed paroma godzinami, kiedy usłyszał zgiełk walki i umierania, oparł się

impulsowi, by zerwać się na nogi i krzyknąć: „Przestańcie, durnie/Jesteście nam coś winni. Możecie nauczyć nas rzeczy, których nie potrafi nikt inny!”

Gdyby zdołał sprawić, żeby ci hominidzi go zrozumieli, a oni z kolei

zdołaliby dojrzeć w nim dziecko swej odległej przyszłości, odpowiedzialiby

z równą pasją: „To wy przestańcie! Przestańcie robić to, co robicie ze schedą po nas!”

Ken wyobraził sobie dialog między rasą Długopalcego a światem współczesnym i musiał stłumić ponury chichot. Boże, po takim spotkaniu straciliby grunt pod nogami naukowcy i filozofowie, historycy i moralisci, księża, rabini i mułowie, i politycy — zarówno ci wybrani w wolnych wyborach, jak i ci samozwańcy: faszyci po prawicy i lewicy. Mógł też sobie wyobrazić utarczki między uczonymi, którzy usiłują stać się oficjalnymi komentatorami podczas takiego „spotkania na szczycie” ras ludzkich.

Nieoczekiwanie perspektywa stania się jednym z takich komentatorów, a może nawet jedynym, spowodowała, że serce zabiło mu żywiej. Cóż za oszałamiający splendor i moc! Po raz pierwszy pomyślał, że może zrozumieć kogoś takiego jak Cyril Anderson.

„Nie taki los mi przeznaczono. Tak czy inaczej, niebawem zginę z wyczerpania, wskutek załamania układu immunologicznego albo w jakiejś z potyczce. Cicha, spokojna śmierć.” Ken doświadczał jej obecności, odkąd po raz pierwszy pozostał samotnie w sawannie. Dotykała wszystkiego i wszystkich, wkrótce mogła dotknąć jego. Zaskoczyło go, że nie odczuwa większego strachu. Śmierć będzie szybka, natychmiastowa. Ale czy nadejdzie jednocześnie z sekundą olśnienia i zrozumienia, zanim jego mózg przestanie przetwarzać informacje? Może tak, a może nie. Wszystkie funkcje życiowe mogły ustać w ułamku sekundy, nie pozwalając mu doświadczyć żadnego objawienia w chwili śmierci. O śmierci mówiono w poezji, spekulacjach filozoficznych, systemach religijnych, nie było jednak o niej żadnych relacji. Jego relacji także nie będzie.

Ale na to jeszcze nie czas. Czując spokojną wdzięczność, Ken zastanawiał się, czy jego graniczące z cudem spotkanie z chłopcem oraz plemionami liominidów oznacza, że czekają go jeszcze inne niewyobrażalne cuda. Że może umrze, ale nie zniknie całkowicie, a jego duch będzie krążył ponad światem, który kochał.

Komu będzie mu brakowało najbardziej? Mojej matce? Ngilemu? Oczami duszy ujrzał Ngilego — pełnego życia, płodnego, choć jeszcze nie ojca. U Ngilego wszystko się ułoży. I będzie mu brakowało Kena przez



pewien czas.

Yinka?

Kręcił się na ściółce, w której odcisnął się kształt jego ciała. Poczul, że

przed śmiercią musi jeszcze obcować z kobietą. To pragnienie krążyło w nim

wraz z krwią, pobudzało genitalia tak intensywnie, że cieszył się, iż Yinki tu

nie ma. Przywołał jej twarz po tym, jak się kochali, skórę lśniąca jakby spowijała ją aureola, i odczuł miłość nie będącą ślepą namiętnością, lecz serdeczną więzią z kobietą, która przyjmie jego nasienie.

„Nigdy tego nie zaznam. Rozumiem to teraz, ale nigdy tego nie zaznam.”

Pomyślał o kartce, którą zostawiła mu owego ranka. »Nie daj się tam

zabić. Wróc, a może pokażesz mi, co oni tam sobie jeszcze robili.« Ej, pamiętasz to słowo w słowo? To straszne, Lauder! To gorzej niż źle.

Mielibyśmy niezłą zabawę, gdybym wrócił i opowiedział jej, co tu znalazłem.”

Zaledwie kilka stóp od Kena Rzepa przewróciła się z boku na bok i mruknęła coś przez sen.

Słuchając dźwięków, jakie wydawała, zrozumiała, dlaczego znalazła się

pośród smukłych. Zostawiła swą krzepką rasę i niczym dziewczyna pospolitej

urody, uwiedziona przez przystojnego młodzieńca, uległa czarowi jednego ze

smukłych łowców. Kochali się. Zniosła ból, jaki zadawał jej jego penis, o tyle

grubszy i dłuższy niż u krzepkich i znacznie wolniej dochodzący do szczytowania. Ale kiedy kochali się twarzą w twarz, jego kość miednicy ocierała się o jej łechtaczkę w sposób, jakiego rzadko kiedy doświadczała

współżyjąc z krzepkimi, którzy brali ją od tyłu, zwykle po krótkim pościgu.

Rozciąganie warg sromu przez gruby członek stanowiło jeszcze jedno nowe

i oszałamiające doznanie. Lecz nic nie mogło się równać z samą więzią

nabrmiewając od rosnącego w jej łonie dziecka, pozostała na równinie, a partner przynosił mięso, które upolował, i dzielił się tylko z nią. Kiedy w jej

brzuchu rósł już Jezyk, musiała kochać się ze swym nienasyconym mężczyzną

niemal codziennie — o wiele za często jak na apetyty krzepkich kobiet — ale

spożywanie prawie dzień w dzień mięsa kompensowało wysiłek. Nie narodzony

Jezyk pęczniał w jej łonie i omal nie zabił jej przy porodzie, wróciła jednak

do sił. Jej piersi, pełne mleka, były niczym bulwy o tak napiętej skórze, jakby

miały pęknąć. Mężczyzna troszczył się o nią przez cały, niezwykle długi okres powrotu do zdrowia. Nadal przynosił mięso, lecz także niepokoił ją,

dając jasno do zrozumienia, że jeśli nie przyjmie go wkrótce, zanieśie jedzenie gdzie indziej. Instynkt, którego dotąd nie odczuwała, podpowiadał

jej, że powinna przyjąć partnera, jak tylko przestanie odczuwać rozzdzierający

ból, i polegać na jego pomocy, zamiast liczyć na inne kobiety, które również

doznawały bólu i przyjemności w związkach monogamicznych. Kobiety smukłych — w przeciwieństwie do małych człekokształtnych czy kobiet krzepkich — nie współpracowały ze sobą. Współzawodniczyły o obfitujące

w pożywienie tereny, a pomagały sobie wzajemnie tylko w wypadku pojawienia się w pobliżu wielkiego drapieżnika.

Rzepie brakowało niektórych rzeczy z przeszłości: figlarnej swobody

seksualnej, gorączki dni rui i wielokrotnego parzenia się. Ale z kolei nie było

wtedy nagrody w postaci jedzenia ani też wypełnionego strachem i osobliwym

niepokojem oczekiwania co wieczór na powrót ze zdobyczą wciąż tego samego mężczyzny. Nie było wyczerpującego, lecz dlategoś uspokajającego,

kieratu zaspokajania potrzeb stałego partnera.

Przywykła do obyczajów smukłych i naprawdę uważała się za żonę, kiedy

wychowywali razem Jeżyka, owoc jej jaja i nasienia ojca. Potem straciła męża

i dołączyła do kryjących się w lesie owdowiałych smukłych.

Teraz, kiedy dobiegł ją bitewny zgiełk, zrozumiała, że nieopodal w ciemności rozgrywają się losy dwóch ras: tej, którą opuściła, i tej, do której

się przyłączyła. Zasnęła z ciężkim sercem, a w jej snach więcej było niepokoju i przemocy niż w snach innych kobiet.

Uśpieni wokół członkowie klanu, zjednoczeni w swym niepokoju,

żeglowali w noc, gotując się do zwycięstwa jednej rasy nad drugą albo do całkowitego zniszczenia obu. Dla hominidów były to sprawy zgoła nieskomplikowane, podczas gdy w głowie Kena, obcego pośród nich, wrzały myśli.

Uświadomił sobie z pełną udręki pasją naukowca, że rozumiał.

I poczuł taką wdzięczność za to zrozumienie, że przytulił śpiącego w jego ramionach chłopca. Bez drobnych rączych stóp Długopalcego, pozostawiających ślady na obliczu sawanny, nie posiadałby nawet części tego zrozumienia.

Znów doświadczył lęku przed śmiercią, która oddzieli go nie tylko od świata sapiensów, lecz również od tego świata. Od Ngilego i Yinki, nade wszystko zaś od małego stworzenia, które trzymał w ramionach.

Parę tysięcy stóp niżej pędziła pod górę ciężarówka kłusowników, póki nie ukazały się przed nią niższe łańcuchy Mau.

Modibo prowadził w nowych okularach noktowizyjnych, kosztownych night hawksach, które Kalangi wysłał im tego ranka samolotem wraz z zapasami.

Zwisający z wstecznego lusterka pęczek fetyszów i amuletów pobrzękiwał mu przed nosem. Znajdowała się wśród nich wysoka na pięć cali plastikowa figurka Matki Boskiej, kość z penisa hieny, wysuszony w całości cukrzyk, kula karabinowa oraz rozmaite kły oraz inne zęby, wśród nich odłamek ogromnego trzonowca hipopotama. Umocowane do prymitywnej mosiężnej ramki, tworzyły *imani*, czyli drzewko wiary gangu przemysłowców. W obozowisku *imani* wisiało na tyczce, a kiedy ekipa przeprowadzała się, umieszczano je zwykle ze sprzętem kuchennym. Tym razem jednak Modibo chciał, by wisiało w szoferce ciężarówki.

Modibo tak długo zmuszał wóz do pięcia się pod górę, aż w silniku poczęło coś zgrzytać. Dopiero wtedy zatrzymał pojazd i wyłączył stacyjkę.

— Chodźcie — rozkazał dwu innym siedzącym w szoferce mężczyznom i wyskoczył. Wyszli za nim, dźwigając pozostały sprzęt zrzucony z samolotu: dwa radia JE. F. Johnson" oraz urządzenie nasłuchowe o nazwie „3ushmaster”.

Bushmaster był tylko odrobinę większy od przenośnego telefonu, lecz dzięki  
dziesięciocalowej antenie wychwytywał każdy dźwięk w promieniu stu  
mil,  
począwszy od zbliżających się samolotów i samochodów patrolujących  
park  
a na programach stacji radiowych w prowincjonalnych miastach Narok  
i Magadi skończywszy.

Tego ranka pilot, który przywiózł zapasy, powiedział Modibowi: —  
W Nairobi podsłuchujemy tym aparatem rozmowy prowadzone w  
wozach  
policyjnych i wewnątrz opancerzonych ciężarówek bankowych. —  
Modibo aż  
gwizdnął słysząc, jaki to wymyślny sprzęt, i doszedł do wniosku, że te  
*mangan* idą w cenę z godziny na godzinę.

Na platformie ciężarówki rozjarzył się i znikł czerwony punkcik  
palonego  
skręta. Bilal wraz z jeszcze jednym mężczyzną zeskoczyli na ziemię,  
zarzuciwszy na ramiona strzelby. Bilal spojrział na zalesione zbocze  
Mau,

które zdawało się nawisnąć nad ciężarówką i kłusownikami. Naraz poderwał się, czując na gardle dotknięcie czyichś palców. To Modibo usiłował zawiesić mu na szyi drut z zębem młodego nosorożca. Sam nosił identyczny, co wraz z okularami noktowizyjnymi upodabniało go do rogatego monstrum.

— *La. Nie* — mruknął Bilal.

Modibo brzęknął innymi trzymanymi w rękę amuletami i burknął, że nadają się na *imani*. Bilal potrząsnął głową i ruszył w stronę tulipanowca o niezwykle nisko wyrastających konarach. W soczewkach noktowizora Modiba, przedstawiających wszystko w zielonkawych barwach, kwiaty o ognistoczerwonych płatkach przypominały teraz makabryczne dekoracje pogrzebowe. Bilalowi zebrało się nagle na wymioty od wypalonego na pustym żołądkiem w pędzącej ciężarówce *Uganda Blue*.

— Weź się w garść, albo zostawię cię tutaj — zagroził Modibo.

Bilal ze zbolałą miną, wyprostował się, ocierając postrzępionym rękawem usta, i powlókł z powrotem. Kiedy dotarli do ciężarówki, pozostali wyładowywali sidła — dwie sterty — na dorosłe zwierzęta i na młode. Umyto je tego ranka, więc lśniły w świetle księżyca. Bilal mruknął coś, że jeśli znów złapią jakieś młode zwierzę, stanie się to złym *imani*, i że on jest pewien, iż cały ten pościg za *mangati* to naprawdę złe *imani*.

Modibo ściągnął z ramienia enfielda. — Wieś, kto tu rozkazuje? Ja. Chwitami, co kadzie chwitać. Stul pisk albo zwiadzie cię tu na psinętę, zrozumiano? — Odbezpieczył karabin.

Bilal spojrział na zimny okrągły wylot lufy i bąknął: — Zrozumiano. Pan rozkazuje, sierdziancie.

— Dobdzie. Bilal, idź psiodem i świeć tim na ziemię, ziebym mógł citać śladi. — Modibo wręczył Bilalowi wielką latarkę. „Może, idiota, oślepi jadowitego węża — pomyślał — który śmiertelnie go ukąsi.” — A jak zaświeciś mi latarką w noktowizor, zabiję cię — ostrzegł Modibo, świadom tego, że jeśli promień światła padnie na te okulary, osoba nosząca je oślepie. — Gotowi, chłopci? — Rozległ się stłumiony pomruk potwierdzenia. — No to do góri!

Modibo dotknął swego *juju* i wkroczył między drzewa. Kiedy rozpoczęli marsz pod górę, każdy z nich dotknął swego *juju*, oprócz Bilala, który go nie miał.

Zbudziwszy się, Ken miał wrażenie, jakby jego duch opuścił ciało. W promieniach poranka roślinność okalająca miejsce nocnego spoczynku rozświetlała się jaskrawą zielenią.

Dobiegło go głośne: „Uraaaa!” wydobywające się z kilku piersi. Nim

zdążył przetrzeć zaspane oczy, smukli mężczyźni o ciałach jak prymitywne

nagie posągi pędzili skrajem buszu. Musieli obserwować klan, bo kiedy skoczyli na śpiące kobiety, penisy mieli już w stanie wzwodu.

Ken podziwiał przez chwilę ich doskonałość i funkcjonalność.

Zastanawiał

się, czy nie jest to przypadkiem plastyczny sen polucyjny, lecz poczuł, że

Długopalcy wierzga w jego ramionach i zrywa się na nogi.

Dwóch mężczyzn powalano Niawo. Czterech czy pięciu innych chwyciło

krzyżące kobiety, które padały na plecy — w obawie przed zranieniem czy

też, żeby przyjąć oczekiwane nasienie? Niawo prawie zniknęła pod napastnika-

mi, lecz po chwili rozległo się tępe uderzenie kolanem lub stopą, a po nim

wysoki krzyk bólu mężczyzny, który podniósł się i uciekł. Wszystkie powalone

na ziemię kobiety broniły się kolanami, pięściami i rozczapierzonymi pakami.

Zrzucały z siebie napastników przy akompaniamencie szorstkich gardłowych

okrzyków. Ken ze zdumieniem zauważył, że ta pozycja na wznak nie stanowiła

bynajmniej zaproszenia, lecz najlepszą pozycję obronną. Jeśli był to pierwotny

gwałt, przebiegał — jak się wydawało — według ustalonych reguł. Mężczyźni

z zaciśniętymi zębami próbowali wytrzymać uderzenia, wkrótce jednak poczęli

się podnosić, rozcierając krocza. Kobiety, które pozbyły się atakujących, zaczęły na nich wrzeszczeć, jednak nie bez błysku zainteresowania w oczach.

Młodzieńcy w okamgnieniu pospieszyli na pomoc matkom. Na oczach

Kena Jeżyk pochwycił mężczyznę atakującego Rzepę, wystarczająco silny, by

ściągnąć go z niej za włosy, ona zaś — z suchymi liśćmi przyłgniętymi do

piersi i raczej z dwuznacznym uśmiechem, podniosła się. Jeżyk odwrócił się

od niej błyskawicznie i wraz z kilkoma chłopcami ruszył, pohukując, do lasu

w pościg za mężczyzną. Niawo również ścigała smukłego, który ją napastował,

i udało jej się podstawić mu nogę. Potem rzuciła się na niego niczym wielki

kot na ofiarę, ale on był silniejszy i znalazł się znowu na górze. Przez parę

sekund widoczny był jego poruszający się rytmicznie, włochaty tyłek, lecz

przywódczyni ponownie wyśliznęła się spod niego, tak że w ramionach napastnika pozostała tylko ściółka leśna. Kobieta odczekała na siedząco, aż

gwałcielem z porządnie podrapaną twarzą podniesie się i sięgnie po nią znowu,



a wtedy wymierzyła mu potężnego kopniaka w pierś i machnięciem ręki przywołała dwie towarzyszki, które zwały się na niego, drapiąc niczym lwice udające, że nie są gotowe do parzenia się.

Dzieci biegały teraz po polanie od jednej do drugiej mocującej się męsko-damskiej pary i przywalały ją swoimi ciałami. Członkowie klanu robili

tyłe hałasu, że aż liście szeleściły. Ken zdał sobie sprawę, że napad tak naprawdę nie jest wcale napadem, lecz rodzajem gry seksualnej.

„Lepiej się schowam — pomyślał — bo z kobietami to tylko preludium.

Jeśli zobaczą mnie mężczyźni, może się zrobić groźnie." Jednak na myśl o tym, że ci mężczyźni to przecież smukli należący do tej samej rasy, co klan

Długopalcego, doznał oszałamiającej ulgi.

Chwilowo smukli zwyciężyli.

Przypomniał mu się tamten umierający krzepki. Wielu takich jak on już

nie żyło. Zamknął oczy i zacisnął powieki, próbując odegnać obraz umiera-

jącego pracłowieka. Silniejsza rasa brała górę. „Nastaw się do niej przychyl-

nie — pomyślał. — Muszą być lepiej przystosowani, wyżej rozwinięci. Nie

oceniaj, Lauder. I nie mieszaj się. Nie bądź Bogiem."

Otworzył oczy.

Poczuł się oddzielony od tej rasy i postanowił ukryć" się wśród krzewów o kwiatach czerwonych jak orchidee. Przypominały odmianę bauhinii, cenioną — jak się dało zauważyć — przez mrówki, gdyż zewnętrzne pędy objęzione zostały na kształt koronkowych zwidów. Zaczerpnął tchu, zastanawiając się, po jakim czasie mrówki go odkryją i zmuszą do wyskoczenia z wrzaskiem z krzaków.

Mężczyźni umykali na skraj polany. Jeden z nich powłóczył zwichniętą nogą. Posiniaczona męskość zwiślała mu miękko, a mimo to dziewczęta z klanu nie przestawały go molestować. Nie mógł znieść tych chichoczących hultajek. Ostatkiem sił wskoczył w zarośla dzikiej bauhinii i zderżyły się nos w nos z Kenem, którego odmienność nie była już tak szokująca jak przed paroma tygodniami. Gęsta brązowa broda porastała mu dolną połowę twarzy, kryjąc słabo zarysowane szczęki. Do dziko zmierzwionych włosów przylgnęły w czasie snu odrobiny ściółki leśnej. Opaloną i nie mytą skórę pokrywały zadrapania i krosty. Spękane wargi były nadal bardziej różowe i mięsiste niż u hominidów, brązowe oczy jaśniejsze, nos znacznie bardziej wydatny, czoło lepiej wysklepione i wyższe, no i wzrost — ponad sześć stóp. Na widok tych rozmiarów smukły wrzasnął z przerażenia.

Cienkie, lecz muskularne ramiona małpoluda ugięły się, potem wyprostowały, i ku twarzy człowieka z błyskawiczną prędkością pomknęły pięści.

Cios nastąpił tak szybko, że Ken nawet go nie poczuł. Padł na ziemię, boleśnie smagany łamanymi gałęziami. Smukły odskoczył, przemknął przez polanę i dołączył do towarzyszy. Ken słyszał wysokie urywane pomruki — rozgłaszano wieści o nieoczekiwanym gościu kobiet.

Podniósł się, czując w ustach krew. Otarł nos przedramieniem, rozmazując krwawy śluz na skórze. Wyczuł językiem, że jeden z przednich zębów lekko się rusza w zębodole. Mimo wszystko zaświtała mu nadzieja: „Przeżyję, jeśli zdołam im pokazać, że nie chodzi mi o kobiety.”

Radia oraz bushmaster przyprowadziły Modiba o poważny ból głowy. Na pierwszym przeznaczonym na odpoczynek postoju mężczyźni włączyli urządzenie nasłuchowe i poczęli jeździć po skali częstotliwości w poszukiwaniu

stacji nadających muzykę rap, żeby odpowiednio dostroić radia.

Modibo, niespokojny, poszedł rozejrzeć się, gdzie są i dokąd zmierzają.

Kiedy wrócił, wszyscy kłusownicy prócz Bilala pobrzękiwali sidłami niby

talerzami perkusji i w mrocznym świetle poranka przytupywali w rytm „Snoop Doggy Dogg”. Modibo rzucił się ku nim, warcząc groźnie, że roztrzaska bushmaster i radia. Popędził ich kolbą karabinu i zarządził dalszy marsz.

Poszli dalej. Kiedy światło poranka poczęło przesączać się przez las,

Modibo kazał Bilalowi zgasić latarkę. Zaledwie w parę minut po wyruszeniu

ktos włączyl urzadzenie nasluchowe w nadziei, ze trafi na poranne wiadomosci.

Modibo uderzyl winowajce w twarz, tak dla przykladu.

Kalangi przyslal mu najdokladniejsza mape rejonu, jaku udalo mu sie

znalezec. Sierzant liczyl na to, ze dzieki mapie, kompasowi oraz wlasnej pamieci tropiciela odtworzy trasę, jaku w 1953 roku po raz pierwszy przebylo

komando (do ktorego sam wtedy nalezal) zwalczajace partyzantke Mau-Mau.

Jednak przez kilkadziesiat lat las zmienil sie ogromnie. Niektore zbocza porosly swiezau i bujnu roslinnosciou, inne, wskutek wymywania gleby, staly

sie jalowe i ulegly zniszczeniu. Na niektorych urwiskach pojawily sie drzewa,

z innych zniknely. Modibo pamietal, ze stary szlak wil sie pod gore, wychodzuc wreszcie na otwarty taras. Za nim teren gwałtownie uskakiwal ku

wschodowi. Bedzie to miejsce o zasadniczym znaczeniu dla okreslenia polozenia i wysokosci rejonu przebywania *mangan*. Przekonywal sie, ze bardziej moze ufac wlasnej pamieci niz wspolrzednym geograficznym na

mapie. Posiadal wewnetrzne wyczucie dystansu, choc wkrótce zdal sobie

sprawe, ze odleglosci, jakie zapamietal, nie pasowaly juz do otoczenia, w ktorym sie obecnie znajdowal. Zwalanie sie drzew, zarastanie krzewow,

obsuwanie sie ziemi tudziez inne zmiany w uksztaltowaniu terenu przeinaczily

konfiguracje zbocza, wydłużajac badz skracajac odleglosci. Miejscami zarosla

staly sie tak gęste, ze trzeba je bylo omijac.

Zdawalo mu sie, ze pogrązaju sie głębiej i głębiej, w coraz to wyzszy

powinni

wyprzed dwoma godzinami minac znak orientacyjny, pozostawiony przez

oddzial w 1953 roku, szczegolnie latwo zauwazalny. Doprawdy, nie sposob

go bylo przeoczyć. Ustawiono go tam, aby wystraszyć i na dobre zniechecic

*mangati* do powtornego opuszczenia lasu.

Gdzie to bylo, u diabla?

Idacy za nim przedstawiciele mlodego pokolenia dalej bębnili po klawiaturze bushmastera, szukajac rytmow „Snoop Doggy Dogg” albo „LL

Cool J”.

Bilal, ktory uczyl sie przez trzy miesiace leśnictwa w prowincjonalnej szkole zawodowej — dopoki nie ukradl nauczycielowi ksiazeczki

czekowej  
i nie zbiegł do buszu, żeby uniknąć aresztowania — zaczął budzić się z oszołomienia narkotycznego i odkrywać piękno wysokogórskiego lasu. Nie widział niczego podobnego podczas krótkiego szkolenia. Znane gatunki drzew, krzewów i kwiatów pomieszane były z zupełnie mu nie znanymi. Miał wrażenie, że przeżywa kolejny narkotyczny „odjazd”. Żeby opanować myśli, skupił uwagę na własnych krokach, na krokach kłusowników idących przez las w starych wojskowych butach, na krokach tej małej dziadowskiej armii, która polując wśród dzikiej przyrody nigdy się nie zastanawiała nad tym, co robi.

Drzewa i inne rośliny przywołały wspomnienia z dzieciństwa. Osiem początkowych lat życia spędził w górskiej wiosce, potem rodzina przeniosła się do slumsów w Nairobi i rozpadła. Minął krzew *m'deeree*, z którego pewne

plemiona sporządzały wywar przeciw gorączce. Słodki zapach złamanego

i wyrwanego z korzeniami drzewa *m'cherenge* przypominał mu, że z jego

drewna wykonywano dzbanki na mleko. Wielkie żółte kwiaty *m'talawanda*

przywodziły na myśl wioskowe bębny, na których grał jako dziecko. Większość

nazw roślin posiadała ten sam prefiks „m” jak imiona plemienne, co miało

swój sens. Bilal przypomniał sobie, że w bajkach z dzieciństwa drzewa zachowywały się jak ludzie.

Poczuwszy się chwilowo lepiej, zwrócił się do sierżanta. — Niech pan paci,

sierdziancie, to jest dziewo *m'toondoo*. Dobre na łodzie, bębni, korita — z liści

można robić lini. — Modibo uniósł wzrok i ujrzał majestatyczne, ponure drzewo

o ogromnych liściach. — Mógłbi pod nim rozbić obóz cała pułk, co, sierdziancie?

— Zamknij się — odburknął Modibo.

Bilal obejrzał się na pozostałych kłusowników. Po ich brudnych czołach,

policzkach i szyjach spływał lśniąco strużkami pot. Wciąż nieco rozweselony

po wypaleniu skręta, miał ochotę podzielić się z tymi ludźmi swoim uczuciem... Jakim? Podziwu dla piękna? Tak, podziwu dla pewnego rodzaju

piękna, o istnieniu którego już niemal zapomniał. Zbliżył się do Modiba z tak

błyszczącymi oczami, że sierżant odsunął się, by zachować dystans.

— W podziękuję, sierdziancie. To — Bilal wskazał inne drzewo — jest

*m'oosimbatee*. Ma owoce dobre na kaszel. — Popatrzył życzliwie na pozo-

stałych. Odpowiedzieli beznamiętnymi spojrzeniami. Zapytał sierżanta, jak

właściwie mają zlokalizować tych *mangan*. Modibo sam nie wiedział, ale nie

dał tego po sobie poznać. Znajdowali się niemal na skraju terytorium *mangan*.

Zbudują tu chatę z liści — taką jak w czasie zasadzek na nosorożce —

i siedząc w środku pozwolą, by te stworzenia się zbliżyły.

Ci po zabiciu ich wirwiami im zębi i zawiesimi je na ścięście na dziewku *imani*? — zapytał Bilal, patrząc na ząb młodego nosorożca

zawie-

szony na piersi Modiba.

— Nie zabijemy ich, zabiedziami dziwcem. Są bardzo cenni — odrzekł

Modibo.

Bilal poczuł na sobie wzrok tamtego małego nosorożca, który z zaświatów zaglądał w jego rozkojarzoną narkotykami duszę. Nie zniósłby już chwytania jeszcze jednej istoty, ale nie wiedział, jak o tym powiedzieć kłusownikom albo Modibowi.

— A jeśli *mangati* będą się opierać, sierdziancie? — zapytał Bilal.

— Nie twoje zmartwienie, martw się o to, by zrobić dobrą chatę z liści — odparował Modibo. — Pamiętaj, pięć setek dolarów dla każdego, jeśli się dobrze spisiemi. — Podniósł głos, zwracając się do pozostałych

ludzi. — Pięć dla każdego. Kupa pieniędzy.

— Nie chcę iść — stwierdził Bilal. Opadł na ziemię i zaczął ściągać buty.

— Nie-su-bor-di-na-cja? — parsknął Modibo. Uniósł lewą rękę i puknął

palcem w przypięty na nadgarstku zegarek i kompas, jedyne przyrządy

pozwalające na orientację w terenie. — Idę sam — ostrzegł. — Zostawiam

was tu wsistkich i idę sam.

Kłusownicy zadrżeli. Jeden z nich szturchnął Bilala butem w zębra.

—  
Wstawaj i nie rób kłopotów.

Ten wstał, ale zaczął coś mamrotać: — *Mangati* to ludzie, nie małpi, widziałem ich zębi w sklepie Ziang Ciena, wyglądają jak ludzkie. Za łapanie ludzi powinniśmy dostać więcej.

Modibo ruszył dalej, spoglądając to na szlak, to na kompas. W pewnej chwili przystanął. — Cimaj to — polecił Bilalowi. Młody człowiek wziął posłusznie bushmastera. Sierżant zdjął z ramienia enfieldea, przyłożył lufę do piersi Bilala i pociągnął za spust. Ciało stłumiło huk wystrzału. Kula wyrwała dziurę w plecach kłusownika. Upadł, wstrząsany drgawkami.

Modibo chwycił zręcznie bushmastera i wetknął pod pachę, a potem z dymiącym jeszcze karabinem, skoczył między jaskrawoczerwone pnące lilie.

— Sierdziancie? — zawołał piskliwie jeden z kłusowników. Nie było odpowiedzi. Inny mruknął, że sierżant odszedł z ich pieniędzmi. Zdjąwszy strzelby z ramion, wszyscy trzej jęli przedzierać się przez gęstwinę, zobaczyli, że Modibo oddala się szybko, potem przystaje i nieruchomieje jak skamieniały.

Podbiegli i stanęli jak wryci przed dziwnym pomnikiem.

Pośrodku polany stało rozszczerzone przez piorun drzewo, o które wspierała się makabryczna rzeźba z ludzkich szkieletów związanych brązowym sparciąłym sznurkiem. Kłusownicy dostrzegli okropny wizerunek Modiba. Ubrany w pogryzioną przez mrówki polową kurtkę i hełm, trzymał na drucianej pętli bezradnego *mangati*. Wokół pnia leżały, niczym pokonani wojownicy, inne szkielety hominidów, owinięte mchem, zwanym brodą starca, imitującym małpie owłosienie.

— Kto to zbudował? — ośmielił się zapytać jeden z kłusowników.

— Ja — wychrypiał szorstko Modibo. — Zięby wistrasić *mangati* i cimac

ich w lesie. Jak ktoś ma pietra, droga wolna. Ale jeśli zostajecie, słuchacie

moich rozkazów. Łapiemy *mangati*, zabierami je dziwcem do Nairobi i sarni

spsjedajemi. Bez komendanta, bezpośrednio klientom. — Odczekał chwilę. —

W podziądku, ludzie?

Czekał. Byli zbyt przestraszeni, żeby odpowiedzieć.



— W podziądku — odpowiedział za nich. Kopnął szkielet, jakby chciał potwierdzić swoją władzę nad polaną. — Gotowi, ludzie? — Ktoś jęknął na znak zgody. — A więc w górę.

Ruszyli przestępując przez kości hominidów.

Układ, jaki zaproponował Modibo, niczym nie różnił się od niegdysiejszych

transakcji zawieranych w handlu niewolnikami. Wodzowie Waganda z głębi

kraju także pomijali królów Suahili z wybrzeża oraz arabskich książąt Zanzibaru

i sprzedawali niewolników bezpośrednio muzułmańskim władcom Omanu

i indyjskim nababom, a potem Europejczykom. We wschodniej Afryce polowano od czasów faraonów, robili to cudzoziemcy i tubylcy.

Chwymano

niewolników i dzikie zwierzęta, a teraz własnych przodków.

Po skończonym napadzie kobiety okazywały swe podniecenie gwarząc i pogwizdując.

Niawo — z siniakiem poniżej piersi, z liśćmi we włosach i lepкими plamami na udach — chodziła w koło niczym kotka.

Dzieci goniły się, wyładowując nadmiar energii rozbudzonej, jak sądził

Ken, dwuznacznymi emocjami, jakich doświadczały obserwując swoje matki uczestniczące w tej prymitywnej grze seksualnej. Jeżyk wydawał się zagniewany na Rzępę. Kiedy chciała dotknąć jego policzka, uchylił się, chwycił garść ziemi i liści i cisnął w nią. Potem odbiegł z Uśmieszkiem i Długopalcym.

Żadna z kobiet nie szukała tego ranka pożywienia. Instynkty macierzyńskie zastąpiło nagłące pragnienie wydania w najbliższej przyszłości nowego potomstwa.

Ken zobaczył, że kobiety zaczynają oddalać się parami i — nie wiedzieć

czemu — przedzierają się przez gęste zarośla, zamiast skorzystać z przetartej

ścieżki. Kiedy stracił je z oczu, usłyszał ich piskliwe okrzyki i przenikliwy

śmiech — znowu wpadły na skradających się mężczyzn. Wracaly szybko,

oglądając się przez ramię. Dzieci zrozumiały, że wolno im zbadać sytuację.

Zagłębiły się w gęstwinie, następnie przygalopowały z powrotem i znów skoczyły w zarośla. Kobiety opadły na trawę, niektóre usiłowały nawet szukać

pożywienia, ale były doprawdy zbyt pobudzone, żeby mieć cierpliwość do

czegokolwiek. Kilka znowu poderwało się na nogi, ale tym razem przechadzały

się wyniośle.

„W pobliżu są faceci — wywnioskował Ken — i obserwują.”

Nie potrafił jednak dokładnie stwierdzić, gdzie. Począł zagłębiać się w gąszcz. Niawo pospieszyła za nim, deptając mu po piętach. Był zaskoczony

wyrazem jej oczu i malującym się w nich zatroskanim. „Czyżby groziło mi

niebezpieczeństwo? Czy zostanę ukamienowany na jej oczach?”

Zjężyły mu się włosy na karku. Z zarośli wyszło trzech mężczyzn i szybko zbliżało się z wysuniętymi do przodu twarzami o cofniętych czołach

i luźno zwieszonymi wzdłuż boków rękami. Nie mieli kijów ani myśliwskich

kamieni.

Wszyscy trzej ledwo sięgali mu do piersi. Czuł się strasznie głupio

— olbrzym o wielkiej głowie. Spojrzenia mieli utkwione w jego

podbrzuszu,  
niczym radary badające stan narządów płciowych innego mężczyzny.  
Jego  
własne pozostawały w spoczynku. Poczuł się nieswojo, stojąc nagi  
przed  
innymi mężczyznami, którzy otwarcie oceniali jego atrybuty męskości.  
Był  
przestraszony, ale wolałby, żeby Niawo odeszła — co ona tu robi, do  
diabła?

Najwyraźniej nic szczególnego. W pozie niemal wyzywającej, ze  
skrzyżowanymi poniżej piersi szczupłymi ramionami i przygryzioną  
cienką  
dolną wargą patrzyła, jak smukli zbliżają się. Ken spojrzał na nią, a ona  
odwzajemniła spojrzenie. Smukli podeszli już tak blisko, że czuł  
zapach ich  
gorących, spoconych ciał. Jeden zbliżył się tak, że jego czoło znalazło  
się tuż  
pod brodą Kena. A potem wyciągnął rękę...

...By dotknąć jego ramienia. Smukłe muskularne palce małpoluda

—  
podobne do szympansecti, lecz znacznie mniej owłosione — obmacaly mu biceps. Ken napiął go lekko. Ciepły oddech australopiteka owiewał mu szyję, palce natomiast obmacalywały mu bark i mięśnie klatki piersiowej, po czym się wycofały.

„Owszem, składałam się z ciała i kości tak jak ty — pomyślał Ken — i tęsknię za partnerką tak jak ty, ale nie przybyłem tu, żeby odebrać wam terytorium lub kobiety.”

Oczywiście oni nigdy tego nie rozumieją.

Wciąż jeszcze miał zjeżone włoski na ciele, ale wytrzymał badanie.

Dzielące ich dwa miliony lat skurczyły się do dystansu kilku stóp. Potem

jeden z mężczyzn omal nie uszczypnął go w sutek, mniejszy i z węższą niż

u nich obwódka. Ken zrozumiał ten gest i wybuchnął szczerym śmiechem.

Był to chyba jedyny fragment jego ciała, który nie wydawał się większy, silniejszy i bardziej pospolity niż u nich. Wpatrywali się w jego pępek i kroczce, ale nie ośmielili się ich tknąć.

Odwrócili się i pospiesznie oddalili.

Ken też się odwrócił i znalazł twarzą w twarz z Niawo.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. „Sądzę, iż byli pod wrażeniem tego, że im pokazałaś swoją maskotkę — mnie.”

Odwróciła się. Do jej pleców przylgnęło kilka liści. Już miał wyciągnąć

rękę... ale nie. Nie będzie zdejmował liści z jej nagich pleców.

Zrobiła coś bardzo sprytnego — pomyślał — udało jej się dać tym mężczyznom do zrozumienia, że nie stanowią dla nich problemu.” Potem

jednak zmienił zdanie. Może zasygnalizowała im coś zupełnie innego? Może

chciała powiedzieć, że Ken nie przeszkodzi im ubiegać się o względy kobiet

z jej klanu, ponieważ... jest jej partnerem!

„W porządku, w porządku, Lauder. Kobieta nie może cię zgwałcić, jeśli

nie będziesz miał na to ochoty, to jedna z dodatkich stron bycia mężczyzną.

Możesz ochłonać.”

Klan ruszył na wschód w luźnym ordynku — kobiety szły w środku,

dzieci swobodnie biegały wokół nich. Ciepło promieni słonecznych skapywało

niczym miód poprzez rzednące listowie. Pomiędzy zalesionymi, widocznymi

na wprost urwiskami ciągnął się rzadko porośnięty wąwóz.

Niawo prowadziła tam swoją grupkę, jakby zamierzała wpakować się w zasadzkę. Zrobiła to rozmyślnie. Po lewej stronie urwiska, wysoko wśród splątanych gałęzi drzew, widać było kudłate głowy mężczyzn, przypominające dojrzałe owoce.

Niawo nawet odrobinę zwolniła.

Kobiety przechodziły pod baczными spojrzeniami smukłych, którzy skupili się między drzewami jak chłopcy wystający na chodnikach i obserwujący przechodzące dziewczęta.

Mężczyźni poczęli schodzić na dół, pojedynczo bądź parami, jedni szybciej, drudzy wolniej. Wreszcie stanęło ich w wąwozie ponad tuzin.

Zbliżyli się do terytorium kobiet, ale nie wkroczyli na nie. Piersi, ramiona i nogi oplatały im pnącza i gałązki krzewów. „Tak bardzo związani są jeszcze z naturą” — pomyślał Ken, zafascynowany tym pomieszaniem skóry, liści i łądyg.

Mężczyźni nie wzbraniali kobietom przejścia. Ich mroczne spojrzenia zdawały się oceniać, jak trudne to będą konkury.

Niawo podeszła do krzewów obsypanych dzikimi orzeszkami ziemnymi i jęła buszować w nich hałaśliwie, zachowując się jak nastolatka. Inne kobiety pozwoliły jej zrywać i rozdawać orzeszki. Posiadały albo porozkładały się na ziemi i powoli się pożywiały, wykonując przy tym mnóstwo gestów i wydając rozmaite głosy. Czy ten ich zapał miał stanowić jakieś przesłanie dla mężczyzn? Czy w ten sposób dawały do zrozumienia, że droga do serc niewieścich wiedzie przez żołądki?

To było prawdopodobne.

Niawo kładła, widać, nacisk na dzielenie się pokarmem, skoro z taką powagą rozdawała drobne orzeszki. Musiał istnieć silny związek między spożywaniem pokarmu a seksem.

Ken zmagał się z wciąż powracającą niespokojną myślą. Ngili zorganizuje wreszcie wyprawę ratunkową, żeby go odszukać; a kiedy już go znajdą, natrafia też na hominidów. Strażnicy parkowi oraz mnóstwo naukowców, którzy przedrą się przez busz albo zostaną zrzuceni ze śmigłowców, skonfrontuje to „dzikie” człowieczeństwo z naszym współczesnym człowieczeństwem. I co wtedy...? Co wtedy nastąpi?

Może jednak w Nairobi nie organizują ekip poszukiwawczych, sądząc, że on już nie żyje?

„Cóż się więc ze mną stanie? Czy zostanę tutaj? Czy będę tu żył? Nie.

To niemożliwe. Jestem zbyt odmienny.”

Zastanawiał się, czy mężczyźni nie spróbują znowu wyeliminować go

z gry. Wiedział, że w końcu to zrobią, i postanowił, że musi się wymknąć.

Rozejrzał się za Długopalcym. Założył podświadomie, że odejdą razem.

On

i chłopiec. Znów będzie jak wtedy w sawannie.

Pokręcił głową.

Zobaczył, że Długopalczy pojawia się i znika w tłumie, biegając wokół z Jeżykiem i Uśmiezkim. Tworzyli całkiem urodziwą trójkę. Jedzenie orzeszków przerodziło się w regularny piknik, prawie wszyscy pokładli się na ciepłej trawie. Ken zauważył, że Rzepa, która oddaliła się z grupką kobiet, powróciła już, niosąc pędy pnących lili o kruchych, pomarszczonych, wygiętych ku górze płatkach. Czy miał to być deser? Nie. Naturalnie wygięte końce kwiatów z łatwością dawały się wpiąć w kobiece i dziewczęce włosy. Rzepa uczyniła to pierwsza — chwyciła garść kwiatów i podrzuciła je w powietrze. Stała w deszczu opadających płatków niczym swawolny szympanś i pozwoliła, by wplątały się jej we włosy. Z przymkniętymi oczami zaczęła się przechadzać, jakby rozważając, czy pięknie wygląda w kwietnym przybraniu.

A wyglądała pięknie.

Wycucie piękna, ten instynkt głęboko zakorzeniony w człowieku, występował już u niej. Upiększanie samej siebie stanowiło istotny element kobiecej natury.

Naraz coś sprawiło, że rysy Rzepy nie wydawały się już tak grube, a ką

twarzowy tak pochyły. Jej krok stał się lżejszy, a tęsknie rozchylone usta, przez które dobywał się oddech, nadawały jej wyraz niewinnej świeżości.

Zakręciła się w kółko z uniesionymi w górę ramionami. Jedna z kobiet wydała

dźwięk przypominający parsknięcie. Rzepa otworzyła oczy i stanęła przed

krytyczną konkurentką ze swymi zwieszonymi groźnie ramionami kobiety

krzepkiej. Nie pozwoli, by szydzono z jej prawa do posiadania partnera. Winowajczyni pospiesznie siadła i spojrzała na swoje, ładniejsze zresztą, piersi, przyznając się w ten sposób do błędu. Rzepa podeszła dumnie do Niawo i opadła na trawę. Ken, chociaż znał siostrzane stosunki panujące między nimi obiema, nawet się nie domyślał, po co palce Niawo unoszą się

do twarzy towarzyszki. Niawo szarpnęła lekko. I jeszcze raz. Ramiona Rzepy

zadrzały. Ken złapał się na tym, że podchodzi do nich pospiesznie, jakby w obawie, że coś może ująć jego uwagi. Bez tchu siadł tuż obok, pragnąc

utrwalić ten moment na kliszy swej pamięci.

Niawo ani nie łaskotała, ani nie ścisnęła towarzyszki, lecz wyrwała z jej

warg długie włoski, aby upodobnić je bardziej do ust kobiet smukłych. Usuwała z nich zarost krzepkich.

Rzepa przechylała w tył głowę i mrugała z bólu, ale jej wargi, w miejscach

gdzie zostały wyskubane, stały się gładkie i różowe. Kena uderzyło nagle, jak

prosto i skutecznie kobiety wyrażają swoją seksualność twarzą. Na poziomie

ewolucyjnym australopiteka ich różowe wargi sromowe, ukryte pomiędzy

ściśle przylegającymi do siebie nogami, przestały być widoczne. Lecz owa

różowa barwa przeniosła się na twarze. I chociaż rasa ta miała podlegać ogromnym przemianom w ciągu kolejnych milionów lat, różowość tych bezwłosych warg pozostała istotnym rysem kobiecości.

Promienie słoneczne przesączały się przez drzewa, a powietrze stawało

coraz cieplejsze. Ken był jak odurzony całą tą wiedzą, nie wyuczoną, nie

wydedukowaną, lecz przekazywaną mu na gorąco przez ten gatunek.



I on, i oni byli w tym momencie zbyt zajęci, żeby dostrzec  
zwieńczone  
kędzierzawymi czarnymi włosami czoło, które ukazało się znad dość  
odległych  
krzaków. Obserwowała ich para oczu przywykłych do patrzenia na  
odległość  
i rozszerzonych teraz z podniecenia, a wygięte nerwowo usta tłumili  
uśmiech gнома.

Modibo uskoczył za krzak i wycofał się bokiem niczym krab,  
przeliczając

w pamięci liczbę australopiteków. Sądził, że przynajmniej do wieczora  
zejdzie jego ludziom na zakładaniu siodeł wokół tarasu, co przeobrazi to  
miejsce kojarzenia się par w jeden ogromny potrzask.

Nagrzane w słońcu kwiaty poczęły więdnąć i wypadać z włosów kobiet.

Kiedy kwietny pąk wysunął się z włosów Niawo, wetknęła go raz jeszcze,  
a kiedy znów wypadł, rozerwała go i mocno roztarta w palcach. Starte płatki  
wklepała dłońmi w policzki.

„Bawi się — powiedział sobie Ken. — Nie, bynajmniej. Daje ci znaki,  
Lauder.”

Poczuł, że się rumieni pod opalenizną i warstwą zaskorupiałego brudu.

Wariacka sprawa. Co ma właściwie robić?

Niawo rozmasowała policzki i pogładziła zamknięte powieki.  
Następnie

wstała i poprowadziła klan w dół rozszerzającego się wąwozu

Ken doznał nieoczekiwanego pragnienia, żeby podejść do niej bliżej.

Ruszył za nią i z łatwością dogonił dzięki dłuższym nogom. Przełknął nerwowo ślinę. „Wyprzedź ją, zatrzymaj, obróć się, tylko tyle, spokojnie,

chłopcze. Odwróć się i spójrz na nią niby zupełnie przypadkiem.”  
Poczuł się  
niezręcznie i ofuknął w duchu. Dlaczego tak się poczuł? Przecież nikt  
na

niego nie patrzył. Nikt? Cóż, w każdym razie nikt na jego szczeblu ewolucji.

Staął naprzeciw drobnej kobiety i zwrócił się ku niej z najlepiej udawaną  
obojętnością, na jaką było go stać.

Zadrzał od stóp do głów. Jej tęczówki były rozszerzone, być może wskutek działania soku owych kwiatów.

Wbił w nią wzrok. To niemożliwe.

Dawała mu znać, że jest nim zainteresowana, rozszerzając źrenice  
jak

obiektywy. (Takie rozszerzanie u wszystkich gatunków oznaczało zainteresowanie.) Poszukała jego spojrzenia, a kiedy je odnalazła, wbiła w niego  
wzrok

tak baczny, że aż cofnął się przed nim, jak od skraj przepaści przyprawiającej  
o zawrót głowy.

Nadal schodzili w dół wąwozem. Drzewa nieoczekiwanie zniknęły.

Weszli na taras zalesiony po bokach, ale odkryty pośrodku. Na wprost, poniżej urwiska, rozciągała się sawanna.

Po raz pierwszy od wielu dni Ken stanął w pełnym świetle słonecznym.

Zalewało jego nagie ciało, rozogniało twarz. Kiedy się odwrócił ze zmrużonymi  
oczami, stwierdził, że drobna kobieta stoi tuż obok. Oskoczył od niej gwałtownie, omal się nie potykając.

„Prawdopodobnie straciłem u niej szansę. To dobrze." Nie ma sensu o tym myśleć.

Zwrócił twarz ku odległej sawannie i dostrzegł na niej poruszające się

plamki, centki i pasy — pasące się zwierzęta. Tu, na skraju sawanny, działo

się wiele ciekawych rzeczy. Dzieci, zebrane w gromadkę, przyglądały się,

gaworząc i pokazując coś palcami. Długopalcy znów coś wyjaśniał i opowiadał.

Uniósł ramię, zgiął je na kształt długiej szyi, opuścił luźno dłoń i złączył razem palce, naśladując głowę i szyję strusia. Zlustrowawszy sawannę, Ken

dostrzegł tego ptaka kręcącego się wokół kilku jaj. W okolicy nie pokazywały

się żadne pawiany, które mogłyby je ukraść, ani jastrzębie, które by je przebiły. Struś siadł na jajach, ale głowę uniósł niczym peryskop. Długopalcy podniósł ramię, naśladując szyję ptaka.

Ken zastanawiał się, czy mogą być dostrzeżeni przez kogoś stojącego na dole, wśród sawanny. Podeszedł na sam skraj urwiska, aż trawa i ziemia poczęły mu się kruszyć pod stopami i obsuwać w dół. W połowie wysokości stoku dojrzał szeroki jałowy grzbiet z odcisniętym kręgiem śladów stóp. To ten grzbiet widział z samolotu Hendrijksa.

**Część**

**szósta**

**WYBÓR**

# 1

o jest to, Ngili — pomyślał Ken. — To są te słynne ślady stóp, któreśmy widzieli z samolotu. Łamaliśmy sobie głowę nad znaczeniem tego wzoru i gotowi byliśmy już uwierzyć, że to miraż. Ale to jest właśnie to — dowód, że żyli tu już dawno temu, kiedy tylko oni byli ludźmi. Dowód ich cudownego, nieprzerwanego istnienia."

Niezwykle bogactwo wspomnień wiązało go z tymi odciskami stóp, które stanowiły pierwszy ślad istnienia tej unikatowej rasy.

Wiatr wzbil na niższych urwiskach tuman pyłu, który na krótko przysłonił

podnóże zbocza, po czym rozwił się. Wir powietrzny poderwał drobiny pyłu, uniósł je na stoki Mau i cisnął w twarz Kenowi, który odstąpił w tył i odwrócił się w stronę tarasu, gdzie znów pojawili się smukli mężczyźni.

Podeszli zwartą kolumną, liczącą jakieś dwa tuziny osobników, ale szybko rozbili się na grupki po dwóch lub trzech. Poczuli przechadzać się wokół, jakby oceniając tę czy inną, spoczywającą na trawie, kobietę, i przystając raz po raz, by przepuścić przebiegające dzieci. Większość młodszych dzieciaków wałęsała się w pobliżu, próbując odgadnąć, których mężczyzn wybiorą ich matki. Starsi chłopcy zebrali się na skraju urwiska i spoglądali na otwarte przestrzenie. Jasne było, że kuszą ich one swą pełnią barw i ruchem, i zwierzyną, na którą można zapolować.

Mężczyźni przechadzali się niczym chłopcy z sąsiedztwa, przyglądający

się dziewczętom na potańcówce, zanim którąś zaproszą do tańca. Ci smukli pozostawali z dala od kobiet wskutek walk między obu rasami, teraz jednak

kiedy wojna dobiegła niemal końca, a oni okazali się chwilowo zwycięzcami, przybyli w konkury. Ten i ów podskakiwał na jednej nodze, potem na

drugiej, dyndając swą męskością przed oczami którejs z kobiet. Potem odchodził dumnie, zadzierając nosa. Niektórzy wracali parokrotnie do tej samej smuklej, inni natomiast pysznili się i podskakiwali przed każdą napotkaną na drodze.

Ken domyślił się, że mężczyźni, którzy powracają do konkretnej kobiety, zapewne już ją znali, może nawet współżyli z nią albo mieli potomstwo.

Zauważył, że niektóre dzieci zbliżają się do konkurentów swoich matek i badają ich wzrokiem pełnym skupienia i ciekawości. Mimo to wszyscy zachowywali się ostrożnie i wstrzemięźliwie.

Ken był pewien, że żony oddzieliły się z powodu wojny. To ona sprawiła, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni dokonywali porównań między pozytywnymi stronami życia w wolności a wygodami, jakie niesie więź z partnerem.

Wyraźnie jednak więź, czy też jej potrzeba przeważała, skoro mężczyźni — inaczej niż rankiem — przyszedli tu, by pertraktować. Kobiety siedziały wyprostowane, kołysząc się na boki niczym szympanse i spoglądając nie tyle na twarze mężczyzn, co na ich biodra, górne części ud i genitalia.

Obserwował ich tak długo, że słońce poszybowało ku zachodowi, a cień

grzbietu Mau padł na taras, przynosząc ze sobą powiew chłodu, od którego

Ken się wzdrygnął. Uniósł wzrok i zobaczył, że słońce, zsuwające się za szczyt góry, rozpałało ją swym blaskiem.

Kobiety poczęły wstawać z trawy, a kilka zebrało się pośrodku tarasu

i chodziło w koło, najpierw po szerokim nieregularnym okręgu, potem po

coraz ciasniejszym. Ubiegający się o ich względy mężczyźni dołączyli do

koła, powiększając je. Kobiety ścieśniły się, pozostawiając mężczyzn na zewnątrz, ale oni znowu wdarli się w ich krąg i chodzili wraz z nimi.

*Ken poczuł* na plecach popchnięcie czyjejś drobnej ręki. Sądził, że to

Długopalcy, lecz zamiast niego zobaczył Niawo, której dłonie były niewiele

większe od dłoni chłopca. Popychała go w stronę kręgu.

Ken wcisnął się pomiędzy dwie kobiety, a wraz z nim uczyniło to jednocześnie kilku innych mężczyzn, poszerzając krąg niemal do

rozmiarów tego, jaki widzieli na bocznej odnodze Mau. Większości mężczyzn udało się

uplasować obok jakiejś kobiety, separując je tym samym od Kena.

Ken pomyślał o Ngilim. Obaj tyle nagłowili się nad tym kręgiem, a teraz

już wiedział, co robią w nim hominidzi. Wybierają partnerów.

Ken zaczął zwalniać, ale został popchnięty czyjś kolanem wycelowanym

od tyłu w jego kolano. Spojrzał przez ramię: niski, młody australopitek

— dyszący nie z wysiłku, lecz z podniecenia — o ogromnych otworach nosowych

i z zaczątkami przyszłego grzbietu nosa miał spojrzenie, które mówiło do



Kena: „Ruszaj się, palancie, nie czas na myślenie.” Ken skoczył naprzód, wpadając na inne rozgrzane ciało hominida. „No idźże, Lauder, do cholery.”

Stała po śladach pozostawionych przez idących przed nim. Starła się dopasować do tempa grupy i trafić stopami dokładnie w te ślady. Ale krąg wciąż się zacieśniał lub poszerzał, mężczyźni zmieniali pozycje, wysuwali się z niego i na powrót wsuwali, usiłując uplasować się obok swojej wybranki. Świadome tego kobiety obserwowały te manewry spod przymkniętych powiek, w sposób, który Ken zauważył już wcześniej u Rzepy. Raz po raz któraś wypadła z kręgu bądź to pozostając w tyle, bądź podbiegając parę kroków do przodu. One również starały się znaleźć w pobliżu określonych mężczyzn.

Krążąc tak przez pewien czas wraz z innymi hominidami, Ken dostrzegł kobietę stojącą poza kręgiem i zdał sobie sprawę, że to Niawo. Po-

wstrzymywała drzenie ciała, co uprzytomniło mu, że musiało się zrobić znacznie zimniej. On nie odczuwał chłodu wewnątrz ciepłego kręgu, łączącego teraz już prawie wszystkie kobiety i mężczyzn przebywających na tarasie i z pewnością równie wielkiego, jak tamten, pradawny, na górskim grzbiecie.

Ken zobaczył, że wiszący daleko ponad sawanną księżyc bliski jest pełni.

Wydawał się zaskakująco okrągły i uderzająco podobny do kręgu, który wydeptywali na zboczu góry. Wkrótce zapadnie zmrok, a krąg rozsypie się — niczym ogromny naszyjnik — na pary żywych pereł. Pary udadzą się w zarośla i legną. Księżyc zaś wzniesie się tajemniczo ponad ich głowami, wywołując jedno tylko wrażenie: boskości.

Ken poruszał się niemal dokładnie po przeciwległej stronie okręgu w stosunku do Rzepy, którą tak bardzo radowała ta ceremonia, że aż zaczęła dziko podrygiwać.

Krąg rozpadał się. Także inne kobiety i mężczyźni podskakiwali jak

Masajowie w swoich rytualnych tańcach. „Tak — rozmyślał Ken — tamte i te skoki są takim samym pokazem seksualnej witalności, popisywaniem się organami gotowymi do zespolenia. Może stąd wziął się ów obyczaj, ów taniec młodzieży masajskiej, tak szokujący misjonarzy nie ukrywana seksualnością i tak bezskutecznie broniony przez Livingstone'a jako uroczo niewinny rytuał płodności. To było to! Tu jest jego pradawne źródło.”

Kiedy pary wymykały się, a krąg rozluźniał, Ken zdał sobie sprawę, że musi się teraz wyśliznąć. Nie mógł w tym uczestniczyć do końca, nie mógł przełamywać magicznego czaru swoją niepożądaną obecnością. Wymknął się wreszcie ukradkiem spomiędzy łączących się w pary smukłych. Ku sawannie

nie wiodła żadna ścieżka, musiał więc przedrzeć się w dół przez zarośla.

Na wielkim głazie uczeptionym brzegu tarasu dostrzegł Długopalcego, który wpatrzony był w zapadające na dole ciemności. Chłopiec spojrzał na

Kena, nagiego i bez pary.

Ken zrozumiał to spojrzenie: oznaczało pożegnanie. Skoro obcy nie dobrał sobie pary, nie było szans na to, by został. Po co miałby to robić? Kim

byłby dla klanu? A więc obcy odchodził i można go było tylko pożegnać,

„Co zamierzasz zrobić, Długopalczy?”

Długopalczy przechylił głowę na bok, zdradzając niezdecydowanie. Wyraźnie uważał, że mógłby spróbować chwilowo pozostać ze starą hordą.

Życie wśród bliskich dawało pewne możliwości.

Ken uśmiechnął się, usiłując zasygnalizować Długopalcemu, że uważa

jego wybór za trafny. Chłopiec miał tu kolegów, wujków i ciotki, a przy

swoich nad wiek rozwiniętych umiejętnościach mógł pewnego dnia stać się

przywódcą grupy.

A co z sawanną?

Może Długopalczy myślał o tym samym, gdyż spojrział na bezmiar otwartej

przestrzeni, skąd dochodziły ryki głodnych drapieżników i beczenie zwierząt

kopytnych, napelniając noc ich głosami. Była to sawanna, którą razem poznali.

Ken znów spojrział na step, a potem na stopy chłopca. Może któregoś dnia

tu powróci. „Przestań, Lauder — powiedział sobie. — To tylko jedno-  
razowe doświadczenie, które już nigdy się nie powtórzy. To tyle. Na  
razie,  
prehistorio.”

Długopalczy krzyknął. Podbiegł do niego Uśmieszek, a w ślad za  
nim

Jeżyk i inni młodzieńcy.

Obcy odchodził. Ich wielka żywa zabawka mówiła: „żegnajcie”.

Ken

chwycił drzewko krzyżownika i natężył wszystkie siły, żeby wyrwać je  
z korzeniami. Będzie potrzebował twardego kija do schodzenia po  
zboczu

Mau przez jakąś godzinę, albo i dłużej, potem znajdzie miejsce na  
nocleg

i o świcie ruszy dalej. To przyginał drzewko, to puszczał je, aż chłopcy  
poczęli chichotać i pospieszyli z pomocą. Lepiej, że robił coś takiego^  
niż

miałby dać się ponieść fali uczuć. Męcząc się z drzewkiem, usiłował nie  
patrzeć na Długopalcę. Wreszcie poczuł, że pień trzaska. Podniósł  
drzewko

do góry, a dzieci pomogły mu odrzec je z liści.

W parę sekund gotów był do drogi.

Stanął na skraju tarasu i kiedy osunęła mu się spod stóp ziemia,  
poczuł,

że pędzi w dół wraz z nią. Niczym narciarz zmienił kierunek kijem i  
zaczął

zsuwać się po zboczu na spuchniętych, obolałych piętach. Zjeżdżał w  
ten

sposób przez pewien czas, a chłopcy podążali za nim. Nie wydawali się  
obawiać ciemności, może dlatego, że towarzyszył im Długopalczy —  
zwycięzca

dżungli i sawanny.

Znajdował się już niedaleko od rosnących niżej karłowatych  
drzewek.

Tam dzieci na pewno nie będą mu już towarzyszyć. Ken spoglądał w  
dół,

usiłując skupić uwagę na szlaku, żeby nie oglądać się na drobne  
twarzyczki

idących za nim hominidów.

Słyszając ich pomruki i chichoty, zapragnął zobaczyć wyraz ich  
twarzy.

Nie chciał jednak widzieć Długopalcę. Nie chciał napotkać  
spojrzenia jego

mrocznych oczu, choć miał nadzieję, że ten mrok brał się wyłącznie  
z zapadających nad urwiskiem ciemności. A mimo to obejrzał się, gdy  
jeden

z chłopców się potknął (to Jeżyk, niezgraba, który jednak szybko się  
pozbiierał), a przy okazji zobaczył oczywiście Długopalcę. Chłopiec  
natychmiast spojrział w dół, jakby sprawdzał zarośla niskich drzewek,

głazy  
i krzaki. Usta miał otwarte, a cała twarz wyglądała smutnie. Schodząc w dół,  
nie był ożywiony i rozchichotany jak pozostali.

Słyszac inne dzieci, lecz także milczenie Długopalcego, Ken szybko  
przeniósł spojrzenie w dół.

Popatrzył na otwartą równinę. Przycisnął jedną rękę do piersi,  
drugą  
zaciśnął na kiju, próbując zagłuszyć pamięć własnego ciała o dniach  
polowań  
i nocach, jakie spędził, zwinięty w kłębek, obok tego dziecka natury.  
Jeśli  
chciał stamtąd odejść, nie mógł dopuścić, by owładnęły nim te  
wspomnienia.

„Przestań, Długopalcy. Przestań, do cholery, nie rób mi tego, daj  
spokój  
tej pompie w mojej piersi.”

Kena ogarnęło nagle paskudne, samolubne pragnienie, by znaleźć się z powrotem w mieście, wśród obojętnych, opanowanych współczesnych ludzi. Próbował w ten sposób zagłuszyć dziecięce chichoty, ale bezskutecznie. Obejrzał się. Długopalcy obdarzył go zachęcającym uśmiechem. Obcy może i zabił kiedyś lwa, ale teraz wydawał się kruchy i zagubiony. Ken wzdrygał się przy niemal każdym kroku, jego ciało pokrywały siniaki. Nie był już tym samym człowiekiem.

Idąc w dół, przebyli pas zarośli. Parę jardów niżej ciągnęły się następne, jeszcze wyższe i bardziej splątane. „Teraz przystanę i odegnam ich — powiedział

sobie Ken. — Zaszli już dostatecznie daleko. Powinni wrócić do siebie.”

Nim jednak zdołał to zrobić, nastąpił na pnącze, które zacisnęło mu się wokół kostki. Było twarde, jakby zrobiono je z metalu. Dziecko, idące dwa

kroki za nim, krzyknęło, a kiedy obejrzał się gwałtownie, by sprawdzić, które to, zaczepił o coś drugą kostką.

Nagle niebo i ziemia zwały się na siebie, gdy następne pnącze pochwyciło

go za szyję. Złapał je ręką i wyczuł pętlę siideł kłusowniczych. Zacisnęła się

i pociągnęła go do przodu. Czując, że się dusi, wepchnął kij pod drut i zobaczył,

że przecina on zielone drewno niczym ugotowane na miękko jajko. Usłyszał

radio, a potem kogoś wołającego nieopodal: — *Upesi! Upesi!* Szybko! Szybko!

Spróbował wykręcić szyję, żeby zobaczyć, co z dziećmi, i żeby je ostrzec

(„Mnie, ale nie ich, nie Długopalcego!”), nie mógł się jednak odwrócić. Ściśnięte drutem mięśnie zeszytwniały w panice, pętla zaczęła je już przerzywać. Pozostałe sidła poderwały mu nogi do góry — Ken runął na ziemię.

Jakiś człowiek stanął naprzeciw niego. Spłowiwały wojskowy kombinezon

roboczy i okulary noktowizyjne upodabniały go do ogromnego, dziwnego

owada. W ręce trzymał karabin, w drugiej zaś — dźwignię skręcającą i zacierał ją o sidła. Ken obalił mężczyznę i poczuł ostry zapach jego potu.

Zobaczył krzywy uśmiech, złośliwy jak zawsze.

— *Upesi, mangatil* Szybko, *mangatil* — wrzeszczał Modibo.

Sierzant zerwał się na nogi, ale wyraźnie nie chciał używać

enfielda.

Wyciągnął zza pasa ciężką mosiężną latarkę i walnął nią Kena w głowę. Nie rozpoznał, kogo ma przed sobą. Sądził, że to największy *mangan*, jakiego kiedykolwiek widział. Rozległ się brzęk metalu o kość. Ken bliski był utraty przytomności. Nie miał już kija, więc wetknął obie ręce pod pętlę i rozluźnił ją tak, że mógł z trudem zaczerpnąć tchu. Kiedy usiłował się podnieść, Modibo znów zdzielił go latarką, powalając na ziemię, lecz jednocześnie wypuszczając latarkę z ręki.

Parę jardów dalej dzieci *mangati* schwyte zostały za kostki albo szyje. Modibo usłyszał, jak krzyczą z bólu i przerażenia. Zastanawiał się, gdzie są jego ludzie i dlaczego jemu pozostawili spętanie zdobyczy. Tak go to rozwścieczyło, że jeszcze raz walnął wielkiego *mangati* kolbą enfielda, a potem skoczył ku małym. Spróbuje dać każdemu kolbą po łbie, żeby je uciszyć, ale pozostawić przy życiu.

Ken przychodził do siebie. Pomacał wokół i znalazł latarkę. Usłyszał

głośne uderzenie, a po nim słaby krzyk dziecka. „Tylko nie dzieci” — jęknął. Potem — kolejny cios i wysoki okrzyk bólu. Dźwignął się w górę.

Pętla na szyi rozluźniła się, gdyż Modibo tak się spieszył, by powalić dzieci, że upuścił dźwignię, którą go dławił. Ken zsunął drut z szyi i zaczął

uwalniać kostki. Dzieci, schwyte w sidła, krzyczały. Sierżant skakał wokół nich na pałkowatych nogach, z karabinem w ręku, i walił je po delikatnych głowach.

— *Upesi, haraka, upesil* Szybko, chodźcie tu, szybko! — wrzeszczał bez ustanku.

Pokazał się wreszcie inny kłusownik, także w okularach noktowizyjnych i z karabinem. Podbiegł, żeby pomóc sierżantowi.

Ken złapał ciężką latarkę, myśląc przy tym: „Nie możesz chybić.”

Skoczył pod górę i wpadł na drugiego kłusownika akurat w momencie, kiedy

tamten miał po raz trzeci uderzyć któreś z dzieci w głowę. Czy Długopalcego?

Nie było czasu, by się o tym przekonać. Mężczyzna odwrócił się, a Ken —

jęknawszy w duchu: „Nie możesz chybić!” — włączył latarkę, kierując promień światła prosto na twarz przeciwnika. Okulary zwielokrotniły blask

siedemdziesiąt tysięcy razy, oślepiając kłusownika w mgnieniu oka. Strzelba

wypaliła w powietrze i upadła. Mężczyzna chwycił Kena za szyję, lecz ten

zdołał cisnąć go — oślepione, krzyczące widmo — o ziemię. Inni kłusownicy

przedarli się przez gąszcz z wycelowanymi przed siebie karabinami. Zobaczyli

to widmo i wypalili w nie bez namysłu.

Modibo natychmiast zerwał z oczu noktowizor i przypadł do ziemi na

moment przed rozpoczęciem strzelaniny. Upuścił enfielda i odczołgał się bez niego.

Ken skoczył naprzód z latarką i uderzył nią jednego z kłusowników,

powalając go tak, jak chwilę przedtem Modibo powalił jego. Chwycił wierzgającego i wrzeszczącego mężczyznę i podniósł do góry, używając w charakterze tarana przeciw pozostałym, którzy poczęli wydawać okrzyki

grozy i przerażenia. Ścigał ich, kierując się głosem niewidocznego radia. Głos

komendanta grzmiał na cały las: — Modibo, gdzie jesteś, do diabła? Modibo,



tu komendant Kalangi, podaj swoją pozycję. Samolot z ekspedycją wylądował u podnóża bocznych odnóg jutro rano...

Jeden z kłusowników oderwał się od Kena i uciekł przewracając radio

kopniakiem. Ken doskoczył do ciał pozostałych w poszukiwaniu Modiba.

Przeszukał również zarośla, jednak nie znalazł nikogo. Odwrócił się i pobiegł

z powrotem do schwytanych dzieci

Wcześniej nie miał dość sił, żeby pozbyć się pętli, które kępowały jego

samego, teraz natomiast udało mu się jakoś przerwać te, w które wpadły

dzieci. Potężne łomotanie serca pozwoliło mu nie zwracać uwagi na ból w krwawiących palcach. Zerwał druty, uwalniając drobne kostki i szyje.

Dzieci zaczęły poruszać się słabo, na wpół nieprzytomne. Długopalcy otworzył

oczy, spojrzął na Kena i lekko westchnął.

W oddali, na tarasie, horda usłyszała krzyki młodzieży i strzały napastników. Matki, w towarzystwie połowy mężczyzn, pognały jak oszalałe w dół.

Krótką bitwa dobiegła już jednak końca. Jedno z dzieci leżało nieruchomo,

zwrócone swą twarzą — o rysach mieszanej rasy — do księżyca. Ken ujął je

za nadgarstek, ale nie wyczuł tętna.

Jeżyk nie żył, uduszony drutem i obity karabinem. Dla niego ewolucja dobiegła już końca.

— Wzywaj wciąż Modiba — rozkazał Kalangi swemu adiutantowi, porucznikowi Sampie. W apartamencie na piętrze hotelu „Naivasha” komendant wstał od stołu, na którym mieścił się cały sprzęt nasłuchowy.

— I kontroluj wszystkie pasma. Pewien jestem, że jeśli skurczybyk przestał nadawać, bo coś schwytał, to zmieni częstotliwość, żeby porozumieć się z klientami.

— Rozstawiliśmy ludzi we wszystkich jego punktach kontaktowych w mieście — rzekł Sampa — żaden nie doniósł, by Modibo się z kimś kontaktował. — Samba miał na sobie strój tajniaka, czyli postrzępioną szatę znachora kamba z amuletami na sprzedaż, zawieszonymi z przodu na małych haczykach.

— Czy mogło coś się przytrafić pięciu sprawnym ludziom, uzbrojonym i wyposażonym w najlepszy sprzęt? — zapytał Kalangi. Sampa wzruszył ramionami, aż zabrzęczały amulety.

Kalangi zmienił apartament hotelowy na polowe centrum dowodzenia.

Pełno tam było „goryli” i ordynansów, cuchnęło dymem z papierosów. Kalangi przeszedł do sypialni. Posłanie na łóżku było nie naruszone, za to

leżały na nim odbitki kserograficzne kartek z notatnika Haksara. Zaledwie

w parę godzin po tym, jak ekipa Harry'ego Endsa zameldowała się w hotelu,

agenci Kalangiego wśliznęli się tam, zabrali notatnik, porobili kopie i odłożyli

oryginał na miejsce.

Komendant wyjął listę cudzoziemców, którzy zatrzymali się w

„Nawasha”,  
i wyszukał tych, których już znał. Mieszkał tam wysłannik amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego, szef szwajcarskiej sieci hotelowej zainteresowany zakładaniem filii w Afryce, sekretarz Światowego Kongresu Kościołów Anglikańskich oraz niemiecki producent pojazdów do safari.

Za trzy dni, jeśli operacja „Wielkie Porządki” pójdzie dobrze, wszyscy ci ludzie uznają Kalangiego za członka nowej ekipy.

Za pięć minut komendant miał się spotkać z dwojgiem wysłanników organizacji Amerykanów afrykańskiego pochodzenia, zwanej „Odwdzięczyć się Afryce”.

— Gdzie jest Harry Ends i pozostałych dwóch? — zapytał Sampe, wpychając listę z powrotem do kieszeni.

— Po zwiedzeniu muzeum skamieniałości Anderson i Ends zostawili Ramsaya na uniwersytecie i udali się na spotkanie z prezydentem. Spotkanie

przebiegło dobrze, trwało osiem minut. Potem we trzech wybrali się pod przewodnictwem Andersona po zakupy przy Muindi Mbingu Road.

— Cyril nie dzwonił do mnie w tym czasie?

— Nie, szefie.

— Mogą wrócić w każdej chwili. Bądź w pogotowiu. —  
Apartament

Harry'ego Endsa naszpikowano mikrofonami uruchamianymi  
głosem i połączonymi z urządzeniami podsłuchowymi w pokoju Kalangiego.  
Specjalny

operator czekał w gotowości. Znudzony przeglądał wydrukowany  
w wolnej

od cenzury Afryce Południowej nowy magazyn pornograficzny.

— W porządku. Wrócę za pół godziny.

— Dobra, szefie.

Kalangie wyszedł z apartamentu i skierował się do windy.

Dwie minuty później przebywał już w towarzystwie dwojga  
wysłanników  
„Odwdzięczyć się Afryce”.

— Przykro mi, że zostaliście porwani — powiedział. — Niestety, w  
swo-

im nieszczęściu nie jesteście odosobnieni, tylko w zeszłym tygodniu  
mieliśmy

cztery przypadki porwania cudzoziemców, dwa rabunki autokarów  
turystycz-

nych w parkach dzikiej zwierzyny, a to jeszcze nie wszystko...

Dwójka Amerykanów afrykańskiego pochodzenia — oboje  
niewiele

po trzydziestce i oboje posiniaczeni po bójce z porywaczami — była  
w wojowniczym nastroju. Lucius Conroy, syn dyrektora szkoły średniej  
w Kalifornii i sam nauczyciel, miał sześć stóp i cztery cale wzrostu,  
beczułkową pierś, i kipiał energią, co upodabniało go do młodego,  
tyle że czarnoskórego, Orsona Wellesa. Wybuchnął, wyrzucając z siebie  
całą litanię nieszczęść, jakie przytrafiły im się, odkąd tu przybyli:  
złodzieje

wywiercili tunel w ścianie rezydencji amerykańskiego attache'  
kulturalnego

i wykradli dzieła sztuki tubylczej oraz sprzęt elektroniczny; w misji  
ekonomicznej w Malawi wybuchł pożar w dniu, kiedy mieli ją  
odwiedzić;

ubodzy mieszkańcy przedmieść od rana wszczynali bójki z  
przyjezdnymi

o dostęp do lokalnych pomp wodnych. Walki zdawały się wybuchać  
w całym mieście, stanowiąc jakby przygrzywkę do przyszłych  
przetargów.

Samosąd wisiał w powietrzu. Conroy odwiedził to miejsce przed pięciu  
laty, a teraz go nie poznawał.

Drugim czarnym przedstawicielem Ameryki była drobna młoda  
kobieta

w okularach, Cynthia Palmer, zatrudniona jako adwokat związków zawodowych, wychowana przez samotną matkę. Oświadczyła, że rzadko zdarzało jej się widzieć, żeby kobiety traktowano w tak grubiański sposób. Opłacano je znacznie gorzej niż mężczyzn, nadal musiały dawać łapówki albo świadczyć usługi seksualne, żeby otrzymać pracę, stawały się ofiarami przemocy w domu... W końcu Kalangi przerwał jej, mówiąc, że wszystko, co słyszała, to plotki szerzone przez przeciwników rządu. Takie są prawa demokracji.

Conroy aż podskoczył. — Czy znikniecie sześciuset milionów dolarów ze

skarbu państwa to także plotki? Donosiła o tym wasza **prasa. Do diabła,**

przecież to równowartość trzyletniej pomocy zagranicznej.

Kalangi postanowił postępować ostrożnie. „Odwziedzić się Afryce” to

dynamiczna instytucja, bardziej uparta i lepiej poinformowana niż amerykański

Korpus Pokoju. Tworzyli ją czarnoskórzy, więc nie dało się ich oskarżać

o stronniczość. Conroya i Palmer przyjął w Afryce Południowej sam prezydent

Mandela.

Kalangi uśmiechnął się szeroko. — Przychodzę jako przyjaciel — powie-

dział zniżając głos, jakby pokój był na podsłuchu (a był) — aby doradzić

waszej fundacji chwilowe powstrzymanie się z inwestowaniem tutaj. Nieba-

wem nastąpią tu zasadnicze zmiany polityczne.

— Czy zmniejszą one niewiarygodne niedbalstwo i niemożność waszych

urzędników? — Conroy przemawiał jak rozczarowany idealista.

Bezwzględnie. — Kolejne wymowne spojrzenie na ściany. — Ja sam nie mogę nic zrobić z powodu tych starych biurokratów, ale przybyłem tu, by

was poinformować, że na scenę wchodzi nowa ekipa...

— To i lepiej — stwierdziła Palmer. Siadła na krześle, a sukienka podjechała jej do góry, odsłaniając piękne kolana. — Nasza fundacja finansowana jest całkowicie ze środków społecznych, a nie tworzymy

bynajmniej najbogatszej amerykańskiej mniejszości. A więc, w gruncie

rzeczy, twierdzi pan, że powinniśmy dać pieniądze następnemu miejscowemu

reżimowi. Doskonale, ale i tak będziemy musieli przyjrzeć się jego działalności.

Kiedy dojdzie do władzy nowa ekipa?

Kalangi myślał intensywnie. „Wielkie Porządki” właśnie miały zostać

wznowione. Nie chciał, żeby tych dwoje stało się tego świadkami. Musiał

przerwać na chwilę rozmowę. — Czy mogę skorzystać z telefonu?

Skinęli głowami. Zadzwoił do własnego apartamentu i zapytał kon-

spiracyjnie, jak wygląda sytuacja. Nie nadeszły żadne wieści od Modiba,

Anderson nadal nie dzwonił, co zaniepokoiło Kalangiego nie mniej niż brak

informacji o kłusownikach. Wcześniej tego samego dnia dał się ponieść chciwości i powiedział profesorowi, że bez dodatkowych pięciu tysięcy dolarów nie załatwi wojskowego samolotu mającego zawieźć ich

nazajutrz na  
Dogilani. Tamten kazał mu iść do diabła. Teraz Kalangi denerwował  
się, nie  
wiedząc, jak stoją sprawy między nimi, zwłaszcza kiedy przeczytał  
notatki  
Haksara.

Odłożył słuchawkę.

— Czy nie zechcielibyście państwo odbyć wycieczki na południe,  
do  
naprawdę nie skomercjalizowanego rezerwatu dzikiej zwierzyny? Jeden  
z moich adiutantów zawiezie państwa — zdobył się na kolejny uśmiech

—  
dla ochrony przed ewentualnymi dalszymi nieprzyjemnościami. Proszę  
mi

wierzyć, to kraj -bardziej praworządny od wielu innych — w Nigerii  
właśnie

powieszono dziewięciu aktywistów ruchu ochrony przyrody za krytykę  
zajęcia delty Nigru przez Royal Dutch Shell. — Nie powiedział im, że  
Harry

Ends, były wiceprezes Shella, przebywa w tym hotelu. — Nie da się tu

zaprowadzić zmian zachodnimi środkami. A zmiany nastąpią wkrótce. Dobranoc. Niech was Bóg ma w swojej opiece.

— Dobranoc — mruknęli w odpowiedzi goście. Kalangi wyszedł.

Za jego plecami Lucius Conroy stwierdził, że te ostatnie słowa są całkiem na miejscu w tak niepewnej sytuacji.

Notatnik Raja Haksara, w zrudziałych wojskowych okładkach, leżał na

biurku Harry'ego Endsa w jego apartamencie. Cyril dał mu go tamtego popołudnia, a Harry czytał między spotkaniami i przejazdami po mieście, urzeczony niczym uczniak nowym komiksem, wsparty mocno łokciami o blat

biurka, obejmując dłońmi czoło.

Pismo Haksara było drobne, ale wyraźne i regularne, zapiski wykonała

pewna ręka kierowana przez cierpliwy i rozważny umysł. Pierwszą stronę

opatrzone datą: 24 marca 1953 roku.

„Nazywam się I.V.H. (Cyril wyjaśnił Harry'emu, że inicjały te znaczą: Induprakash Vasant Haksar.) Jestem, jak sądzę, jedynym cywilizowanym człowiekiem, jaki kiedykolwiek odwiedził ten rejon — wyjąwszy moich towarzyszy, to jest kilku oficerów policji kolonialnej i paru kłusowników, którzy stali się najemnikami w tej przegranej już wojnie.”

Harry Ends czytał mając świadomość, że staje się uczestnikiem czegoś

niesamowicie ważnego. Jako wiceprezes Shella, dobrze poznał Trzeci Świat

i stwierdził, że jego bieda, nędza i choroby niewiele go obchodzą. Jadąc z nairobijskiego lotniska do hotelu, zdołał już ustalić, że to miasto znajduje

się w przeddzień poważnego kryzysu. Odczuł tu także w zadziwiający sposób

ciągłość istnienia rasy ludzkiej. Po raz pierwszy doświadczył tego, przyglądając

się pustym czaszkom w muzeum Cyrila. Kiedy oderwał od nich wzrok, by

spojrzeć na jedną z asystentek Andersona, długogłową, błyskotliwą i całkiem

niebrzydką dziewczynę z plemienia Kikuju, uderzyła go myśl, że ci Kenijczycy

to bardzo starożytna rasa — może nawet bezpośredni potomkowie ludzi, których szczątki spoczywały w muzeum. Ta dziewczyna wyglądała jak

cudownie wystylizowana wnuczka tych skamieniałości. Harry począł przy-

glądać się kierowcy ich mikrobusu, dzieciakom podbiegającym na skrzyżo-

waniach, by umyć szyby samochodu, pośrednikom handlowym,



recepjonistom  
w hotelu. „Oni wszyscy mogli wywodzić się od tamtych.”

Rzecz ciekawa, tym razem nie zrobili na nim wrażenia potentaci  
biznesu,

magnaci czy koronowane głowy, lecz prości ludzie, oglądani z okien  
samochodu lub hotelowego apartamentu. Odczuwał z nimi jakieś  
archaiczne

pokrewieństwo, którego nigdy przedtem nie doświadczył (będąc  
elitarystą, nie

lubił i nie znał mniejszości narodowych), podobnie jak kontaktów z  
naukow-

cami, które mu pochlebiały i sprawiały, że miał wrażenie, jakby się  
stawał

jednym z tych uczonych.

Zauważywszy ożywienie Harry'ego, Cyril szepnął do Ramsaya: —

Harry

to podręcznikowy przypadek. Starożytność uderzyła mu do głowy. Następnym

razem dowiemy się, że uczy się suahili.

Cyril liczył na to, bo nawet Ramsay uległ tej ekscytacji. Wcześniej Cyril

i Harry pospieszyli do rezydencji prezydenta w Uhuru Park. Ramsay, przedstawiony w prezydenckim biurze protokolarnym po prostu jako „doradca”,

nie brał udziału w spotkaniu, toteż pozostał na uniwersytecie i wertował książki w bibliotece wydziału antropologii. Na liście zalecanych lektur znalazł

opis spotkania fotografa „National Geografie” z posiadającymi zdolności

telepatyczne członkami plemienia Indian amazońskich. Przekartkował magazyn

i znalazł w nim odręczne notatki Raja Haksara. Później, kiedy dołączył do

dwóch towarzyszy, rozprawiał z ożywieniem o uwagach Haksara dotyczących

telepatycznej komunikacji niewerbalnej. Czy praludzie nie mogli odznaczać

się podobnymi zdolnościami oraz czy Haksar nie mógł porozumiewać się

z nimi telepatycznie? Albo tak mu się przynajmniej wydawało?

— Z każdą minutą robi się to coraz ciekawsze — dowcipkował Harry. —

A tak na marginesie, panowie, wiedziałem, że wasz gen przeciw łysieniu to

tylko mydlenie oczu. Na wasze szczęście mamy teraz na sprzedaż coś znacznie lepszego.

Cyril przełknął ślinę. — Co takiego, Harry?

— Nas — odparł Harry.

Wrócili do hotelu, gdzie Harry zamówił obiad do pokoju i pogрузzył się

w lekturze notatek Haksara.

Haksar przyciągał uwagę czytelnika słowami pełnymi nieklamanej głębi.

„W świetle mego odkrycia historia ludzkości, jakiej uczymy się w szkołach,

staje się tylko w połowie prawdziwa. Praludzie żyli tu przez cały czas w sporej liczbie — za panowania dynastii Ming i w czasie podboju Indii przez mogolów, w dobie Szekspira, w epoce Renesansu, podczas wojny secesyjnej w Ameryce, a także później — żyli w zakamarkach lasów tropikalnych w Afryce, a prawdopodobnie także na innych kontynentach,

ewoluując wolniej niż reszta planety, we własnym tempie.

Odkrycie ich będzie mieć ważne konsekwencje dla przyszłości, zwłaszcza

dlatego że stworzę z tych istot nową ludzkość.”

Harry Ends zmarszczył brwi. Cóż właściwie Haksar miał na myśli, pisząc

o „nowej ludzkości”?

Notatki te stanowiły zaskakującą mieszankę obserwacji natury, spekulacji na temat ewolucji oraz wzmianek autobiograficznych. Raj Haksar urodził się w Indiach, w czasie gdy stanowiły one jeszcze najjaśniejszy klejnot korony brytyjskiej. Jako uczeń najmował się niekiedy do bicia w bębny w indyjskim lesie, żeby wypłoszyć ptaki, na które polowali odwiedzający jego rodzinne strony Anglicy. Wskoczywszy raz do stawu, by przynieść postrzałka, który spadł do wody, chłopiec usłyszał, jak Anglik chichocząc zwraca się do miejscowego hinduskiego urzędnika: „Jak ci się podoba mój brązowy retriever?” — Tak się złożyło, że owym urzędnikiem był ojciec Raja, który, oburzony, wyskoczył z powozu Anglika, chwycił przemoczonego syna i ruszył pieszo do domu.

Haksarowie nie należeli do wysokiej kasty. Liczyli na to, że emigrując do Afryki osiągną wyższy szczebel na drabinie społecznej. Jednak społeczeństwo afrykańskie okazało się jeszcze bardziej rozwarstwione niż indyjskie. Ojcu Raja kiepsko szły interesy i niewiele mieli pieniędzy. Uzdolniony do języków syn nauczył się suahili i pracował jako tłumacz w administracji kolonialnej. Wszystkie pieniądze oszczędzał, żeby studiować antropologię. Zamierzał uzyskać tytuł naukowy i pracować jako wykładowca. Ale wtedy nadeszły afrykańskie wojny o niepodległość. Ruch partyzancki Mau-Mau pogrążył Kenię w ogień i Anglicy odkomenderowali młodego Raja do policji kolonialnej. „Jak to ładnie z ich strony — zauważał sarkastycznie Haksar — że po tym, jak byłem brązowym retrieverem, uczynili ze mnie małego Anglika, gotowego umrzeć »w obronie królestwa«". „Oto więc — pisał — odkrywam najbardziej zdumiewającą tajemnicę świata jako oficer brytyjskiego wywiadu czy też, brutalnie mówiąc (prawda bardziej tu przystoi), jako szpieg. O Hanumanie — ton jego stał się liryczny — pomóż mi zapomnieć, jak się tu dostałem, i natchnij mnie swoją symboliką. Tak jak w hinduskich mitach, kreacja nowej ludzkości wiązać się będzie ze straszną tajemnicą. Hanumanie, gdybyś był tu ze mną, oczarowałby cię widok tych dwojga młodych smukłych tarzających się w trawie sawanny, kochających się wyraźnie po raz pierwszy. Mężczyzna posiada wielki penis, który pojawił się zamiast krótkiego, niewielkiego członka mężczyzn rasy robustus. Zupełnie jakby wyrzekli się masy ciała na rzecz masy koguta".

Przez kolejne kilka stron Haksar rozwodził się nad wyodrębnieniem się emocjonalnej sfery seksu u ludzi — „...intymność, specyficzność samego aktu” — co różni ludzi od szympanсів i innych małych człekokształtnych.

„Dochodzę do wniosku, że wiele tych przekształceń fizjologicznych ma coś wspólnego z wytworzeniem się wysoce osobistego związku i więzi między partnerami.”

Haksar przerwał spekulacje, zauważając: „Według tego nikczemnego kłusownika M., hominidzi leśni są zupełnie odmienni. Znacznie więksi, jak

mówi, ale z mniejszymi genitaliami, i żyją w promiskuityzmie jak małpy.

Powiada, że często chodzą na dwóch nogach. Muszę ich zobaczyć. Aż brak

mi tchu, kiedy sobie pomyślę, że leśni hominidzi reprezentują typ robustus.

Boże, cóż za wielowarstwową tajemnicę kryje ten opuszczony skrawek dzikiej przyrody!"

Następnie znów snuł teorie o tym, jak anatomia układu rozrodczego

determinuje zachowanie, po czym przechodził wreszcie do bardziej ane-

gdotycznego materiału, dotyczącego pary smukłych, jaką obserwował w sa-

wannie.

„Ci dwoje zespolili się, znieruchomieli, zespolili raz jeszcze, aż wreszcie

zdali sobie sprawę z mojej obecności. Ona złączyła nogi, zerwała się z ziemi

i umknęła chyłkiem w zarośla, on zaś, nie bacząc na to, że rani sobie ręce,

ułamał ciernistą gałąź" i przyjął agresywną postawę, osłaniając jej odwrót.

Oczy wychodziły mu z orbit ze zdumienia (nigdy dotąd nie widział sapiensa —

a ja mam przecież brązową skórę, o ileż głębszego wstrząsu doznałby stając twarzą w twarz z tą świnią o różowym ryju, Hendrijksem!), ale wiedział, co musi robić — pilnować mnie i nawet za cenę własnego życia nie pozwolić mi zbliżyć się do tej żywej składnicy zawierającej teraz jego geny.

Kulturę ludzką tak naprawdę stworzyły większe rozmiary ludzkiego penisa w porównaniu z wszystkimi innymi gatunkami małp. Większość naszych mitologii u swych początków ma kult falliczny oraz opowieści o płodności. Nawet ty, Hanumanie, stanowisz rozwinięcie takich mitów. Pewien jestem, że starożytni Hindusi napotykali enklawy żywych praludzi z gatunku *Ramapithecus*. Kultura nie powstaje z niczego. Pomówimy o tym jeszcze niebawem, Hanumanie."

— Kto to jest, do cholery, ten Hanuman?

— Jakiś indyjski heros. Można to bez trudu sprawdzić. Zadzwoń do

Studiów Azjatyckich i poproszę o przesłanie jakiejś książki o mitologii hinduskiej.

— Zrób to. — Ends pogrążył się znowu w lekturze.

Książkę przysłano, kiedy cała trójka jadła obiad. Okazało się, Hanuman

to deifikowany małpi mieszaniec, nadzwyczaj mężny i jurny, poczęty w lesie

z bóstwa i małpiej królowej. Był pomocnikiem księcia Ramy, jednego z awatarów Wisznu. W ten sposób związano go z kultem Ekamukhalingi (fallusa o ludzkiej twarzy), w którym dzielono fallusa na trzy części, przy

czym każda symbolizowała jedno z tych głównych bóstw: Brahme, Wisznu

i Siwe. Odwróciwszy karty, Cyril natrafił na fotografię statui Hanumana. Miał

on ludzkie ciało i prawie praludzką twarz: wydłużone szczęki, nos bez grzbietu, oczy osłonięte wydatnymi brwiami, cofnięte czoło.

— Pół człowiek, pół małpa, mieszaniec Haksara — roześmiał się.

Harry Ends odwrócił się ostro. — Czy chcesz powiedzieć, że Haksar spłodził tam jakichś mieszańców? Czy to miał na myśli, pisząc o „nowej

ludzkości"?

— Och, nie. Cała ta gadka o Hanumanie to czysta hiperbola. Haksar był

Hindusem dumnym ze swego dziedzictwa.

— O co mu zatem tak naprawdę chodziło?

Cyril wyszczerzył się w uśmiechu. — Sam zobaczysz. Czytaj dalej.

Harry powrócił do lektury. Ramsay stanął przy biurku i począł

czytać mu  
przez ramię. Zatrzymali się dłużej przy pewnym krótkim fragmencie.  
„Pisane  
pod szczytem Mau. Owszem, widziałem mieszkańców lasu.  
Bezdiskusyjnie  
należą do odmiany krzepkich. Są w tym samym stopniu majestatycznie  
prymitywni, jak smukli są wzruszająco ludzcy. Nowy świat mógłby  
należć  
do jednego z tych rodzajów. Cóż za marzenie.”  
Potem następowały spekulacje na temat terminu nadejścia  
kolejnego  
złodowacenia; z konkluzji wynikało, że nastąpi to za tysiąc do trzech  
tysięcy  
lat. Dalej nagryzmołono ukośnie przez całą stronę: „Nie mogę odgrywać  
roli

Boga. A może jednak?" Charakter pisma był nierówny, w jednym miejscu pióro przebiło papier.

Następnie dopisano chwiejnym, ale gęstym pismem: „A.K. przywiózł

nowe rozkazy. Są równie straszliwe, jak poprzednie. Zabijemy więcej smukłych, a reszta umknie do lasu. Osiągniemy w ten sposób, brutalnie i na

szeroką skalę, to, co wolałbym przeprowadzić eksperymentalnie i z ograniczoną

liczbą osobników. Czy to przeznaczenie mnie zniewala? Co mam robić? Czy

powinienem zabić M. i A.K.?

— Cyrilu, czy wiesz, co oznaczają te inicjały? — zapytał Harry.

Nie. Obawiam się, że nie mam pojęcia.

Harry czytał dalej. Kolejna notatka stwierdzała lapidarnie: „W lesie z pozostałymi dwoma. Nawaliłem. Mogłem ich zabić, ale zachowałem się jak

dzieciak. Nie spałem od środy, tylko usiłowałem przekonać się, że nowa rasa

zdobędzie niewiarygodną muskularność i zawziętość odmiany leśnej, a nowa

krzyżówka będzie wspaniale wyposażona, by stawić czoło następnej epoce

lodowcowej." Pismo stało się znowu urywane i gorączkowe. Na kolejnej stronie,

już pewniejszą ręką, napisano: „Człowiek, który przybędzie tu po mnie — jeśli

zostanie zaakceptowany przez te stworzenia — stanie się świadkiem narodzin

nowej ludzkości. Mówię mu teraz..." — przewrócił pospiesznie stronicę.

Była to ostatnia kartka rękopisu. Harry wpatrywał się w brzydką, wyblakłą wewnętrzną stronę tylnej okładki.

Uniósł wzrok. Ramsay był jednocześnie zachwycony i skonfundowany.

Cyril skrzyżował ramiona na piersi i nucił coś zadowolony z siebie.

Harry stracił cierpliwość. — No i?

— Wszystko tam jest. Nie chwytasz tego?

— Skończ już te gierki, Cyrilu.

— On mówi o rasie, którą właśnie odnalazłem, nazwałem ją *Homo andersoni*, człowiek Andersona — wyjaśnił Cyril, pewien, że Harry kiepsko

zna łacinę. — Nowy typ człowieka, stworzony przez skrzyżowanie smukłych

z krzepkimi. Jednostka Haksara otrzymała rozkazy, by kogoś zabić, kogokol-

wiek, właśnie tam u podnóża grzbietu, a następnie stwierdzić, że to partyzanci.

Zabili jakichś smukłych i przegnali resztę z powrotem do lasu. Spychając obie

rasy do jednego środowiska, nieopatrznie zmusili je, by się



krzyżowały. To właśnie taki eksperyment chciał przeprowadzić Haksar. Działania wojska zapoczątkowały to za niego, upływ czasu dokończył, a ja... ja to odkryłem — dodał.

— Chodzi ci o to... — Harry Ends poderwał się, zrzucając notatki z biurka — że już istnieje jakiś nowy typ człowieka?

— Widziałem go — skłamał Cyril.

Reakcja Harry'ego Endsa była niewiarygodna. Z poczerwieniałą twarzą popędził przez apartament, aż zatrzęsa się podłoga i zabrzęczały talerze z nie

dojedzonym obiadem, galopem dobiegł do Cyrila i złapał go za ramię.

— Jak dalece zaawansowany jest ten proces krzyżowania ras? Czy pozostała dostateczna liczba przedstawicieli obu pierwotnych gatunków?

Cyril omal się nie udławił. — Oczywiście, że tak. Dopóki pozostało choć

po jednej parze z każdego gatunku, jest ich dosyć!

— Zaczynaj więc teraz dzwonić — wybuchnął Harry — do najlepszych

zoologów i weterynarzy. Przywiozę ich tu samolotem, żeby powstrzymali to

krzyżowanie się. Jakiej jeszcze pomocy naukowej ci potrzeba? Ile zechce ten

rząd za postawienie armii i sił powietrznych do naszej dyspozycji?

— Na co nam potrzebna armia? — odezwał się Ramsay.

— Żeby powstrzymać krzyżowanie się ras! — wrzasnął Ends. — Żeby

otoczyć to — jak do licha nazywa się to miejsce, Mau? — żeby otoczyć Mau,

wejść do lasu i rozdzielić te dwie odmiany praludzi siłą, jeśli się to okaże

konieczne!

— Czyś ty oszalał? — wypalił Cyril. — Chcesz wprowadzić tłumy ludzi, tratujące wszystko jak stado słoni, tam gdzie trzeba wszystko

bacznie

obserwować i oceniać? A co z dyskrecją, którą nam obiecałeś?

— Pierniczą dyskrecję! Możemy sobie teraz pozwolić na pełną obsługę

prasową, w gruncie rzeczy tego chcemy. Shell uratuje dwie rasy naszych

przodków, nie tylko jedną...

— Shell? — zapytał oszołomiony Cyril.

Ends potrząsnął wściekle głową, jakby zaprzeczał temu, co mu się wysnęło. — A czemu nie Shell? Chciałeś ogromnego trustu! W przeciwnym

razie poszedłbyś z tym na jedno z tych waszych głupawych sympozjów naukowych!

— Nie chcę, żeby ogromny trust przejął całkowicie moje znalezisko!

A dlaczego mielibyśmy położyć krzyżyk na moim *Homo andersoni*, skoro

mózg ma tak rozwinięty jak smukły, lecz jest silniejszy i dzikszy?

— Ponieważ mieszanie ich jest niewłaściwe, zupełnie niewłaściwe!

—

Ends przemierzał pokój jak burza. — Jak Haksar mógł dopuścić do czegoś

podobnego? A jeśli nie był w stanie tego powstrzymać, jak mógł zachowywać

w tej kwestii milczenie przez te wszystkie lata? Co on kombinował w tym

swoim cholernym łbie?

Pasja Endsa zaskoczyła Cyrila. — Sądzę, że doświadczywszy osobiście

dyskryminacji rasowej, widział zapewne w wykreowaniu nowej rasy sposób

na zbawienie ludzkości. — Zwrócił się do Ramsaya. — Mieszanie ras nie jest bez wartości, nie? Wy, Żydzi, powinniście coś o tym wiedzieć, bo zawsze was izolowano....

— My, Żydzi, nigdy nie lubiliśmy się mieszać z innymi — warknął Ramsay — bez względu na to, czy zmuszano nas do tego, czy też zakazywano,

a mnie, doprawdy, przejadły się już twoje cholerne dowcipy, Cyrilu! A teraz —

zwrócił się do Harry'ego — cóż byłoby tak niewłaściwego w tym nowym typie człowieka?

— Wszystko! Byłoby cholernie niestosownie tworzyć go w sposób sztuczny! Byłoby to wbrew naturze, wbrew ewolucji, wbrew wszystkiemu...

Wyglądało na to, że Harry Ends odzyskał już panowanie nad sobą. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Ramsay go powstrzymał. —  
Może

powinniśmy zejść do baru, żeby to kontynuować... To sprawy zbyt delikatne, by omawiać je w apartamencie hotelowym... — Omiótł pokój spojrzeniem.

Harry Ends zrozumiał. Zamknął usta, wyszedł na szeroki balkon, a kiedy wrócił, skinieniem palca przywołał obu towarzyszy. Wyszli za nim i znaleźli się pod ogromnym, bucącym zgrzytliwie, pomarańczowym neonem, w którym brakowało paru liter.

Ramsay uśmiechnął się szeroko i odezwał, pokonując buczenie neonu. —

To już lepiej. Pokój hotelowy mogli naszpikować mikrofonami, ale nikt nie zdołałby założyć podsłuchu na neonie.

— Nie dam za to małej dupy — wrzasnął Cyril, przekrzykując irytujące

buczenie. — Harry, co Shell chce zrobić z moim *Homo andersonii*

Harry wykonał ten sam zapraszający gest, dając znać, że nie zamierza odkrzykiwać. Przynął głowy obu towarzyszy tak blisko siebie, by mogli usłyszeć jego szept.

Wytrzymując denerwujący hałas i padający mu prosto na twarz pomarań-

czowy blask neonu, wyjaśnił im, że to okazja dla wielkiego biznesu, by wykazać, iż nie jest niszczycielem naturalnego środowiska, zakłócającym

równowagę biologiczną, lecz wręcz przeciwnie. Wielki biznes może okazać

się zbawcą, zbawcą naszej rasy, strażnikiem naszych przodków. Taką szansę

Shell powinien wykorzystać. W listopadzie mieli w Afryce straszego pecha,

w Nigerii, gdzie Shell pompował ropę z delty Nigru oraz pieniądze do kieszeni rządzącej klikii, dokonano egzekucji dziewięciu działaczy ruchu ochrony środowiska. Działacze ci, kierowani przez niejakiego Saro-Wiwę,

znanego dramaturga i poetę, domagali się, by część z tych pieniędzy oddano

ich ludowi, Ogoni, jednej z dwudziestu grup etnicznych zamieszkujących

bogatą w ropę deltę. Zapoczątkowałyby to lawinę żądań — pieniędzy i ochrony

środowiska — ze strony dziewiętnastu innych ruchów. Było to po prostu niewykonalne, więc Shell udał, że nic nie wie o powieszeniu tamtych dziewięciu ludzi. Ale okropnie wpłynęło to na opinię firmy, więc szukano

jakiegoś wielkiego „pozytywnego” afrykańskiego projektu, aby poprawić

swój wizerunek. Wielkiego i drogiego. To było właśnie to.

Harry przerwał dla zaczerpnięcia tchu i wyjrzał zza neonu.

Wychłodzone

wieczorne powietrze Nairobi pachniało spalinami i palonymi odpadkami.

Z wyjątkiem ruchliwych ulic, ciemność rozświetlały słabe lampy w ubogich

gettach oraz ogniska, w których palono śmieci na terenie bezprawnych koczowisk przybyszy z prowincji. Światła te zdecydowanie się różniły: żarówki w gettach płonęły stabilnym chłodnym blaskiem, ognie obozowisk

pulsowały słabo, ale ciepło. Nie było w tym widoku nic specyficznie afrykańskiego. To, co widzieli z dachu, mogli równie dobrze zobaczyć w każdym innym izolowanym, niebezpiecznym i zagniewanym na swój los

zakątku Trzeciego Świata.

Harry Ends odwrócił się i wypowiedział ostateczną konkluzję. —

Shell

nie może zostać wciągnięty w krzyżowanie ras. Wyglądałoby to tak, jakbyśmy

przekształcali genetycznie własnych przodków.

— Ale temu krzyżowaniu daleko jeszcze do końca! — Cyril nie cierpiał

szybkości, z jaką Ends podejmował decyzje, jakby należało do niego nie tylko

znalezisko, ale i on sam. — Taki proces trwa wiele pokoleń...

Władowanie

się tam z całą armią całkowicie uszkodziłoby....

— Musimy zabezpieczyć ten kraj — rzekł Harry do Ramsaya. —

Potrzebna nam współpraca władz najwyższego szczebla.

— Komendant policji to całkiem wysoki szczebel — stwierdził Cyril,

klnąc w duchu, że nie zapłacił Kalangiemu dodatkowych pieniędzy.

— Shell nie może współpracować z komendantem policji — rzekł

Harry — nie po tym, co wydarzyło się w Nigerii. Byłby to niewłaściwy sygnał.

Sekundkę, Harry. Czy Shell już w tym uczestniczy? — zapytał Ramsay.

— Ja myślę — warknął Cyril. — Harry, bierzesz mnie chyba za głupca.

Twoje odejście z Shella to tylko podstęp, prawda? Podstęp z ich strony, żeby

dostać mnie i moje znalezisko za niższą cenę...

— To nie jest twoje znalezisko. Z tego, co przeczytałem, wynika, że odkrycia dokonał Haksar — odparował bez pardonu Harry.

— W porządku, wycofuję się — rzucił mu Cyril w twarz. Harry był taki

niski i słabo umięśniony, że Cyril miał wrażenie, iż mógłby zrzucić go

z dachu jednym uderzeniem pięści. — Wiadomo było, że nic z tego nie

wyjdzie. Przykro mi, Rams. Ja z moim znaleziskiem nie wchodzę do tej gry...

— Chcesz mnie wystawić do wiatru? — warknął Harry. — Wiesz, Cyrilu, jest kilka dziwnych faktów, i zapewne nie chciałbyś, żeby je powiązano. Na przykład śmierć Haksara tuż przed przyznaniem się przez

ciebie do tego znaleziska, a potem śmierć twojej żony i tego Phillipsa. —

Cyril cofnął się, a mówiący te słowa natychmiast postąpił ku niemu.

—

Powiem ci coś. Jeśli przyrzekniesz stosować się do moich wskazówek,

pozwole ci dla mnie pracować. Jeśli nie, dopilnuję, aby wykryto te powiązania,

a wierz mi, tysiąc innych naukowców przybiegnie, żeby dla mnie pracować

i oznajmić światu, że tym dwóm rasom pozwolono żyć dokładnie tak, jak to

robiły przed dwoma milionami lat. Rozumiesz mnie, Cyrilu? — Spojrzał ku

rorze na twarz Andersona. — Kapujesz?

Cyril wydał westchnienie, słyszalne pomimo buczenia neonu. Ramsay, który jak skamieniały słuchał insynuacji Harry'ego, nie mógł pozbyć się myśli, że te morderstwa wyjaśniałyby szalone zachowanie Cyrila w Londynie.

— Rozumiemy się? — zapytał ponownie Harry, rzucając z ukosa spojrzenie skierowane również na Ramsaya.

Cyril skinął głową. Rozumieli się.

— Spokojnie — rzekł Harry. Ruszył ku drzwiom. Ramsay począł coś mruzczyć, że jeszcze nie rozważył wszystkich konsekwencji tej sprawy i, być może, nie powinien się angażować... — Już się zaangażowałeś — przerwał mu sucho Harry. — I ja tym kieruję. Jasne? — Wszedł pierwszy do pokoju — niski, niczym się nie wyróżniający, ale mający za sobą potęgę jednego z największych koncernów świata.

Będąc już w pokoju, Cyril podszedł do stojącego z boku stolika z alkoholi, chwycił butelkę szkockiej, nalał sobie mocnego drinka i wypił duszkiem. W lustrze, ponad barwnymi szybkami butelek whisky i brandy, odbijała się jego twarz. Naraz, zamiast niej, zobaczył ponad butelkami oblicze Hendrijksa. Pilot obsunął się na podłogę swego obskurnego motelu. Po nim- pojawił się Haksar, wysuszony jak mumia, pozbawiony drogocennej insuliny. Następnie — Corinne leżąca w swoim mieszkaniu obok Randalla, oboje jeszcze ciepli od wzajemnych uścisków („Suka!"). I ten wynajęty morderca, oskalpowany i przeszyty kulami z własnego pistoletu.

Pięć trupów. Czy wszystko to na marne?

Ramsay stanął przy nim, żeby nalać sobie drinka. Wrzucając do szklanki

kostki lodu, mruknął: — Cyrilu? To wszystko nieprawda, co?

Profesor wpatrywał się w lustro. Harry Ends siadł przy stole i wielkimi kęsami zjadał z talerza zimne jedzenie, którego smaku nawet nie czuł.

— Nie bądź idiotą, chłopie — rzekł lekko Cyril.

Zadzwonił telefon. Anderson zobaczył w lustrze, jak Harry podnosi słuchawkę, chwilę słucha, po czym macha nią w jego kierunku. Podszedł do telefonu i wziął słuchawkę. Harry wrócił do posiłku i jadł z



roztargnieniem,  
słyszając niewyraźnie, jak Cyril odpowiada komuś krótkimi „tak” i „nie”,  
a potem odkłada słuchawkę. Cyril usiadł przy stole i zaproponował,  
ażeby na  
początek pojechali na sawannę tylko we trzech w celu zbadania sytuacji,  
w jakiej znajduje się horda hominidów. Cyril poprosi też do  
towarzystwa  
Kalangiego. Komendant mógł być bardziej pomocny niż ktokolwiek  
inny.  
Harry ostatecznie się zgodził.

## 2

Rzepa płakała. Z okropnym wyciem próbowała podnieść Jeżyka, lecz jej synek był zbyt ciężki, i nie starczyło jej sił.

Przysiadła i wbiła w niego wzrok, a po jej wyskubanych przez Niawo policzkach spływały łzy.

Dotknęła palcami oparzeliny po sidłach na szyi Jeżyka i pogładziła ją, jakby usiłując wygoić skórę i przywrócić chłopca do życia. Upadła obok niego, ujęła jego głowę dłońmi o długich palcach i przytuliła delikatnie do policzka.

Niewielki krąg kobiet, wśród nich Niawo, stał w milczeniu.

Po chwili Ken usłyszał gniewne pomruki mężczyzn, którzy odkryli kryjówkę kłusowników. Wywracali wszystko do góry nogami, wyrzucając

w powietrze znalezione przedmioty. Ken zobaczył plastikowy kanister na

wodę, następnie strzelbę. Zaciął zęby i popędził do kryjówki. Wyszarpnął

broń za lufę — sądząc po ciężarze, była naładowana — zarzucił pasek na

ramię i sięgnął po jeden z odbiorników radiowych.

Mężczyźni z wyciem opadli go ze wszystkich stron. Musiał im coś odstąpić, i musiała to być strzelba. Otworzył zamek, opróżnił magazynek

i cisnął broń na ziemię. Potem skoczył ku następny, wystającym z trawy

sidłom. Wskazał je mężczyznom i zaczął szukać w trawie innych pułapek.

Hominidzi poszli w jego ślady, jakby zrozumieli — bez słów, bez języka.

Modibo zastawił cały krąg sidła, rozpoczynający się przy kryjówce i otaczający całe zbocze. Uderzając gałęziami o trawę, Ken demonstrował

mężczyznom, jak należy je znajdować. Prostymi gestami pokazywał,

kiedy  
mają iść za nim gęsiego, a kiedy rozwinąć się w szereg. Z  
niezdyscyplinowanej  
bandy zmienili się w dobrze zorganizowaną formację.

Ken natknął się na niskie drzewo lobelii i zawiesił pętle na jego  
mechatym, prostym pniu. Póki pozostawały na drzewie, były  
nieszkodliwe.

Kiedy poszukiwacze siodeł zagłębili się w zaroślach, znaleźli złapaną w  
potrzask  
dziką świnię w kałuży krwi. Idący obok Kena smukły pomógł mu ją  
wyplątać,  
ale zwierzę już nie żyło. Inny hominid wziął je na ramiona — to kawał  
jadalnego mięsa\* Dobrze pomyślane.

Obejrawszy się, Ken zobaczył, że inny mężczyzna podnosi dwie pętle

i zawiesza je na gałęzi, szczerząc przy tym zęby w szerokim uśmiechu, zadowolony ze swego osiągnięcia.

Do końca akcji zebrali łącznie dwadzieścia cztery sidła. Obchodzili kręgiem urwisko, aż natknęli się na wygładzoną bazaltową skałę, która lśniła

w świetle księżyca niczym ogromne czoło. Zamykała ich szlak.

Dwadzieścia cztery sidła. Ken dziwnie się poczuł na myśl, że znów operuje liczbami. Mieli ponadto kilka odbiorników radiowych, urządzenie

nasłuchowe, warte lekką rączką trzysta dolarów, oraz wygięte i połamane, ale

nadal sprawne okulary noktowizyjne. Były to night hawkscy, najwyższej klasy

sprzęt tego typu, kosztujący koło ośmiuset dolarów. Ken wiedział, że zwykli

klusownicy nie mogli sobie pozwolić na tak wymyślny sprzęt i z pewnością

nie otrzymywali przez radio wiadomości od komendanta Kalangiego. Przypo-

mniała mu się informacja od komendanta dla Modiba. Cóż to za ekspedycja

miała tu niedługo przybyć? I kto ją organizował?

Ken wrócił wreszcie ze swym oddziałem i dołączył do klanu. Kiedy

ponownie przechodzili obok zniszczonej kryjówki, dostrzegł Długopalcego,

który siedział bez niczyjej pomocy, choć nieco chwiejnie, oczy natomiast miał

szeroko otwarte i czujne. Potem zobaczył kilka kobiet ciągnących zwłoki

jednego z klusowników, odarte z ubrania. Usłyszał szyderczy głos w duszy:

„Pędź, chłopcze, pędź i powstrzymaj je przed rozszarpaniem go i zjedzeniem”.

Gotów był biec do nich, ale się pohamował. Ten skurwiel odarłby ich smukłe

ciała i sprzedał ich zmielone kości. Jeden z towarzyszących Kenowi mężczyzn

rzucił świnie na trawę, a kobiety zostawiły ludzkie zwłoki i pospieszyły ku

zwierzęciu.

Z tych rozmyślań wyrwała go nagła kakofonia głosów małych białonosych,

siedzących na drzewie tuż nad jego głową. Ich puszyste brązowe futra ginęły

w mroku, ale białe nosy były doskonale widoczne. Wyrwane ze snu przez

jakiś inne zwierzę, skrzeczały i skakały jak szalone. Stworzenie to, czymkolwiek było, zsunęło się po pniu i spadło na ziemię, błyskając w

mroku  
zębami.

Modibo — bo to był on — zerwał się na nogi, rozejrzał i dostrzegł Kena.

Bez swego płaszcza, tylko w szortach i koszuli w kolorze khaki oraz przydużych butach, sierżant wydawał się bardzo mały. Gdyby nie małpy, zdołałby się wymknąć. Uniósł rękę z nożem myśliwskim i, niczym nakręcany diabełek, przemknął obok kobiet zajętych przy martwej świni. Otoczył ramieniem Długopalcego i porwał go z ziemi.

Przebiegł tuż obok Kena. Ponieważ chłopiec stawiał opór, więc uniósł nóż w szponiastej ręce, ale się potknął. Ostrze wbiło się w ziemię.

Wyszarpnął nóż, raz jeszcze pochwycił chłopca i niczym piłka sturlał się

wraz ze swą ofiarą po zboczach. Ken, dając za nimi susa, zachwiał się i też

potoczył jak piłka. Modibo pędził w dół, trzymając przerzuconego przez ramię hominida. Ken biegł za nim. Żałował, że zapomniał słów modlitwy.

Z niższego tarasu powiało chłodem. Pędząc za Modibem, zahaczył o nisko

rosnącą gałąź i zachwiał się. Kiedy wypadł na otwartą przestrzeń, Modibo leżał na ziemi, a Długopalczy okładał go pięściami. Chłopiec stawał opór.

Pierwszą myślą, która dotarła do Kena, wciąż jeszcze oszołomionego upadkiem, było to, że stoi obok Modiba. Wszystkie siły włożył w jeden morderczy cios gołych pięści wymierzonych w twarz sierżanta — i chybił.

Z rozpędu wpadł na drzewo. Odwrócił się w tej samej chwili, kiedy Modibo

nacierał z nożem. Uskoczył w bok, a jego przeciwnik zawrócił. Długopalczy

macał wkoło po ziemi i naraz w jego ręce pojawił się kamień, który świsnął

w powietrzu i uderzył kłusownika w czoło, zwalając go z nóg. Przez twarz

Murzyna przebiegł skurcz. Zamachał kończynami jak — niegroźna już — nakręcana zabawka.

Podbiegając doń, Ken stąpnął boleśnie na kamień. Jednakże nie był to

wcale kamień, tylko stwardniała jak żelazo grudka błota z gniazda mrówek.

Długopalczy znalazł ją przez czysty przypadek.

Ken zobaczył, jak usta chłopca rozchyła błogi uśmiech okrucieństwa.

Hominid — posiniaczony, podrapany i wyczerpany — zbliżył się do nie-

przytomnego kłusownika i zaczął go kopać po żebrach. Przestał i, zafascynowany, obserwował dygotanie rąk i nóg, które stawało się coraz szybsze,

aż wreszcie gwałtownie ustało. Zadrzawszy spazmatycznie, aż jego stare buty

zazgrzytały o ziemię, Modibo znieruchomiał.

W świetle księżyca wydawał się jeszcze drobniejszy.

Ken pochylił się nad groteskowym człowieczkiem, który przez ostatnie

parę tygodni nawiedzał go w koszmarnych snach. Jego pierś, wciąż jeszcze

ozdobiona amuletem *juju*, który go nie ochronił, wydawała się wąska, kończyny zaś żyłaste i chude. Nic w nim nie świadczyło o jego nikczemnej

naturze.

Ken usłyszał za sobą członków klanu przedzierających się między drzewami. Zdał sobie sprawę, że nie dałby rady wyprowadzić ich w bezpieczne

miejsce. Smukli zobaczą leżącego na ziemi Modiba, pokonanego przez Długopalczego, i zdecydują, że powinni podjąć walkę o swoje terytorium.

Przytłoczony tą myślą, poszedł w kierunku, gdzie drzewa rosły

rzadziej.

Spodziewał się, że zobaczy stamtąd oświetlony księżycem bezmiar sawanny.

Spojrzał zza skraju tarasu, tam gdzie u podnóża gór białaty w księżycowym

świecie równiny. Zobaczył trawę poznaną kępami ciernistych krzewów

oraz wąski pas oczyszczonego terenu, prawdopodobnie nie dokończony pas

startowy.

Teren oczyszczono ręcznie. Przyglądał mu się, owładnięty przeczuciem,

że teraz dojdzie do spotkania między hominidami a ludźmi. Bitwa była nieunikniona.

Zaczerpnął tchu i skierował się pod górę, wymijając po drodze ciepłe

ciała członków klanu. Oddychał powietrzem nocy i piął się do chwili, gdy

poczuł rażąco odmienny smród kryjówek kłusowników. Wszedł do środka,

ukłękł i po omacku odszukał radio.

Było uszkodzone. Podniósłszy je, usłyszał, jak w środku coś cicho

brzęknęło. Postawił je na ziemi, przysiadł obok i włączył guzik. W ciemności zapaliło się małe czerwone światełko, upodabniając radio do dziwnej jednookiej bestii.

W domu Ngiamenów w Nairobi panowała cisza. Palilo się zaledwie parę świateł. Itina i Jakub byli nieobecni. Udali się na przyjęcie, gdyż Jakub nalegał, żeby zachowywali się tak, jakby ucieczka stanowiła ostatnią rzecz, jaka może im przyjść do głowy. Nazajutrz Itina, Ngili i Yinka wylatywali do Johannesburga.

Ngili siedział w domku gościnnym i wertował stare notatki z badań geologicznych, Yinka natomiast stała samotnie w ogrodzie, wpatrując się w krzewy kawowe i usiłując pogodzić się z myślą, że opuszcza Nairobi. Kiedy usłyszała dzwoniący w głębi domu telefon, zignorowała go. Usiłowała zrozumieć, dlaczego tak ciężko jej odejść. Sprawę dodatkowo komplikowały inne kwestie. Nie dość, że opuszczali strony rodzinne, to jeszcze tracili swoją pozycję społeczną. Ojciec podjął decyzję o zejściu do podziemia, co pociągało za sobą wiele niebezpieczeństw. Yinka wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało ich życie w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy — wśród obcych, a na dobitkę w ciągłym oczekiwaniu wypełnionym nadzieją, która rozwiązałaby się, gdyby Jakub został zdradzony i schwytyany albo zabity.

Znowu usłyszała telefon.

Pamiętając polecenie ojca, że mają zachowywać się jak gdyby nigdy nic, pospieszyła do domu i podniosła słuchawkę. — Halo?

Usłyszała szum elektrostatyczny i pogłos, jakby nadawano przez radiostację.

Potem jakiś melodyjny męski głos powiedział: — Halo, tu rezerwat dzikiej zwierzyny Magadi, proszę pana Ngilego Ngiamenę...

— Proszę chwilę zaczekać, poproszę go. — Kiedy dzwoniło z rezerwatu,

proszono zwykle ojca, a nie Ngilego. — Jest pan pewien, że nie chodzi panu

o Jakuba Ngiamenę?

— Tak, jesteśmy pewni. Ktoś przekazał nam przez radio prośbę, by połączyć go z państwa numerem, z panem Ngilim Ngiameną. — Telefonista

z rezerwaty robił przed nazwiskami krótkie pauzy, jakby odczytywał je ze



świeżo sporządzonej notatki. — Pan... Lau-der?

Yince przyszło do głowy absurdalne wyjaśnienie, że może dzwoni z Ameryki jakiś krewny Kena. Dlaczego jednak taki telefon miałby być przekazywany za pośrednictwem rezerwatu Magadi? Potem nagle domyśliła

się: to dzwoni Ken. Wydostał się z buszu i ma sprawne radio. Połączył się

z Magadi, gdyż znał ich częstotliwość. Magadi leżało niedaleko kilku stanowisk wykopaliskowych, a Ngili i Ken korzystali dawniej z uprzejmości

ich biura, żeby przekazywać wiadomości albo uzupełniać zapasy. A szef rezerwatu znał domowy numer Ngiamenów.

— Wyślę kogoś po Ngilego, ale może pan połączyć pana Laudera ze mną — rzekła i poczuła nagłą ulgę, jak po ustąpieniu długotrwałej migreny.

Brzęmie niepokoju rozproszyło się, a ją ogarnęło oszalamiające uczucie lekkości, jakby napełniono ją powietrzem.

Burza trzasków elektrostatycznych wzmogła się, a głos telefonisty, odbijał się echem gdzieś w oddali. — No już — Yinka drapała paznokciami

telefon. Nie, nie! Nie mogła znieść myśli, że połączenie może zostać przerwane. Wówczas odezwał się dziwny głos, bezbarwny i ochryply, jakby z innego świata. — Ngili? Hej, Ngili? — Pauza. — Jesteś tam?

To ja, Ken.

Jego głos brzmiał obco.

— Ken, tu Yinka!

Ken zamilkł. Potem wybuchnął śmiechem i powiedział ochryple:

—

Przepraszam...

— Tu Yinka, Ken, Yinka! Za co przepraszasz?

— To znaczy...

Wydawało się, że zbiera w milczeniu siły. Zastanawiała się, czy nie jest

chory. A może był tak wyczerpany, że nie mógł sprawnie myśleć?

— Potrzebuję Ngilego — powiedział. — Używam uszkodzonego radia.

Nie wiem, jak długo jeszcze będzie sprawne... Yinka... dzieje się coś

straszego...

— Nic ci nie jest?

— Nie... tak... Jesteśmy... polują na nas, Yinko...

— Na nas?

Znow zamilkł. Modliła się, żeby nie stracił rozumu i nie doznał jakiegś

absurdalnej transformacji, żeby okazało się, iż jest po prostu u kresu sił.

— O tym chciałem pogadać z Ngilim... Yinka... — Nawet w tych okolicznościach cieszyła się, słysząc swoje imię z jego ust. — Pamiętasz... co

ci powiedziałem, kiedy ostatni raz byłem u was? — Skinęła w milczeniu głową. -j- Kiedy dałem ci... te skamieniałe kwiaty? — Zaczęła chichotać nerwowo, ale podświadomie go przynaglała: „Tak, tak, mówisz do rzeczy,

tylko tak dalej.” Usłyszał jej śmiech i sam zachichotał, stając się znowu odrobinę bardziej podobny do zwykłego Kena Laudera. — Yinko... Nie chcę

cię przestraszyć... — Potrząsnęła głową, ale nie miała odwagi odezwać się. — Ta rasa... istnieje...

Odetchnęła i stwierdziła, że chyba rozumie.

Trochę mniej bała się o jego życie.

— No i? Co tam robisz? Obserwujesz ich?

Jestem z nimi... Są wokół mnie... Proszę, daj mi Ngilego...

— Ken!

— Tak?

— Pójdę po niego, ale chcę z tobą pomówić.

— Nie musisz się wyłączać.

Chcę z tobą porozmawiać!

— Ja również chcę z tobą porozmawiać — powiedział prawie niechętnie — ale jesteśmy ścigani, Yinko... Właśnie odparliśmy atak...

— Wydostań się stamtąd! — krzyknęła. — Co zamierzasz zrobić? Bronić

ich samemu? Dlaczego? Dlaczego są tacy ważni?

Promień światła, który padł ukosem na twarz dziewczyny, odbił się we

łzie znieruchomiełej z boku jej nosa. Yinka dotknęła jej i łza spłynęła po policzku. Tupnęła gniewnie nogą, co — nie wiedzieć czemu — przypomniało

jej wesele Gwee i taniec masajski, którego nie zatańczyła z Kenem.

Rozplakała się na dobre.

— Yinko! — powiedział Ken ze zdziwieniem.

— Zostań przy radiu... Poproszę Ngilego....

Odłożyła słuchawkę, otarła policzki grzbietem dłoni i ruszyła do

domku

gościnnego. W ciągu następnych paru chwil jakoś nie zaszło nic takiego, co by ją

przekonało, że to wszystko nie sen. Powiedziała Ngilemu, że dzwoni Ken,

a on uniósł wzrok i nie mógł złapać tchu, jakby uderzono go w żołądek.

Zauważywszy lśniące policzki siostry, otoczył ją ramieniem i przytulił krótko,

lecz mocno, po czym pospieszył do domu.

Dziewczyna przeszła do swojej sypialni i podniosła słuchawkę telefonu.

Na tle nieustannych trzasków usłyszała, jak dwaj mężczyźni wymieniają mrukliwie pozdrowienia — głos Ngilego był zdyszany z oszołomienia, a Kena szorstki z wyczerpania. Uświadomiła sobie, że Ken jest chyba bardziej

wyczerpany niż radio, którego używa.

Tak bardzo chciała wiedzieć, czy on żyje. Teraz już wiedziała.

Ken mówił Ngilemu, gdzie jest i że oni istnieją. Znajdowali się tuż obok,

wokół niego, a oni obaj muszą uratować im życie.

— Ken, mogę zadzwonić do Dona Johansona z Instytutu Pochodzenia

Człowieka z Berkeley — powiedział Ngili. — I do Sherwooda Washburna

i Phila Tobiasa z Witwatersrand w Afryce Południowej. Ale jeśli nawet uda

mi się z nimi połączyć, a oni mi uwierzą, ile czasu będą potrzebowali, żeby

się tu dostać? Co najmniej tydzień? Jeszcze dłużej potrwałoby doprowadzenie

do tego, by jakiś organ międzynarodowy podjął konkretne działania.

Parę tygodni albo i więcej.

— Wiem... Nie da się tego zrobić w ten sposób...

— Ken, posłuchaj... Jacy oni są?

Yinka obserwowała brata przez otwarte drzwi sypialni — te same, przez

które Ken oglądał ją kiedyś naga. Poczła skurcz w żołądku, czekając na odpowiedź Kena.

— Są niewyobrażalnie... niezwykli. Ale potrzebujemy pomocy już jutro, Ngili... jutro... Jedno dziecko już zginęło....

Znowu to „my”!

Zobaczyła, jak palce Ngilego zwijają kabel telefoniczny, twarz wciąż

jaśniej na myśl o tym, jak może wyglądać ta rasa — przecież to także jego

odkrycie — a potem stopniowo traci blask. — Ken, nie da się nic zrobić tak

szybko. Dzieje się tu coś bardzo złego... My... wyjeżdżamy z Nairobi....

— Co? — Ken wybuchnął zimnym, ponurym śmiechem.

— Nie rozumiesz tego. Jesteśmy na czymś w rodzaju czarnej listy. Mimo to... — Zdawał się coś rozważać w myślach, Yinka zaś miała ochotę krzyknąć przez otwarte drzwi: „Czy teraz, gdy już wiesz, że żyje, zostawisz go tam samego, aby zginął?” Ale zagryzła wargi. Co chciała zrobić? Skłonić brata, by narażał się na kolejne śmiertelne niebezpieczeństwo po tym, jak uniknął jednego w Nairobi?

Jakie znaczenie miał dla niej Ken? Jakie miał tak naprawdę znaczenie?

— Oni tu wrócą — odezwał się Ken — wiem o tym... Z bronią i siłdami... Jeśli nie przyjdą, może uda mi się wyprowadzić nas stąd... Uganda jest czterysta mil na zachód... Są tam połacie lasu nigdy dotąd nie zamieszkanego przez ludzi...

To szaleństwo. Ngili odpowiedział natomiast tak, jakby chodziło o rzecz

racjonalną. — Nie, Ken. W Ugandzie są kłusownicy i handlarze narkotykami...

Prowadzi tamtędy „niebieska autostrada” wszystkich przemytników trawy.

Nie możesz zabrać ich na zachód...

— A więc na północ? — zapytał Ken. — Osiemset mil na północ... Dotrzemy wtedy do Sudanu albo Etiopii... Całe mile pustych zarośli...

żadnych lotnisk... żadnych dróg i żadnych plemion...

— Ken, to wariactwo.

— Wszystkie próby przetrwania są szaleństwem...

Wysoko na zboczu Mau Ken leżał w trawie, obserwując migoczące jak gasnąca świeca czerwone oko radia.

Długopalczy przysiadł obok. Jego twarz zarumieniła się w blasku czerwonej lampki.

Ken starał się zachować zdrowy rozsądek. Słowa Ngilego go przestraszyły.

Usiłował też nie myśleć o Yince.

Spróbował pomyśleć o sprawach podniosłych. O celu badań naukowych.

Gdyby świat stracił Kena Laudera, szkoda byłaby mniejsza, niż gdyby stracił

to siedzące w trawie dziecko. Skoro Ngili nie mógł przybyć na pomoc, może

jemu udałoby się wyprowadzić tę rasę w bezpieczne miejsce. Poczuł nagle,

że gotów jest umrzeć, gdyby to tylko mogło im pomóc.

— Radio zamiera... — bąknął.

— Przyjadę jutro — rzekł nagle Ngili.

— Jak zamierzasz to zrobić?

— Jakoś mi się uda. Ken, słuchaj. Przyjadę, ale... czy oni naprawdę są tam z tobą?

Ken zaczął się śmiać. Wyraźnie sobie uświadomił, jak bardzo brakowało mu śmiechu w towarzystwie innego sapiensa. — Sądysz, że mam aż takie

odjazdy? Chcesz, żebym uszczypnął to dziecko obok mnie, abyś usłyszał

wrzask z krtani płytkiej jak łyżka?

— Nie, nie. W porządku. Przyjadę tam.

— Ngili... — Ale nie wiedział, co powiedzieć o przyjaźni, o odwadze

i poświęceniu Ngilego. Westchnął z zakłopotaniem. — Jest tam jeszcze Yinka?

Dała znak Ngilemu, że nie chce rozmawiać.

— Nie, nie ma jej tu.  
— To dobrze. Twoja siostra jest taka piękna.  
— Wiem. Powinieneś chyba oszczędzać radio.  
— Też tak sądzę. Do widzenia, Ngili...  
— Jutro! — przypomniał mu niespokojnie Ngili. — Ken! Trzymaj się  
jakoś! Pomóż im przeżyć! Znajdę jakiś sposób!  
— Dobra...

Yinka upuściła słuchawkę na łóżko i przeszła do saloniku. Brat trzymał słuchawkę z takim napięciem, że mięśnie ramion wybrzuszyły się, jak przy podnoszeniu znacznego ciężaru. Spojrzała mu w oczy — były suche. Wszystkie swoje uczucia włożył w to dzikie napięcie mięśni.

— Zrobimy to, Ken, uratujemy ich jakoś — rzekł szybko Ngili. — Uważaj na siebie. Uważaj na siebie!

Rozległ się skrzypiący dźwięk wyłączania połowego radia. Rodzeństwo spojrzało po sobie, a po chwili dziewczyna podeszła do wciąż trzymającego słuchawkę brata i objęła go.

Ngili usłyszał, jak telefonista z Magadi pyta, czy rozmowa skończona. —

Tak, dziękuję — powiedział i odłożył słuchawkę. Potem przygarnął siostrę.

Wyszedłszy z apartamentu Harry'ego Endsa, Cyril Anderson poszukał w kieszeniach kluczy od swego pustego domu.

„A gdybym zrezygnował z tego? — zastanawiał się. — Gdybym pozwolił im lecieć tam beze mnie? Ramsayowi i temu skurwielowi Endsowi? Gdybym się nawet nie pokazał?”

Wiedział, co by się stało. Harry Ends w ogóle by nie pomyślał o tym, żeby dowiedzieć się, co się dzieje z Cyrilern. Jak powiedział, tysiąc innych uczonych ustawiłoby się w kolejce, żeby z nim pracować („dla niego”) i oznajmić światu, że obie rasy są dziś takie same, jak przed dwoma milionami lat.

Czekając na windę, Cyril usiłował przypomnieć sobie widziane w lustrze obrazy swoich ofiar, aby pobudzić swój nowo odkryty instynkt zabójcy. Ale nie wyglądało na to, by odczuwał teraz jego obecność. Kiedy drzwi windy otworzyły się, zobaczył komendanta Arnolda Kalangiego siedzącego na fotelu



w hallu. Kalangi wstał i podszedł do Cyrila, który przywitał go opryskliwym: — No i o co chodzi?

— Chcę, Cyrilu, żebyś czegoś posłuchał. To rozmowa twego byłego studenta, Laudera. Moi ludzie nagrali ją pół godziny temu, usiłując złapać

kontakt z Modibem. Lauder jest w górnych partiach Mau, najwyraźniej przewodzi — Kalangi zaczerpnął tchu — hordzie praludzi.

„Hordzie praludzi? Przewodzi im?”

W Cyrila jakby strzelił piorun — cichy, ale śmiercionośny. Był niemal

zdziwiony, że podłoga w hallu nie została strzaskana.

— Co się stało z Modibem? — zapytał Cyril.

— Nie wiem — odrzekł Kalangi — i nie ma to znaczenia. Profeszorze Anderson... Cyrilu... Obawiam się, że obecność tam Laudera stwarza mi interesujące możliwości. Biorę go pod uwagę jako potencjalnego partnera.

Cyril zamilkł na chwilę, po czym odparł: — Lauder nigdy nie potraktuje cię jak partnera...

— Zdziwiłbyś się widząc, do czego zdolni są ludzie — rzekł Kalangi —

aby uratować własne marzenia. A ja mógłbym mu pomóc. Mógłbym mu pomóc uratować te istoty. — Odczekał chwilę. — Z drugiej strony, gdybyś

chciał, byśmy pozostali partnerami, musiałbyś sprostać moim żądaniom. Nie żartowałem mówiąc o cenie tego samolotu. To transportowiec wojskowy i koszt eksploatacji są wysokie. Faktycznie wzrosły nawet od naszej ostatniej rozmowy.

— Zgoda. Jaka jest nowa cena?

— Chodźmy do mego apartamentu — zaproponował niemal uprzejmie

Kalangi. — Mam nagranie Laudera nadającego z Mau. Jest bardzo zniekształ-

cone i nie za długie, ale powinieneś posłuchać. Rozmawiał z innym twoim

eksstudentem, Ngiameną. Ngiamena chce tam lecieć jutro, żeby wyratować

przyjaciela i jego praludzi. Sądzę, że możemy się tym zająć. Jeśli znów

dojdziemy do porozumienia.

Poprowadził do wind i wcisnął guzik. Cyril stanął obok. Czekali na windę mającą zabrać ich na górę.

Cyril Anderson spędził w apartamencie Kalangiego niespełna dwadzieścia minut.

Po jego wyjściu komendant siedział chwilę bez ruchu, a następnie sięgnął po telefon. Zadzwoił do generała, którego przyjmował u siebie w gabinecie dzień wcześniej, i zapytał, czy mogliby się spotkać przed hotelem „Naivasha”.

Pół godziny później czarny oldsmobile bez tablic rejestracyjnych zatrzymał się przy krawężniku naprzeciwko hotelu. Prawie natychmiast mały oddziałek

ulicznic zbliżył się do siedzących wewnątrz trzech mężczyzn. Jeden wyrzwał przez okno i coś warknął. W mgnieniu oka dziewczyny rozbiegły się, stukając wysokimi obcasami.

Po paru sekundach przez ulicę przeszedł Kalangi, wsiadł do samochodu i usadowił się na tylnym siedzeniu obok generała. Oznajmił, że operacja „Wielkie Porządki” powinna zostać wznowiona nazajutrz, ale dopiero po starcie pewnego samolotu, który zabierze jego osobiście oraz człowieka z Shell Oil wraz z ekipą na sawannę. Kalangi posiadał informacje, że Shell gotów jest płacić miliony za eksploatację tej części dziewiczych terenów, którą zamieszkiwały *mangan*. Powiedział generałowi i jego adiutantom, że udzieli im dalszych informacji, pod warunkiem że zapewnią mu wysokie stanowisko w nowym rządzie. Robił się za stary na pracę w policji i proponował, żeby mianowano go ministrem finansów.

Wywołało to w samochodzie niejakie poruszenie. Jeden z mężczyzn

zauważył, że stanowisko ministra finansów jest szalenie istotne i taka nominacja powinna zostać przedyskutowana z radą rewolucyjną nowego reżimu. Kalangi roześmiał się i odparł, że rada może przedyskutować tę kwestię już teraz, gdyż wszyscy jej członkowie siedzą w samochodzie. W zależności od ich decyzji policja postanowi, czy poprzeć jutrzejszą operację, czy nie.

Przez parę minut wojskowi wymieniali w milczeniu spojrzenia.

Następnie

generał oznajmił, iż rada rewolucyjna uważa Kalangiego za wartościowego

kandydata na ministra finansów. On osobiście chciałby się teraz przekonać,

jakie informacje dotyczące planów przedstawiciela Shella są w posiadaniu

komendanta. Kalangi zaprosił ich wszystkich do swego apartamentu.

Tymczasem ulicznice znowu podeszły bliżej wejścia do hotelu.

Podczas

gdy czterej mężczyźni wysiadali z samochodu i wchodzili do budynku, generał zażartował, że zanim ekipa przedstawiciela Shella przyleci z powrotem,

sytuacja w Nairobi znajdzie się znowu pod kontrolą.

# 3

Dwusilnikowy samolot wojskowy „Embraer” wyprowadzono z hangaru i przygotowywano do lotu na sawannę. Choć przeznaczony zasadniczo do transportu żołnierzy, był całkiem nieźle uzbrojony.

Z otworów na skrzydłach wystawały dwa działka, miał też dwa mniejsze

—

ale jadowite — karabiny maszynowe i luki bombowe w dole kadłuba, wyglądające niczym dwie pary skrzeli. Brazylijski producent zaprojektował

go tak, by samolot mógł brać udział w eskortowaniu, atakowaniu, bombar-

dowaniu oraz transporcie żołnierzy, żeby łatwo dawało się go dostosować do

beładnych działań i nieprzewidywalnych okoliczności wojen toczonych w Trzecim Świecie.

Kłapa luku do zrzucania spadochroniarzy była otwarta, przystawiono do niego drabinę.

Ekipa myjąca wewnątrz zdziwiła się, kiedy w świetle wezesnego poranka dostrzegła wchodzącą do środka przez luk jakąś postać. Był to Cyril Anderson ubrany w terenowe buty, spodnie do safari i polową kurtkę z rzędami kieszonek. Na plecach miał mały plecak, a na głowie kapelusz z

miękkim,  
przesadnie szerokim rondem. Powitał myjących samolot zwyczajowym:

—  
*Jambo.*

Brygadzysta zespołu pospieszył w jego kierunku, by powiedzieć, że wstęp na ten teren jest wzbroniony. Cyril uśmiechnął się: — Komendant Kalangi

wyczarterował ten samolot, a ja jestem jednym z jego gości. — Następnie rozejrzał się po wnętrzu maszyny, oddychając przez usta, gdyż w samolocie unosił się ohydny zapach — musiano nim transportować żywe zwierzęta.

Mimo iż metalowa podłoga pieniała się od detergentów, nadal cuchnęła łajnem i krwią niczym kryjówka kłusownika.

Steward, ponuro wyglądający Kikuju w białej marynarce, wdrapał się po schodkach za Cyrilem i mrukliwie poprosił o okazanie zezwolenia na wejście.

Cyril zszedł mu z drogi, potem wychylił się na zewnątrz i zaczerpnął powietrza. Nadal cuchnęło. Pozwolił to temu naiwniaczkowi Harry'emu zakosztować prawdziwej Afryki. W odpowiedzi na pytanie Kikuju, czy chce

zawiesić plecak, Cyril podał mu go, a potem odwrócił się i stanął twarzą do luku.

Spojrzał na zegarek. Była dopiero ósma rano, a start zaplanowano na dziewiątą.

Przed sobą miał lotnisko lśniące jasno w porannym słońcu. Za nim ciągnęło się miasteczko slumsów, nazywane Kanisa Kusini. Dalej w tle wznosiły się w wysokogórskim powietrzu wieżowce Nairobi.

Dzieci z Kanisa Kusini nie narzekały na życie w slumsach. *Kanisa* znaczy „kościół”, a *kusini* „południe”, ale działająca tam niegdyś Misja Południa, prowadzona przez belgijskich katolików, zamknięta została w latach sześćdziesiątych przez nowy niepodległy rząd, a slumsy wchłonęły jej zniszczone ogrody warzywne. Pokryty graffiti kościół nie miał dachu, a jego wnętrze podzieliło między siebie szereg sklepów sprzedających olej, mąkę, butan do kuchenek gazowych i medykamenty ziołowe.

Pompa wodna, zbudowana kiedyś dla misji, stała się ośrodkiem życia społecznego slumsów. W Afryce bóg wody jest ważniejszy od boga niebios, woda rządziła życiem ludzi i podniecała ich wyobraźnię. Dzieci ze slumsów dorastały, niektóre odbywały podróże i widziały obfitość wody w postaci wielkiego jeziora, wodospadu na wysokość dziesięciu pięter albo niebieskiego bezmiaru Oceanu Indyjskiego. Ale nawet wtedy zachowywały w duszach żarliwe nabożeństwo dla wody, jakim odznacza się niewiele ludów na ziemi. Dla dzieciaków ze slumsów woda była cudem — nawet ta kapiąca ze starej przerdzewiałej rury w pompie na misji. Gasiła pragnienie, zmieniała pył w dające się ugniać ciasto, a nawet pomagała uspokoić wygłodzony żołądek.

Lucius Conroy i Cynthia Palmer stali się w pewien sposób sławni w miasteczku slumsów, kiedy oznajmili, że planują doprowadzić do Kanisa Kusini wodociągi. Dzieciaki ochrzciły ich stosownym mianem: *Mmerikani Maji*, Amerykanie od Wody.

Wypadki owego dziwnego dnia rozpoczęły się z chwilą, gdy Amerykanie

od Wody przyjechali w tamten rejon wynajętą toyotą. Dzieci — chude, ale o lśniących i nasyconych głęboką czernią skórach, nierealnie różowych wargach i śnieżnobiałych zębach — podbiegły gromadnie do toyoty, krzy-  
cząc: — *Polisi hapa, polisi hapa*! Jest tu policja! — jakby przekazywały fascynującą nowinę. Lucius i Cynthia po wyjściu z wozu zobaczyli kilka samochodów policyjnych, dwie ciężarówki i buldożer; wszystkie pojazdy rozstawiono wokół placu przy pompie, gdzie w kolejce tłoczyło się dwieście kobiet z wiadrami. Pierwsze dwa tuziny czekających przepychały się już z plutonem uzbrojonych policjantów, natomiast pracownicy służb miejskich rozbierali pompę na części.

Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko.

Lucius pospieszył przodem, wysuwając się przed Cynthią, i wszedł pomiędzy krzyczący tłum. Urzędnik miejski wrzeszczał, że pompę rozbierano



z powodu zatrucia wody. Gniewne kobiece głosy odparły, że jak już raz ją rozbiorą, nigdy jej nie oddadzą, a co oni będą pić i na czym gotować?

Conroy

podbiegł do urzędnika, żeby go przekonać o czymś, co było oczywiste: rozebranie pompy bez zastąpienia jej innym źródłem wody wywoła zamieszki.

Kobiety, w większości matki z dziećmi przytroczonymi na plecach, rzuciły

się na robotników miejskich. Jakiś fotograf pstrykał spokojnie zdjęcia.

Porucznik policji rozmawiał przez radiotelefon, prosząc o wsparcie wojska.

Conroy chwycił go za ramię i zapytał, do czego potrzebne mu wojsko.

Tu nie

było powstania. Porucznik Sampa poprosił go o dokumenty, a kiedy

Conroy

wyciągnął wielki portfel ze swym amerykańskim paszportem, policjant zabrał

mu cały portfel, schował go do kieszeni i rzekł klarownie: — Idź do diabła,

*Mmerikani.*

Rozległ się strzał i Conroy upadł z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Z pochylonej wieży kościoła padła salwa i kilka matek osunęło się na ziemię.

Cynthia biegła do Luciusa, zobaczyła jednak, że tuż przed nią kule ryją

pylistą drogę, wzbijając obłoczki kurzu. Słyszała też terkotanie sowieckiego

automatu „Kalaśnikow”. Nauczyła się w Afryce rozpoznawać ten dźwięk.

Zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie nie uratuje Luciusa, a sama może

stracić życie, więc zawróciła i pobiegła w stronę wynajętej toyoty.

— *Elikopta! Elikopta!* — wołano zewsząd na progach domków

wykona-

nych z puszek i tektury. Kiedy uniosła głowę, na jej twarz i na wąski, brudny

zaulek padł cień śmigłowca szturmowego. Pewna była, że to ją biorą za cel, więc

zdumiała się, kiedy wystrzały zaczęły przewracać cherlawe domki ulicę dalej.

Wskoczyła za kierownicę swej furgonetki i włączyła silnik. Odezwało się

radio. Aż ją zatkało, kiedy usłyszała, jak komentator mówi, że incydent wokół

pompy w Kanisa Kusini przybrał gwałtowny obrót, gdy prowokatorzy plemienni zaatakowali ludność cywilną, domagającą się ochrony

policyjnej.

Policja usiłowała interweniować, ale znalazła się pod gwałtownym ostrzałem

i poprosiła o pomoc wojsko. Armia wkroczyła do akcji. Rząd przestrzegał

innych agitatorów, żeby nie wykorzystywali rozruchów...

Cynthia właśnie była świadkiem tego incydentu, a już o nim informowano

w wiadomościach niemal z wyprzedzeniem. Nie widziała tu żadnych prowokatorów plemiennych — sporo się jednak nauczyła o afrykańskich wojnach domowych w trakcie swych wcześniejszych podróży do Mozambiku

i Ruandy.

Kule trafiały w ziemię coraz bliżej furgonetki. Cynthia otworzyła z jednej

strony drzwi toyoty, pozwalając wskoczyć do środka gromadce dzieci. Praktycznie wszystkie były nagie i pierwszy raz w życiu znalazły się we wnętrzu samochodu. Pomknęła furgonetką wzdłuż brudnej uliczki i natrafiła

nieoczekiwanie na rampę prowadzącą na trasę szybkiego ruchu. Za jej plecami śmigłowiec zakołował i zniżył się ponownie, żeby wystrzelić kolejną

rakietę w stronę domków z puszek i tektury.

Kilka mil na południe, w pobliżu lotniska, inny śmigłowiec zaterkotał na niebie, zniżył lot i wypuścił raketę w stronę leżącego nieopodal terminali parkingu starych samochodów. Wybuch nie był zbyt głośny, ale eksplodujący w górę wulkan dymu i płonących karoserii widać było z terminali. Potem śmigłowiec wystrzelił znowu, trafiając tuż obok zapchanego podjazdu dla samochodów. Wybuch wypalił ohydną dziurę w rzędzie drzew różanych. Słup ognia strzelił w górę, poleciały szyby w zewnętrznych oknach restauracji „Simba” i w biurze banku Barclays.

Właśnie w tym banku Jakub Ngiamena spierał się z kasjerem, który odmówił zgody na wycofanie dziesięciu tysięcy dolarów. Od rana transakcje na kwotę ponad tysiąca dolarów, przeprowadzane w obcej walucie, musiały być zatwierdzone przez ministra finansów. Jakub poprosił kierownika i zaczął mu tłumaczyć, kim jest, ale tamten mu przerwał. Wiedział, kim jest Jakub. Poprosił go, by zaczekał. Niebawem powrócił z wysokim plikiem kenijskich szylingów w ręku, mówiąc, że nowe ograniczenia nie obejmowały miejscowej waluty. Pod leżącymi na wierzchu szylingami Jakub dostrzegł bładozielone dolary amerykańskie. Zapytał kierownika o nazwisko, podziękował i pośpiesznie wyszedł.

W ruchliwym hallu oczekiwała go Itina wraz z Ngilim i Yinką. Itina miała zaczerwienione oczy, gdyż przez całą noc czworo Ngiamenów spierało się, co powinni robić. Ostatecznie postanowili, że Itina oraz Yinka wyjadą nazajutrz do Johannesburga same. Ngili obstawał nieugięcie, że zostanie, i twierdził, że w buszu będzie bezpieczniejszy niż w Nairobi. Jakub raz po raz wstawał z miejsca, żeby odbierać telefony od prowincjonalnych wodzów, którzy przygotowywali się do powrotu do stolicy. Wreszcie przystał na prośbę Ngilego, a ten wyjechał z domu, żeby pogadać ze swym przyjacielem, pilotem Mtapanim. Kiedy wrócił, zjedli w milczeniu śniadanie po bezsennej nocy. Jakub założył rzadko noszony garnitur i pojechali na lotnisko.

Ogłaszano właśnie przez megafony, że wszystkie loty są odwołane, pasażerowie zaś powinni opuścić terminal. Wywołało to okrzyki czekających, którzy poczęli klębić się bezładnie. W tłumie Itina dostrzegła przepychającego się ku nim Jakuba. Głos z megafonu zamilkł na parę chwil, a następnie inny już spiker poinformował, że jakiś helikopter, pilotowany prawdopodobnie przez obcych agitatorów, atakuje lotnisko. Siły powietrzne starają się go unieszkodliwić. Przez wzgląd na bezpieczeństwo ochrona lotniska zalecała, żeby wszyscy położyli się na podłodze twarzą w dół. Stojące obok Itiny dwie starsze czarnoskóre siostry zakonne w habitach przeżegnały się i położyły na podłodze, ale inni podróżni okazali się mniej ulegli i zaczęli wrzeszczeć domagając się wyjaśnień. Ngili zauważył członka ochrony lotniska, który stojąc na połpiętrze hali zamachnął się ręką nad tłumem. W chwilę później ogłuszający wybuch wstrząsnął poczekalnią i podniosła się ściana ciemnego dymu. Na moment zapanowała martwa cisza, a tuż potem rozległy się wrzaski: „*Hatari, hatari, moto*\ Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, ogień!” oraz „*Msaada, daktaril* Pomocy, lekarza!”

Funkcjonariusz ochrony rzucił bombę dymną, żeby wywołać panikę w tłumie. Fala krzyczących ludzi pchnęła Ngilego w stronę drzwi opatrzonych napisem „Wstęp wzbroniony”. Jakub złapał obie kobiety i w ślad za synem wyszedł tymi drzwiami z zadymionej poczekalni. Krzyki uciekających odbijały się echem w podziemnym pasażu, który wyprowadził ich wkrótce na zalany oślepiającym słońcem parking.

Tłum płynął we wszystkich kierunkach. Ngiamenowie przystanęli jednak,

żeby się naradzić, co robić. Ngili miał odlecieć na Dogilani samolotem Mtapaniego. Jakub porozumiał się z obozem w rezerwacie Magadi i poprosił pracującego tam kuzyna o wysłanie strażników do sawanny na spotkanie Ngilego. Samolot Mtapaniego czekał przy terminalu dla awionetek. Jakub podjął szybką decyzję.

— Ngili, biegnij pierwszy do Mtapaniego i przekonaj go, żeby zabrał Itinę i Yinę do Tanzanii. Potem zawiezie cię na Mau.

Jego żona poczęła protestować. — Nie podoba mi się to. Jak się wydestaniemy z Tanzanii do Johannesburga? I nie chcę zostawiać cię tu samego, żebyś znów odgrywał bohatera podziemia.

— Zamknij się. Wszystko jest uzgodnione. Ngili, idź”.

Cała czwórka mówiła podniesionymi głosami. Parking, na którym stali,

zmienił się w bezładne kłębowisko, kierowcy trąbili klaksonami i wpadali na siebie, usiłując wydostać się z lotniska.

— Ngili, biegnij do samolotu, pójdziemy za tobą — polecił Jakub. Oddał synowi połowę banknotów.

Ngili wetknął pieniądze do kieszeni, przesadził bukszpanowy żywopłot

i pognał klucząc między samochodami i wystraszonymi ludźmi. Dotarł do

pasa startowego i, biegnąc pod słońce, skierował się ku staroświeckim hangarom dla awionetek. W kieszeni wiatrówki miał colta commandera.<sup>45</sup>

z magazynkiem na siedem naboji, w drugiej — dwa dodatkowe magazynki.

W czasie biegu objęły mu żebra, ale nie zważał na to. Zwitek pieniędzy uciskał go w udo, ale tego również nie czuł. Na wprost przed sobą zobaczył

samolot, cessnę na czterech pasażerów, ustawioną w łukowatym otwartym

wejściu do hangaru, i — jak przystało na Masaja — pobiegł wielkimi susami,

trzymając tułów sztywno wyprostowany.

Mtapani i mechanik stali przy samolocie, rozmawiając. Jakiś landrover

z napisem „Obsługa lotniska” jechał niespiesznie wzdłuż hangarów. Ngili

widział siedzących w nim dwu ludzi. Jeden z nich rzucił czymś, co przypominało zwiniętą w rulon gazetę. Rzucony przedmiot upadł na asfalt

i potoczył się z brzękiem w stronę Mtapaniego i samolotu. Wybuchnął naprzeciw cenny, niszcząc jej przód, wyrywając śmigło i wybijając dziurę

w ścianie hangaru. Ngili nie widział przez dym Mtapaniego ani mechanika,

nie mogli rozplątać się w powietrzu, ale po prostu już ich nie widział.

Samochód obsługi lotniska skręcił i podjechał do niego. Młody mężczyzna,

ten sam, który rzucił ładunek wybuchowy, wychylił się znowu. Nosił nieokreślonego kroju cywilne ubranie.

— Ngili Ngiamena? — zapytał tonem niemal przyjacielskim. Uniósł następną zwiniętą gazetę, wewnątrz której wyraźnie widać było zapaloną łaskę dynamitu. Broń taka znakomicie nadawała się do unieszkodliwienia niewielkiego celu z bliskiej odległości. Mężczyzna właśnie zamierzał cisnąć tym w Ngilego.

Ngili wyszarpnął z kieszeni colta i odsunął bezpiecznik przy spuście, ale zapomniał odwieźć drugi, przy rękojeści. Ładunek wybuchowy uderzył o asfalt i potoczył się w stronę Ngilego, który celował z broni i bezskutecznie naciskał spust. Masaj zareagował odruchowo, zanim zdążył pomyśleć: skoczył naprzód i przydeptał lont stopa, jednocześnie przypominając sobie o drugim bezpieczniku w pistolecie.

Przesunął go palcem „Nie możesz chybić”. Wystrzelił kilkakrotnie do znajdującego się tuż obok landrovera, roztrzaskując przednią szybę i zabijając obu mężczyzn. Pozbawiony kierowcy pojazd skręcił, uderzył w innego dżipa, zaparkowanego na brzegu pasa startowego, i stanął.

Wstrząs wyrzucił martwego kierowcę na asfalt. Ngili podbiegł do landrovera i wskoczył na zakrwawione siedzenie kierowcy. Wypchnął z wozu drugie zwłoki i obejrzał się.

Wprost na niego pędziła terenowa toyota, a trzech siedzący w niej faceci

w cywilnych ubraniach strzelali z kałasznikowów. Na widok ziejącej ogniem

lufy Ngili wykonał nagły skręt na dwóch kołach i skierował landrovera ku

zachodowi. Wcisnął pedał gazu i dał nura pod strzaskaną przednią szybę,

kiedy wyrosła mu na drodze siatka ogrodzenia. Przebił się przez nią, wyrzucając na wszystkie strony druciane ogniwa.

Stanął w landroverze i obejrzał się, czy ktoś za nim jedzie. Zobaczył tylko

dwa toczące się po pasie startowym transportery, z których wyskakowali

uzbrojeni mężczyźni. Rozejrzał się i dostrzegł kilka wojskowych ciężarówek

na drodze prowadzącej z miasta na lotnisko. Naraz przypomniał sobie o rodzicach oraz Yince i zaniepokoił się ich losem. Może ich już schwytano.

Jakiś śmigłowiec zaterkotał nad nim, lecąc na zachód, w stronę sawanny.

Poczucie winy z powodu pozostawienia rodziny było nie mniej dotkliwie niż

to, którego doznawał, od kiedy opuścił Kena. Siadł za kierownicą, wcisnął pedał gazu i ruszył naprzód. Dobiegały go słabe odgłosy eksplozji, a kiedy obejrzał się na miasto, zobaczył wysokie słupy dymu wśród gmachów ze szkła i betonu.

Miał pełny zbiornik benzyny. Jechał przed siebie, starając się zrozumieć, co się dzieje. Włączył radio. Jedna ze stacji obwiniała „podżegaczy plemiennych”, inna wspominała o „obcych prowokatorach”, jak to zwykle czyniły źródła rządowe. Wyłączył radio. Pędził w kierunku rezerwatu Magadi, prosząc Boga, by w ciągu najbliższych paru godzin nie wtargnęło tam wojsko. Mógłby wtedy skorzystać z radia i dowiedzieć się, co się dzieje z rodziną.

Wyjechał z miasta i gnał wiejską drogą opadającą wzdłuż wschodniej ściany Doliny Wielkiego Rowu do alkalicznego jeziora, które nazywali z Kenem „tygłem prehistorii”. Kiedy panująca wokół cisza poczęła mu



ciężyc, włączył ponownie radio i wysłuchał komunikatu wyjaśniającego, że armia wznowiła operację „Wielkie Porządki”, tyle że teraz jej celem stało się zwalczanie „korupcji na najwyższym szczeblu oraz konspiracji plemiennej”. Oszołomiony Ngili usłyszał, że cytowano manifest Mtapaniego na dowód tej ostatniej. Wprowadzono na stałe godzinę policyjną. Powołano komisję narodową mającą ocenić rolę wszystkich polityków i obieralnych urzędników w wywołaniu kryzysu. Prezydent usunął się do swego pałacu i nie wydał żadnych oświadczeń.

Trzepotanie ptasich skrzydeł nad sawanną zagłuszył terkot śmigłowca, który nadleciał ze wschodu, kierując się prosto w stronę Mau. Zbliżywszy się do grzbietu góry, nabrał wysokości i obleciał zygzakiem bogato zalesione zbocze, zrzucając po drodze kilka wielkich szklanych butli, z których szyjek wystawały zapalone kawałki sznura. Co paręset jardów padały one w las, rozbijając się przy uderzeniu i zapalając.

Śmigłowiec zawrócił i, terkocząc, odleciał na wschód. Zniknął.

Po paru minutach pojawił się samolot. Był to wyczarterowany przez

Kalangiego embraer. Leciał z północnego zachodu na południowy wschód, dokładnie wzdłuż grzbietu Mau, jakby lustrował go na całej długości.

Steward parokrotnie obszedł samolot z tacą zwykłych kubków napeł-

nionych whisky. We wnętrzu maszyny nadal śmierzdziało schwytanymi zwierzętami, więc Harry Ends wziął kubek i, popijając małymi łyżkami,

ukrył w nim nos. Ramsay uczynił to samo. Cyril natomiast strzelił sobie dwie

whisky, jedną po drugiej. Wszyscy trzej czuli się trochę oszołomieni widokiem

zielonych zboczy Mau i odurzeni myślą, wypowiedaną wielokrotnie przez

Cyrila, że ten las nie zmienił się od ery plioceńskiej.

Kalangi siedział w kabinie pilota i rozmawiał przez radio z Nairobi. Nie

wszystko przebiegało zgodnie z planem. Na lotnisku poszło łatwo, ale gwardia prezydencka strzegąca pałacu odparła atak wojska, zadając nieprzyjacielowi poważne straty. A co gorsza, komendant nie mógł się skontaktować ze swoim punktem dowodzenia w hotelu „Naivasha”, co nasunęło

mu

podejrzanie, że hotel został zajęty przez oddziały wierne rządowi.

Kalangi zauważył przez okno nagą odnogę z boczna, na powierzchni której

widniał jakiś kolisty wzór. Przyjrzał mu się przez lornetkę, a następnie

kazał

pilotowi przelecieć nad nim raz jeszcze.

Harry usiłował właśnie połączyć się z Londynem przez telefon satelitarny

„Mitsubishi ST 151” (spełniający także funkcję telefaksu), kiedy

steward

podszedł doń z wiadomością od Kalangiego, która sprawiła, że wszyscy

trzej

rzucili się do okna. Nie widzieli stamtąd zbyt dobrze odnogi, więc Cyril

podprowadził ich do luku dla spadochroniarzy. Samolot zniżył się

znacznie

i leciał powoli. Cyril poruszył masywną dźwignią i otworzył klapę.

Harry

i Ramsay byli tak podekscytowani, że wysunęli głowy na zewnątrz,

spoglądając

zmrużonymi, łzawiącymi oczami na podnóże bocznego łańcucha.

Profesor stanął tuż za nimi. Pod kurtką, w kaburze przy pasie, miał pistolet „Sig-Hammerli” Hendrijksa.

Spojrzał na stojących przed nim mężczyzn, którzy wyglądali z samolotu,

starając się dostrzec krąg śladów. Wówczas z kabiny pilota wyszedł Kalangi.

— Zamknijcie luk i wracajcie na miejsca! — warknął gniewnie. — Podchodzimy do lądowania.

W lesie potłuczone butle płonęły powoli. Znane jako „koktajle buszu”, zawierały mieszanek dwóch części benzyny i jednej części oleju roślinnego.

Kłusownicy wywoływali za ich pomocą pożary buszu, które wypłaszają spore ilości dzikiej zwierzyny. Na otwartej przestrzeni efekt był natychmiastowy, lecz

tu na górze, w cieniu gęstych koron drzew i przy braku wiatru, ogień szerzył się wolno, trawiąc ściółkę leśną i pełzając po krzakach, aż trafił wreszcie na wielkie

drzewo, uschłe po uderzeniu pioruna. Dopiero wtedy zaczął strzelać płomienia-

mi— podsycanymi suchymi żołądziami i kawałkami uschniętych gałęzi — na

sąsiednie drzewa, wznosząc ścianę ognia. Miało to jednak potrwać parę godzin.

Yinka, Jakub i Itina zdążyli dobiec na skraj pasa startowego w samą porę,

by ujrzeć wylatującą w powietrze cenną i wymianę ognia między Ngilim

a pasażerem landrovera. Widzieli, jak wszedł do samochodu i odjechał.

Kiedy Yinka usiłowała wymyślić, co dalej robić, usłyszała dobrze znany

głos, wołający ją po imieniu. Należał do przyjaciela Ngiamenów, Jacka Dimathiego, właściciela linii lotniczych. Pobiegnęła w jego kierunku. Dimathi

miął włosy przysypane czymś, co wyglądało na okruchy tynku, a ramiona

sziperskiej letniej marynarki całkiem białe. Wskazał dach terminalu.

— Tam czeka mój helikopter. Jakub powinien nim stąd odlecieć. ^ajsko

wszędzie go szuka... — Urwał i dziwnie boleśnie zaczerpnął tchu.

— Kto go będzie pilotował? — zapytała Yinka.

— Mój pilot. Jest tam na górze. — Wskazał metalowe schody prowadzące

na dach i nieoczekiwanie upadł na twarz. Yince tak zaparło dech, że nie

zdołała nawet krzyknąć. Na plecach jego świetnie skrojonego garnituru

widniała wielka krwawiąca dziura.

Dziewczynę ogarnęła fala takiego gniewu i gorzkiego rozczarowania, że

z trudem oddychała. Przeskoczyła przez ciało Jacka i podbiegła do rodziców.

Kiedy wreszcie zaczerpnęła tchu, chwyciła ojca, sięgnęła mu siłą pod marynarkę i wyrwała pistolet.

Pomknęła w górę po schodkach. Na dachu terminalu zobaczyła lekki

śmigłowiec. Trzech żołnierzy zabawiało się, podskakując do góry i wieszając

na łopatkach śmigła. Inny usiłował bezskutecznie skłonić ich, by zostawili

maszynę w spokoju.

Na tarasie zobaczyła zabitego mężczyznę, z którego ciała sączyła się

krw. Pewna była, że to pilot Jacka.

— Co ty robisz? — szepnął Jakub. On i Itina stali w osłupieniu na schodach, tuż za plecami Yinki.

— Mam zamiar zapytać, czy któryś z nich potrafi tym latać — szepnęła

Yinka. Uniosła pistolet i przyjrzała mu się wzrokiem szaleńca. Potem skierowała

wzrok na przód swojej sukienki. — Czy sądzisz *um'tu*, że jeśli ją rozepnę,

odwrócę tym ich uwagę na wystarczająco długo, byś zdążył ich zastrzelić? Jesteś

mężczyzną, *urn'tu*, co o tym sądzisz? — Podała Jakubowi broń, która wydała

mu się najcięższym przedmiotem, jaki w życiu trzymał w ręku.

— Yinko, nie bądź szalona... — odezwała się Itina. — Chodźmy...

— Jack powiedział, że szukają *um'tu* — odparła z uporem. — A ciebie

i mnie prawdopodobnie także!

Jakub nigdy nie wyobrażał sobie takiej sceny. A może jednak?

Czyżby

podświadomie obawiał się śmierci w obecności swoich dzieci?

Poprosił Boga, żeby — jeśli oni troje mają zginąć na dachu terminalu —

przynajmniej Ngili, jego pierworodny, ocalał. Potem zobaczył, że córka rusza

naprzód tym swoim długim żyrafim krokiem. Nigdy dotąd nie zdawał sobie

sprawy, że miała tyle wdzięku. Jeden z żołnierzy, dostrzegłszy dziewczynę

kątem oka, puścił śmigło i opadł na dach. Inni również się odwrócili. Jakub

usłyszał, jak Yinka mówi im coś o Jakubie Ngiamenie, swoim ojcu. Gdy żołnierze odwrócili się gwałtownie, żeby go pochwycić, on uniosł nagle broń — „Ni e możesz chybić” — ale nie strzelał. Krzyknął na córkę, żeby odskoczyła do tyłu.

Dopiero wówczas przeciągnął pistoletem z lewa na prawo po sylwetkach

żołnierzy, naciskając raz po raz na spust i strzelając bez ustanku. Miał w ręku

ośmiostrzałowego mausera HSC. Trzej ludzie, którzy bawili się śmigłem helikoptera, padli martwi. Jakub poczuł smród kału. To jeden z nich

wypróżnił się ze strachu. Mając jeszcze dwie kule, Ngiametta zwrócił się do

ostatniego żołnierza, który oznajmił, jękając się lękliwie, że jest pilotem.

— Może nie potrafi tym latać? — rzekła Yinka.

Jakub wymierzył w niego pistolet.

— Psisęgam, dzie potrafię latać śmigłowcem... — Wysapał, że nie ma

jeszcze licencji, ale nauczył się latania pracując w przedsiębiorstwie górniczym.

Miał oczy zrozpaczonego zwierzątka czepiającego się kurczowo szansy

przeżycia.

— Jeśli nie kłamiesz i wydostaniesz nas stąd, nic ci się nie stanie

—

obiecał Jakub.

Żołnierz wyjęczał, że nie wie, dlaczego zaatakowano lotnisko. Powołano go dopiero przed dwoma tygodniami, a jego oddział wyprowadzono z koszar

tego ranka, ponieważ „do rządu przeniknęli obcy agenci”.

— Jak się nazywasz? — zapytał Jakub.

— Uledi Kinanda. Jestem z Mombasy.

— Jestem członkiem rządu, Uledi — rzekł Jakub. — To jest spisek kryminalny, wymierzony przeciw rządowi i konstytucji. Kiedy cię powołano, przysięgałeś bronić konstytucji.

Żołnierz potaknął głową i poprosił go, żeby opuścił broń. Jakub wsunął pistolet za szeroki pasek, chwycił żołnierza i szarpnął nim. Spojrzał na żonę i córkę. — Muszę się dostać do jakiejś radiostacji. Spodziewaliśmy się tego, ale nie tak prędko.

— Jacy my? Ty i twoje ołowiane żołnierzyki? — zapytała Itina. Nagle wyprostowała się i spojrzała groźnie na Jakuba jak prawdziwa afrykańska żona.

Pilot, podrywając śmigłowiec do lotu, spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, że w kabinie rozpocznie się kłótnia rodzinna. Jakub ofuknął Yinke za jej zuchwałość, która wyszła im na dobre, ale mogła skończyć się katastrofą. Itina nazwała Jakuba durniem, bo wysłał Ngilego pierwszego do hangarów, jego kolegów z kolei — dubeltowymi durniami, gdyż nie udaremнили zamachu stanu. Jakub warknął, że ich siły są na miejscu, gotowe odeprzeć atak. Itina zapytała pilota, ile chce za przewiezienie ich wszystkich za granicę tanzańską, na co mąż powiedział, że one mogą lecieć, on natomiast musi zostać. Yinka wpatrywała się w ogarnięte paniką i zamętem ulice centrum, nad którym przelatywali.

— Patrzcie, wojsko płąduje sklepy! — krzyknęła.

— Dzięki temu sfuszują pucz. Mamy szczęście — tryumfował Jakub.

Na ziemi wojskowe ciężarówki i transportery blokowały ulice i kluczowe skrzyżowania, a żołnierze wybiegali ze zdemolowanych sklepów obładowani telewizorami, odtwarzaczami CD, komputerami, ubraniami i skrzynkami alkoholu. Ładowali to wszystko na ciężarówki, które zaczęły przypominać jakieś dziwaczne platformy ze świątecznych pochodów. Wszędzie pełno było dymu, na ulicach leżały zwłoki. Jednakże płądowanie nadawało temu wszystkiemu posmak farsy.

Śmigłowiec przelatywał nad szpitalem i Yinka zobaczyła, że pod ostry dyżur podjeżdża jakaś toyota, młoda czarna kobieta wyprowadza kilkanaścioro dzieci, w tym część golusieńkich. Huk moździerzcy rozrywał powietrze, wstrząsając śmigłowcem, a pociski świstały obok kabiny pilota. Zobaczyli poczerniałe okna hotelu „Naivasha” i ziejącą wielką dziurę w bocznej

ścianie.

Na trawnikach płonęły parasole słoneczne i szezlongi, a w basenie kąpielowym unosiło się ciało wielkiego psa. Z markizy zwisało prześcieradło zamienione na białą flagę. Wyraźnie dobrze zorganizowana armia cywilów — za mundury służyły im dżinsy, porozpinane kurtki khaki, a nawet podkoszulki — zbliżała się do żołnierzy plądrujących sklepy parę przecznic od hotelu.

Poczułi potężne uderzenie od dołu w kabinę i zobaczyli, jak część podłogi

kruszy się i odpada, a do środka wdziera się z gwizdem powietrze. Jakub

wrzasnął na pilota, żeby leciał dalej, Itina krzyknęła, by lądował. Potem nastąpiło kolejne uderzenie, które strzaskało kadłub. Yinka obejrzała się i zobaczyła, że ze środka maszyny bucha płomień.

— Na ziemię! Na ziemię! — wrzeszczał Jakub z twarzą przyciśniętą do szyby.

Chociaż śmigło nie przestało się obracać, helikopter opadł jakieś pięćdziesiąt stóp, zanim ustabilizował lot. Wokół szklanej czaszy rozrywał się



grad kul. Śmigłowiec zniżył lot i z głośnym brzękiem wylądował przed hotelem.

Na szczycie barykady, zbudowanej ze spalonych samochodów, stał mężczyzna w spłowiałej, nie zapiętej wojskowej kurtce. Nosił też lśniący

masajski naszyjnik z kutej miedzi oraz ogromne masajskie kolczyki miedziane.

Miał białe włosy. Dowodził oddziałami z radiotelefonem w jednej ręce i pangą — podobnym do maczety masajskim nożem — w drugiej. Na twarzy

malowała mu się spełniona na starość radość dziecka.

Żołnierze otoczyli czaszę kabiny śmigłowca, tak że szyby zmatowiały od

ich oddechów. „To już tu — pomyślała Yinka — tu zostaniemy zgwałcone,

zabite strzałem w głowę i pozostawione muchom.” Zdała sobie sprawę, że

ktoś otwiera pokrywę kabiny i dwóch żołnierzy wyciąga ją na zewnątrz.

Miała wrażenie, że w dotyku ich gorących, oszalałych palców na jej nagim

ramieniu skupiła się cała historia Afryki. Usłyszała, jak ojciec coś wrzeszczy,

i zobaczyła, że białowłosy dowódca złazi z barykady i podbiega do nich. Za

nim podążało dwóch adiutantów, którym spod współczesnych wojskowych

hełmów, pomalowanych w ochronne wzory, zwisały masajskie miedziane

kolczyki.

Poznała dowódcę. Pod nie zapiętą kurtką nosił podkoszulek w nadrukiem

„Władza Plemienia”. Poczowała ulgę połączoną z mdłościami. Był to Desmond

Ndbala, separatystyczny wódz Masajów, który przed zaledwie paroma dniami

wściekał się na jej ojca w domku gościnnym, gdzie mieszkał Ngili.

Żołnierze puścili ją. Jakub otworzył ramiona i objął Ndbalę, ten zaś odwzajemnił uścisk z wielce zadufaną miną, ale bez urazy — zwycięstwo

uczyniło go wspaniałomyślnym. Masaj oznajmił swym żołnierzom, że Jakub

Ngiamena, bohater wojny o niepodległość i towarzysz broni *mzee*, popiera

Władzę Plemienia. Z piersi jego ludzi wyrwały się głośne okrzyki, a Ndbala

znowu uścisnął Jakuba. Żołnierze, z których połowa nosiła koszulki z na-

drukiem „Władza Plemienia”, strzelali wesoło w powietrze.

Ndbala i Jakub znaleźli na piętrze hotelu apartament z punktem

dowodzenia Kalangiego. Adiutanci komendanta zdezerterowali, z wyjątkiem jednego, który przespał walki na podłodze obszernej ubieralni. Młoda prostytutka chrapała obok niego, oboje byli nieprzytomni od *Uganda Blue*.

Nbala i Jakub zbudzili ich i rozpoczęli przesłuchanie. Kobieta niewiele miała do powiedzenia, z wyjątkiem może tego, ile jej zapłacono.

Adiutant

natomiast — grubawy mężczyzna bez koszuli — przestraszony widokiem

nagiej pangi trzymanej przez Ndbalę, zeznał, kim są przywódcy buntu, oraz

te planowali po dojściu do władzy zorganizować na terenach sawanny przyległych do granicy z Ugandą zaplecze dla handlu narkotykami.

— A to skurwiele! — Ndbala zwrócił się do Jakuba. — Czyż nasza Władza Plemienia nie jest lepsza?

Adiutant zeznawał dalej, opowiadając szaloną historię o Kalangim,

cudzoziemskich potentatach naftowych i drogocennych *mangati* oraz Cyrilu

Andersonie. Yinka i Itina podążyły za Jakubem na górę. Dziewczyna patrzyła,

jak ojciec mruga z niedowierzaniem na wzmiankę o Andersonie.

— Pewien jesteś, że chodzi o profesora Andersona?

Adiutant Kalangi skinął głową. — Przyleciał tu poprzedniej nocy i szef

przegrał mu podsłuchaną wiadomość radiową... A wtedy pan Anderson wypisał czek na samolot...

— Jaki samolot?

— Transportowiec, który dziś rano zawiózł ich wszystkich na Dogilani...

— Jakich „ich”? — zapytał Ndbala.

— Komendanta, profesora Andersona i jakiegoś ważniaka od nafty... —

Ndbala obrócił pangę w rękach. Błysk nagiego ostrza skłonił adiutanta do

dalszych wyznań. — A szef wysłał śmigłowiec nad Mau, żeby zrzucił

„koktajle buszu” i wywołał wielki pożar... na grzbiecie góry...

— Dlaczego? — zapytała Yinka.

Mężczyzna wzruszył ramionami — nie miał pojęcia.

Jakub sam już nie wiedział, w co wierzyć. Ndbali nie interesowała opowieść

o *mangati*; pucz wojskowy stracił impet, a przy rozgłosni telewizyjnej i pałacu

prezydenckim buntownicy zostali odparci przez oddziały wierne rządowi. Ludzie

Ndbali zebrali się wokół stołu zastawionego radiami i urządzeniami do nasłuchu.

Jakub poprosił ich, żeby wezwali przez radio stację meteorologiczną na szczycie

Aberdares, skąd widać Mau. Chciał wiedzieć, czy pali się las na grzbiecie.

Nawiązano kontakt ze stacją, skąd doniesiono, że na Mau nie widać pożarów.

— Rozumiesz coś z tego, Yinko? — zapytał Jakub córkę.

— Nie byłabym zdziwiona, gdyby Anderson rzeczywiście tam poleciał.

Ngili i Ken zawsze mówili, że to naukowy pirat. Wczoraj Ken jeszcze żył.

Rozmawiałam z nim.

— Wiem o tym — rzekł Jakub.

Właśnie w tym momencie podszedł doń Ndbala i klepnął go po ramieniu. —

Jakubie, połączmy się z okręgowymi dowództwami policji oraz bazami wojskowymi i skłońmy komendantów do poddania się w zamian za niewyciąga-

nie konsekwencji. Potem pomówimy z prezydentem. Jest uziemiony w pałacu.

To odpowiednia pora, żeby przycisnąć go w kwestii „władzy plemienia”.

— Yinko, połącz się przez radio z Magadi i dowiedz się, czy jest tam

Ngili — polecił Jakub. — Prawdopodobnie tam pojechał, bo to najbliższe

bezpieczne miejsce.

Niemal dwie godziny później Yinka zdołała się wreszcie skontaktować

z Magadi. Kiedy usłyszała głos Ngilego, zamachała dziko ręką. Jakub przybiegł od innego radia, a Itina poderwała się z krzesła.

Oboje pomówili z synem, który — jak powiedział — miał się dobrze.

Itina objęła Jakuba ramionami i oparła mu głowę na ciemnej od potu koszuli,

po czym ustąpili miejsca Yince, żeby także mogła porozmawiać z bratem.

— Widzę brzeg jeziora Magadi i stado różowogrzbitych pelikanów

Ngili informował Yinkę przez radio — i dwudziestu strażników oliwiących

broń. Chcą jechać do Nairobi i oswobodzić *urn'tu*.

•Yinka roześmiała się, chociaż była bliska łez. — Wiesz co, *um'tu* jest

już oswobodzony, a prezydent dzwonił do „Naivasha” i prosił go, by sformował rząd tymczasowy. Może nawet taki, który oprze się na przedstawicielstwach plemiennych. Stawia tylko warunek, że sam ma pozostać u władzy.

— Wyobrażam sobie — odparł Ngili. — Miałaś jakieś dalsze wiadomości od Kena?

Powiedziała, że nie, ale zrelacjonowała mu oszałamiające zeznania adiutanta, co niesłychanie podekscytowało Ngilego. To, że Anderson zaciągnął

tego dzianego faceta do buszu, stanowiło ostateczny dowód, że rasa hominidów

nie jest produktem chorej wyobraźni Kena.

— Yinko, daj mi *urn'tu*. Biorę tych strażników i jadę na Dogilani.

—

Niemal krzyczał. — Na pewno znajdziemy Kena żywego,

— Tak sądzisz, Ngili?

— Tak. To maniak. Tacy jak on przeżyją.

— Jest *urn'tu*. — Przynagliła ojca dzikimi gestami. Mimo swej tuszy

Jakub podbiegł do telefonu, a Itina podeszła za nim.

Yinka usłyszała, że Jakub pyta Ngilego o broń, jaką mają strażnicy parkowi, potem o ich ciężarówkę; na koniec parsknął gburowato: — Jeśli

ciężarówka ma awarię, jak tam pojedziecie?

— W rezerwacie jest zdolny mechanik — stwierdził Ngili — a ich ciężarówka to niemieckiej produkcji „Magirus” przeznaczony do jazdy

w każdym terenie i w całkiem niezłym stanie, nie licząc drobnych problemów

z gaźnikiem, które mechanik obiecał usunąć w parę godzin.

— Możesz mu ufać? Wiesz, że musisz jechać prosto przez busz. —

Jakubowi przyszło do głowy, że życie Ngilego będzie mniej zagrożone,

jeśliby ciężarówka zepsuła się poza rezerwatem, jeszcze przed dotarciem do

podnóża góry niż gdyby miał stawić czoło Kalangiemu i jego ludziom na Mau.

Ngili był nieustępliwy w kwestii wyjazdu. — Życz mi szczęścia, *um'tu*.

— Namyśl się, synu. Namyśl się, kiedy będą naprawiać ciężarówkę.

— Już się namyśliłem. Nie chcesz, żebym jechał?

— Chcę, abyś sam podjął decyzję.

Ngili zaczerpnął tchu niczym pływak przed zanurkowaniem. —  
Tak, to  
jest moja decyzja.  
— Będziesz musiał przejechać ponad sto mil, zanim w ogóle  
dostrzeżesz  
grzbiet Mau — ostrzegł Jakub.  
— Wiem — rzekł Ngili z determinacją.  
Skąd będziemy wiedzieć, co się z tobą dzieje?  
— Przekażę stąd wiadomość przez radio.

W lesie ogień szerzył się coraz bardziej.

Pożary przerzucały się z miejsca na miejsce, trawiąc polacie poszycia. Jak

dotąd, ogień nie pochłonął żadnych wielkich zwierząt, tylko mrówki, pijawki

i czerwie. Ale była to pora sucha, toteż płomienie obejmowały coraz rozleglejszy teren. Jeden z pożarów dotarł do ciała kłusownika Bilala, leżącego tam, gdzie go zastrzelił Modibo.

Ogień począł trawić jego ubranie. Brudny mundur roboczy dymił jak na

stosie pogrzebowym, by następnie zapłonąć pełnym, żywym płomieniem.

Wytarta tkanina zwęgliła się, a pokrywająca ciało warstewka wyschłej soli

trzaskała pod pachami i w kroczu. Skóra i mięśnie zajęły się ogniem. Ludzkie

białka i tłuszcze poczęły smażyć się z sykiem. Smród palonego ciała nappełnił

przestrzeń pod koronami drzew.

To jedno ciało podsyciło nagle płomienie, pozwalając im wznieść się

i objąć niższe konary pobliskich drzew. Lepka, gęsta żywica skapywała na nie

z wyższych gałęzi. Drewno i żywica karmiły wspólnie bestię płomieni.

Dziwną bestię, nigdy nie sytą. A karmienie czyniło ją nawet bardziej nienasyconą.

Pożar napotkał kolejne nieoczekiwane ofiary, dotarłszy do makabrycznego

pomnika ze szkieletów praludzi. Wyschnięta „broda starca” zajęła się ogniem

z głośnym trzaskiem. Płomienie urosły na dwadzieścia stóp i zaatakowały

pobliski suchy mahoniowiec, który strzelił słupem ognia. Pożar począł już

sam się podsycać. Powietrze ogrzane było tak bardzo, że przestrzeń pod gęstym baldachimem konarów zaczęła powoli przypominać piec. Liście, krzaki, ciernie, wiszące liany wysychały i zajmowały się ogniem. Teraz już

wszystko, co palne, suche, tłuste, oleiste czy żywiczne, zajmowało się ogniem

dwa razy łatwiej niż przedtem. Niektóre liście, tak cienkie, że wysychały w ułamku sekundy, płonęły jak papier. Młodsze korzenie napowietrzne

oraz

cieńsze korzenie boczne czerniały, wyginały się i skręcały tłąc się migotliwym

płomykiem. Ciepłe powietrze z kolei, stając się lżejsze, unosiło się i napierało

na korony drzew, choć impet był zbyt słaby, by zdołało przebić się przez listowie. Odepchnięte ku dołowi, spychało płomienie z powrotem ku ziemi.

Żar przenikał kilka cali w głąb ściółki. Stonogi i inne robaki wychodziły

na  
powierzchnię, wijąc się z gorąca. Szczury, krety, scynki, żaby ziemne  
i niezliczone owady opuszczały świat wiecznie mrocznych tuneli, jam i  
nor  
i rzucały się do panicznej ucieczki. Skrzydlate insekty unosiły się do  
góry  
tylko po to, by szczeznąć w panującym tam żarze i rozpaść się w proch.  
Na to  
wysuszone próchno poczęły spadać płonące gałęzie.

Do tego czasu panika ogarnęła również wielkie zwierzęta. Na tych  
szerokościach geograficznych pożary lasów wysokogórskich stanowiły  
rzecz  
zgoła niecodzienną, więc małpy zaczęły skakać i skrzeczyć jak oszalałe.  
Mając lepszy węch i wzrok od większości mieszkańców lasu, pierwsze  
zobaczyły i wyczuły ogień poprzez splątane gałęzie; poczęły wówczas  
dygotać, trząść się i defekować ze strachu. Drapieżniki wyły i drapały  
pazurami korę drzew, a te, które miały młode, zaczęły popychać je w  
stronę



nie zajętych jeszcze ogniem zarośli. Zwierzęta kopytne — od karłowatych antylop po ogromne, przypominające krowy, bonga — wpadły, jak zwykle, w największe przerażenie. Zaczepiały się rogami w gąszczu i panicznie ryczały.

Dym sączył się teraz smużkami ku górze, unosząc się ponad koronami drzew, ale wciąż trudno dostrzegalny gołym okiem, gdyż przemieszany ze

schodzącymi ze szczytu Mau mgłami. Mimo to, gdy nadszedł zmierzch, płomienie dotarły na polany, zapalając suche trawy. To przypomniało drapieżnym ptakom o pożarach sawanny, stanowiących dla orłów, sępów, jastrzębi i sów istną okazję do obżarstwa. Wystarczyło tylko sfrunąć na ziemię i — stąpając pośród wypalonej roślinności — dziobać martwe ciała zwierząt.

Na niebie uformowała się cała kolumna ostrodziobych stworzeń, która poczęła kołować, obserwując wszystko i gotując się do uczty, jaka nastąpi po pożarze lasu.

Około szóstej wieczorem w obozie złożonym z trzech namiotów, przy wyciętym w sawannie pasie startowym przygotowywano obiad. Menu składało się ze steków z kozła, kaszy *kassawa* i placków, które miano popijać colą i zalatującą plastikiem wodą ze zbiorników samolotu.

Harry, Ramsay i Cyril wybrali się na wycieczkę na sawannę. Cyril prowadził. Podnosząc i odrzucając kawałki kości, wyjaśniał, jak starożytne jest to miejsce. Harry i Ramsay rozpływali się na temat wrażenia, jakie sprawiało to miejsce. W widocznym na horyzoncie gąszczu słonie gmerały końcami trąb w listowiu na czubkach akacji. Ze wzgórza dobiegło gwałtowne wołanie kotnej lamparcicy.

— Powiedz mi, Cyrilu — zapytał Harry — jeśli zwykle ssaki są takimi

geniuszami adaptacji, dlaczego biznes, prowadzony przez ludzi, nie może

szybciej przystosowywać się do zmian środowiska ekonomicznego?

— Właśnie dlatego że chcecie to przyspieszyć — roześmiał się Cyril. —

Przyspieszenie to wasza zasadnicza koncepcja i cel. Przystosowanie wymaga

czasu. Nigdy nie wyznacza sobie terminów.

Harry zamilkł. Szli, aż cienie osiągnęły maksymalną długość. Wówczas Cyril przystanął i wyciągnął broń. Harry pomyślał, że to dlatego, bo się ściemnia, a znajdują się daleko od obozu.

— Boisz się złodziei, Cyrilu? Sądziłem, że to dzicz nie tknięta stopą człowieka — zapytał Harry.

— To dlatego, że nie wierzysz w *Homo andersoni* — rzekł Cyril, szczerząc w uśmiechu zęby. Potem spowaźniał. — Ręce do góry, Harry, i nie

ruszaj się z miejsca. Rams, ręce do góry i stań obok niego. — Szczęknął

odwodzony bezpiecznik. — Przykro mi, ale nie ma co udawać. Nic by to nie

dało. A to, czym się tu zajmujemy, jest zbyt ważne.

Harry spojrział z niedowierzaniem na broń, ale Ramsay zrozumiał i zaczął oddychać pospiesznie.

— Cyrylu — odezwał się, sapiąc i zająkując się — n-nie rób t-tego. Czy chcesz zniweczyć swoje odkrycie, stracić kupę pieniędzy, wszystko, dla...

dla... dlaczego? Nie możesz zrobić tego sam, nikt nie może!

— Mogę zrobić wszystko, co uznam za konieczne dla przyszłości naszej rasy — odparł Cyryl, jakby odpowiadał na argument czysto intelektualny.

— Cyrylu — wykrzyknął Harry. — Czyś ty oszalał?

— Jestem absolutnie zdrowy, chłopie. Zabiłem Haksara, który miał jaśniejszą wizję naszej przyszłości niż dwudziestu biznesmenów razem

wziętych. Zdawał sobie sprawę, że naszej rasie potrzebny jest *Homo andersoni*

nie tylko po to, by przetrwać nadchodzącą epokę lodowcową, lecz również by

przeżyła sprowokowaną przez siebie autodestrukcję. — Cyryl roześmiał się

pełen podziwu dla samego siebie; były to wielkie słowa jak na wycieczkę edukacyjną.

Harry podążał ostrożnie za tokiem jego rozumowania. — Mówisz o tym

głupim mieszanu ras? Chcesz zastąpić nasz gatunek tą błagą? — Harry'ego

tak oszołomiło szaleństwo profesora, że nie odczuwał strachu. Był chłodny

i praktyczny. — Ile chcesz za to, żebyśmy zapomnieli o tym drobnym, szkodliwym incydencie? Mogę kazać przefaksować tu z Londynu w pięć

minut czek na dowolną sumę.

— Lepiej odwróć się tyłem — poradził Cyryl. — Łatwiej ci będzie umierać.

Harry spojrzał na Ramsaya, który nie spuszczał wzroku z ręki profesora. —

Straszny z ciebie skurwieli, Cyrylu — rzekł Harry, wypowiadając te słowa

tonem zbyt obojętnym jak na treść, którą przekazywały.

— Nie ma sensu używać tu takich określeń — powiedział Cyryl. — Nie

zapominaj, że cofnęliśmy się o dwa miliony lat.

Żaden z nich nie usłyszał kroków zbliżającego się Kalangiego. Na widok

trzech białych — stojących między kulistymi kępami ciernistych krzewów —

z których jeden mierzył z pistoletu do dwóch pozostałych, komendant sięgnął

do pasa. Broń zostawił jednak w obozie. Drgnął na odgłos pierwszego strzału

i patrzył, jak z gardła Harry'ego Endsa tryska długi strumień krwi, omal

nie  
obryzgując Cyrila.

Harry upadł, a Cyril skierował broń w stronę swego przyjaciela, który obrócił się na pięcie i biegł prosto przed siebie przez zarośla. Cyril wypalił dwukrotnie. Ramsay zatoczył się, potem przykląkł, padł na ziemię i więcej się nie poruszył.

Kalangi począł trząść się tak mocno, że aż szczekał zębami. Dźwięk ten

był wyraźnie słyszalny, ale nie mógł go opanować. Zobaczył, jak Cyril podchodzi do ciał zabitych i trąca je nogą, następnie odwraca się i dostrzega go.

Cyril zbliżył się ciężkim krokiem, aż stanęli twarzą w twarz. — Oszalałeś! — wyrzucił z siebie Kalangi.

— Nie, bynajmniej. — Cyril podszedł do ciała Endsa. — To on oszalał.

Ja jestem tym, co usiłował stworzyć Haksar. Połączeniem dzikiej siły

i błyskotliwego umysłu. — Kalangi mrugał, nic nie rozumiejąc, ale Cyril dokończył myśl i rozkoszował się jej pięknem. — Jestem początkiem naszej nowej rasy. Jestem *Homo andersoni*.

Wrócili do obozu — Kalangi przed Cyrilem, prowadzony pod lufą pistoletu.

Natychmiast spostrzegli, że pilot, steward i cała obsługa obozu — łącznie ośmiu ludzi — stoją bez ruchu, wpatrując się w Mau. Poniżej kosmatego wierzchołka, gdzieś na dwóch trzecich wysokości góry, tańczyły żółte płomienie. Ogień sprawiał, że reszta zbocza wydawała się kontrastowo czarna, co podkreślało bezmiar sawanny.

Cyril stanął jak skamieniały. Wciąż mierzył do Kalangiego z pistoletu,

ale spojrzenie skupił na pożarze. Miał wrażenie, że płomienie rozogniają mu

mózg, wijąc się szaleńczo między płonącymi neuronami.

Potem odwrócił się i uderzył Kalangiego rękojęścią pistoletu. Kiedy

komendant padł na ziemię, kopnął go, wrzeszcząc ochryple: — Ty zgniłku, to

twoja robota, no nie? To ty podłożyłeś ogień, tak? Dlaczegoś to zrobił? Dlaczegoś to zrobił?

Potem obrócił się na pięcie i wypalił nad głową jednego z ludzi, który się poruszył.

Wszyscy zamarli.

— Rzucić broń — rozkazał Cyril. Mężczyźni usłuchali — na ziemię poleciał pistolet i kilka noży.

Wszystkie karabiny i broń maszynowa spoczywały w namiocie obsługi.

Cyril pobiegł tam i wrócił z kałasznikowem w rękę oraz dwoma innymi przewieszonymi przez ramiona. W drugim rękę niósł dodatkowy magazynek.

Kalangi był pewien, że profesor zabije ich od razu, a tymczasem — nie Cyril

pobiegł do samolotu i wystrzelił cały magazynek na czterdzieści naboji w jedno z kół. Kule uderzały w oponę, odszczepiając kawałki gumy, aż maszyna przechyliła się na bok, niezdolna do startu.

W trakcie owej szaleńczej salwy mężczyźni mogli spróbować umknąć na

sawannę, ale tego nie zrobili. Czekali, ogarnięci pełną grozy fascynacją, co

ten szalony *mzungu* zrobi dalej. Cyril wyrzucił opróżniony magazynek, włożył pełny, po czym wrócił do komendanta i raz jeszcze zapytał, dlaczego to zrobił.

Kalangi wydusił przez zęby, że zamierzał wypłoszyć paru *mangan*, a także zmusić szantażem tego biznesmena, by zapłacił więcej pieniędzy.

Wyjąkał, że ogień można ugasić zlewając go wodą z samolotu gaśniczego.

Cyril rozkazał mu skontaktować się przez radio z Nairobi, żeby przysłano

taki samolot. Kalangi wyjąkał, że nie może tego zrobić, przynajmniej nie

teraz. Rozmawiał z nimi przez radio, zanim poszedł do buszu za Cyrilem

i jego przyjaciółmi. Walki ustały, a pucz się nie powiódł. Zaskamlał, że pożar

sam wygaśnie podczas nocy, kiedy wilgoć osiadzie na grzbiecie w postaci

ciężkich kropli mgły.

Mężczyźni z obozu przyglądali się. Większość z nich nie była młoda,

śmierć i zniszczenie nie stanowiły dla nich nic nowego, ale szaleństwo ich przerażało, jak wszystkich prostych ludzi, którzy sądzą, że chorobą tą można się zarazić.

Cyril, mierząc do nich z automatu, rozkazał poskładać namioty.

Powiedział, że wszyscy będą musieli spać w buszu — bez broni, pod gwiazdami.

— A teraz przyniescie mi krzesło — polecił.

Przynieśli mu wywrotne, kryte płótnem krzesło polowe. Ustawił je przodem do płonącego stoku góry i usiadł.

Mężczyźni odeszli w mrok, odwracając się raz po raz, żeby spojrzeć na Cyrila, który siedział na swoim krzeselku jak na tronie, obserwując pożar na zboczu.

Ciężarówka strażników z Magadi nie została naprawiona ani po dwu godzinach, ani po trzech czy też czterech. Ngili kręcił się obok pojazdu niczym lew w klatce, podczas gdy mechanik pochylał się raz po raz nad silnikiem.

Wreszcie zapadła noc. Ngili wszedł do biura, siadł na ławce i uświadomił

sobie, że nie spał poprzedniej nocy. Położył się, pewien, że twarde drewno nie pozwoli mu zasnąć, i... pogрузzył się w głębokim śnie.

Parę godzin później obudził go mechanik, który wymruczał, że ciężarówka

jest już od pewnego czasu na chodzie, ale strażnicy nie śmieli go budzić. Ale

teraz znów dzwonił z Nairobi jego ojciec.

— Ngili, mam dobre nowiny — oznajmił Jakub. — Walki zbrojne już

się zakończyły. Teraz rozpoczyna się walka polityczna. Dzwonię do ciebie

z pałacu prezydenta.

— Co tam robisz, u diabła? — zapytał Ngili, przypomniawszy sobie, że

prezydent właśnie zmusił ojca do ustąpienia z gabinetu.

— Wygląda na to, że odegram rolę wielkiego mediatora. Prezydent poprosił wszystkie walczące strony o przysłanie przedstawicieli.

Ale to nie

dlatego dzwonię. Pamiętasz, jak ci mówiłem, co ten zgniłek powiedział

o pożarze na Mau? Nie kłamał. Stacja meteorologiczna na szczycie Aberdares doniosła o ogniu tuż poniżej szczytu. To wielki pożar, szerzy się

szybko.

Ngili milczał. Zobaczył płomienie oczami duszy. I zrozumiał, co

mogą

zrobić z tym kawałkiem dzikiej przyrody.

— Właśnie naprawili ciężarówkę — odpowiedział nie wprost.

— To dobrze. Złapaliśmy głównego adiutanta Kalangiego, porucznika

Sampę. Powiedział, że komendant ma ze sobą tylko ośmiu, dziewięciu ludzi,

w większości kłusowników, nie żołnierzy. Wciąż się tam wybierasz?

— Tak — odrzekł Ngili.

— On się nie patyczkuje, synu, strzela od razu.

— Strażnicy mają strzelby myśliwskie. I laski dynamitu.



— Nie wiem, synu, czy...

— Ja wiem, *urn'tu*. Czyś nie powiedział, że nie powinienem być gorszy od mego przyjaciela?

— Masz rację, synu... — westchnął głęboko Jakub. — Zbiorę tu drugi oddział, wsadzę w samolot i wyślę tam, jak tylko sytuacja się wyklaruje...

Powodzenia...

— Skontaktuję się z tobą przez radio, *urn'tu*.

Pół godziny później niemiecka ciężarówka z Ngilim za kierownicą, dwoma strażnikami w szoferce i następnymi dziesięcioma, owiniętymi w koce, na platformie wyjechała z jękiem silnika przez żelazną bramę biura rezerwatu.

# 4

Fala gryzoni z piskiem i skrzekiem dotarła do miejsca nocnego spoczynku klanu hominidów właśnie w chwili, gdy ich próby umknięcia przed pożarem przekształcały się w bezładne szaleństwo. Były tam ogromne leśne wiewiórki, koszatki o puszystych ogonach, szczury grzebieniaste o bokach pokrytych białymi paskami, krety. Kilkoma falami przetoczyły się po nagich ciałach praludzi, budząc wszystkich.

Ken ocknął się z ręką we włosach Długopalcego, zasnął bowiem gładząc

cofnięte czoło chłopca i mierzwiąc palcami jego splecione włosy.

Fala zwierząt zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Ledwie jednak umilkły ich piski, nadciągnęły inne zwierzęta. Rozległy się wrzaski małych,

chrząkania leśnych świń i łamiący się, basowy ryk starego lamparta oraz inne

głosy, których Ken nie potrafił zidentyfikować. Jedno wszakże wydawało się

jasne: wszystkie dobiegały z górnych partii zbocza Mau.

Ken zerwał się na nogi, potrącając inne ciała i wyczuwając drganie ich

mięśni. Fala paniki, czymkolwiek została wywołana, nadciągała z góry.

Długopalcy rąbnął w udo Kena, ten zaś chwycił go za ramiona i przydusił

do ziemi. Nocne powietrze było cieplejsze niż zazwyczaj, a poprzez drzewa

przeświecała jakaś poświata, słaby blask, rozmyty, ale dostrzegalny. Ken

wyczuł węchem, co się dzieje, zanim jeszcze w głowie pojawiło się słowo

„pożar”. Ogień w przyrodzie zawsze zapowiadał katastrofę.

„Co u diabła” — pomyślał. Był to ogień, ale —jak się zdawało —  
ponad  
nimi! Odetchnął głęboko i rozkaszał się od zadymionego powietrza.  
Musiał  
aż zacisnąć szczęki, żeby powstrzymać kaszel.  
Działo się coś poważnego.  
Zrobił parę kroków, opróżniając przy tym pęcherz. Nie mógł  
powstrzymać  
tego odruchu, nawet gdy szedł. Zacisnął zęby, tłumiąc strach. „Nie  
możesz  
sobie pozwolić na strach, Lauder.”  
Usłyszał za plecami hominidów i odwrócił się niecierpliwie.  
Podążało za  
nim kilku mężczyzn. Wyglądało na to, że instynktownie ufają mu, choć

wyczuwają jego strach. Ponieważ jednak zachowywał się aktywnie i nie był zmieszany, chcieli go mieć po swojej stronie.

Powietrze zmieniało kolor z czarnego na szary, a potem na złoty. Robiło się też cieplej.

Ken usiłował przypomnieć sobie topografię zbocza. Wiedział, że powyżej znajdowało się kilka tarasów, w większości zalesionych, przy czym na kilku rosły tylko krzaki i trawa. Żadnych drzew. A gdzieś ponad nimi zwieszała się bazaltowa pionowa ściana, naga jak wypolerowana czaszka. Niewiele tam się mogło zapalić. Ogień mógł się szerzyć tylko w dół.

„Cholera jasna!” Zostawił radio tam, gdzie spali.

Postanowił, że zanim wróci, zakończy badanie terenu. Ogień stawał się coraz jaśniejszy. Ken obejrzał się gwałtownie i zobaczył za sobą czterech smukłych hominidów, idących w szeregu, rytmicznie uginających potężne kolana i wymachujących ramionami. Utkwili w nim poważne spojrzenia pełne poczucia koleżeństwa. Zastanawiał się, czy sądzą, że może ich wybawić od pożaru.

Musiało być jakieś wyjaśnienie tego ognia płonącego w środku nocy na tej wysokości. Powinien opuścić psychicznie pliocen i wrócić do teraźniejszości. Szedł naprzód, rozglądając się, aż wreszcie zobaczył jeden z „koktajli buszu”. Jedna flaszka benzyny i oleju nie zadziałała po upadku na ziemię, lont zgaśł, a płyn zapalający wyciekł. Ken pojął, co to oznacza, i oszołomiło go diaboliczne okrucieństwo tego ataku.

I w żaden sposób nie mógł wyjaśnić tego pozostałym mężczyznom.

Powietrze stało się żółte, a z góry poczęły zbiegać zwierzęta. Były zbyt

przestraszone, by kryć się przed ludźmi. Ogień jaśniał coraz bardziej, tak że

Ken mógł rozróżnić w ciemności sylwetki zwierząt. Widział też wyraźnie

blask oczu smukłych. Bardzo się bali, ale towarzyszyli mu, kiedy szedł w stronę płonącego lasu.

Ken chwycił za łokieć idącego z boku mężczyznę. Przyciągnął go do

siebie, chrząknął zachęcająco, a następnie sięgnął w drugą stronę i złapał

pod ramię innego. Pięciu mężczyzn chwyciło się pod ręce i ramię przy ramieniu przedzierało chwiejnym krokiem przez busz — wyszukując szer-

szych przejść — coraz to bliżej ognia. Teraz słyszeli już trzask płomieni.

Cała grupka drgnęła na widok wielkiego lamparta. Był ranny i nie zaatakowałby ich — prawy bark miał okropnie poszarpany w jakimś drama-

tycznym wypadku związanym z pożarem. Odwrócił siarkowożółte oczy, jakby zawstydzony, i pokuśtykał szybko w dół, rad, że hominidzi zostawili go

w spokoju.

Ken i smukli musieli poradzić sobie z własnymi kłopotami.

Posuwając się naprzód, przedarli się przez ostatni pas zieleni i stanęli

naprzeciw ognia, a ich pięć serc waliło w jednym rytmie. Na całym górnym

tarasie szalały płomienie. Stała tam, z rogami wczepionymi w gęste cierniste

drzewka, antylopa bongo o rozmiarach krowy i lśniących oczach; jej ciężkie

rogi wznosiły się spiralnie ku górze, dziwnie nieruchome pośród płomieni.

Zwierzę, już uduszone, podtrzymywały w pozycji stojącej rogi oraz zeszywnienie pośmiertne ciała.

Jeden z mężczyzn spróbował odłączyć się od grupy. Jednakże Ken chwycił go mocniej za ramię i zmusił do pozostania na miejscu. Czuł pulsowanie krwi w ramionach towarzyszy i starał się usilnie utrzymać wszystkich razem. Potem puścił ich i cała piątka, spocona od żaru płomieni, rozdzieliła się.

„Do tego się to sprowadzi — pomyślał. — Siła naszych ramion i nóg oraz ukrytych pod spoconymi czołami mózgów w konfrontacji z ogniem.”

Potrząsnął głową i uśmiechnął gorzko. Smukli nie mieli wielkich szans.

Było ich niewielu, a ich broń nie dorównywała wyposażeniu sił, którym mieli stawić czoło. Ktokolwiek na nich polował, zrobi to, co zamierzał.

A potem — co?

Cofnął się, idąc w rozpalonym powietrzu, aż dotarł na skraj zbocza.

Listowie i gałęzie przeredzały się przy brzegu urwiska, które opadało pionowo ku sawannie.

Wrócił tą samą drogą, a za nim podążyli inni mężczyźni, którzy zachowywali się niespokojnie, ale cierpliwie. Po drugiej stronie zbocze również kończyło się pionową zerwą.

Zarówno na jednym, jak i na drugim krańcu zbocza Ken spoglądał w górę przez płataninę gałęzi i widział rozgwieżdżone niebo. Nie było szans na deszcz.

Oznaczało to, że ogień może się szerzyć tylko w dół.

„Doskonałe — pomyślał. — Będziemy musieli po prostu stąd odejść.”

Po dwóch godzinach jazdy samochodem silnik niemieckiej ciężarówki

zaczął się przegrzewać. Ngili wyskoczył z szoferki i uniósł maskę. Otworzył

chłodnicę i dołał do niej wody pitnej, wziętej od strażników.

Postanowił zaczekać dwie godziny. Nie wyglądało na to, by ciężarówka

miała się zepsuć, dawał po prostu o sobie znać wysiłek jazdy po bezdrożach.

Po dwóch godzinach walki o opanowanie kierownicy kark, barki i ramiona

boleły Ngilego tak, jakby dźwigał kamienie. Czuł pustkę w głowie. Przypo-

minał sobie niezliczone lśniące oczy zwierząt, które dostrzegł w blasku reflektorów. Miał wrażenie, jakby wjeżdżał w ogromne żółtozielone

oko,  
dzikie oko nocy.

Odszedł od ciężarówki, dygocąc z zimna i zmęczenia. Zjadł wcześniej w biurze rezerwatu przygotowaną przez strażnika jajecznicę i sałatkę z niedojrzałych pomidorów, ale wciąż odczuwał głód. Podzielił się jedzeniem z innymi, zdając sobie sprawę, jak mało przygotowani są do tego, co ich czekało.

Za ciemną bryłą ciężarówki wybuchły nagle jakieś okrzyki i wrzaski.

Ngili popędził zobaczyć, co się dzieje. Spodziewał się ujrzeć wścibską hienę,

którą strażnicy starali się odpędzić okrzykami, tymczasem był to człowiek.

Pracownicy parku prowadzili go z wycelowaną bronią i oświetlali latarkami.

Ngili znieruchomiał. Mężczyzna był bosy. Nogi poniżej kolan krwawiły

mu od niezliczonych skaleczeń i zadrapań. Miał podrapaną całą twarz i każdy

skrawek odsłoniętej skóry. Spoglądał dzikim wzrokiem, jakby zobaczył upiory. Wode, którą podał mu jeden ze strażników, przełknął łapczywie, ochlapując zniszczoną koszulę.

Był to jedyny ocalały kłusownik z ekipy Modiba.

Parę minut później ciężarówka znowu pędziła przedzierając się przez busz.

Kłusownik siedział w szoferce obok Ngilego. Wydawał się tak apatyczny

i słaby, że Ngili przywiązał go linką do siedzenia, gdyż magirus, choć całkiem

nowy, nie miał już pasów bezpieczeństwa. Kłusownik opowiedział już o ogromnym *mangati* (Ngili domyślił się, że chodziło o Kena), który zdzięsiatkował ekipę Modiba.

Ngili przyspieszył, wystawiając wytrzymałość magirusa na niewiarygodną

próbę. Pędził naprzód, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał Ken po

tygodniach spędzonych wśród dzikiej przyrody. Porównując to, co o nim wiedział, z reakcją kłusownika, doszedł do wniosku, że jego przyjaciel stał

się potworem. Ale ten potwór okazał się wystarczająco zaradny, by przeżyć

i zdobyć akceptację i zaufanie dziwnej rasy, a nawet pokonać zagrażających

jej napastników.

„Ken, jakżeś to zrobił?” — zastanawiał się jak zatroskany przyjaciel, dokonując przy tym całkiem nowego odkrycia, że nie znał takiego Kena, że

tak naprawdę nigdy go nie znał. Nauka zawsze oddzielała ich jak przejrzysty

ekran. Ale ten prawdziwy Ken i prawdziwy Ngili odkrywali się teraz pośród

przeciwieństw losu. I dopiero teraz mogli rzeczywiście stać się przyjaciółmi.

Niemiecka ciężarówka podskoczyła na wielkich kamieniach, a strażnicy

na platformie gniewnie zabębniłi w dach szoferki. Czy Ngili oszalał?

Nie, nie oszalał. „To przyjaźń — pomyślał — prawdziwa przyjaźń.”

Rozejrzał się po tym kosmicznym pustkowiu, chłonąc jego rozgwieżdżone

piękno. Sytuacja nie przedstawiała się tak rozpaczliwie. Tacy jak on mogli ją

poprawić. Nawet tu, w Afryce.



Trzydzieści mil od obozu płomienie na Mau szybko ogarniały niższe partie zbocza. Ich rozjarzony blask rozświetlił twarz Cyrila, który spoczywał na płóciennym krześle.

Obsługa obozowiska, steward i pilot spali niespokojnie w zaroślach na ziemnych legowiskach, które wygrzebali własnymi rękami.

Ponad godzinę zajęło Kalangiemu podczołganie się do samolotu. Za-

trzymał się co parę minut i przypadał do ziemi, kiedy mu się wydawało, że Cyril zamierza poderwać się z krzesła, by przygwoździć go kałasznikowem.

Na koniec dotarł do drabinki samolotu i wczołgał się przez luk do wnętrza cuchnącego jak kryjówka kłusowników. Podeszedł na palcach do radia

pracującego na zapasowych bateriach i uruchomił je. Wiedział, że w rękach jego przyjaciół nie pozostaje wiele baz wojskowych, na które mógłby liczyć, ale któraś z nich musiała posiadać zdolny do akcji myśliwiec.

W miejscu nocnego spoczynku Długopalcy wraz z innymi młodzieńcami i częścią dorosłych zajęty był rozdrapywaniem czegoś rękami. Rozłamywali mrówcze gniazdo i obłupywali jego stwardniałe kawałki, przygotowując pociski do rzucania. Kiedy Ken i inni mężczyźni powrócili z góry, gdzie płonął ogień, Długopalcy wyprostował się i pokazał Kenowi jedną ze stwardniałych grudek błota, scalonych śliną mrówek.

Gotowali się do walki.

Po drodze do skupiska niewielkich drzewek obsypanych małymi, łuskowatymi jagodami, Niawo, mijając Kena, potrafiła go. Zaczęła obrywać jagody jedną po drugiej. Potem podskoczyła niecierpliwie i, uwiesiwszy się wyższej gałęzi, zrzuciła na ziemię grad owoców. Spojrzała na Kena, a on doświadczył przemożnego impulsu, by pospieszyć jej z pomocą. Znow skoczyła napinając mocne mięśnie łydek. Oderwała następną gałąź i wraz z nią wpadła na niego. Od jej ciała biło ciepło. Opadła na kolana i łokcie i — pomagając sobie zębami — wykonała z liści prymitywny woreczek. Dała znak głową, by Ken pozbierał jadalne jagody i włożył je do środka. Zgarnął już niewielki stosik, gdy nagle zderzyli się czołami. Poczul łomotanie własnego serca i zrozumiał, co to oznacza.

Oto właśnie początek ich pierwszej prawdziwie wspólnej przygody.

Może i ona odczuła to samo, gdyż położyła mu dłoń na piersi i dała znać

oczami, że jedna z gałęzi rośnie zbyt wysoko i jest za gruba, by ona sama

zdołała ją ściągnąć- Ciągnęli więc wspólnie, aż się złamała, a oni wywrócili

się na liście, obsypani gradem jagód.

Kobieta przetoczyła się na niego całym ciałem — którego ciężar go zaskoczył — i pchnęła podbrzuszem oraz miednicą. Tylko raz, mocno i krótko, jakby przyzywała go tymi organami, które przemieściły się ku przodowi, od kiedy kobiety zaczęły chodzić w pozycji wyprostowanej.

Ruch

ten okazał się tak niezwykle skuteczny, że Ken doznał erekcji i szczytowania,

wprawdzie nie w ciele, lecz w duchu. Kiedy zepchnął ją z siebie, opadła

na  
liście z rozsuniętymi nogami, uśmiechając się szeroko. Następnie  
podniosła

się i wsparła znowu na dłoniach i kolanach, by odgryzać dzikie liście.

Ken wstał bojąc się przyznać do tego, co czuł. Oparł się o drzewo  
i oddychał gwałtownie, podniecony, oszołomiony i wystraszony.

„To właśnie to, Lauder — odezwał się gdzieś z bliska duch Haksara.

—

Kobiecość na etapie formowania się. Czy jest gorsza od obecnej? Czy  
też

lepiej? Może będziesz jedynym sapiensem, który się o tym przekona,  
Lauder."

Ken odetchnął. Starał się nie myśleć.

„Spróbuj tego, Lauder. Obdarzony jesteś ciekawością sapiensa."

„Czy wciąż nim jestem?" — zdobył się na odpowiedź.

„Oczywiście, Lauder. Nikt nie może cofnąć się w rozwoju poniżej  
poziomu

własnego gatunku. Zawsze będziesz sapiensem, ale możesz zakosztować, jak to jest być przedstawicielem innego gatunku, Lauder. Spróbuj tego i dowiedz się."

Ken poczuł taki lęk, że odwrócił wzrok od własnego podnieconego ciała.

„Czego mam się dowiedzieć? Oni potrzebują pomocy. Trzeba ich stąd wyprowadzić...”

Duch się roześmiał. „Chcesz stać się ich przywódcą? Zawsze to samo *ego sapiensa*. Oni nie potrzebują przywódców. Mają własnych. Ale przyjmą cię

za partnera genetycznego. Masz dobre geny, i tego właśnie chcą.

Dowodłeś

siły własnych genów."

„Nie — pomyślał. — Nie."

Znow zobaczył Niawo ciągnącą dwie torby jadalnych owoców. Jej krok

stał się bardziej skoczny, co — jak sądził — nie pozostawało bez związku

z jego osobą. Ta myśl przyprawiła go o dreszcz.

Walnął głową, i to mocno, o pień drzewa. Pomogło.

Oddalił się chwiejnym krokiem, cokolwiek uspokojony.

Sądził, że odzyskał nad sobą panowanie, ale ona, mając już teraz wolne

ręce, zaszła mu drogę i zatrzymała się naprzeciw niego. Przypadek sprawił,

że Ken stanął na zboczach niżej od niej, tak że ich oczy znalazły się na mniej

więcej tym samym poziomie. Obrzuciła go spojrzeniem, które nie mówiło nic

konkretnego. Wyrażało jedynie zainteresowanie i potrzebę partnera, wpływające z samej głębi psychiki. Przestraszył się, że ta kobieta wypaczy zupełnie jego rozumowanie. Zaczynało mu się wydawać, że jest jak najbardziej

godna pożądania, jej zapach — najbardziej ponętny, a ich zespolenie — najważniejsze. Z dziką determinacją dążyła do współżycia z nim.

Ken odstąpił chwiejnie, potem odwrócił się i zrobił coś, do czego nie był

zdolny od wielu dni. Pobiegł.

W zaroślach, ledwie paręset jardów niżej, panował znacznie większy chłód.

Ken przystanął czując, że ten przejaw tchórzostwa to jeden z największych

aktów odwagi, jakim się w życiu wykazał. Obiema rękami dotknął głowy

i jakby dotykał samego mózgu. Cóż to za wspaniały narząd —  
wydoskonalony  
przez dalsze dwa miliony lat ewolucji. Nie mógł się go wyrzec.

Usłyszał ponad sobą szelest listowia, odchylił głowę i zobaczył  
wielkie

cienie brachiujące wśród gałęzi, ramię przy ramieniu. Przesunął się  
ponad nim

wielki kudłaty brzuch, potem następny i jeszcze kilka, a także mniejsza,  
delikatniejsza kobieca postać, niosąca na plecach dziecko.

Była to kolumna krzepkich hominidów, które brachiowały niczym  
małpy

w dół zbocza, uciekając przed ogniem.

Ken zorientował się, że katastrofa sprowadziła rozejm; teraz  
przynajmniej

nie musiał się ich obawiać. Jeden z większych krzepkich przygiął pień  
drzewka, czyniąc wyłom w baldachimie konarów, i Ken zobaczył, że  
jest dzień.

Daleko w sawannie rozległa się eksplozja będąca wyraźnie dziełem  
człowieka. Potem usłyszał dalsze i począł zbiegać niżej.

# 5

**W**idoczny w oddali samolot zniżył lot nad posuwającym się po sawannie punktem, za którym ciągnęła się chmura pyłu. Maszyna zanurkowała i oddała kilka strzałów — odgłos wybuchów słychać było na kilka mil. Z ziemi podniosły się tumany pyłu, ale ruchomy punkt posuwał się nieprzerwanie naprzód.

Eksplozje zakołysały spoczywającym na krześle Cyrilem. Poderwał się do góry. Promienie wynurzającego się słońca zabarwiły właśnie cały świat wokół niego na karmazynowo. Nawet dziób przechylonego transportowca wydawał się karmazynowy, jakby ktoś pomazał go jaskrawoczerwoną farbą. Śpiący w krzakach pozostali mężczyźni także zerwali się z ziemi. Chwyając kałasznikowa, Cyril przypomniał sobie o pożarze lasu na zboczu. Obrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na górę, ale tak jak przewidywał Kalangi, spowijały ją mgliste opary. Owa mgła była jednakże bardzo ciemna, jakby przemieszana z dymem. Powiew porannej bryzy rozwiął jej dolne warstwy i wówczas ogień stał się wyraźnie widoczny. Objął już znacznie niższe partie zbocza niż poprzedniego wieczoru.

Cyрил usłyszał, jak nieznanymi samolot znowu przeleciał z warkotem silnika ponad tajemniczym celem.

Ogarnięta paniką obsługa obozu przybiegła do Cyrila. — Gdzie jest broń?

Daj nam broń! — krzykali ludzie. Cyril wypuścił serię z automatu i większość mężczyzn przypadła do ziemi. Steward popędził do samolotu, a za nim pilot, krzycząc po drodze, by nie próbował uruchamiać silnika, gdyż maszyna

nie  
może wystartować na takim strzaskanym kole. Steward, stojący już na  
schodach, kopnął pilota, który z kolei chwycił go za stopę i pociągnął,  
tak że  
tamten padł jak kłoda na ziemię. Cyril ze śmiechem wystrzelił kolejną  
serię  
w stronę embraera. Strzały odcięły jeden z haków mocujących drabinę,  
a kiedy zachybotła w powietrzu, puścił drugi hak i całość spadła na dół.

Pilot odwrócił się i z zaciśniętymi gołymi pięściami natarł na  
Cyrila.

Uczony dopuścił go bliżej, a następnie powstrzymał oddając kilka  
strzałów  
prosto pod nogi.

— Ja jestem *Homo andersoni* — wrzeszczał swoim charakterystycznym

grzęcącym głosem. — Gdzie jest ta menda Kalangi?

— Nie mam pojęcia! — krzyknął pilot.

— Jest w samolocie! — domyślił się Cyril. — Kalangi, wyłaż stamtąd

albo spalę maszynę razem z tobą! — Dwoma seriami podziurawił lśniące

aluminium. Przez otwarty i pozbawiony drabinki luk komendant wystawił

swoje plugawe oblicze.

— Staralem się nawiązać łączność radiową z Nairobi, żeby przystali

samolot gaśniczy! — krzyknął żałośnie.

— A ten drugi samolot? — zapytał Cyril, wskazując palcem.

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

Wiedział jednak aż za dobrze. Poprzedniego wieczoru połączył się z bazą

lotniczą będącą jeszcze we władaniu rebeliantów i — pamiętając, że Ngili

obiecał pospieszyć Kenowi z pomocą — powiedział, żeby pilot wypatrywał

w tym rejonie samolotów lub ciężarówek obsługi parku. Skoro myśliwiec

strzelał do ciężarówki strażników, to znaczy że był to pojazd Ngilego.

— Zejdz i chodź tu zaraz — krzyknął Cyril i strzelił jeszcze raz, o mało

nie doprowadzając Kalangi do zemdlenia. Pouczył pilota, żeby nie ruszał embraera, lecz przygwaździł do ziemi wszystko, co mogłoby się do niego

zbliżyć. Toteż Kalangi nie chciał opuścić transportowca, żeby nie stać się odsłoniętym celem. Ale czy można dyskutować z naładowanym kałasznikowem? Cyril wypalił jeszcze raz, więc komendant wyskoczył na

ziemię,

zachwiał i odsunął od maszyny.

Widoczny na niebie samolot oddalał się, pozostawiając za sobą smugę

dymu wydobywającą się z końca prawego skrzydła.

— Dostał, dostał! — krzyknął ktoś.

Myśliwiec przechylił się w skrócie i prawie zniknął w blasku odbitych

promieni słonecznych.

Kiedy stojący na dole ludzie ujrzeli go ponownie, znajdował się już niemal nad nimi. Kalangi próbował oderwać się od grupy, ale Cyril

powalił

go na ziemię kolbą kałasznikowa. Mimo to komendant poderwał się na nogi

i krzyknął w powietrze: — Nie strzelaj, nie strzelaj!

Samolot przeleciał nad nimi z warkotem, a pociski z działek ulokowanych

na skrzydłach trafiły stewarda. Jego ciało podskoczyło do góry i



rozerwało  
się w powietrzu na kilka kawałków. Pozostali mężczyźni krzyknęli w  
panice  
i rozproszyli się po zaroślach. Kalangi próbował wstać, ale Cyril znów  
powalił go na ziemię. Paleontolog odzyskał już głos i wrzeszczał w  
stronę  
nieba i w stronę zarośli, i na zdrajcę Kalangiego, który wezwał samolot  
po  
to, by zabić jego, Andersona. Komendant krzyczał, że nikogo nie  
wzywał i że  
nie ma pojęcia, dlaczego samolot ostrzeliwuje ich oraz tamtą  
ciężarówkę.

— Kto w niej jest? — ryknął Cyril.

— To musi być Ngili Ngiamena — żałośnie wyjąkał Kalangi.

Cyril po raz trzeci powalił go na ziemię. Ngili znajdował się w  
sawannie,

■•ledwie parę mil dalej! Tak to rozwścieczyło uczonego, że nie  
odczuwał

strachu, kiedy znów nadleciał samolot. Nie spuszczał oczu z Kalangiego, czerpiąc satysfakcję z faktu, że komendant sra ze strachu. Uświadomił sobie, że samolot atakuje, dopiero na widok wyrwy w kadłubie embraera, gdzie kule przerwały aluminiową powłokę. Wówczas oślepiła go eksplozja. Kiedy dym się rozwiął, Anderson zobaczył, że embraerowi brak już całego skrzydła, a jeden z silników leży w pyłe jakieś trzydzieści jardów dalej.

Znajdująca się parę mil na południe ciężarówka przetrwała pierwsze uderzenie, gdyż kierujący nią Ngili sprytnie wjechał w las akacji. Samolot zniżył lot i wystrzelił, wyrывая z korzeniami pobliskie drzewo, ale poza tym nie wyrządził żadnych szkód. Kilku siedzących na platformie ciężarówki strażników wystrzeliło w stronę kabiny pilota, ale — zamiast w niego — trafili w skrzydło. Potem rozległ się odległy grzechot kul po kadłubie embraera i wybuch silnika odstrzelonego ze skrzydła.

Teraz myśliwiec powracał ciągnąc za sobą nieco grubszą smugę dymu, ale pilot zdawał się tym nie przejmować.

Ngili mógł zrobić dwie rzeczy: kazać swym ludziom wysiąść i zostawić ciężarówkę na zniszczenie, albo jechać dalej, klucząc i zmuszając pilota do ciągłych nawrotów, w czasie których strażnicy parkowi mogliby próbować go zestrzelić. Drugi plan wydawał się ryzykowny, ale dzięki temu ocaliliby ciężarówkę.

Ngili odczekał, aż samolot obierze kurs na nich, po czym wyjechał z rykiem silnika spomiędzy drzew. Tym razem myśliwiec odpalił pocisk, który spopielił cały las. Ngili dodał gazu i skręcił ostro w prawo. Zobaczył, jak myśliwiec wzbija się w powietrze, co świadczyło o tym, że pilot jest skonfundowany i nabiera wysokości, żeby mieć rozleglejszy widok. Ngili tak był zaabsorbowany samolotem, że dopiero w ostatniej chwili dostrzegł miejsce, gdzie wraz z Kenem odkopali skamieniały szkielet. Zawrócił tak gwałtownie, że omal nie wywrócił ciężarówki, potem obejrzał się i zobaczył nadlatujący prosto na nich samolot.

Wyrwał całą mocą silnika naprzód, licząc na to, że dzięki dużej

prędkości uniknie trafienia. Jednocześnie wrzasnął na swych ludzi, żeby nie chybili.

„Nie możecie chybić!”

Samolot wystrzelił trafiając daleko za ciężarówką. Ngili uniósł się, trzymając ręce na kierownicy i naciskając stopą gaz, i zobaczył przed dziobem samolotu obłoczki dymu z pocisków wystrzeliwanych przez strażników, a potem usłyszał odgłos tłuczonego szkła, kiedy trafiono w kabinę pilota.

Strażnikom wydarły się z piersi okrzyki radości.

Samolot uniósł się ostro w górę, ale szedł nierówno. Ngili prowadził jedną ręką, drugą zaś, zwiniętą w kułak, walił w dach szoferki. Strażnicy, równie podekscytowani jak on, odpowiedzieli mu bębnieniem. Jechali jak przy wtórze bębnow płemiennych, wypatrując jednocześnie, co się stanie z samolotem.

Zniżał lot — albo dlatego że został unieszkodliwiony, albo szykując się do kolejnego śmiertelności ataku.

Cyril zobaczył, że myśliwiec leci coraz niżej, z każdą sekundą coraz

większy i lepiej widoczny. Zauważył podwieszony pod kadłubem uzbrojenie, niewielki, lecz żarłocznie wyglądający otwór lufy (było to działko szybkostrzelne kalibru 30 mm), a po obu jego stronach grona pocisków raketowych;

dostrzegł też szczeliny kryjące karabiny maszynowe. Zaświtało mu w głowie,

że gdyby został wojskowym, byłby równie błyskotliwy w sztuce prowadzenia

działań wojennych, jak teraz jest w nauce. Nagle ujrzał, że samolot jakby

potknął się w powietrzu, przekoziółkował, a potem jednym skrzydłem skierował niemal pionowo w dół. Anderson począł strzelać z automatu raczej

na chybił trafił, poczuł jednak, że zadał śmiertelne uderzenie.

Myśliwiec przeleciał mu z rykiem nad głową, kierując się w stronę zbocza Mau, grzmotnął o nie z hukiem, aż zatrzęsała się góra i ziemia pod nogami Cyrila.

Ken zbiegał właśnie ku sawannie, skąd dobiegały dudnienia i odgłosy

walki, kiedy wstrząs, spowodowany uderzeniem myśliwca o zbocze, rzucił go

na ziemię. Upadł na bok i poczuł na skórze żar silników samolotu. Skrzydła

oderwały się od kadłuba i wbiły w korony drzew, zahaczając o splecione gałęzie, kadłub natomiast począł się ześlizgiwać niczym gigantyczny aluminiowy kokon. Wkrótce otworzył się, rozrzucając wokół Kena rozmaite

przedmioty, może nawet ludzkie szczątki.

Adept paleontologii nie zdążył się jeszcze pozbierać, kiedy silnik buchnął

plamieniem, co znów powaliło Kena na ziemię. Przyjrzał się wyrzuconemu

z rozbitego samolotu żołnierzowi, który miał na sobie strój bojowy i dodatkowe

pasy z nabojami, przewieszzone przez ramiona.

Odłamek kadłuba przebił pierś pilota. Obok zwłok leżał pistolet maszynowy.

Ken podniósł go. Był to „AKM”, najnowsza wersja kałasznikowa ze

składaną kolbą.

Dziwiąc się ciężarowi broni, Ken podźwignął się jak w transie.

Auto-  
matycznie położył palec wskazujący na spuście. Poczł się tak, jakby  
przez  
otwór w jego głowie wypłynął cały pliocen niczym powietrze z  
nieszczelnej  
kabinę ciśnieniowej. Został rzucony na powrót w terazniejszość. Nie  
utoż-  
samiając się już z pradawnym osobnikiem, którego w sobie odkrył,  
przeistoczył  
się w nieprzystosowanego, nagiego człowieka, obawiającego się o  
własne  
życie. Odczuwał straszny lęk przed ogniem, ale był to strach innego  
rodzaju.

Teraz, stojąc przed zwęglonymi szczątkami myśliwca i słysząc  
przeciągłe  
terkotanie automatów na sawannie, bał się czegoś, co stanowiło  
element  
współczesności. Mógł jednak stawić czoło temu lękowi, posiadając  
umysł  
identyczny jak jego przeciwnicy, a w rękach broń.

Rozległa się eksplozja drugiego silnika samolotu, która rzuciła Kena  
z powrotem między obsypane kwieciami krzaki. Podniósł się, zdrętwiały

i oszołomiony, pociągając odruchowo za spust AKM-u. Krótka seria smagneła po listowiu, rozłupując gałęzie i zmieniając w pył liście. Ach ta technika, ta technika! Przyjrzał się łuskom po nabojach rozrzuconych wśród leśnej ściółki. Wyteżył słuch, próbując policzyć dochodzące z dołu wystrzały, żeby określić liczbę ludzi uczestniczących w wymianie ognia.

Słyszał też ryk lasu. Upadek myśliwca wprawił całą przyrodę w stan ostatecznego szaleństwa. Las wył ze strachu.

Ken posłyszał ponad sobą hałas rozrywanego listowia i zadarł głowę. Spora grupa krzepkich, kilka tuzinów, brachiowała teraz na dół, dysząc i nawołując się frenetycznymi pomrukami. Pod wpływem strachu instynktownie uciekali po gałęziach na dół zbocza, ścigani bezlitosnym pożarem lasu.

Ken, choć cały spięty, potrafił jednak skupić uwagę na tej paradzie włochatych ciał. Ponad nim przesuwali się wahadłowym ruchem mężczyźni i młodzieńcy; ich życie zależało od siły bicepsów, nadgarstków i palców, którymi utrzymywali się na gałęziach drzew. Szybowały obrzmiałe genitalia kobiet, bezwłose pośladki przypominające krągłe czarki, które ewolucja miała na następnym etapie zdublować półkulami piersi. Im większe podniecenie, tym większa nadzieja na potomstwo. Stopy, przypominające raczej dłonie, chwytaly gałęzie i przerzucały dalej włochate ciała. Wszyscy umykali w dół, jakby był to ostatni popis ich leśnego życia...

I naraz znaleźli się nieoczekiwanie przed nową ścianą ognia wznieconego przez płonący samolot.

Z powodu wiatru, a może wskutek rozbryźniętej benzyny, pożar szerzył się tutaj szybciej niż na górze i jego żar z łatwością docierał na wysokość konarów. Wśród drzew były jeszcze przejścia, których ogień nie ogarnął, ale krzepy nie zeskakiwali na ziemię, żeby z nich skorzystać.

Ken miał ochotę krzyknąć: „Zejdźcie i uciekajcie, idioci.”

Zastanawiał się, czyby nie wystrzelić, ale wiedział, że nie sprowadzi ich

to w dół. Za to jeszcze usilniej będą się trzymać konarów.

Zrozpaczony Ken rozważał jeden niemożliwy plan za drugim, aż zdał

sobie sprawę, że sam nie jest w stanie niczego zrobić. Będzie musiał zejść na dół, skontaktować się z napastnikami, kimkolwiek są, i przekonać ich, żeby postępowali po ludzku. Albo zmusić ich do tego pod groźbą użycia broni!

Podbiegł do zabitego lotnika, którego ciało lada chwila mogło się zająć ogniem, i porwał kilka magazynków. Był jednak nagi i nie miał gdzie ich schować, więc trzymał je w dłoniach, a na ramię zarzucił AKM-a. Obladowany nieporęcznie, z kałasznikowem obijającym się boleśnie o ciało, biegł w stronę rzednących na skraju lasu drzew.

— Daj nam broń! — krzyczał wściekle pilot oraz ludzie z obsługi obozu do Cyrila, który wymachiwał im przed nosem końcem nagiej lufy automatu.

Za ich plecami ciężarówka Ngilego szarżowała na obozowisko, a z jej

platformy strażnicy rezerwatu razili celnie z myśliwskich strzelb. Jeden z ludzi Kalangiego krzyknął, po czym bluznął krwią z ust i upadł.

Cyril zdał sobie sprawę, że podwładni komendanta chwycą go w parę

sekund. Nawet gdyby wystrzelił wszystkie kule, zawsze któryś z tych skurwieli ocaleje i udusi go gołymi rękami.

Potknął się o niewielką stertę broni, którą zgromadził poprzedniej nocy

przy swoim płóciennym tronie. Pochylił się, sięgnął po dwa automaty, które

zarzucił na lewe ramię, i chwycił pistolet. Potem gwałtownym ruchem złapał

Kalangiego, który był zbyt wyczerpany, żeby stawiać opór i tylko dygotał

niczym kurczak przeznaczony do zarżnięcia.

Cyril wcisnął mu luźny pistoletu prosto w gardło, pod obwisłą ze strachu

szczęką. Jeden zdradziecki ruch ze strony pozostałych i koniec z komendantem.

Odstąpił od stosu broni.

— Weźcie waszą broń — warknął. Mężczyźni rzucili się, by to zrobić. —

Teraz idźcie tam — wskazał skraj lasu — i uformujcie linię obrony.

Wetknął pistolet za pas i potrząsnął komendantem. — Do lasu! — rozkazał.

Kalangi wyglądał jak ogarnięty bezwładem, więc Cyril kopnął go pod kolanami, by się poruszył. Paleontolog, mimo że obładowany kilkoma

automatami, poruszał się zadziwiająco szybko, a myślał i podejmował

decyzje

z nieprawdopodobną sprawnością. Jak prawdziwy *Homo andersoni*,

naturę

miął dziką i nie rozmiękczoną przez cywilizację.

— Oszalałeś? A co z ogniem? — zapytał Kalangi.

Do lasu — powtórzył nie przestraszony Cyril.

— Nie dam rady — wychrypiał Kalangi. — Zabij mnie tutaj, ty

pier-

dolony *mzungu*.

— Jeszcze zdążę to zrobić.

I pchnął komendanta z nadszpiewaną jak na swoje lata siłą.

Pozostali

mężczyźni przebiegli obok na skraj lasu, lecz kiedy tam dotarli, znowu rozległ

się terkot automatu. Kucharz obozowy, zawodowy kłusownik, dostrzegł

w górze wśród drzew błyski wystrzałów i dziwnego — nagiego i podobnego

do małpy — strzelca. Potem kula trafiła kucharza w pierś, przebijając serce.

Umarł wpatrując się w Mau.

Ze zbocza wzgórze Ken rozpoznał Cyrila i Kalangiego i strzelał teraz do



nich, krzycząc jak szalony. Kiedy komendant rozpoznał w młodym *mzungu* — pomimo jego nagości — Kena, znalazł w sobie siłę, żeby pociągnąć Cyrila na ziemię.

Cieżarówka „Magirus” podjechała już tak blisko, że Ken słyszał dźwięk silnika. Pokrzepiająca myśl, że może ją prowadzić Ngili, sprawiła, iż wstrzymał ogień, oszczędzając naboje. Ludzie Kalangiego odpowiedzieli strzałami, jedni w kierunku lasu, inni w stronę ciężarówki. W tym momencie magirus wjeżdżał już na teren porzuconego obozu. Ngili wyskoczył i machając rękami wzywał do przerwania ognia. Na ten widok Ken zaczął krzyczeć: — Padnij, Ngili, padnij! — Niepewny, czy jego głos niesie aż tak daleko, wychylił się

z ukrycia, a wówczas kłusownik, schowany niżej za krzakiem, posłał mu kulę,  
trafiając w prawy bark.

Ken przyglądał się ze zdumieniem, jak pocisk rozcina mu ciało, odsłaniając czerwoną tkankę. Mała dziurka napelniała się z wolna, jakby niechętnie, ciemną krwią. Tuż koło niego gwizdnęła następna kula, zmuszając go do wycofania się między drzewa.

Był w stanie unosić rękę i poruszać nią, ale "nie bez wysiłku. Zarzucił

AKM-a na ramię i przycisnął lewą dłoń do rany, która zbyt nie krwawiła.

Nacisk dłoni mógł powstrzymać upływ krwi.

Wydawało się, że to tylko błahe drażnienie. Ken wiedział jednak, że w buszu rzadko która rana postrzałowa jest niegroźna. Kiedy postąpił w tył, spowił go jaskrawy żar ognia. Poczłł zawroty głowy.

„Długopalcy...” — pomyślał nieoczekiwanie i mgliście.

Wówczas wybiegł myślą do przyjaciela, który przyjechał ciężarówką.

„Ngili, Długopalcy jeszcze żyje. Oni jeszcze żyją. Chodź tu, Ngili, skoro zdecydowałeś się przyjechać.”

Przejścia pomiędzy drzewami nadal pozostawały wolne od płomieni.

Pozwalały wyjść z ognia ku...

Ku cholernemu chaosowi tam na dole.

Cholernemu chaosowi sapiensów.

W samej rzeczy, nie takie wyjście z lasu gotowała człowiekowi ewolucja.

Stał jak wryty.

Zobaczył Długopalcego.

— Do lasu, skurwielu — powtarzał raz po raz Anderson, uderzając Kalangiego w plecy lufą automatu.

Komendant odwrócił się i wybełkotał: — Oszalałeś. Zginiemy w ogniu.

Powinniśmy zawrócić i dogadać się z Ngiameną.

— Do lasu — ■ powtórzył Cyril, wiedząc, że Ngili nie pójdzie z nimi na żadną ugodę.

Krzepcy ześliznęli się z gałęzi i zgromadzili w jednym z przejść pomiędzy drzewami. Zbita masa ich ciał tworzyła jakby kosmaty mur mięśni. Z góry schodzili też smukli w zadziwiająco zdyscyplinowanym szyku. Na czele kroczył Długopalce, niosąc w garści pociski

odłamanych ze  
stwardniałego na kamień gniazda mrówek. Tuż za nim podążali dorośli  
mężczyźni, także uzbrojeni w bryłki błota i kawałki gałęzi. Pośród  
mężczyzn  
szli — rozrzućeni — młodzi chłopcy, a dalej przedzierała się,  
uformowana na  
kształt wachlarza, męska eskorta obładowanych dziećmi kobiet.

Długopalcy przygryzł górnymi zębami cienką dolną wargę.  
Wydawał się  
równie zdecydowany jak zawsze. Wyglądał na takiego twardziela, że  
Ken  
uśmiechnął się mimo woli, przekazując chłopcu przesłanie, które — jak  
sam

tego doświadczył — stanowiło kardynalne przykazanie życia pośród dzikiej

przyrody: „Nie możesz chybić”.

Nie możesz chybić, Długopalcu.

Ken, owładnięty dumą i poczuciem odpowiedzialności, zastanawiał się,

dlaczego smukłych prowadzi jego przyjaciel. Czy został przywódcą?

Czy

docenili jego doświadczenie nabyte w obcowaniu z Kenem i innymi obcymi?

Ale czy członkowie klanu nie zdawali sobie sprawy, tak jak Ken, że Długopalcu jest wciąż jeszcze chłopcem, który dopiero ma się stać mężczyzną?

Może słyszeli morderczą kanonadę obcych na dole i obrali go na przywódcę,

gdyż przeżył wpadłszy w sidła, podjął ostateczną walkę z Modibem i ją wygrał. Długopalcu nie obawiał się szerokich przestrzeni, stał się już łowcą.

W tym właśnie momencie zdarzyło się coś, co dało Kenowi wgląd w to, jak

bardzo jego przyjaciel wysunął się na czoło w klanie. Jeden z dorosłych mężczyzn usiłował wysforować się przed chłopca, który podskoczył do przodu, by utrzymać pozycję przewodnika, i szturchnął tamtego łokciem,

zmuszając do cofnięcia się. Długopalcu uniósł pięści, pełne pocisków odłupanych z gniazda mrówek, w stronę zwartej ściany czekających krzepkich.

Sam wybił się na przewodzenie w klanie. Spontanicznie objawił się jako przywódca i teraz horda podążała gromadnie za nim, obnosząc się dumnie

z bryłkami błota i patykami stanowiącymi jej broń.

Krzepcy wykonywali brachiacje za pomocą obu rąk, toteż nie byli uzbrojeni. Rzucająca się w oczy determinacja smukłych oraz ich broń sprawiły, że zawahali się i ostatecznie postanowili nie atakować. Dało to smukłym chwilową przewagę i pozwoliło przedrzeć się przez wąskie przejście

i wydostać z płonącego lasu na oczach ponuro spoglądających krzepkich.

Obie hordy, smukłych i krzepkich, żyły oddzielnie, ale teraz zmuszone

zostały do wyjścia z płomieni niemal jednocześnie, chociaż smukli zaczęli

uciekać pierwsi. Mając za plecami huczący ogień, wszyscy przeżyli długą

chwilę niewiarygodnego napięcia.

Długopalcu minął klan krzepkich i ruszył dalej.

„Szczęśliwej drogi, Długopalcu!” Ken uśmiechnął się szeroko. Nie dojdzie do ostatecznej walki między dwoma rasami. Przynajmniej nie teraz.

Eksplozje wystrzałów z broni maszynowej, dobiegające z dołu, spoza

drzew, wyrwały Kena ze stanu nabożnego podziwu.

Prześliznął się między dwoma drzewami i popędził na dół. Ukazał się na

pozbawionym drzew zboczcu porośniętym z rzadka krzewami. Mrużąc oczy

od słońca, dostrzegł niżej, w odległości paru jardów, Kalangiego z dymiącym

automatem w ręku. Komendant dał nura w krzaki. Cyril Anderson, uzbrojony

w automat i pistolet, podszedł do krzaków z wyrazem osłupienia i ogromnego

gniewu na twarzy. Jedną ręką uniósł automat i oddał kilka strzałów, z których

żaden nie trafił Kalangiego.

Ken zaczął krzyczeć: — Przestań strzelać! Oni wychodzą! To może być

twoje odkrycie, Cyrilu, tylko przestań strzelać!

— Zabij go, on oszalał! — wrzasnął zza krzaka Kalangi.

— Pomóż mi go załatwić, Ken! — zadysponował wówczas Cyril.

I wycelował automat w stronę zarośli. Znowu pociągnął za spust, ale rozległo się tylko szcęknięcie. Kalangi poderwał się i wystrzelił zza krzaka, a z piersi Cyrila trysnęła fontanna krwi. Ken wymierzył kałasznikowa w komendanta, lecz ramię miał tak zdrtwiałe, że opadło pod ciężarem broni, jakby było z ołowiu. Zanim zdołał ponownie unieść rękę, komendant wdrapał się po zboczu między dymiące drzewa.

Ken, zatoczywszy się, znalazł się parę stóp od Cyrila.

Anderson dotknął swej piersi, a potem zbliżył rękę do oczu. Była umazana krwią. — Pospiesz się, Ken... Dostałem, ale lekko... Zabierz mnie stąd na dół...

Ken miał ochotę się roześmiać. Nawet teraz pierwsza myśl Cyrila dotyczyła jego samego.

Profesor postąpił bliżej, ale obsunął się na jedno kolano. — Pomóż mi! — warknął czyniąc niecierpliwy gest, którym rozmazał sobie krew po bujnych białych włosach. — Tam niżej jest Ngili! Mam zerową grupę krwi! — Przytrzymał się Kena i, pociągając go w dół, mówił coraz niewyraźniej: — Możemy pracować razem... — Wtedy, jakby zirytowany brakiem odpowiedzi, wymierzył w Kena z pistoletu, który w jego ogromnej dłoni wydawał się niewielki.

Ken nacisnął spust kałasznikowa i wystrzelił. Cyril padł na wznak. Jego pierś stała się teraz jedną wielką krwawą raną.

Kalangi, biegnący powyżej nich między drzewami, usłyszał jak coś gwizdnęło mu koło głowy. Był to ciśnięty przez kogoś kamień. Następny trafił go z suchym pacnięciem w czoło. Chwiejąc się komendant zobaczył pędzących wyżej po stoku smukłych i spróbował wymierzyć w nich broń wśród gradu kamieni. Jednakże pociski hominidów dosięgły go; broń wypadła mu z rąk. Zagarnęła go i stratowała fala praludzi, zmieniając w parę sekund w krwawą miazgę.

Przestępując przez szczątki Kalangiego, klan pomaszerował kamienistym zboczem w dół, chłonąc oczami rozciągającą się przed nimi szeroką perspektywę sawanny. Ken i Anderson zastygli nieruchomo — jeden w pozycji stojącej, drugi leżąc na ziemi. Anderson, wyglądający jak upiór, uniósł się na łokciach.

Po smukłych ukazało się kilku krzepkich mężczyzn, który także pomknęli w stronę sawanny, wspierając się na pięściach niczym szympany. Przystanęli, a następnie głośnym rykiem dali znać swoim towarzyszkom i potomstwu, by wyszli spośród drzew. Część z nich stała pionowo, inni wspierali się na pięściach.

Ken pochylił się i spróbował podźwignąć Andersona, choć był świadom tego, że ledwo włada prawym barkiem i ramieniem. Paleontolog dał znak, by zostawił go na miejscu. Majaczył coś cicho i Ken musiał natężyć uwagę, by zrozumieć, co mówi.

— Mogliśmy pracować wspólnie... To środowisko—utrzymuje przy życiu

kilka ras... *Homo andersoni*...*Drugą* mogliśmy nazwać od twojego nazwiska... — Cyril uśmiechnął się wielkodusznie i odkaslnął krwią. Poszukał oczami wzroku Kena.

Ken obserwował samolubny uśmiech na twarzy umierającego. Nawet w obliczu śmierci jego *ego* obdziało zaszczytami.

Profesor odwrócił się, by popatrzeć na praludzi. Ken spojrzał w tym samym kierunku. Zmierzała po splekanych zboczach górskich ku majestatycznemu stepowi. Kenowi nigdy nie przyszło do głowy, aby ich policzyć. Teraz, kiedy mijali go spiesznie, doznawał sprzecznych wrażeń. Było ich chyba niespełna stu, mniej niż członków jakiegokolwiek żyjącego współcześnie plemienia. Z drugiej strony — prawie stu hominidów to ogromne bogactwo.

Ken nie widział, czy nadal prowadzi ich Długopalczy.

Śledząc ich marsz, zauważył, że zmienili kierunek, omijając niewielką grupkę ludzi stojących na uboczu. Ken rozpoznał mundury khaki strażników parku, a wśród nich dostrzegł Ngilego.

Ngili i strażnicy obserwowali pojawienie się człowieka.

Ken wiedział, że leżący u jego stóp Cyril umarł, i bał się opuścić wzrok, jakby ten widok mógł przynieść pecha jego walce o przetrwanie. Oddalił się chwiejnym krokiem, stąpając po krótkiej trawie stratowanej stopami praludzi.

Właśnie w tym momencie Ngili uwolnił się spod uroku hominidów i dostrzegł przyjaciela. Puścił się biegiem w górę zbocza, aż wiatrówka wyduła się na nim jak balon.

Kiedy się przybliżył, jego twarz wyrażała całą gamę emocji:



uniesienie,  
zaciekawienie, szok, zatroskanie, radość. I znowu zatroskanie. Ken  
krwawił.

Ngili zaczął krzyżeć, żeby się położył i nie ruszał.

Ngilemu wydawało się, że jego mózg eksplodował. Im bardziej się  
zbliział, tym bardziej rzeczywiste stawało się poobijane, zakrwawione i  
wynisz-  
czone ciało Kena. Przyjaciół zszedł chwiejnie na dół, aż znalazł się w  
zasięgu  
jego ręki. Wtedy osunął mu się w ramiona.

## 6

Będziecie musieli go przytrzymać — odezwał się czyjś głos o wyraźnym hinduskim akcencie — bo nie mamy środków znieczulających. Ma szczęście, że dostał tylko jedną kulkę, i to nie za głęboko...

Ken słyszał to poprzez mgielkę snu. Zamrugał i wyteżył wzrok, starając się coś zobaczyć, ale oczy miał pełne chłodnego lepkiego roztworu. Dostrzegł więc jedynie nieostre kontury trzech pochylonych nad nim twarzy.

Potem usłyszał Ngilego: — W porządku, przytrzymamy go. Ale jak mógł pan zapomnieć o zabranii środków znieczulających?

„To lekarz — pomyślał Ken — i Ngili, a ja żyję. I członkowie klanu żyją.

Widziałem, jak wychodzili z lasu. Ale kiedy to było?” Między tamtymi wydarzeniami a teraźniejszością rozciągała się czarna dziura.

„Co oni mi robią?”

— Mój szpital był ostrzeliwany w czasie puczu — rzekł lekarz — a magazyny splądrowano. To szczęście, że mogłem zabrać antybiotyki. No,

nie będzie to widok dla słabeuszy — ciągnął doktor. — Możesz nam pomóc, panienko? Będzie krwawił.

— Dam sobie radę — odrzekła kobieta.

Miała głos Yinki.

Ken począł wić się na łóżku, czując, że unieruchamiają mu nadgarstki

i kostki czymś szorstkim, prawdopodobnie kawałkami linki. Spróbował określić zapach powietrza, żeby zorientować się, gdzie jest. Nie pachniało

miastem ani szpitalem. Usłyszał turaka i buczenie samolotu. Nadal znajdował się gdzieś w buszu.

— Yinka? — zapytał na próbę, bojąc się, że wymienienie jej z

imienia  
może go zbudzić ze snu.

Nastąpiła chwila milczenia, która go przeraziła. Potem rozległ się jej głos,

tuż przy jego twarzy. — Tak?

— Hej, Ken — rzekł Ngili. — Przespałeś kilka dni.

Ken wyobraził sobie siebie — brudnego i gołego. Na nagim ciele czuł dotyk powietrza. Bał się, że może oddać pod siebie mocz, a może już to

zrobił. Zamrugał lękliwie w kierunku jednej z rozmytych twarzy i szepnął: —

Co z moimi oczami? Coście mi, u diabła, wsadzili do oczu?

— Środek dezynfekcyjny — odrzekł lekarz. — Usunę go, jak tylko skończę z pana ramieniem, panie Lauder. Jak pan się czuje?

— Czuję się... świetnie.. Yinka... — Urwał, nie wiedząc, co jej powie-

dzieć. — Co tu robisz? Pisziesz... relację?

— Tak. — Wydawała się spokojna, ale jej głos docierał z lekkim opóźnieniem, jakby z oddali. — Relację pod tytułem: „3racie sapiensie, zachowujmy się przyzwoicie, nasi przodkowie patrzą na nas”. — Ujęła go za rękę.

Z trudem łapał oddech. Miał wrażenie, jakby cała jego nagość skoncen-

trowała się w dłoniach i palcach, a one wstydzą się dotykać jej chłodnej wąskiej ręki. — Obetnę mu włosy — oznajmiła Yinka pozostałym obecnym. — Są takie brudne i splątane.

— Dobrze. Nie ma żadnych ran głowy. Zgoda, panie Lauder?

— Tak?

— Gotów? To będzie trochę bolało.

— Jestem gotów. — Ścisnął jej chłodne palce, a ona odpowiedziała uściskiem niemal bolesnym. Oprócz tego bólu inny ból, straszliwy i palący,

wwiercał się w górną część jego prawego ramienia niczym dziób sępa. „To tak się czują zwierzęta sawanny — pomyślał — rozdzioby wane jeszcze za życia.”

Ból intensywniał, aż stał się niczym ostrze rozcinające sam mózg. Ken zawył przez zaciśnięte szczęki, bryzgając rozpyloną śliną. Potem znieruchomiał.

— Zemdlał — rzekł lekarz. — To dobrze. — Jakiś metalowy przedmiot

brzęknął o cynową miseczkę. — Proszę mu zmierzyć puls — zwrócił się do Yinki.

Dziewczyna puściła dłoń Kena, ujęła zaś nadgarstek i wytyżyła uwagę,

by wyczuć pulsowanie jego krwi.

Poczuła je. Miał tętno.

Z głębokim westchnieniem spojrzała na jego spokojną twarz. Włosy Kena

wyblakły nierównomiernie w słońcu sawanny, a twarz była tak obita, że z trudem ją poznawała. Lewą stroną, od końca brwi do kącika ust, biegła darta

rana. Gojąc się, nabrała teraz wyglądu tatuażu. Opalona nierówno skóra wyszła od ognia. Siniaki i rozcięcia nadawały mu koci wygląd —

przypominał  
centkowanego lamparta.

Yinka spojrzała na jego wychudłe na kość ciało — na piersi,  
brzuch,

biodra i uda. Łydki, kostki i stopy, zwiotczałe jak cała reszta, były  
upstrzone  
różowymi plastrami, przylepionymi przez strażników przed przybyciem  
lekarza. Miał je nawet na podeszwach stóp.

Dziewczyna spojrzała na jego bark. Ngili tamował krew, podczas  
gdy

lekarz zaszywał ranę. — Muszę działać szybko, to omdlenie jest jak  
środek  
znieczulający, ale nie potrwa długo — mruknął.

Ken kaszlnął. Potem jęknął cicho z bólu.

— Dziękuję, panno Ngiamena — rzekł lekarz — byłaby pani dobrą pielęgniarką. Teraz zabandażuję mu mocno ramię i bark, potem będzie musiał leżeć bardzo spokojnie, miejmy nadzieję, że nie dostanie gorączki.

— Jak długo musi pozostawać bez ruchu? — zapytał Ngili.

Doktor był niski, miał grube szkła i wielkie wyłupiaste oczy, prawdopodobnie wskutek niedomagań tarczycy. Wytrzeszczył je na Yinke.

Przynajmniej dziś i jutro. Pani należy do tych cierpliwych, prawda? Niech

pani weźmie jakąś książkę i siądzie przy jego łóżku.

Skinęła głową.

Poczuła, że jej odwaga jest jak narkotyk. Rozjaśniała jej w głowie.

I czas

mijał dzięki niej szybciej. Siądzie przy łóżku Kena, ale nie będzie musiała

czytać. Zbyt wiele miała do przemyślenia.

Brat przyglądał jej się. — Yinko, chłopcy z obozu będą przy nim czuwać na zmianę.

— Ja zrobię to pierwsza. Przez parę godzin.

— Dobrze. Za kilka godzin zrobię objazd, zobaczę, co się dzieje.

Pojedziesz ze mną?

— Jasne.

Chłopcy obozowi wynieśli Kena z głównego namiotu, który wykorzys-

tano w charakterze polowej sali operacyjnej, do jednego z namiotów sypialnych. Położyli go na leżance. A on usnął wyczerpany bólem i wszystkim innym.

Zbudził się nieco później i zobaczył siedzącą obok na płóciennym krześle

Yinke. Wspierała się kolanem o jego nogę. Czuł jego krągłość — nieruchomą

i mocną. Głowa opadła jej na piersi — drzemała. Wciągnął powietrze, usiłując rozróżnić jej charakterystyczną woń wśród innych zapachów unoszą-

cych się w namiocie. Przez ostatnie kilka dni rozkoszował się zapachami świata *Homo sapiens*. Najbardziej uprzykrzone wspomnienia człowieka wiążą

się z jego zmysłem węchu. „Jakie to pierwotne” — pomyślał. Sam zweryfikował tę prawdę w sawannie i w lesie. A teraz także tutaj.

Przeżył potężne wstrząsy emocjonalne, kiedy rozpoznawał najprostsze

zapachy cywilizacji, na przykład chłodną woń czystej pościeli.

Ale nie czuł zapachu Yinki. Może siedziała zbyt daleko.

Znów usnął, starając się przypomnieć sobie coś, kilka słów, które powtarzał przez ostatnie dni, słów posiadających bardzo specjalne znaczenie.

Mimo to zapomniał je.

Spał, odbierając nadal poruszenia i hałasy. Małe samoloty lądowały i startowały. I istniał tu czas, czas cywilizacji, podzielony na godziny i dni.

I czas ten upływał.

Późnym popołudniem zaczął padać deszcz, który pomógł wygasić pożar na Mau. Od poprzedniego dnia samolot gaśniczy z Nairobi walczył dzielnie z wysokimi słupami czarnego dymu. Problem stanowił brak stałego zaopatrzenia w wodę. Pompa samolotu wysysała błotnistą ciecz z drobnych zagłębień, płosząc przy tym zwierzęta u wodopojów. Napelniwszy zbiorniki, maszyna odlatywała znowu w kierunku górskiego grzbietu, zniżając niebezpiecznie lot, aby sprawdzić, czy zalewa płomienie, czy też po prostu obsikuje wodą dym.

Jej pilot, Kenijczyk, po bohatersku wykonywał swoją robotę.

W czasie deszczu Yinka i Ngili jechali ciężarówką z prędkością około

dziesięciu mil na godzinę, dosłownie wlokąc się przez busz.

Deszcz szybko oczyścił powietrze z pyłu sawanny, tak że każda barwa,

kształt i odcień, każdy splot gałęzi i koronka liści stały się niemal boleśnie

wyraźne. Przez przednią szybę, którą przecierały do czysta jęczące wycieraczki, Ngili dostrzegł w oddali pośród wysokich traw gromadkę brązowawych ciał.

Wyłączył silnik, ale nie zahamował. Oniemiały z przejęcia, pokazywał

je Yince, podczas gdy ciężarówka z rozpędu toczyła się naprzód. Hominidzi

przypatrywali się w milczeniu. Ngili nie mógł stwierdzić, czy są to krzepy,

czy smukli. Skupili się pod osłoną konarów akacji. Oczy lśniły im jak jagody.

Yinka widziała ich po raz pierwszy. Przyleciała dzień później niż brat i do

tego czasu horda rozproszyła się pośród wysokich traw. Jednak tego ranka

strażnik natrafił na objedzoną antylopę kudu ze zmiażdżonymi kośćmi nóg,

z których wyssano szpik.

— Nie wyglądają na przestraszonych — rzekła Yinka.

— Owszem — przyznał Ngili. — Całkiem nieźle dostosowują się ponow-

nie do warunków sawanny.

Westchnęła, przyglądając się temu, z czym Ken miał do czynienia przez

kilka ostatnich tygodni. — Cóż więc zrobisz? Co obaj zrobicie?

— To bardzo proste — rzekł Ngili. — Sądzę, że nie powinniśmy ujawniać tego odkrycia.

— Jak można to zachować w tajemnicy?

— Zapewne nie uda się to na dalszą metę. Więc trzeba to ukrywać



jak  
najdłużej się da. — Włączył ponownie silnik, zawrócił jak  
najostrożniej  
i odjechał do obozu.

Ken zbudził się w swoim namiocie, przypomniawszy sobie te  
słowa:  
„desperacja genów”.

Wydawały się pozbawione sensu dopóty, dopóki Yinka nie  
wkroczyła do  
środka i nie uśmiechnęła się.

— Widziałam ich. — Siadła na płóciennym krześle i ujęła go za  
rękę,  
prosto i naturalnie. — Jeździliśmy trochę z Ngilim wokół obozu i  
zobaczyliśmy  
gromadkę hominidów. Czekali pod drzewem, aż przestanie padać.

Wzdrygnął się i usiadł, ona zaś poderwała się, by zmusić go do położenia się. Może to dlatego, że wspomniała o australopitekach, a może z jakiegoś innego powodu, dość, że nagle wydało mu się, iż pod jej twarzą dostrzega oblicze innej kobiety, jakby rysy Yinki stały się przejrzyste. To nie była Niawo, lecz raczej jakaś kobieta-przodek, która zrodziła je obie. I właśnie w tym obliczu protoplastów odnalazł desperację genów. Wyczuwał ją w rysach i ciele Niawo, gdyż była tam obecna, tak jak była obecna w każdej kobiecie; we wdzięcznym, swobodnym sposobie siedzenia Yinki, w ruchu, jakim puściła jego rękę i dotknęła jego twarzy. Wszystko to stanowiło cząstkę desperacji, choć słowo to wydawało się zupełnie nieadekwatne, gdyż w istocie nie była to desperacja, lecz świadomość przeznaczenia i celu istnienia kobiety.

— Bogu dzięki, nie gorączkujesz. — Uśmiechnęła się szeroko. — Ale się z tobą mamy, osadniku. Strażnicy mówili mi, że poszli do lasu ocenić szkody wyrządzone przez pożar i zobaczyli twoje ślady stóp...

— Ślady stóp — uśmiechnął się. — Jak zawsze, ślady stóp.

Przyjrzała mu się, a potem znów chwyciła go za rękę. Jego palce, też wychudzone, wyglądały jak szpony. Dławiły go emocje. Spojrzała na niego swymi fantastycznymi oczami o ciemnobrązowych tęczęwkach, a on wpadł w popłoch, tak jak wtedy gdy zagłębił wzrok w źrenicach Niawo. Oddychała mu prosto w twarz, a on wreszcie rozpoznał jej zapach. Chłodny, czysty zapach zdrowego ciała, nietkniętych zębów. Ciepło genów to samo co w lesie, tyle że umieszczone w chłodnej i eleganckiej powłoce współczesnej cielesności.

Nagle zapłakał. Pomyślał o Długopalcym, który stąpał dumnie, prowadząc swój klan na otwartą przestrzeń i przecierając dziewiczy szlak przez trawę sawanny.

Przestraszyła się i pogładziła go po ręce. Nie rozumiała, dlaczego płacze.

Próbował jej wyjaśnić, że martwi się o to, czy Długopalcy przeżyje, tak jak oni, przedstawiciele gatunku sapiens, martwili się o niego.

Zmarszczyła brwi, chyba niezbyt uszczęśliwiona tym porównaniem.—

Ten chłopak to zapewne indywidualność?

Skinął głową i opowiedział jej o Długopalcym. O pierwszym

spotkaniu

przy zagłębieniu z wodą z tą zadziwiającą, płaskogłową istotą... która przewodziła teraz swej rasie w ponownym przyswojeniu sobie podstawowych

zasad życia w sawannie. Jąkając się, zrelacjonował kluczowe wydarzenia dla

ich przyjaźni. Mówił o tym, jak Długopalczy uratował go, nieprzytomnego

i w gorączce, jak wciągnął do swego podziemnego legowiska. Potem o zapalnicze. O rozpaleniu pierwszego ogniska. Wystruganiu oszczepu. Upolowaniu kudu. Cmentarzysku z kośćmi ojca Długopalcego. I o lwie.

Ta drobna płaskogłową istotą. On... on...

Ken chciał powiedzieć, że ten chłopak uczynił z niego kogoś zupełnie

innego, ale się na to nie zdobył.

Yinka wpatrywała się z przemożnym zatroskaniem, on natomiast znów

się przestraszył, że pochłona go kobiece oczy. — Ten chłopak był, na swój

praludzki sposób, czarownikiem — powiedział. Zabrzmiało to płasko i głupio.

Poczuł pogardę do siebie, gdyż to, co powiedział, było nieprawdą, wyparciem się wspólnie spędzonych dni, wspólnych polowań. Ale czy miało to znaczenie?

Ona i tak by tego nigdy nie zrozumiała.

Wyglądała, jakby podjęła jakąś decyzję. — Jutro, jeśli poczujesz się na

siłach, pojedziemy do tego zagłębienia z wodą. — Otoczyła go ramionami

i pochyliła się, by go pocałować. Uczyniła to niezręcznie, zamkniętymi ustami, najpierw w kącik ust, potem w zamknięte wargi. Poczuł jej delikatne

drżenie przy swojej piersi. — Myślałam, żeś umarł. Wyobrażałam sobie, że

pożarły cię hieny.

— W lesie nie ma hien.

— No to pożarło coś innego...

— Zaraz ktoś wejdzie...

— Pierniczę to. — Ale już go nie pocałowała, tylko masowała mu barki

z uczuciem, które nie miało nic wspólnego z seksem i napawało ją bojaźnią.

Przy wejściu do namiotu rozległo się szuranie nóg. Ngili zapytał cicho: —

Ken? Mogę wejść?

„Co on sobie właściwie myśli — pomyślał Ken — zapowiadając się w tak formalny sposób? Czy przyznaje Yince prawo do przebywania ze mną

sam na sam?” Yinka wstała. Wszedł Ngili i uśmiechnął się do siostry.

— Fizjologia hominidów jest zadziwiająca — powiedział. — Czy on nie

wygląda już lepiej? — Potem usiadł. — Ken, musisz podjąć decyzję w kwestii

złożenia raportu o tym odkryciu, bo dopiero co doszły mnie wieści o dalszym

rozwoju wypadków. Ktoś z Shell Oil skontaktował się właśnie z moim ojcem

i powiedział mu, że nadal zależy im na tym, jak to nazywają, „projekcie”.

Przypisują sobie do niego prawa autorskie.

— Co? — Ken zaśmiał się z wysiłkiem. Znowu? Po Andersonie Shell Oil?

— Możesz wierzyć lub nie, ale usiłowano przekonać *urn 'tu*, że ich były

wiceprezes, Harry Ends, to pionier walki o ocalenie hominidów. Mają też

notatki Haksara.

— Czy grożą, że upublicznia to na własną rękę?

— Nie tyle grożą, co raczej wywierają presję. — Zaczekał chwilę.

—

Jaka jest więc twoja decyzja?

— Nie upublicznimy tego, Ngili — rzekł Ken niskim głosem.  
— Świetnie — odparł Ngili. Yinka widziała, że całkowicie zgadza się on z przyjacielem. — Pozycja *um'tu* u boku prezydenta nie mogłaby być mocniejsza, w tej chwili zastępuje on praktycznie rząd. Tak więc możemy wyznaczyć tu obszar o powierzchni paru tysięcy mil kwadratowych i skłonić władze do uznania go za zamknięty. A ci z Shella nie będą w stanie nic zrobić, nawet jeśli opublikują notatki Haksara. Dzięki Cyrilowi wszyscy, którzy coś wiedzieli albo widzieli, nie żyją. — Roześmiał się. — Do licha, Ken, czy to nie zdumiewające? Cyril, człowiek, którego obawialiśmy się najbardziej, stał się mimowolnym obrońcą hominidów? Ken?  
— Co?  
Ngili promieniował energią i podnieceniem. — My obaj zostaniemy

opiekunami tego miejsca. Damy sobie radę z naszą biurokracją. I nigdy nie

zrezygnuję z geologii. — Ken skinął głową, domyślał się tego. — Yinko,

samolot gańniczy odlatuje jutro rano. Chcesz się przelecieć do Nairobi?

— Nie mogłabym zostać jeszcze dzień? — zapytała. — Jeśli jutro rano

Ken poczuje się na siłach, pokaże mi zagłębienie z wodą, przy którym spotkał tego chłopca.

Ngili opuścił wzrok. Poklepał przyjaciela po ramieniu, odwrócił się i wyszedł.

Jadąc nazajutrz do zagłębienia z wodą, Yinka zapytała Kena o innych

hominidów. Wiele słyszała o chłopcu, ale jak to jest, kiedy człowiek wałęsa

się z tymi wszystkimi nagimi dorosłymi? Jak to jest? Ken odrzekł ostrożnie,

że było to piękne... poruszające, by tak rzec.

Zatrzymała landrovera przy niewielkiej kałuży, gdzie Ken po raz pierwszy

dostrzegł pijącego Długopalcego. Wysiadł z wozu, mając na nogach pożyczone

od Ngilego buty; krzywił się, czując ból w obandażowanych stopach.

Doznawał dziwnego wrażenia, że coś się zmieniło na otaczającym ich pustkowiu, choć nie potrafił powiedzieć, co.

Na błotnistym brzegu zagłębienia z wodą dostrzegł gruby czarny przedmiot

i zawołał na Yinkę, by szła za nim, jakby jej obecność mogła go ochronić.

Pospieszył w stronę leżącego przedmiotu, mając uczucie, że doświadcza *deja*

*vu*. Czyżby czar tego miejsca miał zadziałać na nowo i być może — obrzucił

spojrzeniem idącą za nim piękną dziewczynę — zmóc ich oboje?

Okazało się, że ów przedmiot jest gałęzią, prostą i bez sęków, czymś

w rodzaju krótkiego oszczepu.

Czarną gałęzią, gdyż uległa zwęgleniu w czasie pożaru lasu.

Ken podniósł ją, a wrażenie *deja vu* spotęgowało się, napawając go większą obawą. Stało się teraz wręcz namacalne, niczym infekcja przenikająca

przez opuszki palców.

„Długopalcy, nie rób mi tego.”

Wiedział z niezawodną pewnością, że chłopiec zostawił to dla niego

teraz, kiedy klan opuścił już las. Hominid podniósł tę gałąź w lesie, pospiesznie, jeszcze nie wystygła od ognia. Znalazłszy się w sawannie, zauważył, że jest bardzo krótka i z trudem dałaby się użyć do

polowania. Ale  
mógł dzięki niej przekazać wiadomość przyjacielowi.

Ken powiedział Yince, że nauczył Długopalcego posługiwać się  
oszczepem,  
a za pośrednictwem kija, który teraz trzymał, chłopiec zapewniał go, że  
nie  
zapomni tej lekcji.

Spojrzała nań, jakby oszalał. — Sądysz, że kiedykolwiek  
oderwiesz się  
od tego? — Odpowiedziała sama sobie, nie na żarty zagniewana. —  
Chyba  
nie, nikomu się to już nie uda.

— Co masz na myśli?

— Nie będziemy już jedynymi ludźmi, i Bóg jeden wie, jak to  
wpłynie

na nas wszystkich. Świetnie! — krzyknęła kpiąco. — Daj mi tot —  
Wyrwała  
mu kij, ale kiedy zamierzyła się, żeby go odrzucić, wyrwał jej- się  
krótki  
okrzyk. Ken skoczył ku niej, zaniepokojony, że coś ją użądliło albo  
ugryzło.

W kępie trzciniastej trawy stał, patrząc prosto na nich, Długopalczy.

Drugi okrzyk uwiązał jej w gardle. Wyciągnęła do tyłu rękę,  
szukając po

omacku ramienia Kena. Spojrzawszy na chłopca, Ken stwierdził, że  
mały

wygląda zupełnie obco, a jednocześnie niezwykle swojsko.

Długopalczy patrzył lśniącymi oczami. Musiał właśnie coś zjeść, bo  
miał

umazaną twarz. Ten obraz wystarczył, by przywołać wszystkie  
wspomnienia

związane z ich spotkaniami, kiedy stali naprzeciw siebie, badając się  
wzrokiem

i wymieniając osłupiałe spojrzenia, z ich pierwszym dotykiem palców, z  
ich

zabawami, z polowaniami...

Ken fantazjował. To niemożliwe, żeby w oczach chłopca było tyle  
żału

i wyrzutu.

Ależ owszem, możliwe.

„Oto spotykamy się tutaj powtórnie i sprawiam ci zawód.”

Chłopiec cofnął się i wysunawszy do przodu ściągnięte wargi ostro  
zagwizdał. Parę stóp za nim ukazała się Niawo o zaskakująco  
pierwotnym

wyglądzie — niska, o szeroko rozstawionych oczach. Zerknęła na  
stojącą

obok Kena kobietę, potem na niego. I wreszcie rzuciła mu sekretne,

niedozwolone spojrzenie, równie krótkie co niezwykle.

Mówiło ono: „Byliśmy razem, ale w innym czasie.”

A oczy Długopalczego mówiły: „Chcę być z nim. Z moim obcym,  
dziwnym, wielkim i niezgrabnym towarzyszem.” Ken już miał podejść  
do

dwojga praludzi, gdy obok nich ukazał się... jakiś mężczyzna. Nie miał  
podbródka, tylko szczęki i ostro cofnięte czoło. Był dużo większy od  
Niawo

i chyba cokolwiek młodszy. Na widok pary współczesnych ludzi jego  
twarz

przeobraziła się w maskę dzikiego, niemal samoumcestwiającego  
oddania dla

swojej kobiety i jej młodego krewniaka.

Mężczyzna przywołał ich do siebie mocnym, krótkim  
mruknięciem.

Stanęli za nim, chociaż Długopalczy zrobił to z ociąganiem, jak  
niezdyscypli-  
nowane dziecko. Mimo to stanęli za nim, podczas gdy on czekał,  
kompletnie



nieruchomy, rzucając wyzwanie obcym, pók\* kobieta i dziecko nie odeszli.

Wówczas i on się poruszył, odwrócił i podążył za nimi.

Minęło parę minut, zanim ich sylwetki zniknęły w głębi sawanny pełnej bawołów, lwów i tajemnic ewoluującej ludzkości.

— Może chcesz to? — zapytała^ Yinka, unosząc oszczep. Ken wziął go,

szukając na nim śladu ciepłych dziecięcych rąk. Nie odnalazł go.

— Musimy wracać — Yinka powiedziała to tak, jakby mówiła:

„Musimy wrócić do samych siebie”.

Skinął głową.

Popatrzyła na niego i uniosła rękę do jego posiniaczonej twarzy, pogładziła

go delikatnie, po czym ujęła pod ramię i poprowadziła do landrovera.

Przy

samochodzie zatrzymała się i otworzyła mu usta swoimi ustami.

Usiłował się

opierać, oszołomiony wybraniem przez nią tego momentu, i w obawie, że

hominidzi obserwują ich zza traw, stojąc w charakterystycznej dla siebie

postawie — na dwu nogach — i wypatrując wrogów oraz przyjaciół.

Wydarzyło się jednak coś zdumiewającego. Desperacja genów ujawniła

się, i to u niego samego. Objął ją w talii, przytulił i wyjąkał, że jest chyba za

słaby, by stanąć na wysokości zadania. Nie odpowiedziała, tylko ściągnęła

z niego ubranie, a potem popchnęła na samochód i objęła nogami. Zacisnęła

się na nim, nie dbając o to, czy on się porusza, i tylko upewniając się, że są

zespoleni, tak że będzie mogła go pochwycić i sprowadzić na powrót w teraźniejszość.

Oderwała się od niego nieomal brutalnie, tak że poczuł absurdalną obawę,

że wszystko — nie tylko nasienie, lecz także penis i jądra — pozostało w jej

wnętrzu. Z szorstką macierzyńskością pchnęła go, zaplątanego w spuszczone

do kolan dzinsy, do samochodu.

Zadyszany zapytał, dlaczego to zrobiła. A ona wydyszała w odpowiedzi,

że po to, by uwolnić go od jego obsesji. Czyż nie rozumiał? Świat nie składa

się z niego i Długopalcego ani z paru kobiet dorzuconych dla zabawy.

Kobiety chciały go, aby robić innych Długopalcych. — Ona to rozumie.

—

Yinka wskazała miejsce, gdzie zniknęła Niawo. — Chodź, osadniku!

Nadal miał ochotę zapytać ją, dlaczego świat nie może być taki, jakiego

on by chciał? Jeśli ich znajomość miała jakoś trwać dalej, dlaczego nie mogli

się kochać tutaj, obok tej ogromnej tajemnicy? Nauka stanowiła jeden ze sposobów na życie, a on nie potrafił żyć inaczej.

. Coś w wyrazie jej twarzy powiedziało mu jednak, że byłoby to bezcelowe.

Poddał się i siadł obok niej w landroverze.

Kiedy włączała silnik, obejrzał się przez ramię i zobaczył ich znowu

w oddali. Kobieta, mężczyznę i dziecko.

Długopalcego.

Nadzy i rzeczywiści skupili się pod drzewem akacji, być może wybierając

miejsce na nocleg. Jutro zbudzą się silni i pełni wigoru, gotowi na podjęcie nowego życia.